

PETER F. HAMILTON

NAGI BÓG

WIARA



Bestseller
SPACE OPERA

FINAŁ cyklu o KONFEDERACJI

PETER F. HAMILTON

**NAGI BÓG
WIARA**

Tłumaczył
Michał Jakuszczyński

Tytuł oryginału
The Naked God vol. 3

NA KONIEC ZASŁUŻONE PODZIĘKOWANIA

Napisanie tego cyklu zajęło mi sześć i pół roku. W tym czasie pomagały mi: wsparcie, drinki, miłość, przyjęcia, kiepskie żarty, współczucie, przyjaźń i dziwaczne e-maile. Oto osoby, którym to wszystko zawdzięczam:

John F. Hamilton Katie Fell

Simon Spanton-Walker Jane Spanton-Walker Kate Farquhar-Tompson Christine Manby
Antony Harwood Carys Thomas James Lovegrove Lou Pitman Peter Lavery Betsy Mitchell Jim Burns
Dave Garnett Jane Adams Graham Joyce

Dziękuję, moi drodzy. Peter F. Hamilton Rutland, kwiecień 1999

Jednolita tafla światła, która pojawiła się nad Norfolkem, obwieszczając początek dnia, nie była już tak oślepiająca. Choć do nadejścia jesieni zostało jeszcze kilka tygodni, znajdujący się na pogodzie czuli już, że się zbliża.

Luca Comar stał przy oknie sypialni, spoglądając na bezleśne wyżyny, jak robił codziennie o świcie od czasu... No cóż, codziennie. Dziś nad posiadłością wisiała wyjątkowo gęsta mgła. Za trawnikami (niestrzyżonymi od wielu tygodni, niech to szlag) rosły stare cedry - wielkie, szare cienie strzegące sadów i pastwisk Cricklade. Ich wielkość i znajoma powaga robiły uspokajające wrażenie.

Na dworze panował całkowity bezruch. Ranek był tak mało obiecujący, że nie zdołał nawet wywabić z nor miejscowych zwierząt. Krople rosy gęsto pokrywały wszystkie liście. Gałęzie zwisały bezwładnie pod ich ciężarem, jakby drzewa i krzaki uległy porażającej apatii.

- Na Boga, wracaj do łóżka. Zimno mi - poskarżyła się Susannah.

Leżała na środku ich wielkiego łóża z baldachimem. Oczy miała zamknięte. Sennym ruchem naciągnęła pierzynę z powrotem na ramiona. Ciemne włosy były rozrzucone na zmiętoszonych poduszkach na podobieństwo zniszczonego ptasiego gniazda. Pomyślał tęsknie, że nie są już takie długie jak ongiś. Było nieuniknione, że oni zwiążą się ze sobą. Ponownie, w pewnym sensie. Jakkolwiek na to spojrzeć, pasowali do siebie. A kolejna kłótnia z Lucy przebrała miarękę.

Luca usiadł na skraju łóża, spoglądając na ukochaną. Susannah wysunęła rękę spod pierzyny, szukając go na oślep. Ujął dłoń delikatnie, pochylił się i ucałował. Ten gest był pamiątką po czasach, gdy się do niej zalecał. Uśmiechnęła się leniwie.

- Tak lepiej - mruknęła. - Nie znoszę, jak co rano wyskakujesz z łóżka.

- Muszę to robić. Posiadłość nie może funkcjonować bez nadzoru. Zwłaszcza teraz. Daję słowo, że niektórzy z tych skurczybyków są teraz jeszcze głębsi i bardziej leniwi niż przedtem.

- To nieważne.

- Ważne. Nadal musimy zbierać plony. Kto wie, jak długo potrwa zima.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego z lekkim zmieszaniem.

- Tyle samo, co zawsze. To odpowiednie dla tego świata. Wszyscy to czujemy. Dlatego tak właśnie będzie. Przestań się przejmować.

- Skoro tak mówisz.

Znowu spojrział na okno, które wyraźnie go kusilo. Usiadła i przyjrzała się mu uważniej.

- O co chodzi? Czuję, że coś cię gryzie. Nie chodzi tylko o plony.

- Częściowo o nie. Oboje wiemy, że muszę osobiście dopilnować, by wszystko było zrobione jak należy. Nie tylko dlatego, że to banda opierdalaczy. Potrzebują wskazówek, jakie może im dać Grant. Które silosy służą do czego, jak długo trzeba suszyć ziarno i tak dalej.

- Pan Butterworth może im to wyjaśnić.

- Chciałaś powiedzieć "Johan".

Uniknęli spojrzenia sobie w oczy, oboje jednak poczuli się trochę winni. W dzisiejszych czasach tożsamość była na Norfolkku tematem tabu.

- Może - przyznał Luca. - Ale czy zechcą go słuchać, to już inna sprawa. Minie jeszcze wiele czasu, zanim staniemy się jedną wielką rodziną, trudzącą się zgodnie dla wspólnego dobra.

- Trzeba najpierw skopać parę tyłków - zauważyła z uśmiechem.

- Masz cholerną rację!

- A więc czym się przejmujesz?

- W takie dni jak dzisiaj jest czas na zastanowienie. Nic się nie dzieje. Nie mamy chwilowo

żadnej pilnej roboty poza przycinaniem krzewów, a tym może pokierować Johan.

- Aha. - Podciągnęła kolana pod brodę i opłótła ręce wokół nich. - Dziewczynki.

- Tak - potwierdził z zażenowaniem. - Dziewczynki. No wiesz, naprawdę mnie to wnerwia.

To znaczy, że w większym stopniu jestem Grantem niż sobą. Tracę kontrolę. Tak nie może być. Jestem Luca. Nie mam z nimi nic wspólnego. One nic dla mnie nie znaczą.

- Ze mną jest tak samo - przyznała z przygnębieniem w głosie. - Wydaje mi się, że walczymy z instynktem, którego nie zdołamy pokonać. To córki naszych ciał, Luca. Im bardziej przyzwyczajam się do tego ciała, im bardziej staje się moje, tym bardziej muszę się pogodzić ze wszystkim, co się z nim wiąże. Z Marjorie Kavanagh. Jeśli tego nie zrobię, będzie mnie prześladowała całą wieczność. I słusznie. To ma być nasz azyl. Jak może się nim stać, jeśli ich odrzucimy? Nigdy nie odnajdziemy spokoju.

- Grant mnie nienawidzi. Gdyby mógł przystawić mi pistolet do głowy i strzelić, zrobiłby to. Czasami, gdy jestem bardziej nim niż sobą, obawiam się, że sam to zrobię. Jestem tu nadal tylko dzięki temu, że nie czuję się jeszcze gotowy popełnić samobójstwa. Rozpaczliwie chcę się dowiedzieć, co się stało z Louise i Genevieve. Jego pragnienie jest tak silne, że udziela się również mnie. Dlatego właśnie w takie dni jak dzisiaj pokusa staje się wyjątkowo natarczywa. Mógłbym dosiąść konia i pojechać do Knossington. Tam stacjonuje kolejny ambulans lotniczy. Jeśli nadal działa, wieczorem mógłbym być w Norwich.

- Wątpię, żeby jakikolwiek samolot tu funkcjonował.

- Masz rację. Podróż do Norwich łodzią byłaby nieporównanie trudniejsza. A zimą stanie się niemożliwa. Dlatego powinienem wyruszyć natychmiast.

- Ale Cricklade ci na to nie pozwala.

- Nie. Nie sądzę, żeby tak było. Nie jestem już pewien. On staje się coraz silniejszy, wyczerpuje moje siły. - Parsknął krótkim, gorzkim śmiechem. - Pomyśl, cóż to za ironia. Ten, kogo opętałem, opętuje mnie w zamian. Przypuszczam, że na to zasłużyłem. Wiesz co? Naprawdę pragnę się upewnić, że dziewczynkom nic nie grozi. To moje myśli. Nie wiem, skąd się biorą. Czy to poczucie winy z powodu tego, co próbowałem zrobić Louise, czy to on, jego pierwsze zwycięstwo? Carmitha mówi, że wracamy do pierwotnych osobowości. Myślę, że może mieć rację.

- Nie ma. Zawsze pozostaniemy sobą.

- Na pewno?

- Tak - zapewniła stanowczo.

- Chciałbym uwierzyć. To miejsce bardzo odbiega od naszych oczekiwań. Pragnąłem tylko uciec z zaświatów. Udało mi się, ale nadal cierpię. Dobry Boże, dlaczego śmierć nie może być prawdziwa? Co to za wszechświat?

- Luca, jeśli wyruszysz na poszukiwania dziewczynek, pojedę z tobą.

Pocałował ją, szukając w normalności ratunku.

- Świetnie.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Chodź. Nacieszmy się tym, że jesteśmy sobą. Umiem robić parę rzeczy, których Marjorie nigdy nie robiła Grantowi.

*

Carmitha przez cały ranek pracowała w ogrodzie różanym, jako jeden z trzydziściorga dobrze opłacanych pracowników, mających przywrócić do porządku rośliny, z których słynął Norfolk. Z uwagi na opóźnienie prac, zadanie było trudniejsze niż zwykle. Łodygi kwiatów stwardniały i rozwinęły się nowe, późnoletnie pędy, owijające się wokół drucianych treliarzy.

Wszystko trzeba było przyciąć, przywracając krzewom oryginalny kształt szerokich wachlarzy. Carmitha najpierw oberwała zwiędłe kwiaty z każdej rośliny, a potem - posiłkując się drabinką - wielkim sekatorem zaczęła przycinać górne pędy. Długie, biczowate odrośla spadały na ziemię, tworząc gęstą płataninę u stóp drabinki.

Carmitha zadawała też sobie pytanie, dlaczego trawie między rzędami krzewów pozwolono wyrosnąć tak wysoko. Trzymała jednak język za zębami. Wystarczało jej, że podtrzymywali podstawowe funkcje jej świata. Gdy to wszystko wreszcie się skończy i siły Konfederacji spadną z niezwykle, jednorodnego nieba, by przepędzić opętujące dusze, prawowici mieszkańcy powrócą do normalnego życia. Nigdy już nie będzie tak jak przedtem, ale pewna ciągłość zostanie zachowana. Następne pokolenie zdoła zbudować dla siebie życie na ruinach grozy.

Cały czas pozostawała wierna owej myśli. Podejrzenie, że to nigdy się nie skończy, było słabością, na którą sobie nie pozwalała. Gdzieś, po drugiej strony granicy tego królestwa, Konfederacja nadal pozostawała nietknięta, a jej przywódcy dokładali wszelkich starań, by ich odnaleźć i rozwiązać problem.

Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić, jak mogłoby wyglądać owo rozwiązanie. Zwykłe wygnanie dusz z powrotem w mroczną pustkę zaświatów niczego nie załatwi. Trzeba znaleźć dla nich jakieś miejsce, gdzie nie będą cierpiały. Sami opętujący - rzecz jasna - wierzyli, że znaleźli je właśnie tutaj. Głupcy. Biedni, nieświadomi, tragiczni głupcy.

Wyobraźnia zawodziła ją również, gdy chodziło o wizję, jak po rozwiązaniu kryzysu będzie wyglądało życie na Norfolku i na innych, opanowanych przez opętanych światach. Zawsze szanowała kulturę umiarkowanej duchowości, w jakiej ją wychowano, mieszkający w domach osadnicy czcili zaś swego chrześcijańskiego Boga. Żadne z tych wierzeń nie potrafiło jednak odpowiedzieć na pytanie, jak żyć, kiedy człowiek wie, że ma nieśmiertelną duszę. Jak ktokolwiek mógł potem poważnie traktować fizyczną egzystencję? Po co się wysilać i o cokolwiek zabiegać, gdy czekało nas coś nieporównanie większego? Zawsze buntowała się przeciwko sztucznym restrykcjom jej świata, choć przyznawała, że nie potrafi sobie wyobrazić alternatywy. Babcia zwała ją "motylem bez skrzydeł". A teraz stanęły przed nią otworem wrota do niewyobrażalnej, nieskończonej wolności.

I co zrobiła na ten widok? Uczepiła się własnego maleńkiego życia z zajadłą nieustępliwością, na jaką zdobyło się tylko niewielu mieszkańców tego świata. Być może tak właśnie będzie wyglądała jej przyszłość. Nieustanna schizofrenia, przerażająca eskalacja wewnętrznej walki między yin a yang.

Łatwiej było o tym nie myśleć. To jednak również nie było dobre wyjście, ponieważ sugerowało, że Carmitha nie panuje nad własnym przeznaczeniem. Czekala tylko na łaskawą pomoc Konfederacji, jak nędzarz żyjący z dobroczynności. I to było sprzeczne z jej naturą. Czasy nie należały do najłatwiejszych.

Skończywszy przycinać szczyt krzewu, wyciągnęła parę upartych pędów z gęstych, dolnych gałęzi, na które opadły. Potem przesunęła sekator w dół, biorąc się za starsze gałęzie. Poza pięcioma głównymi odgałęzieniami, krzew co sześć lat powinno się zachęcać do wypuszczenia nowej odrośli. Sądząc po zmarszczonej korze i niebieskawych plamkach alg, które zaczęły się pojawiać w cienkich jak włos pęknięciach, tę roślinę pozostawiono w spokoju na wystarczająco długi okres. Carmitha zrećnie umocowała metalowymi taśmami nowe pędy, których nie przycięła. Jej ręka poruszała się automatycznie. Nie musiała nawet patrzeć, co robi. Każde dziecko z Norfolku przez sen potrafiło wykonać tę pracę. Pozostali robotnicy oporzędzali krzewy w taki sam sposób. W tym miejscu nadal władały instynkt i tradycja.

Zeszła cztery stopnie w dół i zaczęła przycinać niżej położone gałęzie. W jej umyśle pojawił

się jakiś niezwykle niepokój. Wydawało się, że jego źródło zbliża się z każdą chwilą. Mocno się uczepliła solidnego treliazu i wychyliła w bok, by sprawdzić, co się dzieje. Po trawie biegła Lucy, wymachując gorączkowo rękami. Zdyszana kobieta zatrzymała się u stóp drabiny Carmithy.

- Mogłabyś ze mną pójść? - Wysapała. - Johan zemdlął. Bóg wie co mu jest.

- Zemdlął? Jak to się stało?

- Nie mam pojęcia. Poszedł po coś do warsztatu ciesielskiego. Chłopaki mówią, że po prostu zwałił się na ziemię. Próbowali go podnieść, ale nie dali rady, więc położyli biedaka wygodnie i kazali pędzić po ciebie. Kurde, całą drogę pokonałam na cholernym koniu. Co ja bym dała, żeby komórki znowu działały.

Carmitha zeszła z drabiny.

- Widziałaś go?

- Tak. Wygląda normalnie - odrobinę za szybko odparła Lucy.

- Jest przytomny. Tylko czuje się słabo. Pewnie się przepracował. Ten cholerny Luca myśli, że wszyscy nadal u niego służymy. Będziemy musieli coś w tej sprawie zrobić.

- Jasne - rzekła Carmitha i popędziła wzdłuż rzędu krzewów ku krytej strzechą stodole, gdzie stał uwiązany jej koń.

Carmitha wjechała do stajni, zsunęła się z siodła i wręczyła wodze jednemu z nieopętanych chłopaków, których Butterworth/Johan awansował na stajennych. Młodzieniec przywitał ją miłym uśmiechem.

- To zdrowo nimi wstrząsnęło - mruknął.

- Fatalnie - zauważyła, mrugając znacząco.

- Pomożesz mu?

- Zależy, co mu dolega.

Odkąd przybyła do Cricklade, zaskakująco wielu miejscowych zgłaszało się do niej z prośbą o leki na najrozmaitsze dolegliwości. Przeziębienie, ból głowy, bóle kończyn, zaczerwienione gardło, niestrawność - uciążliwe drobiazgi, z którymi ich mocom trudno było sobie poradzić. Potrafili uleczyć rany i złamania kości, ale wewnętrzne problemy, nie mające oczywistego fizycznego wyrazu, przysparzały im więcej trudności. Dlatego Carmitha zajęła się produkcją mikstur i herbatek ziołowych według starych, babcinych receptur. To z kolei sprawiło, że powierzono jej opiece ogród zielny. Wiele wieczorów spędzała na ucieraniu w moździerzku suszonych liści, mieszaniu ich ze sobą i wysypywaniu powstałych w ten sposób proszków do starych, szklanych słoików.

Najważniejsze, że dzięki temu mieszkańcy posiadłości łatwiej ją zaakceptowali. Woleli polegać na naturalnych cygańskich remediach, niż radzić się kilku wykwalifikowanych lekarzy rezydujących w miasteczku. Odpowiednio przygotowany żeńszeń (niestety, przekształcono go genetycznie, w celu przystosowania do niezwyklego klimatu Norfolku, co zapewne osłabiło lecznicze właściwości) oraz jego botaniczni kuzyni pozostawali atrakcyjniejsi od leków, jakie mógł produkować poddany ścisłym ograniczeniom przemysł farmaceutyczny Norfolku. Ich zapasy nie były też zbyt wielkie, a Luca dał już sobie spokój z próbami negocjowania nowych dostaw z Bostonu. Mieszczuchom nadal nie udało się uruchomić fabryki.

Uważała, że to dziwne, iż prosta wiedza o roślinach i o ziemi, która była jej dziedzictwem, a którą ukrywała przed innymi, zapewniła jej ich szacunek oraz wdzięczność.

Warsztat ciesielski był wysokim, parterowym budynkiem z kamienia, usytuowanym na zapleczu posiadłości, pośrodku grupy zdumiewająco podobnych domków. Dla Carmithy wszystkie wyglądały jak przesadnie wielkie stodoły o wysokich, drewnianych okiennicach i stromych dachach z panelami baterii słonecznych. Mieściły się w nich warsztat kołodziejski, mleczarnia, kuźnia, zakład

kamieniarski, niezliczone magazyny, a nawet pieczarkarnia. Kavanaghowie postarali się, by w posiadłości znajdowało się wszystko, co potrzebne do samowystarczalnego funkcjonowania.

Zbliżając się do warsztatu, Carmitha zauważyła kilku ludzi, którzy kręcili się przy wejściu. Wszyscy mieli zawstydzone miny, jakby przed chwilą uczestniczyli w rodzinnej sprzeczce. W czymś, z czego nie byli zadowoleni, ale nie chcieli też, żeby ich ominęło. Przywitali ją z uśmiechami ulgi i zaprosili do środka. Elektryczne piły, tokarki i czopiarki milczały. Cieśle zdjęli narzędzia i deski z jednej z ław, a potem położyli na niej Johana. Głowę wsparli mu na miękkich poduszkach, ciało zaś owinęli kocem w szkocką kratę. Susannah podsuwała mu do ust szklanę wypełnioną wodą z lodem, a Luca stał u końca ławy, marszcząc brwi w zamyśleniu.

Na puciołowatej, młodzieńczej twarzy Johana pojawił się grymas, który zamienił przebiegające ją linie w głębokie bruzdy. Skóra błyszczała mu od potu. Cienkie, rudoblond włosy lepiły się do czoła. Co kilka sekund jego ciało przeszywał dreszcz. Carmitha dotknęła dłonią czoła mężczyzny. Choć była na to przygotowana, zaskoczyło ją, że jest takie gorące. Jego myśli były płataniną niepokoju i determinacji.

- Chcesz mi powiedzieć, co się stało? - Zapytała.

- Po prostu poczułem się słabo, to tyle. Zaraz dojdę do siebie. To pewnie zatrucie pokarmowe.

- Nic nigdy nie jesz - mruknął Luca. Carmitha odwróciła się, spoglądając na gapiów.

- Dobra, zostawcie nas. Zróbcie sobie przerwę obiadową albo coś. Potrzebuję świeżego powietrza.

Wycofali się posłusznie. Skinęła na Susannah, każąc jej się odsunąć, a potem ściągnęła koc z Johana. Flanelowa koszula, którą miał pod tweedową kurtką, była mokra od potu, a pumpy sprawiały wrażenie przylepionych do nóg. Zadrzał, gdy odsłoniła jego ciało.

- Johan - zażądała stanowczo. - Pokaż mi się.

- Widzisz mnie - odparł, rozciągając usta w odważnym uśmiechu.

- Nieprawda. Chcę, żebyś zaraz położył kres tej iluzji. Muszę zobaczyć, co się z tobą dzieje.

Nie pozwalała mu odwrócić spojrzenia, tocząc milczący pojedynek z jego ego.

- Dobra - ustąpił wreszcie. Opuścił głowę na poduszkę, zmęczony tą drobną przepychanką. Wyglądało tak, jakby po całym jego ciele, od głowy aż po palce nóg przebiegła fala, zostawiająca za sobą całkowicie zmieniony obraz.

Powiększył się nieco we wszystkich kierunkach, jego skóra stała się jaśniejsza, pod nią pojawiły się żyły. Podbródek i obwisłe policzki porastała rzadka, siwa szpecina. Postarzał się o czterdzieści lat. Oczy wpadły mu w głąb czaszki.

Zdumiona Carmitha wciągnęła gwałtownie powietrze. Wygląd policzków stał się dla niej wskazówką. Chcąc potwierdzić swe podejrzenie, rozpięła jego koszulę. Johan nie przypominał klasycznej ofiary głodu. W ich przypadku skóra była mocno naciągnięta na kościach, a mięśnie zredukowane do wąskich pasemek. Johan miał mnóstwo luźnego ciała, tak wiele, że zwisało zeń w fałdach. Wydawało się, że to jego szkielet się skurczył, zostawiając o trzy numery za dużą skórę.

Wiele wskazywało, że nie chodziło wyłącznie o brak pożywienia. Fałdy ciała były dziwnie sztywne, układały się w regularności imitujące mięśnie świetnie wytrenowanego dwudziestopięcioletka. Niektóre z wypukłości były różowe, jakby pokrywały je otarcia, w paru miejscach zaś zrobiły się tak intensywnie czerwone, że Carmitha podejrzewała, iż są to krwawiące pęcherze.

Umysł Johana wypełnił wstyd, reakcja na trwogę z lekką domieszką niesmaku, którą wyczuwał u trojga otaczających go ludzi. Emocjonalna huśtawka była tak potężna, że Carmitha

musiała usiąść na brzegu ławy obok chorego. Gorąco pragnęła stąd wyjść.

- Chciałeś znowu być młody, prawda? - Zapytała cicho.

- Budujemy tu raj - odparł z desperacją w głosie. - Możemy stać się, kim tylko zechcemy.

Wystarczy o tym pomyśleć.

- Nieprawda - zaprzeczyła Carmitha. - Potrzeba czegoś znacznie więcej. Nie stworzyliście nawet społeczeństwa, które funkcjonowałoby równie dobrze jak dawne społeczeństwo Norfolku.

- To co innego - nie ustępował Johan. - Wspólnie zmieniamy nasze życie i ten świat.

Carmitha pochyliła się nad drżącym mężczyzną, zatrzymując twarz kilka cali nad jego twarzą.

- Niczego nie zmieniasz. Tylko powoli się zabijasz.

- Tu nie ma śmierci - oznajmiła ostrym tonem Susannah.

- Naprawdę? - Zapytała Carmitha. - A skąd o tym wiesz?

- Nie chcemy tu śmierci, więc jej nie ma.

- Jesteśmy tylko w innym miejscu, nie w innym bycie. To wielki krok wstecz od rzeczywistości, ale on się nie utrzyma. Zbudowano go na życzeniu, nie na faktach.

- Spędzimy tu całą wieczność - burknęła Susannah. - Pogódź się z tą myślą.

- Wydaje ci się, że Johan będzie żył wiecznie? Nie mam pewności, czy utrzymam go przy życiu choćby przez tydzień. Spójrz na niego, przyjrzyj mu się uważnie, do cholery! To właśnie zrobiły z niego wasze śmieszne moce. Jest wrakiem. Nie dano wam daru czynienia cudów. Potraficie tylko psuć dzieło natury.

- Nie chcę umierać - wycharczał Johan. - Proszę. - Zacisnął na ramieniu Carmithy gorącą, wilgotną od potu dłoń. - Musisz to powstrzymać. Zrób coś, żebym poczuł się lepiej.

Kobieta delikatnie uwolniła się. Poddała uszkodzenia, które sam sobie zadał, dokładnym oględzinom, starając się określić, czy ma realne szanse mu pomóc.

- Najwięcej zależy od ciebie. Ale i tak ta kuracja może przekraczać możliwości holistycznej medycyny.

- Zrobię wszystko. Wszystko!

- Hmm. - Przebiegła dłonią po jego piersi, obmacując wypukłości, by się przekonać, czy są twarde, jakby sprawdzała dojrzały owoc. - Dobra. Ile masz lat?

- Słucham? - Zapytał zdumiony.

- Powiedz mi, ile masz lat. Rozumiesz, ja już to wiem. Przyjeżdżam do tej posiadłości na zbiory róż od z górą piętnastu lat. Kiedy pierwszy raz spotkałam pana Butterwortha, pełnił nadzór nad robotnikami pracującymi w ogrodzie. Już wówczas był zarządcą posiadłości. I to dobrym. Nigdy na nas nie krzyczał, zawsze wiedział, co powiedzieć, by nakłonić ludzi do pracy, nie traktował Cyganów gorzej niż pozostałych. Pamiętam, że zawsze nosił tweedowy strój i żółtą kamizelkę. Wyglądał tak pięknie i wesoło, że kiedy miałam pięć lat, myślałam, iż jest królem świata. Wiedział też o funkcjonowaniu Cricklade więcej niż ktokolwiek inny poza Kavanaghami. Tego wszystkiego nie da się osiągnąć w jeden dzień. Powiedz mi, Johan, ile masz lat? Chcę to usłyszeć z twoich ust.

- Sześćdziesiąt osiem - wyszeptał. - Mam sześćdziesiąt osiem ziemskich lat.

- A ile ważysz, kiedy jesteś zdrowy?

- Piętnaście i pół kamienia. - Umilkł na chwilę. - A włosy mam siwe, nie blond. I nie zostało ich już zbyt wiele.

To wyznanie uspokoiło go nieco.

- Znakomicie. Zaczynasz rozumieć. Musisz pogodzić się z faktem, kim jesteś, i cieszyć się tym. Byłeś duszą cierpiącą męki w pustce, a teraz znowu masz ciało. Ciało, które może ci zapewnić wszelkie doznania, jakich byłeś pozbawiony w zaświatach. Jego wygląd nie ma najmniejszego

znaczenia. Pozwól mu być tym, czym jest. Niczego nie ukrywaj. Wiem, że to trudne. Wydawało ci się, że znajdziesz tu odpowiedź na wszystko. Niełatwo jest przyznać przed sobą samym, że tak nie jest, a uwierzenie w to może się okazać jeszcze trudniejsze. Musisz jednak nauczyć się akceptować swą nową postać oraz ograniczenia, jakie narzuca ci ciało Butterwortha. On miał dobre życie i nie istnieje powód, by nie miało trwać.

- Ale jak długo? - Zapytał Johan, starając się zachować rozsądek.

- Podejrzewam, że jego przodkowie byli genetycznie zmodyfikowani, jak większość kolonistów. Powinien pożyć jeszcze kilka dobrych dziesięcioleci, zakładając, że nie spróbujesz znowu wykręcić takiego numeru.

- Dziesięcioleci.

W jego głosie zabrzmiała gorycz porażki.

- Albo tylko kilka dni, jeśli nie uwierzysz w siebie. Musisz mi pomóc, Johan. Nie żartuję. Nie będę traciła dla ciebie czasu, jeśli nie przestaniesz sobie wmawiać, że twoim przeznaczeniem jest nieśmiertelność.

- Zrobię to - obiecał. - Naprawdę. Poklepała go uspokajająco i okryła kocem.

- Dobra, na razie leż sobie spokojnie. Luca każe paru chłopakom zanieść cię do twojego pokoju. Ja tymczasem pójdę do kuchni pogadać z kucharką o tym, czy ma coś odpowiedniego dla ciebie. Codziennie będziesz dostawał mnóstwo niewielkich posiłków. Nie chciałabym nagle przeciążyć twojego układu pokarmowego, ale jest ważne, żebyś zaczął znowu porządnie się odżywiać.

- Dziękuję.

- Są leki, które mogą ci ułatwić zadanie, ale trzeba je dopiero przygotować. Zaczniemy dziś po południu.

Wyszła z warsztatu i wróciła na tylny dziedziniec posiadłości. Kuchnia Cricklade była długim, prostokątnym pomieszczeniem ulokowanym między magazynami w zachodnim skrzydle a główną salą. Posadzkę wyłożono czarno-białymi marmurowymi płytkami, a jedną ze ścian zajmowało dziesięć pieców AGA. Bił od nich żar, któremu nie mogły zaradzić nawet otwarte okna. Dwoje pomocników kucharki wyjmowało z pieców bochny i wyrzucało je z form na druciane półki ustawione pod oknem. Trójka następnych pomocników trudziła się nad szeregiem zlewów, krojąc jarzyny na wieczorny posiłek. Kucharka przyglądała się pracy rzeźnika, który na centralnym stole ćwiartował tuszę owcy. Pod sufitem wisiały garnki o miedzianych dnach oraz patelnie najprzeróżniejszych rozmiarów, tworzące segmenty polerowanej aureoli. Naprzeciwko pieca, między garnkami, Carmitha zawiesiła pęki swoich ziół, żeby szybciej wyschły.

Skinęła dłonią na kucharkę i podeszła do Veronique siedzącej przy ostatnim zlewie i skrobiącej marchewkę na drewnianej desce do krojenia.

- Jak leci? - Zapytała Carmitha.

Veronique uśmiechnęła się, kładąc z dumą dłoń na brzuchu. Była już bliska rozwiązania.

- Nie potrafię uwierzyć, że jeszcze nie chce wychodzić. Latam sikać co dziesięć minut. Jesteś pewna, że to nie bliźniaki?

- Możesz je już sama wyczuć. - Carmitha przesunęła dłoń nad dzieckiem, odbierając jedynie ciepłe zadowolenie. Veronique opętała ciało Olive Fenchurch, dziewiętnastoletniej pokojówki, która przed około dwustu dniami wyszła za robotnika z posiadłości. Po krótkim okresie zaręczyn nastąpiła równie krótka, biologicznie nieprawdopodobna ciąża. Miała wkrótce urodzić, blisko siedemdziesiąt dni przed terminem. Na Norfolku zdarzało się to często.

- Wolałabym nie - odparła nieśmiało Veronique. - To podobno przynosi pecha albo coś w

tym rodzaju.

- Uwierz mi, że wszystko z nim w porządku. Kiedy będzie chciało wyjść, na pewno nas o tym zawiadomi.

- Mam nadzieję, że to już nie potrwa długo. - Dziewczyna przesunęła się na drewnianym krześle. - Plecy okropnie mnie bołą, i nogi też.

Carmitha uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Wieczorem przyjdę wysmarować ci stopy miętą pieprzową. To powinno pomóc.

- Ooooo, dziękuję. Masz bardzo zręczne dłonie.

Mogłoby się niemal wydawać, że opętanie się nie przyjęło. Veronique miała bardzo cichą, spokojną naturę i ciągle starała się wszystkim przypodobać. Zupełnie jak Olive. Kiedyś wyznała Carmicie, że zginęła w wypadku. Nie chciała powiedzieć, ile miała wówczas lat, ale Cyganka podejrzewała, że najwyżej kilkanaście. Od czasu do czasu wspominała o chuliganach, którzy nękali ją w dziennym klubie.

Jej francuski akcent połączył się w całość z norfolkskim dialektem. Niezwykła kombinacja, ale brzmiała przyjemnie dla ucha. Wydłużone norfolskie samogłoski z każdym dniem stawały się coraz wyraźniejsze, w miarę jak w jej umyśle wygasało wrzenie typowe dla opętanych. To również budziło silne podejrzenia Carmithy.

- Słyszałaś, co się stało panu Butterworthowi? - Zapytała.

- Tak - potwierdziła Veronique. - Czy już się dobrze czuje? Carmicie wydało się ciekawe, iż dziewczyna nie myśli o nim

“Johan”. Poczła się podle na myśl, że ucieka się do takich tanich sztuczek.

- Jest tylko trochę osłabiony. Przede wszystkim dlatego, że nie odżywiał się jak trzeba. Postawię go na nogi. W tej sprawie właśnie przyszedłam. Chcę, żebyś mi przyrządziła kilka olejków.

- Z wielką przyjemnością.

- Dziękuję. Na początek z dzikich jabłek. Mamy ich pod dostatkiem, więc nie powinno być trudności. Potem z bergamotki. Pamiętaj, że trzeba go robić przede wszystkim ze skórek. Potrzebna też będzie anżelika. Pomoże pobudzić apetyt. A kiedy będzie wracał do zdrowia, możemy zastosować awokado, żeby zwiększyć napięcie skóry. Będzie miał lepsze samopoczucie.

- Zaraz się wezmę do roboty. Veronique zerknęła na drzwi i poczerwieniła. Stał tam Luca, spoglądając na nie.

- Niedługo po nie wrócę - oznajmiła dziewczynie.

- Myślisz, że te... To wszystko pomoże? - Zapytał Luca, gdy ominęła go, wchodząc do korytarzyka biegnącego wzdłuż zachodniego skrzydła.

- Uważaj - ostrzegła go. - O mało nie powiedziałeś: “te głupoty”.

- Ale się powstrzymałem, prawda?

- Tym razem.

- Trzech chłopaków zaniósł go na górę. Chyba nie jest z nim za dobrze, tak?

- Zależy, jak do tego podejść.

Wyszła na dziedziniec. Luca podążał za nią. Jej wóz stał blisko bramy. Zasłony były zaciągnięte, a drzwi zamknięte. Nadal pozostawał małą fortecą Carmithy w tym królestwie. Był jej światem w znacznie większym stopniu niż reszta planety.

- No dobra, przepraszam - zawołał Luca. - Powinnaś już wiedzieć, jaki jestem.

Oparła się o przednie koło i uśmiechnęła wyzywająco.

- Który z was, mój panie?

- Zgoda, jesteśmy kwita.

- Być może.

- Proszę, powiedz mi, po co te olejki?

- Głównie do masażu aromaterapeutycznego, ale dodam mu też trochę do kąpieli. Pewnie lawendowego.

- Do masażu?

W jego głosie znowu pojawiło się z wąp ienie.

- Posłuchaj, nawet gdybyśmy dysponowali medyczną technologią Konfederacji, to by nie wystarczyło. Nie w tym przypadku. Leczenie ludzi nie ogranicza się do przywracania im biochemicznej równowagi. Na tym zawsze polegał problem z nauką medycyną. Interesuje ją wyłącznie fizyczna strona. Johan musi walczyć z chorobą nie tylko ciała, lecz i ducha. To nie jest jego oryginalne ciało, i musi przezwyciężyć instykt nakazujący mu odzyskać postać, którą pamięta jako swoją. Intensywny fizyczny kontakt, jakim jest masaż, pomoże mu nawiązać relację z nowym ciałem. Zmuszę go, by uznał je za swoje, uwolnił się od niechęci wobec niego, przestał je podświadomie odrzucać. Do tego właśnie służą olejki. Dzikie jabłko jako olejek bazowy skutecznie go uspokoi, a połączenie obu powinno mu ułatwić akceptację prawdziwej postaci.

- Zdumiewające. Mówisz, jakbyś była ekspertem od przypadków odrzucenia opętanego ciała.

- Adaptowałam do tego celu kilka starych metod. Istnieją silne precedensy. To nie różni się zbytnio od klasycznej anoreksji.

- Och, daj spokój!

- Mówię prawdę. W wielu przypadkach młode dziewczęta nie potrafiły się pogodzić z rozwijającą się seksualnością. Próbowaly odzyskać utracone ciało przez intensywne odchudzanie, co prowadziło do fatalnych konsekwencji. Natomiast wy, na tej planecie, wszyscy święcie wierzycie, że zostaliście aniołami albo bożkami czy jakimś innym syfem w tym rodzaju. Wydaje się wam, że to prawdziwy rajski ogród, a wy jesteście nieśmiertelnymi młodzieniaszkami, igrającymi wokół fontanny. Jak polityk, który wierzy we własne kłamstwa, przekonaliście samych siebie, że wasze iluzje są równie silne, jak rzeczywistość. A to nieprawda.

Uśmiechnął się bez przekonania.

- Możemy tworzyć. Wiesz o tym. Sama to robiłaś.

- Kształtowałam materię, i tyle. Mój umysł mocno pochwycił niewidzialne ostrze magii; usuwałam nim to, co zbyteczne, aż wreszcie został tylko kształt, jakiego pragnęłam. Ale natura obrabianej materii pozostawała niezmienną. - Rozejrzała się po dziedzińcu. Jak zwykle około południa, wielu ludzi zrobiło sobie przerwę w pracy, odpoczywając w małych plamach cienia pod murami. Kilka par oczu przyglądało się im leniwie. - Chodź do wozu - zaproponowała.

Choć spędziła w lesie wiele czasu, a do tego zyskała nowe moce, nadal nie zdobyła się na to, by posprzątać w wozie. Luca spoglądał uprzejmie na ściany, gdy zdejmowała ubrania z krzesła. Potem wskazała je gościowi, a sama usiadła na łóżku.

- Nie chciałam nic mówić przy Susannah, ale chyba muszę komuś o tym wspomnieć.

- O czym? - Zapytał z ostrożnością w głosie.

- Nie sądzę, by chodziło tylko o niedożywienie. Pod jego skórą wyczułam twarde zgrubienia. Gdyby nie był tak straszliwie wychudzony, powiedziałabym, że rosną mu nowe mięśnie. Ale to nie przypominało w dotyku tkanki mięśniowej. - Przygryzła wargę. - Nie pozostaje zbyt wiele możliwości.

Luca potrzebował dłuższej chwili, by zrozumieć, co Carmitha próbuje mu powiedzieć - przede wszystkim dlatego, że rozpaczliwie próbował uniknąć owej konkluzji.

- Guzy? - Zapytał cicho.

- Podczas pierwszego masażu przebadam go dokładnie, ale nie mam pojęcia, co innego mogłoby to być. I, Luca, jest ich kurewsko dużo.

- Jezu Chryste. Potrafisz to wyleczyć, prawda? W Konfederacji nie ma już raka, jak za moich czasów.

- To prawda, w Konfederacji umieją leczyć raka. Ale nie ma uniwersalnej terapii, jakiejś dwudziestosiedmioletniej pigułki, którą mogłabym wyprodukować w chemicznym laboratorium. Potrzebowałabym funkcjonujących nanosystemów medycznych oraz ludzi, którzy potrafią się nimi posługiwać. Na Norfolku nigdy takich nie było. Chyba będziesz musiał ściągnąć wykwalifikowanych lekarzy. To wykracza poza zakres moich kompetencji.

- Cholera jasna. - Zasłonił twarz dłońmi, szeroko rozpościerając drżące palce. - Nie możemy wrócić. Po prostu nie możemy.

- Luca, ty również przekształcałeś swoje ciało. Nie w takim stopniu jak Johan, ale zawsze. Wygładziłeś sobie zmarszczki, zmniejszyłeś brzuch. Jeśli chcesz, mogę cię teraz zbadać. Nikt się nie dowie.

- Nie.

Po raz pierwszy zrobiło się jej go żal.

- Jak chcesz. Gdybyś zmienił zdanie...

Zaczęła otwierać drewniane szafeczki, przygotowując rzeczy, które chciała zabrać do pokoju Johana.

- Carmitha? - Odezwał się cicho Luca. - Czemu, do cholery sypiałaś z Grantem, dla pieniędzy?

- Kurwa, co to za pytanie?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Taka dziewczyna jak ty. Inteligentna, młoda i cholernie atrakcyjna. Mogłabyś wybierać spośród wielu młodych mężczyzn, nawet z rodzin właścicieli ziemskich. Wszyscy o tym wiedzieli. Dlaczego?

Wyciągnęła nagle rękę i ścisnęła mocno jego podbródek, by nie mógł się odwrócić od jej gniewnego spojrzenia.

- Długo czekałam na ten dzień, Grant.

- Nie jestem...

- Zamknij się. Jesteś nim, a przynajmniej słuchasz go. Tym razem nie możesz zamknąć swego umysłu. Zbyt rozpaczliwie pragniesz wieści ze świata zewnętrznego. Mam rację?

Zaciskała palce coraz mocniej i mężczyzna mógł jedynie stęknąć.

- On cię zmusił do myślenia, co? Ten Luca. Dzięki niemu przyjrzałaś się uważniej swemu wspaniałemu światu. Ma rację, pytając, dlaczego musiałam się skurwić, prawda? Powód jest prosty. Podziwiasz moją niezależność, mojego wolnego ducha. Ale ta niezależność kosztuje. Musiałabym przepracować cały sezon w różanych ogrodach, żeby zarobić na jedno nowe koło do mojego wozu. Jedno połamane koło, jeden ukryty w błocie kamień, to by wystarczyło, żebym straciła wolność. Obręcz jest wykonana z cierniowca. Gdyby zdarzył się wypadek, mogłabym sama zrobić nową. Ale łożyska i resory produkuje się w waszych fabrykach. A potrzebujemy resorów, ponieważ nigdzie tu nie ma porządnych dróg. Nie budujecie ich, bo wolicie, żeby wszyscy jeździli pociągami. Gdyby ludzie mieli samochody, gospodarka oddaliłaby się od waszego ideału. Nie wspominając już o tym, ile kosztuje zakup i utrzymanie konia, takiego jak Olivier. Odpowiedź jest prosta. Robię to dla pieniędzy, ponieważ nie mam wyboru. Urodziłam się twoją dziwką. Uczyniłaś wszystkich na planecie swoimi dziwkami. To my płacimy za swobody właścicieli ziemskich. Oddaję ci się, ponieważ dobrze płacisz, a premia, którą mi łaskawie zostawiasz, oznacza, że nie muszę tego robić

zbyt często. Jesteś dla mnie użyteczny, Grant, ty i inni właściciele ziemscy. Jesteś źródłem gotówki, niczym więcej.

Odepchnęła go mocno. Uderzył skronią o ścianę wozu. Skrzywił się i syknął z bólu, a kiedy dotknął głowy, jego ręka zrobiła się czerwona od krwi. Spojrzał na Carmithę z lękiem w oczach.

- Uzdrów się, a potem zjeżdżaj - warknęła.

*

Jak na miasto, nad którym obowiązywał zakaz komercyjnych lotów, w Nova Kongu zaskakująco wielu ludzi zajmowało się obserwowaniem nieba. Ich uwagę zawsze przyciągał pałac Apollo. Śledzili trasy jonowych aeroplanów, samolotów i wahadłowców zmierzających na lądowiska oraz dziedzińce budynku. Ich rozmiary, czas przybycia i marka były niezłym wskaźnikiem dyplomatycznej oraz administracyjnej aktywności rodziny Saldanów i pracujących dla niej ludzi. W sieci telekomunikacyjnej Kulu istniało nawet kilka wysoce nieoficjalnych biuletynów poświęconych temu tematowi. ISA z uwagą śledziła ich działalność, by się upewnić, że nie dochodzi do przypadków użycia aktywnych czujników.

Od początku kryzysu entuzjaści obserwacji nieba śledzili otaczającą pałac przestrzeń równie uważnie jak czujniki systemu obronnego miasta. Cywilne wehikuły, jakimi latali młodszy rangą ministrowie oraz niepoważni królewscy kuzyni, zniknęły bez śladu. Obecnie wśród zdobnych rotund i kamiennych kominów widywało się jedynie wojskowe wahadłowce. Niemniej symbole eskadr coś mówiły o ich pasażerach oraz ładunku. Obserwatorzy dostarczali wiele materiału plotkarskim biuletynom (choć ISA mąciła sprawę okazjonalną dezinformacją).

Tego poranka, gdy z szarych chmur na parki i bulwary padał deszcz ze śniegiem, obserwatorzy czujnie zarejestrowali przybycie czterech aeroplanów z 585 Eskadry Królewskich Komandosów, podobnie jak około dwudziestu innych wehikułów. Eskadra 585 oficjalnie zajmowała się logistyką, co było pojęciem wystarczająco szerokim, by pokryć wiele rozmaitych grzechów. W konsekwencji ich przybycie nie wzbudziło szczególnej uwagi.

Podobnie jak pojawienie się w ciągu minionych trzydziestu godzin okrętów z (między innymi) Oshanko, Nowego Waszyngtonu, Petersburga i Nankina. Obecnie wszystkie krążyły po niskiej orbicie równikowej. Przylecieli w nich książę Tokama, wiceprezydent Jim Sanderson, premier Korzhenev i zastępca przewodniczącego parlamentu Ku Rongi. Obecność wysokich rangą gości otoczono tak głęboką tajemnicą, że nie zawiadomiono nawet Ministerstwa Spraw Zagranicznych Kulu. Ambasady ich rodzinnych planet z pewnością o niczym nie wiedziały.

Gdy aeroplany gości wylądowały jeden po drugim na wewnętrznym dziedzińcu, przywitała ich pani premier, lady Phillipa Oshin. Uśmiechała się uprzejmie, lecz stanowczo, gdy żołnierz z formacji Królewskich Komandosów sprawdzał wszystkich po kolei w poszukiwaniu ładunków elektrostatycznych. Oni również przyjęli procedurę ze spokojem. Potem pani premier - przez niezwykle puste tereny pałacowe - zaprowadziła ich do prywatnego gabinetu króla. Gdy dotarli na miejsce, Alastair II wstał z głębokiego fotela ustawionego za biurkiem, by przywitać ich nieco serdeczniej. Drwa na kominku paliły się intensywnym płomieniem, powstrzymując chłód przesączający się zza oszklonych drzwi prowadzących na dziedzińiec. Bezlistne gałęzie rosnących na pięknie przystrzyżonej murawie kasztanowców skuwał lód lśniący niczym kryształowy kwarcu.

Lady Phillipa usiadła z boku biurka, przy księciu Salionie, gościom zaś przypadły obite zieloną skórą krzesła naprzeciwko Alastaira.

- Dziękuję, że zgodziliście się przybyć - oznajmił król.

- Wasz ambasador zapewniał, że to ważne - odparł Jim Sanderson. - Nasze kontakty są bliskie i cenne, więc warto było ruszyć tu tyłek. Muszę jednak stwierdzić, że powinienem być w

domu, żeby wyborcy mnie widzieli. W tym kryzysie najważniejsze jest publiczne zaufanie.

- Rozumiem - rzekł Alastair. - Mógłbym jednak zauważyć, że kryzys wykroczył już poza zwykłe ramy.

- Tak, słyszeliśmy, że Mortonridge ma kłopoty.

- Po Ketton tempo ofensywy zmalało - przyznał książę Salion. - Nadal jednak posuwamy się naprzód i uwalniamy mieszkańców od opętania.

- Życzę wam jak najlepiej, ale co to ma wspólnego z nami? Pomogliśmy wam, na ile to realistycznie możliwe.

- Uważamy, że nadszedł czas na stanowcze decyzje odnoszące się do metod walki z opętanymi.

Korzhenew chrząknął z rozbawieniem.

- Czyli wezwaleś nas tutaj, żeby omówić tę sprawę w tajemnicy, zamiast przedstawić ją Zgromadzeniu? Czuję się jak jakiś spiskowiec z dawnych czasów, knujący rewolucję.

- Jesteś nim - oznajmił król.

Z twarzy Korzheneva zniknął uśmiech.

- Konfederacja się rozpada - wyjaśnił zaskoczonym gościom książę Salion. - Gospodarka wysoko rozwiniętych światów, jak nasze, straszliwie ucierpiała z powodu kwarantanny. Planety drugiego stadium zasiedlenia zostały sparaliżowane. Al Capone jest bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Loty infiltracyjne i atak na Trafalgar okazały się znakomitymi posunięciami. Nasza ludność żyje w warunkach fizycznego i emocjonalnego obłędu. Łamiące kwarantannę loty szerzą opętanie powoli, ale niepowstrzymanie. A obecnie Ziemia, przemysłowy i militarny ośrodek całej Konfederacji, również została zarażona. Gdybyśmy stracili Ziemię, układ sił zmieniłby się radykalnie. Jeśli chcemy przetrwać, musimy to wziąć pod uwagę.

- Chwileczkę - sprzeciwił się Jim Sanderson. - Opętani zdobyli przyczółki tylko w paru arkologiach. Nie można tak łatwo spisywać Ziemi na straty. GISD to twarde skurczybyki. Z pewnością znajdą sposób, by uwolnić się od opętanych.

Alastair spojrział na księcia i skinął głową na znak pozwolenia.

- Według naszego źródła w GISD, opętani przeniknęli już do co najmniej pięciu arkologii.

- Jesteś dobrze poinformowany, wasza królewska mość - zauważył książę Tokama, unosząc brwi. - Nie powiadomiono mnie o tej sytuacji przed opuszczeniem Oshanko.

- Połowę okrętów wsparcia Królewskich Sił Powietrznych przenieśliśmy do służby kurierskiej - wyjaśnił książę. - Staramy się być na bieżąco, ale nawet ta informacja pochodzi sprzed paru dni. Według raportu sytuacja najgorzej wygląda w Nowym Jorku, jednak pozostałe cztery arkologie również padną przed upływem kilku tygodni. Rząd Centralny zareagował szybko, zamykając kolej próżniową, ale jesteśmy przekonani, że z czasem opętani przenikną również do pozostałych arkologii. Jeśli ktokolwiek jest w stanie przetrwać w warunkach ziemskiego klimatu bez technologicznej osłony, to właśnie oni.

- A to wcale nie jest najpoważniejszy problem - dodał Alastair. - Liczba mieszkańców Lalonde wynosiła około dwudziestu milionów. Możemy przyjąć założenie, że co najmniej osiemdziesiąt pięć procent stanowili opętani. Ich energistyczna moc okazała się wystarczająco wielka, by zabrać całą planetę z naszego wszechświata. Nowy Jork ma oficjalnie trzysta milionów mieszkańców.

Ich moc z nawiązką wystarczy do przeniesienia Ziemi. Nie będą nawet musieli czekać na upadek pozostałych arkologii.

- Celne spostrzeżenie, aczkolwiek Halo z pewnością pozostanie na miejscu - zauważył Ku

Rongi. - A to ono jest głównym partnerem handlowym Konfederacji. Handel z układem Sol zmniejszy się, wszak nie ustanie.

- Mamy taką nadzieję - zgodził się książę. - Nasze źródło w GISD mówi, że jeszcze nie wiemy, w jaki sposób opętany udało się przedostać przez system obronny Ziemi. Istnieje więc możliwość, że zdołają przeniknąć również na asteroidy Halo. Drugi problem, przed jakim stanie Halo, polega na tym, że gdy opętani przeniosą Ziemię do innego królestwa, jej pole grawitacyjne zniknie razem z nią. Asteroidy Halo rozproszą się wówczas po całym układzie.

- Jestem pewien, że wasi analitycy sporządzili szczegółowy raport dotyczący przewidywanych skutków takiego wydarzenia - stwierdził książę Tokama. - Jaki kurs powinniśmy, waszym zdaniem, obrać, zakładając, że stracimy Ziemię i przynajmniej część zasobów Halo?

- Olton Haaker i Rada Polityczna wydali Siłom Powietrznym Konfederacji rozkaz zmasowanego ataku na flotę Ala Capone - zaczął książę. - To powinno położyć kres władzy Organizacji i pozwolić opętany z Nowej Kalifornii zrobić, co leży w ich naturze. Zabiorą planetę z naszego wszechświata, eliminując w ten sposób groźbę dalszych lotów infiltracyjnych oraz terroryzmu przy użyciu antimaterii. Proponujemy wyciągnąć logiczne wnioski.

- Uprzemysłowione układy planetarne powinny utworzyć małą Konfederację - zaczęła lady Phillipa. - W obecnej chwili nasze siły są niebezpiecznie rozciągnięte. Próbuje utrzymać kwarantannę i jednocześnie wspomagać akcje w rodzaju Mortonridge. Koszty są po prostu zbyt wysokie, zwłaszcza w sytuacji ekonomicznego kryzysu. Jeśli ograniczymy naszą strefę wpływów, wydatki znacznie spadną. Co więcej, w mniejszej przestrzeni nasze siły będą mogły nieporównanie skuteczniej zapewnić bezpieczeństwo, a to z kolei pozwoli wznowić handel między nami.

- Sugeruje pani, byśmy zamknęli naszą przestrzeń przed innymi?

- W zasadzie tak. Rozszerzymy zakres ważności rządowej autoryzacji, której obecnie wymagamy od handlowych gwiazdolotów. Każdy statek zarejestrowany w jednym z bezpiecznych układów będzie mógł - poddany rozsądnej kontroli - wznowić loty między nimi. Statkom z pozostałych układów odmówimy wstępu. Innymi słowy, wytyczymy naszą granicę i będziemy jej pilnie strzegli.

- A co z innymi planetami? - Zapytał Korzhenev. - Tymi, które zostawimy samym sobie? Jaki los dla nich przewidujecie?

- Właśnie one stanowią podstawowe źródło zagrożenia - odparł książę. - Nie poddają swych asteroidalnych osiedli wystarczającemu nadzorowi, co zachęca do prób łamania kwarantanny, a te z kolei prowadzą do szerzenia się opętania.

- Mamy je po prostu porzucić?

- Jeśli wycofamy bezwarunkowe wsparcie wojskowe, jakim im obecnie służymy, będą zmuszone wziąć odpowiedzialność za swój los, czego do tej pory unikały. Dopóki obowiązuje kwarantanna, ich obecnie nieopłacalne przemysłowe osiedla asteroidalne i tak są bezpieczne. W praktyce dotowaliśmy ich działalność. Gdy to się skończy, fabryki zostaną czasowo zamknięte, a mieszkańcy wrócą na terrakompatybilne planety rodzinnych układów. Znacznie zredukuje to liczbę szlaków, którymi mogą się przedostawać opętani. Być może uda się nam nawet całkowicie wypchnąć ich z tego wszechświata. Gdy się zorientują, że nie mają szans opanować kolejnych planet, wycofają się do swojego nowego królestwa.

- I co później? - Zapytał Jim Sanderson. - Dobra, zdołamy powetować sobie straty finansowe. To mi się podoba, ale na dłuższą metę niczego w ten sposób nie rozwiążemy. Nawet jeśli opętani mieliby opuścić wszechświat i zostawić nas w spokoju, nie możemy zapominać o ciałach, które ukradli. Zniewoleni przez nich ludzie czekają na naszą pomoc. Są ich setki milionów, teraz zapewne

już nawet miliardy. Stanowią znaczny procent całego gatunku. Nie możemy sprawy ignorować. Trzeba również zająć się problemem dusz oraz tego, co dzieje się z nami po śmierci. Miałem nadzieję, że dlatego właśnie urządzono to spotkanie. Że usłyszymy coś nowego.

- Gdyby istniało łatwe rozwiązanie problemu, z pewnością już byśmy je znaleźli - skonstruował król. - Wysiłki włożone w jego poszukiwania nie mają sobie równych w naszej historii. Pracuje nad nim każdy uniwersytet, firma i wojskowe laboratorium, każdy twórczy umysł w ośmiuset zamieszkałych układach planetarnych. Najlepsze, co do tej pory udało się osiągnąć, to możliwość stworzenia antypamięci, która zniszczyłaby dusze w zaświatach. Trudno jednak uznać tego rodzaju masową rzeź za możliwe do zaakceptowania rozwiązanie, nawet gdyby okazało się wykonalne. Musimy spojrzeć na sprawę w całkowicie inny sposób, w tym celu potrzebna jest stabilizacja i w miarę dobrze funkcjonująca gospodarka, która zapewni nam parasol ochronny. Społeczeństwo będzie się musiało zmienić pod wieloma względami, a większość tych zmian zapewne spowoduje zaburzenia. Nie wiemy nawet, czy nasza wiara w Boga wzmocni się czy zniknie.

- Dostrzegam logikę w tych słowach - przyznał Korzhenev. - Ale co ze Zgromadzeniem i samymi Siłami Powietrznymi? Ich zadaniem jest ochrona wszystkich planet w takim samym stopniu.

- No cóż - odparła lady Phillipa. - Kto płaci, ten wymaga... A ci, którzy zebrali się tutaj, płacą bardzo wiele. Nikogo nie porzucamy, po prostu zmieniamy politykę, reagujemy na kryzys w bardziej realistyczny sposób. Gdyby rozwiązanie można było znaleźć szybko, wystarczałaby kwarantanna. Nie ulega jednak wątpliwości, że tak nie jest. Dlatego musimy podjąć nieprzyjemne decyzje i przygotować się na długą walkę. Tylko w ten sposób będziemy mogli dać tym, którzy już są opętani, szansę odzyskania tożsamości.

- Ile układów planetarnych powinno, waszym zdaniem, należeć do tej małej Konfederacji? - Zapytał księżę Tokama.

- Według naszej oceny dziewięćdziesiąt trzy układy dysponują wymaganą infrastrukturą wojskowo-przemysłową. W założeniu nie ma to być wąska elita. Analizy finansowe wykazują, że wiele układów będzie w stanie samodzielnie osiągnąć niewielki, ale stały wzrost gospodarki.

- Czy planujecie zaprosić również edenistów? - Zapytał Ku Rongi.

- Oczywiście - przytaknął król. - W gruncie rzeczy, to oni stali się dla nas inspiracją. Po Perniku z godną podziwu determinacją bronili swych habitatów przed infiltracją. Tę właśnie determinację pragniemy naśladować. Gdyby planety drugiej fazy i asteroidy rozwijające się postępowyły podobnie od początku, nie znaleźlibyśmy się w tak straszliwej sytuacji.

Jim Sanderson zerknął na trzech pozostałych gości, po czym spojrział z powrotem na króla.

- W porządku. Przekażę waszą propozycję prezydentowi i powiem mu, że ją popieram. Nie tego pragnąłbym, ale to przynajmniej jakieś praktyczne rozwiązanie.

- Mój czcigodny ojciec zostanie poinformowany - zapewnił księżę Tokama. - Będzie musiał przedstawić propozycję Dworowi Cesarskiemu, ale jeśli wystarczająco wiele planet się przyłączy, nie przewiduję problemów.

Korzhenev i Ku Rongi również wyrazili zgodę, obiecując, że przedstawią propozycję swym rządów. Król uścisnął dłonie gościom i w kilku słowach podziękował każdemu z nich oddzielnie. Potem wyprowadzono ich z pokoju. Nie popędzał ich, ale czas odgrywał kluczową rolę. Za godzinę mieli się zjawić czterej kolejni wysocy rangą przedstawiciele. Eskadrę 585 czekały trzy pracowite dni.

*

Sto osiemdziesiąt siedem terminali tuneli czasoprzestrzennych otworzyło się z godną podziwu synchronizacją ćwierć miliona kilometrów od Arnstadta, dokładnie między planetą a jej słońcem.

Jastrzębie wyłoniły się z nich i natychmiast ustawiły w sferyczną formację obronną o średnicy pięciu tysięcy kilometrów. Ich pola dystorsyjne i elektroniczne czujniki badały pobliską przestrzeń w poszukiwaniu oznak technologicznej aktywności. Rzecz jasna, wykryły platformy strategiczno-obronne planety. Po udanej inwazji Organizacji ich sieć znacznie osłabła, ale miejscowe satelity i tak zarejestrowały tę obecność i ocalałe wysokoorbitalne platformy już ją namierzały. Sieć strategiczno-obronną wzmacniały okręty floty Organizacji. W tej chwili wokół planety krążyło ich sto osiemnaście, razem z dwudziestoma trzema piekielnymi jastrzębiami oraz symboliczną liczbą sześciu nowych niskoorbitalnych platform, sprowadzonych z Nowej Kalifornii. Te ostatnie służyły głównie wzmocnieniu władzy Organizacji na powierzchni planety. Ich obecność, zwłaszcza w połączeniu z uzbrojonymi w antymaterię osami bojowymi, w jakie wyposażono niektóre z nich, w praktyce wyrównywała straty spowodowane zdekompletowaniem sieci strategiczno-obronnej planety.

Al Capone i Emmet Mordden byli przekonani, że Organizacja może sobie poradzić z każdą grupą bojową, jaką mogłaby wysłać Konfederacja w celu odzyskania panowania nad przestrzenią wokół Arnstadta. Tak czy inaczej, wyłącznie dominacja Organizacji nad tą przestrzenią zapewniała, że przebywający na powierzchni opętani nie zabiorą planety z wszechświata, co z pewnością pokrzyżowałoby plany naczelnego admirała.

Co prawda, ostatnio liczba nagłych ataków znacznie się zwiększyła. Jastrzębie wyłaniały się z tuneli, by wystrzelić osy bojowe i niewidzialne dla radaru pociski. Jednak tylko nielicznym udawało się trafić w cel. Skuteczność przechwytywania wynosiła z górą dziewięćdziesiąt pięć procent. Ludzie kierujący czujnikami satelitarnymi żyli w stanie nieustannego alarmu i osiągnęli wielką biegłość. Wspomagały ich też pola dystorsyjne piekielnych jastrzębi, byli więc przekonani, że nic nie zdoła się zbliżyć do osiedli asteroidalnych i stacji przemysłowych, krążących wokół planety, na odległość wystarczającą, by spowodować poważne uszkodzenia.

Przez pierwsze dwie minuty nie działo się nic. Obie strony starały się przewidzieć zamiary przeciwnika. Dowódca sił Organizacji nie wiedział, co o tym sądzić. Podobna formacja jastrzębi na ogół miała osłaniać większą flotę adamistycznych okrętów, pozwalając im się bezpiecznie wynurzyć. Sto osiemdziesiąt siedem jastrzębi to było jednak bardzo dużo jak na oddział osłaniający. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że to cała grupa bojowa. Odległość również była zaskakująca. W tej chwili jastrzębie znajdowały się poza skutecznym zasięgiem os bojowych. Ale osy wyposażone w antymaterię zapewnią Organizacji przewagę, pozwolą zaatakować zmierzającego w stronę planety nieprzyjaciela.

Jastrzębie pozostawały poza zasięgiem okrętów Organizacji, chyba żeby piekielne jastrzębie postanowiły podjąć ryzyko konfrontacji. Żaden z nich jednak tego nie uczynił. Po chwili wewnątrz obronnej formacji wynurzył się pierwszy adamistyczny okręt.

Admirał Kolhammer wybrał na swój okręt flagowy pancernik „Illustrious”. Jego rozmiary pozwalały pomieścić cały sztab, a także wyposażyc go, w całkowicie wyposażone pomieszczenie dowodzenia i kierowania, niezależne od mostka. Żaden okręt Sił Powietrznych Konfederacji nie był lepiej przystosowany do kierowania atakiem na tak wielką skalę. Choć „Illustrious” miał więcej anten niż jakakolwiek inna jednostka, sztabowcom niełatwo było utrzymać łączność z ponad tysiącem okrętów uczestniczących w akcji.

Grupa bojowa była tak niewiarygodnie potężna, że potrzebowała ponad trzydziestu pięciu minut, by zakończyć manewr wynurzenia. Oficerowie i załogi okrętów Organizacji odnosili wrażenie, że strumień nieprzyjacielskich jednostek nigdy się nie skończy.

Sztabowcy Kolhammera natychmiast po nawiązaniu łączności z okrętami datawizyjnie przekazywali im nowe wektory. Włączyły się napędy termojądrowe i grupa bojowa ustawiła się w

olbrzymią formację dysku. Tak wiele plazmowych śladów skupionych w jednym miejscu utworzyło fioletowobiałą mgiełkę, jaśniejszą niż słońce. Dla mieszkańców planety napastnicy wyglądali jak plamka wielkości małego pieniążka, która pojawiła się nagle pośrodku świecącej nieco słabszym blaskiem fotosfery; niepokojąca zapowiedź tego, co miało się wydarzyć.

Jądro nowej formacji tworzyło osiemset adamistycznych okrętów. Na obwodzie skupiło się pięćset jastrzębi. Gdy tylko wszystkie jednostki zajęły pozycje, włączyły się główne napędy i grupa bojowa pomknęła ku planecie z przyspieszeniem 8 g. Jastrzębie rozszerzyły pola dystorsyjne, a potem ruszyły naprzód z tym samym przyspieszeniem, co ich technologiczni towarzysze.

W umyśle Moteli Kolhammera powoli wirowała gigantyczna neuroikonowa wizualizacja. Każdy gwiazdolot był punkcikiem złotego światła, ciągnącym za sobą fioletowy wektor. Wszystkie kierowały się ku planecie, którą reprezentowała jednolita, czarna jak heban kula. Siłę jej warstw obronnych symbolizowały barwne, półprzezroczyste sfery otaczające czarną plamę. Okręty były jeszcze dość daleko od zewnętrznej, żółtej sfery. Jak dotąd żadna ze stron nie oddała ani jednego strzału.

Symulacja przywodziła admirałowi na myśl młot opadający na jajko. Cechowała się niezwykle delikatnym artyzmem, jeśli się wzięło pod uwagę, co naprawdę wyobrażała. Nawet jego przerażał poziom przemocy, jaka zostanie uwolniona, gdy obie siły zderzą się ze sobą w świecie rzeczywistym. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek ujrzy coś w tym rodzaju. Siły Powietrzne Konfederacji powołano po to, by zapobiegały podobnym okropnościom, a nie uczestniczyły w nich. Nie potrafił stłumić poczucia winy, biorącego się ze świadomości, że do bitwy doszło dlatego, że politycy uznali, iż Siły Powietrzne nie wykonały swego podstawowego obowiązku.

O dziwo, właśnie owi politycy pozwolili mu udźwignąć brzemień. Ci sami ludzie, którzy podjęli decyzję o ataku, zrobili wszystko, by straty były minimalne po stronie Sił Powietrznych. Domagając się totalnego zwycięstwa, Rada Polityczna dała Kolhammerowi to, o czym marzą wszyscy dowódcy przed bitwą: przygniatającą przewagę siły ognia.

Grupa bojowa Kolhammera przez całe pół godziny mknęła w stronę Arnstadta ze stałym przyspieszeniem 8 g. Gdy admirał wydał rozkaz wyłączenia silników, dzieliło ją od planety 110 000 kilometrów. Znajdowali się na samej granicy zasięgu zewnętrznej sieci strategiczno-obronnej i poruszali się z prędkością przekraczającą 150 kilometrów na sekundę. Nagle fregaty, pancerniki i jastrzębie wystrzeliły salwę - po dwadzieścia pięć os bojowych na okręt. Każda z os była zaprogramowana do automatycznego wyszukiwania celów. Idealny scenariusz dla atakujących: każdy okruch materii wokół Arnstadta, od małych jak kamyki meteorów aż po długie na kilometr stacje przemysłowe, od niewielkich satelitów po asteroidy, sklasyfikowano jako nieprzyjaciela. Okręty Sił Powietrznych nie musiały kierować atakiem za pośrednictwem kodowanych kanałów łączności. Organizacja nie odpowie salwami wyposażonych w antimaterię os bojowych, nie będą musieli wykonywać manewrów unikowych z przyspieszeniem 12 g. Nie było ryzyka.

Adamistyczne okręty rozpoczęły skoki translacyjne. Otworzyły się tunele czasoprzestrzenne i część jastrzębi pomknęła ku wyznaczonym punktom współrzędnych spotkań. Tylko "Illustrious", dziesięć fregat eskorty oraz trzysta jastrzębi zostało na miejscu, by obserwować rezultaty ataku. Wszystkie statki zwalniały z przyspieszeniem ujemnym równym 10 g. Armada 32 000 os bojowych mknęła naprzód, a jej przyspieszenie wynosiło pełnych 25 g.

To starcie mogło się zakończyć tylko jednym wynikiem. Choć Organizacja miała z górami 500 os bojowych, uzbrojonych w antimaterię, nie mogła powstrzymać ataku. Osy bojowe Konfederacji nie tylko były znacznie liczniejsze od przeciwnika, lecz ich wciąż rosnąca prędkość zapewniała przygniatającą przewagę kinetyczną. Można je było zatrzymać jedynie bezpośrednim trafieniem za

pierwszym razem. Obronne pod pociski nie miały drugiej szansy.

Piekielne jastrzębie zniknęły w tunelach, nawet nie prosząc o pozwolenie dowództwa strategiczno-obronnego Arnstadta. Fregaty Organizacji schowały wysięgniki i anteny komunikacyjne w niszach kadłuba, a potem wykonały skoki translacyjne. Te, które przydzielono do niskoorbitalnej obrony, ruszyły naprzód z wielkim przyspieszeniem, próbując osiągnąć wysokość, na której będą mogły skutecznie używać węzłów modelujących.

Pola dystorsyjne jastrzębi poddały analizie nacisk, jaki wywarły na czasoprzestrzeń próbujące ucieczki fregaty Organizacji. Wszystkie kombinacje kompresji energii oraz trajektorii sugerowały to samo. W grę wchodziły tylko jedne współrzędne wyjścia. Za każdym zbiegiem ruszyły w pościg trzy jastrzębie. Rozkazano im przechwycić i zniszczyć nieprzyjaciela. Adamistyczne okręty po wynurzeniu potrzebowały kilku sekund na wysunięcie czujników, co zapewniało jastrzębiom krótkie okno, podczas którego cel będzie całkowicie bezbronny. Kolhammer był zdeterminowany nie dopuścić, by choć jeden nieprzyjacielski okręt wrócił na Nową Kalifornię, gdzie wzmocniłby siły Ala Capone i zwiększyłby jego zapasy antimaterii.

Osy bojowe z atakującego roju zaczęły wysyłać pod pociski, tworząc gęsty filigran białego ognia, rozciągający się na przestrzeni kilkudziesięciu tysięcy kilometrów. Eksplozjom zewnętrznych satelitów sieci strategiczno-obronnej towarzyszyły krótkie, maleńkie rozbłyski żarzącego się fioletowym ogniem gazu. Z czasem ich liczba się zwiększała, w miarę jak osy niszczyły coraz więcej otaczającego Arnstadta sprzętu bojowego. Rój ogarnął pierwsze z czterech osiedli asteroidalnych, krążące wokół planety powyżej orbity geostacjonarnej, szybko przełamując jego obronę bliskiego zasięgu. W skałę uderzyły pociski kinetyczne oraz pod pociski z głowicami jądrowymi. Powstały setki radioaktywnych kraterów. Z każdego z nich w przestrzeń trysnęły potężne kaskady jonów i magmy. Wszystkie zakrzywiały się gwałtownie pod wpływem ruchu obrotowego asteroidy, otaczając ją gęstą, psychodeliczną chromosferą. Potem przyszła kolej na platformy strategiczno-obronne drugiego poziomu oraz wahadłowce międzyorbitalne, po nich zaś na drugą asteroidę. Przez chwilę mogło się zdawać, że straszliwa gwałtowność ataku wywołała reakcję rozpadu jądrowego w atomach składających się na skałę planetki. Jaskrawa mozaika eksplozji przerodziła się w jednolity blask, dorównujący jasnością słońcu. Potem luna straciła jednorodność. Asteroida rozpadła się na fragmenty, rozsiewając na wszystkie strony kaskadę wybuchów, gdy każdy nowy cel atakowały kolejne pod pociski.

Motela Kolhammer, głęboko wciśnięty w fotel amortyzacyjny, obserwował wyniki ataku za pośrednictwem datawizyjnych przekazów czujników optycznych połączonych z taktyczną symulacją graficzną. Oba obrazy z każdą chwilą upodabniały się do siebie. Rzeczywistość w coraz większym stopniu przypominała elektroniczną symulację. Planetę otaczały wyraźnie od siebie oddzielone sfery światła. Stygnące chmury plazmy rozszerzały się powoli. Rzecz jasna, najwięcej wehikułów, stacji oraz sprzętu Strategiczno-obronnego ulokowano na niskiej orbicie. Gdy pod pociski dotarły do dolnej warstwy, eksplozje otoczyły całą planetę nieprzerwanym płaszczem światła, ukrywając ją przed spojrzeniem z zewnątrz.

Szczałki opadały na planetę, wywołując zdumiewająco atrakcyjne dla oka pirotechniczne sztormy. Górne warstwy atmosfery przeszywały strumienie jonowych płomieni, deszcz niszczycielskich spadających gwiazd zasypywał stratosferę, ogrzewając ją do temperatury pieca. Chmury rozgorzały szkarłatną luną, która wzniosła się ku górze, wychodząc im na spotkanie.

„Illustrious” mknął 80 000 kilometrów nad biegunem południowym, gdy opętani na planecie wypowiedzieli swe zaklęcie. Pierwszym ostrzeżeniem było nagłe wahnięcie pola grawitacyjnego planety. Trajektorja pancernika przesunęła się o kilka metrów. Spowijający Arnstadta całun światła

nie pociemniał, zmienił tylko kolor, przechodząc przez całe widmo aż do olśniewającego fioletu. W ciągu kilku ostatnich minut, gdy źródło światła zapadało się do punktu, czujniki optyczne musiały włączać kolejne osłony.

Motela Kolhammer skierował jeden z nich na pustą przestrzeń, która pojawiła się na dole. Radar i czujniki zaburzeń grawitonicznych również przeszukiwały ją dokładnie. Odpowiedź w każdym paśmie była negatywna.

- Każcie eskorcie przeskoczyć do współrzędnych wyznaczonego punktu spotkania grupy bojowej - rozkazał sztabowcom. - A potem obliczcie kurs na Nową Kalifornię.

*

Sarha wpadła do kabiny kapitana przez otwarty właz, ignorując ciemną, kompozytową drabinkę. Przeciężenie równe 0,5 g pociągnęło ją delikatnie w dół. Wylądowała na pokładzie, uginając z wdziękiem kolana.

- Balet poniósł niepowetowaną stratę, gdy zdecydowałaś się studiować astroinżynierię - stwierdził Joshua. Stał pośrodku pomieszczenia, odziany w szorty, wycierając ręcznikiem żel o cytrynowym zapachu.

Uśmiechnęła się doń po łobuzersku.

- Potrafię wykorzystać niskie przyciąganie.

- Mam nadzieję, że Ashly to docenia.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Hmm. To jak leci?

- Składam oficjalny raport z wachty, kapitanie. Sytuacja wygląda tak samo jak wczoraj.

Zasalutowała mu nieprzekonująco.

- A wczoraj wyglądała tak samo jak przedwczoraj.

- Święta prawda. Aha, udało mi się wytropić wyciek czynnika roboczego. Ktoś zaniedbał sprawę, gdy instalowano zbiorniki w ładowniach. Złącze było nieszczelne. Beaulieu mówi, że zajmie się tym jeszcze dzisiaj. Na razie izolowałam przewód. Jest ich wystarczająco wiele. Nie odczujemy braku jednego.

- Brzmi fascynująco.

Zmiał ręcznik w kulę i rzucił go w stronę pojemnika. Rzut okazał się celny. Sarha przyglądała się, jak ręcznik znika w otworze.

- Chciałabym zwiększyć ilość płynu - oznajmiła. - Możemy go potrzebować.

- Dobra. A jak Liolowi udały się skoki?

Wiedział to, rzecz jasna. Zawsze natychmiast po obudzeniu sprawdzał dziennik pokładowy "Lady Makbet". Liol wykonał podczas swej wachty pięć skoków i według komputera pokładowego wszystkie były w zasadzie bezbłędne. Joshui nie o to jednak chodziło.

- Dobrze.

- Hmm.

- OK, w czym rzecz? Myślałam, że ostatnio żyjecie w zgodzie. Nie możesz twierdzić, że sobie nie radzi.

- I nie twierdzę. - Wyciągnął z szafki czystą, sportową bluzę. - Chodzi o to, że ostatnio proszę kupę ludzi o radę i opinię. Kapitan nie powinien tego robić. Oczekuje się ode mnie samodzielnego podejmowania decyzji.

- Jeśli zapytasz mnie o to, jak sterować "Lady Makbet", zacznę się niepokoić. Jeśli chodzi o inne sprawy... - Machnęła ospale ręką, wywołując lekki powiew. - Od dawna już latamy razem w tej bezgrawitacyjnej klatce. Wiem, że nie nawiązujesz kontaktu z ludźmi tak łatwo jak inni. Jeśli

pragniesz mojej pomocy w tej sprawie, proszę bardzo.

- Jak to nie nawiązuję kontaktu?

- Joshua, kiedy miałeś osiemnaście lat, byłeś poszukiwaczem w Pierścieniu Ruin. To nienaturalne. Powinieneś chodzić na prywatki.

- Robiłem to.

- Nieprawda. Pieprzyłeś się z mnóstwem dziewczyn w przerwach między lotami.

- To właśnie robią osiemnastoletnie chłopaki.

- Nie, osiemnastoletnie chłopaki tylko o tym marzą. Przy najmniej adamiści. W rzeczywistości przechodzą wtedy raptownie w dorosłość i rozpaczliwie próbują się połapać, dlaczego to takie trudne i bolesne. Jak sobie radzić z przyjaciółmi, związkami, zrywaniem i tak dalej.

- Mówisz, jakbyśmy musieli zdawać jakiś egzamin.

- Bo tak właśnie jest. Tyle że on trwa większą część życia. Ty nawet jeszcze nie zacząłeś wprowadzać poprawek.

- Jezu. Wszystko to brzmi bardzo głęboko, zwłaszcza tak wcześnie rano. Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- Nic. To ty masz kłopoty. Wiem cholernie dobrze, że one nie mają nic wspólnego z naszą misją. Próbuję z ciebie wyciągnąć, co cię gryzie, i przekonać cię, że będzie w porządku, jeśli mi o tym powiesz. Ludzie tak właśnie robią, kiedy się dobrze znają. To normalne.

- Balet i psychologia, hę?

- Zaangażowałeś mnie, bo potrafię sobie radzić z wieloma zadaniami.

- W porządku - zgodził się Joshua. Miała rację, trudno mu było o tym mówić. - Chodzi o Louise.

- Aha! O tę laleczkę z Norfolku. Tę młodziutką.

- Wcale nie jest... - Zaczął odruchowo, ale powstrzymał go widok pozbawionej wyrazu twarzy Sarhy. - Dobra, faktycznie była trochę za młoda. Chyba można powiedzieć, że ją wykorzystałem.

- O kurczę. Nie spodziewałam się, że dożyję dnia, gdy usłyszę z twoich ust takie wyznanie. Dlaczego gryziesz się tym akurat teraz? Używasz swojego kapitańskiego statusu jak neuroparalizatora.

- Nieprawda!

- Daj spokój. Kiedy ostatnio wyszedłeś na powierzchnię planety czy nawet do portu bez kapitańskiej gwiazdki na ramieniu? Uśmiechnęła się do niego z sympatią. - Naprawdę coś do niej czujesz, prawda?

- Nie więcej niż do innych. Rzecz w tym, że tamte nie zostały opętane. Jezu, widziałem, jak to wygląda. Nie mogę się pogodzić z myślą, że spotkało ją coś tak kurewsko paskudnego. Była taka słodka. Nie pasowała do świata, w którym ludziom zdarzają się podobne rzeczy.

- A czy ktokolwiek pasuje?

- Wiesz, o co mi chodzi. Ty stosowałaś programy stymulujące, których zdrowo myślący ludzie powinni unikać, czy oglądałaś z życia wzięte przekazy sensoryczne. Wiemy, że żyjemy we wrednym wszechświecie i to nam trochę pomaga. W takim zakresie, w jakim to możliwe. Ale Louise... Cholera, jej mała siostra też... Odlecieliśmy i zostawiliśmy je. Zawsze tak robimy.

- No wiesz, oni oszczędzają dzieci. Ta Stephanie Ash na Ombey wyprowadziła całą kupę bachorów. Oglądałam przekaz.

- Louise nie jest dzieckiem. Jej nie oszczędzili.

- Nie możesz być tego pewien. Jeśli była sprytna, mogła im się wymknąć.

- Wątpię. Nie miała takich talentów.

- Musiała mieć jakieś zdumiewające zalety, jeśli wywarła na tobie aż takie wrażenie.

Cofnął się myślą do ich podróży do Cricklade, do uwag Louise na temat Norfolku i jego natury. Zgadzał się niemal ze wszystkim, co miała do powiedzenia.

- Ale nie była cwana. Żeby wymknąć się opętanym, trzeba mieć w sobie coś z wrednego egoisty.

- Nie wierzysz, że jej się udało, prawda?

- Nie wierzę.

- Uważasz, że jesteś za nią odpowiedzialny?

- Niekoniecznie odpowiedzialny, ale widziała we mnie kogoś, kto pomoże jej wydostać się z Cricklade.

- Ojej, ciekawe, kto jej podsunął ten pomysł?

Joshua udał, że nie słyszy.

- Zawiodłem ją, tylko dlatego, że byłem sobą. To nie jest przyjemne uczucie, Sarha. Była bardzo śliczna, mimo że pochodziła z Norfolku. Gdyby urodziła się gdzie indziej, pewnie...

Umilkł, nie chcąc spojrzeć w zdumione oczy Sarhy.

- Powiedz to - zażądała.

- Co mam powiedzieć?

- "Pewnie bym się z nią ożenił...".

- Nie ożeniłbym się z nią. Chciałem tylko powiedzieć, że gdyby miała normalne dzieciństwo zamiast tej śmiesznej średniowiecznej szopki moglibyśmy zyskać szansę na coś, co potrwałoby dłużej niż zwykle.

- Ulżyło mi - wycedziła Sarha.

- Co znowu zrobiłem?

- Byłeś sobą, Joshua. A już przez chwilę myślałam, że naprawdę się zmieniasz. Słyszałeś własne słowa? Nie miała wykształcenia potrzebnego, by zostać członkiem załogi "Lady Makbet", więc wasz związek nie miał szans. Nawet ci na myśl nie przyszło, że to ty mógłbyś porzucić dotychczasowy tryb życia i zamieszkać z nią.

- Nie mogę tego zrobić!

- Dlatego, że "Lady Makbet" jest dla ciebie znacznie ważniejsza niż Cricklade, które jest jej życiem. Mam rację? Czy więc rzeczywiście ją kochasz, Joshua? Czy po prostu czujesz się winny dlatego, że jedną z dziewczyn, które przeleciałeś i rzuciłeś, dorwali opętani?

- Jezu! Co ty próbujesz ze mną zrobić?

- Chcę cię zrozumieć, Joshua. I pomóc ci, jeśli zdołam. To dla ciebie ważne. Musisz sobie uświadomić dlaczego.

- Nie mam pojęcia dlaczego. Wiem tylko, że martwię się o nią. Może czuję się winny, a może po prostu gniewam się na wszechświat za to, jak nasrał na nas wszystkich.

- To mnie nie dziwi. Wszyscy się tak teraz czujemy. Ale przy najmniej coś robimy w tej sprawie. Nie możesz polecić "Lady Makbet" na Norfolk, żeby ją uratować. Już nie. Ale to, co robimy teraz, daje jej szansę.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Aha. Pewnie znowu chodzi o to, że jestem samolubny. Chcę coś zrobić osobiście.

- W tej chwili Konfederacja bardzo potrzebuje takiego samolubstwa.

- Jednak to nie naprawi zła, które spotkało Louise. Ona cierpi niewinnie. Jeśli ten Śpiący Bóg rzeczywiście jest taki potężny, jak twierdzą Tyrataowie, będzie się musiał wytłumaczyć przed nami.

- Zawsze tak mówiliśmy o naszych bóstwach. Od chwili gdy wymyśliliśmy pierwsze. Błędnie sądzimy, że jego moralność i etyka muszą być takie same jak nasze. Oczywiście, że tak nie jest. W przeciwnym wypadku nic z tego wszystkiego by się nie wydarzyło. Żylibyśmy w raju.

- Chcesz powiedzieć, że argumentu przeciwko boskiej interwencji nigdy nie będzie można obalić?

- Tak jest. Wolna wola znaczy, że musimy sami podejmować decyzje. W przeciwnym razie życie nie miałoby znaczenia. Bylibyśmy tylko bezwolnymi owadami, którymi kierują instynkty. Świadomość musi do czegoś służyć.

Joshua pochylił się i pocałował ją z wdzięczności w czoło.

- Z reguły do tego, żeby pakować nas w kłopoty. Jezu, tylko spójrz na mnie. Jestem wrakiem. Świadomość boli.

Poszli razem na mostek. Liol i Dahybi ze znudzonymi minami wylegiwali się na fotelach amortyzacyjnych, a Samuel właśnie wychodził z włazu.

- To było długie przekazanie obowiązków - zauważył złośliwym tonem Liol.

- Nie potrafisz sam sobie poradzić? - Zapytał Joshua.

- Fizycznie możesz być Calvertem, ale nie zapominaj, który z nas ma więcej doświadczenia.

- Ja, we wszystkich sprawach, które są ważne.

- Kończę wachtę - oznajmił głośno Dahybi. Siatka bezpieczeństwa na jego fotelu zwinęła się, pozwalając mu postawić nogi na pokładzie. - Sarha, idziesz ze mną?

Joshua i Liol uśmiechnęli się do siebie. Joshua wskazał uprzejmie właz, a Liol odpowiedział ukłonem.

- Dziękuję, kapitanie.

- Jak pójdziesz do kuchni, pamiętaj przynieść mi śniadanie - zawołał za nim Joshua. Brat mu nie odpowiedział. Obaj z Samuelem położyli się na fotelach amortyzacyjnych. Edenista stawał się coraz lepszym oficerem systemowym. Pomagał załodze podczas wacht, podobnie jak inni naukowcy przebywający na pokładzie. Nawet Monica wносиła swój wkład.

Joshua połączył się z komputerem pokładowym. Na obraz przekazywany przez zewnętrzne czujniki nałożyła się trajektoria lotu oraz informacja o stanie. Przestrzeń nabrała wspaniałego wyglądu.

Na matową piankę pokrywającą kadłub padał karmazynowy blask odległego o trzy lata świetlne Mastrit-PJ. Połowę gwiazd położonych na galaktyczną północ od "Lady Makbet" przesłaniała Mgławica Oriona, cudowny trójwymiarowy gobelin świetlistego gazu. Jego powierzchnię przebiegały gwałtowne turbulencje. Szkarłatne, zielone i turkusowe obłoki zderzały się ze sobą niczym konkurencyjne oceany, ich trwający miliony lat antagonizm produkował chaotyczne, wysokoenergetyczne kaskady, tryskające na wszystkie strony. Wnętrze mgławicy wypełniały proplidy, jasne dyski protoplanetarne kondensujące się pośród wiru. W jej sercu leżał Trapez, cztery najgorętsze, najmasywniejsze gwiazdy. Ich olbrzymia emisja w paśmie ultrafioletu oświetlała kolosalny obłok międzygwiazdowego gazu, wypełniając go energią.

W miarę jak powoli opuszczali przestrzeń Konfederacji i zaczęli okrążać mgławicę, Joshua nauczył się podziwiać jej nieskończenie zróżnicowaną topologię. Mgławica żyła, a intensywności jej życia nie mogłaby dorównać żadna biologiczna istota. Jej prądy i molekularne płycizny były bilion razy bardziej skomplikowane niż wszystko, co można znaleźć w komórce opartej na węglu i wodrze. Młode, gorejące jasnym płomieniem gwiazdy wypełniające wnętrze mgławicy emitowały potężne strumienie ultragórnego gazu, tworząc fale uderzeniowe, pokonujące w ciągu godziny z górą sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Tworzyły owijające się wokół siebie pętle, ich wystrzępione

końce lśniły jasno, wypromieniowując całą nagromadzoną energię.

Załogi "Lady Makbet" i "Oenone" porzuciły wszelkie formy elektronicznej rozrywki na rzecz obserwacji mgławicy. Jej majestat poprawił wszystkim nastrój. Ich lot był historycznym wydarzeniem, bez względu na to, jak miał się skończyć.

Joshua i Syrinx postanowili, że ominą mgławicę od galaktycznego południa, posuwając się w przybliżeniu tą samą trasą co Tandzurik-RI. Podczas początkowych faz lotu wykorzystywali dane zgromadzone przez obserwatoria Konfederacji, by unikać gęstych obłoków oraz świetlistych wypustek widocznych z ludzkiej przestrzeni, choć te obrazy pochodziły sprzed co najmniej tysiąca pięciuset lat. Po kilku pierwszych dniach dotarli jednak do przestrzeni nigdy nieoglądanej przez ludzkie teleskopy. Zmniejszyli prędkość. Musieli teraz badać przestrzeń przed sobą, wypatrując gwiazd, obłoków pyłu oraz cyklonów gorejącego gazu o średnicy parseka.

Na długo zanim ujrzeli Mastrit-PJ, jego światło zabarwiło zewnętrzne warstwy mgławicy. Czerwona luna otaczająca statki z każdą chwilą stawała się intensywniejsza. Gdy zaledwie 700 lat świetlnych przed nimi pojawiła się gwiazda, pomiary paralaksy pomogły "Oenone" ustalić ich pozycję i obliczyć trajektorię zmierzającą prosto ku czerwonemu olbrzymowi.

Joshua prowadził teraz "Lady Makbet" w kierunku przedostatniego punktu współrzędnych skoku. Radar wskazywał, że "Oenone" znajduje się w odległości tysiąca kilometrów i porusza się z przyspieszeniem 0,5 g, podobnie jak oni. Impuls był silniejszy niż zwykle używany przez adamistyczne gwiazdoloty, ale nie zmieniali zbyt dużo Δv podczas lotu wokół mgławicy. Woleli zaczekać, aż zobaczą Mastrit-PJ, by zrównać prędkość z czerwonym olbrzymem.

- Ciąg się utrzymuje - oznajmił Samuel, uruchomiwszy programy diagnostyczne. - Masz świetny napęd, Joshua. W chwili skoku powinno nam zostać prawie sześćdziesiąt procent paliwa termojądrowego.

- To wystarczy. Miejmy nadzieję, że nie zużyjemy zbyt wiele Δv na poszukiwania reedy. Chciałbym zachować całą antimaterię na podróż do Śpiącego Boga.

- A więc jesteś przekonany, że odniesiemy sukces?

Joshua zastanawiał się przez chwilę. Własna pewność zaskakiwała go nieco. Przyjemnie kontrastowała z niepokojem, jaki wypełniał go na myśl o Louise. Intuicja jako środek znieczulający sumienie.

- Aha. Chyba jestem. Przynajmniej jeśli chodzi o poszukiwania.

Pomarańczowy wektor lotu przekazywany datawizyjnie przez komputer pokładowy do neuronowego nanosystemu Joshui wskazywał, że zbliżają się do celu. Zmniejszył przyspieszenie i datawizyjnie ostrzegł załogę. Samuel zaczął chować wysięgniki oraz panele termozrzutu.

"Lady Makbet" przeskoczyła pierwsza, pokonując dwa i pół roku świetlnego. "Oenone" wypadł z terminalu tunelu czasoprzestrzennego sześć sekund później, w bezpiecznej odległości stu pięćdziesięciu kilometrów. Mastrit-PJ nie było jeszcze dyskiem, ale świeciło tak jasno, że trudno to było stwierdzić nieuzbrojonym okiem. W odległości pół roku świetlnego jego czerwony blask był tak intensywny, że całkowicie przyćmiewał światło mgławicy oraz większości gwiazd.

- Zdarzało mi się oberwać laserem o mniejszej mocy - poskarżył się Joshua, gdy filtry włączyły się pośpiesznie, redukując blask.

- Gwiazda niedawno zakończyła fazę ekspansji - wyjaśnił Samuel. - Z astrofizycznego punktu widzenia to wydarzyło się przed chwilą.

- Powiększanie się gwiazd jest zjawiskiem o szybkim przebiegu. Minęło co najmniej piętnaście tysięcy lat.

- Po okresie początkowej ekspansji następuje długi okres stabilizacji fotosfery. Tak czy

inaczej, całkowita emisja energii jest imponująco wysoka. Po tej stronie mgławicy czerwony olbrzym świeci jaśniej od niej.

Joshua sprawdził neuroikonową wizualizację.

- Nie ma emisji w podczerwieni i bardzo mało twardego promieniowania. Gęstość cząstek jest w normie, ale fluktuowała przez cały czas, gdy okrążyliśmy mgławicę. - Połączył się datawizyjnie z komputerem pokładowym, by nawiązać kontakt z "Oenone". - Jak sobie radzimy ze współzrędnymi ostatniego punktu wyjścia?

- Moje poprzednie oceny okazały się przyjemnie trafne - odparł jastrząb. - Za pięć minut powinienem mieć ostateczny wynik.

- Świetnie.

Od chwili, gdy ujrzeli Mastrit-PJ, Joshua już dwukrotnie sprawdzał liczby dostarczone przez "Oenone". Kierowała nim raczej ciekawość niż brak zaufania. W obu przypadkach wyniki okazały się lepsze niż wszystko, co mogły osiągnąć technologiczne czujniki "Lady Makbet". Potem już nie zwracał sobie głowy.

- Powinno nam się udać ocenić położenie granicy fotosfery z dokładnością do tysiąca kilometrów - przekazała datawizyjnie Syrinx. - Trudno jest dokładnie określić, gdzie się kończy fotosfera, a zaczyna przestrzeń. Teoria mówi, że strefa zaburzeń może mieć od pięciuset do pół miliona kilometra grubości.

- W takim razie trzymamy się planu A - odpowiedział Joshua.

- Tak sędzę. Jak dotąd wszystko wygląda zgodnie z naszymi przewidywaniami. Kempster uruchomił pełen zestaw czujników. Nagrywa wszystko, co się da, jakbyśmy dysponowali nieograniczonymi zasobami pamięci fleksowej. Sędzę, że nas zawiadomi, gdyby zaobserwowali z Renatem jakieś anomalie.

- Dobra. Tymczasem obliczę początkowy wektor, tak żeby "Lady Makbet" zachowała neutralną prędkość względną. Będę mógł go poprawić, kiedy już dostarczysz mi współrzędne.

"Oenone" zapewne mógłby mu dostarczyć wymagany wektor w kilka milisekund, ale Joshua też miał swoją dumę, do cholery.

Instrumenty "Lady Makbet" skierowały się na nowe gwiazdozbiory. Joshua przełączył programy nawigacyjne w tryb nadrzędności i zaczął przetwarzać napływające dane.

*

Joshua i Syrinx postanowili, że zaczekają kilka godzin przed ostatnim skokiem do Mastrit-PJ. Jednym z powodów tej decyzji był fakt, że nie znali dokładnych rozmiarów i położenia gwiazdy. Gdy już uda się im je ustalić, zamierzali się wynurzyć na płaszczyźnie ekliptyki, w bezpiecznej odległości od fotosfery. Ich prędkość miała być całkowicie zrównana z prędkością gwiazdy, co spowoduje, że jedyną działającą na nich siłą będzie przyciąganie Mastrit-PJ. Z tego punktu będą w stanie obserwować wielki obszar kosmosu. Logicznie rzecz biorąc, ostatnia reduta cywilizacji Tyrataków powinna krążyć wokół gwiazdy w płaszczyźnie jej równika. Możliwą lokalizacją byłaby planeta w typie Plutona, która przetrwała eksplozję, albo wielka asteroida z pierścienia Oorta. Choć mieli do przebadania olbrzymią przestrzeń, jeśli będą się posuwali małymi krokami wzdłuż równika Mastrit-PJ, powinno im się w końcu udać znaleźć to, czego szukają.

"Oenone" poświęci też trochę czasu, by w pełni naładować komórki modelowania energii za pomocą promieniowania kosmicznego, co zmniejszy zużycie paliwa termojądrowego. Dzięki temu jastrząb nie tylko będzie mógł kontynuować poszukiwania, lecz również wycofać się na znaczną odległość, dotrzymując kroku "Lady Makbet" z jej zdolnością do skoków sekwencyjnych, w wypadku gdyby natknęli się na uzbrojone, wrogo nastawione ksenobionty. To był czarny scenariusz,

przygotowany przez Joshuę, Ashly'ego, Monicę, Samuela oraz (niespodziewanie) Rubena. Pozostali zapewniali ich beztrąsko, że to graniczy z kliniczną paranoją, okazało się jednak, że w piątkę wykonali bardzo solidną robotę.

Gwiazda jest polem nieustającej bitwy między pierwotnymi siłami, głównie ciepłem i grawitacją, które objawiają się jako rozszerzanie oraz kurczenie. Jądro gwiazdy ciągu głównego - gigantyczny termojądrowy piec spalający wodór - ogrzewa resztę w stopniu wystarczającym, by mogła się oprzeć przyciąganiu. Jednak reakcje termojądrowe mogą trwać tylko dopóty, dopóki nie zabraknie paliwa, grawitacja zaś jest wieczna.

Mastrit-PJ przez miliardy lat świeciło stałym blaskiem, aż wreszcie w jądrze gwiazdy zabrakło atomów wodoru. Wszystkie zmieniły się w hel. Ale wewnątrz wąskiej sfery wodoru otaczającej centrum nadal trwała produkcja energii. Temperatura, ciśnienie i gęstość zaczęły się zmieniać, gdy otoczka zastąpiła jądro jako podstawowe źródło ciepła. Transformacja wewnętrznej struktury Mastrit-PJ spowodowała, że gwiazda z narastającą szybkością stawała się niestabilna. Jej zewnętrzne warstwy zaczęły się rozszerzać, ogrzewane prądami konwekcyjnymi napływającymi z dołu, z ciągle rosnącej otoczki. Na dole zaś jądro zapadało się pod wpływem grawitacji, a syjący się z góry śnieg atomów helu wciąż zwiększał jego masę.

Mastrit-PJ podzieliło się na dwie odrębne, bardzo się od siebie różniące strefy. Centrum rozgorzało na nowo, kurcząc się z każdą chwilą, natomiast zewnętrzne warstwy rozszerzały się i stygły, a ich światło przechodziło z białego w żółte, a potem w czerwone. To właśnie była epoka ewolucji, przed którą uciekli Tyratakowie. Średnica rozszerzającej się gwiazdy powiększyła się czterysta razy, osiągając tysiąc sześćset siedemdziesiąt milionów kilometrów. Mastrit-PJ pochłonęło trzy wewnętrzne planety, w tym również świat ojczysty Tyrataków, a potem szybko pożarło też dwa gazowe olbrzymy. Trudno było określić miejsce, w którym kończyła się gwiazda, a zaczynała przestrzeń kosmiczna. Rozżarzony wodór rozrzedzał się powoli, przechodząc w intensywny wiatr słoneczny umykający w Galaktykę. Niemniej jednak, na potrzeby katalogowe i nawigacyjne, "Oenone" ustalił, że granica fotosfery Mastrit-PJ znajduje się siedemset osiemdziesiąt milionów kilometrów od niewidzialnego jądra.

*

"Lady Makbet" wyłoniła się pierwsza, w bezpiecznej odległości pięćdziesięciu milionów kilometrów od morza rozpadających się cząstek. Normalna przestrzeń przestała istnieć, gwiazdolat przebywał między dwoma równoległymi wszechświatami utkany ze światła. Po jednej stronie pośród widmowych wirów mgławicy lśniły młode gwiazdy, po drugiej ciągnęła się płaska, jednolita pustynia szkarłatnych fotonów.

"Oenone" wyłonił się dwadzieścia kilometrów od ciemnego adamistycznego statku.

- Kontakt nawiązany - Joshua datawizyjnie poinformował Syrinx w odpowiedzi na sygnał jastrzębia. "Lady Makbet" wysunęła wszystkie wysięgniki, łącznie z nowymi systemami czujników, których instalacji zażyczył sobie Kempster. Joshua gołym okiem widział podobne urządzenia wysuwające się z ładowni w dolnej części kadłuba jastrzębia.

- Widzę cię - odparła Syrinx. - Potwierdzam nieobecność w bezpośrednim sąsiedztwie meteorów oraz obłoków pyłu. Zaczynamy pełną obserwację.

- My również.

- Jak wasz profil termiczny?

- Wszystko w porządku - zapewniła Sarha, gdy ją o to zapytał. - Tu jest gorąco, ale nie aż tak źle jak pod fabryką antymaterii. Nasze panele uwalniają nas od ciepła szybciej, niż je pochłaniamy. Wolałabym jednak, żebyś nie zbliżał się bardziej. Ucieszyłabym się też, gdybyś wprowadził statek w

powolny ruch wirowy. Nie chcielibyśmy, aby na kadłubie powstały gorące punkty.

- Zrobię, co tylko się da - zapewnił. - Syrinx, damy sobie radę. A wy?
- W tej odległości nie powinniśmy mieć problemów. Pianka izolująca jest nietknięta.
- W porządku.

Joshua włączył jonowe silniki sterujące, inicjując powolny ruch wirowy, o jaki prosiła go Sarha.

Cała załoga przebywała na mostku, gotowa sobie poradzić ze wszystkim, co mógłby rzucić przeciwko nim czerwony olbrzym. Samuel i Monica siedzieli w głównej kabine kapsuły B, dzieląc ją z Alkad, Peterem i Oski, którzy śledzili dane dostarczane przez czujniki. Natomiast wyniki otrzymane z "Oenone" przekazywano bezpośrednio do Parkera, Kempstera i Renata. Statki wymieniały dane w czasie rzeczywistym, co pozwalało ekspertom poddawać je jednoczesnej ocenie.

Powoli formował się obraz lokalnej przestrzeni, mapa strumienia wysokoenergetycznych cząstek omywającego kadłub. Otaczające ich środowisko nie zasługiwało właściwie na nazwę próżni.

- Tu jest spokojniej niż wokół Jowisza - zauważyła Syrinx. - Ale równie niebezpiecznie.
- Twardego promieniowania jest mniej, niż spodziewaliśmy się tu znaleźć - dodała Alkad.
- Zapewne wodór pochłania je po drodze na powierzchnię.

Ich instrumenty rozpoczęły powolną obserwację przestrzeni w paśmie widzialnym i w podczerwieni. Programy analityczne poszukiwały szybko się przemieszczających punktów światła, mogących odpowiadać asteroidom, ciałom wielkości małych księżyców, a nawet planetom. Pola dystorsyjne "Oenone" nie wykryły zbyt wielu masywnych obiektów zakrzywiających okoliczną czasoprzestrzeń. Wyglądało na to, że gwałtowny wiatr słoneczny wymiół wszystko w kosmos. Widzieli jednak tylko niespełna jeden procent długości orbity.

Pierwszy interesujący rezultat dał im prosty czujnik mikrofalowy, który odebrał niezidentyfikowany impuls trwający krócej niż sekundę. Jego źródło znajdował się gdzieś bliżej powierzchni gwiazdy.

- Kempster? - Zapytała datawizyjnie Oski. - Czy to możliwe, żeby czerwony olbrzym emitował mikrofałe?

- Współczesne teorie tego nie przewidują - odparł zaskoczony astronom.
- Kapitanie, czy moglibyśmy dokładniej się przyjrzeć temu źródłu? Proszę.

Joshua spojrzał ostrzegawczo na Dahybiego. Serce zabiło mu nagle pod wpływem intuicji.

- Stan węzłów? - Zapytał.
- Możemy przeskoczyć w każdej chwili, kapitanie - zapewnił Dahybi.
- Liol, cały czas obserwuj nasze czujniki wykrywające atak radioelektroniczny. Zamierzam to rozegrać bardzo ostrożnie.

Komputer pokładowy zameldował, że ich instrumenty wykryły kolejny impuls mikrofalowy.

- Bardzo przypomina radar - zauważyła Beaulieu. - Ale nie ma sygnatury Konfederacji. W niczym też nie przypomina sygnałów używanych przez statki Tyrataków.

- Oski, przesuwam czujniki w tamtą stronę - oznajmił Joshua.

Aktywne i pasywne czujniki zwróciły się na wysięgnikach w kierunku, z którego dobiegał sygnał. Komputer pokładowy przeanalizował dostarczone przez nie rezultaty i stworzył z nich neuroikonową wizualizację, przybliżoną wizję fizycznej struktury, jaką sugerował powiększający obrazy podprogram, łącząc ją z profilem termicznym oraz elektromagnetycznym.

- Czy dobrze zapamiętałam? - Zapytała Sarha, wstrzymując oddech. - Zgodnie z opinią naszych ekspertów szukamy tu martwej od eonów cywilizacji, której relikty będzie niesłuchanie

trudno odnaleźć. To właśnie próbowaliście nam wmówić, prawda?

Najpotężniejsze teleskopy "Oenone" i "Lady Makbet" natychmiast skierowały się na znaną przez zespoły czujników strukturę, powiększając słaby obraz i zwiększając jego ostrość. Dwadzieścia milionów kilometrów przed oboma gwiazdolotami krążyło miasto, unoszące się spokojnie nad powolnymi prądami konwekcyjnymi tworzącymi zarys powierzchni czerwonego olbrzyma. Spektrograficzna analiza potwierdziła obecność związków krzemu i węgla, lekkich metali oraz wody. Wieżyczki emitowały intensywne promieniowanie mikrofalowe. Pola magnetyczne poruszały się miarowo, na podobieństwo skrzydeł motyla. Po ciemnej stronie obiektu wznosił się las ostrych jak rapier kolców, które lśniły jasno w podczerwieni, emitując potężną nadwyżkę ciepła.

Miasto miało pięć tysięcy kilometrów średnicy.

Quinn wolał zaczekać na umówioną chwilę, zamiast wysyłać rozkazy przez londyńską sieć telekomunikacyjną. Nawet jeśli przekaz brzmiał zupełnie niewinnie, zawsze istniało ryzyko, że supergliny coś zwęszą. Choć byli przekonani, że wyeliminowali go w Parsonage Heights, będą poszukiwać innych opętanych ukrywających się w arkologii. To była standardowa procedura. Quinn na ich miejscu robiłby to samo. Niemniej jednak, gdy Banneth zginęła w płomieniach razem ze swą kryjówką, podejrzliwość ścigających nieco zmalała. Ich wysiłki nie były już tak intensywne, zdeterminowane, aktywne poszukiwania ustąpiły miejsca rutynie. To właśnie było interludium, jakiego pragnął.

Londyn z konieczności będzie się teraz musiał stać stolicą jego ziemskiego imperium. Quinn mógł narzucić podobny zaszczyt starożytnemu miastu i sąsiadującym z nim kopułow, jedynie wykorzystując opętanych jako apostołów, którzy będą szerzyć doktrynę Bożego Brata. Ich rekrutacja nastęrczała jednak trudności. Nawet oni z niechęcią podporządkowywali się jego ewangelii z całą bolesną dosłownością. Już na Jesupie przekonał się, że aby skłonić ludzi niebędących członkami sekty do pełnej współpracy, często konieczny jest gwałtowny przymus. Nawet Quinn mógł jednocześnie zastraszyć tylko ograniczoną liczbę osób. A jeśli opętani nie staną się szczerymi wyznawcami jego sprawy, zrobią to, co robili zawsze. Zabiorą Ziemię z wszechświata. Quinn nie mógł na to pozwolić, zdecydował się więc na bardziej krótkoterminową strategię, w znacznej mierze opartą na wzorcach Ala Capone. Wykorzystywała ona agresywność i chciwość, jakimi cechowała się większość wracających do wszechświata dusz.

Rozproszył opętanych z "Lanciniego" po całej arkologii, wydając im bardzo szczegółowe instrukcje. Kluczowe znaczenie miała szybkość. O ustalonej godzinie każdy z nich wejdzie do wyznaczonego budynku i doprowadzi do opętania pracowników nocnej zmiany. Gdy przybędzie dzienna zmiana, robotnicy zostaną opętani jeden po drugim. To znacznie zwiększy liczebność jego zastępów, ale pozwoli uniknąć wzrostu wykładniczego. Quinn chciał o dziesiątej rano mieć piętnaście tysięcy opętanych.

Po osiągnięciu tego celu opuszczą budynki i rozproszą się fizycznie po arkologii. Później władze nie będą już mogły wiele zdziałać. Do wyeliminowania jednego opętanego potrzeba było pięciu do dziesięciu dobrze uzbrojonych oficerów policji. Nawet jeśli będą w stanie ich wytropić dzięki obserwacji zaburzeń w funkcjonowaniu sprzętu elektronicznego, mieli po prostu za mało ludzi, żeby poradzić sobie z wszystkimi. Quinn podejmował ryzyko, licząc na to, że Rząd Centralny nie zdecyduje się na piętnaście tysięcy strategiczno-obronnych uderzeń na Londyn. Reszta mieszkańców stanie się jego zakładnikami.

Tymczasem Quinn stworzy wewnętrzną grupę lojalistów, którzy ruszą w miasto i zaprowadzą dyscyplinę. W tym przypadku również opierał się na rozwiązaniu zastosowanym przez Organizację. Nowych opętujących będzie się uczyć, że muszą dążyć do zachowania status quo, a także zachęcać do wybierania na ofiary policjantów i przedstawicieli miejscowego rządu - wszystkich, którzy mogliby zorganizować opór. Gdy zacznie się drugi etap, zamkną szlaki transportu, zawładną elektrowniami, wodociągami oraz ośrodkami produkcji żywności. Powstanie sto nowych lenn, których jedynym obowiązkiem będzie posłuszeństwo nowemu mesjaszowi oraz składanie mu daniny.

Po założeniu swego imperium Quinn miał zamiar zmusić nieopętanych techników do opracowania bezpiecznych metod transportu, które pozwolą mu dotrzeć z krucjatą Bożego Brata do innych arkologii. Z czasem sięgną również do Halo O'Neill. Potem będzie już tylko kwestią czasu, a Jego Noc zapadnie w całym sektorze Galaktyki.

*

Nocą po incydencie w Parsonage Heights posterunkowi Appleton i Moyles jak zwykle patrolowali swój rewir w centralnym Westminsterze. Była druga w nocy i wszędzie panowała cisza. Ich samochód minął dawne budynki parlamentu i skręcił w Victoria Street. Pod gładkimi, szklanymi fasadami rządowych budynków, które zmieniały początek ulicy w głęboki kanion, widać było zaledwie garstkę pieszych. Posterunkowi byli do tego przyzwyczajeni. W tej biurokratycznej dzielnicy mieszkało niewielu ludzi, nie było tu też nocnego życia, które mogłoby przyciągnąć gości po zamknięciu sklepów i biur.

Ciało spadło bezgłośnie z ciemnego nieba nad łukami oświetleniowymi i runęło na jezdnię trzydzieści metrów przed Appletonem i Moylesem. Kierujący samochodem procesor automatycznie skręcił ostro w prawo, zatrzymując pojazd tuż przed leżącym. Z rękawów i nogawek kombinezonu wypływała krew, gromadząc się w wielkich kałużach na powierzchni z węglowego betonu.

Appleton przekazał datawizyjnie na komisariat sygnał alarmu pierwszego stopnia, Moyles zaś nakazał procesorom kierującym ruchem drogowym na Victoria Street puścić cały ruch inną trasą. Obaj policjanci wysiedli z samochodu, trzymając w rękach gotowe do strzału, naładowane elektrostatycznymi pociskami karabiny. Ich implanty siatkówkowe zbadały okolicę we wszystkich zakresach widma, korzystając z programów wykrywających ruch. W promieniu stu metrów na ulicy nie było nikogo.

Z wielką ostrożnością zaczęli badać pionowe ściany ze szkła i betonu, otaczające ich z obu stron, szukając otwartego okna, z którego mogłoby wypaść ciało. Nie znaleźli go.

- Dach? - Zapytał nerwowo Appleton, zataczając karabinem szerokie łuki, jakby próbował pokryć polem strzału połowę arkologii.

Funkcjonariusze pełniący dyżur na komisariacie połączyli się już z siecią procesorową kopuły Westminster i z góry spoglądali na dwóch posterunkowych przycupniętych przy samochodzie. Na dachu sąsiednich budynków nie było nikogo.

- Czy on nie żyje? - Zawołał Moyles.

Appleton oblizwał wargi, kalkulując ryzyko związane z wypadnięciem zza osłony drzwi i podbiegnięciem do ciała.

- Tak mi się zdaje.

Krwawiące, zmasakrowane ciało należało do starego mężczyzny. Naprawdę starego. Nie ruszał się ani nie oddychał. Wzmocnione zmysły posterunkowego nie wykrywały też bicia serca. Nagle Appleton ujrzał na piersi trupa głębokie ślady po oparzeniach.

- Cholera jasna!

*

Ekipa remontowa dziurę w kopule Westminster zatkała z godną podziwu szybkością. Na olbrzymią, kryształową konstrukcję wjechała mała flotylla gaśnicowych robotów naprawczych, ciągnących za sobą zapasowy segment. Usunięcie uszkodzonego sześciokąta i zastąpienie go nowym trwało dwanaście godzin. Przeprowadzono testy wiązań cząsteczkowych, by się upewnić, że nowy element w pełni się zintegrował z resztą kopuły.

Gdy zapadł zmierzch, nadal sprawdzano siłę dźwigarów z ultramocnego węgla oraz wzmacniano podejrzane części geodezyjnej struktury. Małe, automatyczne pojazdy włączyły reflektory i kontynuowały pracę.

Doprowadzenie do porządku ruin Parsonage Heights było znacznie trudniejszym zadaniem. Mechanoidy ze straży pożarnej ugasiły ogień w zdruzgotanym kikucie ośmiokątnej wieżowca. Ekipy ratowników medycznych wносиły rannych z gruzów siedmiu pozostałych budynków kompleksu,

które zasypał grad odłamków szkła i innych śmierniczośnych szczątków. W dwóch sąsiednich wieżowcach wybuchły mniejsze pożary. Rzecznicy pracujący dla rady miejskiej ponad połowę dnia poświęcili na oględziny uszkodzonych budynków, by ocenić, czy można je odbudować.

Nie było wątpliwości, że ruiny gmachu, w które uderzyła wiązka rentgenowskiego lasera, będzie trzeba rozebrać. Osiem ocalałych pięter uległo niebezpiecznemu osłabieniu. Metalowe pręty wzmacniające stopiły się i wypłynęły z płyt z węglowego betonu jak marmolada z pączków. Gdy mechanoidy się wycofały, a ściany ostygły, do środka weszli ludzie z biura miejscowego koronera. Ciała, które udało się im odnaleźć, zostały całkowicie zwięglone przez impuls lasera.

To było największe widowisko w całym Londynie. Olbrzymi tłum wylewał się na otwarty plac oraz na sąsiednie ulice. Cywile mieszały się z reporterami, a wszyscy gapili się na zniszczenia oraz na węzeł aktywności widoczny w górze. Właśnie roboty naprawcze dowodziły, że użyto jakiegoś rodzaju systemu strategiczno-obronnego, mimo że przedstawiciel miejscowej policji z początku temu zaprzeczał. Dopiero wczesnym rankiem biuro burmistrza z niechęcią potwierdziło, że policja podejrzewała, iż na szczycie Parsonage Heights ukrywają się opętani. Gdy padło pytanie, w jaki sposób udało się im przeniknąć do Londynu, rzeczniczka odpowiedziała, że w podziemiach wieżowca znajdowała się siedziba sekty. Zapewniła reporterów o aresztowaniu wszystkich akolitów. Tych, którzy przeżyli.

Przez cały ranek i popołudnie z rozmaitych urzędów Rządu Centralnego wyciekało coraz więcej, często sprzecznych, informacji. Londyńczyków ogarniała narastająca nerwowość. Kilku prawników reprezentujących rodziny mieszkańców, którzy zamienili się w parę, wniosło skargi przeciwko policji, oskarżając ją o użycie skrajnie nadmiernej siły. Oskarżyli też komendanta policji o zaniedbanie obowiązków, ponieważ nie ewakuował mieszkańców przed akcją. W ciągu dnia coraz więcej osób w całej arkologii porzucało pracę. Produkcja i sprzedaż spadły do rekordowo niskich poziomów. Wyjątkiem były sklepy z żywnością. Administratorzy informowali, że ludzie gromadzą saszetki oraz bloki mrożonego mięsa.

Agencje medialne przez cały czas nadawały obrazy zburzonego wieżowca oraz jego poczerniałych, rozciągniętych, lekko radioaktywnych kłków z węglowego betonu. Widok worków z ciałami przenoszonych rumowiskiem stał się najważniejszym elementem dnia większości mieszkańców. Mówili o nich komentatorzy oraz zaproszeni przez nich specjaliści.

Ludziom z biura koronera towarzyszyli policyjni biegli. Wydane im rozkazy nie były szczególnie precyzyjne. Wsparciem służyło trzech ekspertów z miejscowego biura GISD-u, którym udało się zachować anonimowość pośród tłumów krążących po zamkniętym obszarze.

Po zachodzie słońca gapie wrócili jednak do domów. Został tylko kordon policji, utworzony przez funkcjonariuszy, którzy szczerze żalowali, że nie przypadła im dziś w udziale inna służba.

Eksperci GISD-u przed północą ukończyli wstępny raport, opierając się na testach i analizach przeprowadzonych przez ich kolegów z policji. W raporcie nie znalazło się nic, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z Banneth albo Quinnem Dexterem.

- To była czysta formalność - oznajmił pełnomocnik na Europę Zachodnią pełnomocnikom na Halo oraz Amerykę Północną po przeczytaniu raportu. - Chociaż bardzo bym się chciał dowiedzieć, w jaki sposób Quinn Dexter wykręcił ten numer z niewidzialnością.

- Uderzenie strategiczno-obronne wywołało mnóstwo hałasu - zauważył pełnomocnik na Amerykę Północną. - Szacowni senatorzy chcą się dowiedzieć, kto upoważnił platformę do ataku na Ziemię. Tyle że tym razem biuro prezydenta głośno domaga się tego samego. Mogą próbować powołać komisję śledczą. Jeśli rząd i legislatura zgodzą się w tej sprawie, ich zablokowanie może się okazać trudne.

- W takim razie nie blokujemy ich - zaproponował pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Jestem pewien, że możemy wyznaczyć na przewodniczącego kogoś odpowiedniego. Dajcie spokój, nie muszę wam tłumaczyć, na czym polega procedura chronienia własnych tyłków. Polecenie ataku przekazano do sieci strategiczno-obronnej z biura obrony cywilnej burmistrza. Było całkowicie legalne. W nagłych sytuacjach wysocy rangą przedstawiciele Rządu Centralnego mają prawo prosić o wsparcie ziemskie siły zbrojne. Tak mówi konstytucja.

- Dowództwo Sieci Strategiczno-obronnej powinno poprosić prezydenta o potwierdzenie - oznajmił bez ogródek pełnomocnik na Halo. - Fakt, że platformy mogą ostrzeliwać powierzchnię Ziemi bez odpowiedniej politycznej autoryzacji, wywołał zdziwienie niektórych osób.

- Ale to chyba nie pełnomocnik na Pacyfik Południowy prowokuje te kłopoty, co? - Zapytał ostrym tonem pełnomocnik na Europę Zachodnią.

- Nie. Szczerze mówiąc, ma tyle samo do stracenia, co my wszyscy. Aktualny doradca prezydenta do spraw obrony to jej człowiek. Ze wszystkich sił stara się zminimalizować szkody.

- Miejmy nadzieję, że to wystarczy. Bardzo bym nie chciał zmieniać prezydenta w tej chwili. Podczas kryzysu ludzie potrzebują stabilnego przywództwa.

- Dopilnujemy, żeby agencje medialne wyciszyły sprawę, choćby senatorowie głośno protestowali - zapewnił pełnomocnik na Halo. - To nie powinno być trudne.

- Rewelacyjnie - ucieszył się pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Zostanie nam tylko problem zwykłych opętanych.

- W Nowym Jorku sytuacja jest fatalna - przyznał ponurym tonem pełnomocnik na Amerykę Północną. - Obywatele, którzy jeszcze nie zostali opętani, próbują się bronić, ale spodziewam się, że w końcu przegrają.

- Będziemy musieli zwołać kolejne posiedzenie B7 - stwierdził bez entuzjazmu pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Zdecydujemy, co zrobimy w takim przypadku. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby opętani porwali mnie do królestwa, w którym zniknęły pozostałe planety.

- Nie jestem pewien, jaka będzie frekwencja - ostrzegł pełnomocnik na Halo. - Pełnomocnik na Pacyfik Południowy jest na ciebie zdrowo wkurzona i jej sojusznicy też.

- Przejdzie im - zapewnił z przekonaniem w głosie pełnomocnik na Europę Zachodnią.

Nie dano mu jednak szansy przekonać się, czy miał rację. Kwadrans po drugiej zastępca komendanta londyńskiej policji połączył się z nim datawizyjnie, by przekazać informacje o znalezionym na Victoria Street ciele.

- Staruszek nie miał przy sobie żadnych dokumentów - oznajmił zastępca komendanta. - Dlatego funkcjonariusze pobrali próbki DNA: według naszych akt był to Paul Jerrold.

- Znam to nazwisko - przyznał pełnomocnik. - Był dość bogaty. Jest pan pewien, że ślady po oparzeniach wywołał biały ogień?

- Konfiguracja się zgadza. Pewność da nam dopiero autopsja.

- W porządku. Niech mnie pan zawiadomi.

- Jest coś jeszcze. Paul Jerrold był uciekinierem do kapsuły zerowej. Przekazał cały majątek długoterminowemu funduszowi powierniczemu i w zeszłym tygodniu dał się zamknąć w kapsule.

- Cholera.

Pełnomocnik na Europę Zachodnią szybko połączył się ze swą jednostką sztucznej inteligencji, która natychmiast rozpoczęła poszukiwania. Paul Jerrold powierzył się firmie Perpetuity Inc., jednej z wielu niedawno powstałych kompanii specjalizujących się w wynajmowaniu kapsuł zerowych bogatym staruszkom. Jednostka sztucznej inteligencji przeszukała archiwum firmy i ustaliła, że Jerrolda przechowywano w starym sklepie o nazwie "Lancini". Perpetuity Inc. wynajęła budynek

tymczasowo, dopóki nie znajdzie czegoś odpowiedniejszego.

Na polecenie pełnomocnika jednostka sztucznej inteligencji przeniosła swą uwagę na sklep, aktywując od dawna nieużywane czujniki bezpieczeństwa na wszystkich piętrach. Na przesłoniętym błękitną mgiełką obrazie pojawił się szereg sal wypełnionych masywnymi kapsułami zerowymi. Jednostka sztucznej inteligencji skupiła się na jedynym miejscu, w którym coś się działo. W dawnym gabinecie dyrektora Perpetuity Inc. założono centrum kontroli. Dwaj technicy z nocnej zmiany siedzieli za biurkami, popijając herbatę i oglądając wiadomości w projektorze AV.

- Niech się pan z nimi połączy datawizyjnie i powie, żeby wyłączyli kapsułę Paula Jerrolda i sprawdzili, kto jest w środku - polecił pełnomocnik na Europę Zachodnią.

Po krótkiej sprzeczce technicy zgodzili się zrobić, o co ich proszono. Pełnomocnik na Europę Zachodnią czekał niecierpliwie, gdy staroświecka winda wjeżdżała powoli na czwarte piętro. Wreszcie technicy z niej wysiedli i ruszyli do działu ogrodnictwa. Jeden z nich wyłączył kapsułę. W środku nie było nikogo.

To głęboko wstrząsnęło oboma mężczyznami, którzy już bez oporów wykonywali następane polecenia. Wyłączali kolejno wszystkie kapsuły i w żadnej z nich nie znaleźli nikogo.

- Sprytne - przyznał z goryczą pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Któż mógłby zauważyć ich zniknięcie?

- I co pan zamierza zrobić? - Zapytał zastępca komendanta policji.

- Musimy przyjąć założenie, że wszystkich uchodźców opętano. W "Lancinim" jest czterysta kapsuł. Niech pan bezzwłocznie wyśle tam swych ludzi, żeby sprawdzili, ilu dokładnie zniknęło. Następnie niech pan odetnie kopuły Londynu od świata zewnętrznego i zawiesi działalność wszystkich systemów transportu miejskiego. Nakazę, by biuro burmistrza ogłosiło godzinę policyjną. Może nam się poszczęści. Jest druga trzydzieści. Dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców będzie w domach, zwłaszcza po dzisiejszych przerażających wydarzeniach. Jeśli uda się nam ich tam zatrzymać, zyskamy szansę zapobiec szerzeniu się opętania.

- Samochody patrolowe już są w drodze.

- Chcę też, żeby skierowano tam wszystkie zespoły ekspertów w arkologii. Ma pan trzydzieści minut na wprowadzenie ich do środka. Muszą zbadać wszystkie pomieszczenia sprawiające wrażenie, że niedawno ktoś w nich był. Pokoje dla personelu, magazyny i inne miejsca, gdzie nie ma czujników bezpieczeństwa. Mają szukać ludzkich śladów. Wszystko, co znajdą, trzeba poddać testom DNA.

Musiał też wydać inne rozkazy i poczynić taktyczne przygotowania. Obudzono i zwołano wszystkich policjantów oraz ochroniarzy, nakazując im przygotować się do starcia z opętanymi. W szpitalach ogłoszono żółty alarm trzeciego stopnia, spodziewając się poważnych strat. Stacje użyteczności publicznej arkologii otoczono kordonem, obsługujących je techników zakwaterowano w pobliskich komisariatach. Agentów GISD-u postawiono w stan gotowości.

Po uruchomieniu administracyjnej maszyny - formalnie podlegającej biuru ds. obrony cywilnej burmistrza, ale w rzeczywistości kierowanej przez jednostkę sztucznej inteligencji B7 - pełnomocnik na Europę Zachodnią zwołał kolegów. Wszyscy zjawili się, powoli i niechętnie, w sensorywizyjnej sali konferencyjnej. Na samym końcu przybyli pełnomocnicy na Pacyfik Północny i Południowy.

- Mamy kłopoty - oznajmił na początek pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Wygląda na to, że Dexter zdążył opętać prawie czterysta osób.

- A ty o niczym nie wiedziałeś? - Zdumiał się pełnomocnik na Amerykę Środkową. - Co z jednostką sztucznej inteligencji i jej programami wyszukującymi?

- Porwał ich z kapsuł zerowych - wyjaśnił pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Powinniście sprawdzić firmy wynajmujące kapsuły zerowe w waszych arkologiach. To był nasz ślepy punkt.

- Po fakcie łatwo to zauważyć - poskarżył się pełnomocnik na Amerykę Północną.

- A Dexter oczywiście go znalazł - dodał pełnomocnik na Pacyfik Azjatycki. - Wykazuje się niepokojącym talentem do wykrywania naszych słabości.

- Ale i tak go załatwiliśmy - odezwał się pełnomocnik na Halo.

- Tak myślę - mruknął pełnomocnik na Europę Zachodnią, po raz pierwszy okazując niepewność. Wszyscy pozostali umilkli, porażeni nagłym szokiem.

- Przywaliłeś mu ze strategiczno-obronnego lasera rentgenowskiego! - Zaprotestował pełnomocnik na Europę Wschodnią.

- Nie mógł przeżyć.

- Mam nadzieję, że testy przeprowadzone w "Lancinim" to potwierdzą. Tymczasem reaktywowaliśmy symulację jego profilu psychologicznego, żeby określić, co zamierzał osiągnąć z tymi nowymi opętanymi. Fakt, że ich rozproszył, sugeruje coś w rodzaju zamachu stanu. Gdyby dał im swobodę, nie miałyby z tego żadnych korzyści. Nie zapominajcie, że Dexter pragnie podbić ludzkość w imię swojego Nosiciela Światła. Zapewne chciał przejąć kontrolę nad funkcjonującą arkologią, która mogłaby się stać bazą dla zaspokajania jego dalszych ambicji.

- Mam pytanie - odezwał się pełnomocnik na Afrykę Południową. - Wspominałeś, że Paul Jerrold padł ofiarą białego ognia. To sugeruje, że nie został opętany.

- W tym właśnie punkcie sprawa robi się ciekawa - odparł pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Załóżmy, że Jerrold został opętany i Dexter wysłał go z "Lanciniego" razem z całą resztą. Wszyscy rozproszyli się po Londynie, by pozyskiwać nowych rekrutów dla sprawy. Jednym z tych nowo przybyłych jest nasz sojusznik z Edmonton, przyjaciel Cartera McBrade'a.

- Cholera, naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście. Pokonał tego, kto opętał Paula Jerrolda, i udzielił nam ostrzeżenia, którego nie możemy zignorować. Ci dwaj policjanci omal nie dostali ataku serca, gdy trup spadł z góry tuż przed ich samochodem. Rozumiecie? Poinformował nas, że opętani wciąż pozostają aktywni, a jednocześnie powiedział nam, skąd się biorą. Tym jednym uczynkiem zdemaskował cały plan Dextera.

- Potrafisz ich zatrzymać?

- Sądzę, że tak. Otrzymaliśmy ostrzeżenie. Jeśli uda się powstrzymać ludność arkologii przed gromadzeniem się, opętani będą musieli zacząć się ruszać. A ruch zdradza ich obecność, czyni ich podatnymi na atak.

- Nie jestem taki pewien - sprzeciwił się pełnomocnik na Azję Wschodnią. - Wystarczy, że jeden opętany przeniknie do kompleksu mieszkalnego, a nie będzie się musiał nigdzie ruszać, żeby wszystkich opętać.

- Zauważymy to - zapewnił pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Jeśli skupią się tak gęsto, nie będą w stanie ukryć zaburzeń przed jednostką sztucznej inteligencji.

- Dobra, zauważycie - zgodziła się pełnomocnik na Pacyfik Południowy. - I co? Żaden oddział policji nie zdoła spacyfikować kompleksu, w którym mieszkają dwa albo trzy tysiące opętanych. A to nie będzie tylko jeden kompleks. Sam przyznałeś, że z "Lanciniego" zniknęły setki ludzi. Jeśli opanują sto kompleksów, nie zdołasz ich powstrzymać. B7 z pewnością nie może na własną rękę nakazać przeprowadzenia stu ataków strategiczno-obronnych. Nie po tym, co wydarzyło się w Parsonage Heights.

- Wracamy do wyjściowego problemu - zauważył pełnomocnik na Amerykę Południową. -

Czy zniszczymy całą arkologię, by opętani nie ukradli nam Ziemi?

- Nie, sprzeciwił się pełnomocnik na Europę Zachodnią.

- Nie zrobimy tego. Nie taki jest nasz cel. Jesteśmy policją i siłami bezpieczeństwa, nie megalomanami. Jeśli w którejś arkologii opętania przybiorą charakter lawinowy, będzie to oznaczało naszą porażkę. Pogodzimy się z nią z tak wielką godnością, na jaką nas stać, i ewakuujemy się z tego świata. Nie przyłożę ręki do masowej rzezi. Sądziłem, że wszyscy o tym wiecie.

- Dexter cię pokonał - skwitowała pełnomocnik na Pacyfik Południowy. - A stawką w grze była nasza planeta

- Poradzę sobie z czterystoma opętanymi w Londynie - sprzeciwił się pełnomocnik na Europę Zachodnią. - I z czterema tysiącami też. Zapewne mógłbym sobie poradzić nawet z piętnastoma tysiącami, choć to byłaby krwawa operacja. Bez Dextera są jedynie motłochem. A jeśli jeszcze żyje, przejmie nad nimi kontrolę i nie ukradną Ziemi. Dexter nie dopuści do tego. Nie o Londyn musimy się martwić.

- Nic nie wiesz - stwierdziła pełnomocnik na Pacyfik Południowy. - I nie jesteś w stanie nic zdziałać. Wszyscy możemy tylko biernie się przyglądać. I modlić się, żeby stworzona przez Siły Powietrzne antypamięć okazała się skuteczna. Oto, do czego nas doprowadziłeś. Uważasz, że jestem uparta i zimnokrwista, ale to znacznie lepsze niż twoja monstualna arogancja.

Jej obraz zniknął.

Inni pełnomocnicy podążyli za jej przykładem. Po chwili zostali tylko Ameryka Północna i Halo.

- Ta suka ma trochę racji - zauważył pełnomocnik na Amerykę Północną. - Nie możemy już zrobić zbyt wiele. Nawet jeśli uda ci się w Londynie, Paryżu, Nowy Jork i inne arkologie nas pogrążyć. Opętani poczynili tam znacznie większe postępy. Cholera, nie chcę stąd odlatywać.

- Nie powiedziałem naszym kolegom wszystkiego - oznajmił ze spokojem pełnomocnik na Europę Zachodnią. - Trzydziestu ośmiu zaginionych z "Lanciniego" zamknięto w kapsułach dopiero wczoraj. To znaczy, że operację ich porywania i opętania kontynuowano jeszcze dziewięć godzin temu. Wiemy też, że tą operacją kieruje Dexter. Przyjaciel Cartera McBride'a powiedział nam to bardzo wyraźnie, podrzucając ciało Jerrolda.

- Cholera jasna, on żyje - zawołał pełnomocnik na Halo.

- Dobry Boże, trafiłeś go z broni strategiczno-obronnej, a on to przeżył. Kim on jest, do diabła?

- Jest sprytny i twardy.

- I co teraz zrobimy? - Zapytał pełnomocnik na Amerykę Północną.

- Wyciągnę asa z rękawa - odparł pełnomocnik na Europę Zachodnią.

- A masz go?

- Jak zawsze.

*

Straszliwe, tragiczne krzyki nadal brzmiały słabo. Quinn zapuścił się w królestwo duchów głębiej niż kiedykolwiek dotąd, stał się czymś niewiele więcej ponad jego czepiający się resztek bytu mieszkańcy. Otworzył szeroko umysł, nasłuchując efemerycznego zawodzenia, które dobiegało z jakiegoś miejsca znajdującego się jeszcze dalej od rzeczywistego wszechświata. Pierwsze głosy, które usłyszał, pochodziły od ludzi, teraz jednak, gdy był bliżej, odnosił wrażenie, że odbiera też inne. Nie poznawał ich.

W niczym nie przypominały żalosnych błagań dobiegających z zaświatów. Brzmiały inaczej. Udręka wydawała się bardziej wyrafinowana, znacznie poważniejsza.

Trudno było sobie wyobrazić, że może istnieć miejsce gorsze od zaświatów. Ale przecież były one jedynie czyścim. Boży Brat żył w znacznie mroczniejszym królestwie. Serce Quinna zabiło mocniej na myśl, że może słyszeć kroki prawdziwego Pana, prowadzącego swą armię potępieńców przeciwko promiennym aniołom. Podczas owej długiej nocy Quinn tysiąc razy wykrzykiwał słowa powitania do istot, których głosy słyszał, wkładając w milczący głos całą swą moc. Gorąco pragnął odpowiedzi.

Ale się jej nie doczekał.

Nieważne. Pokazano mu prawdę. Gdy unosił się w królestwie duchów, najodleglejsze rubieże jego umysłu nawiedzały sny. Mroczne sylwetki połączone w gestach bólu, wojna trwająca od stworzenia świata. Nie widział, kim są, jak zawsze we śnie wymykały się spojrzeniu jego umysłu. Miał już jednak pewność, że to nie są ludzie.

Wojownicy Nocy. Demony.

Wymykały mu się. Na razie.

Quinn zebrał myśli i wrócił do świata rzeczywistego. Courtney ziewnęła i zamrugowała pośpiesznie, gdy Quinn obudził ją trąceniem stopy. - Uśmiechnęła się do swego mrocznego pana, wstając z zimnej posadzki.

- Już czas - powiedział Quinn.

Opełnani apostołowie, których wybrał, stali bezgłośnie w szeregu, czekając na rozkazy. Ze wszystkich stron otaczało ich zawrodoenie duchów, rozwścieczonych profanacją, jakiej dopuścił się Quinn. Były śmielsze niż kiedykolwiek dotąd, lecz nadal pozostawały bezsilne wobec jego mocy.

Billy-Joe wyszedł niespiesznie z korytarza, drapiąc się z bieglnością szympansa.

- Na dworze jest kurewsko spokojnie, Quinn. Dzieje się coś paskudnego.

- Chodźmy to zobaczyć, co? - Odparł Quinn i wyszedł w znieawidzony świt.

*

Gdy Louise i Genevieve się obudziły, na ekranie bloku procesorowego pojawiło się obwieszczenie o wprowadzeniu godziny policyjnej. Louise przeczytała je dwa razy, a potem połączyła się z procesorem sieciowym pokoju, prosząc o potwierdzenie. Czekala już na nią długa lista zakazów, oficjalnie informująca, że burmistrz tymczasowo zawiesił jej prawo do podróży i zgromadzeń. Gen przytuliła się do niej.

- Czy oni tu są, Louise? - Zapytała z rozpaczą w głosie.

- Nie wiem. - Objęła młodszą siostrę. - Wybuch w Parsonage Heights był bardzo podejrzany.

Władze chyba się obawiają, że niektórzy z nich uciekli.

- Ale to nie jest Dexter, prawda?

- Oczywiście, że nie. Policja dorwała go w Edmonton.

- Nie możesz być tego pewna!

- Istotnie. Ale to bardzo mało prawdopodobne, żeby był tutaj.

Śniadanie było jedną z niewielu rzeczy, których nie zabroniono. Kiedy zeszły do restauracji, zastępca dyrektora przy witał je osobiście w drzwiach, przepaszając wylewnie za brak personelu, i zapewnił jednocześnie, że ci pracownicy, którzy pozostali na miejscu, dołożą wszelkich starań, by hotel funkcjonował normalnie. Oznajmił też z żalem, że drzwi na ulice są zamknięte zgodnie z rozporządzeniem, a policja traktuje bardzo surowo każdego, kogo złapie na dworze.

Tylko przy kilkunastu stolikach siedzieli ludzie. Byli tak zastraszeni, że nikt się nie odzywał, choć tego akurat rozporządzenie nie zabraniało. Louise i Genevieve w ponurym milczeniu zjadły płatki kukurydziane i jajecznicę, a potem wróciły na górę. Nadawali właśnie wiadomości. Na holoeckranie widać było obraz Green Parku, a z tła dobiegał poważny głos komentarki. Po alejkach

chodziły stada jaskrawych ptaków, które dziobały płyty chodnikowe, jakby się zastanawiały, gdzie się podzieli wszyscy ludzie. Od czasu do czasu dziewczyny widziały samochód policyjny przemykający pustą Piccadilly i wjeżdżający na wspartą na wysokich kolumnach trasę szybkiego ruchu, która okrążała serce starego miasta.

Genevieve znudziła się bardzo szybko. Louise usiadła na łóżku i dalej oglądała wiadomości. W różnych miejscach arkologii w wysoko umieszczonych oknach miejsca zajęli reporterzy. Wszyscy przekazywali taki sam obraz: opustoszałe ulice i place. Biuro burmistrza, zawsze dbające o public relations, pozwoliło niektórym reporterom towarzyszyć policjantom w samochodach patrolowych i ci wiernie przekazywali obrazy posterunkowych, ścigających podejrzanego wyglądających młodzieńców, którzy wałęsali się po ulicach, otwarcie rzucając wyzwanie władzy. Niekończący się korowód wysokich rangą przedstawicieli Rządu Centralnego udzielał wywiadów, zapewniając widzów, że godzina policyjna jest środkiem zapobiegawczym, którego zastosowanie dowodzi, że burmistrz jest silnym przywódcą, a jego determinacja nie dopuści, by Londyn przerodził się w drugi Nowy Jork. Dlatego prosimy o współpracę i zapewniamy, że do końca tygodnia kryzys będzie rozwiązany.

Zniesmaczona Louise nacisnęła wyłącznik. Nadal nie było wiadomości od Joshui.

Genevieve zawiązała buty ślizgowe i poszła do holu ćwiczyć techniki slalomowe. Louise towarzyszyła siostrze; pomogła jej ustawić puszki po coli na gładkiej, marmurowej posadzce.

Dziewczynka pokonała już połowę trasy, mocno pracując nogami, gdy główne drzwi obrotowe poruszyły się nagle i do holu wszedł Ivanov Robson. Genevieve pisnęła z zaskoczenia, tracąc koncentrację. Nogi się jej rozjechały i walnęła boleśnie na posadzkę. Pod wpływem impetu pomknęła naprzód i uderzyła o łydki Robsona.

- Aj!

Potarła kolano i bark.

- Jeśli zamierzasz robić takie rzeczy, powinnaś przynajmniej włożyć ubiór ochronny - stwierdził Robson. Wyciągnął wielką łapę do dziewczynki i pomógł jej wstać.

Nogi Genevieve znowu zaczęły się rozjeżdżać. Pośpiesznie strzeliła dwukrotnie prawą piętą, by nie skompromitować się kolejnym upadkiem.

- Co tu robisz? - Wydyszała.

Zerknął na recepcjonistkę.

- Ktoś mnie poprosił, żebym was stąd zabrał.

Louise wyjrzała przez szklane drzwi obrotowe na zewnątrz. Na ulicy czekał policyjny samochód. Okna miał zaciemnione. Prywatnym detektywom nie przysługiwał oficjalny transport podczas godziny policyjnej, nawet jeśli przechwalali się, że mają wysoko postawionych znajomych.

- Kto? - Zapytała od niechcienia.

- Ktoś ważny.

Louise nawet w najmniejszym stopniu nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej. Wręcz przeciwnie, Robson zapewne po raz pierwszy był z nimi naprawdę szczerzy.

- Czy jesteście aresztowane?

- Bynajmniej.

- A jeśli odmówimy?

- Proszę, nie róbcie tego.

Louise objęła ramieniem Gen.

- W porządku. A dokąd pojedziemy?

Ivanov Robson uśmiechnął się radośnie.

- Nie mam bladego pojęcia. Sam bardzo bym chciał się przekonać.

Wrócił z dziewczynami do pokoju, prosząc, by jak najszybciej się spakowały. Odźwierny i dwóch nocnych portierów zniosło bagaże na dół.

Robson uregulował w recepcji ich rachunek, uciszając niezdecydowane protesty Louise. Potem wyszli przez obrotowe drzwi na ulicę i wsiedli do policyjnego samochodu. Ich rzeczy załadowano do bagażnika.

- Tu jest bardzo wygodnie - zauważyła Louise, gdy Robson wszedł do środka i zajął miejsce naprzeciwko nich. Wnętrze przypominało luksusową limuzynę: miękkie, obite skórą siedzenia, klimatyzacja i foliowane szyby. Spodziewała się niemal, że zobaczy barek.

- To nie jest typowa policyjna suka - zgodził się Robson.

Pomknęli wzdłuż Piccadilly, skręcając w trasę szybkiego ruchu. Louise widziała wszystkie holograficzne reklamy rozbłyaskujące nad pustymi ulicami na dole. Wyobrażała sobie miliony par oczu śledzących ich samochód zza nieprzezroczystych szklanych fasad. Ludzie z pewnością zastanawiali się, dokąd jadą, czy gdzieś wykryto obecność opętanych. W mieście nie było żadnych innych powodów do aktywności policji. Nawet samemu burmistrzowi nie wolno było wychodzić z domu przy Downing Street pod numerem 10, o czym jego biuro prasowe przypominało już dziś rano ze sto razy.

Louise wypełniała coraz silniejszą ciekawość. Dziewczyna gorąco pragnęła spotkać osobę, która ją wezwała. Nie ulegało wątpliwości, że wokół niej działo się wiele spraw, o których nie miała pojęcia. Miło by było usłyszeć jakieś wyjaśnienie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego ktoś tak potężny chciałby się zobaczyć z nią i z Gen.

Nadzieja, że wszystko szybko się wyjaśni, zgasła w niej jednak, gdy samochód opuścił obwodnicę, wjeżdżając do ośmiopasmowego tunelu. Zatrzasnęły się za nimi ogromne wrota. Potem były już tylko ściany z węglowego betonu oświetlone niebieskobiałymi światłami. Szeroka, pusta autostrada, jeszcze bardziej niż wyludniona arkologia, uzmysłowiła Louise siłę strachu, który skłonił mieszkańców Londynu do przestrzegania rozporządzenia.

Po pewnym czasie skręcili w mniejszy tunel, prowadzący do podziemnej strefy przemysłowej. Samochód wjechał do olbrzymiego, podziemnego garażu, którego łukowaty dach pasował raczej do stacji kolejowej z wieku pary. Na parkingu stały długie szeregi zaniedbanych, ciężkich wehikułów służących do poruszania się po powierzchni planety. Samochód policyjny dotarł do końca garażu, gdzie stał volkswagen trooperbus. Przy wielkim pojeździe pracowali dwaj technicy i trzy mechanoidy, przygotowując pojazd do drogi.

Drzwi się otworzyły i do środka buchnęła fala gorącego, wilgotnego powietrza cuchnącego grzybem. Genevieve zatkała nos, demonstrując przesadny wstręt, po czym podążyła za Robsonem i siostrą, by przyjrzeć się wehikułowi. Trooperbus miał po obu stronach po sześć podwójnych kół o średnicy półtora metra. Ich bieżniki były tak głębokie, że można było w nie włożyć rękę. O tył pojazdu opierał się ciężki, wciągany wózek zwrotny, zdolny wywlec go z błota sięgającego powyżej osi. Brudna, oliwkowozielona karoseria trooperbusa przywodziła na myśl kadłub płaskodennej łodzi. Pojazd miał szereg podłużnych okienek z boku i dwie wielkie, pochyłe szyby przednie. Grube szkło miało ciemnofioletowy odcień. Razem z pancerzem ze stali i tytanu wehikuł ważył trzydzieści sześć ton i było niemal niemożliwe, by burza armadowa zdołała go przewrócić. Dla pewności wyposażono go dodatkowo w sześć dział harpunnicznych, które wstrzeliwały w ziemię długie, wyposażone w zadziory harpuny, wzmacniające stabilność samochodu podczas niebezpiecznej pogody.

Genevieve przesunęła powoli wzrokiem wzdłuż potężnej, ubłoconej maszyny.

- Wyjedziemy na zewnątrz? - Zapytała zaskoczona.

- Na to wygląda - zgodził się radosnym tonem Robson.

Jednemu z mechanoidów rozkazano przenieść bagaże obu dziewczyn do schowka w boku trooperbusa. Technik wskazał włącz.

W głównej kabinie mogło się zmieścić czterdziestu pasażerów, ale w tym przypadku wyposażono ją w dziesięć wygodnych foteli obrotowych, wyściełanych skórą. Z tyłu ulokowano toaletę i małą kuchenkę, a z przodu znajdowała się trzyosobowa kabina kierowcy, który przedstawił się im jako Yves Gaynes.

- Tym razem nie mamy stewardesy - oznajmił. - Jeśli chce się wam jeść albo pić, szukajcie w szafkach. Jesteśmy dobrze zaopatrzeni.

- Jak długo potrwa jazda? - Zapytała Louise.

- Powinniśmy zdążyć na popołudniową herbatę.

- A dokąd właściwie jedziemy?

- To tajna informacja - odparł, mrugając znacząco.

- Czy można popatrzeć przez przednią szybę? - Zapytała Genevieve. - Bardzo bym chciała zobaczyć, jak naprawdę wygląda Ziemia.

- Pewnie, że można.

Skinął na nią i dziewczynka przelazła do kabiny kierowcy. Louise zerknęła na Robsona.

- Idź - powiedział jej. - Ja już byłem na zewnątrz.

Louise dołączyła do siostry.

Yves Gaynes usiadł za konsolą i uruchomił program startowy. Włącz się zamknął, włączyły się filtry powietrza. Dziewczyna westchnęła, gdy nagle zrobiło się chłodniej. Smród i wilgoć zniknęły. Trooperbus ruszył naprzód. Fragment ściany garażu uniósł się, odsłaniając rampę z węglowego betonu, skąpaną w promieniach słońca tak jaskrawych, że Louise musiała przymrużyć powieki, mimo że osłaniało ją barwione szkło.

*

Londyn nie kończył się za granicą dziewięciu zewnętrznych kopuł. Właściwa arkologia ograniczała się w zasadzie do stref mieszkalnych i przemysłowych. Jedynymi działającymi tu firmami byli producenci oprogramowania, projektanci mody oraz trochę lekkiego przemysłu. Ciężki przemysł ulokowano na zewnątrz, w długich na dziesięć kilometrów podziemnych schronieniach. Znajdowały się tam odlewnie, rafinerie chemiczne oraz zakłady recyklingowe. Do ścian kopuł przylegały też - na podobieństwo betonowych mięczaków - stacje regulacji środowiskowej, zaopatrujące mieszkańców w energię, wodę oraz chłodne, oczyszczone powietrze. Nad terenami otaczającymi arkologię dominowały jednak fabryki żywności. Setki kilometrów kwadratowych oddano pod syntetyzatory, zdolne produkować białka, węglowodany i witaminy, a także łączyć je w milion różnych kombinacji, które jednak z jakiegoś powodu nigdy nie smakowały tak jak płody natury. Zaopatrujące w żywność całą arkologię fabryki czerpały surowce z morza, odpadków oraz powietrza, a produkt pakowały w saszetki i kartony. Bogaci mogli sobie niekiedy pozwolić na importowane smakołyki, ale większość spożywanych przez nich produktów wytwarzano w taki sam sposób, jak pastę burgerową czy granulki ziemniaczane, przeznaczone dla plebsu.

Minęło czterdzieści minut, nim trooperbus zostawił za sobą ostatnie wielkie, zagłębione do połowy w ziemi budynki z węglowego betonu, pełne organicznych syntetyzatorów oraz kadzi, w których klonowano mięso. Siostry z zainteresowaniem gapiły się na rozciągający się wokół szmaragdowy przestwór, Louise jednak czuła coraz głębsze rozczarowanie. Spodziewała się czegoś dynamiczniejszego. Nawet na Norfolku krajobrazy robiły większe wrażenie. Jedynym, co się tu poruszało, były długie wstęgi sinych chmur, sunących po jaskrawokobaltowym niebie. Od czasu do czasu wielka kropla deszczu uderzała o szybę z głuchym *plask!*

Jechali drogą, której nawierzchnią była jakiegoś rodzaju ciemna siatka. Z otworów w niej gęsto wyrastały źdźbła tej samej, jaskrawozielonej trawy, która pokrywała każdy cal powierzchni.

- Czy nie ma tu żadnych drzew? - Zapytała Louise. Miała wrażenie, że jadą przez intensywnie zieloną pustynię. Nawet niewielkie, nieregularne wyniosłości, które brała za głązy, porastała taka sama roślinność.

- Już nie - odparł Yves Gaynes. - To w praktyce jedyna roślina, jaka pozostała na całej planecie. Zielona trawa ojczystego domu - trawa taśmowa, coś w rodzaju krzyżówki między trawą a mchem. Inżynierowie genetyczni wyposażyli ją w sieć korzeni, tworzącą najtwardszą, najodporniejszą płataninę, jaką można sobie wyobrazić. Kiedyś złamałem łopatę, próbując ją wykopać. Korzenie sięgają ponad sześćdziesiąt centymetrów w głąb. Musimy jednak ją siać. Nic innego równie skutecznie nie powstrzyma erozji. Szkoda, że nie widziałyście powodzi, jakie tu mamy po burzach. Każde zagłębienie w ziemi zmienia się w strumień. Zapewniam, że gdyby w Mortonridge mieli coś takiego, sprawy ułożyłyby się inaczej.

- Czy można ją jeść? - Zapytała Genevieve.

- Nie. Jej twórcom za bardzo się śpieszyło. Chcieli tylko stworzyć coś, co wykona zadanie i nie zawracali sobie głowy podobnymi udoskonaleniami. Chodziło o to, żeby trawa była niewiarygodnie odporna biologicznie. Potrafi znieść każdą dawkę ultrafioletu, jaką może ją zaatakować słońce, jest też odporna na wszystkie choroby. Dlatego już za późno na zmiany. Nie możemy jej zastąpić nową odmianą, ponieważ rośnie wszędzie. Wystarczy jej półcentymetrowa warstwa gleby. Tylko urwiska skalne się jej opierają, a z myślą o nich wyhodowaliśmy grzyby czareczkowe.

Genevieve wydeła wargi, przyciskając się do szyby.

- A co ze zwierzętami? Czy jakieś przetrwały?

- Właściwie nikt nie jest pewien. Widywałem czasami jakieś ruchy, ale nigdy z bliska. To mogły być tylko kłęby martwej trawy taśmowej, niesione wiatrem. Podobno w norach niektórych dolin niezalewanych przez wodę żyją rodziny królików. Moi znajomi, inni kierowcy, twierdzą, że je widzieli. Nie wiem, jak to możliwe. Ultrafioletowe promieniowanie powinno wypalić im oczy i spowodować raka skóry. Może zdołały się na nie uodpornić. Z pewnością rozmnażają się wystarczająco szybko, żeby ewolucja mogła zadziałać, poza tym to zawsze były twarde skurczybyki. Niektórzy opowiadają, że żyją tu też pумы i lisy żywiące się królikami. A jeśli cokolwiek przetrwało poza kopułami, to z pewnością szczury.

- Dlaczego w ogóle ktoś wyjeżdża na zewnątrz? - Zapytała Louise.

- Ekipy naprawcze muszą konserwować tunele kolei próżniowej. Są też grupy ekologów starających się naprawiać najgorsze skutki erozji. Sieją nową trawę taśmową, naprawiają brzegi rzek zmyte przez powódź i tak dalej.

- Po co się trudzić?

- Arkologie ciągle się rozrastają, bez względu na emigrację. Mówi się, że w tym stuleciu trzeba będzie wybudować w Londynie dwie nowe kopuły. W Birmingham i Glasgow również znowu robi się tłoczno. Musimy dbać o glebę, bo jeśli nie będziemy tego robić, woda zmyje wszystko do morza, a nam zostaną kontynenty, które będą jedynie skalnymi płaskowyżami. Ten świat dość już wycierpiał. Wyobraźcie sobie, jak będą wyglądały oceany, jeśli pozwolimy, by zanieczyściła je taka masa gleby. Tylko one pozwalają nam przetrwać. Pewnie wszystko się sprowadza do tego, że dbamy o własny interes. Dzięki temu nigdy nie przestaniemy chronić Ziemi, a to z pewnością dobrze.

- Podoba się tu panu, prawda? - Zapytała Louise.

- Bardzo - potwierdził Yves Gaynes z radosnym uśmiechem.

Wciąż jechali przez spustoszoną okolicę przykry tą drogocennym, żywym płaszczem ochronnym. Louise straszliwie przygłębził widok pustkowi. Wyobrażała sobie, że trawa taśmowa jest czymś w rodzaju ogromnego, sterylonego opakowania, nałożonego na nietknięte pola i lasy na dole. Gorąco pragnęła zobaczyć coś, co zakłóciłoby tę jednorodność, jakieś obudzone z hibernacji listowie, które na nowo wypełniłoby krajobraz kolorami i różnorodnością. Wiele by oddała, za chociaż jeden cedr wznoszący się dumnie ku niebu, choć jeden symbol oporu, odrzucenia tej biernej kapitulacji przed nienaturalnymi żywiołami. Ziemia, tak bogata i pełna cudów, powinna była spisać się lepiej.

Zmierzali cały czas na północ, opuszczając dolinę Tamizy. Yves Gaynes pokazywał im stare miasteczka i wioski. Ściany budynków przerodziły się w wyniosłości porośnięte trawą taśmową, nazwy zaś stały się jedynie słowami zapisanymi w bloku sterującym trooperbusa. Pojazd opuścił drogę o siatkowej nawierzchni już dawno temu, gdy Louise wróciła do głównej kabiny, by podgrzać saszetki obiadowe. Jechali teraz po trawie taśmowej. Potężne koła miażdżyły ją na miazgę, zostawiając dwa ciemnozielone ślady. Okolica robiła się coraz bardziej górzysta. Mijali głębokie doliny i wzgórza o nagich, skalistych grzbietach, naznaczonych szponami szarozielonych porostów i grzybów o barwie ochry. W parowach płynęły parujące lekko strumienie, a wszystkie zagłębienia terenu wypełniały jeziora.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Yves Gaynes, cztery godziny od chwili, gdy opuścili Londyn.

Ivanov Robson wcisnął swe wielkie cielsko do kabiny w ślad za siostrami i gapił się przed siebie z taką samą ciekawością jak one. Przed nimi wznosiła się kopuła z geodezyjnego kryształu. Jej średnica wynosiła pewnie z pięć mil, a zarys przebiegał przez stoki i doliny. Sama kopuła była szara, jakby wypełniała ją mgła tej barwy.

- Jak się nazywa to miejsce? - Zapytała Genevieve.

- Siódmy Instytut Badań Agronomicznych - odparł Yves Gaynes z poważną miną.

Genevieve spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale nie odezwała się ani słowem.

U podstawy kopuły otworzyła się brama, wpuszczając trooperbusa do środka. Gdy tylko zamknęła się za pojazdem, ze wszystkich stron spryskał go czerwony aerozol grzybobójczy, splukując z karoserii oraz kół błoto, w którym mogły być zarodniki. Potem wjechali do garażu i wjazd się otworzył.

- Pora na spotkanie z szefem - oznajmił Ivanov Robson, wyprowadzając dziewczyny z garażu. Louise zauważyła, że jest tu chłodniej niż wewnątrz trooperbusa i w kopule Westminster. Nie było jednak zimno, temperatura przypominała rześki wiosenny ranek. Dziewczyna nie marzła, choć miała na sobie tylko prostą, granatową suknię z krótkimi rękawami.

Ivanov skinął na obie, każąc im ruszać naprzód. Genevieve dwukrotnie stuknęła prawą piętą i pomknęła obok niego. Czekał na nie mały, czteroosobowy džip z brezentowym dachem w białoczerwone paski oraz kierownicą. Louise pierwszy raz na tej planecie zobaczyła coś takiego. Poczuli się pewniej, gdy Ivanov zasiadł na fotelu dla kierowcy. Obie z Gen usiadły z tyłu i ruszyli w drogę.

- Myślałam, że nie znasz tego miejsca - odezwała się Louise.

- Nie znam. Wskazują mi drogę.

Louise spróbowała połączyć się datawizyjnie z procesorem sieciowym, ale nie otrzymała odpowiedzi. Ivanov pokonał zakrzywiony tunel długości około dwustu metrów i nagle wyjechali w jasny blask słońca. Gen westchnęła z zachwytem. Pod kopułą Instytutu Badań znajdował się fragment Anglii, jaką znali z książek historycznych: zielone łąki usiane jaskrami i stokrotkami, kolczaste żywopłoty otaczające porośnięte trawą wybiegi dla koni, małe zagajniki jesionów, sosen i brzoź,

otaczające płytkie dolinki, wielkie kasztanowce i buki rosnące tu i ówdzie na wielu akrach terenów parkowych. Na wybiegach pasły się z zadowoleniem konie, a kaczki i różowe flamingi spędzały wesoło czas w jeziorze otoczonym pasmem lilii wodnych barwy białej bądź lilaróż. Pośrodku stał dwupiętrowy wiejski dom, w porównaniu z którym Cricklade wydawało się niegustowne i pretensjonalne. Mury z pomarańczowej cegły podtrzymywały grube, skośne dębowe belki w tradycyjnym stylu z epoki Tudorów. Trudno je było jednak wypatrzeć pod gęstwą pnących róż o kwiatach w kolorach topazu i szkarłatu. Okna o szybach złożonych z maleńkich rombów barwionego szkła otworzono szeroko, wpuszczając do środka leniwy powiew. Po krótko przystrzyżonym trawniku wiły się wyłożone kamiennymi płytami ścieżki, obramowane żywopłotami z równie starannie wypielęgnowanych krzewów. Koniec francuskiego ogrodu znaczył szereg starych cisów. Po jego drugiej stronie znajdował się kort tenisowy, na którym dwóch graczy wymieniało imponująco długie piłki.

Dżip dotarł pod dom. Brama z kutego żelaza otworzyła się przed nimi i wjechali na brukowany, porośnięty mchem podjazd. Jaskółki przemykały niziutko nad trawą po obu stronach, a potem wracały pod okap, gdzie ukrywały się ich gniazda z błota koloru ochry. Drewniany ganek przed frontowymi drzwiami całkowicie zarosło kapryfolium. Louise zauważyła, że w cieniu za drzwiami ktoś czeka.

- Jesteśmy w domu - wyszeptała zachwycona Genevieve.

Ivanov zatrzymał dżipa przed gankiem.

- Od tej chwili musicie sobie radzić same - oznajmił.

Louise obrzuciła go spojrzeniem, jednak on gapił się przed siebie, zaciskając mocno dłonie na kierownicy. Chciała klepnąć go po ramieniu, ale czekający na nich człowiek wyszedł już z domu. Był to młody mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku co Joshua. Nie miał jednak szczupłej twarzy o ostrych rysach jak on, lecz raczej puciołowatą. Mimo to był całkiem przystojny. Miał kasztanowe włosy, duże zielone oczy i usta zastygłe w wyrazie pośrednim między uśmiechem a szyderyczym grymasem. Nosił biały pulower oraz tenisowe szorty, na bosych stopach zaś rozlatujące się tenisówki z pozrywanymi sznurowadłami.

Wyciągnął rękę, uśmiechając się ciepło.

- Louise i Genevieve, wreszcie się spotykamy. Witajcie w moim domu.

Ze środka wyszedł czarny labrador i obwąchał mu stopy.

- Kim pan jest? - Zapytała Louise.

- Charles Montgomery David Filton-Asquith do usług. Wolę jednak, żebyście mówiły mi Charlie, jak wszyscy tutaj.

Louise zmarszczyła brwi. Nadal nie uścisnęła mu dłoni, choć nie wyglądał zbyt groźnie. Na pierwszy rzut oka niczym się nie różnił od młodych właścicieli ziemskich, jakich znała z domu, choć trzeba przyznać, że miał znacznie więcej szyku.

- Ale kim właściwie jesteś? Nic nie rozumiem. Czy to ty nas tu wezwałeś?

- Obawiam się, że tak. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, uznałem, że poczujecie się tu lepiej niż w Londynie. Tam nie jest teraz zbyt wesoło.

- Ale jak to możliwe? Jak mogłeś ominąć godzinę policyjną? Czy jesteś z policji?

- Niezupełnie. - Zrobił skruszoną minę. - Można powiedzieć, że to ja rządę światem. Szkoda, że w tej chwili idzie mi to tak kiepsko, ale takie już jest życie.

Po drugiej stronie starego domu znajdował się długi basen w kształcie kropli, o ścianach wyłożonych maleńkimi zielonymi i białymi płytkami. Dno na głębszym końcu zdobiła mozaika przedstawiająca Monę Lizę. Louise znała ten obraz, choć nie wydawało jej się, by na oryginale

kobieta odsłaniała lewą pierś. W basenie pluskała się radośnie grupa młodych ludzi grających w jakąś stworzoną przez siebie odmianę piłki wodnej. Używali do tego celu wielkiej, różowej piłki plażowej.

Louise usiadła za długim, dębowym stołem na wyłożonym płytami z piaskowca patio razem z Charliem i Gen. Świetnie stąd widziała basen i trawniki. Kamerdyner w białym uniformie przyniósł jej wysoką szklanę pimmsa z mnóstwem lodu i owoców. Gen dostała czekoladowego shake'a z truskawkami i lodami, Charlie zaś sączył dzin z tonikiem. Louise musiała przyznać, że wszystko to wygląda bardzo pięknie i kulturalnie.

- A więc nie jesteś prezydentem ani nikiem w tym rodzaju? - Zapytała, gdy Charlie opowiedział im o GISD i jego hierarchii biur.

- Bynajmniej. Mam po prostu pełnomocnictwo w sprawach bezpieczeństwa na obszarze Europy Zachodniej i współpracuję z moimi odpowiednikami w innych częściach świata, gdy groźba ma charakter globalny. Nikt nas nie wybrał. Mieliśmy szansę ustalić strukturę oraz zadania GISD-u w czasach, gdy rządy kontynentalne i ONZ łączyły się w Rząd Centralny, i uczyniliśmy się częścią tej organizacji.

- To było dawno temu - zauważyła Louise.

- Na początku dwudziestego drugiego wieku. Interesujące czasy. Mieliśmy wtedy znacznie więcej roboty.

- Ale ty nie masz aż tylu lat.

Charlie uśmiechnął się i wskazał na ogród różany. Lekko wkopany w ziemię kwadratowy plac podzielono na segmenty, a w każdym z nich zasadzono krzewy o innych kolorach. Wokół nich łąziło powoli kilka przypominających żółwie stworzeń, które dumnie unosiły długie, ruchliwe szyje, pozwalające im oskubywać uschnięte kwiaty aż do nagiej gałęzi.

- To są technobiotyczne konstrukty. Wykorzystuję do pielęgnacji ogrodów dwanaście różnych gatunków. W sumie mam ich około dwóch tysięcy.

- Przecież adamiści zabronili stosowania technobiotyki na wszystkich swoich światach - zdziwiła się Genevieve. - Ziemia była pierwsza.

- Zwykłym obywatelom nie wolno jej stosować - zgodził się Charlie. - Ale ja to co innego. Technobiotyka i więź afiniczna są bardzo potężnymi technologiami, zapewniającymi B7 znaczną przewagę nad wrogami republiki. To połączenie dało mi też sześćset lat nieprzerwanego życia. - Wskazał dumnie na własną pierś.

- Oto moje trzydzieste pierwsze ciało. No wiecie, to wszystko były klony. Stworzono je partenogenetycznie, bym zachował temperament konieczny do swej pracy. Dysponowałem talentem afinicznym na długo przed powstaniem edenizmu. Początkowo używałem symbiontów neuronowych, potem do mojego DNA dodano odpowiednią sekwencję genową. Pod pewnymi względami metoda zapewniająca nieśmiertelność członkom B7 przypomina przedśmiertny transfer pamięci stosowany przez edenistów. Oni przenoszą się w ten sposób do warstw neuronowych habitatu, ja jednak wolę nowe, młode, pełne wigoru ciało. Klon hoduje się przez osiemnaście lat w pełnej izolacji sensorycznej, nie pozwalając na uformowanie się regularności myślowych. W ten sposób otrzymuję pusty mózg, czekający na wypełnienie. Gdy nadchodzi odpowiedni moment, po prostu redaguję wspomnienia, które chcę ze sobą zabrać, i przenoszę swą osobowość do świeżego ciała. Odrzucone wspomnienia przechowuję w technobiotycznym konstrukcie neuronowym, żeby żaden aspekt mojego życia nie zaginął.

- Trzydzieści jeden ciał w ciągu sześciuset lat to bardzo dużo - zauważyła Louise. - Saldanowie żyją teraz prawie dwieście lat. Nawet my, Kavanaghowie, możemy przeżyć sto

dwadzieścia.

- To prawda. - Charlie wzruszył ramionami ze skruszoną miną. - Ale przez trzecią część życia cierpiecie niedogodności związane ze starością. I wasz stan z każdą chwilą się pogarsza. Ja zaś po przekroczeniu czterdziestki bezzwłocznie przenoszę się do nowego ciała. Nieśmiertelność oraz wieczna młodość. To jest niezłe połączenie.

- Było - poprawiła go Louise, popijając łyk pimmsa. - Teraz się okazało, że każde z poprzednich ciał miało własną duszę. Widziałam to w wiadomościach. Kiintowie mówią, że dusze są czymś innym niż wspomnienia.

- Masz rację. Wszyscy członkowie B7 do tej pory zgodnie ignorowali ten fakt. Trudno to uznać za zaskoczenie. Jesteśmy bardzo konserwatywni. Przypuszczam, że od tej chwili nasze stare ciała trzeba będzie przechowywać w kapsułach zerowych, przynajmniej do czasu, gdy rozwiążemy problem zaświatów.

- A więc naprawdę żyłeś w dwudziestym pierwszym wieku? - Zdumiała się Gen.

- Tak. A przynajmniej go pamiętam. Jak zauważyła twoja siostra, definicja życia ostatnio zmieniła się radykalnie. Zawsze jednak uważałem, że przez wszystkie stulecia pozostawałem tą samą osobą. Od tak głęboko zakorzonego przekonania nie można się uwolnić w parę tygodni.

- Jak to możliwe, że stałeś się taki potężny? - Zapytała Louise.

- Zwyczajnie. Dzięki pieniądзом. W dwudziestym pierwszym wieku wszyscy byliśmy właścicielami albo menedżerami potężnych korporacyjnych imperiów. Nasze firmy jako pierwsze stały się nie tylko ponadnarodowe, lecz ponadplanetarne. Przynosiły zyski przekraczające dochody całych państw. Wtedy ponownie otworzyły się nowe granice, co zawsze jest bardzo zyskowne. Doszło też do wielkich niepokojów. To, co zwaliśmy Trzecim Światem, uprzemysławiało się szybko dzięki energii termojądrowej, a destabilizacja środowiska postępowała równie gwałtownie. Rządy państw i regionów przeznaczały gigantyczne środki na walkę z załamaniem się biosfery. Opiekę społeczną, administrację, ochronę zdrowia i bezpieczeństwo - wszystko to były dziedziny, którymi tradycyjnie zajmowały się rządy - pozbawiano powoli dostępu do pieniędzy z budżetu i prywatyzowano. Dla nas zmiana nie była aż tak radykalna. Prywatni ochroniarze strzegli własności korporacji już w dwudziestym wieku; prywatne firmy budowały więzienia i kierowały nimi; prywatna policja patrolowała zamknięte osiedla. W niektórych krajach człowiek musiał się ubezpieczyć, by państwowa policja zechciała rozpocząć śledztwo w sprawie przestępstwa, którego był ofiarą. Dlatego prywatyzacja policji była naturalną ścieżką rozwoju przemysłowego społeczeństwa. Nasza szesnastka kontrolowała dziewięćdziesiąt procent sił bezpieczeństwa na całym świecie i oczywiście ściśle współpracowaliśmy ze sobą w sprawach wywiadowczych. Zaczęliśmy nawet inwestować w sprzęt i szkolenia, które nigdy nie miały przynieść nam zysków. W ostatecznym rozrachunku to się jednak opłacało. Nikt inny nie mógłby bronić naszych fabryk i instytucji przed bossami miejscowych mafii. Przystępczość zaczęła spadać po raz pierwszy od dziesięcioleci. Potem postanowiliśmy powołać Rząd Centralny, który ujednolicił podatki, wprowadzając korzystne dla nas rozwiązania. Nasi prawnicy zajęli pozycje czołowych doradców ministrów i głów państw, a nasi lobbyści pomagali przepchnąć kontrowersyjne ustawy przez parlamenty. B7 było jedynie formalizacją i konsolidacją naszej pozycji.

- Potworne - oburzyła się Louise. - Jesteście dyktatorami.

- Tak samo jak właściciele ziemscy z Norfolku - zauważył Charlie. - Twoja rodzina niczym się ode mnie nie różni, Louise, poza tym, że ja jestem bardziej szczerzy.

- Ludzie przybyli na Norfolk po spisaniu konstytucji. Nikt im jej nie narzucił.

- Mógłbym się z tobą spierać, ale świetnie rozumiem twoje oburzenie. Zapewne lepiej niż ty

sama. W ciągu stuleci spotkałem się z nim wielokrotnie. Mogę cię jedynie prosić o to, byś osądzała nas po rezultatach. Ziemia ma stabilną, stosunkowo zamożną populację, zdolną kierować swym życiem, jak tylko zechce, przynajmniej w pewnych granicach. Przetrwaliśmy katastrofę klimatyczną, dotarliśmy do gwiazd i skolonizowaliśmy je. Nie dokonalibyśmy tego wszystkiego, gdyby nie silne przywództwo, którego brak jest przekleństwem współczesnej, sterowanej przez media demokracji. Uważam, że osiągnęliśmy naprawdę wiele.

- Edeniści mają demokrację i prosperują świetnie.
- Ach, tak, edeniści. Nasz największy, przypadkowy triumf.
- Jak to, przypadkowy?

Louise nie potrafiła ukryć zainteresowania. Odsłaniano przed nią prawdę o ustroju i dziejach świata. Prawdziwą historię, której nigdy oficjalnie nie ujawniono. Wszystko, czego nie mogła się dowiedzieć w domu.

- Chcieliśmy zatrzymać technobiotykę wyłącznie dla siebie i dlatego spróbowaliśmy zakazać jej stosowania - zaczął Charlie. - Wiedzieliśmy, że polityczna deklaracja nie wchodzi w grę. Nie sprawowaliśmy jeszcze pełnej kontroli nad legislaturą i sądami. Dlatego zdecydowaliśmy się na potępienie przez autorytety religijne. Miała je poprzedzać dziesięcioletnia negatywna kampania. Byliśmy już blisko celu. Papieżycza Eleonora była gotowa uznać więź afiniczną za dzieło szatana. Ajatollahowie podążyliby za jej przykładem. Potrzebowaliśmy jeszcze tylko kilku lat nacisku i niezależne firmy byłyby zmuszone zaprzestać dalszych badań. Technobiotyka oraz więź afiniczna wyszłyby z użycia, stały się kolejną ślepą uliczką w rozwoju technologii. W historii było mnóstwo podobnych przykładów. I wtedy Wing-Cit Czong przetransferował swą osobowość do warstw neuronowych Edenu. O ironio, nie zdawaliśmy sobie sprawy z potencjału habitatów, mimo że sami prowadziliśmy podobne eksperymenty, pragnąc osiągnąć nieśmiertelność. To zmusiło papieżycę do działania. Jej deklaracja była przedwcześnie. Technobiotyka i więź afiniczna nadal były w powszechnym użyciu na Ziemi, zakazu nie posłuchano od razu. Jego przeciwnicy emigrowali do Edenu, który dokonał już wówczas secesji i znalazł się poza naszym zasięgiem. Nie mieliśmy żadnego wpływu na kształt społeczeństwa edenistów. W końcu nasi agenci nie byli w stanie go zinfiltrować.

- Ale stworzyliście prawa dla całej reszty ludzkości.

- Oczywiście. Kontrolujemy zasadnicze aspekty polityki Rządu Centralnego, nasze firmy dominują nad ziemskim przemysłem, a gospodarka Ziemi jest najpotężniejsza w Konfederacji. To my najwięcej inwestujemy w rozwój infrastruktury nowo skolonizowanych światów, ponieważ żyjemy wystarczająco długo, by doczekać korzyści, które nadejdą dopiero za dwa stulecia. Nasza szesnastka jest właścicielem znaczącego procentu majątku całej ludzkości.

- A po co to wam? Nikt nie potrzebuje tak wielu pieniędzy.

- Zdziwiłabyś się. Nadzór policyjny i obrona kosztują miliardy fuzjodolarów. Siły Powietrzne Rządu Centralnego przypominają finansowy horyzont zdarzeń. Nadal, jak zawsze, sami płacimy za swoje bezpieczeństwo. Dzięki temu zapewniamy je też innym. Przyznaję, że jestem dyktatorem, ale tak oświeconym, jak to tylko możliwe.

Louise potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Jednak pomimo całej swej władzy i majątku nie zdołaliście powstrzymać Quinna Dextera.

- Masz rację - przyznał. - To nasza największa porażka.

Możemy stracić całą planetę i jej czterdzieści miliardów mieszkańców. Wszystko dlatego, że nie byłem wystarczająco inteligentny, by go przechytryć. Historia uzna nas za najgorszych grzeszników. I słusznie.

- A więc on już wygrał? - Zapytała zatrwożona Louise.

- W Parsonage Heights użyliśmy przeciwko niemu platformy strategiczno-obronnej, mimo to ocalał. Teraz już nikt go nie powstrzyma.

- To znaczy, że podążył za nami do Londynu?

- Tak.

- Cały czas manipulowałeś mną i Gen, prawda? Ivanov Robson jest jednym z twoich agentów.

- Tak, manipulowałem wami. I nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Stawka w pełni to usprawiedliwia.

- Pewnie masz rację - zgodziła się potulnie. - Polubiłam Robsona, chociaż zawsze wydawał mi się odrobinę za dobry, żeby mógł być prawdziwy. Nigdy nie popełniał błędów. Rzeczywiscie ludzie tacy nie są.

- Nie przejmuj się Robsonem. Nie jest agentem. Obawiam się, że zwerbowałem go po procesie. Tacy ludzie zawsze są dla mnie użyteczni, ale nasz przyjaciel Ivanov nie jest sympatycznym facetem. Przyznaję jednak, że nie jest aż tak odrażający jak Banneth. Ona była tylko wirusem wielkości człowieka. Jej obłąkane obsesje przerażały nawet mnie, a to nie jest łatwe po wszystkich okropnościach, jakich byłem świadkiem w ciągu długiego życia.

- A co z Andym? On również pracował dla ciebie?

Charlie rozpromienił się.

- Och, tak, romantyczny sprzedawca. Nie, on był autentyczny. Nigdy bym się nie spodziewał, że kupisz sobie neuronowy nanosystem, Louise. Nie przestajesz mnie zaskakiwać i zachwycać.

Łypnęła na niego znad brzegu szklanki.

- I co teraz? Po co nas tu sprowadziłeś? Nie wierzę, że chciałeś po prostu wytłumaczyć wszystko osobiście. Nie zamierzasz też chyba nas przeprosić.

- Byłaś moją ostatnią szansą, Louise. Miałem nadzieję, że Dexter spróbuje podążyć za tobą tutaj. Została mi jeszcze jedna broń, która może okazać się skuteczna. Nazywa się antypamięć i niszczy dusze. Stworzyły ją Siły Powietrzne Konfederacji, ale jest dopiero w stadium prototypu. To znaczy, że trzeba będzie jej użyć z bardzo bliskiego zasięgu. Gdyby przybył tu za tobą, mielibyśmy szansę ją zastosować. To byłoby moje ostatnie, szlachetne poświęcenie. Byłem gotowy stawić mu czoło.

Louise pośpiesznie rozejrzała się po ogrodzie, wypatrując diabła, którego twarzy nigdy nie miała zapomnieć. Głupia reakcja, ale wizja Quinna Dextera ścigającego ją uparcie przez pustkowia mroziła krew w żyłach.

- Ale się nie zjawiał.

- Tym razem nie. Dlatego z chęcią zabiorę was obie ze sobą, gdy opuścę planetę. Dopilnuję, żebyście dotarły na orbitę Jowisza.

- To ty zatrzymywałeś moje listy do Joshui!

- Tak.

- Chcę z nim porozmawiać. Natychmiast.

- Obawiam się, że mam dla ciebie jeszcze jedną złą wiadomość. Joshua nie przebywa już w Tranquillity. Wyruszył z eskadrą Sił Powietrznych Konfederacji na jakąś akcję przeciwko opętanym. Nawet ja nie zdołałem odkryć, na czym właściwie polega ich misja. Jeśli chcesz, możesz wysłać wiadomość do Lorda Ruin z prośbą o potwierdzenie.

- Zrobię to - zapowiedziała z irytacją Louise, po czym wstała i wyciągnęła rękę do Gen. - Chcę się trochę przejść, chyba że to też jest sprzeczne z twoimi zasadami. Muszę przemyśleć

wszystko, co powiedziałeś.

- Oczywiście. Jesteście moimi gośćmi. Możecie chodzić, gdzie chcecie. W kopule nie ma nic, co mogłoby być niebezpieczne... Aha, nad jednym ze strumyków rośnie gąszcz barszczu kaukaskiego. On może boleśnie poparzyć.

- Dobra. Będziemy uważały.

- Mam nadzieję, że zjecie ze mną kolację. Przedtem z reguły spotykamy się na drinka na tarasie. Około wpół do ósmej.

Louise wołała nic nie mówić. Mocno ścisnęła dłoń siostry i wyszła na trawnik, oddalając się od basenu i wypełniającego go rozbawionego tłumu.

- To wszystko było totalnie ultraniewiarygodne - wygarnęła Gen.

- Aha. Chyba że jest największym kłamcą w Konfederacji. Byłam taka głupia. Zrobiłam wszystko, czego ode mnie chciał, niczym jakaś durna, nakręcana lalka. Jak mogłam uwierzyć, że za próbę przemycenia opętanego na Ziemię udzielił nam tylko pouczenia? Za mniejsze przestępstwa skazują ludzi na śmierć.

Gen zrobiła minę zbitego psiaka.

- Nie mogłaś się tego domyślić, Louise. Jesteśmy z Norfolku, nic nam nie mówią o tym, jak wygląda życie na innych światach. Co więcej, dwukrotnie same uciekłyśmy przez Dexterem. Charlie nie może się tym pochwalić.

- Istotnie.

Problem z gniewem Louise polegał na tym, że jego znaczna siła była skierowana do wewnątrz, przeciwko niej samej. Ludzie z B7 robili, co było konieczne, by chronić Ziemię. Charlie miał rację. Ona się nie liczyła. Nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie zagrożenie stanowi Dexter, ale żeby nie zauważyć, iż dzieje się coś podejrzanego, pomijając lekką nieufność wobec Robsona... Idiotka!

Dotarły do końca trawnika i przeszły przez jeden z magnoliowych żywopłotów do jabłoniowego sadu. Drzewka były niskie, ich powyginane konary i szara, spękana kora świadczyły o wiekowości. Z gałęzi zwisały wielkie jemioly. Korzenie pasożytów tworzyły w drewnie asymetryczne wypukłości. Technobiotyczne konstrukty, przypominające małe owce o złotobrazowym runie, pasły się między drzewami, przycinając trawę do odpowiedniej długości.

Gen przez pewien czas śledziła ich powolne ruchy. Konstrukty były śliczne. Nie wyglądały na diabelski pomiot, za jaki uważał je pastor z Colsterworth, zawsze w swych niedzielnych kazaniach potępiający technobiotykę.

- Wierzysz, że zabierze nas na Tranquillity? - Zapytała. - Bardzo bym chciała je zobaczyć. I Joshuę też - dodała pośpiesznie.

- Sądzę, że tak. Już nie jesteśmy mu potrzebne.

- Ale w jaki sposób dotrzemy do Halo? Koleje próżniowe i wieże wyłączono, a w ziemskiej atmosferze nie wolno używać statków kosmicznych.

- Nie słuchałaś, co mówił Charlie? On jest rządem. Może robić, co tylko zechce. - Uśmiechnęła się i przyciągnęła Gen do siebie. - Znając B7, podejrzewam, że cała kopuła może odlecieć na orbitę.

- Naprawdę?

- Wkrótce się przekonamy.

Powoli okrążyły dom, uspokojone swojskim wyglądem otoczenia. Za sadem znalazły wielką, zaniedbaną szklarnię o drewnianym szkielecie. Na półkach stało mnóstwo doniczek z kaktusami oraz pelargoniami. Między nimi łaził serwoszympan, który ciągnął za sobą wąż ogrodniczy i polewał

zielone pędy wodą.

- Wygląda na to, że w tej kopule mają zimę - powiedziała do siostry Louise, gdy obie zajrzały do środka.

Za szklarnią znajdowała się alejka obsadzona drzewami wiśni. Pod nimi spacerowały dwa wielkie pawie. Ich przenikliwe krzyki niosły się echem w parnym powietrzu. Siostry przyglądały się, jak jeden z ptaków rozpostarł zielono-złoty ogon, władczo wyginając szyję do tyłu. Garstka małych samic spokojnie dziobała krótką trawę, ignorując ten pokaz.

Kiedy siostry dotarły do podjazdu, nie było już na nim śladu dżipa ani Ivanova Robsona. Przeszły przez lukę między kwitnącymi krzewami białej fuksji i znowu ujrzały przed sobą basen. Charlie zniknął z patio.

Jedna z dziewczyn w basenie zauważyła je i pomachała, a potem pobiegła ku nim, krzycząc głośno. Była parę lat starsza od Louise i miała na sobie fioletowe bikini.

Louise zaczekała na nią uprzejmie, maskując skrępowanie obojętną miną. Bikini było bardzo skąpe. Starła się odegnąć od siebie myśl, że żaden sklep na Norfolkku nie zechciałby sprzedawać czegoś takiego z uwagi na nakazy przyzwoitości. Gen najwyraźniej nie przeszkadzało to zupełnie.

- Cześć! - Zawołała radosnym tonem dziewczyna. - Jestem Divinia, jedna z przyjaciółek Charliego. Mówił nam, że przyjedziecie. Wydeła usta, spoglądając na Genevieve. - Masz ochotę popływać? Wyglądasz na zgrzaną i znudzoną.

Gen tęsknie spojrzała na grupę bawiącej się w basenie młodzieży. Były tam dzieci w jej wieku.

- Mogę? - Zapytała, spoglądając na Louise.

- Hmm... Nie mamy kostiumów.

- To nie problem - zapewniła Divinia. - W szatni znajdzie się parę zapasowych.

- No to idź - zgodziła się z uśmiechem Louise.

Genevieve odwzajemniła uśmiech i popędziła w stronę budynku.

- Nie chcę być nieuprzejma, ale kim właściwie jesteś? - Zapytała Louise.

- Już ci mówiłam, kochanie. Przyjaciółką Charliego. Bardzo dobrą przyjaciółką. - Divinia zauważyła, na co gapi się Louise, i parsknęła śmiechem, wypinając piersi jeszcze bardziej. - Jak je masz, to pokazuj, kochanie. Nie będą trwały wiecznie, pomimo inżynierii genetycznej i pakietów kosmetycznych. Grawitacja zawsze z czasem nas pokona. Szczerze mówiąc, jest gorsza niż podatki.

Louise zaczerwieniła się tak mocno, że musiała skorzystać z pomocy neuronowego nanosystemu.

- Przepraszam. - Divinia uśmiechnęła się ze skruchą. - Zawsze za dużo gadam. Nie jestem przyzwyczajona do ludzi, którzy mają silne opory dotyczące nagości.

- Nie mam żadnych oporów. Po prostu jeszcze się nie przyzwyczaiałam do miejscowych obyczajów.

- Ach, biedactwo, ten świat musi ci się wydawać strasznie głośny i jazgotliwy. A ja z pewnością nie poprawiam sytuacji. - Ujęła Louise za palce i pociągnęła ją w stronę basenu. - Chodź, przedstawię cię reszcie bandy. Nie bądź nieśmiała. Będiesz się dobrze bawić, obiecuję.

Po krótkiej chwili wahania Louise pozwoliła, żeby dziewczyna pohołowała ją w stronę basenu. Nie można się było gniewać na kogoś o tak pogodnym usposobieniu.

- Wiesz, czym zajmuje się Charlie? - Zapytała ostrożnie.

- Boże, wiem, kochanie. Rządzi wszystkim dokoła. Dlatego właśnie jestem z nim.

- Jesteś z nim?

- Chciałam powiedzieć, że walimy się jak para królików. Jestem z nim w tym sensie. Ale

muszę się nim dzielić z połową dziewczyn tutaj.

- Aha.

- Jestem naprawdę okropna, co? Kurde, z pewnością nie jestem damą.

- Zależy według czyjej definicji - odparła zadziornym tonem Louise.

Divinia uśmiechnęła się szeroko. Pośród masy piegów pokrywających jej twarz pojawiły się głębokie dołeczki.

- O jejku, prawdziwa norfolska buntownicza. Brawo. Kiedy wrócisz, pokaż tym średniowiecznym, patriarchalnym palantom, gdzie raki zimują.

Louise przedstawiono po kolei wszystkim w basenie. W sumie było tam ponad dwadzieścia osób, w tym sześcioro dzieci. Reszta miała po kilkanaście albo dwadzieścia parę lat. Dwie trzecie stanowiły dziewczyny. Uwagi Louise nie umknęło, że wszystkie są wyjątkowo atrakcyjne. Potem zdjęła buty i usiadła na płytkim końcu basenu, machając bosymi stopami nad wodą. Divinia klapnęła obok niej i wręczyła jej drugą szklankę pimmsa.

- Na zdrowie.

- Na zdrowie. - Louise pociągnęła łyk. - Jak go poznałaś?

- Charliego? Och, tata od dziesięcioleci robił z nim interesy. Oczywiście, nie jesteśmy aż tak bogaci jak on. Nikt nie jest. Ale mam odpowiednie pochodzenie, kochanie. Nie wspominając już o ciele.

Zakręciła szklanką, uśmiechając się wyzywająco. Louise odwzajemniła uśmiech.

- Trzeba należeć do właściwej klasy - kontynuowała Divinia. - Żeby się dostać do tego magicznego kręgu, należy mieć kupę szmalu, ale to nie wystarczy. Styl jest prawie tak samo ważny. Arogancja i pogarda dla mas, dzięki której myśl o istnieniu B7 nie będzie dla ciebie szokiem. Mam tego wszystkiego w bród. Rodzice zepsuli mnie niemiłosiernie, mam znacznie więcej forsy niż rozumu. A rozumu też mam mnóstwo, najlepsze neurony, jakie można kupić u inżynierów genetycznych. To właśnie uratowało mnie przed pustym życiem na koszt funduszu powierniczego. Jestem na to zbyt inteligentna.

- Czym więc się zajmujesz?

- W tej chwili niczym, kochanie. Jestem tu po to, by dotrzymywać towarzystwa Charliemu. A to znaczy, że świetnie się bawię. Mnóstwo seksu, przyjęcia z Charliem i spółką, potem znowu trochę seksu, programy stymulacyjne, znowu seks, wypad do londyńskich klubów, seks, mnóstwo niepotrzebnych zakupów, seks, imprezy kulturalne, seks, wycieczka do Halo, seks w stanie nieważkości! Tak właśnie wygląda teraz moje życie i staram się żyć na maksa. Jak już mówiłam, kiedy człowiek robi się starszy, wszystko mu opada. Dlatego trzeba się cieszyć młodością. Rozumiesz, znam siebie bardzo dobrze. Wiem, że nie ma sensu żyć w ten sposób przez sto lat bez przerwy. To byłoby totalne, żalosne marnotrawstwo. Widziałam sześćdziesięcioletnich bogatych nierobów i niedobrze mi się robi na samą myśl o nich. Jestem bogata, inteligentna i nie mam skrupułów, a to oznacza wielki potencjał. Kiedy będę miała trzydzieści pięć albo czterdzieści lat wezmę sprawy we własne ręce. Nie wiem jeszcze, co zrobię: wybiorę się na wyprawę do jądra Galaktyki, zbuduję komercyjny imperium, dorównujące Kulu Corporation, dam początek kulturze piękniejszej niż edenizm. Kto wie? Cokolwiek to będzie, poradzę sobie świetnie.

- Zawsze pragnęłam podróżować - wyznała Louise. - Odkąd sięgam pamięcią.

- Znakomicie. - Divinia uderzyła z głośnym brzękiem szklanką o szklankę Louise. - I spełniłaś to marzenie. Widziałaś więcej Galaktyki niż ja. Gratuluję. Jesteś jedną z nas.

- Musiałam opuścić dom. Opętani chcieli mnie dorwać.

- Chcieli dorwać wszystkich. Ale tobie udało się uciec. To świadczy o dużej odwadze,

zwłaszcza w przypadku kogoś, kogo wychowano tak jak ciebie.

- Dziękuję.

- Nie martw się. - Divinia pogłaskała długie włosy Louise, pozwalając, by opadły delikatnie na ramiona. - Ktoś znajdzie rozwiązanie. Odzyskamy dla ciebie Norfolk i unicestwimy umysł Dextera razem z jego duszą.

- To miło - zamruczała Louise. Ciepło i pimms sprawiły, że ogarnęła ją przyjemna senność. Uniosła szklankę, prosząc o jej ponownie napełnienie.

Ze wszystkich niezwykłych dni, które przeżyła od chwili pożegnania z ojcem, dzisiejszy z pewnością w największym stopniu poszerzył jej horyzonty. Rozmowy z przyjaciółmi i dziećmi Charliego wzbudziły w niej lekkie poczucie zazdrości. Nie byli bardziej amoralni od niej, po prostu inni. Mieli mniej zmartwień i kompleksów. Zastanawiała się, czy prawdziwa arystokracja usuwa sobie gen wywołujący poczucie winy. To było niezłe życie.

Gdy przerażająco aktywni pływacy w końcu się zmęczyli, a słońce chowało się już za boczną ścianę kopuły, Divinia uparła się, że zrobi jej masaż. Przeraziła się na wieść, że Louise nigdy nie zaznała masażu. Dwie inne dziewczyny z basenu poszły z nimi w budynku, który pierwotnie służył jako stajnia, ale obecnie przerobiono go na saunę i spa.

Louise położyła się na ławie twarzą do dołu, nakrywając tylną część ciała ręcznikiem i po raz pierwszy w życiu poznała bolesną rozkosz sprawianą przez dłonie masażysty ugniatające jej mięśnie. Ramiona zrobiły się jej tak luźne, że bała się, iż odpadną.

- Kim są tutejsi pracownicy? - Zapytała w pewnej chwili. Trudno jej było uwierzyć, że przy tak wielkiej liczbie wtajemniczonych udaje się dochować tajemnicy B7.

- To zasekwestrowani kryminaliści - wyjaśniła Divinia. - Przestępcy aresztowani przez GISD.

- Och. - Louise odwróciła się i spojrzała na silnie umięśnioną kobietę, która wpychała sztywne palce w mięśnie jej łydek. Sprawiała wrażenie, że w ogóle jej nie przeszkadza fakt, iż otwarcie rozmawiają o jej statusie niewolnicy. Louise nieszczęśliwie się podobała ta myśl, choć w sumie nie różniło się to zbytnio od deportacji. Tak czy inaczej, byli zmuszeni pracować dla innych. Ta metoda była po prostu surowsza. Louise nie wiedziała, jak poważne było przestępstwo, którego dopuściła się kobieta. Lepiej o tym nie myśleć. I tak nie można nic zmienić.

Przez cały czas masażu Divinia plotkowała z pozostałymi dziewczynami. Opowiadały sobie ze śmiechem o chłopakach, przyjęciach i zabawach. Całej rozmowie towarzyszyła jednak nostalgiczna nuta, jakby wspominały miejsca, których już nigdy nie zobaczą, i przyjaciół, z którymi rozstali się na zawsze. Najwyraźniej uważały, że Ziemia już jest stracona.

Louise wyszła z łaźni wyraźnie ożywiona. Po jej całym ciele przebiegały ciarki. Divinia odprowadziła ją do pokoju gościnnego na pierwszym piętrze, z widokiem na sad. Wsparty na dębowych belkach sufit był bardzo niski, zaledwie stopę nad głową dziewczyny. Tworzyło to przytulną atmosferę, wzmocnioną jeszcze przez łożę z baldachimem oraz zasłony złoto-burgundowej barwy.

Wszystkie bagaże Louise ustawiono na sosnowym pojemniku na pościel u podnóża łoża. Divinia natychmiast zatrzymała na nich chciwe spojrzenie i zaczęła wyjmować zawartość. Długa, niebieska suknia spotkała się z jej podziwem, podobnie jak kilka innych, dziewczyna doszła jednak do wniosku, że żadna z nich nie jest w pełni odpowiednia. Obiecała Louise, że znajdzie dla niej coś w sam raz na dzisiejszy wieczór.

Okazało się, że była to skandalicznie skąpa, czarna suknia koktajlowa. Divinia strawiła całe dziesięć minut na nakłanianiu Louise do jej włożenia. Zасыpywała ją niewiarygodnymi

komplementami, próbując dodać młodszej dziewczynie odwagi. Gdy Louise w końcu wdziała suknię, dopadły ją kolejne wątpliwości. Potrzeba było okropnej pewności siebie, żeby pokazać się w czymś takim ludziom.

Kiedy już miały zejść na dół, do pokoju wpadła Genevieve.

- O kurde, Louise - zawołała, wytrzeszczając oczy z wrażenia.

- Zasłużyłam na odrobinę luksusu - odparła starsza siostra. - Tylko ten jeden wieczór.

- Poprzednim razem też tak mówiłaś.

Podziw, z jakim przywitani ją Charlie i jego przyjaciele, kiedy wyszła na taras, był dla Louise wystarczającą nagrodą. Gospodarz i pozostali mężczyźni mieli na sobie smokingi, wszystkie dziewczyny włożyły zaś suknie koktajlowe, niekiedy jeszcze bardziej wyzywające niż pożyczony strój Louise.

Słońce osiągnęło wreszcie linię horyzontu. Zieloną krainę rozświetliły jego pomarańczowe promienie. Charlie zaprowadził Louise na koniec tarasu, by mogła podziwiać zachód słońca. Wręczył jej wąski, kryształowy kieliszek.

- Szampan pity o zachodzie słońca z piękną dziewczyną. To nie będzie najgorsze ostatnie wspomnienie ze starej planety, nawet jeśli trochę podrasowane. Pogoda miło nas dziś potraktowała. Po raz pierwszy od pięciu stuleci.

Louise popijała szampana, podziwiając czyste piękno zachodzącej, pomarańczowej gwiazdy. Powietrze nad Bytham było ongiś równie czyste, zanim skaziła je zdradziecka, czerwona mgła. Takie było jej ostatnie wspomnienie z domu.

- To niezwykle piękne - przyznała.

Podczas kolacji siedziała obok Charliego. Rzecz jasna, posiłek był bardzo wystawny. Podano wyśmienite jedzenie i ponadstuletnie wino. Pamiętała, że oczarowały ją poruszone podczas rozmowy tematy. Śmiała się z opowieści o towarzyskich gafach i kompromitacjach, które mogły się zdarzyć wyłącznie wśród ściślej elity. Choć wszyscy wiedzieli, że za kilka dni będą musieli opuścić swój świat, zachowywali pełen spokój. Depresja i lęk dręczyły ją przez tak długi czas, że cudownie było się spotkać z równie beztroskim optymizmem.

Oczywiście to Charlie rozśmieszał ją najczęściej. Świetnie wiedziała dlaczego i przestała się już tym przejmować. Próbował ją uwieść. Jego uparte i sprytne wysiłki sprawiły, że poczuła się jak w domu. Robił to w sposób klasyczny, lecz jednocześnie straszliwie wyrafinowany. Jak na ciemnościela całej planety był bardzo miły.

Pod koniec kolacji pomógł nawet Divinii odprowadzić Louise na górę. Nie chodziło o to, że była pijana i potrzebowała pomocy. Po prostu nie chciała psuć sobie humoru, przełączając w tryb nadrzędności niemiły program detoksykacyjny. Odprowadzili ją pod drzwi, pozwalając, żeby oparła się o framugę, z wdzięcznością przyjmując tę podporę.

- Moja sypialnia jest obok - wyszeptał Charlie, całując ją w czoło. - Jeśli tego pragniesz.

Objął Divinię ramieniem, po czym oddalili się oboje.

Louise zamknęła oczy i zacisnęła usta. Przetoczyła się po ścianie, skierowała twarzą w stronę drzwi sypialni i weszła do środka.

Nadal nie całkiem panowała nad oddechem, a skórę miała zarumienioną. Na łożu leżała biała, jedwabna koszulka. W porównaniu z nią suknia była wzorem skromności.

Słodki Jezu, co mam zrobić, do diabła?

Włożyła koszulkę.

Nie pomyślą o mnie źle, jeśli się z nimi prześpię. Uśmiechnęła się ze zdumieniem na myśl, że w ogóle rozważa taką możliwość. Ład we wszechświecie przestał istnieć, wszystko, co знаła,

zginęło.

Mam to zrobić czy nie? Nikt nie będzie mnie o to winił. Poza mną samą, a to tylko skutek wychowania. Próbuję wszystkim zademonstrować, że uwolniłam się od wpływów Norfolku, ale czy to prawda?

Stała przed lustrem. Włosy miała rozpuszczone. Znowu przerodziły się w ciemny, rozczochrany płaszcz. Koszulka przylegała do jej ciała, prowokacyjnie podkreślając kształty. Wyraźnie było widać, jak bardzo jest podniecona. Uśmiechnęła się zmysłowo na myśl, że wygląda straszliwie kusząco.

Joshua zawsze podziwiał jej nagie ciało, zasypując je niemal szalonymi komplementami, gdy mu się oddawała. To była jedyna odpowiedź, jakiej potrzebowała Louise.

Obudziła ją Genevieve, która wskoczyła na łóżko i zaczęła entuzjastycznie potrząsać starszą siostrą. Louise uniosła głowę, spod opadających na oczy włosów spoglądając na dziewczynkę. Głowa ją bolała, a w ustach miała okropnie sucho.

- Na przyszłość pamiętaj przełączyć program detoksykacyjny w tryb nadrzędności, zanim położysz się spać. Proszę!

- Co jest! - Wychrypiała.

- Rusz się, Louise! Wstałam już kilka godzin temu.

- O mój Boże. - Ospałym myśлом towarzyszyły zbyt jaskrawe symbole neuroikonowe. Jej neuronowy nanosystem przekazał datawizyjnie pakietowi medycznemu szereg instrukcji. Urządzenie przystąpiło do oczyszczania krwi dziewczyny z resztek substancji toksycznych.

- Muszę iść do klopa - wymamrotała Louise.

- Skąd masz tę koszulkę? - Zawołała Genevieve, gdy starsza siostra ruszyła chwiejnym krokiem w stronę łazienki. Na szczęście na drzwiach od wewnątrz wisiał wielki szlafrok i Louise zdołała ukryć odpowiedni na pierwszą noc miesiąca miodowego strój, zanim zwróciła się w stronę Gen. Dzięki pakietowi medycznemu wyraźnie przejaśniło się jej w głowie, ale reszta organizmu nie nadążała.

- Pożyczyłam od Divinii - odparła pośpiesznie, by zapobiec dalszym pytaniom.

Gen uśmiechnęła się z okrutnym samozadowoleniem i opadła na łóżko, splatając dłonie za głową.

- Masz kaca, prawda?

- Diabelski bachor.

W pokoju śniadaniowym stał długi stół zastawiony wielkimi, srebrzystymi pojemnikami zawierającymi szeroki zestaw posiłków. Louise nie знаła połowy dań i w końcu zdecydowała się na to, co zawsze: płatki kukurydziane, a potem jajecznicę. Jedna ze służących przyniosła jej dzbanek świeżej herbaty.

Divinia i Charlie zjawili się, gdy tylko Louise zaczęła jeść. Charlie przywitał ją uśmiechem, w którym wyczuwało się nutkę żalu. To była jedyna aluzja do wczorajszego zaproszenia.

Usiadł za stolikiem i potargał włosy Genevieve, która zerknęła nań z dezaprobatą.

- Kiedy odlatujemy? - Zapytała Louise.

- Nie jestem pewien - przyznał. - Uważnie śledzę rozwój sytuacji. W tej chwili kluczowe znaczenie mają Nowy Jork i Londyn. Wygląda na to, że Nowy Jork padnie przed upływem tygodnia. Mieszkańcy nie zdołają dłużej opierać się opętanym. Cały czas tracą teren.

- Co się stanie, gdy opętani przejmą kontrolę?

- Życie zrobi się naprawdę nieprzyjemne. Obawiam się, że nasz drogi prezydent dopiero teraz uświadomił sobie, czego może dokonać tak wielka liczba opętanych. Boi się, że spróbują zabrać

Ziemię ze wszechświata. Nie zostało mu zbyt wiele opcji. Mógłby otoczyć arkologię strategiczno-obronnymi wiązkami elektronów, licząc na to, że opętani zrobią ten sam numer co w Ketton, usuwając ze wszechświata tylko siebie razem ze sporym fragmentem krajobrazu. Jeśli się na to nie zdecyduje, staniemy przed brutalną alternatywą: opuścić wszechświat razem z nimi albo użyć platform Strategiczno-obronnych przeciwko samej arkologii.

- Miałby zabić wszystkich? - Zapytała przerażona Gen.

- Obawiam się, że tak.

- Naprawdę by to zrobił? Całą arkologię?

- Wątpię, by miał odwagę potrzebną do podjęcia tego rodzaju decyzji. Skonsultuje się z senatem, żeby zważyć odpowiedzialność na senatorów, ale oni po prostu udzielą mu upoważnienie i w ten sposób jej unikną. Jeśli wyda rozkaz ataku na arkologię, B7 z pewnością zablokuje sieć strategiczno-obronną. Uważam, że powinniśmy pozwolić opętany zabrać Ziemię ze wszechświata. To bezduszna kalkulacja, ale na dłuższą metę w ten sposób szkody będą najmniejsze. Pewnego dnia dowiemy się, jak ją sprowadzić z powrotem.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe? - Zapytała Louise.

- Jeśli można zabrać planetę ze wszechświata, można ją też do niego przywrócić. Jednak nie pytaj mnie o termin.

- A co z Londynem?

- To trudniejsza kwestia. Jak powiedziałem swym współpracownikom, jeśli Dexter zdoła sobie podporządkować wystarczająco wielu opętanych, będzie mógł dyktować warunki wszystkim - opętany i nie. Gdyby do tego doszło, moglibyśmy zostać zmuszeni do użycia platform strategiczno-obronnych, by zabić jego opętanych i odebrać mu moc.

Louise straciła wszelkie zainteresowanie jedzeniem.

- O ilu ludziach mówimy?

- Ślad wiązki strategiczno-obronnej jest dość duży. Zginie wielu niewinnych ludzi. Bardzo wielu - dodał z naciskiem. - Trzeba będzie załatwić tysiące opętanych.

- Nie możesz tego zrobić, Charlie. Nie możesz.

- Wiem. B7 naprawdę rozważa możliwość udzielenia opętany z Nowego Jorku pomocy w opanowaniu arkologii. Jeśli zdołają to zrobić, zanim Quinn zdobędzie więcej wyznawców, zabrają Ziemię ze wszechświata i nie pozwolą mu jej zagrozić.

- Słodki Jezu. To też niedobrze.

- Aha - zgodził się z goryczą. - Kto chciałby rządzić światem, jeśli trzeba podejmować tego rodzaju decyzje? Ale, niestety, trzeba je podjąć. Nie możemy się uchylać od odpowiedzialności.

*

Poprzedniego dnia siostry wpadły w lekką euforię na myśl, że wreszcie znalazły bezpieczny azyl, choćby nawet osobliwy, jednak po rozmowie z Charliem znowu uległy przygnębieniu. Cały ranek spędziły w salonie, gapiąc się w wielką kolumnę AV, żeby się dowiedzieć, co się dzieje.

Początkowo oglądały rozmaite londyńskie wiadomości, potem jednak Louise odkryła, że domowe procesory umożliwiają dostęp do czujników bezpieczeństwa zamontowanych w geodezyjnej strukturze kopuły Westminster. Mogła też nałożyć policyjny obraz taktyczny na doskonały widok ulic i parków. To umożliwiło im obserwację wydarzeń w czasie rzeczywistym, bez natarczywych komentarzy i spekulacji reporterów. Co prawda, nie było zbyt wiele do oglądania. Od czasu do czasu jakaś biegnąca postać. Jasne rozbłyski białego światła za zamkniętymi oknami. Samochody policyjne zmierzające ku jakiemuś budynkowi, uzbrojeni w ciężką broń funkcjonariusze wpadający do środka. Czasami wychodzili na zewnątrz, wlokąc opętanych do kapsuł zerowych. W innych przypadkach nie

wychodzili i zostawał tylko pierścień pustych samochodów blokujących okoliczne ulice. Ich czerwono-niebieskie światła rozbłyskiwały rytmicznie w bezsilnej żałobie. Płomienie w jednej chwili ogarniały budynki władz miejskich oraz miejscowe komisariaty. Nikt nie próbował gasić pożarów. Gdy ogień strawił już rządowy budynek, gasł w jednej chwili, pozostawiając tylko czarne ruiny między dwoma nietkniętymi domami.

Raporty coraz mniej licznych patroli policyjnych oraz programów monitorujących jednostek sztucznej inteligencji sugerowały, że małe grupy opętanych wędrują tunelami metra oraz kanałami. W miarę jak rozprzestrzeniały się po całej arkologii, kolejne dzielnice traciły dopływ prądu. Potem przestawała funkcjonować sieć telekomunikacyjna. Coraz częściej celami ataku stawały się zamontowane na ulicach kamery. Wszystkie w ostatniej chwili przekazywały rozbłysk białego ognia. Reporterzy milkli w połowie sensywnego przekazu. Policyjne przekazy datawizyjne również cichły, i to szybciej, niż mogły to tłumaczyć ataki opętanych. Według oceny GISD-u poziom dezercji sięgnął czterdziestu procent.

W Londynie nadal obowiązywała godzina policyjna, ale Rząd Centralny już nie był w stanie wymusić jej przestrzegania.

Późnym porankiem do salonu weszły serwoszympanasy, które zabrały się do pakowania starych sreber i waz. Przygotowania podkreślały, że sytuacja stała się rozpaczliwa, mimo że od Londynu dzieliła ich znaczna odległość.

Louise zobaczyła Charliego za jednymi z otwartych drzwi prowadzących na patio. Wyprowadzał dwa labradory na spacer po trawniku. Obie siostry pobiegły za nim.

Zatrzymał się przy luce w szeregu cisów, czekając, aż go dogonią.

- Chciałem, żeby psy jeszcze się przespacerowały - wyjaśnił. - Zapewne opuścimy dom jutro rano. Obawiam się, że będziecie musiały znowu się spakować.

Gen uklękała i pogłaskała żółtego labradora.

- Nie zostawisz ich tutaj, prawda?

- Z pewnością je zabiorę. Polecą w kapsułach zerowych. Oczywiście, wezmę też mnóstwo innych rzeczy. Mam kolekcję bibelotów, którą gromadziłem przez stulecia. Ludzie przywiązują się do największych głupstw. Mam w różnych częściach świata cztery tego typu kopuły. W każdej z nich panuje inny klimat. Poświęciłem im mnóstwo wysiłku. Ale spójrzmy na to z optymizmem. Przynajmniej mogę dosłownie zabrać ze sobą wszystkie wspomnienia.

- Dokąd zamierzasz się udać? - Zapytała Louise.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Jeśli pragnę zachować kontrolę nad swoim przemysłowym imperium, potrzebuję wysoko rozwiniętego świata jako bazy. Na Kulu raczej nie byłbym mile widzianym gościem. Saldanowie zazdrośnie strzegą swego terytorium. Może Nowy Waszyngton. Mam tam pewne wpływy. A może zapoczątkuję gdzieś niezależny habitat.

- Ale to będzie tylko tymczasowe rozwiązanie, prawda? - Zapytała Louise. - Znajdziemy kiedyś ostateczne.

- Znajdziemy. Chyba że wcześniej podbije nas Dexter. To naprawdę wybitny człowiek, na swój odrażający sposób. Co najmniej równie kompetentny jak Capone. Nie spodziewałem się, że tak szybko przejmie kontrolę nad Londynem. To kolejny punkt na przygnębiająco długiej liście moich błędów.

- I co teraz zrobisz? Prezydent nie wyda rozkazu ataku strategiczno-obronnego, prawda? W wiadomościach mówili, że senat rozpoczął zamkniętą sesję.

- Nie, nie zaatakuje. Przynajmniej Londyn jest przed nim bezpieczny. Dopóki nie zobaczy czerwonych chmur nad kopułami, nie uwierzy, że opętani mogą zagrozić reszcie świata.

- To znaczy, że po prostu odlecimy?

- Robię, co tylko mogę, Louise. Nadal staram się ustalić miejsce pobytu Dextera. Istnieje jeszcze szansa użycia przeciwko niemu antypamięci. Jestem przekonany, że ukrywa się gdzieś w centrum starego miasta. Tam właśnie koncentrują się operacje zaciemniające. Jeśli komuś uda się zbliżyć do niego, będzie można go wyeliminować. Zbudowaliśmy projektor korzystający z procesorów technobiotycznych, który powinien działać wystarczająco długo, pomimo powodowanych przez opętanych zakłóceń.

- Opętani potrafią wyczuć wrogie myśli. Nikt niebezpieczny nie zdoła się do nich zbliżyć.

- W normalnych warunkach rzeczywiście tak jest. Mamy jednak sojusznika. Kogoś, kto zwie się przyjacielem Cartera McBride'a. Opętanego, który nienawidzi Dextera i ma odwagę potrzebną, by mu się przeciwstawić. Wiem, że przebywa w Londynie i zapewne byłby w stanie dotrzeć do Dextera. Problem w tym, że jego również nie potrafimy zlokalizować.

- Fletcher mógłby wam pomóc - zauważyła Gen. - On na prawdę nienawidził Dextera. I nie bał się go.

- Wiem o tym - potwierdził Charlie. - Zastanawiam się, czy poprosić go o pomoc.

Louise obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że on nadal tu jest?

- Tak - odparł Charlie, jakby zdziwiło go jej zaskoczenie. - GISD trzymał Fletchera w bezpiecznej celi w Halo. Nasi naukowcy wykorzystywali go do badań nad fizyką opętania. Obawiam się, że nie zrobili zbyt wielkich postępów.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - Zapytała słabym głosem Louise.

To była cudowna wiadomość, mimo że towarzyszyło jej poczucie winy wywołane myślą o człowieku, którego ciało ukradł Fletcher. Wiedziała też, że prędzej czy później znowu czeka ją żałoba. Ale nadal był z nimi. To sprawiało, że wszystkie komplikacje wydały się nagle możliwe do zniesienia.

- Uznałem, że lepiej tego nie robić. Obu wam udało się o nim zapomnieć. Przepraszam.

- A dlaczego mówisz nam teraz? - Warknęła gniewnie. Nagle ogarnęła ją podejrzliwość.

- Czasy są trudne - odrzekł ze spokojem Charlie.

- Och. - Louise oklapła. Nagle wszystko zrozumiała. Zastanawiała się, jak głęboko sięgają manipulacje Charliego. - Poproszę go o to w twoim imieniu.

- Dziękuję, Louise.

- Pod jednym warunkiem. Genevieve ma być zabrana do Tranquillity. Dzisiaj.

- Louise! - Pisnęła oburzona Gen.

- To nie podlega negocjacom - oznajmiła starsza z sióstr.

- Oczywiście - zgodził się Charlie. - Zrobimy to.

- Nigdzie nie polecę - zapowiedziała Gen, wspierając ręce na biodrach.

- Musisz, kochanie. Będziesz tam bezpieczna. Naprawdę bezpieczna, nie tak jak na tej planecie.

- Świetnie. W takim razie ty też leć.

- Nie mogę.

- Dlaczego? - Dziewczynka walczyła ze łzami. - Fletcher chciałby, żebyś była bezpieczna.

Wiesz, że mam rację.

- Wiem. Ale jestem gwarancją, że zrobi to, o co go proszą.

- Pewnie, że zabije Dextera. Nienawidzi go. Przecież wiesz. Jak możesz myśleć, że tego nie zrobi? Jesteś okropna, Louise.

- Nie myślę o nim źle, ale niektórzy ludzie są innego zdania.
- Ale nie Charlie. Prawda?
- Ja z pewnością mu ufam - zapewnił. - Chociaż inni członkowie B7 będą żądać gwarancji.
- Nienawidzę cię! - Krzyknęła Gen. - Nienawidzę was wszystkich. I nie polecę na Tranquillity!

Odwróciła się i pobiegła w stronę domu.

- Ojej - odezwał się Charlie. - Mam nadzieję, że nic jej nie będzie.

- Och, zamknij się - warknęła Louise. - Przynajmniej miej odwagę przyznać, kim jesteś. A może tę zdolność utraciłeś razem z resztą ludzkich cech?

Przez twarz przemknął mu grymas irytacji, ujawniając na króciutką chwilę jego prawdziwe oblicze. Kilkusetletnią osobowość, przyglądającą się jej beznamiętnie oczami swej młodej lalki. Ciało Charliego było iluzją doskonalszą niż wszystko, co mogli osiągnąć opętani, dzięki swej dysfunkcji rzeczywistości. Wszystko, co robił, wszelkie uczucia, jakie demonstrował, były po prostu stanami umysłu, które włączał, gdy było to potrzebne. Pięćset lat życia uczyniło z niego zestaw niemal automatycznych reakcji na bodźce zewnętrzne. Były to bardzo sprytnie reakcje, które jednak nie zakorzeniały się w niczym, co mogłaby rozpoznać jako człowieczeństwo. Nagromadzona z czasem mądrość oddaliła go od jego dziedzictwa.

Pobiegła za Gen.

*

Połączenie z Halo nawiązano przez wielki holoe ekran ustawiony w jednym z salonów. Louise usiadła na sofie naprzeciwko niego, a Gen przytuliła się do niej. Dziewczynka wyplakała się już, starsza siostra wygrała walkę na siłę woli. Po rozmowie wysła ją do Tranquillity. To jednak nie poprawiło zbytnio samopoczucia Louise.

Z holoe ekranu zniknęły niebieskie linie i pojawił się obraz. Fletcher siedział za metalowym biurkiem, odziany w mundur angielskiej marynarki wojennej. Zamrugał powiekami na ich widok, potem zaś się uśmiechnął.

- Moje drogie panie. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że jesteście bezpieczne.

- Cześć, Fletcher - odezwała się Louise. - Nic ci nie jest?

Gen uśmiechała się radośnie, ze wszystkich sił machając do niego ręką.

- Na to wygląda, lady Louise. Uczeni z nowej epoki zajmują niemal cały mój czas, testując i sprawdzając swymi maszynami me biedne kości. Nic im to jednak nie dało. Sami przyznają, że nasz Pan zazdrośnie strzeże tajemnic swego wszechświata.

- Wiem o tym - potwierdziła Louise. - Nikt tu na dole nie ma pojęcia, co robić.

- A jak ty się czujesz, lady Louise? I twoja mała siostra?

- Ja czuję się świetnie - wypaliła z pasją Genevieve. - Poznałyśmy policjanta, który nazywa się Charlie i jest dyktatorem. Nie lubię go za bardzo, ale to dzięki niemu wydostałyśmy się z Londynu, zanim zrobiło się naprawdę źle.

Louise uściśnęła ramię siostry, każąc jej się uciszyć.

- Fletcher, Quinn Dexter jest tutaj. W Londynie. Poproszono mnie, żebym cię zapytała, czy pomożesz go wytropić?

- Pani, ten diabeł już raz mnie pokonał. Udało się nam uciec tylko dzięki bożej łasce i łutowi szczęścia. Obawiam się, że nie zdam się na wiele w starciu z nim.

- Charlie posiada broń, która może się okazać skuteczna, jeśli uda się podejść wystarczająco blisko. Musi to zrobić opętany, nikt inny nie ma szans. Fletcher, jeśli go nie powstrzymamy, tu na dole zrobi się naprawdę paskudnie. Jedyne wyjście wymagałoby od władz zabicia mnóstwa ludzi.

Być może milionów.

- Wiem, pani. Słyszę już, jak dusze poruszają się nerwowo, czekając na to, co ma się wydarzyć. Przygotowuje się już nowe ciała, gotowe je przyjąć, a obiecano im, że będzie ich więcej. Obawiam się, że nadchodzi rozstrzygająca chwila. Wszyscy będą wkrótce musieli zdecydować, po której stronie opowiada się ich serce.

- A więc przylecisz na Ziemię?

- Oczywiście, droga pani. Jak mógłbym odmówić twej prośbie?

- W takim razie spotkamy się w Londynie. Charlie wszystko załatwił. Genevieve nie będzie z nami. Poleci do Tranquillity.

- Ach, chyba rozumiem. Na ścieżce, którą kroczymy, zdrada czai się pod każdym kamieniem.

- Robi to, co uważa za konieczne.

- Tak zwykle tłumaczą się tyrani - odparł ze smutkiem Fletcher. - Maleńka? Chcę, żebyś mi obiecała, że nie będziesz sprawiała kłopotów i pozwolisz się zabrać do tego magicznego latającego zamku. Siostra bardzo cię kocha i nie chciałaby, żeby stała ci się krzywda.

Genevieve ścisnęła mocno ramię Louise, starając się nie zalać łzami.

- Zrobię to. Ale nie chcę was opuszczać. Nie chcę zostać sama.

- Wiem, maleńka. Nasz Pan mówi, że tylko cnotliwi mogą być odważni. Pokaż, że jesteś odważna, nawet jeśli znaczy to, że musisz opuścić tych, którzy cię kochają. Po zwycięstwie wszyscy znowu się spotkamy.

Od samego początku Al wiedział, że to nie będzie dobry dzień.

Zaczął się od ciała. Krew nie była dla Ala pierwszozną, w swoim czasie widział i przelał jej bardzo wiele, na ten widok ogarnęły go jednak mdłości. Minęło kilka dobrych dni, zanim ktokolwiek zauważył zniknięcie biednego, starego Bernharda Allsopa. Kto by się przejmował, że tej małej gnidy nigdzie nie było widać? Dopiero gdy parę razy nie przyszedł do pracy, Leroy postanowił zapytać, co się z nim dzieje. Nadal jednak nie uważał sprawy za pilną. Blok procesorowy Bernharda nie odpowiadał na datawizyjne zapytania, wszyscy więc doszli do wniosku, że skurczybyk po prostu się obija. Paru facetom zlecono, żeby go poszukali. Gdy minął kolejny dzień, Leroy poczuł się wystarczająco zaniepokojony, by zwołać zebranie starszych rangą namiestników. Zorganizowano poszukiwania.

W końcu znalazły go kamery bezpieczeństwa. A przynajmniej zlokalizowały jego szczątki. Potrzeba było żywych ludzi, żeby ustalić, co to było, a potem, kto to był.

Podłogę, ściany i sufit pokrywała niewiarygodna ilość krwi. Z tego względu Al z początku uznał, że załatwiono tu więcej niż jednego człowieka. Emmet Mordden oznajmił jednak, że taka w przybliżeniu objętość krwi wypełnia żyły jednego dorosłego mężczyzny.

Al zapalił cygaro i zaciągnął się mocno. Nie robił tego dla przyjemności. Dym pomagał zabić fetor rozkładu. Gdy stanęli nad ciałem, Patricia wykrzywiła twarz w grymasie obrzydzenia. Emmet zakrył nos chusteczką, przyglądając się szczątkom.

Twarz Bernharda można było rozpoznać, jednak Al nadal miał wątpliwości. Wyglądało, jakby skórę naciągnięto od niechcienia na ciało. To była raczej karykatura niż naturalna twarz. Al widział już kiedyś fotomontaże. Tu był ich fizyczny ekwiwalent.

- Jesteś pewien? - Zapytał Emmeta, który dźgał zakrwawione ubranie długim wskaźnikiem.

- W zasadzie tak, Al. To jego ubranie. Jego blok procesorowy. Nie możesz się spodziewać, że twarz będzie wyglądała tak samo, jak za życia. Pamiętaj, że oglądamy tylko iluzje własnych ciał. Twarz jego ciała upodabniała się do jego twarzy, ale to wymaga czasu.

Al odchrząknął i przyjrzał się uważniej. Skóra skurczyła się, naciągając się mocno na kościach, mnóstwo naczyń włosowatych rozerwało się. Gałki oczne pękły. Odwrócił wzrok.

- Dobra, skoro tak mówisz.

Emmet wyjął blok procesorowy z zastygłych w spazmatycznym skurczu palców Bernharda i skinął na dwóch nieopętanych sanitariuszy, nakazując im zająć się wyschniętym ciałem. Mężczyźni naciągnęli na nie worek. Obaj pocili się intensywnie, starając się powstrzymać mdłości.

- Co się tu wydarzyło? - Zapytał Al.

- Uwięziły go drzwi ciśnieniowe, potem ktoś otworzył śluzę.

- Myślałem, że to niemożliwe.

- Śluzę ktoś uszkodził - wtrąciła Patricia. - Sprawdzałam. Elektroniczne zabezpieczenia rozwalono, potem zaś przepiłowano pręty.

- A więc to robota profesjonalistów - stwierdził Al.

Emmet wpisywał już polecenia do bloku Bernharda. Uzyskał dotąd niewiele sensownych odpowiedzi. Po holograficznym ekranie pływały małe, niebieskie spirale, rozbijające wszystkie ikony programu sterującego.

- Chyba ktoś datawizyjnie wpisał tu wirusa. Będę musiał podłączyć blok do komputera, żeby to sprawdzić programem diagnostycznym. Nie mógł wezwać pomocy.

- Kiera - warknął Al. - To jej robota. Nie było żadnego alarmu. Wiedzieli, kiedy będzie

korzystał z tego korytarza. Taki sprytny plan wymaga dobrej organizacji. Nikt inny nie potrafiłby czegoś podobnego przeprowadzić.

Emmet końcem rylca podrapał ścianę. Krew, która ją zbryzgała, przerodziła się już w kruchą, czarną warstewkę. Spod kompozytowego narzędzia sypały się maleńkie płatki.

- Minęło kilka dobrych dni, nawet biorąc poprawkę na parowanie wody w próżni - stwierdził Emmet. - Bernhard nie zjawił się na przyjęciu z okazji zwycięstwa, więc pewnie to stało się właśnie wtedy.

- A więc Kiera ma alibi - dodała ze złością Patricia.

- Hej! - Sprzeciwił się Al. - To nie jest cholerny sąd federalny. Nie wynajmie drogiego adwokata, żeby zrobić przysięgłym wodę z mózgu. Jeśli mówię, że ona to zrobiła, tak jest i kropka. Ta dziwka jest winna.

- Nie podda się bez walki - ostrzegła Patricia. - Podburzyła ludzi na całym Trafalgarze. Załogi boją się odwetu Sił Powietrznych. Ona ma wielkie poparcie, Al.

- Niech to szlag!

Al zerknął ze złością na worek z ciałem, przeklinając Bernharda. Dlaczego ten mały dupek nie wykrzesał więcej odwagi? Dlaczego nie mógł walczyć ze skurwysynami, którzy go załatwili, i zabrać paru ze sobą w zaświaty? To oszczędziłoby Alowi fatygi.

Uspokoił się jednak. Bernhard był lojalny już od chwili, gdy zjawił się w swoim podrabianym oldsmobile'u i podwiózł Ala w San Angeles. Zapewne właśnie ta lojalność kosztowała go życie. Kiera chciała załatwić średnie szarże, te najcenniejsze, by w ten sposób pozbawić go oparcia.

Pierdolona dziwka.

- Ciekawe. - Emmet schylił się, przyglądając się z uwagą podłodze na samym końcu plamy krwi. - To mogą być ślady stóp.

Al podszedł bliżej, nagle zainteresowany. Plamy zakrzepłej krwi odpowiadały w przybliżeniu podeszwom butów. Było ich osiem. Stawały się coraz mniejsze, w miarę jak zbliżały się do śluzy.

Roześmiał się nagle. Cholera, zostałem pierdolonym detektywem! Ja gliną!

- Kapuję. Zostawili ślady, czyli krew była jeszcze wilgotna, tak? To musiało być zaraz po zabiciu Bernharda.

- Nie potrzebujesz mnie - odparł z uśmiechem Emmet.

- Pewnie, że potrzebuję. - Al poklepał go po ramieniu. - Emmet, chłopcze, właśnie zostałeś szefem policji na tej nędznej skale. Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił. Bardzo chcę.

Emmet podrapał się w potylicę, rozglądając się po makabrycznej scenie zabójstwa. Zastanawiał się, co trzeba będzie zrobić. Już się nie bał, gdy Al zlecał mu odpowiedzialne zadania.

- Przydałoby się paru specjalistów od medycyny sądowej. Zapytam Avrama, czy mamy kogoś, kto pracował w laboratoriach policyjnych.

- Jeśli nie mamy, każ ich przysłać z planety - polecił Al.

- Dobra. - Emmet przyjrzał się drzwiom ciśnieniowym. - Zabójcy musieli być naprawdę blisko. Inaczej nie zdołaliby mu przeszkodzić w wydostaniu się. Każdy opętany, nawet Bernhard, rozwaliliby takie drzwi bez większego wysiłku. - Postukał wskaźnikiem w okienko pośrodku drzwi. - Widzisz? Na szybie nie ma krwi, choć wszędzie indziej jest jej pełno. Zapewne chcieli mu się przyjrzeć, by się upewnić, że nie żyje.

- Jeśli byli po drugiej stronie drzwi, skąd się wzięły te ślady?

- Nie mam pojęcia - odparł Emmet, wzruszając ramionami.

- Są tu gdzieś te całe policyjne kamery?

- Są. Sprawdzę ich zapisy, ale szanse mamy kiepskie, Al. To byli zawodowcy.

- Zobacz, co zdołasz dla mnie znaleźć, chłopcze. Zawiadom też wszystkich, że mają być ostrożni. Bernhard to tylko początek. Będzie chciała załatwić resztę. A ja nie zamierzam już tracić więcej ludzi. Kapujesz?

- Słyszałem, Al.

- Świetnie. Patricia, uważam, że powinniśmy odwdzińczyć się im tym samym.

Myśli kobiety wypełnił mroczny zachwyty.

- Jasna sprawa, szefie.

- Załatw kogoś, na kim ta dziwka polega. Chcę, żeby ją zabolalo. Jak się nazywa ten skurwiel ze szczurzą gębą, który wszędzie za nią łązi? Ten, który ma tę pieprzoną więź z piekielnymi jastrzębiami?

- Hudson Proctor.

- Tak jest. Wykop go z powrotem w zaświaty. Ale niech najpierw trochę się pomęczy, dobra?

*

Gdy Al wrócił do Apartamentu Nixona, czekała na niego kupa ludzi. Leroy i Silvano rozmawiali cicho z Jez, spowici uporczywą mgiełką niepokoju. Jakiegoś opętanego, którego Al nie poznawał, eskortowało dwóch żołnierzy. Głowę nieznanego wypełniały najintensywniejsze myśli, z jakimi Al się dotąd zetknął. W jego umyśle płonął czysty gniew, który nasilił się jeszcze, gdy Al wszedł do pokoju

- Jezu, co tu się dzieje? - Zapytał. - Silvano?

- Nie pamiętasz mnie, Al? - Zapytał nieznajomy tonem groźnej drwiny. Jego ubranie zmieniło się powoli w mundur komandora porucznika Sił Powietrznych Konfederacji. Twarz również się przeobraziła, budząc wspomnienia Ala.

- Wrócił Kingsley Pryor - oznajmiła Jezzibella z nerwowym uśmiechem.

- Cześć, Kingsley! - Al uśmiechnął się szeroko. - Cieszę się, że cię widzę, chłopie. Kurde, jesteś tu pieprzonym bohaterem. Udało ci się, kurwa, naprawdę ci się udało. W pojedynkę załatwiłeś całe Siły Powietrzne Konfederacji. Kurwa, kto by w to uwierzył?

Kingsley Pryor odpowiedział zimnym uśmiechem. Jego widok zaniepokoił nawet Ala, który zadał sobie pytanie, czy dwóch jego żołnierzy wystarczy, by powstrzymać oficera.

- Jak chcesz, możesz sobie dalej wierzyć w te pierdoły - odparł Kingsley. - Nic mi do tego. Zabiłem dla ciebie piętnaście tysięcy ludzi. Pora, byś dotrzymał swojej części umowy. Chcę odzyskać żonę i dziecko. Doszedłem do wniosku, że chcę również otrzymać gwiazdolit. To będzie premia za wykonanie misji.

Al rozpostarł szeroko ramiona. Jego myśli wręcz ociekały rozsądkiem.

- Cholera, Kingsley, umawialiśmy się, że rozwalisz Trafalgar od środka.

- ODDAJ MI CLARISSE I WEBSTERA.

Al cofnął się chwiejnie o krok. Kingsley świecił. Głęboko w jego ciele zapłonął blask rozświetlający twarz i mundur. Wszystko poza oczyma, które były jamami ciemności. Obaj żołnierze nerwowo zacisnęli dłonie na thompsonach.

- W porządku - odparł Al, starając się go uspokoić. - Jezu, Kingsley, jesteśmy po tej samej stronie.

Wyczarował kubańskie cygaro i zapalił je z uśmiechem.

- Mylisz się. - Kingsley uniósł w górę sztywny palec, niczym kaznodzieja, a potem opuścił go powoli, wskazując na Ala. - Nie mów mi o stronach, skurwielu. Przez ciebie zginąłem. Przez ciebie zamordowałem towarzyszy. Nawet nie próbuj opowiadać mi o zaufaniu wierze i lojalności. Albo

oddasz mi żonę i syna, albo załatwimy sprawę tu i teraz.

- Hej, nie próbuję cię oszukać. Dostaniesz wszystko, czego chcesz. Al Capone nigdy nie łamie słowa. Kapujesz? Jestem wart tylko tyle, ile moje nazwisko. To wszystko, co tutaj mam. Nie próbuj tego kwestionować. Rozumiem, że jesteś wkurwiony. Nic dziwnego. Ale nie gadaj, że złamałem obietnicę.

Kingsley zaciskał zęby tak mocno, że Al nie potrafił zrozumieć, dlaczego mu nie popękały.

- Nie ma sprawy - ciągnął. - Silvano, zaprowadź komandora Pryora do żony i syna.

Silvano skinął głową i poprowadził Pryora ku drzwiom.

- Nikt ich nie tknął palcem pod twoją nieobecność - zapewnił Al. - Pamiętaj o tym.

Pryor odwrócił się w drzwiach.

- Bez obaw, panie Capone. Nie zapomnę o niczym, co się tu wydarzyło.

Po jego wyjściu Al osunął się na najbliższe krzesło. Objął ramieniem Jez, szukając pocieszenia, ale przekonał się, że jego kochanka drży.

- Jezu Chryste - wychrypiał.

- Al, musisz się go pozbyć - oznajmiła stanowczo Jez. - Piekielnie mnie wystraszył. Wysłanie go do Trafalgara to chyba nie był najlepszy z moich pomysłów.

- Masz rację, niech to chuj. Leroy, powiedz mi, że znaleźliśmy tego dzieciaka.

Leroy dotknął palcem kołnierza. Miał mocno wystraszoną minę.

- Nie znaleźliśmy, Al. Nie mam pojęcia, gdzie ten bachor się podział. Szukaliśmy go wszędzie. Po prostu zniknął.

- Kurwa mać. Kiedy Kingsley się dowie, wpadnie w szał. Będzie jatka. Leroy, lepiej zwołaj trochę chłopaków. I to nie pierdolonych cykorów. Będziemy potrzebować sporych sił, żeby go załatwić.

- A potem będzie mógł wrócić w innym ciele i wszystko zacznie się od nowa - zauważyła Jez.

- Zacznę na nowo szukać Webstera - zaproponował Leroy.

- Chłopak musi gdzieś być, do cholery.

- Kiera go ma - stwierdziła Jezibella. - Jeśli rzeczywiście szukałeś go wszędzie, na pewno jest u niej.

Al potrząsnął głową ze zdumieniem i podziwem.

- Cholera, jak mogłem być taki głupi, żeby ją wpuścić na tę skałę? Nic nie umknie jej uwagi.

*

Etchells wyłonił się z terminala tunelu czasoprzestrzennego w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od Monterey. Asteroida była małym, szarym dyskiem widocznym na tle jednego z oceanów Nowej Kalifornii, który lśnił w promieniach słońca turkusowym blaskiem. Choć nie prezentowała się zbyt atrakcyjnie, ucieszył się na jej widok. Był tak głodny, że niemal słyszał, jak burczy mu w brzuchu.

Sieć obronna Nowej Kalifornii namierzyła statek. Wysłał identyfikację do centrum kontroli ruchu Monterey i pozwolono mu się zbliżyć z przyspieszeniem 5 g. Okazało się jednak, że przekracza to możliwości jego komórek modelowania energii.

- Zwolnijcie dla mnie cokół - zażądał od piekielnych jastrzębi cumujących na półce. - Potrzebuje płynu odżywczego.

- Wszyscy go potrzebujemy - odparła z przekąsem Pran Soo.

- Obowiązuje kolejka, pamiętasz?

- Nie próbuj mnie wyruchać, dziwko. Nie było mnie dłużej, niż się spodziewałem. Jestem wyczerpany.

- Serce mi krwawi.

Zaskoczyło go zachowanie Pran Soo. Piekielne jastrzębie zawsze były kłótniwe i żaden z nich go nie lubił, jednak ten ton drwiącej wyższości był czymś nowym. Będzie musiał zbadać sprawę, ale to mogło poczekać. Naprawdę niepokoił go własny stan.

- Gdzie byłeś, do cholery? - Zapytał Hudson Proctor.

- W Hesperii-LN, jeśli koniecznie musisz wiedzieć.

- Gdzie?

Umysł Hudsona wypełniło szczere zdziwienie.

- Mniejsza z tym. Znajdź mi jakiś cokół. I zawiadom Kierę o moim powrocie. Mam jej wiele do opowiedzenia.

Jednemu z pobierających płyn piekielnych jastrzębi rozkazano opuścić cokół, zwalniając metalowy grzyb dla Etchellsa, który bez śladu gracji pomknął wzdłuż półki. Pasma afiniczne wypełniły drwiące komentarze. Obsługa odsunęła się na bezpieczną odległość, gdy wielki technobiotyczny gwiazdolit chwiejnie zatrzymał się nad cokołem. Etchells z wyraźnym wysiłkiem opadł na stanowisko. Przewody karmiące uniosły się i wcisnęły w jego otwory odbiorcze. Zaczął pochłaniać płyn odżywczy tak szybko, jak tylko mogły dostarczyć go pompy.

Technobiotyczne procesory pokładowe Etchellsa połączyły się datawizyjnie z sektorem habitatu, którym władała Kiera. Znalazł ją w sali ulokowanej nad półką cumowniczą. Siedziała na jednej z ustawionych tam długich kanap, ubrana w jaskrawą, szkarłatną suknię z ciasnym gorsecikiem zapinanym na obszyte materiałem guziki. Dół był na tyle luźny, że mogła skrzyżować nogi na kanapie, pozując przed kamerą niczym kotka.

Na mgnienie oka Etchells zawahał się. Przeszył go lekki erotyczny dreszcz na widok młodego, kobiecego ciała, odsłoniętego przed nim w tak kuszącej pozie. Rzadko się zdarzało, by żałował, że opętał piekielnego jastrzębia. Kiera potrafiła tego dokonać, ale mało kto poza nią.

- Niepokoiłam się o ciebie - odezwała się. - W końcu jesteś moim najważniejszym piekielnym jastrzębiem. Co się wydarzyło na stacji produkcji antimaterii?

- Coś dziwnego. Chyba mamy poważne kłopoty. To coś znacznie ważniejszego niż nasze małe rozgrywki o władzę. Będziemy potrzebowali pomocy.

*

Rocio połączył się z siecią Almadena, by śledzić prace remontowe. Deebank dotrzymał słowa i skierował do pracy przy rafinerii płynu odżywczego wszystkich nieopętanych techników na asteroidzie. Zastąpili uszkodzony wymiennik ciepła, zamknęli komorę przebitą przez laser Etchellsa, rozebrali maszynię i zmontowali ją na nowo, wykorzystując części wyprodukowane w ich stacjach przemysłowych. Została tylko elektronika.

Gdy tylko "Mindori" wylądował na jednym z trzech cokołów asteroidy, robotnicy wyjęli pakunki z jego ładowni. Zintegrowanie nowych procesorów i obwodów ze zrekonstruowaną rafinerią trwało nieco ponad dobę. Trzeba było zmodyfikować programy operacyjne. Potem przyszła kolej na uruchomienie systemu, które okazało się żmudnym zadaniem. Należało przeprowadzić testy produktu, dokonać próbnego rozruchu, sprawdzić części mechaniczne, przekonać się, jak działa całość oraz skontrolować jakość płynu. Wreszcie pierwszą partię płynu przepompowano do "Mindori". Technobiotyczne wewnętrzne filtry smakowe piekielnego jastrzębia pobrały próbkę, oceniając jakość cząsteczek białka zawieszonych w płynie.

- Smakuje dobrze - poinformował Rocio oczekujących z niecierpliwością na jego opinię mieszkańców asteroidy. W komorze rafinacji syntetycznej rozległy się gromkie okrzyki radości, które szerzyły się przez skałę niczym echa wstrząsów o wysokiej częstotliwości.

- A więc umowa stoi? - Zapytał z uśmiechem Deebank.

- Oczywiście. Moi towarzysze wkrótce zaczną was zabierać. Opętanych na najbliższy świat, zarażony przez Ala Capone, a nieopętanych do edenistów.

Z ust wynędzniałego, nieopętanego mężczyzny, który stał najbliżej kolumny AV przekazującej sygnał, wyrwało się potężne westchnienie ulgi. Wiadomość pośpiesznie przekazywano przetrzymywanym jako zakładnicy rodzinom.

Deebank i Rocio kontynuowali negocjacje. Ewakuacja miała być przeprowadzona w etapach. Najpierw należało dokładnie sprawdzić funkcjonowanie rafinerii, żeby się upewnić, czy nie trzeba wprowadzić jakichś poprawek, zanim robotnicy odlecą. Trzeba też było przystosować mechanoidy do obsługi rafinerii. Technicy zostaną na miejscu przez dłuższy czas, by przeszkolić rozczarowująco nieliczną garstkę piekielnych jastrzębi, które w poprzednim życiu zdobyły jakieś naukowe wykształcenie. Termojądrowe generatory asteroidy przystosuje się do długoterminowego działania. Wielkie ilości węgłowodorów będących surowcami dla rafinerii miały być przechowywane w zbiornikach, których jeszcze nie wyprodukowano. Musieli też zgromadzić zapasy paliwa - deuteru i He₃ - pozwalającego utrzymać w ruchu generatory. Nie będzie to jednak zbyt wielkim problemem, ponieważ mieli wyłączyć komorę biosferyczną osiedla.

- Możemy zaczynać - oznajmił Rocio, zwracając się do Pran Soo. - Zwołaj tu naszych sympatyków patrolujących wysoką orbitę. Weźmiemy się za przewożenie mieszkańców na świat opanowany przez opętanych.

- Czy mamy rozpocząć generalny exodus na Almaden?

- Jeszcze nie. Na razie niech to zostanie tajemnicą naszej grupy. Dobrze by było, gdyby więcej naszych otrzymało pełne uzbrojenie, zanim Organizacja się zorientuje, że dezertujemy. Kiedy Kiera się dowie, na pewno spróbuje nas zaatakować.

- Niewielu naszych będzie skłonnych słuchać jej rozkazów.

- Wiem o tym, ale lepiej się upewnić. Nie wiadomo, do czego ta dziwka może być zdolna.

Jed i Beth stali za łukowatym oknem, patrząc na przybywające piekielne jastrzębie. Istoty wyłoniły się spośród gwiazd, by opaść na dwa wolne cokoly. Tępo zakończone cylindry autobusów dla załóg wyjechały na półkę, przewody śluz wyciągnęły się ku włączom kapsuły podtrzymywania życia.

Mały kwadrat w rogu okna wypełnił migotliwy, szary blask. Pojawiła się uśmiechnięta twarz Rocia.

- Chyba nam się udało - oznajmił. - Chciałbym wam podziękować. Szczególnie tobie, Jed. Wiem, że to nie było łatwe.

- Czy oni wejdą na pokład? - Zapytała Beth.

- Nie. Za parę godzin przeskoczę z powrotem na Monterey. Jeśli nie zamelduję się pod koniec patrolu, ktoś z pewnością to zauważy.

Jed objął Beth. Nagle zawładnął nim opiekuńczy instynkt.

- Obiecałeś, że zabierzesz nas do jednego z edenistycznych habitatów.

- Dotrzymam słowa. Wszystkich nieopętanych z Almadena przekaże się edenistom, gdy tylko przygotowania dobiegną końca. Polecicie z nimi.

- A dlaczego nie możemy polecieć pierwsi? To my ci pomogliśmy. Sam tak przed chwilą mówiłeś.

- Dlatego, że jeszcze nie rozmawiałem na ten temat z edenistami. Nie chcę, żeby ich jastrzębie się tu zjawily i wszystko zepsuły. Bądźcie cierpliwi. Daję słowo, że was stąd wyciągnę.

Rocio przerwał połączenie i zaczął przekształcać pole dystorsyjne. Wzniósł się ponad cokół i

odleciał z półki. Jeden z piekielnych jastrzębi, które przed chwilą przeskoczyły z Nowej Kalifornii, minął go, zмирzając na zwolniony cokół. W paśmie afinicznym wymienili obrazy podekscytowanych uśmiechów.

Gdy Rocio oddalił się od asteroidy, jego nastrój poprawił się jeszcze bardziej. Wszystko szło zgodnie z planem. Teraz musiał zgromadzić jak najwięcej w pełni uzbrojonych piekielnych jastrzębi, które będą strzegły Almadena. Parę dni później on i Pran Soo zawiadomią resztę opętanych statków. Wszyscy będą mieli szansę wyboru. Nie sądził, by zbyt wielu spośród nich chciało zostać z Kierą. Etchells, rzecz jasna, i zapewne Lopez, garstka innych, którzy nie pogodzili się ze swą nową postacią albo nie rozumieli w pełni jej potencjału. Za mało, by mogli pokrzyżować ich plany.

Przeskoczył z powrotem do Nowej Kalifornii, wracając do patrolowania wysokiej orbity. Planeta obracała się spokojnie dwa miliony kilometrów poniżej. Jego pole dystorsyjne rozciągnęło się; przebiegające po nim zmarszczki z uwagą badały strukturę czasoprzestrzeni. W promieniu stu tysięcy kilometrów nie było edenistycznych jastrzębi. Nie wykrył też zamaskowanych systemów broni ani czujników zmierzających ku okrętom i stacjom Organizacji. Nikt go nie pytał, gdzie się podziewał. Sprawdził czujniki pokładowe i przekonał się, że młodsze dzieci bawią się w berka na głównym korytarzu, a Jed i Beth znowu pieprzą się w swojej kabinie. Rocio westchnął ze wzruszenia. Nie ma to jak być nastolatkiem.

Po dwóch godzinach Hudson Proctor rozkazał mu zameldować się na półce cumowniczej.

- A po co? - Zapytał Rocio. - Mam wystarczająco wiele płynu odżywczego.

Prawda wyglądała tak, że w Almadenie wypełnił wszystkie pęcherze rezerwowe. Jeśli chodziło o przedterminowe karmienie, będzie musiał wyrzucić to wszystko w kosmos, zanim przybędzie na Monterey.

- Zainstalujemy w twoich ładowniach dodatkowe generatory termojądrowe - odparł Hudson Proctor. - Masz obwody konieczne, by czerpać moc bezpośrednio z nich, zgadza się?

- Mam. Ale o co chodzi?

- Planujemy długodystansową misję. Spełniasz parametry.

- Co to za misja?

- Kiera ci powie, gdy nadejdzie właściwa chwila.

- Czy będę potrzebował os bojowych?

- Tak, otrzymasz pełen zestaw. Zostaną załadowane jednocześnie z generatorami. Twoje lasery również wymagają sprawdzenia.

- Już lecę.

*

Al gapił się na Kierę. Nie potrafił uwierzyć, że miała tupet, by tak po prostu przyjść do jego apartamentu. Jez stała obok niego, trzymając go pod ramię. Mickey, Silvano i Patricia skupili się za jego plecami, podobnie jak sześcioro żołnierzy. Kierze towarzyszyli Hudson Proctor oraz ośmiu zbirów z obstawy. Obie grupy otaczała gęsta aura wrogości.

- Mówiłaś, że to pilne - odezwał się Al.

Kiera skinęła głową.

- Tak. Przed chwilą wrócił Etchells.

- Ten piekielny jastrząb, który zwiął ze stacji produkcji antymaterii, kiedy zrobiło się gorąco?

- Wcale nie zwiął. Przekonał się, że Siły Powietrzne kombinują coś podejrzanego. Utrzymuje, że przed zniszczeniem stacji jeden z ich okrętów wypełniono antymaterią. Ten okręt spotkał się potem z edenistycznym jastrzębiem i oba statki poleciały na Hesperii-LN. To świat Tyrataków.

- Słyszałem. To tacy Marsjanie, czy coś w tym rodzaju.

- Tak, to ksenobionty.

- A co to ma wspólnego z nami?

- Edenistyczny jastrząb i drugi gwiazdolot bardzo się interesowały starym statkiem Tyrataków, który krąży wokół Hesperii-LN. Etchells uważa, że wysłali na pokład swoich ludzi. Potem odlecieli do Mgławicy Oriona. Stamtąd właśnie przybyli kiedyś Tyratakowie. To bardzo daleko stąd.

- Tysiąc sześćset lat świetlnych - odpowiedziała Jezzibella.

- I co z tego? - Zapytał Al. Nadal nie rozumiał, o co chodzi Kierze. - Co to ma wspólnego z nami?

- Zastanów się - odparła Kiera. - Jesteśmy w centrum najpoważniejszego kryzysu w historii ludzkości, a mimo to Siły Powietrzne Konfederacji łamią prawo, które same uważają za najważniejsze. Pomagają zaopatrzyć gwiazdolot w antymaterię. Potem ten statek razem z drugim odlatuje w jakieś miejsce, gdzie nigdy nie dotarł żaden człowiek. Czegoś tam szukają. Czego?

- Kurwa, skąd mam wiedzieć? - Mruknął Al.

- To musi być coś bardzo dla nich ważnego. Coś, co mają Tyratakowie i co pragną zdobyć Siły Powietrzne. Pragną tego tak mocno, że są gotowe zaryzykować wojnę. Etchells mówi, że na orbicie wokół Hesperii-LN oba okręty otworzyły ogień do Tyrataków. Muszą być naprawdę zdesperowani.

- Robisz mi wodę z mózgu? - Zapytał Al. Całe to lipne spotkanie zaczynało go wkurzać. Zawsze tak było, kiedy rozmowa schodziła na kosmos, maszyny i wszystkie sprawy, których nie pojmował. - Słyszałem już opowieści o superbroni. Wysłałem Oscara Korna z grupą chłopaków w pościg za tą Mzu i jej "Alchemikiem". I chuja nam to dało.

- Tym razem jest inaczej - nie ustępowała Kiera. - Nie wiem dokładnie, czego szukają, ale to z pewnością coś, co mogą wykorzystać przeciwko nam. Jeśli broń, musi być wyjątkowo potężna. Konwencjonalne rodzaje uzbrojenia są przeciwko nam bezużyteczne. Jeśli Siły Powietrzne okażą się dla nas zbyt silne, po prostu opuścimy wszechświat. Po Ketton wiedzą o tym doskonale. Bronimy się odruchowo, po tamtej stronie nic nie może nas osiągnąć. Nic, co stworzyli ludzie.

- Hej, czyżbyś zmieniła śpiewkę? Jeszcze wczoraj mówiłaś, że jeśli zabierzemy Nową Kalifornię ze wszechświata, nic, co wymyślą długowłosi, nie zrobi nam krzywdy.

- Mówimy o technologii ksenobiontów. Nie wiemy, do czego może być zdolna.

- Nie pierdziel - sprzeciwił się poirytowany Al. - Może. Jeśli. Zapewne. Niewykluczone. Nie masz żadnych dowodów i świetnie zdajesz sobie z tego sprawę. Wiesz co? Słyszałem już kiedyś taką gadkę. Z ust prokuratora na moim ostatnim procesie. Wszyscy wiedzieli, że jego wywody są gównem, teraz jest tak samo. I, mroczna sestro... Jesteś jeszcze mniej przekonująca od niego.

- Jeśli Konfederacja ma coś, co może dotrzeć do zabranych przez nas planet, to znaczy, że już przegraliśmy.

- Tak? O co chodzi, Kiera? Czyżbyś się bała?

- Widzę, że tracę czas. Powinnam była przewidzieć, że to dla ciebie za mądre.

Odwróciła się ku drzwiom. Al stłumił złość.

- Dobra. Gadaj, w czym rzecz.

- Chcemy wysłać za nimi pościg - wyznała Kiera. - Przygotowuję do tego zadania trzy piekielne jastrzębie. Zapomnij na godzinę o naszych sporach i wyznacz kilka regat, które polecą z nimi.

- Masz na myśli fregaty uzbrojone w antymaterię - domyślił się Al.

- Oczywiście. Musimy mieć przewagę w sile ognia. Jeśli się uda, zdobędziemy broń

Tyrataków. Jeśli nie, zniszczymy ją razem z okrętami Sił Powietrznych.

Al zastanawiał się przez mniej więcej minutę, ciesząc się narastającą irytacją Kiery.

- Chcesz dobić targu? - Zapytał wreszcie. - Dobra. Powiem ci, co dla ciebie zrobię. Rozumiesz, tylko dlatego że tak szlachetnie troszczysz się o naszą przyszłość. Dam ci dwie fregaty, a nawet uzbroję każdą w sześć os bojowych z antimaterią. Co ty na to?

Kiera uśmiechnęła się z ulgą.

- Znakomicie.

- Cieszę się, że to słyszę. - Uśmiech zniknął bez śladu z twarzy Ala. - W zamian za to musisz tylko oddać mi Webstera.

- Kogo?

- Pierdolonego Webstera Pryora. To wszystko.

Kiera spojrzała ze zdziwieniem na Hudsona Proctora. Równie zaskoczony generał wzruszył ramionami.

- Nigdy o nim nie słyszałem - oznajmił.

- W takim razie nici z ugody, dopóki sobie nie przypomnisz - odparł Al.

Kiera przeszła go wściekłym spojrzeniem. Przez chwilę Al odnosił wrażenie, że kobieta zaraz rzuci się do ataku.

- Ty pojebie! - Wrzasnęła wreszcie. Odwróciła się i wyszła ze złością.

- Ma świetne słownictwo - zauważył z chichotem Al. - Prawdziwa dama.

Jezibella jednak nie podzielała jego wesołości. Spoglądała z zaniepokojoną miną na drzwi, które zatrasnęły się za Kiera.

- Może sami powinniśmy pogadać z Etchellsem - mruknęła. - Dowiedzieć się, o co, do cholery, tu chodzi.

*

Kiedy jechali windą do holu Hiltona, nikt z towarzyszy Kiery nie odzywał się ani słowem. Jej wściekłość przeradzała się powoli w twardą niczym żelazo determinację. Al Capone był idiotą. Musieli się go pozbyć jak najszybciej. Nie miała już w tej sprawie wątpliwości.

Potem pojawiają się nowe pytania.

Opowieść Etchellsa straszliwie ją zaniepokoiła. Kiera po prostu nie potrafiła uwierzyć, że Siły Powietrzne wysłałyby swe okręty do Mgławicy Oriona, gdyby nie miały bardzo poważnego powodu. To musiało mieć jakiś związek ze sprawą opętania. Broń była nasuwającą się odpowiedzią. Wściekała ją myśl, że jeśli to prawda, okaże się, że Al Capone miał rację, upierając się przy pozostaniu we wszechświecie i walce.

Gdyby trzymała się pierwotnego planu - przeniosła Organizację na Nową Kalifornię i opuściła wszechświat - nie byłaby w stanie przeciwstawić się przyszłemu projektowi Konfederacji. Zawsze musiała się liczyć z taką możliwością, ale teraz niebezpieczeństwo stało się znacznie realniejsze.

Rzecz jasna, gdy tylko przejmie kontrolę nad flotą Organizacji, wyśle do Mgławicy Oriona całą eskadrę uzbrojonych w antimaterię fregat. Ale w takim przypadku musiałyby z nimi polecieć. Jedno spojrzenie na Hudsona Proctora wystarczyło, by ją o tym przekonać. Był lojalny wobec niej, ale tylko dlatego że wybrał ją jako swoją przepustkę na szczyt. Jeśli da mu szansę przechwycić superbroń Tyrataków, zrobi z Kierą to, co ona zamierzała zrobić z Alem Capone. To nie była dobra sytuacja.

Drzwi windy otworzyły się i Kiera wyszła do holu. Ta część Hiltona była wydrążona w skale asteroidy. Łączyła zewnętrzną wieżę z resztą strefy mieszkalnej za pomocą sieci korytarzy.

Kilkunastu gangsterów z Organizacji siedziało na kanapach, pijąc i rozmawiając. Obsługiwał ich nieopętany barman. Trzech kolejnych gangsterów opierało się o długi blat recepcji. Nieopętani sprzątacze usuwali resztki śmieci pozostałych po obchodach zwycięstwa w Trafalgarze.

Kiera omiotła wszystko szybkim spojrzeniem, starając się nie okazywać niepokoju. Wiedziała, że ludzie Ala Capone nie będą jej zatrzymywać w drodze do niego. Wyjście mogło się jednak okazać trudniejsze. Wszyscy gangsterzy umilkli, wpatrując się w nią z uwagą.

Jedno z wyjść prowadziło do stacji małej sieci metra asteroidy. W ten sposób najszybciej wróciłaby na półkę cumowniczą, która była jej terytorium. Wagoniki metra mogły jednak paść ofiarą sabotażu, zwłaszcza że znaleźli już Bernharda Allsopa.

- Idziemy na piechotę - oznajmiła obstawie.

Wyszli przez wysokie, szklane drzwi do wielkiej, publicznej komory. Nikt nie próbował ich zatrzymywać. Garstka pieszych obecnych w komorze omijała ich szerokim łukiem.

- Ile czasu potrwa wyposażenie piekielnych jastrzębi? - Zapytała.

- Jeszcze parę godzin - odparł Hudson Proctor. Zmarszczył brwi. - Juli von Holger mówi, że czujniki strategiczno-obronne przestały rejestrować "Tamarana", kiedy patrolował wysoką orbitę.

- Czy zabiły go edenistyczne jastrzębie?

- Nie słyszałem śmiertelnego krzyku. Piekielne jastrzębie również nie. Atak z zasadzki na nasz okręt oznaczałby dla edenistów poważną zmianę taktyki.

- Niech czujniki strategiczno-obronne sprawdzą pozostałe piekielne jastrzębie, żeby się upewnić, czy nadal są z nami.

Kiera sapnęła z niesmakiem. Kolejna komplikacja. Wołała nie myśleć o możliwości dezercji piekielnych jastrzębi do edenistów. Ich oferta azylu pozostawała niezmieniona, sądząc z tego, co mówili Hudson, Juli oraz inni jej ludzie obdarzeni zdolnościami afinicznymi. Jedyna możliwość - że Al Capone w końcu naprawił rafinerię płynu odżywczego - była jeszcze gorsza.

Kilka metrów przed nią jakiś nieopętany pchający przed sobą wózek obładowany jedzeniem skręcił gwałtownie. Poirytowana Kiera usunęła się na bok, żeby uniknąć zderzenia. Mężczyzna był wrakiem. Policzki miał nieogolone, a szary kombinezon wymięty i sztywny. Wynędzniałą twarz wykrzywiał mu grymas straszliwego cierpienia. Nie zwracała na niego uwagi, gdyż jak u wszystkich nieopętanych, których spotkała w Montereyu, jego umysł wypełniała mieszanina bólu i strachu.

Mężczyzna rozpostarł szeroko ramiona i objął Kierę z całej siły, przewracając ją na ziemię.

- Mam cię! - Zawył. - Jesteś moja!

Kiera boleśnie uderzyła kolanem o węglowy beton.

- Kochana, małeńka Marie. Jestem tu. Jestem z tobą!

- Tato! - Nie ona to powiedziała. Głos pochodził z wewnątrz, dobiegał z niepowstrzymaną siłą z uwięzionego umysłu Marie Skibbow. Myśli Kiery wypełniło niedowierzanie, uniemożliwiając reakcję. Marie zmierzała do odzyskania kontroli.

- Wypędzę ją z ciebie, obiecuję - wołał Gerald. - Wiem, jak to zrobić. Loren mi powiedziała.

Hudson Proctor wreszcie otrząsnął się z szoku. Pochylił się nad szamoczącą się parą i złapał Geralda za rękaw. Pociągnął gwałtownie, wzmacniając mięśnie energistyczną mocą, by oderwać obłąkańca do Kiery. Gerald wbił w dłoń Hudsona małą baterię. Nagie elektrody wniknęły głęboko w ciało. Hudson wrzasnął przeraźliwie, gdy po jego skórze przebiegł prąd. Szarpnął się do tyłu z bólu i przerażenia. Na jego dłoni rozgorzał jasny płomień. Dwaj ochroniarze rzucili się na Geralda, unieruchamiając jego nogi i jedną rękę. Napastnik wrywał się rozpaczliwie.

Kiera ślizgała się po podłodze, ledwie zdając sobie sprawę z szalejącej wokół bijatyki. Jej kończyny zaczęły się poruszać, wykonując polecenia Marie. Myśli uwięzionej dziewczyny

rozprzestrzeniały się szybko, wracając na dawne ścieżki. Kiera skoncentrowała się na walce z nią.

Gerald uniósł baterię do twarzy Marie. Elektrody zatrzymały się kilka milimetrów od jej oczu.

- Wyłaż z niej! - Wściekał się. - Wyłaż! Wyłaż! Ona jest moja! Moja córeczka!

Jeden z ochroniarzy złapał go za nadgarstki i pociągnął mocno. Kości pękły, bateria spadła na podłogę. Gerald wrzasnął głosem pełnym furii. Z siłą berserka uderzył łokciem w tył. Trafiony w żołądek ochroniarz zgiął się wpół.

- Tato!

- Marie? - Wydyszał Gerald ze strachem i nadzieją.

- Tato - głos Marie brzmiał coraz słabiej. - Tato, pomóż mi.

Gerald rozpaczliwie macał ręką podłogę, szukając baterii. Gdy zacisnął na niej zimne palce, Hudson Proctor wylądował mu na plecach. Obaj zaczęli się przetaczać po podłodze.

- Marie!

Widział przed sobą jej piękną twarz. Trzepiąc włosami na boki, otrząsnęła się jak pies, który wyszedł z głębokiej wody.

- Już nie - warknęła i zdzieliła Geralda pięścią prosto w nos.

Kiera wstała powoli, chwiejąc się na nogach. Jej ciałem targały przeciągłe dreszcze. Wygnała małą dziwkę z powrotem tam, gdzie jej miejsce, żeby płakała w samym środku jej mózgu. Jeden z ochroniarzy leżał zwinięty na podłodze, trzymając się za brzuch. Jego policzek spoczywał w małej kałuży wymiocin. Hudson Proctor skakał na jednej nodze, potrząsając gwałtownie dłonią. Z głębokiego, czarnego zagłębienia nad kostkami buchały obłoczki dymu, wypełniające powietrze odrażającą wonią. Z oczu spływały mu łzy bólu. Ochroniarze otoczyli kręgiem Geralda, gotowi mu dokopać.

- Zabiję skurwysyna! - Wrzasnął Hudson, mocno kopiąc leżącego po żebrach.

- Przestań - powstrzymała go Kiera. Otarła drżącą dłonią czoło. Jej rozczochrane włosy poruszyły się i wyprostowały, odzyskując dawny wygląd. Spojrzała z góry na Geralda. Leżący jęczał cicho, trzymając się za bok, w miejscu, gdzie kopnął go Hudson. Z rozbitego nosa płynęła krew. Jego myślami i uczuciami zawładnął całkowity chaos.

- Jak tu się, kurwa, dostał? - Mruknęła.

- Znasz go? - Zdziwił się Hudson.

- Jasne. To ojciec Marie Skibbow. Ostatnio widziano go na Lalonde. A Lalonde ostatnio widziano, jak zniknęła ze wszechświata.

Hudson wzdrygnął się nerwowo.

- Chyba nie myślisz, że wracają?

- Nie myślę. - Kiera obejrzała się za siebie. Trzej gangsterzy Ala wyszli z holu Hiltona, żeby zobaczyć, co się dzieje. - Musimy stąd zmiatać. Bierzcie go - rozkazała ochroniarzom.

Złapali Geralda pod pachy i postawili. Skierował oszołomione spojrzenie na Kierę.

- Marie - jęknął.

- Nie wiem, jak się tu dostałeś, Gerald, ale wkrótce się dowiem. Musisz naprawdę kochać córkę, jeśli porwałeś się na coś takiego.

- Marie, córeczko, tata tu jest. Słyszysz mnie? Jestem tu. Proszę, Marie.

Kiera zgięła stłuczone kolano, krzywiąc się z nagłego bólu. Skupiła energistyczną moc na stawie i poczuła, że ból mija.

- W normalnej sytuacji wystarczającą karą byłoby pomęczyć cię trochę, żebyś był gotowy na przyjęcie duszy z zaświatów, ale po tym, co zrobiłeś, zasługujesz na coś lepszego. - Uśmiechnęła się

i pochylała nad nim nisko. - Zostaniesz opętany, Gerald - ciągnęła ochryplym głosem. - A szczęściarz, który dostanie twoje ciało, otrzyma w nagrodę mnie. Pójdę z nim do łóżka i pozwolę, żeby pierdolił się ze mną tak, jak tego zapragnie. A ty cały czas będziesz przy tym obecny. Będziesz czuł, jak walisz swoją kochaną córeczkę.

- Nieeee! - Zawył Gerald, szamocząc się w uścisku. - Nie możesz tego zrobić. Nie możesz!

Kiera powoli liznęła policzek Geralda, trzymając mocno jego głowę, żeby się nie wyrwał. Jej usta zatrzymały się nad jego uchem.

- To nie będzie pierwszy zboczony akt Marie, Gerald - wyszeptała słodko. - Podoba mi się, że to ciało tak bardzo się napala, kiedy wykorzystuję je do swoich perwersji. A mam ich mnóstwo. Wkrótce się o tym przekonasz.

Gerald zawył jak potępieniec. Kolana ugięły się pod nim.

- Znowu mnie boli - wybełkotał. - Głowa mnie boli. Nic nie widzę. Marie? Gdzie jesteś, Marie?

- Zobaczysz ją, Gerald. Obiecuję, że otworzę ci oczy. - Kiera zwróciła spojrzenie na trzymających nieszczęsnego szaleńca ochroniarzy. - Bierzcie go.

*

Gabinet, który wybrał dla siebie Emmet Mordden, znajdował się na tym samym piętrze, co centrum operacji taktycznych. Jego poprzedni właściciel, admirał dowodzący siecią strategiczno-obronną Nowej Kalifornii, gustował w jaskrawych meblach. Głębokie fotele miały kolor fioletowy, szkarłatny, cytrynowy i szmaragdowy, natomiast łukowaty blat biurka był idealnym zwierciadłem. Na holograficznym ekranie, umieszczonym w połowie wysokości ściany, który otaczał pomieszczenie wąskim, nieprzerwanym pierścieniem, było widać obraz rafy koralowej, skolonizowanej przez jakiś ksenobiotyczny gatunek wodnych termitów. Emmet nie miał nic przeciwko temu. Jak wszyscy opętani, lubił intensywne wrażenia wywoływane przez wyraziste kolory, a widok oceanu go uspokajał. Poza tym zamontowano tu bardzo potężny procesor, który pozwalał mu uporać się z większością zadań. Znajdował się też blisko centrum łączności Organizacji. Było to cenne, gdy nadchodził kryzys - czyli mniej więcej pięć razy dziennie. Na koniec, admirał zgromadził tu wielki zapas alkoholu.

Al wszedł do gabinetu i spojrzał z dezaprobatą na głębokie fotele.

- Mam usiąść w czymś takim? Jezu, Emmet, tylko nikomu nie mów. Muszę dbać o opinię.

Al opadł na fotel stojący najbliżej biurka i położył kapelusz na jego szerokiej poręczy. Potem rozejrzał się uważnie po gabinecie. Pomieszczenie wyglądało tak samo, jak reszta asteroidy. Mnóstwo śmieci, opakowań i jednorazowych kubków, a w kącie sterta brudnych łachów czekających na pranie. Jeśli komukolwiek z nich chciałoby się posprzątać w pokoju, to z pewnością Emmetowi. Nie zrobił tego jednak. To był zły znak. Niemniej jajogłowy miał kupę innych zajęć. Jego biurko pokrywało mnóstwo elektrycznych maszyn liczących, połączonych szklanymi przewodami. Szereg ekranów na brzegu blatu stał na stojakach do płyt i tak dalej. Wszystko świadczyło o pośpiechu.

- Widzę, że miałeś kupę roboty.

- Rzeczywiście. - Emmet obrzucił go zamyślnym spojrzeniem. - Al, muszę przyznać, że mam jeszcze więcej pytań niż na początku.

- To normalne.

- Po pierwsze, sprawdziłem kamery w korytarzu i w całej okolicy. Nie znalazłem zupełnie nic. Nie wiem, kto załatwił Bernharda, ale zabójcy na pewno manipulowali procesorami kamer. Skasowali wszystkie zapisy. Ktoś złamał nasze kody.

- Emmet, daj spokój... Wiesz, że za cholerę nie kapuję, o czym gadasz.

- Przepraszam, Al. Dobra, to jest tak, jakby zdjęcia zrobione przez kamery zamykano

automatycznie w sejfie. Ktoś otworzył ten sejf, zabrał zdjęcia i zamknął go z powrotem.

- Cholera. To znaczy, że nie mamy zdjęć?

- Nie z korytarza. Dlatego poszerzyłem zakres poszukiwań i sprawdziłem zewnętrzne kamery, te, które obserwują półkę. - Dotknął palcem jednego z prowizorycznych ekranów. - Patrz.

Na ekranie pojawił się obraz półki cumowniczej. Punkt widzenia znajdował się przy śluzie. Patrzyło na nią dwóch ludzi w skafandrach. Jeden z nich ruszył skokami w stronę otwartego włazu. Drugi po chwili podążył za nim.

- Potem przez parę minut nic się nie działo - odezwał się Emmet.

Obraz wypełniło śnieżenie. Po chwili dwie postacie wyszły ze śluzy i ruszyły wzdłuż półki.

- To oni zostawili ślady? - Zasugerował Al.

- Tak sądzę. Ale chyba nie mieli nic wspólnego z załatwieniem Bernharda.

- Pewnie, że mieli. Nie podnieśli alarmu.

- Noszą skafandry. Czyli nie są opętani. Spójrz na to z ich strony. Przed chwilą znaleźli świeżego trupa jednego z twoich namiestników, mają nawet jego krew na butach, a w okolicy nie ma nikogo, kogo mogliby wskazać palcem. Co byś zrobił na ich miejscu?

- Trzymałbym gębę na kłódkę - zgodził się Al. - Wiesz, kim są?

- Tu właśnie sprawa robi się dziwna. Sprawdziłem, skąd przyszli. Z piekielnego jastrzębia o nazwie "Mindori".

- Cholera! To ludzie Kiery.

- Nie sądzę. - Zapis kamery odtwarzał się dalej. Dwaj ludzie w skafandrach wsiedli do małej ciężarówki i podjechali do kolejnej śluzy. - W tym sektorze również nie mogłem nic odczytać z pamięci kamer, więc nie wiem, co robili w środku. Ale tym razem do skasowania zapisu użyto innego programu. Jeden z intruzów przeszedł na zewnątrz i załadował na ciężarówkę jakieś pakunki, a potem podjechał do "Mindori" i wrócił do środka. W załogach piekielnych jastrzębi Kiery nie ma nieopętanych - zauważył Emmet. - A ten facet odleciał na statku. Drugi został w habitacie.

- Jezu. To znaczy, że nadal gdzieś tu siedzi?

- Na to wygląda. Na pewno wiemy tylko jedno. To nie miało nic wspólnego z Kierą.

- Ale to mogą być cholerne Siły Powietrzne Konfederacji. Jakiś zamachowiec. Ich wersja Kingsleya Pryora.

- Nie jestem pewien, Al. Chodzi o pudła na ciężarówce. Sprawdziłem stan naszego magazynu. Nigdy nic się w nim nie zgadza do końca, ale tym razem nie mogłem znaleźć całej kupy sprzętu elektronicznego. Nie wierzę, żeby Siły Powietrzne włamały się do naszego magazynu, żeby ukraść ciężarówkę części zapasowych. To bez sensu.

Al gapił się na ekran. Nieruchomy obraz przedstawiał faceta w skafandrze wchodzącego do śluzy "Mindori".

- Dobra, to znaczy, że mamy do czynienia z dwiema odrębnymi sprawami. Kiera załatwiła Bernharda, a piekielny jastrząb pomógł komuś ukraść nasz sprzęt. To pierwsze mogę zrozumieć, ale to drugie... Domyślasz się, co on kombinował?

- Nie. Ale ten piekielny jastrząb jest tu teraz. Możemy po prostu zapytać. "Mindori" zacumował na półce dziś rano. Inżynierowie Kiery przygotowują go do długodystansowego lotu. Jest coś jeszcze: nasza sieć obronna melduje, że kolejny piekielny jastrząb zniknął podczas patrolowego lotu. Sprawdzają teraz wszystkie, by się upewnić, ile ich zostało.

Al rozparł się wygodnie, rozciągając usta w radosnym uśmiechu.

- Może próbują się uwolnić. Ile czasu minie, nim naprawimy tę ich fabrykę żarcia?

- Tydzień. Pięć dni, jeśli naprawdę się pośpieszymy.

- To się pośpieszcie, Emmet. Tymczasem przeleczę się w Cameronie. Pogadaj w moim imieniu z innymi piekielnymi jastrzębiami, tak żeby Kiera nic nie usłyszała.

*

Chaotyczne myśli Geralda krążyły we wszechświecie wypełnionym ciemnością i bólem. Nie wiedział, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. Nie dbał o to właściwie. Od czasu do czasu przypadkowe impulsy neuronów rozpraszały ciemność jaskrawymi wizjami Marie. Jego myśli zbierały się wokół tych obrazów niczym tłumy wiernych wyznawców. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć, skąd bierze się to uwielbienie. Do świata jego cierpienia przeniknęły głosy. Chór szeptów. Były natarczywe. Nie dawały za wygraną. Z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze. Przybierały na sile, wnikając do jego zmałowanej świadomości.

Biały rozbłysk gorącego bólu przeraził go, przywracając kontakt z ciałem.

- Wpuść nas. Połóż kres męczarniom. Możemy ci pomóc. Ból zmienił pozycję i charakter. Parzył go teraz.

- Możemy to powstrzymać.

- Ja mogę to powstrzymać. Wpuść mnie. Chcę ci pomóc.

- Nie. Wpuść mnie. To ja ci pomogę.

- Ja.

- Ja znam sekret, który zakończy tortury.

Usłyszał dźwięk. Prawdziwy dźwięk, który niósł się w powietrzu. To były jego własne, słabe krzyki. I śmiech. Okrutny, bezlitosny śmiech.

- Gerald.

Nie, odpowiedział. Nie zrobię tego. Nie po raz drugi. Wolę umrzeć.

- Gerald, wpuść mnie. Nie opieraj się.

Prędzej zginę dla Marie, niż...

- Gerald, to ja. Poczuj mnie. Poznaj. Posmakuj moich wspomnień.

Powiedziała... Powiedziała, że... O, nie. Tylko nie to. Nie każcie mi, nie z nią. Nie.

- Wiem. Byłam przy tym. A teraz mnie wpuść. Wiem, że to trudne, ale musimy jej pomóc.

Musimy pomóc Marie. To jedyny sposób.

Zdumienie, wywołane tożsamością domagającej się wstępu duszy, skruszyło bariery jego umysłu. Intruz z zaświatów przeniknął do ciała Geralda. Energia, którą ze sobą przyniósł, wypełniła kończyny, przebiegła wzdłuż kręgosłupa. Dodała mu życia. Do synaps wtargnęły nowe wspomnienia, zderzając się ze starymi w kaskadzie obrazów, dźwięków, smaków i dotyków. Tym razem nie było jak przedtem. Wtedy był zamknięty, jego świadomość ledwie funkcjonowała, a z zewnątrz dobiegała jedynie wąska strużka wrażeń. Był biernym, niemal nieczułym pasażerem, czy może więźniem własnego ciała. Tym razem partnerstwo było bardziej równe, nawet jeśli przybysz miał dominującą pozycję.

Gerald otworzył oczy. Przyływ energistycznej mocy pomógł mu skupić spojrzenie. Jej drugi impuls wreszcie przegnał straszliwy ból głowy, który dręczył go od tak dawna.

Dwaj ochroniarze Kiery uśmiechali się do niego drwiąco.

- Ale z ciebie szczęściarz - stwierdził ze śmiechem jeden z nich. - Chłopie, czeka cię najlepsza noc w życiu.

Gerald uniósł rękę. Dwa strumienie białego ognia trysnęły z jego palców, przebijając czaszki mężczyzn. Cztery bełkoczące z wściekłości dusze umknęły w zaświaty.

- Dziękuję, ale mam na dziś inne plany - powiedziała Loren Skibbow.

Minął długi czas, odkąd Al ostatnio leciał swoją rakieta. Kiedy usiadł w wielkim,

wyściełanym zieloną skórą fotelu na widokowym pokładzie piekielnego jastrzębia, uświadomił sobie, jak bardzo ten jest długi. Wyciągnął się wygodnie, unosząc nogi ku górze.

- Dokąd mam cię zabrać, Al? - Zapytał głos Camerona, dobiegający ze srebrnego megafonu na ścianie.

- No wiesz, gdzieś poza Monterey.

Potrzebował krótkiej chwili odpoczynku, żeby zastanowić się nad tym, co się działo. W dawnych czasach wybrałby się gdzieś samochodem, może zabrałby wędkę. Albo pograłby w golfa. Robił to czasem, choć tylko w gronie znajomków, którzy chcieli miło spędzić czas, nie przejmując się zbytnio oficjalnymi regułami.

Za wielkim przednim oknem rozciągał się widok na przeciwbrotowy kosmodrom planetoidy, który powoli oddalał się od nich. W kabinie panowało stałe przyciąganie. Zza krawędzi kosmodromu wysuwał się wąski, srebrzysty sierp Nowej Kalifornii, przypominający księżyc, jaki widywał w pogodne, letnie noce nad Brooklynem.

Nie umiał się przyzwyczaić do myśli, że planety mają tak wiele chmur. Zdumiewające, że ludzie na powierzchni widywali czasem słońce.

Cameron oddalał się od wielkiej asteroidy, obracając się powoli wokół osi niczym rozbawiony delfin. Gdyby Al wyrzał przez bulaje położone dalej z tyłu, zobaczyłby żółte płetwy i szkarłatny kadłub lśniący w promieniach słońca.

- Hej, Cameron, możesz mi pokazać Mgławicę Oriona?

Piekielny jastrząb zwolnił obroty, przesuwając nos na tle gwiazd niczym igłę kompasu.

- Tam. Powinna teraz być w samym środku okna.

Al zobaczył delikatną, świetlistą mgiełkę, jakby Bóg zrobił mokrym palcem ślad na płótnie przedstawiającym wszechświat. Dziwacznie wyglądająca plamka. Emmet mówił, że to mgła w kosmosie, miejsce, gdzie rodzą się gwiazdy. Marsjanie ze swymi promieniami śmierci mieszkali po drugiej stronie.

Niczego z tego nie kapował. Wiadomość, że okręty Sił Powietrznych poleciały do Mgławicy Oriona, przstraszyła Kierę. Nawet Jez czuła się zaniepokojona. Dla niego jednak nic to nie znaczyło. Będzie musiał znowu prosić o radę. Westchnął, godząc się z nieuniknionym. Z niektórymi sprawami nadal jednak potrafił sobie radzić. Chicago miało więcej terytoriów, frakcji i gangów niż cała Konfederacja razem wzięta. Umiał nimi manipulować. Znajdować nowych sojuszników i pozbywać się starych. Zastraszanie, przekupstwa, szantaże, wymuszenia - nikt z dzisiaj żyjących ludzi nie dorównywał mu politycznym doświadczeniem. Był księciem miasta. Wtedy, teraz i zawsze.

- Cameron, chcę pogadać z piekielnym jastrzębiem, który się nazywa "Mindori". To musi być poufna rozmowa.

Ostro zakończony szkarłatny nos zaczął się obracać. Mgławica zniknęła z pola widzenia. Jej miejsce zajął Monterey, brudna plama koloru ochry, upstrzona plamkami światła skupiającymi się wokół kosmodromu.

- Facet nazywa się Rocio, Al - poinformował Cameron.

Kwadrat w rogu okna przybrał szarą barwę. Potem pojawiła się w nim twarz.

- To dla mnie zaszczyt, panie Capone - odezwał się uprzejmie Rocio. - W czym mogę pomóc?

- Nie lubię Kiery - oznajmił Al.

- A kto ją lubi? Niestety, obaj jesteśmy na nią skazani.

- Niech pan nie opowiada bzdur, Rocio. Złapała was za jaja, dlatego że wysadziła wszystkie wasze fabryki żywności. A gdybym panu powiedział, że moglibyśmy jedną odbudować?

- To by mnie zainteresowało.

- Nie wątpię. Sami próbujecie taką zbudować. Dlatego właśnie zwinął pan te części, zgadza się?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Mamy to nagrane, Rocio. Sfilmowaliśmy pańskich ludzi, jak włamali się do Monterey a i wywieźli stamtąd ciężarówkę sprzętu.

- Wróciłem do kosmodromu, żeby się poddać rutynowemu przeglądowi. Zamontowano też we mnie trochę nowych części. I co z tego?

- Mam to sprawdzić z Kiera?

- Myślałem, że pan jej nie lubi.

- Dlatego najpierw zgłosiłem się do pana.

- Czego pan chce, panie Capone?

- Dwóch rzeczy. Jeśli wasza fabryka nie wypali, zgłóście się do mnie, dobra? Mogę wam zaoferować znacznie lepsze warunki niż Kiera. Na początek, żadnych bijatyk. Musielibyście tylko strzec przestrzeni wokół Nowej Kalifornii. Ten wasz dalekozasięgowy wzrok jest cennym darem. Szanuję to i jestem gotowy zapłacić wam za niego najwyższą cenę na rynku.

- Rozważę propozycję. A druga sprawa?

- Chcę pogadać z facetem, który widział morderstwo. Ofiara była moim przyjacielem. Chcę zadać twojemu człowiekowi kilka pytań.

- Nie osobiście. Jest dla mnie cenny. Nie chcę, żeby mi go zabrano.

- Cholera, jasne. Wiem, że nie jest opętany. Chcę z nim pogadać, to wszystko.

- Zgoda.

Al czekał jakąś minutę, dopijając kawę. Starał się okazać cierpliwość. Gdy wreszcie pojawiła się naburmuszona, nieufna twarz Jeda, roześmiał się cicho.

- Niech mnie szlag. Ile masz lat, chłopcze?

- Co panu do tego?

- Zaimponowałeś mi. Muszę przyznać, że masz jaja, chłopcze. Włazłeś prosto do mojej jamy i zwinąłeś elektryczny szmelc warty sto kawałków. Masz styl. To mi się podoba. We wszechświecie nie ma zbyt wielu, którzy by się na to odważyli.

- Nie miałem wyboru - mruknął Jed.

- Cholera, wiem o tym. Wychowywałem się w podejrzanej dzielnicy i pamiętam, jak to wygląda, kiedy ktoś jest na dnie. Musisz udowodnić szefowi, że potrafisz sobie radzić, bo jak nie, na nic mu się nie zdasz. A wtedy cię wykopie, bo zawsze znajdzie się jakiś cwaniaczek, który myśli, że zrobi to lepiej.

- Pan naprawdę jest Alem Capone?

Al przesunął dłoń po klapach marynarki.

- Sprawdź to, synku. Nikt inny nie ma takiej klasy.

- O czym chce pan pomówić?

- Muszę się dowiedzieć paru rzeczy. Wiem, że nie mogę ci w zamian zaoferować zbyt wiele. Nie pali ci się zbyt do spotkania ze mną. Świetnie rozumiem, ale dlatego nie mogę ci ofiarować materialnej zapłaty: panienek, gorzały i tak dalej. Mam jednak mnóstwo miejscowej waluty. Słyszałeś o niej?

- To takie żetony?

- Aha. Żetony wsparte moim słowem. Kiedy mówię, że jesteś komuś coś winien, musisz spłacić ten dług. Będę ci winien trzy przysługi. Ja, Al Capone, zostanę twoim dłużnikiem. Będiesz mógł wystąpić o spłatę tego długu na każdej planecie należącej do opętanych. Kapujesz, nie możesz

prosić o pokój na świecie czy inne takie pierdoły, ale jeśli będziesz potrzebował pomocy albo przysługi, dostaniesz ją. Możesz to uznać za ostateczne ubezpieczenie. Kapujesz, my, opętani, rozprzestrzeniaemy się po całym wszechświecie. Umowa stoi?

Chłopak może się nie uśmiechnął, ale przynajmniej z jego twarzy zniknęła naburmuszona mina.

- Dobra, co chce pan wiedzieć?

- Po pierwsze, ten drugi facet, który został na miejscu. Czy on chce mnie sprzątnąć?

- Gerald? Chryste, nie. On jest chory, bardzo poważnie. - Jed nagle się rozpromienił. - Hej, to będzie ta pierwsza przysługa. On się nazywa Gerald Skibbow. Jeśli go pan znajdzie, chcę, żeby trafił do porządnego szpitala, z prawdziwymi lekarzami i tak dalej.

- Dobra. To mi się bardziej podoba. Wreszcie nawiązaliśmy jakiś dialog. W porządku, Gerald Skibbow. Jeśli go znajdziemy, dostanie opiekę medyczną. A teraz druga sprawa. Powiedz, czy widziałeś kogoś w korytarzu, kiedy znalazłeś trupa.

- Tak, był tam jakiś facet. Widziałem go przez szybę w drzwiach, ale niezbyt wyraźnie. Miał długi nos. Aha, i bardzo gęste brwi. No, wie pan, takie, co się zrastają nad nosem.

- Luigi - warknął Al. Powinien był się tego domyślić. Karanie ludzi zawsze wywołuje resentymenty. Na pewno ma też kontakty wśród oficerów floty. Od cholery kontaktów. Kiera tego właśnie potrzebowała. - Dziękuję, chłopcze. Nadal jestem ci winien dwie przysługi.

Jed skinął głową z przesadnym wigorem.

- W porządku - zgodził się i jego obraz zniknął.

Al ze złością wypuścił powietrze z płuc. Gniewał się również na siebie. Trzeba było mieć oko na Luigiego. Na tym właśnie polegał kłopot z tymi całymi powrotami. Jak ktoś się robił za sprytny, nie można go było po prostu sprzątnąć, bo istniało ryzyko, że pojawi się z powrotem na Nowej Kalifornii, jeszcze bardziej wkurzony niż przedtem.

Wtem dusze w zaświatach ogarnęła fala zaskoczenia i konsternacji, natychmiast przyciągając uwagę Ala. Działo się coś straszliwie ważnego. Pośród uczuć, rozbiegających się na wszystkie strony od niezidentyfikowanego źródła, dominowały przerażenie i bojaźń.

- Co jest? - Pytał Al. - Co się stało?

Dzięki Bogu nie było to nic w rodzaju tego pierwszego, miażdżącego uderzenia na Mortonridge. Kiedy się skoncentrował na szarych, ulotnych obrazach przeskakujących od duszy do duszy, ujrzał słońce, z którego gwałtowną erupcją wynurzyło się drugie. Przestrzeń wypełniły płomienie. Przez całe niebo przemknęła niepowstrzymana fala śmierci. Arnstadt!

- Jezu Chryste! - Wydyszał Al. - Cameron? Widziałeś to?

- Cholernie wyraźnie. Piekielne jastrzębie chyba przeskoczyły.

- Nie mam do nich pretensji.

Okręty Organizacji zniknęły, pochłonięte przez rozbłyśki oślepiająco białego światła.

Nawet mu się nie śniło, że Siły Powietrzne Konfederacji w taki sposób odpowiedzą na Trafalgar. Użyły brutalnej siły na niesłychaną skalę. Jego flota była bezradna. Cenna antymateria na nic się zdała.

- Czy nic nie rozumieją? - Pytał zdesperowane dusze. - Arnstadt odejdzie.

Zaświaty przesywały już błyski radości, gdy niezliczone ciała oferowano do opętania. Dysfunkcja rzeczywistości wokół Arnstadta robiła się coraz silniejsza, w miarę jak kolejni opętani wzmacniali jej postać. Orbitalna broń Organizacji spadała na ziemię w obłokach dymu i nic już nie mogło ich powstrzymać.

- Cameron, zabierz mnie do domu. Szybko.

Wiedział, co się teraz wydarzy. Siły Powietrzne Konfederacji złożą wizytę Nowej Kalifornii, a perspektywa ich bliskiego przybycia stwarzała szansę dla Kiery. Tym razem namiestnicy i żołnierze zapewne jej wysłuchają, kiedy im powie, że powinni wracać na planetę.

Dzień zaczął się źle i stawał się coraz gorszy.

*

Wzięte na zakładników rodziny członków załóg gwiazdolotów przetrzymywano na kilku piętrach hotelu wychodzącego na komorę biosferyczną Monterey. Za dnia więźniowie zbierali się w publicznych salach budynku, by dodawać sobie nawzajem otuchy. Jednak niewiele to pomagało. Wszyscy byli wyczerpani nerwowo. Żyli z dnia na dzień, niedożywieni i odcięci od informacji, a strażnicy Organizacji ignorowali ich i gardzili nimi.

Silvano oraz dwaj inni gangsterzy wprowadzili Kingsleya do sali konferencyjnej hotelu. Natychmiast wypatrzył Clarissę, która pomagała podawać poranny posiłek. Na jego widok krzyknęła głośno z radości, rzucając łopatkę do rondla z fasolą, i padła mu w objęcia, przyciągając spojrzenia wszystkich.

Była zachwycona. Przez minutę. Potem Kingsley nie mógł już jej dłużej okłamywać i wyznał, kim się stał. Zesztywniała, odsuwając się od niego z rozpaczą, jakby chciała zablokować te słowa, sprawić, by nigdy ich nie wypowiedziano.

- Jak to się stało? - Zapytała. - W jaki sposób zginąłeś?

- Byłem w gwiazdolocie. Doszło do eksplozji antimaterii.

- Trafalgar? - Wyszepiała. - Kingsley, czy to był Trafalgar?

- Tak.

- O, mój Boże. Tylko nie to.

- Muszę się czegoś dowiedzieć. Wybacz, że nie pytam o ciebie. Wiem, że powinienem, ale to w tej chwili najważniejsza rzecz w całym wszechświecie. Wiesz, gdzie jest Webster?

Potrząsnęła głową.

- Rozdzielili nas. Ten skurwysyński, gruby kolaborant Octavius przydzielił go do kuchni. Na początku spotykałam się z nim co tydzień, jednak minęło już przeszło pół miesiąca, odkąd go ostatnio widziałam. Żaden z nich nie chce mi nic powiedzieć. - Umilkła nagle, widząc, że na twarzy Kingsleya pojawił się niezwykle uśmiech. - O co chodzi?

- A więc mówił prawdę.

- Kto?

- Powiedziano mi, że Webster uciekł Organizacji, że przebywa na statku kosmicznym. Teraz mówisz, że go nie widziałas, a Capone nie może go znaleźć.

- Jest wolny? - Ta wiadomość przewyciężyła jej opory i Clarissa znowu go dotknęła. - Kto ci o tym powiedział?

- Nie wiem. Ktoś bardzo dziwny. Clarisso, uwierz mi, w tym wszechświecie dzieje się mnóstwo rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia.

Rozciągnęła usta w tragicznym uśmiechu.

- Trudno by mi było zwątpić w słowa własnego zmarłego męża.

- Pora stąd odejść - oznajmił nagle.

- Dokąd się udamy?

- Ty jak najdalej stąd. Capone jest mi to winien, ale podejrzewam, że mogę mieć trudności ze skłonieniem go do spłaty długu. Dlatego będziemy posuwać się naprzód powoli.

Ruszył w stronę drzwi sali. Clarissa szła bojaźliwie za nim. Dwaj czekający pod drzwiami gangsterzy wyprostowali się nagle, kiedy się zbliżył. Silvano gdzieś zniknął i nie wiedzieli, co mają

robić.

- Idę stąd - poinformował ich Kingsley spokojnym, gładkim tonem. - Bądźcie rozsądni i zejście mi z drogi.

- Silvano nie będzie zadowolony - sprzeciwił się jeden z gangsterów.

- W takim razie powinien mi o tym powiedzieć osobiście. To nie należy do waszych obowiązków.

Skoncentrował się na drzwiach, wyobrażając sobie, że się otwierają.

Próbowali go powstrzymać, zamknąć je własną mocą. Jakby siłowali się na rękę za pomocą czarnej magii.

Kingsley roześmiał się w głos, gdy drzwi nagle się otworzyły. Zerknął na jednego gangstera, potem na drugiego, unosząc brwi w wyrazie drwiącego wyzwania. Nie stawiali już oporu. Wziął rękę Clarissę i opuścił salę.

Jeden z gangsterów złapał pośpiesznie za biały telefon, by podnieść alarm.

*

Gerald szedł ostrożnie korytarzem, zatrzymując się kolejno przy wszystkich drzwiach, by sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Loren musiała poświęcać wiele uwagi tylko upewnianiu się, czy jego nogi kroczą prawidłowo. Stan umysłu Geralda przeraził jego żonę. Jego myśli były chaotyczne, być może cofnęły się do poziomu dziecka, a wspomnienia stawały się coraz słabsze i trudniejsze do przywołania. Tylko uczucia zachowały normalną siłę. Nie hamował ich już rozum ani zastanowienie. Atakowały resztki racjonalności gwałtownymi przypływami. Znał jedynie paniczny strach, nie lekki niepokój, palący wstyd, nie zażenowanie.

Musiała bez przerwy go uspokajać, jakby był małym dzieckiem. Jej obecność dodawała mu otuchy. Ani na chwilę nie przestawał do niej gadać. Zdezorganizowany strumień jego świadomości bardzo niepokoił Loren.

Był też w kiepskim stanie fizycznym. Obrażenia zadane przez zbirów Kiery łatwo było uleczyć mocą energistyczną, ale jego ciało było zziębnięte, a pod czaszką utrzymywał się ostry, uporczywy ból, którego nawet moc Loren nie mogła do końca usunąć. Potrzebował tygodnia porządnego snu, miesiąca dobrych posiłków i roku na leżance psychiatry. Wszystko będzie jednak musiało poczekać.

Znajdowali się gdzieś wewnątrz kosmodromu, który Kiera zagarnęła dla siebie i swego bractwa. Ta ich kwatera główna była jednak niemal całkowicie opustoszała. Loren poza dwoma oprychami, których zabiła, spotkała tylko trzech innych opętanych. Żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi. Wszyscy śpieszyli się wykonać rozkazy. W salach i korytarzach nie było nikogo.

Loren weszła do głównej sali. Nieraz widziała z zaświatów jej nieprzyciągające uwagi dekoracje oraz proste meble. To była jaskinia Kiery.

Dłoń Geralda przesunęła się po obiciu kanapy. Marie przesiadywała na niej przez długie godziny, rozmawiając ze współpiskowcami. Ekspres do kawy, który przyniosła tu razem z porcelaną, był włączony i salę wypełniała aromatyczna woń. Loren przesunęła spojrzenie ku drzwi sypialni Marie, myśląc o mężczyznach, z którymi dzieliła ją jej córka.

Próbowwała się dowiedzieć od przebywających w zaświatach dusz, gdzie się podziała Marie, ale niepokój wywołany atakiem na Arnstadt wypełnił myśli kakofonią jeszcze straszliwszą niż zwykle. Niemniej parę razy udało się jej dostrzec kobiecą postać. To mogła być ona. Biegła z grupą ludzi jakimś nieznanym korytarzem.

Jej twarz przypominała twarz Marie mniej niż kiedykolwiek dotąd.

Loren zaklęła szpetnie. Dotarli tak daleko. Oboje z Geraldem przeżyli okropności, o jakich

nikomu się do tej pory nie śniło. Pokonali wiele przeszkód. Byli tak blisko. Wszechmocne jestestwo odpowiedzialne za zaświaty z pewnością wymyśliło też coś takiego jak przeznaczenie.

Czuła, że Gerald załamuje się, porażony trwogą. Perspektywa odzyskania córki oddaliła się po raz kolejny. Obiecała mu, że nie dopuści do jej utraty.

Przechodząc przez salę, zauważyła piekielnego jastrzębia spoczywającego na cokole na zewnątrz. Zatrzymała się, czując zaskoczenie Geralda, który rozpoznał nagą postać "Mindori". Ładownię statku otaczały platformy i ruchome suwnice, otoczone jaskrawym światłem reflektorów. Ekipy remontowe w czarnych, gładkich skafandrach SII instalowały wielkie moduły sprzętowe, łącząc doprowadzające moc oraz chłodziwo przewody z wejściami w kadłubie statku. Choć Loren nie rozumiała celu całej tej aktywności, była pewna, że znalazła drogę, którą będzie mogła uciec, gdy nadejdzie czas. Pod warunkiem, że stanie się to wkrótce.

Opuściła salę i zesłała na niższy poziom. Znajdowała się tu sekcja inżynierii, łatwo było jednak zauważyć, że ostatnio popadła w zaniechanie. Płyty świetlne paliły się słabym, żółtym blaskiem, z niektórych przewodów wentylacyjnych dobiegało irytujące buczenie i od czasu do czasu buchało powietrze, większość jednak była nieczynna. Tylko ledwie słyszalny szum ciężkiej maszynerii świadczył, że sekcji nie opuszczono całkowicie. Loren obróciła się wokół, starając się ustalić, skąd dobiega dźwięk. Zastanawiała się, co może funkcjonować tak intensywnie pod nieobecność ludzi.

Gdy wreszcie zlokalizowała drzwi i otworzyła je, ujrzała za nimi wielki warsztat naprawczy, przerobiony na cybernetyczną fabrykę. Szeregi ciężkiej maszynerii pracowały zaciekle, kując, wierząc i tnąc metal, by ukształtować jakieś elementy. Między maszynami biegły proste taśmy produkcyjne, dostarczające świeżo wykonane części do stołów montażowych, usytuowanych na końcu sali. Dwudziestu kilku nieopętanych robotników składało karabiny maszynowe. Byli rozebrani do pasa, a ich skóra lśniła od potu. Bijące od nieosłoniętych maszyn ciepło ogrzewało pomieszczenie do wysokiej temperatury.

Nic z tego właściwie nie docierało do Geralda, Loren zaś rozglądała się wokół, całkowicie zbita z tropu. Po chwili podeszła do jednego z robotników.

- Hej, ty! Do czego one mają służyć?

Przerażony mężczyzna uniósł wzrok, a potem pochylił głowę.

- To karabiny - mruknął z niechęcią.

- Widzę. Ale po co je produkujecie?

- Dla Kiery.

Nie ulegało wątpliwości, że nie wydobędzie z niego nic więcej. Loren wzięła w ręce jeden z karabinów. Jej dłonie ślizgały się po cienkiej warstewce konserwującego oleju. Ani ona, ani Gerald nie wiedzieli zbyt wiele o broni, pomijając kurs posługiwania się myśliwską strzelbą laserową, którą wolno było im mieć. Ta broń wyglądała jednak dziwnie. Loren przyglądała się, jak robotnicy montują jeden z karabinów. Jego mechanizm spustowy był za wielki, a wzdłuż lufy biegły pasma jakiegoś kompozytu.

W głowie Geralda obudziły się nagle wspomnienia, które nie należały ani do niego, ani do Loren. Wspomnienia bólu i złości. Uzbrojonych w karabiny maszynowe humanoidalnych potworów, wyłaniających się niepowstrzymaną falą z szarego deszczu.

Mortonridge. Kiera budowała broń, jakiej Konfederacja użyła w Mortonridge. Przeciwno opętany!

Loren ponownie rozejrzała się po fabryce. To, co zobaczyła, bardzo ją zaniepokoiło. Z pewnością produkowano tu setki karabinów dziennie. Otaczali ją nieopętani zajęci wyrobem jedynej

broni, która w mgnieniu oka mogła ją odesłać z powrotem w zaświaty. Pod warunkiem, że mieli amunicję.

Sprawdziła karabin, który trzymała w rękach, wycierając szmatką nadmiar oleju. Upewniwszy się, że broń jest funkcjonalna, Loren opuściła fabrykę i zaczęła szukać drugiej. Z pewnością była niedaleko.

*

Od Monterey'a dzieliło ich dwadzieścia kilometrów. W miarę jak Cameron się zbliżał, asteroida przesłaniała powoli półksiężyc Nowej Kalifornii, wypełniając jednocześnie wielkie okno na pokładzie spacerowym. Ich trajektoria przecinała oś obrotu planetki pod kątem prostym i wyglądało, jakby ze szczytu skały wyrastał błyszczący, metalowy grzyb. Nagle jednak obraz się zmienił. Cameron przeleciał nad przeciwbrotowym kosmodromem i zaczął opadać ku niemu, równoległe do wrzeciona. Przed sobą mieli półkę cumowniczą, głęboką, okrążającą asteroidę rozpadlinę wydrążoną w skale. Po jednej stronie szczeliny paliły się jasne, maleńkie światełka, tworzące po drugiej stronie duże kręgi blasku. Obraz przesunął się powoli, gdy piekielny jastrząb podążał za ruchem obracającej się wokół osi asteroidy, aż wreszcie ściany rozpadliny stały się podłogą i sufitem. Al zaczynał w końcu rozumieć, w jaki sposób działa siła odśrodkowa.

Na ścianie urwiska tuż za półką doszło do wybuchu. Skałę pokrywała tam wielka mozaika metalu i kompozytu. Z nierównego otworu w jej środku trysnęła szeroka fontanna lśniącego, białego gazu, poruszającego się tak powoli, że mógłby być płynem, a także maleńkie odpryski stałej materii.

Al wyjął cygaro z ust i podszedł do okna, przyciskając do niego twarz, żeby lepiej widzieć.

- Cholera jasna. Cameron, co się stało? Czy Siły Powietrzne już tu dotarły?

- Nie, Al. W skale pojawił się wyłom. Słucham przekazów radiowych, nikt nie jest pewien, co się wydarzyło.

- W którym miejscu nastąpił wybuch?

Al wyteżał wzrok, starając się zobaczyć, czy w pobliżu miejsca eksplozji są jacyś ludzie albo piekielne jastrzębie.

- W sektorze przemysłowym. Tam, gdzie naprawiałeś tę fabrykę płynu odżywczego.

Al walnął w okno otwartą dłonią.

- Co za dziwka! - Trzy małe blizny na jego płonącym policzku były białe jak śnieg. Gapił się na fontannę, która słabła powoli, odsłaniając roztrzaskane fragmenty odpadające od pionowej skały.

- Dobra, jeśli chce otwartej walki, dostanie ją.

- Al, odbieram szerokopasmowy przekaz. To Kiera.

Jedno z małych, okrągłych okienek zamigotało. Pojawiła się w nim twarz Kiery.

- Po Arnstadcie nie może być alternatywy. Siły Powietrzne Konfederacji są już w drodze i mają wystarczająco wiele okrętów, by nas pokonać. Jeśli nie chcecie zostać wygnani z powrotem w zaświaty, musicie się przenieść na planetę. Dysponuję środkami, które pozwolą nam tego dokonać oraz umożliwią wam zachowanie dotychczasowej pozycji pod moim patronatem. Nie będziecie też musieli narażać życia w niebezpiecznych misjach wojennych, na jakie wysyłał was Capone. Jego czas już się kończy. Ci z was, którzy pragną zachować przywileje, mogą się skontaktować z Luigim, który dołączy do was ze "Swabią". Tym, którzy podążają za nim na niską orbitę, pozwolę zejść na powierzchnię. Jeśli ktoś woli poczekać na Siły Powietrzne, proszę bardzo.

- Cholera. - Al złapał za czarny telefon. - Cameron, połącz mnie z Silvanem.

- Już czeka, szefie.

- Silvano? - Wrzasnął Al. - Słyszysz Kierę?

- Słyszę, szefie.

Głos Silvana z trudem przebiegał się przez trzaski.

- Powiedz Emmetowi, że ma użyć wszelkich dostępnych środków, by powstrzymać statki, które nie zostaną na miejscu. Później sam przemówię do floty. I chcę, żeby ten kurewski przekaz zatrzymano. Natychmiast! Wyślijcie naszych żołnierzy, niech otoczą jej kwaterę główną i nikogo nie wypuszczają. Policzę się z nią osobiście. Jeszcze dzisiaj z nią skończę.

- Jasne.

- Za chwilę przycumujemy. Wyjdź mi na spotkanie z grupą chłopaków. Tylko lojalnych, Silvano.

- Będziemy na ciebie czekać.

*

U podstawy przeciwoobrotowego wrzeciona zjawił się Luigi w świetnym humorze. Całe to czekanie i knucie spisków irytowało go. Za bardzo przypominało skradanie się w ciemności. Był facetem, który wolał działać otwarcie. Kiera nalegała, by nie przyciągał uwagi, dlatego nadal wykonywał polecenia tego zera, Malone'a. Tylko z rzadka udawało mu się spotkać z kumplami pilotującymi okręty Organizacji, a i wtedy jedynie siał ziarna wątpliwości oraz podsuwał im buntownicze myśli. Zawsze wracał potem do Kiery i zapewniał ją, że flota traci cierpliwość do Ala Capone. Rzeczywiście tak było, choć naciągał nieco liczby, by lepiej wypaść w jej oczach.

Zresztą nie miało to już znaczenia. Opuścił nędzną piwnicę Malone'a, gdy tylko dotarli do niego echa Arnstadta. Nawet nie czekał na sygnał od Kiery. To była ich szansa. Kiedy wróci do floty, sfabrykowane przez niego liczby nie będą ważne. Wiedział, że ludzie pójdą za nim. Zawsze dobrze traktował swoich oficerów i szanowali go za to.

Gdy wysiadł z metra, wielka komora transferowa w piaście była niemal zupełnie pusta. W powietrzu popłynął w stronę drzwi wind.

Zmierzało ku niemu dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Luigi zirytował się tym, ale to nie czas na urządzanie scen. Za dziesięć minut, tylko dziesięć, znowu będzie dowodził gwiazdolatem.

- Pamiętam pana - odezwał się Kingsley Pryor. - Był pan jednym z namiestników Ala Capone.

- I co z tego? - Warknął Luigi. Nie potrafił się przyzwyczaić do szeptów i spojrzeń, które wszędzie za nim podążały, jakby był jakimś poszukiwanym pedofilem.

- Nic. Idzie pan na statek?

- Aha. Zgadza się.

Luigi odwrócił wzrok, licząc na to, że przyglup pojmie aluzję.

- Świetnie - ucieszył się Kingsley. - My też.

Drzwi otworzyły się, odsłaniając puste wnętrze wagonika.

- Pan pierwszy - powiedział Kingsley i skinął uprzejmie.

*

Po prysznicu Jezzibella przeszła wzdłuż łóżka, przyglądając się sukniom, które rozłożyła na nim Libby. Problem w tym, że żadna z nich nie była nowa. Odkąd związała się z Alem, zaliczyła już całą garderobę. *Potrzebuję nowych ciuchów*. Podczas tournée nigdy nie było to dla niej problemem. Stroje stanowiły tak mały ułamek budżetu, że nawet gdy na każdej planecie kupowała nowe, firma nie miała nic przeciwko temu. Nie musiała zresztą tego robić. Na każdym nowo skolonizowanym świecie pełno było ambitnych projektantów mody, którzy zrobiliby wszystko, żeby tylko Jezzibella zechciała spojrzeć na ich produkty.

Z westchnieniem wznowiła przegląd. Będzie musiała włożyć niebieskozieloną, letnią, króciutką sukienkę z szerokimi ramiączkami. A także przybrać powiązaną z nią osobowość miłego dziewczątka.

Małe łuski skórne zaczęły się rozszerzać i kurczyć w odpowiedzi na sekwencję wpisaną przez Jez. Proces zmienił wyraz jej twarzy, sprawiając, że wydawała się ufna i wiecznie zadowolona. Skóra nabrała zdrowego, młodzieńczego blasku. Znowu wyglądała na dwadzieścia jeden lat.

Jeziabella podeszła do pochyłych luster nad serwantką i przejrzała się uważnie. Oczy nie wyglądały jak trzeba. Były zbyt obojętne, miały w sobie za mało zachwyty pięknym, tajemniczym światem, na który spoglądały. Zachował się w nich jeszcze ślad twardej, przywódczej osobowości, którą Jeziabella już wycofała z obiegu. Skrzywiła się, spoglądając na niezadowolające fragmenty. Łuski skórne znowu się degenerowały. Zawsze wokół oczu zużywały się najszybciej. Co gorsza, jej zapas zaczynał się wyczerpywać. Nie mogła go uzupełnić nawet na planecie. Zawsze sprowadzała łuski z Tropicany, jedynej adamistycznego świata, gdzie podejście do praw zakazujących użycia technobiotyki było bardzo liberalne.

- Libby - zawołała. - Chodź i przynieś swój pakiet.

Kochana staruszka dokonywała ostatnio cudów, ze zręcznością godną artystki nakładając zmniejszoną liczbę łusek. Nawet jej magia nie mogła jednak trwać wiecznie bez nowych łusek. Jeziabella wołała o tym nie myśleć.

- Libby, ruszaj ten artretyczny tyłek!

Do sypialni weszła Kiera w towarzystwie Hudsona Proctora i trzech zbirów. Wszyscy przeniknęli przez zamknięte drzwi, jakby deski z klonowego drewna były po prostu barwionym powietrzem. Wszyscy trzymali w rękach karabiny maszynowe strzelające pociskami elektrostatycznymi.

- Widać, że się starzejesz, co? - Zapytała Kiera przesłodzonym tonem.

Jeziabella stłumiła szok i narastający strach. Kiera z pewnością by go spostrzegła, a ona nie zamierzała dać jej satysfakcji. Bez pomocy neuronowego nanosystemu, który przestał działać, jej umysł przybrał osobowość chłodnej cesarzowej.

- Przyszłaś po rady w kwestii kosmetyki, Kiera?

- To ciało nie potrzebuje poprawek. Jego uroda jest naturalna. W przeciwieństwie do twojej.

- Szkoda, że nie potrafisz go właściwie wykorzystywać. Z takimi piersiami mogłabym rządzić całą Galaktyką, a ty masz tylko dwudziestu kretynów, którym wzwody odciągnęły krew z mózgu. Nie możesz stać się dla nich inspiracją. Jesteś tylko ich kurwą. To godne pożałowania.

Kiera postąpiła krok naprzód. Spokój szybko ją opuszczał.

- Zawsze miałam problem z twoją gębą.

- I znowu się mylisz. Twój problem to mózg, który się za nią kryje. Wiesz, że nigdy nie zdołasz mu dorównać.

- Zabij tę dziwkę - warknął Hudson Proctor. - Nie mamy czasu. Musimy go znaleźć.

Kiera uniosła karabin maszynowy i końcem lufy delikatnie dotknęła podstawy szyi Jezibelli. Uważnie wypatrując jej reakcji, przesunęła lufę w dół, rozchylając grubo, biały szlafrok.

- Nie, nie - wyszeptała. - Jeśli ją zabijemy, wróci jako równa nam. Mam rację?

- Musiałabym upaść bardzo nisko, żeby osiągnąć ten poziom.

Kiera musiała unieść rękę, by powstrzymać Hudsona Proctora.

- Popatrz, co narobiłaś - skarciła Jezibellę. - Zdenerwowałam moich przyjaciół.

Mina Jezibelli wyrażała bezbrzeżne rozbawienie. Nie musiała nawet głośno odpowiadać. Kiera skinęła z niechęcią głową, uznając swą porażkę w tym starciu. Cofnęła powoli lufę, przywracając szlafrok do poprzedniego stanu.

- Gdzie on jest?

- Och, daj spokój. Przynajmniej trochę mi pogroź.
- Proszę bardzo. Nie pozwolę ci umrzeć. Mam taką moc. Co ty na to?
- Oddaj ją mnie, do chuja pana - zniecierpliwiał się Hudson Proctor. - Ja już to z niej wyciągnę.

Kiera popatrzyła nań z litością.

- Naprawdę? Będziesz gwałcił ją ze swoimi koleśkami, aż skapituluje, czy po prostu bił ją do skutku?

- Zależy, co lepiej zadziała.

- Powiedz mu - zażądała Kiera.

- Gdybym myślała, że macie szansę zwycięstwa, przyłączyłabym się do was już na początku - oznajmiła po prostu Jezzibella.

- Ale jej nie macie, więc tego nie zrobiłam.

- Sytuacja się zmieniła - odparła Kiera. - Siły Powietrzne Konfederacji zniszczyły nasze okręty wokół Arnstadta. Teraz lecą tutaj. Nowa Kalifornia musi opuścić wszechświat, a my razem z nią. Jediną przeszkodą jest Al Capone.

- Życie to syf, śmierć to tragedia, a potem spotykasz mnie.

- To był jeden z twoich najlepszych tekstów. Szkoda, że nie zapiszesz się dzięki niemu w historii.

Blok procesorowy postawiony przez Jezzibellę na toalecie wydał z siebie przenikliwy sygnał alarmowy.

- Akurat na czas - zauważyła Kiera. - Moja ekipa właśnie wykańcza rafinerię Ala Capone. Muszę się zabezpieczyć, na wypadek gdyby udało mu się przeciągnąć na swoją stronę kilka moich piekielnych jastrzębi. Co prawda, nie muszę osobiście wysłać go w zaświaty, bo zleciłam tę robotę jednemu ze swoich sympatyków, ale bardzo się cieszyłam na myśl, że to zobaczę. Lepiej nie psuj mi zabawy. - Uniosła palec i przed spokojną twarzą Jezzibelli zatańczył długi, żółty płomień. - Zobaczymy, czy się myliłam, twierdząc, że nie da się ciebie zmusić, co? Po tych wszystkich wysiłkach należy mi się jakaś satysfakcja.

Płomień przybrał niebieską barwę. Skurczył się, a jego temperatura wzrosła gwałtownie.

*

W gabinecie Emmeta Morddena nagle zapanowała gorączkowa atmosfera. Jeden zestaw ekranów pokazywał relację z eksplozji w rafinerii płynu odżywczego, rejestrowaną przez ocalałe kamery i czujniki. Ten, kto podłożył bombę, wiedział, co robi. Eksplozja rozwalila potężny fragment zewnętrznej ściany, niszcząc maszynię oraz przerywając przewody dostarczające moc i dane. Spadek ciśnienia doprowadził do dalszych uszkodzeń. Popękały rury oraz moduły syntezy. Dobrze chociaż, że próżnia zapobiegła pożarom.

Emmet nawiązał kontakt z kierownikiem budowy, starając się upewnić, że wszyscy, którzy przeżyli wybuch, są bezpieczni za drzwiami ciśnieniowymi albo w awaryjnych igloo. Chciał też, by sporządzono listę ofiar. Ekipy medyczne były już w drodze.

Na największym z ekranów widniał obraz sieci czujników strategiczno-obronnych w pełnym trybie taktycznym. Dalekozasięgowe czujniki skupiały się na wysokiej orbicie, którą powinny patrolować piekielne jastrzębie. Brakowało sześciu. Pojawiły się też dwa edenistyczne jastrzębie pustki, które wypełniły luki.

Nadal trwała analiza wirusa, który zakaził blok Bernharda. Jeden z ekranów wypełniały kubistyczne symbole. Emmet nie miał nawet czasu jej przerwać.

Kilka kwestorów z jego bloku procesorowego przeszukiwało archiwa asteroidy, szukając

wzmianek o militarnej historii Tyrataków oraz Mgławicy Oriona. Al chciał się czegoś dowiedzieć na owe tematy. Jak dotąd kwestory znalazły jednak bardzo niewiele plików; wszystkie dotyczyły kasty żołnierzy. Emmet nie zajrzał do żadnego z nich.

Na kolejnym ekranie było widać twarz uśmiechającej się z zadowoleniem Kiery. Jej wzmocniony głos wypełniał pokój swym echem. Przemawiała do floty, próbując ją przekonać do zdradzenia Ala Capone i powrotu z nią na planetę. Przez sąsiedni ekran przemykały obrazy obwodów telekomunikacyjnych asteroidy. Uruchomiony przez Emmeta program próbował znaleźć antenę, przez którą nadawała Kiera.

Sieć czujników strategiczno-obronnych rozbłysła nagle sygnałami priorytetowego alarmu. "Swabia" opuściła stanowisko przy półce cumowniczej i natychmiast przeszła w skok. Te dupki nawet się nie oddaliły na bezpieczną odległość!

Blok procesorowy zapiszczał natarczywie.

- O co chodzi? - Wrzasnął Emmet.

- Emmet, mówi Silvano. Mam wiadomość od szefa.

- Jestem w tej chwili raczej zajęty.

Spojrzał na ekran przedstawiający obwody telekomunikacyjne. Sektory gasły jeden po drugim. Zaczęły się pojawiać ostrzeżenia przed wirusami.

- Połącz się z centrum kontroli i upewnij się, że flota zostanie na stanowiskach. Jeśli jakieś skurwysyny spróbują uciekać na powierzchnię, dowal im z platform strategiczno-obronnych. Jasne?

- Ale...

- Ruszaj się, ty zaszczany skurwysynku.

Blok zgasł. Emmet warknął ze złością. Nigdy dotąd nie zbliżył się bardziej do okazania braku szacunku przerażającemu namiestnikowi Ala. Bez pośpiechu wpisał parę poleceń wyszukiwania wirusów i opuścił pomieszczenie.

Grube drzwi do centrum kontroli powoli się uchyliły. Kilka centymetrów przed Emmetem powietrze przeszły zygzakowate linie białego ognia. Rozległy się alarmy. Czerwone stroboskopowe światła wypaliły ślady na jego siatkówkach. Korytarz wypełniły kłęby dymu. Emmet pisnął z przerażenia i rzucił się na podłogę za jedną z konsoli, otaczając się bąblem utwardzonego powietrza. Dwie ogniste kule rozbiły się o ochronną barierę. Emmet instynktownie uderzył białym ogniem w kierunku, z którego przyleciały. Tryskająca z dysz w suficie fioletowa piana gaśnicza zaskwierczała głośno w jego płomieniach.

- Kurwa, co tu się dzieje? - Wrzasnął Emmet. Wyczuwał w centrum kontroli dwa odrębne zgrupowania umysłów, skupiające się na przeciwnych końcach pomieszczenia. Większość konsoli pokrywała piana, która kipiała intensywnie, pochłaniając płomienie wydobywające się z małych, dymiących otworów.

- Emmet, to ty? Skurwysyny Kiery próbowały wyłączyć sieć strategiczno-obronną. Powstrzymaliśmy ich. Załatwiliśmy jednego.

Mimo że zagrażało mu śmiertelne niebezpieczeństwo, Emmet cofnął jedną rękę od głowy i ponownie rozejrzał się wokół. Co właściwie powstrzymali? - Pomyślał z niedowierzaniem. Centrum było całkowicie zniszczone.

- Emmet! - Zawołał Juli von Holger. - Emmet, każ swoim ludziom skapitulować. Wiesz, że wygraliśmy. Siły Powietrzne się zbliżają i nie będą brały jeńców. Musimy zwiewać na planetę.

- O kurwa - wyszeptał Emmet.

- Emmet, pomóż nam! - Krzyknął jeden ze zwolenników Ala Capone. - Jeszcze możemy skopać im tyłki.

- Zakończ to, Emmet - zażądał Juli. - Chodź z nami. Bądź bezpieczny.

Biały ogień uderzał coraz szybciej. Jego jasność narastała. Emmet zwinął się w jeszcze ciaśniejszy kłębek, próbując odgrodzić się od tego wszystkiego.

*

Szkarłatna rakietka posuwała się powoli nad półką cumowniczą, zmierzając w stronę cokołu odległego zaledwie sześćdziesiąt metrów od pionowej skalnej ściany. Opadła gładko na stanowisko. Ze skały wysunęła się metalowa rura śluzy, która ściśle połączyła się z włazem piekielnego jastrzębia.

Al Capone wybiegł tunelem do poczekalni. W prawej ręce ścisnął bejsbola. Jego namiestnicy już czekali. Silvano i Patricia mieli ponure miny, ale wyraźnie palili się do walki. Towarzyszący im Leroy rozpaczliwie pragnął dowieść swej lojalności. Za ich plecami stało w półokręgu kilkunastu następnych. Wszyscy równie zdecydowani. Włożyli najlepsze garnitury w paski, a w rękach ścisnęli gotowe do strzału thompsony.

Al przywitał wszystkich skinieniem głową, zadowolony z tego, co zobaczył. Wolałby mieć tu starych przyjaciół, ale ci będą mu musieli wystarczyć.

- Dobra, wszyscy wiemy, czego chce Kiera. Paniusia przestraszyła się Sił Powietrznych i ruskiego admirała. Teraz już wiemy, do czego są zdolne te skurwysyny, jeśli ich przyprzeć do muru. Uważam, że właśnie dlatego musimy tu zostać i stawić im opór. Nadal mamy całą kupę antymaterii. A więc możemy im zaszkodzić i mamy podstawę do negocjacji. Jeśli federalni nie zgodzą się zostawić nas w spokoju, każda ich planeta będzie musiała żyć w strachu przed nami. Tylko w ten sposób możemy się upewnić. Całe życie byłem ścigany i wiem, jak sobie radzić z takim syfem. Nigdy, ale to, kurwa, nigdy nie można opuścić gardy. Trzeba ich przekonać, że mają do czynienia z najwredniejszym skurwielem w całym mieście. Dopiero wtedy się odczepią. Kogo nie szanują, tego się nie boją. - Puknął się końcem bejsbola w otwartą lewą dłoń. - Kierze dopiero trzeba to wytłumaczyć.

- Jesteśmy z tobą, Al - zawołał ktoś.

Półokrąg gangsterów rozstał się przed nim i Al ruszył naprzód.

- Silvano, wiesz, gdzie ona jest?

- Chyba poszła do hotelu, Al. Nie możemy się do niego dodzwonić. Mickey poszedł tam zbadać sytuację. Zadzwoń, jeśli ją znajdzie.

- A co z Jez?

Silvano zerknął na Leroya.

- Chyba nadal tam siedzi. Jest z nią paru chłopaków. Nic jej nie będzie.

- Oby - mruknął Al. Uniósł wzrok i zobaczył, że drzwi zablokował Avram Harwood III. Wyglądał fatalnie. Dyszał ciężko, z jego niezagojonych ran sączył się lepki płyn, spływający po bladej, wilgotnej skórze. Ledwie trzymał się na nogach.

- Jestem burmistrzem - wycharczał. - Należy mi się szacunek. Szacunek to ważna rzecz - dodał, chichocząc.

- Awy, spierdalaj stąd - warknął Al.

- Kiera okazała mi szacunek. - Avram uniósł karabin maszynowy strzelający pociskami elektrostatycznymi. - Teraz kolej na ciebie.

Broń była nastawiona na strzelanie serią. Avram nacisnął spust.

Al zdążył uskoczyć na bok. Silvano unosił thompsona. Leroy na całe gardło wrzasnął: "Nie!". Pozostali gangsterzy padali na podłogę albo celowali w Avrama.

Naładowane elektrycznie pociski z ogłuszającym rykiem przeszły salę, kreśląc

niszczyielską linię oślepiającego, białoniebieskiego światła. Al padł na podłogę w tej samej chwili, gdy ciało pierwszego opętanego zapłonęło w ten szczególny, spektakularny sposób. Łuna oślepiła wszystkich. Fala gorąca parzyła odsłoniętą skórę i przypalała włosy. Ogień ogarnął kolejne ciało.

Al wrzasnął z dziką furją, wyrzucając z siebie białą błyskawicę, gorejącą równie jasno co płonące ciała. W Avrama Harwooda uderzyło osiem identycznych strumieni białego ognia. Jego tułów w jednej chwili zamienił się w parę. W powietrze trysnęły popiół i parująca krew. Rozłożone ramiona padły na stopiony dywan nieopodal nóg. W tej samej chwili wszystkie chemiczne pociski, pozostałe w magazynku, eksplodowały pod wpływem ciepła. Ściany i ciała zasypał deszcz śmiercionośnych szrapneli.

Gdy światło, żar i hałas wreszcie minęły, Al chwiejnie podniósł się na nogi. Nie widział nic poza olbrzymim fioletowym powidokiem, którego jego energistyczna moc nie była w stanie przegnać. Swym popapranym telepatycznym zmysłem nigdzie nie wykrywał myśli Avrama Harwooda. Zamrugał powiekami, by usunąć plamy sprzed oczu, i uświadomił sobie, że jego ciało doznało poważnych uszkodzeń. Po rękach i po garniturze spływała krew z kilku różnych ran po szrapnelach. Usunął kolejno z ciała odpryski rozżarzonego metalu i zamknął wyloty ran, łącząc w całość rozdartą skórę. Ból złagodniał.

Leroy leżał na podłodze u stóp Ala. Seria przebiła go na wylot, ostatni pocisk wyrwał mu połowę gardła. Martwe oczy wpatrywały się w górę. Al spojrzał na dwa zwęglone ciała rozproszone na stopionej kompozytowej podłodze.

- Kto zginął? - Zapytał.

Gangsterzy podnosili się już z podłogi, lecząc i zamykając rany od szrapneli. Al policzył ich szybko i przekonał się, że jedną z ofiar elektrostatycznych pocisków był Silvano. Nikt nie odważył się odezwać ani słowem, gdy Al zatrzymał się nad stygnącą kupką czarnego popiołu, która była wszystkim, co zostało po jego najważniejszym namiestniku. Al pochylił głowę, jakby się modlił. Po jakiejś minucie podszedł do czterech rozrzuconych na podłodze kończyn Avrama Harwooda.

- Ty skurwysynu! - Wrzasnął. Uniósł bejsbola i uderzył nim w jedną rękę. - Pierdolony chuju! - Uderzył po raz drugi. - Gównojadzie! - Tym razem wałnął w nogę. - Jebany świrze! - Druga noga. - Zabiję całą twoją rodzinę, puszcę dom z dymem. Wykopię trumnę twojej matki i nasram na nią. Chciałeś szacunku? Szacunku? Oto jaki szacunek mam dla takich dupojebców jak ty!

Nie przestawał walić, aż wreszcie wszystkie kończyny zamieniły się w krwawe plamy.

Z szeregu zaniepokojonych gangsterów wyłoniła się Patricia.

- Al - rzekła. - Al, starczy już tego.

Uniósł bejsbola, gotowy zdzielić ją w głowę. Spojrzał w jej spokojne oczy i zamarł na chwilę w bezruchu, nie opuszczając kija.

- Dobra - zgodził się. - Chodźmy poszukać Kiery.

*

Podłoga pod stopami Emmeta topiła się, przechodząc w kałużę zimnej, płynnej skały. Wkrótce stanie się wystarczająco głęboka, by pochłonąć go w całości. Ktoś miał wielką ochotę zrobić z niego skamielinę. Emmet ze wszystkich sił starał się na nowo zestalić skałę. W powietrzu nad jego głową przemykały bluzgi i białe błyskawice. Siły były wyrównane i obie strony starały się go przekonać, by przyłączył się do nich.

Pragnął pomóc chłopakom Ala. Był po ich stronie. Naprawdę chciał to zrobić. Ale pomysł obrócenia Nowej Kalifornii w bezpieczne miejsce był tak bardzo atrakcyjny. Nie musiałyby się już więcej bać takiego syfu.

W konsolę, za którą się chował, uderzył potężny impuls białego ognia. Energia zaczęła się

przeżerać przez kompozytową obudowę oraz ciasno upakowane obwody w środku. Najwyraźniej stronnicy Kiery doszli do wniosku, że nie przyłączy się do niej.

Z sufitu trysnęła piana przeciwpożarowa, ale nienaturalny płomień natychmiast zmieniał ją w zielony, kipiący syrop, który przelał się przez szczyt konsoli i spryskał Emmeta, parząc jego odsłoniętą skórę. Mężczyzna zaczerpnął głęboko powietrza, modląc się, by jego pęcherz wytrzymał, i wyczarował snop białego ognia. Uderzył nim w stronę końca pomieszczenia, gdzie ukrywali się Juli von Holger i jego ludzie. Efekt nie do końca wyglądał tak, jak się tego spodziewał Emmet. Całe centrum wypełnił ogłuszający ryk. Ciało jednego z opętanych stanęło w płomieniach, zmuszając Emmeta do zasłonięcia oczu. Mentalny krzyk wygnanej duszy sprawił, że po skórze przebiegły mu ciarki, zimne jak ukłucia lodowych igieł. Ekspłodowało drugie ciało, a po nim trzecie. Pomieszczenie wypełnił palący żar oraz przyprawiający o mdłości smród płonącego mięsa.

Po dłuższej chwili ogień wreszcie się wypalił i poziom światła spadł do normy. Okropny fetor nie zniknął, ale przynajmniej ryk umilkł.

W centrum poniósł się echem metaliczny brzęk. Dla uszu Emmeta brzmiał on mechanicznie i zdecydowanie kojarzył mu się z bronią. Piana zamlaskała pod czyimiś stopami.

- Złałeś się w portki - oznajmił mu ktoś.

Zwinięty w pozycji płodu Emmet uniósł głowę. Spoglądał na niego wychudły mężczyzna w brudnym kombinezonie. W rękach ścisnął karabin maszynowy o niezwykłym wyglądzie, kierując ciepłą lufę prosto w czoło leżącego. W przerzuconym przez ramię płóciennym tornistrze miał wielki zapas magazynków.

- Bałem się - wyjaśnił Emmet. - Nie jestem członkiem sił zbrojnych Organizacji.

Twarz mężczyzny zniknęła na moment, ustępując miejsca obliczu kobiety. Jej mina wyglądała chyba jeszcze groźniej. Emmet wyczuwał wypełniającą ciało obcego energistyczną moc.

Ocalali stronnicy Organizacji nerwowo spozierali zza roztrzaskanych konsoli.

- Kim jesteś? - Wyjąkał Emmet.

- Jesteśmy Skibbowowie.

- Hmm, dobra. Popieracie Kierę?

- Nie. Ale bardzo byśmy się chcieli dowiedzieć, gdzie ona jest. - Mężczyzna odbezpieczył karabin. - Słuchamy.

*

Mickey Pileggi przekonał się na własnej skórze, że próby wzięcia Kiery i jej zbirów szturmem na nic się nie zdadzą. Jego trzej żołnierze zamienili się w miniaturowe słońca, gdy tylko wpadli do Apartamentu Nixona. Mickey marzył o pochwałach i nieograniczonych przywilejach, jakimi nagrodi go Al za uratowanie Jezzibelli z rąk Kiery. To marzenie szybko jednak obróciło się wniwecz. Broń przeciwnika siała spustoszenie wśród jego gangsterów. Mickey przez całą wieczność będzie słyszał echo ich krzyków.

Rozkazał swoim ludziom wycofać się na korytarz, zająć osłonięte pozycje w obu klatkach schodowych i unieruchomić windy impulsami białego ognia. Znajdowali się u podstawy wieży i Kiera nigdzie nie ucieknie. Teraz musiał tylko wytłumaczyć Ałowi, dlaczego spieprzył sprawę.

Zza rozbitych drzwi Apartamentu Nixona pomknęła ku nim kolejna seria elektrostatycznych pocisków. Wszyscy gangsterzy pochyliłi się, zwiększając gęstość otaczającego ich powietrza.

- Powinniśmy odciąć całe piętro - stwierdził jeden z nich. - A potem wysadzić okna i przekonać się, jak się jej spodoba oddychanie próżnią.

- Świetny pomysł - mruknął Mickey. - Masz zamiar wytłumaczyć Ałowi, że zrobiliśmy Jezzibelli to samo, co Kiera zrobiła temu lizusowi Bernhardowi?

- Raczej nie.

- Tak myślałem. Dobra, chłopaki. Skupmy się na zlikwidowaniu tych drzwi. Zepchnijmy ich do defensywy, do chwili przybycia posiłków.

- Jeśli rzeczywiście przybędą.

Mickey przeszył go wściekłym spojrzeniem.

- Nikt nie opuści Ala. Nie po tym, co dla nas zrobił.

- Dla ciebie.

Mickey nie zauważył, który z nich to powiedział, ale pozwolił, by jego myśli wypełnił ostry gniew. To będzie dla nich ostrzeżenie. Skupił się na drzwiach i popchnął je siłą swego umysłu. W marmurową ścianę nad jego głową uderzyła seria pocisków. W dół spęzły małe strużki elektryczności. Wszyscy pochylili się pośpiesznie.

Mickey usłyszał sygnał bloku procesorowego. Strzepnął z włosów gorące okruchy marmuru i wyciągnął urządzenie z kieszeni, dziwiąc się, że w ogóle funkcjonuje, gdy wokół szaleje tak wiele energistycznej mocy.

- Mickey? - Rozległ się błagalny głos Emmeta. - Masz pojęcie, gdzie może być Kiera?

- Aha, znakomite. Jest jakieś dziesięć metrów ode mnie. - Mickey obrzucił blok wściekłym spojrzeniem. Emmet pośpiesznie przerwał połączenie.

- Dobra, chłopaki, tym razem spróbujemy uderzyć w te drzwi razem. Na trzy. Raz. Dwa...

*

Drzwi gabinetu zatrzęsły się za Skibbowem. Z ust Emmeta wyrwało się potężne westchnienie ulgi. Ten opętany świr miał naprawdę poważne problemy i Emmet bardzo się cieszył, że nie jego one dotyczą. Odczekał parę cennych chwil, by ciało mogło się uspokoić, a potem połączył się z Alem.

- Co masz dla mnie, Emmet?

- Mieliśmy problem w centrum kontroli, Al. Ludzie Kiery próbowali załatwić orbitalne platformy.

- I?

- Już po nich.

Wstrzymał oddech, niepokojąc się, czy Al potrafi wykryć półprawdy przez sieć telekomunikacyjną.

- Mam wobec ciebie dług, Emmet. Nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś.

Palce Emmeta przebiegały szybko po klawiaturze, ponownie otwierając kanały dowodzenia sieci strategiczno-obronnej. Na taktycznym ekranie pojawiły się symbole, pokazujące, czym może kierować. Uśmiechnął się nerwowo na myśl o mocy, którą dysponował. Władca nieba, admirał floty, stróż ładu na całej planecie.

- Całe centrum leży w gruzach, Al, jednak zachowałem kontrolę nad najważniejszym sprzętem.

- Co robi flota, Emmet? Czy piloci zostali na miejscu?

- W większości. Osiem fregat przechodzi na niską orbitę. Reszta pewnie chce wysłuchać, co masz do powiedzenia. Choć brakuje siedemnastu piekielnych jastrzębi, Al.

- Jezu, Emmet, to pierwsza dobra wiadomość, jaką dziś usłyszałem. Miej wszystkich na oku, dopilnuj, żeby nikt się nie ruszał z miejsca. Muszę najpierw załatwić parę spraw. Potem wrócę do ciebie.

- Jasne, Al.

Mrugając, spojrzął na taktyczny ekran. Nieszczególnie się nadawał do pokazywania obrazu w

tak małej skali. Ten format był przystosowany do prezentacji na stumetrowych ekranach, przeznaczonych dla admirałów i szefów obrony. O ile był w stanie się zorientować, dwa miniaturowe symbole były bardzo blisko samego Monterey.

*

“Varrad” mknął nad pofałdowaną skałą, zachowując stałą odległość pięćdziesięciu metrów od przypominającej pumeks powierzchni. Unosił się i opadał równolegle do kraterów i grani przemykających w dole. Pran Soo ścigała uykającą na tle gwiazd wieżę Hiltona, zbliżając się do niej niczym atmosferyczny myśliwiec atakujący cel. Razem z innymi piekielnymi jastrzębiami od chwili początku rebelii Kiera monitorowała wszystkie rozmowy, jakie tylko zdołał odebrać. Mickey Pileggi już od piętnastu minut wrzeszczał na innych namiestników Organizacji, prosząc o pomoc w walce z Kierą i jej niebezpieczną bronią.

- Jesteś tego pewna? - Zapytał Rocio.

- W stu procentach. Wiemy, że opętane ciało nie jest w stanie się obronić przed atakiem ze statku kosmicznego. Energia jest po prostu dla nich zbyt wysoka, nawet jeśli wiedzą, że ktoś w nich celuje. Mogę wyeliminować Kierę jednym strzałem. Tym razem nie istnieje groźba odwetu Organizacji. Możemy być naprawdę wolni.

- W tym apartamencie jest dziewczyna Ala Capone.

- Znajdź sobie inną. Już nigdy nie będziemy mieli takiej okazji.

- Dobra, ale postaraj się ograniczyć zniszczenia do minimum. Możemy być jeszcze zmuszeni do rozmów z Organizacją.

- Nie, jeśli Siły Powietrzne Konfederacji dotrą tu pierwsze.

- Pokaż mi, co się dzieje. Ta skała blokuje moje pole dystorsyjne.

Pran Soo otworzyła się przed nim w paśmie afinicznym, pozwalając mu śledzić wrażenia przekazywane przez jej biotechnologiczne pęcherze sensorowe. Jej drugi podstawowy zmysł, pole dystorsyjne “Varrada”, obejmował tylko jedną półkulę przestrzeni. Drugą zasłaniała asteroida.

Sterczący dumnie ze skały Hilton był coraz bliżej. W paśmie wzrokowym wyglądał jak kolumna ze wzmocnionego węgla tytanu, usiana grubymi, wielowarstwowymi oknami. Dla pola dystorsyjnego był jednak skupiskiem wątych płyt materii poprzesywanych cienkimi kablami. Krążące w nich elektrony otaczał delikatny poblask.

Pran Soo dostosowała swój wektor do ruchu wirowego asteroidy. Z jej kadłuba wysunęły się wysięgniki z czujnikami. Wykonała skan dolnych pięter wieży.

- Nie potrafię odróżnić pojedynczych ludzi - poinformowała Rocio. - Osłaniające przed promieniowaniem szyby uniemożliwiają precyzyjny skan. Odbieram ich emocje, ale z tej odległości zlewają się w jedną całość. Wiem tylko, że z pewnością przebywa tam kilka osób.

- Mickey Pileggi nadal wzywa pomocy. Jedną z tych osób musi być Kiera.

Pran Soo uaktywniła laser mikrofalowy i skierowała go na podstawę Hiltona. Wiązka przetnie bok wieży razem ze strukturalnymi dźwigarami i całe dolne piętro umknie w przestrzeń kosmiczną. Systemy celownicze zaprogramowały wymaganą kolejność cięć.

Za Pran Soo zza płaskiego horyzontu asteroidy wynurzył się nagle jakiś piekielny jastrząb. Po jego kadłubie tańczyły jaskrawe linie elektrycznej energii, świadczące, że przygotowuje do strzału broń wiązkową.

- Etchells - zawołała zaskoczona Pran Soo.

Dwa masery przebiły jej polipowy kadłub, docierając do organów wewnętrznych.

*

Emmet zdołał wreszcie zmienić powiększenie taktycznego ekranu, akurat na czas, by

zobaczyć, że jeden z symboli bezwładnie oddala się od wieży Hiltona. Drugi zbliżył się do hotelu. Kod identyfikacyjny świadczył, że to "Stryla", jastrząb opętany przez Etchellsa. Emmet nie miał jednak pojęcia, po której stronie się on opowiada. Nie wiedział nawet, czy piekielne jastrzębie w ogóle zaangażowały się w konflikt.

Uaktywnił systemy obronne krótkiego zasięgu, polecając im namierzyć piekielnego jastrzębia. Nie pozostała mu żadna inna możliwość, ponieważ pracownik centrum odpowiedzialny za łączność z piekielnymi jastrzębiami zamienił się w kupkę popiołu. Etchells był nieprzewidywalny, zdarzało mu się zabijać opętanych. Al zaś wybierał się do Hiltona.

Nad symbolem "Stryli" pojawił się szereg znaków, świadczący, że Etchells łączy się datawizyjnie z centrum strategiczno-obronnym asteroidy. Emmet sprawdzał gorączkowo menu kolejnych programów, szukając sposobu na przekazanie wiadomości do swego gabinetu.

- Zdejmij mnie z celu - zażądał Etchells.

- Nie ma mowy - odparł Emmet. - Oddal się na tysiąc kilometrów od asteroidy. Jeśli za trzydzieści sekund nie zaczniesz przyspieszać, otworzę ogień.

- Posłuchaj, debilu. Mam na wyposażeniu pięćdziesiąt os bojowych z niezliczonymi podpociskami z głowicami jądrowymi. Wszystkie są uzbrojone i uruchamiane przez kod awaryjny. Jeśli otworzysz ogień, eksplodują. Nie jestem pewien, czy tak wielki megatonaż rozwali Monterey na kawałki. Masz ochotę się przekonać?

Emmet w bolesnej frustracji zacisnął dłonie na skroniach. Nie nadaje się do tego. Chcę wracać do domu.

Co zrobiłby w tej sytuacji Al? Nie, to nie było dobre pytanie. Emmet obawiał się, że Al by wystrzelił.

- Może i mam - odparł nieustępliwie. - Miałem dziś cholernie paskudny dzień, a wkrótce przybędą Siły Powietrzne Konfederacji i uczynią go jeszcze gorszym.

- Znam to uczucie - przyznał Etchells. - Jednak nie jestem dla ciebie zagrożeniem.

- To co tutaj robisz, do cholery?

- Chcę zadać komuś pytanie. Kiedy to zrobię, odleczę. Daj mi pięć minut. Potem będziesz mógł znowu zacząć zgrywać twardziela. Umowa stoi?

*

Z Apartamentu Nixona zniknęły kosztowne oznaki luksusu. Nieudana próba zdobycia go szturmem doprowadziła do straszliwej dewastacji. Strumienie białego ognia uderzały na oślep we wściekłym chaosie, a kontratak Kiery jeszcze pogorszył sytuację. Światła zgasty, z sufitu zwisały kawałki połamanych rur i przewodów. Meble szybko zajęły się ogniem i zostały z nich tylko tłące się węgielki. W drzwi z obu stron uderzały strumienie energistycznej mocy, które obróciły ściany wokół wejścia w fantastyczną mapę z niejednorodnego kryształu. Sterczały z nich długie kwarcowe inkrustacje, każda gałąź walczyła z sąsiadkami o przestrzeń. Wyglądało to jak las żarłocznych klejnotów. Przy każdym kolejnym impulsie wypustki wiły się płynnie, stawały się nieco dłuższe i bardziej splątane.

Kiera obawiała się, że ten nieustanny atak na drzwi ma na celu jedynie odwrócenie jej uwagi. Kazała dwóm swoim zbirom patrolującym inne pokoje uważać, czy za ścianami apartamentu, a zwłaszcza nad jego sufitem, nie gromadzą się grupy gangsterów Organizacji. Do tej pory przeciwnik nie zdołał się przebić, ale to była tylko kwestia czasu. Nikt nie był aż tak głupi, by ciągle atakować tą samą drogą, gdy okazało się, że jest całkowicie zablokowana. Co więcej - prędzej czy później zabraknie jej amunicji.

Przynajmniej jednak nadal była w kontakcie ze swoimi ludźmi. Hudson Proctor mógł

rozmawiać w paśmie afinicznym z innymi ocalałymi z Valiska, którzy przebywali na asteroidzie. Oni z kolei kontaktowali się ze swoimi rekrutami przez sieć. Łączność zawsze była podstawą każdej rewolucji.

Niestety, nie gwarantowała jeszcze sukcesu.

- Ilu ludzi opowiedziało się po naszej stronie? - Zapytała Kiera.

- Około tysiąca na całej asteroidzie - odparł Hudson Proctor, powiększając nieco liczbę, którą znał. Nie miał zamiaru osobiście przekazywać Kierce tak wielu złych wieści.

- A co z flotą? Ile okrętów?

- Juli meldował, że kilkadziesiąt zmierza na niską orbitę, ale potem załatwili go ludzie Emmeta. Udało się im jednak zniszczyć centrum strategiczno-obronne. Capone nie może użyć platform, żeby zastraszyć ludzi w przestrzeni czy na planecie.

- A gdzie, do cholery, podział się Luigi?

- Nie mam pojęcia. Jak dotąd się nie odezwał.

- Cholera, dlaczego nikt mnie nie słucha? Zadanie Luigiego miało kluczowe znaczenie. Flota musi podążyć za nami na planetę. W przeciwnym razie Capone wyśle nas wszystkich z powrotem w zaświaty.

Hudson słyszał już tę gadkę mnóstwo razy. Nie odezwał się ani słowem.

- Powinam była zaatakować centrum kontroli, nie Ala Capone - stwierdziła Kiera. Spojrzała na krystaliczną ścianę, która lśniła szmaragdowym blaskiem, gdy przebiegały po niej pośpieszne fale. Jeden z jej zbirów wypuścił serię przez otwór po drzwiach. - Może spróbujemy się dostać do sekcji obrony. Tam powinno być pomocnicze centrum.

- Nie przedrzemy się przez Pileggiego - zauważył Hudson.

- Ma zbyt wielu ludzi.

- Tylko pod warunkiem, że wyjdziemy frontem. - Kiera uniosła głowę i wpatrzyła się w sufit. - Założę się, że moglibyśmy...

- Umilkła, gdy za wielkim oknem ściennym pojawił się wielki, srebrnobiały gwiazdolit, płynący ociężale przez przestrzeń z włączonymi gondolami silnikowymi.

- O kurwa - wyszeptał Hudson. - To "Varrad". A Pran Soo nie jest twoją wielką fanką.

- Pogadaj z nią. Dowiedz się, czego chce.

Oblizął usta. Na jego czole zaczął się pojawiać mars, który nie zdążył się uformować do końca.

- Nie mogę... Och...

Fantazyjny obraz piekielnego jastrzębia rozpadł się na fragmenty. Statek zniknął z pola widzenia, wirując wokół osi. Zastąpił go inny, mroczna, ptasia sylwetka pokryta gadzimi łuskami w czerwone cętki. Hudson uśmiechnął się z ulgą.

- Etchells.

- Zapytaj go, czy może załatwić Pileggiego swoimi laserami.

- Zgoda. - Hudson się skupił. - Hmm, mówi, że chce ci zadać pytanie.

Blok procesorowy Kiery zapiszczał. Kobieta wyjęła go z kieszeni marynarki, nie odrywając spojrzenia od Hudsona.

- Słucham?

- Muszę się czegoś dowiedzieć - odezwał się Etchells. - Czy wierzysz, że zorganizowana przez Siły Powietrzne wyprawa do Mgławicy Oriona jest dla nas zagrożeniem?

- Pewnie, że tak. Właśnie dlatego wyposażylam was w pomocnicze generatory termojądrowe. Trzeba zbadać tę sprawę.

- To znaczy, że zgadzamy się ze sobą.

- Dobra. A teraz załatw żołnierzy Organizacji, którzy mnie tu uwięzili, a ja wyeliminuję Ala Capone. Kiedy się go pozbędziemy, będę mogła wysłać z wami okręty wyposażone w antymaterię. To położy kres groźbie.

- Dwadzieścia siedem jastrzębi przeskoczyło bez pozwolenia z orbit, które miały patrolować. To znaczy, że znalazły alternatywne źródło płynu odżywczego. Stracisz je, nawet jeśli uda ci się odzyskać kontrolę nad Organizacją.

- Ale będę miała antymaterię.

- Zbliżają się Siły Powietrzne Konfederacji. Ich atak zniszczy wszystkie stacje krążące wokół planety. Planowałaś zabrać Nową Kalifornię w bezpieczne miejsce.

- Tak? - Zapytała poirytowana. - I co z tego?

- W jaki sposób zamierzasz nadal szantażować załogi gwiazdolotów, które wyślesz do Mgławicy Oriona?

Kiera odwróciła wzrok od Hudsona Proctora i spojrzała prosto na piekielnego jastrzębia.

- Coś wymyślimy.

- Twój bunt się nie udał. Al Capone zmierza tu z liczbą gangsterów wystarczającą, żeby cię załatwić.

- Pierdol się.

- Jestem szczerze przekonany, że misja Sił Powietrznych stanowi zagrożenie dla mojego dalszego istnienia w tej postaci. Trzeba ją powstrzymać. Polecę do Mastrit-PJ i dam ci szansę ucieczki na moim pokładzie.

- A dlaczego?

- Znasz kody uzbrajające osy bojowe, w które mnie wyposażono. Co prawda, to tylko głowice termojądrowe, ale jeśli udostępnisz mi te kody, zabiorę cię z asteroidy.

Kiera rozejrzała się po zniszczonym apartamencie. Znowu rozległ się ogłuszający terkot karabinów maszynowych. Wewnątrz kryształów rozbłyły głodne, szafirowe światła. Gałęzie wydłużyły się jeszcze bardziej.

- Zgoda.

Piekielny jastrzęb podleciał bliżej, wyciągając szyję. Energistyczna moc otoczyła jego zakrzywiony dziób łagodną, czerwoną poświatą. Gdy koniec dzioba dotknął okna, po szybie przebiegły fale. Potem szyba rozstała się jak woda, wpuszczając do środka głowę olbrzymiej istoty. Wielka przesłona skierowała się na Kierę. Dziób otworzył się, odsłaniając właz.

- Witaj na pokładzie - oznajmił Etchells.

*

Al zbiegł ze schodów i znalazł u ich podstawy Mickeya. Przerażony namiestnik cofnął się o krok.

- Al, proszę. Zrobiłem wszystko, co tylko mogłem. Przysięgam. - Przeżegnał się z rozmachem.

- Przysięgam na życie matki, że próbowaliśmy uratować Jez. Trzech chłopaków załatwili, gdy tylko weszli do środka. Te ich kule są nie do przejścia. Zabijają nas, Al, zabijają na śmierć.

- Kurwa, zamknij się, Mickey.

- Jasne, Al, jasne. Na sto procent. Od tej chwili jestem niemy. Ani mru-mru.

Al spojrzał w głąb korytarza. Pociski zdarły ze ścian kompozytową wykładzinę, a gdzieś tam nawet wbiły się w metal. Drzwi do Apartamentu Nixona lśniły pryzmatycznym blaskiem w świetle dwóch ocalałych paneli sufitowych.

- Gdzie jest Kiera, Mickey?

- Była tam, Al. Przysięgam.

- Była?

- Kilka minut temu przestali strzelać. Ale wyczuwamy jeszcze paru.

Al postukał bejsbolem w podłogę, wpatrując się w wejście do apartamentu.

- Hej! - Zawołał. - Wy, w środku! Mam ze sobą kupę ludzi. Za chwilę wejdziemy do apartamentu i skopimy wam tyłki. Te wasze kule nic wam nie pomogą przeciwko tak wielu przeciwnikom. Ale jeśli się poddacie, dam słowo, że nie wkręcimy wam jaj w najbliższą oprawkę od żarówki. To sprawa pomiędzy mną a Kierą. Wyłażcie.

Kij w rękach Ala wybijał miarowy rytm o podłogę. Za krystaliczną ścianą powoli przemieszczała się jakaś postać.

- Mickey? - Zapytał Al. - Dlaczego nie skoczyliście skurwysynom na głowy przez sufit?

Gangster poruszył nerwowo skrytymi pod dwurzędową marynarką ramionami.

- Przez sufit?

- Mniejsza z tym.

- Wychodzę - zawołał Hudson Proctor i wyłonił się z luki w kryształach. Wyciągał ręce przed siebie, trzymając karabin maszynowy za pas.

Trzydzieści thompsonów, większość z nich posrebrzana, skierowała się na niego. Hudson zamknął oczy, czekając na strzały. Jego grdyka poruszała się szybko.

Al nie pojmował do końca iskierki odwagi, która przebudziła się w umyśle tamtego. Tak jest, był tam strach, mnóstwo strachu. Coś jednak wywołało oburzenie Hudsona Proctora.

- Gdzie ona jest? - Zapytał Al.

Hudson zgiął się wpół, wypuszczając z rąk broń.

- Związała - odpowiedział. - Zabrał ją piekielny jastrząb. - Przerwał. Na jego twarzy zapłonął szczyry gniew. - Tylko ją. Szedłem tuż za nią i ta suka zagroziła mi karabinem. Na pokładzie było miejsce dla wszystkich, a ona po prostu nas zostawiła. Chuj ją obchodziliśmy. No wiesz, wszystko zawdzięczała mnie. Beze mnie nigdy w życiu nie zachowałyby kontroli nad piekielnymi jastrzębiami.

- Dlaczego piekielny jastrząb ją zabrał? - Zdziwił się Al. - Nic już nie może im zrobić.

- To był Etchells. "Stryla". On ma obsesję na punkcie jakiejś broni, którą podobno mają Tyratakowie po drugiej stronie Mgławicy Oriona. Zabrał Kierę, żeby uzbroić dla niego osy bojowe. Zapewne rozpętają pierwszą wojnę międzygatunkową. Ta para świrów jest do tego zdolna.

- Ech, te kobiety, co? - Zapytał Al z przyjaznym uśmiechem.

Hudson wykrzywił twarz w bolesnym grymasie.

- Ehe. Pierdolić je.

- Tylko do tego się nadają - stwierdził Al ze śmiechem.

- Masz rację.

Bejsbol trafił Hudsona w szczyt głowy, rozbijając kość i rozplątując mózg na dwoje. Krew zbryzgała elegancki garnitur Ala i jego markowe, skórzane buty.

- Tylko popatrz, do czego cię doprowadziły - oznajmił padającemu na podłogę trupowi.

Trzydzieści strumieni białego ognia uderzyło jednocześnie, zamieniając krystalową ścianę w parę i kładąc trupem ukrywających się za nią opętanych.

Krzyki Libby przyciągnęły ich do sypialni. Wszyscy cofnęli się, przepuszczając Ala przodem do ciemnego pokoju. Libby klęczała na podłodze, ściskając w rękach postać spowitą w okrwawiony szlafrok. Bez ustanku zawodziła słabym głosem, jak zwierzę ryczące nad trupem towarzysza. Kołysała się w przód i w tył, wycierając szmatką twarz Jezzibelli. Al podszedł bliżej, obawiając się najgorszego, ale myśli kochanki były nadal obecne, wciąż wypełniały jej mózg.

Libby zwróciła ku niemu spojrzenie. Po jej policzkach spływały łzy.

- Popatrz, co zrobili - jęczała. - Popatrz na moją gołąbeczkę. Na moją piękną, piękną gołąbeczkę. To diabły, wszyscy jesteście diabłami.

Jej ramiona drżały. Pochyliła się, ze wszystkich sił tuląc Jezzibellę.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił Al. Zaschło mu w ustach, gdy pochylił się obok zrozpaczonej staruszki. Nigdy w życiu nie bał się tak bardzo tego, co zobaczy.

- Al? - Wydyszała Jezzibella. - Al, to ty?

Puste, wypalone oczodoły szukały go na oślep. Uścisnął jej rękę, czując, że poczerniała skóra pęka pod jego palcami.

- Jasne, maleńka. Jestem tutaj.

Jego słaby głos ucichł, gdy ścisnęło go w gardle. Pragnął pójść za przykładem Libby: odrzucić głowę do tyłu i zacząć wyc.

- Nic jej nie powiedziałam - zapewniła Jezzibella. - Chciała się dowiedzieć, gdzie jesteś, ale nie powiedziałam.

Al łkał. Co to miałoby za znaczenie, gdyby Kiera się dowiedziała? Na koniec okazało się, że wszyscy, którzy się liczyli, dochowali mu wierności. Ale Jez o tym nie wiedziała. Zrobiła to, co uważała za konieczne. Dla niego.

- Jesteś aniołem - zawodził. - Cholernym, pieprzonym aniołem, zesłanym z nieba, żeby mi pokazać, że jestem gównem wart.

- Nie - mruczała. - Nie, Al.

Przebiegł palcami po szczątkach jej pięknej twarzy.

- Doprowadzę cię do porządku - obiecał. - Zobacysz. Wszyscy doktorzy na tym małym, gównianym świecie przylecą tutaj, żeby cię wyleczyć. Zmuszę ich do tego. I pomogą ci. Cały czas będę przy tobie. Będę się tobą opiekował. Czule. Zobacysz. Nie będzie więcej kłótni i ranienia. Już nigdy. Tylko ty się dla mnie liczysz. Jesteś dla mnie wszystkim, Jez. Wszystkim.

*

Mickey zatrzymał się z tyłu tłumu wypełniającego Apartament Nixona, przyglądając się dwóm nieopętanym lekarzom, którzy właśnie się zjawili. Uważał, że tak będzie najlepiej. Trzeba być na miejscu, zademonstrować swą lojalność, ale nie wchodzić szefowi w oczy. Nie w takiej chwili. Znał go już wystarczająco dobrze. Ktoś bardzo słono zapłaci za to, co się stało. Naprawdę bardzo słono. Po całej asteroidzie krążyły plotki, że Konfederacja nauczyła się torturować opętanych całymi miesiącami. Jeśli ktoś mógł poprawić ten wynik, to tylko Organizacja, której uczonymi kierowała Patricia.

Wtem na ramię opadła mu czyjaś dłoń. Mickey był tak podenerwowany, że mięśnie jego nóg skurczyły się gwałtownie. Nieznajomy trzymał go jednak z nadludzką siłą, nie pozwalając mu się ruszyć.

- Co to ma znaczyć? - Pisnął Mickey, udając oburzenie. - Wie pan, kim jestem?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł Gerald Skibbow. - Chcę się dowiedzieć, gdzie jest Kiera.

Mickey spróbował zmierzyć wzrokiem... No, niezupełnie napastnika... Pytającego. Straszliwa siła i żadnego poczucia humoru. To nie było dobre połączenie.

- Ta suka czmychnęła w diabły. Zabrał ją piekielny jastrząb. Niech mnie pan już puści. Jezu!

- Dokąd ją zabrał?

- Dokąd... Ma pan zamiar za nią lecieć? - Zapytał Mickey, szczerząc zęby w szyderyczym uśmiechu.

- Tak.

Mickeyowi w najmniejszym stopniu nie podobał się kierunek, w którym zmierzała rozmowa. Postanowił zrezygnować z sarkazmu.

- Do Mgławicy Oriona. Dobra, może już pan mnie puścić?
- A po co miałyby tam lecieć?
- Co ci do tego, koleś? - Zapytał nagle czyjś głos.

Gerald puścił Mickeya i spojrział na Ala Capone.

- Kiera opętała naszą córkę. Chcemy ją odzyskać.

Al skinął z namysłem głową.

- Musimy porozmawiać.

*

Rocio obserwował taksówkę, która zmierzała ku niemu wzdłuż półki cumowniczej. Jej przypominający trąbę słonia rękaw śluzowy uniósł się i połączył z jego włazem.

- Mamy gościa - zawiadomił Beth i Jeda.

Oboje pobiegli w stronę śluzy. Właz już się otworzył, stała w nim znajoma postać.

- O w dupę! - Mruknęła Beth. - To Gerald!

Uśmiechnął się do niej ze znużeniem.

- Cześć. Przyniosłem trochę niezłego żarła. Uważałem, że jestem wam winien przynajmniej tyle.

Na podłodze za jego plecami stało mnóstwo pudeł.

- Co się stało, stary? - Zapytał Jed. Spoglądał za plecy starego świra, starając się odczytać etykiety.

- Uratowałam męża. - Loren nałożyła własną twarz na twarz Geralda i uśmiechnęła się do dwojga młodych. - Muszę wam podziękować za opiekę nad nim. Bóg wie, że to nawet w najlepszych chwilach nie jest łatwe.

- Rocio! - Wrzasnęła Beth.

Wstrząśnięty Jed zatoczył się do tyłu.

- Jest opętany! Uciekaj!

W jednym z bulajów w mosiężnej oprawie pojawiła się twarz Rocia.

- Wszystko w porządku - uspokoił ich. - Dobiłem targu z Alem Capone. Zabierzemy Skibbowów i wytropimy mojego krwiożerczego kumpla, Etchellsa. W zamian za to Organizacja zaopatrzy piekielne jastrzębie we wszelki sprzęt potrzebny do uruchomienia Almadena, a potem zostawi je w spokoju.

Beth obrzuciła Geralda nerwowym spojrzeniem. Nie ufała mu, bez względu na to, kto go opętał.

- Dokąd lecimy? - Zapytała Rocio.
- Do Mgławicy Oriona. Na początek.

STNI-986M był prostym, poddźwiękowym samolotem pionowego startu i lądowania, któremu potocznie nadawano niezbyt pomysłową nazwę stony. Jego tępo zakończony kadłub mógł pomieścić dwadzieścia ton ładunku albo stu pasażerów. Siedem eskadr Dowództwa Transportu Sił Powietrznych Nowego Waszyngtonu (SPNW) złożonych z tych małych, solidnych samolotów przetransportowano na Ombey, gdy prezydent odpowiedział na prośbę sojusznika i postanowił wesprzeć kampanię wyzwolenia Mortonridge. Od czasu, gdy generał Hiltch pozwolił na wznowienie ruchu powietrznego nad oczyszczonymi obszarami Mortonridge, te samolociki stały się codziennym widokiem dla żołnierzy wojsk okupacyjnych. Po Ketton ich wsparcie okazało się bezcenne, gdyż nowa doktryna frontowej ofensywy zmuszała sierżantów, dzielących półwysep na izolowane strefy, do niebezpiecznego rozciągnięcia sił. Startowały z Fort Forward i dostarczały żywność, sprzęt oraz amunicję do położonych w głębi kraju stacji. W drodze powrotnej zawsze umieszczały w szpitalach tych byłych opętanych, którzy ucierpieli najbardziej.

Choć były to solidne maszyny, zaprojektowane z myślą o intensywnej eksploatacji, coraz trudniej utrzymywało się je w ruchu. Brakowało też części zamiennych. Przemysł Ombey już był przeciążony i nie nadążał z zaopatrywaniem oddziałów frontowych oraz brygad saperkich królewskich komandosów. Wszystkim eskadrom stonych zdarzały się przymusowe lądowania i niewyjaśnione awarie. Reporterzy towarzyszący kampanii wyzwolenia wiedzieli wszystko o trudnościach, jakie ostatnio miały STNI-986M, ale w oficjalnych raportach nigdy o nich nie wspomniano. To obniżyłoby morale cywilów. Nie było bezpośredniej cenzury, jednak wszyscy reporterzy wiedzieli, że oni również są uczestnikami kampanii wyzwolenia, gdyż pomagają przekonać ludzi, iż opętanych można pokonać. To był kompromis typowy dla czasu wojny. Przekazywali takie wiadomości, jakich pragnęła armia, a w zamian za to otrzymywali dostęp do najświeższych informacji.

Dlatego Tim Beard ograniczył strumień danych fizjologicznych, gdy stony, którym lecieli z Hugh Roslerem, wystartował o świcie z Fort Forward. Chciał, żeby widzowie poczuli się choć trochę podekscytowani, gdy samolot będzie mknął nad bezkresnymi stepami pokrytymi wyschniętym błotem, a to oznaczało, że musi stłumić instynktowny niepokój ciała. Pomagało mu, że Hugh był tak blisko. Obaj siedzieli w luce między dwoma kompozytowymi bębnami wypełnionymi zupą odżywczą dla sierżantów. Hugh zawsze potrafił zachować niezmacony spokój. Nawet gdy Ketton oderwało się od powierzchni planety, spoglądał na ten spektakl z zachwytem i nutą wesołości, choć pozostali reporterzy kulili się na drżącej ziemi, chowając głowy między nogami. Zawsze potrafił też zwężyć kłopoty. W paru przypadkach, gdy korpus reporterów włókł się przez ruiny, zauważył pułapki, które umknęły uwagi sierżantów oraz saperów. Nie był zbyt rozmowny, ale Tim czuł się bezpiecznie w jego towarzystwie.

Między innymi z tego powodu poprosił Roslera, by zechciał mu towarzyszyć. Lotu nie zorganizowała armia, ale news był zbyt atrakcyjny, by mogli czekać, aż skontaktuje się z nimi oficer łącznikowy. Coraz trudniej było znaleźć ciekawe informacje dotyczące kampanii wyzwolenia. Tim jednak uprawiał reporterkę wojenną już od dwudziestu lat. Potrafił omijać archaiczną hierarchię dowodzenia, wiedział, z kim warto utrzymywać bliskie kontakty. Piloci stanowili dobry materiał. Byli prawie tak samo użyteczni, jak sierżanci. Znalezienie miejsca między skrzyniami i kapsułami w odlatującym wcześniej rano samolocie nie sprawiło mu większych trudności.

Stony oddalił się od Fort Forward, kierując się na południe, wzdłuż resztek autostrady M6. Gdy wznieśli się na wysokość operacyjną, która wynosiła dwieście metrów, Tim rozpiął to, czemu

nadawano śmieszna nazwę pasa bezpieczeństwa, i przykucnął przy luku, nakierowując wzmocnione siatkówki na drogę w dole. Przekazał do studia sto fleksów z tym obrazem i przeciętny obywatel Konfederacji znał już widok początku autostrady M6 na ochronnym pasie przeciwpożarowym równie dobrze jak drogę pod własnym domem. Z każdym kolejnym wypadem Tim posuwał się nieco dalej wzdłuż drogi, zapuszczając się głębiej w ostatnie enklawy opętanych. W ciągu paru pierwszych tygodni osiągnął rzeczywiście zdumiewające postępy. Żaden z reporterów nie musiał fabrykować aury optymizmu, która przesycała ich relacje. Teraz jednak wyglądało to inaczej. Nadal posuwali się naprzód, ale trudno to było pokazać za pomocą prostego ujęcia sięgającego od horyzontu po horyzont.

Mapy taktyczne, podsuwane im przez oficerów łącznikowych znacznie zmieniły wygląd. Nie pokrywały ich już jednolite plamy różu oznaczającego terytorium opanowane przez opętanych. Początkowo granice zacieśniały się na podobieństwo pętli, potem na skraju różowego obszaru zaczęły się pojawiać naturalne przeszkody, które spowolniły marsz. Po Ketton sytuacja zmieniła się ponownie. Sierzanci uderzali błyskawicznie, tworząc korytarze w opanowanym przez przeciwnika terytorium. Separacja i izolacja - to były podstawowe elementy planu generała Hiltcha, mającego przeszkodzić opętanym w osiągnięciu gęstości potrzebnej do wywołania nowego Ketton. Obecnie mapa taktyczna przedstawiała Mortonridge pokryte kurczącymi się powoli różowymi plamami przypominającymi wysychające na słońcu kałuże. Rzecz jasna, nikt naprawdę nie wiedział, ile wynosi krytyczna liczba, której za wszelką cenę należało unikać. Dlatego sierzanci posuwali się niestrudzenie naprzód, kierując się symulacjami opartymi na czyichś domysłach. Nie było już rojów harpunów, które ułatwiały im zadanie, ani nawet ognia laserowego z platform strategiczno-obronnych, który zmiękczyłby silnie bronione pozycje. Pierwsza linia sierżantów oczyszczała teren w najtrudniejszy z możliwych sposobów.

Siatkówki Tima z uwagą śledziły wstęgę z węglowego betonu, nad którą leciał stony. Gdy armia posuwała się naprzód wzdłuż kręgosłupa półwyspu, mechanoidy z Królewskiego Korpusu Komandosów oczyściły drogę z bagnistej gleby. W niektórych miejscach szosa biegła całe dwadzieścia metrów poniżej nowej powierzchni, jakby była rzeką zastygłej lawy, uwięzioną w stromych dolinach, które sama sobie wytyczyła, zanim zakrzepła. Boczne ściany wzmocniał chemiczny cement, łączący błoto w całość więzią molekularną - silną, lecz o ograniczonej trwałości. Światło słońca odbijało się w nich migotliwym blaskiem o szafirowej i szmaragdowej barwie. Wszystkie stare mosty uległy zniszczeniu, zostały tylko osamotnione wieże, sterczące z błota pod najrozmaitszymi kątami. Zastąpiły je nowe mosty, a każdy wyglądał inaczej. Nad małymi parowami, w których płynęły ospałe strumienie, poprowadzono zwykłe łuki z silikonowych monofilamentów. Piękne, jednoprzęsłowe mosty wiszące biegnęły nad rozpadlinami szerokimi na pół kilometra. Ich pajęczynowe sznury lśniły w czystym blasku poranka jak wąskie sopte lodu. Pontony z programowalnego silikonu przekazywały sobie nawzajem siatkową nawierzchnię niczym heroiczną sztafeta.

- Odbudowa tej szosy kosztowała około dziesięciu milionów funtów Kulu za kilometr - mówił Tim. - Trzydzieści razy więcej niż budowa oryginalnej drogi, a nawet nie ma na niej elektronicznej kontroli ruchu. To będzie zapewne najtrwalsza fizyczna pamiątka po kampanii wyzwolenia, nawet jeśli trzydzieści osiem procent jej długości zakwalifikowano jako tymczasową konstrukcję. Żołnierze piechoty nazywają ją drogą na drugi koniec piekła.

- Zawsze można spojrzeć na to optymistycznie - odezwał się Hugh Rosler.

Tim zatrzymał zapis.

- Gdybym znalazł jakiś sposób, zrobiłbym to. Nie chodzi o to, że popieram opętanych. Po tym wszystkim pozytywne podejście po prostu nie jest możliwe. Musimy od czasu do czasu powiedzieć

prawdę.

Hugh skinął głową, wskazując na prostokątne okienko.

- Popatrz, konwój z proszalnymi.

Odbudowaną drogą jechał na północ długi korowód ciężarówek i autobusów. Te ostatnie oznaczały, że w konwoju jadą głównie cywile, byli opętani transportowani w bezpieczne miejsce. Reporterzy zwali ich między sobą "proszalnymi". Każda rozmowa z byłym opętanym, który przez chwilę wylazł z kapsuły zerowej, przeradzała się w litanię żądań: "Proszę, dajcie mi lekarstwa, ubranie, coś do jedzenia, proszę, skontaktujcie mnie z rodziną, zawieźcie w bezpieczne miejsce, proszę, oddajcie mi moje życie. Dlaczego tak długo trwało, zanim mnie uratowaliście?".

W końcu przestali rejestrować wywiady z ocalonymi. Mieszkańcy Ombey czuli się coraz bardziej poirytowani niewdzięcznością współobywateli.

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe od starego ochronnego pasa przeciwpożarowego, na poboczu autostrady M6, zorganizowano wielki punkt zborny. Wyglądało, jakby z szosy na błoto wylała się kałuża płynnego węglowego betonu, która potem stężała. Od autostrady odchodziła w tym miejscu boczna droga. Pod warstwą twardniejącego blocka mogła się jeszcze kryć dawna szosa, ale brygada saperów postanowiła ją zignorować. Łatwiej było poprowadzić nowe pasmo po świeżo zbadanym gruncie, trzymając się najstabilniejszych rejonów. Podobne punkty zborne utworzono wzdłuż całej długości autostrady M6, budując boczne drogi w tych samych miejscach, w których znajdowały się oryginalne odgałęzienia. Stanowiły one trasy zaopatrzenia dla armii szturmującej miasteczka, potrzebne nie tyle maszerującym na czele sierżantom, co grupom wsparcia i siłom okupacyjnym, które posuwały się za nimi.

Punkt zborny był pusty, choć liczne ślady wskazywały, że w swoim czasie gromadziło się tu wiele pojazdów. Stony zakręcił ostro nad placem i pomknął wzdłuż bocznej drogi. Po paru minutach krążyli już nad ruinami Exnall.

Ładowisko tworzyła wielka płachta kompozytowej mikrosiatki rozłożona na płaskim terenie na oficjalnej granicy miasta. Glebę utwardzono chemicznym betonem, ale tam, gdzie wzmacniające związki nie dotarły, nadal ciągnęło się błoto.

Załoga nie była zbytnio zaskoczona, gdy Tim i Hugh wyskoczyli z otwartego wjazdu. Wszyscy gapili się z uśmiechami, jak dwaj reporterzy wyciągają nogi z lepkiego blocka.

Tim otworzył nowy plik komórek pamięci i pośpiesznie zmniejszył wrażliwość węchu. Błoto pochłonęło większość martwych zwierząt i roślin, ale lejące bez przerwy na półwyspie deszcze ciągle je odsłaniały. Na szczęście smród nie był już tak silny, jak na początku. Obaj zabrali się dżipem do dowództwa sił okupacyjnych, które znajdowało się na placu u końca alei Maingreen

- Gdzie było biuro DataAxis? - Zapytał Tim.

Hugh rozejrzał się wokół, próbując się rozeznać w obcym otoczeniu.

- Nie jestem pewien - odparł. - Musiałbym to sprawdzić w bloku informacyjnym. Wygląda tu jak w Pompejach nazajutrz po wybuchu.

Brnęli przez błoto, posuwając się głębokimi koleinami, Tim cały czas wszystko rejestrował, zachowując słowa Hugh, który niemal nie poznawał rodzinnego miasteczka. Zbudowane w lesie Exnall ucierpiało bardzo poważnie podczas potopu. Błoto zważyło potężne harandrydy i drzewa runęły na budynki, nad którymi ongiś tak wdzięcznie górowały. Pnie zniszczyły sklepy i domy mieszkalne, nim jeszcze powódź podmyła fundamenty. Prądy błota zerwały pochyłe dachy z węglowych hiperfilamentów i uniosły je ze sobą, roztrzaskując je o pnie ocalałych drzew. Wielka sterta podobnych fragmentów zgromadziła się u końca alei Maingreen. Wyglądało to, jakby muł pokrył połowę budynków w mieście aż po krokwie. Fasady unosiły się swobodnie z prądem niczym

architektoniczne tratwy, aż wreszcie unieruchomiło je twardniejące stopniowo błoto. Gdy leżały na drodze, dżipy i ciężarówki przejeżdżały po nich, a ich opony wciskały cegły i deski głębiej w schnące bagno. Z miasta zostały wyłącznie fundamenty i parterowe kikuty murów oraz tu i ówdzie kępy oblepionych blokiem harandrydów.

W centrum miasteczka wzniesiono baraki i igloo z programowalnego silikonu, które służyły jako siedziba dowództwa sił okupacyjnych. Ratusz i komisariat leżały w gruzach. Wąskimi alejkami między nowymi budynkami przejeżdżały pojazdy wojskowe, krążyły tam też oddziały żołnierzy oraz sierżantów. Tim i Hugh wysiedli z dżipa, żeby się rozejrzeć.

Hugh przyjrzał się ruinom i skonsultował się z blokiem informacyjnym.

- Tu właśnie się to wydarzyło - oznajmił. - W tym miejscu zebrał się tłum po przekazie datawizyjnym Finnuali.

Tim popatrzył na posępny krajobraz.

- Ile jest warte zwycięstwo? - Zapytał cicho. - A to nawet nie było oko cyklonu.

Zrobił zbliżenie na kilka kałuż, by przyrzeć się wynędzniałej trawie oraz chwastom walczącym o przetrwanie na ich brzegu. Jeżeli na półwysep miała wrócić roślinność, potrzebna będzie świeża woda. Mokre, brudne zielsko było jedynie żywicielem dla niezliczonych odmian brązowych grzybów, które uwielbiały wilgoć. Wątpił, by miało długo pożyć.

Łazili po terenie obozu, rejestrując obrazy reorganizującej się armii. W szpitalu na szeregu łóżek polowych leżeli ranni sierżanci. Saperzy oraz mechanoïdy trudzili się przy najrozmaitszym sprzęcie. Alejkami przejeżdżał nieprzerwany konwój ciężarówek. Ich silniki osiowe warczały gniewnie, gdy koła próbowały znaleźć punkt oparcia w błocie.

- Hej, wy dwaj! - Zawołała stojąca po drugiej stronie drogi Elana Duncan. - Co tu robicie?

Podeszli do niej, unikając kolizji z dwoma dżipami.

- Jesteśmy reporterami - wyjaśnił Tim. - Tylko się rozglądamy.

Pazury zacisnęły się na jego ramieniu, nie pozwalając mu się poruszyć. Tim nie wątpił, że gdyby tylko zechciała, mogłaby nimi sięgnąć aż do kości. Dotknęła jego piersi blokiem sensorowym. I to brutalnie.

- Dobra, teraz ty - rozkazała.

Hugh bez sprzeciwu poddał się procedurze.

- Nie mamy dziś w planie żadnych reporterów - zauważyła Elana. - Pułkownik jeszcze nie otworzył dla nich Exnall.

- Wiem o tym - przyznał Tim. - Po prostu chciałem dotrzeć tu pierwszy.

- Typowe - mruknęła Elana, wracając do baraku, w którym ustawiono dwadzieścia masywnych kapsuł zerowych. Wszystkie były włączone i ich powierzchnia miała barwę nieprzeniknionej czerni.

- To pani królestwo? - Zapytał Tim, podążając za nią.

- Zgadłeś, synku. To ja przeprowadzam akt ostatecznego wyzwolenia tych wspaniałych ludzi, których przybyliśmy uratować. Dlatego właśnie chciałam się dowiedzieć, skąd się wzięliście. Nie jesteście żołnierzami, a obaj wyglądacie za zdrowo na byłych opętanych. Nauczyłam się już ich rozpoznawać. To stało się dla mnie drugą naturą.

- Wspaniale, że ktoś jest czujny.

- Nie chrzań. - Pokiwała głową w górę i w dół, przyglądając się im uważnie. - Jeśli chcecie mnie o coś zapytać, pytajcie. Nudzę się tu tak bardzo, że pewnie nawet wam odpowiem. Przylecieliście, dlatego że to Exnall, zgadza się?

Tim wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tu właśnie wszystko się zaczęło. Dlatego to ciekawe miejsce. Jeśli pokażemy widzom, że miasteczko zdobyto i oczyszczono, to będzie prawdziwa bomba.

- Typowe dla reporterów. Liczy się dla was tylko news. Prozaiczne kwestie, jak bezpieczeństwo i zdrowy rozsądek, nie mają znaczenia. Powinnam po prostu was zastrzelić.

- Ale nie zrobiła tego pani. Czy to znaczy, że wierzy pani w możliwości sierżantów?

- Niewykluczone. Wiem, że nie potrafiłabym zrobić tego, czego dokonali. Czego nadal dokonują. Kiedy tu przybyłam, byłam przekonana, że potrafię, ale cała ta kampania stała się dla nas surową lekcją. Nie prowadzimy już podobnych wojen, jeśli rzeczywiście kiedyś je prowadziliśmy. Nawet gdy konflikt ciągnie się parę lat, pojedyncze potyczki są szybkie i brutalne. Żołnierze dostają przepustki, mogą chwilę odpocząć, popróbować stymulatorów i trochę sobie poruchać, zanim wrócą na front. Jedna strona posuwa się kawałek naprzód, a potem druga odrzuca ją z powrotem. Tak to powinno wyglądać. Ale tutaj wojna trwa cały czas, bez choćby sekundy przerwy. Czy udało się wam oddać to w waszej sensytywizacji? Prawdziwą esencję tego konfliktu? Wystarczy, że któryś z sierżantów na sekundę straci koncentrację, a jeden z tych skurwysynów się prześliźnie i wszystko zacznie się od nowa na innym kontynencie.

Wystarczy jeden błąd. Jeden. To nie jest ludzka wojna. Bronią, która może nam zapewnić zwycięstwo, jest wyłącznie perfekcja. Opętani? Muszą tylko nadal być stuprocentowo zdradzieckimi skurwielami i ani na moment nie rezygnować z prób przemycenia jednego ze swoich przez nasz kordon. Nasi sierżanci powinni zachowywać nieustanną czujność, nigdy nie przejść na drugą stronę szosy, bo błoto jest tam płytsze i mniej cuchnące. Nie macie pojęcia, czego to wymaga.

- Determinacji - spróbował zgadnąć Tim.

- Pudło. Determinacja to uczucie. Dociera do serca i wywołuje słabość. Tutaj nie możemy sobie na to pozwolić. Trzeba zapomnieć o ludzkich motywacjach. Potrzebne nam są maszyny.

- Myślałem, że tym właśnie są sierżanci.

- Och, są dobrzy. Całkiem niezli, jak na broń pierwszej generacji. Ale edeniści muszą ich udoskonalić, zbudować na następną kampanię wyzwolenia naprawdę wrednych skurwysynów. Coś, co przypominałoby nas, wzmocnionych, i miało jeszcze mniej osobowości niż sierżanci. Poznałam kilku z nich i w dalszym ciągu są zbyt ludzcy do tej roboty.

- Uważa pani, że będzie następna kampania?

- Jasne. Nikt jeszcze nie wynalazł innej metody wykopywania skurwysynów z ciał, które ukradli. Dopóki to się nie wydarzy, musimy cały czas na nich naciskać. Jak już mówiłam, nie możemy okazywać słabości. Wybierzemy inną planetę, może którąś z tych, które zinfiltrował Capone, i zaczniemy ją ratować, zanim zdąży ją zabrać. Niech wiedzą, że w tym wszechświecie nigdy nie przestaniemy ich ścigać.

- Przyłączy się pani do następnej kampanii?

- Nie ma mowy. Zrobiłam już, co do mnie należy, i nauczyłam się czegoś przy okazji. To trwa zbyt długo. Jeśli chodziło wam o relację z tego, co naprawdę wydarzyło się w Exnall, przybyliście o dzień za późno. Wczoraj mieliśmy tu jeszcze kilku opętanych czekających na zamknięcie w kapsule zerowej. To z nimi powinniście byli pogadać.

- I co mówili?

- Że nienawidzą kampanii wyzwolenia tak samo jak my. Są zmęczeni, brakuje im żywności, deszcz nie przestaje padać, błoto wlewa im się do łóżek. Odkąd ta suka Ekelund zniknęła razem z Ketton, organizacja ich oporu załamała się całkowicie. Został im tylko instynkt. To on im każe walczyć. Przegrywają, bo są ludźmi. Wrócili dlatego, że nie chcieli już dłużej cierpieć. To najsilniejsza ludzka motywacja. Wszystko, by uniknąć zaświatów. Ale teraz są tutaj, gdzie chcieli

trafić, i ich dawne niedoskonałości wróciły. Gdy tylko stają się znowu ludźmi, można ich pokonać.

- Chyba że zabiorą całą planetę ze wszechświata - sprzeciwił się Tim.
- Niech sobie zabierają. Wtedy przestaną nam przeszkadzać. W tej wojnie pat oznacza nasze zwycięstwo. Naszym celem jest nie pozwolić im się rozprzestrzeniać.
- Ale nawet ta wojna nie oznacza końca - stwierdził Hugh. - Zapomniała pani, że pani również ma duszę? Że kiedyś pani umrze?

Elana strzeliła z irytacją pazurami.

- Nie zapomniałam. Ale w tej chwili mam do wykonania robotę i tylko to się liczy. O zaświaty będę się martwiła, kiedy umrę. Całe to filozofowanie, moralizowanie i dzielenie włosa na czworo jest gównem. W ostatecznym rozrachunku każdy z nas jest zdany na własne siły.
- Tak samo jak w życiu - zauważył Hugh z łagodnym uśmiechem.

Tim spojrzał ze zdziwieniem na towarzysza. To było bardzo do niego niepodobne. To dziwne, ale śmierć i zaświaty były jedynym tematem, którego Hugh zawsze unikał.

- Ma pan rację - zgodziła się grzmiącym głosem Elana.

Tim pożegnał się z kobietą i zostawili ją przy kapsułach zerowych.

- Traktuj śmierć tak, jak traktowałeś życie, he? - Zadrwił z Roslera, gdy już oddalili się poza zasięg wzmocnionego słuchu najemniczki.
- Coś w tym rodzaju - zgodził się z powagą Hugh.
- Ta Elana to ciekawa osoba - ciągnął Tim. - Ale wywiad wymaga porządnej redakcji. Jej wynurzenia są stanowczo zbyt przygnębiające.
- Może trzeba było pozwolić jej gadać. Stykała się z opętanymi przez bardzo długi czas. To wpłynęło na jej sposób myślenia, niezależnie, czy chce się do tego przyznać. Nie zniekształcaj tego tendencyjnie.
- Moje reportaże nigdy nie są tendencyjne.
- Oglądałem je. Zawsze wszystko upraszczasz na użytek widzów. To tylko kompilacja efektownych momentów.
- Ale przyciąga widzów, tak? Widziałeś nasze wskaźniki popularności?
- Dziennikarstwo jest czymś więcej niż marketing. Od czasu do czasu trzeba mówić o ważnych sprawach. One stwarzają przeciwwagę dla atrakcyjnych momentów, które tak uwielbiasz.
- Cholera, jak trafiłeś do tego zawodu?
- Jestem do niego stworzony - odparł Hugh, wyraźnie uważając to za zabawne.

Tim obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. Potem neuronowy nanosystem zawiadomił go, że jego blok nadawczo-odbiorczy odebrał priorytetową wiadomość od szefa studia z Fort Forward. Siły Powietrzne Konfederacji zaatakowały Arnstadta.

- Cholera jasna - mruknął Tim. Komandosi i najemnicy zakrzyknęli radośnie. Ciężarówki i dżipy włączyły klaksony, trąbiąc bez chwili przerwy.
- Niedobrze - zmartwił się Hugh. - Wiedzieli, do czego to doprowadzi.
- Niech to szlag - poskarżył się Tim. - Straciliśmy news.
- Całą planetę porwano do innego wymiaru, a ty się przejmujesz newsem?
- Nie rozumiesz? - Tim zatoczył ramionami szeroki krąg, wskazując jednym gestem na cały obóz. - To właśnie news. Byliśmy na froncie walki z opętanymi. Widzieliśmy i mówiliśmy ważne rzeczy, które już takimi nie są. To wszystko. - Program astronomiczny jego neuronowego nanosystemu odnalazł fragment ciemnolazurowego nieba, w którym znajdowała się niedostrzegalna gwiazda systemu Avon. Tim spojrzał ze złością w tamtym kierunku. - Ktoś gdzieś tam zmienia politykę Konfederacji, a ja muszę siedzieć tutaj i nie mogę poznać przyczyny.

Cochrane zobaczył ją pierwszy i rzecz jasna nadał jej imię Dzwoneczek.

Kończyny hipisa nie były wystarczająco giętkie, by wytrzymać długie godziny w pozycji lotosu. Uwalił się bezwładnie na skórzanej poduszce, spoglądając w kierunku, w którym leciała wyspa Ketton. Trzymał w dłoni butelkę Jacka Danielsa, a na nosie miał fioletowe okulary, więc zapewne nie był tak czujny, jakby należało. Ale z drugiej strony żadna z dziesięciu osób dzielących z nim przylądek jej nie zauważyła.

McPhee skarżył się później, że wszyscy wypatrywali czegoś wielkiego, planety albo księżyca czy może nawet Valiska. Obiektu, który pojawiłby się jako maleńka ciemna plamka w blasku przestrzeni przed nimi, a potem zwiększałby się powoli, w miarę, jak wyspa zbliżałaby się do niego.

Ale nie spodziewali się maleńkiej drobinki kryształu, w której uwięziono okruch słonecznego blasku.

- O mamusku, spójrzcie no tylko - zawołał głośno Cochrane. Spróbował wskazać obiekt ręką i pochlapał się whisky.

Drobinka przemknęła nad krawędzią urwiska. Jej fasetkowana powierzchnia słała na wszystkie strony snopy czystego, białego światła. Nagle poleciała w stronę Cochrane'a i pozostałych obserwatorów, unosząc się cztery metry nad ziemią. Hipis zerwał się już na nogi i wymachiwał rękami jak szaleniec.

- Hej, ty! - Wołał. - Tu jesteśmy! Hej, malutki, chodź do dużego kolegi!

Kryształ zakręcił gwałtownie i zatoczył krąg nad ich głowami. Wszyscy zakrzyknęli gromko.

- Tak jest! - Darł się Cochrane. - Wie, że tu jesteśmy. To żyje, z pewnością żyje. Popatrzcie, jak błyszczą, niczym jakaś międzywszechświatowa wróżka. - Snopy światła z kryształka padły na jego okulary. - Aj, oślepiasz mnie. Hej, Dzwoneczku, przyćmij trochę to światło.

Delvan gapił się na gościa z absolutnym podziwem, osłaniając dłońią oczy przed oślepiającym światłem.

- Czy to anioł? - Zapytał.

- Nie - zaprzeczył z chichotem Cochrane. - Jest za mały. Anioły to wielkie skurwysyny z płonącymi mieczami. To Dzwoneczek. - Otoczył usta dłońmi. - Hej, Dzwoneczku, jak leci?

Ciemna, masywna dłoń Chomy opadła na bark Cochrane'a. Hipis wzdrygnął się nagle.

- Nie chcę być nieuprzejmy - odezwał się sierżant. - Ale jestem przekonany, że istnieją odpowiednie metody nawiązania pierwszego kontaktu z nieznanym gatunkiem ksenobiontów.

- Doprawdy? - Cochrane uśmiechnął się drwiąco. - Jak to więc się stało, że Dzwoneczek już się tobą znudziła?

Kryształek zmienił kierunek i pomknął w stronę głównego obozu. Hipis popędził za nim, wrzeszcząc i wymachując rękami.

Sinon, podobnie jak wszyscy sierżanci na wyspie, zaczął obserwować niezwykle pościg, gdy tylko Choma poinformował ich o pojawieniu się kryształka.

- Mamy pierwszy kontakt - oznajmił otaczającym go ludziom.

Stephanie gapiała się z oszołomieniem na maleńki obiekt i ścigającego go co sił w nogach Cochrane'a. Z jej ust wyrwało się westchnienie trwogi. Naprawdę nie powinni pozwolić staremu hipisowi przyłączyć się do grupy obserwatorów.

- Co się dzieje? - Zapytał Moyo.

- To jakiś latający ksenobiont - wyjaśniła.

- Albo sonda - uściślił Sinon. - Próbujemy nawiązać łączność w paśmie afinicznym.

Sierżanci połączyli swe mentalne głosy we wspólny zew. Poza dźwięcznymi słowami

przywitania, matematycznymi symbolami oraz piktogramami umieścili w nim spektrum czysto emocjonalnych tonów. Nic z tego nie spowodowało jednak żadnej odpowiedzi.

Kryształek znowu zwolnił, unosząc się nad obozem. Przebywało w nim obecnie z górą sześćdziesięciu ludzi. Do grupy Stephanie przyłączali się wciąż nowi dezertery z armii Ekelund. Uciekali od niej przez cały tydzień, czasem grupami, a kiedy indziej pojedynczo. Wszyscy odrzucali jej autorytet i narastającą nietolerancję. Wiadomości, jakie przynosili ze starego miasta, nie brzmiały optymistycznie. Ekelund wprowadziła stan wyjątkowy, w praktyce zamieniając cały obóz w więzienie. Aktualnie jej głównym celem było odnalezienie w ruinach i pod stertami luźnej gleby jak największej liczby karabinów. Najwyraźniej nadal nie rezygnowała z planów uwolnienia wyspy od sierżantów oraz nielojalnych opętanych.

Stephanie śledziła wzrokiem posuwający się naprzód krętą trasą kryształek. Cochrane nadal biegł jakieś trzydzieści kroków za nim. Jego pełne irytacji krzyki niesły się słabym echem.

- Odpowiedział wam już? - Zapytała.

- Nie - odparł sierżant.

Wszyscy wstali, gapiąc się na świecący punkcik. Kryształek nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Stephanie skupiła się na fałdach opalizującego cienia, postrzeganych przez jej mentalne zmysły. Umysły ludzi i sierżantów lśniły w nim łatwym do rozpoznania blaskiem, kryształ zaś był ostro odgranieczoną kroplą szafiru. Wyglądał niemal jak grafika komputerowa, w tym paśmie odróżniał się bardzo wyraźnie od reszty świata. Kiedy się zbliżył, ujrzała z doskonałą klarownością wewnątrz szafiru. Dzięki jakiemuś wypaczeniu wymiarów było ono większe niż jego zewnętrzna postać.

Od chwili, gdy Ketton opuściło Mortonridge, cuda przestały ją zdumiewać. Czowała tylko zwykłą ciekawość.

- To nie może być naturalny obiekt - stwierdziła.

- Zgadzą się - potwierdził Sinon, przemawiając w imieniu minikonsensusu sierżantów. - Jego zachowanie i struktura sugerują, że mamy do czynienia z jestestwem wyższego rzędu.

- Nie odbieram żadnych myśli.

- Nie są podobne do naszych. To oczywiste. Sprawia wrażenie dobrze przystosowanego do warunków panujących w tym królestwie, a to z kolei oznacza, że wspólne pochodzenie jest wysoce nieprawdopodobne.

- Uważasz, że jest miejscowym organizmem?

- Jeśli nawet nie żywy tubylec, to jakiś ich odpowiednik sztucznej inteligencji. Sprawia wrażenie niezależnego, co sugeruje wolną wolę.

- Albo dobry program - zauważył Moyo. - Nasze sondy zwiadowcze też potrafią okazywać inicjatywę.

- To kolejna możliwość - przyznał Sinon.

- Takie szczegóły nie mają znaczenia - zauważyła Stephanie.

- Mamy dowód, że istnieją tu jakieś rozumne istoty. Musimy nawiązać z nimi kontakt i poprosić je o pomoc.

- O ile znają to pojęcie - wtrącił Franklin.

- Czcze spekulacje - skwitował Choma. - Nieważne, co robi to jestestwo, liczy się tylko, do czego jest zdolne. Musimy nawiązać z nim kontakt.

- Nie reaguje na nasze próby - poskarżył się Sinon. - Jeśli nie posiada wrażliwości afinicznej ani nie reaguje na zmiany ciśnienia atmosferycznego, szanse porozumienia są bardzo niewielkie.

- Naśladowujemy je - zaproponował Choma. Minikonsensus zarzucił go serią pytań.

- Z całą pewnością wyczuwa naszą obecność - wyjaśnił.

- Dlatego musimy zademonstrować, że my również je zauważamy. Kiedy to sobie uświadomi, zacznie poszukiwać możliwych kanałów łączności. Najprostszą możliwą demonstracją byłoby wykorzystanie naszej energistycznej mocy celem stworzenia jego podobizny.

Skupili umysły na kamieniu leżącym u stóp Sinona. Czternaście tysięcy sierżantów wyobraziło sobie, że jest on małym, przejrzystym diamentem, w którego wnętrzu płonie zimne światło. Kamyk uniósł się w górę, gubiąc po drodze drobinki błota.

Kryształ zawrócił, zbliżył się do iluzji i okrążył ją powoli. Sierżanci powtórzyli ten ruch. Oba kryształy zakreśliły skomplikowaną spiralę wokół głowy Sinona.

- Przyciągnęliśmy jego uwagę - ucieszył się Choma. Cochrane podbiegł do nich, dysząc ciężko.

- Hej, Dzwoneczku. Zwolnij, kochanie. - Wsparł dłonie na udach, spoglądając w górę z chytrą miną. - Hej, co tu się dzieje? Czy się rozmnożyła?

- Próbujemy nawiązać kontakt - wyjaśnił Sinon.

- Tak? - Hipis uniósł rękę, otwierając dłoń. - To łatwe, stary.

- Nie... - Zawołali jednocześnie Sinon i Stephanie.

Cochrane zacisnął dłoń na Dzwoneczku. I nie mógł już jej oderwać. Jego palce i dłoń zaczęły się wydłużać, jakby powietrze przerodziło się w krzywe zwierciadło. Kryształ wciągnął je do swego wnętrza. Hipis pisnął z przerażenia, gdy w ślad za dłonią nadgarstek zaczął znikać w środku.

- Choleee...

Jego ciało poderwało się raptownie w górę.

Stephanie użyła energistycznej mocy, próbując wyciągnąć go na zewnątrz. Żądając, by go wypuszczono. Poczwała, że wspierają ją sierżanci. Nikt z nich nie mógł jednak przytwierdzić swoich myśli do zawodzącego rozpaczliwie hipisa. Fizyczna masa jego ciała stała się nieuchwytna, jakby próbowali chwycić w rękę sznur zrobiony z wody.

Przeraźliwe wrzaski umilkły, gdy głowa hipisa zniknęła wewnątrz kryształu. Tułów i nogi szybko podążyły za nią.

- Cochrane! - Zawołał Franklin.

Na ziemię spadły okulary słoneczne o złotej oprawce i fioletowych szkiełkach.

Stephanie nie wyczuwała już nawet myśli hipisa. Zamarła w odrętwieniu, czekając, kogo kryształek pożre teraz. Dzielilo ją od niego tylko około dwóch metrów.

Drobinka rozbłysła na chwilę czerwonym i złotym światłem. Potem znowu zrobiła się biała i pomknęła z wielką prędkością w stronę miasta.

- Zabiła go - mruknęła przerażona Stephanie. - Zjadła - dodała Rana.

- A może po prostu wzięła próbkę - zasugerował Sinon, zwracając się do pozostałych sierżantów, gdyż wstrząśnięci ludzie zapewne nie chcieliby słuchać tego rodzaju klinicznej analizy.

- To nie ona wybrała Cochrane'a - zauważył Choma. - Raczej on ją. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że to był zwyczajny mechanizm obronny.

- Mam nadzieję, że nie. To by sugerowało, że znaleźliśmy się w nieprzyjaznym otoczeniu. Wolę wierzyć, że wzięła próbkę.

- Metoda schwymania była zdumiewająca - zauważył Choma. - Może jest czymś w rodzaju krystalicznego neutronium? Nic innego nie mogłoby go wessać tak szybko.

- Nie wiemy nawet, czy w tym królestwie istnieje grawitacja i trwała materia - zauważył Sinon. - Poza tym nie było emisji energii. Gdyby grawitacja ścisnęła jego masę, promieniowanie zabiłoby nas wszystkich.

- Miejmy nadzieję, że tylko pobierała próbki.
 - Aha. - Myśl Sinona wyrażała lekki niepokój. - Szkoda, że to był Cochrane.
 - Wolałbym, żeby zabrała Ekelund.
- Sinon śledził wzrokiem kryształek, który pędził szybko niczym kometa.
- To jeszcze może się zdarzyć.

*

Annette Ekelund założyła nową kwaterę główną na szczycie stromego wzgórza, które ongiś było ratuszem Ketton. Z ruin wydobyto prostopadłościennie fragmenty rozmaitych budynków, które następnie ustawiono jeden na drugim i energistyczna moc zmieniła je w brezentowe namioty pokryte zielono-czarnym dżunglowym kamuflażem. W trzech z nich znajdowały się ostatnie zapasy żywności. Jeden służył jako zbrojownia i prowizoryczny warsztat, w którym Milne i jego ludzie naprawiali wykopane z wilgotnej gleby karabiny. Ostatni, ulokowany na prawym końcu wzniesienia, pełnił funkcję kwatery i stanowiska dowodzenia Annette. Kobieta zwinęła siatkę po obu stronach wejścia, by mieć dobry widok na szarobrazowy krajobraz u nierównych brzegów wyspy. Na ustawionym na kozłach stole walały się mapy oraz podkładki do pisania. Na mapach zaznaczono kolorowymi kredkami obronne fortyfikacje otaczające Ketton, a także ewentualne linie ataku, wytyczone na podstawie raportów zwiadowców. Uwzględniono również pozycje sierżantów oraz ich przybliżoną siłę.

Zebranie wszystkich tych informacji trwało wiele dni. W tej chwili Annette nie poświęcała im jednak nawet najmniejszej uwagi. Wpatrywała się ze złością w kapitana, który stał przed nią na baczność. Hoi Son siedział na obozowym krześle ustawionym przy stole, nawet nie próbując ukryć rozbawienia.

- Pięciu żołnierzy odmówiło powrotu z patrolu - zameldował kapitan. - Oznajmili, że idą do sierżantów.

- Do nieprzyjaciela - poprawiła go Annette.

- Tak jest, do nieprzyjaciela. Zostało nas tylko trzech. Nie byliśmy w stanie zmusić ich do powrotu.

- Jest pan żaloszny - warknęła wściekle Annette. - Nie mam pojęcia, jakim cudem został pan oficerem. Nie chodzi pan ze swoimi ludźmi na spacer. Jest pan ich dowódcą, do diabła. To znaczy, że musi pan znać ich słabe i silne strony. Powinien był pan to przewidzieć, zwłaszcza że zna pan ich stan emocjonalny. Nie wolno było dopuścić, by zdradzili nas w ten sposób. To pana wina.

Kapitan spojrzał na nią z niedowierzaniem i trwogą.

- To śmieszne. Wszyscy tu robią w portki ze strachu. Dostrzegam to całkiem wyraźnie. Nie sposób przewidzieć, co mogą w tej sytuacji zrobić.

- Miał pan obowiązek to przewidzieć. Degraduję pana do stopnia kaprała i przez trzydzieści sześć godzin nie otrzyma pan racji żywnościowych.

- Przecież sam wykopałem to żarcie. Przez dwie doby miałem ręce po łokcie w gównie. Nie może pani tego zrobić. Mam do niego prawo.

- Odzyska pan to prawo za trzydzieści sześć godzin. Nie wcześniej.

Oboje wpatrywali się w siebie nad stołem. Karty papieru poruszały się bezgłośnie.

- Świetnie - warknął wreszcie były kapitan i wyszedł z namiotu.

Annette odprowadzała go pełnym złości spojrzeniem. Wściekał ją brak dyscypliny, który zapanował w jej oddziałach. Czy nie rozumieli, że sytuacja jest krytyczna?

- Pięknie to rozegrałaś - zauważył Hoi Son tonem graniczącym z drwiną.

- Uważasz, że powinien uniknąć kary? Nie uwierzyłbyś, jak szybko wszystko by się rozpadło,

gdybym nie wymuszała przestrzegania porządku.

- Twoje społeczeństwo by się rozpadło. Życie toczyłoby się dalej.
- Wydaje ci się, że inny rodzaj społeczeństwa mógłby tu przetrwać?
- Przekonajmy się.
- To bzdura, nawet jak na ciebie.

Hoi Son wzruszył ramionami z obojętną miną.

- Z chęcią bym się dowiedział, do czego twoim zdaniem zmierzamy, jeśli nie do zagłady.
- To królestwo zapewnia nam azyl.
- Czy pozbawisz mnie żywności, jeśli coś ci powiem?
- To nic by nie dało. Znam cię. Jestem pewna, że zakamuflowałeś gdzieś mały zapasik.
- Nie przeczę, że przy tobie nauczyłem się zapobiegliwości. Sugeruję, byś rozważyła możliwość, że sierzanci mają rację. To królestwo mogłoby zapewnić nam azyl, gdybyśmy znajdowali się na planecie. Terytorium wyspy jest jednak raczej ograniczone.

- To prawda, ale całe królestwo nie ma granic. Przybyliśmy tu instynktownie. Wiedzieliśmy, że to jedyne miejsce, gdzie będziemy bezpieczni. Możemy stworzyć raj, jeśli tylko w to uwierzymy. Widzisz, jak działa tu nasza energistyczna moc. Skutki ujawniają się wolniej, ale za to zmiany są głębsze.

- Szkoda, że nie możemy dzięki nim powoli stworzyć czegoś do jedzenia, czy choćby powietrza. Zapewne zadowolilibym się nieco większym terytorium.

- Jeśli tak sądzisz, czemu zostałeś ze mną? Dlaczego nie uciekłeś, jak ci słabi głupcy?
- Ty masz zapas żywności, a do tego nie ma tu krzaków, w których mógłbym się ukryć. Ani jednego krzaka, szczerze mówiąc. To sprawia mi ból. To miejsce jest... Niedobre. Nie ma ducha.
- Możemy mieć wszystko, czego zechcemy. - Annette wpatrzyła się w bliski, ostro zarysowany horyzont. - Zwrócimy ziemi jej ducha.

- W jaki sposób?

- Kończąc to, co zaczęliśmy, uciekając. To oni nas powstrzymują.

- Sierzanci?

- Tak. - Uśmiechnęła się doń, zadowolona, że ją zrozumiał. - W tym królestwie spełniają się nasze marzenia. Ale ich marzenia wywodzą się ze starego porządku. Z fizyki i racjonalności. To bezduszne maszyny, nie rozumieją, czym możemy się tu stać. Wiążą nasze skrzydlate myśli w klatkach ze stali. Wyobraź sobie, co się może stać, gdy uwolnimy się od tych ograniczeń. Wyspa się powiększy, z urwisk wyrosną nowe tereny. Jesteśmy nasieniem i może z nas wyrosnąć coś cudownego. Niebo jest tym, czym je uczynimy. Na tym polega przeznaczenie każdego człowieka. Widzimy je, jest w zasięgu ręki. Dotarliśmy już bardzo daleko, nie możemy pozwolić, by ich mroczna tęsknota za przeszłością zatrąła nasze umysły.

- Nasienie? - Hoi Son uniósł brwi. - Naprawdę wierzysz, że ta wyspa nim jest?

- Tak. Może z niego wyrosnąć takie królestwo, jakiego tylko zapagniemy.

- Wątpię. Naprawdę bardzo wątpię. Jesteśmy ludźmi w ukradzionych ciałach, nie jakimiś embrionami bogów.

- A jednak postawiliśmy już pierwszy krok. - W teatralnym geście uniosła rękę ku niebu. - Powiedzieliśmy, żeby stało się światło, prawda?

- Czytałem tę książkę, ale niewielu moich rodaków może to o sobie powiedzieć. Typowo eurochrześcijański punkt widzenia. Wydaje wam się, że wasze dziedzictwo i mitologia są ważne dla całego świata, choć w rzeczywistości daliście mu tylko zanieczyszczenia, wojny i choroby.

Annette uśmiechnęła się szeroko.

- Daj spokój, Hoi, więcej pogody ducha. Obudź w sobie radykała. Może nam się udać. Gdy tylko wyeliminujemy sierżantów, będziemy mieli szansę.

Uśmiech zniknął powoli z jej twarzy, gdy wyczuła zdumienie i zmieszanie, które wypełniło nagle umysły sierżantów. Ich obecność zawsze czaiła się na granicy jej jaźni na podobieństwo świtu, który nie chce nadejść. Teraz jednak ich chłodne myśli zmieniały postać, w bezprecedensowym stopniu zbliżając się do paniki.

- Co ich tak wystraszyło?

Annette i Hoi wyjrzeni z namiotu, spoglądając na ciemny tłum sierżantów, kłębiący się u podnóża zaginionych wzgórz otaczających dolinę Catmos.

- Nie atakują nas - zauważył Hoi Son. - To dobrze.

- Coś tu nie gra. - Uniosła lornetkę do oczu i przeszukała wzrokiem obóz sierżantów, próbując wypatrzeć coś niezwykłego pośród ich wielkich, ciemnych ciał. Siedzieli spokojnie, jak zawsze. Nagle uświadomiła sobie, że wszyscy zwracają głowy w jej stronę. Opuściła lornetkę z zamyśloną miną. - Nie kapuję, o co chodzi.

- Popatrz, tam.

Hoi wyciągnął rękę, wskazując na jasną iskierkę, która przemknęła nad otaczającymi miasteczko fortyfikacjami. Żołnierze na dole wrzeszczeli i gestykulowali jak szaleńcy, ale ona przeleciała obojętnie nad nimi.

Kierowała się prosto na wzgórze pośrodku miasteczka.

- Dorwę ją - warknęła z satysfakcją Annette. Rozstawiła szeroko nogi i zacisnęła ręce na rękojeści pistoletu. Zmaterializował się czarny, masywny karabin maserowy. Jego tępo zakończona lufa skierowała się na nadlatującą iskierkę.

- Nie sądzę, żeby to była broń - sprzeciwił się Hoi Son, odsuwając się od Annette. - Nie pochodzi od sierżantów. Są tak samo zaskoczeni jak my.

- Nie udzieliłam jej pozwolenia na wstęp do mojego miasta.

Hoi rzucił się do ucieczki. Z broni Annette wytrysnął wąski strumień intensywnego, białego ognia. Kryształek uchylił się bez trudu, przemykając nad Hoi Sonem. Umykający mężczyzna potknął się, gdy zatańczyły nad nim snopy blasku.

Annette odwróciła się, śledząc intruza powoli i metodycznie. Nacisnęła spust po raz drugi, wypuszczając najpotężniejszy impuls białego ognia, na jaki było ją stać. Nic to nie dało. Kryształek zawrócił, kreśląc nad Hoi Sonem ciasną parabolę, i pomknął z powrotem w stronę, z której przyleciał.

Sierżanci obserwowali jego powrót. Tym razem nie zwolnił, przelatując nad nimi. Minął urwisko i skręcił w dół. Delvan podbiegł do samej krawędzi i położył się płasko na spękany błocie, śledząc go wzrokiem. Kryształek sunął w dół wzdłuż klifu i po chwili zniknął za wyszczerbionymi skalnymi płytami.

*

Kupcy przejechali przez Cricklade w siedmiu wielkich ciężarówkach, trąbiąc jak najęci. Z żelaznych kominów za kabinami kierowców buchały z sykiem obłoki pary. Błyszczące mosiężne tłoki poruszały przednimi kołami. Pojazdy zatrzymały się z głośnym warczeniem pod szerokimi schodami rezydencji. Na żwir skapywał olej, a z nieszczelnych spoin wydobywała się para.

Luca wyszedł przywitać gości. O ile potrafił to ocenić, ich myśli świadczyły o przyjaznym nastawieniu. Nie oczekiwał kłopotów. Kupcy odwiedzali już przedtem Cricklade, choć nigdy w tak wielkim konwoju. Na wszelki wypadek w pobliżu czekała grupa dziesięciu robotników.

Z pierwszej ciężarówki wysiadł szef kupców, który przedstawił się jako Lionel. Był niskim

mężczyzną o długich blond włosach związanych rzemieniem, odzianym w wytarte niebieskie dżinsy oraz sweter z golfem. Ten bezpretensjonalny strój harmonizował z jego bezpośrednim zachowaniem. Po paru minutach rozmowy Luca zaprosił go do środka. Gość z uznaniem zasiadł w obitym skórą fotelu, popijając Norfolkskie Łzy, którymi poczęstował go Luca. Jeśli nawet kupiec czuł się nieswojo w spokojnej, dystygowanej atmosferze panującej w rezydencji, nie okazywał tego po sobie.

- Tym razem oferujemy na sprzedaż głównie ryby - oznajmił. - Przede wszystkim wędzone, ale jest też trochę mrożonych. Mamy również nasiona, zapłodnione kurze jaja, pewną ilość drogich perfum i elektrycznych narzędzi. Staramy się zyskać reputację godnych zaufania partnerów handlowych, więc jeśli miałby pan ochotę nabyć coś, czym obecnie nie dysponujemy, postaramy się dostarczyć to panu przy następnej okazji.

- A co chcielibyście otrzymać w zamian? - Zapytał Luca, siadając za wielkim biurkiem.

- Mąkę, mięso, trochę nowych łożysk, gniazdo do ładowania ciężarówek. - Uniósł kieliszek. - I porządny trunek. - Tręcili się z uśmiechem kieliszkami. Lionel przypatrywał się przez chwilę dłoni Luki. Kontrast był subtelny, ale łatwy do zauważenia. Luca miał grubszą, ciemniejszą skórę, świadcząca o prawdziwym wieku Granta. Lionel otaczał się aurą kogoś znacznie młodszego.

- Jaką cenę chciałby pan otrzymać za ryby? - Zapytał Luca.

- Jeśli chodzi o mąkę, pięć jednostek wagowych za jedną.

- Niech mi pan nie zawraca dupy. Szkoda czasu.

- Ryby to mięso, zawierają cenne białko. Dochodzi jeszcze kwestia transportu. Cricklade leży daleko od morza.

- Dlatego właśnie hodujemy owce i bydło. Jesteśmy eksporterami mięsa. Możemy zapłacić za koszty transportu elektrycznością. Mamy własny szyb ciepły.

- Nasze baterie są naładowane w siedemdziesięciu procentach.

Targowali się przez dobre czterdzieści minut. Gdy do gabinetu weszła Susannah, pili już trzecią kolejkę Norfolkskich Łez. Przysiadła na poręczy fotela Luki i mężczyzna objął ją ramieniem.

- Jak idzie? - Zapytała.

- Mam nadzieję, że lubisz ryby - odparł Luca. - Właśnie kupiliśmy trzy tony.

- O cholera. - Zabrała mu z ręki kieliszek i pociągnęła z namysłem łyk. - Chyba znajdziemy miejsce w zamrażalni. Będę musiała pogadać z kucharką.

- Lionel przyniósł też ciekawe wieści.

- Tak?

Obrzuciła kupca miłym, dociekliwym spojrzeniem. Lionel uśmiechnął się, ukrywając lekką ciekawość. Podobnie jak Luca, Susannah nie ukrywała wieku swego ciała. Byli pierwszymi ludźmi w średnim wieku, jakich spotkał od chwili przybycia do tego królestwa.

- Kupiliśmy ryby w Holbeach, od statku "Cranborne". Zaczekałem tam przed tygodniem, by zamienić towar na naprawę silnika. Powinien jeszcze stać w porcie.

- I co? - Zapytała Susannah.

- "Cranborne" to kupiecki multitramp - wyjaśnił Luca. - Żegluje między wyspami, przewożąc towary albo pasażerów. Zajmuje się łowieniem ryb, bagrowaniem, zbieraniem wodorostów, łamaniem lodu, wszystkim, na czym da się zarobić.

- Załoga zaopatrzyła go w sieci - dodał Lionel. - W tej chwili nie ma zbyt wielkiego ruchu, więc utrzymują się z rybołówstwa. Wspominają też o handlu między wyspami. Gdy tylko sytuacja nieco się uspokoi i będzie można dokładniej określić, kto co produkuje i co ma do zaoferowania.

- Miłe - stwierdziła Susannah. - Ale dlaczego mi o tym mówisz?

- To sposób, żeby dotrzeć do Norwich - wyjaśnił Luca. - A przynajmniej początek.

Susannah przyjrzała mu się z uwagą. Na jego twarzy coraz wyraźniej uwidaczniały się rysy Granta. Cały proces zaczął się w chwili, gdy wrócił z Knossington z wiadomością, że ambulans lotniczy nie działa. Jego elektroniczne systemy po prostu nie mogły funkcjonować w tym świecie.

- Tak długa podróż sporo by kosztowała - zauważyła cicho.

- Cricklade może sobie na to pozwolić.

- Istotnie - przyznała. - Może. Ale posiadłość nie należy już do nas. Jeśli zabierzemy tak dużo żywności, Łez albo koni, inni nazwą nas złodziejami. Nie moglibyśmy już wrócić do Kesteven.

- My?

- Tak, my. To nasze dzieci i to jest nasz dom.

- Jedno bez drugiego nic nie znaczy.

- Zastanawiam się nad pewną kwestią - oznajmiła z głębokim zakłopotaniem. - Co zmusi załogę "Cranborne" do dotrzymania umowy, kiedy już odbijemy od brzegu?

- A co nas powstrzyma przed kradzieżą całego statku? - Mruknął znużonym głosem Luca. - Odbudowaliśmy cywilizację, kochanie. Wiem, że nie jest zbyt wspaniała, ale jakoś funkcjonuje. Możemy z daleka wyczuć zdradę i nieuczciwość.

- Dobra. A więc chcesz wyjechać? I tak już mamy pod dostatkiem kłopotów - zauważyła, zerkając na milczącego dyplomatycznie Lionela.

- Nie jestem pewien. Chcę z tym walczyć. Jeśli wyjadę, to będzie znaczyło, że Grant wygrał.

- To nie jest walka. To kwestia serca.

- Czyjego serca? - Wyszeptał pełnym bólu tonem.

- Przepraszam - wtrącił Lionel. - Czy rozważyliście możliwość, że osoby, które opętały wasze córki, mogą się nie ucieszyć na wasz widok? Co właściwie planowaliście zrobić? W końcu raczej nie możecie ich poddać egzorcyzmom i odjechać razem ku zachodzącemu słońcu. Będą dla was tak samo obce jak wy dla nich.

- Nie są dla mnie obce - warknął Luca. Zerwał się nagle z fotela. Dygotał cały. - Cholera, nie mogę się przestać o nie martwić.

- Wszyscy ulegamy naszym gospodarzom - przyznał Lionel. - Najprostszym wyjściem jest pogodzić się z tym. Wtedy przynajmniej będzie można odnaleźć spokój. Jesteście gotowi tak postąpić?

- Nie wiem - wychrypiał Luca. - Po prostu nie wiem.

*

Carmitha przebiegła palcami wzdłuż ręki kobiety, sprawdzając ciągłość kości, mięśni i ścięgien. Podczas badania zamknęła oczy, skupiając umysł na kłębku mglistej jasności, jakim było ciało. Nie kierowała się wyłącznie dotykiem. Tkanki tworzyły odrębne pasma cienia, jakby oglądała bardzo niewyraźne ilustracje z podręcznika medycznego. Przesuwała palce za każdym razem o centymetr i bardzo delikatnie naciskała, jakby muskając klawisze fortepianu. Sprawdzanie całego ciała w ten sposób trwało z górą godzinę, a i wtedy nie było efektywne w stu procentach. Docierała tylko do powierzchni. Istniało mnóstwo odmian raka atakujących narządy wewnętrzne, gruczoly i szpik. Tych bardziej dyskretnych potworów nie zauważy, dopóki nie będzie za późno.

Coś umknęło w bok pod jej palcem wskazującym. Lekko przesunęła opuszkę, by sprawdzić ruchomość obiektu. Był twardy, jakby pod skórą ukrywał się mały kamyk. Okiem umysłu postrzegala go jako białą plamkę o kosmatych wypustkach wnikaających w otaczającą tkankę.

- Jeszcze jeden - oznajmiła.

Westchnienie kobiety brzmiało niemal jak łkanie. Carmitha nauczyła się na własnej skórze, że przed pacjentami nie można niczego ukrywać. Zawsze potrafili wykryć nutkę niepokoju w jej

myślach.

- Umrę - wyjęczała kobieta. - Wszyscy umieramy, nasze ciała gniją. To kara za ucieczkę z zaświatów.

- Nonsens. Te ciała przekształcono genetycznie. To znaczy, że mają wysoką odporność na raka. Kiedy przestanie je pani dręczyć energistyczną mocą, powinna nastąpić remisja.

To było jej standardowe słowne placebo. Odkąd zachorował Butterworth, powtarzała te słowa tak wiele razy, że sama już zaczynała w nie wierzyć.

Carmitha kontynuowała badanie, przechodząc powyżej łokcia. To była już czysta formalność. Najgorzej wyglądały uda kobiety. Tam, gdzie usunęła tłuszcz, by nadać sobie młodzieńczy wygląd, pojawiły się guzki wielkości orzechów. Strach zwyciężył instynkt i pragnienie odzyskania dziewczęcego splendoru. Kobieta zaprzestanie nadnaturalnego torturowania udręczonych komórek i być może guzy rzeczywiście znikną.

Gdy Carmitha kończyła badanie, w bok wozu zastukał Luca. Kazała mu zaczekać, aż pacjentka się ubierze.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła i uściskała kobietę. - Musi pani tylko znowu stać się sobą i być silna.

- Tak - zgodziła się przygnębiona pacjentka.

Carmitha doszła do wniosku, że to nie jest odpowiednia chwila na wykłady. Niech kobieta najpierw ochłonie. Potem nauczy ją, jak czerpać ze swej wewnętrznej siły, by wzmocnić organizm. Babcia Carmithy zawsze bardzo podkreślała, iż trzeba myśleć, że jest się zdrowym. "Słaby umysł wpuszcza zarazki".

Luca starannie unikał spoglądania w załzawione oczy kobiety, usuwając się na bok, gdy wychodziła z wozu.

- Jeszcze jedna? - Zapytał, gdy się oddaliła.

- Aha - potwierdziła Carmitha. - Ale to stosunkowo łagodny przypadek.

- Świetnie.

- Niekoniecznie. Do tej pory obserwowaliśmy tylko początkową fazę rozwoju guzów. Modłę się, by wasza wrodzona odporność powstrzymała ich rozrost. Jeśli tak się nie stanie, następną fazą będą przerzuty. Komórki rakowe rozprzestrzenia się po całym ciele. Wtedy będzie po wszystkim.

Tylko z trudem zdołała ukryć niechęć. Właściciele ziemscy i mieszkańcy miast pochodzili od przekształconych genetycznie kolonistów, ale Cyganie nie uznawali podobnych udoskonaleń.

Potrząsnął głową, zbyt uparty, żeby się spierać.

- Jak z Johanem?

- Przybiera na wadze. To dobrze. Zaczął już chodzić, a nawet trochę ćwiczyć, żeby odzyskać siłę w mięśniach. To również dobry znak. Całkowicie porzucił zniekształcające ciało iluzje. Ale guzy nie zniknęły. Jego ciało jest zbyt osłabione, by mogło z nimi walczyć. Mam nadzieję, że gdy jego stan ogólny się poprawi, zaczną działać naturalne mechanizmy obronne.

- Czy jest już w stanie pomagać w zarządzaniu posiadłością?

- Nawet o tym nie myśl. Za parę tygodni zapewne poproszę go, żeby mi pomógł w ogródku zielnym. To najintensywniejsza praca, na jaką mu pozwolę.

Nie był w stanie ukryć rozczarowania, które wypełniło jego myśli.

- Dlaczego cię to interesuje? - Zapytała z podejrzliwością w głosie. - Czy potrzebujesz go do czegoś? Myślałam, że sprawy w posiadłości idą gładko. Nie dostrzegam żadnej różnicy.

- Rozważam pewną możliwość, to wszystko.

- Możliwość? Chcesz nas opuścić? Ta myśl zdumiała Carmithę.

- Zastanawiam się nad tym - mruknął z niechęcią. - Nie mów nikomu.

- Nie powiem. Ale nie rozumiem, dokąd się wybierasz.

- Chcę znaleźć dziewczynki.

- Och, Grant. - Dotknęła jego ramienia pod wpływem nagłego współczucia. - Nic im się nie stanie. Nawet jeśli ktoś opętał Louise, z pewnością nie zmieni jej wyglądu. Jest na to zbyt ładna.

- Nie jestem Grant. - Rozejrzył się po dziedzińcu, nerwowo i podejrzliwy. - Zawsze lubiłaś mówić o wewnętrznych demonach. Boże, z pewnością jesteś zachwycona.

- Jasne, świetnie się bawię.

- Przepraszam.

- Ile masz guzów? - Zapytała cicho.

- Kilka na piersi - odpowiedział po dłuższej przerwie. - Na ramionach. Jezu, nawet na stopach. - Odchrząknął z niesmakiem. - Skąd się tam wzięły? Nigdy nie próbowałem zmienić wyglądu stóp.

Jego szczere zdumienie poirytowało Carmithę. Dusza opętująca Granta wzbudzała w niej zbyt silne współczucie.

- W tych sprawach nie ma żadnej logiki - odparła.

- Poza Cricklade niewielu ludzi wie, co się dzieje. Ten kupiec, Lionel, nie ma o niczym pojęcia. Ale to nie potrwa długo. Ludzie podobni do Johana z pewnością padają jak muchy na całej planecie. Gdy wszyscy zdadzą sobie sprawę z sytuacji, nadejdzie chaos. Dlatego właśnie chciałem wyruszyć w podróż jak najszybciej. Jeśli nadejdzie druga fala anarchii, może mi się nie udać odnaleźć dziewczynek.

- Powinni cię zbadać prawdziwi lekarze. Może udałoby się wypalić guzy białym ogniem. Wszyscy mamy teraz rentgenowski wzrok, więc czemu by nie? Może nawet obejdzie się bez tak drastycznych środków. Wystarczy, że zapragniesz, by rakowe komórki umarły.

- Nie jestem pewien.

- To niepodobne do ciebie. Do żadnego z was. Nie siedź beczynn timer, dowiedz się. Sprowadź lekarza. Masaże i herbatka ziołowa na dłuższą metę w niczym nie pomogą, a nie mam ci do zaoferowania nic więcej. Nie możesz nas teraz opuścić, Luca. Wszyscy uznali cię za szefa. Skorzystaj ze swoich wpływów, żeby uratować sytuację. Pozwól im przetrwać rakową panikę.

Westchnął przeciągle i przechylił głowę, spoglądając na nią spod oka.

- Nadal uważasz, że Konfederacja was ratuje, prawda?

- Oczywiście.

- Nigdy nas nie znajdą. Musieliby przeszukać dwa wszechświaty.

- Wierz w to, w co musisz wierzyć. Ja wiem, co się stanie.

- Jesteśmy zaprzyjaźnionymi wrogami, tak?

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Przed koniecznością sformułowania ciętej riposty uratował go chłopiec stajenny, który wbiegł nagle na dziedziniec, krzycząc, że przybył posłaniec z miasta. Grant i Carmitha przeszli przez kuchnię, zmierzając ku głównej bramie posiadłości.

W ich stronę zmierzała kobieta dosiadająca białego konia. Oboje znali regularności myśli wypełniających jej czaszkę: Marcella Rye. Wierzchowiec pędził cwałem, a umysł Marcelli wypełniały ekscytacja i lęk.

Zatrzymała się przed szerokimi, kamiennymi schodami wiodącymi do marmurowego portyku. Zsunęła się z siodła. Luca wziął w ręce wodze, starając się uspokoić podniecone zwierzę.

- Dotarli do nas wieści z wiosek położonych przy linii kolejowej - oznajmiła Marcella. -

Zmierza ku nam banda rabusiów. Radni z Colsterworth uprzejmie proszą i tak dalej. Luca, potrzebna nam pomoc, żeby powstrzymać skurwysynów. Najwyraźniej są uzbrojeni. Obrabowali stary magazyn milicji na przedmieściach Bostonu. Zabrali masę zwykłych karabinów i kilkanaście maszynowych.

- Kurwa, rewelacyjnie - warknął Luca. - Życie w tym miejscu z każdą chwilą staje się lepsze.

*

Luca obserwował pociąg przez lornetkę. Była autentyczna, Grant odziedziczył ją po ojcu. Mężczyzna był pewien, że to ten sam pociąg co przedtem, jednak nieco zmieniony. Dodano cztery wagony, choć i tak nikt nie podróżował wygodnie. To był pociąg pancerny. Do wszystkich wagonów przynitowano żelazne płyty, które wyglądały na autentyczne. Pociąg posuwał się z brzękiem w stronę Colsterworth z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Bruce Spanton zdołał wreszcie nadać fizyczną postać idei niepowstrzymanej siły, tu, w przypominającym obrazy Turnera krajobrazie Norfolku, gdzie nie było miejsca dla czegoś w tym rodzaju.

- Tym razem jest ich więcej - zauważył Luca. - Pewnie moglibyśmy znowu rozebrać tory.

- To monstrum nie jest w stanie zawrócić - mruknęła ze złością Marcella. - Do odwrotu trzeba skłonić ich umysły. Ciała podążają za nimi.

- Z podkulonymi ogonami.

- Tak jest.

- Będą tu za dziesięć minut. Lepiej rozmieścimy ludzi i wykombinujmy jakąś strategię. - Przyprowadził z Cricklade prawie siedemdziesięciu robotników. Obwieszczenie Rady Miejskiej Colsterworth przyciągnęło z górą pięciuset mieszkańców miasta, gotowych pomóc w odparciu najeźdźców. Przybyło też około trzydziestu ludzi z okolicznych gospodarstw rolnych, zdeterminowanych bronić pól, które z takim trudem zebrali. Wszyscy przynieśli z nowych domów strzelby myśliwskie

Luca i Marcella podzielili ludzi na cztery grupy. Największą, składającą się z trzystu osób, ustawili w formacje kształtu podkowy wokół dworca Colsterworth. Dwie następne grupy czekały na skrzydłach, gotowe okrążyć napastników. Reszta, trzy tuziny jeźdźców, składała się na oddział konnicy, gotowy ścigać ewentualnych uciekinierów.

Kilka ostatnich minut poświęcili na przegląd oddziałów. Upewnili się, że wszyscy znają swoje miejsce, i utwardzili stroje, przekształcając je w kuloodporny pancerz. W tym królestwie trudniej było się obronić przed strzałami z broni palnej. Popularnym rozwiązaniem były kamizelki kuloodporne wzmocnione włóknami węglowo-silikonowymi. Pierwsza linia wyglądała jak policyjny oddział prewencji z połowy dwudziestego pierwszego wieku.

- Bronimy naszego prawa do wybranej formy egzystencji - powtarzał raz po raz Luca swym żołnierzom. - To nam udało się czegoś dokonać w tych warunkach, stworzyć dla siebie przyzwoite życie. Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, by ta hołota to zniszczyła. Nie możemy dopuścić do tego, by żyli na nasz koszt. To by znaczyło, że jesteśmy ich niewolnikami.

Wszyscy szeptali i kiwali głowami na znak zgody. Obrońcy byli coraz bardziej zdeterminowani i pewniejsi siebie. Aura ich gotowości wypełniała powietrze poblaskiem o zdrowej, czerwonej barwie. Gdy Luca zajął pozycję obok Marcelli, oboje wymienili uśmiechy, radując się perspektywą walki. Pociąg dzieliło od miasta już tylko półtora kilometra. Mijał właśnie ostatni zakręt przed dworcem. Gwizdek zabrzmiał gniewnym, wyzywającym tonem. Czerwona aura spowijająca stację zapłonęła jaśniej. Pośrodku drewnianych podkładów pojawiła się szczelina, która zaczynała się w odległości pięciu metrów od stóp Luki i sięgała aż za koniec peronów. Rozwarła się do szerokości piętnastu centymetrów i zamarła, drżąc niecierpliwie. Z jej brzegów osypywały się odłamki granitu, znikające bezgłośnie w otchłannej ciemności.

Luca wpatrywał się w przód pociągu, prosto w lufy jego dział.

- Podjedź bliżej, dupku - rzekł cicho.

Subtelność po prostu nie wchodziła w grę. Obie strony znały w przybliżeniu siłę i pozycję przeciwnika. To nie mogło być nic innego niż bezpośrednia konfrontacja. Starcie energistycznych mocy i wyobraźni. Prawdziwa broń była jedynie niemile widzianym dodatkiem.

W odległości około kilometra od dworca pociąg zwolnił nieco. Dwa ostatnie wagony odłączyły się i zahamowały. Spod ich kół sypały się pomarańczowe skry. Boczne ściany opuściły się, tworząc rampy, i na ziemię zjechały dżipy. Przerobiono je na samochody pancerne o dachach wzmocnionych grubymi pałakami i wielkich kołach z oponami o głębokich bieżnikach. Pojazdy miały benzynowe silniki o pojemności czterech litrów, które ryczały głośno, wypełniając powietrze cuchnącymi spalinami. Każdy wehikuł był wyposażony w zamontowany nad kierowcą karabin maszynowy, obsługiwany przez strzelca w skórzanej kurtce, hełmie i goglach.

Samochody oddaliły się pośpiesznie od torów, próbując oskrzydlić obrońców. Luca dał znak swej konnicy. Jeźdźcy ruszyli, by przeciąć drogę dżipom. Pociąg nadal posuwał się naprzód.

- Przygotować się! - Zawołała Marcella.

Z pociągowych dział buchnęły kłęby dymu. Luca pochylił się odruchowo, utwardzając powietrze wokół siebie. Pociski spadły na ziemię na skraju dworca. Gęste chmury pyłu przesłoniły horyzont. Dwa pociski uderzyły w granicę czerwonego światła, eksplodując bez szkody dwadzieścia metrów nad ziemią. Szrapnele odbiły się od ochronnej bariery. Obrońcy zakrzyknęli radośnie.

- Mamy ich! - Warknął zachwycony Luca.

Na polach zagrzechotały karabiny maszynowe. Dżipy zakręciły gwałtownie, zostawiając w błocie głębokie ślady. Potem przejechały prosto przez drewniane bramy, rozwalając je z rozbłyskiem białego ognia. Konie galopowały za nimi, bez wysiłku przeskakując nad ścianami i żywopłotami. Jeźdźcy strzelali z siodła, miotając jednocześnie błyskawicami białego ognia. Silniki dżipów zaczęły kasłać i przerywać. Energistyczna moc fatalnie wpływała na baterie ukryte głęboko pod osłoną iluzji.

Pociąg był już tylko pół kilometra od nich. Działa kontynuowały nieprzerwany ostrzał. Teren położony po drugiej stronie stacji ucierpiał poważnie. Pociski przeorały glebę, trawę, drzewa oraz kamienne mury. Lucę zdziwiły niewielkie rozmiary lejów. Spodziewał się, że działa będą miały większy kaliber. Dymu było jednak mnóstwo. Gęste, szaroniebieskie chmury kłębiły się złowrogo wokół ochronnej kopuły czerwieni, niemal całkowicie zasłaniając pociąg.

W Luce zrodziła się podejrziwość.

- To może być kamuflaż - zawołał do Marcelli, przekrzykując basowy łoskot dział.

- Wykluczone - odkrzyknęła. - Nie zapominaj, że możemy ich wyczuć. Zasłona dymna nic im nie da.

Coś tu nie grało i Luca o tym wiedział. Gdy skierował uwagę z powrotem na pociąg, wyczuł dobiegającą stamtąd aurę triumfu, dorównującą siłą emitowanej przez niego. Nic, co działali dotąd napastnicy, nie mogło im zapewnić zwycięstwa. Przynajmniej tego nie dostrzegał.

Kłęby dymu pochodzącego z pocisków płynęły ospale w stronę dworca. Gdy przedostawały się przez granicę czerwonego światła, rozbłyskiwały ciemnoburgundowym blaskiem. Ludzie z odwodów zgromadzeni pod peronami zareagowali dziwnie, gdy dotarły do nich pierwsze obłoczki. Wymachiwali rękami przed twarzami, jakby opędzali się od natrętnej osy, a potem zaczęli się chwiać na nogach. Ich umysły emitowały fale paniki, zarażające sąsiadów.

- Co się z nimi dzieje? - Zapytała Marcella.

- Nie jestem pewien.

Luca obserwował szkarłatny dym, który rozprzestrzeniał się powoli. Zjawisko to wydawało

się całkowicie naturalne. Obłoczki unosiły się na wietrze, nic nimi nie kierowało. Nie wyczuwał złowrogiego energistycznego nacisku, ale gdzie tylko docierały opary, zaczynał się chaos. Luca potrzebował dłuższej chwili, by dojść do przerażającego wniosku. Choć powtarzał sobie, że Spanton upadł tak nisko, jak to tylko możliwe, trudno mu było uwierzyć w podobną niegodziwość.

- Gaz - powiedział z oszołomieniem w głosie. - To nie dym. Ten skurwysyn użył gazu!

Z każdej szczeliny w pancerzu pociągu otworzyły ogień strzelby i karabiny maszynowe. Gaz odwrócił uwagę obrońców i kule bez przeszkód przesywały różowe powietrze. Pociski uderzały w kamizelki kuloodporne, odrzucając do tyłu pierwszy szereg obrońców. Różowa barwa zniknęła nagle z powietrza. Ludzki instynkt samozachowawczy okazał się zbyt silny. Wszyscy skupili się na ratowaniu siebie.

- Odrzućcie go do nich! - Zawołał Luca, przekrzykując hałas.

Pociąg zbliżał się nieubłaganie, był już tylko jakieś dwieście metrów od niego. Luca rozpostarł ramiona i zaczął popychać powietrze przed siebie.

Marcella podążyła za jego przykładem.

- Pchajcie! - Zawołała do najbliższych obrońców.

Zaczęli ją naśladować. Strumień energistycznej mocy odpychał od nich powietrze i przesycający je śmiertelny gaz. Pomysł szybko rozprzestrzenił się wśród obrońców, myśl bezzwłocznie przeradzała się w rzeczywistość. Nie musieli nic robić, wystarczyło, by pragnęli.

Powietrze przesuwało się ciężko nad murami dworca i mknęło wzdłuż torów, z każdą chwilą zwiększając prędkość. Słupy dymu bijące z lejów odchyłały się na zewnątrz, rozpadały na sunące ku nadjeżdżającemu pociągowi obłoczki. Wicher porwał liście i gałązki ze zmacerowanych żywopłotów. Wszystkie odbijały się bez szkody od żelaznego przodu pociągu i umykały na boki.

Luca krzychał z podniecenia, wzmacniając powietrzem z płuc strumień, który przepływał przez jego ciało. Osiągnął on już siłę huraganu i popychał go do przodu. Złapał sąsiadów za ręce i wszyscy wsparli się pewnie na nogach. Odzyskali wspólnotę celu, która dała im niekwestionowaną władzę nad powietrzem. Zaczęli kształtować wiatr, skupiając jego mściwą moc na pociągu. Kosze kwiatów zawieszane nad peronami przechylały się równoległe do ziemi, szarpiąc się gwałtownie.

Pociąg zwolnił, powstrzymywany przez straszliwą moc poziomego tornada. Para bijąca z komina i nieszczelnych zaworów umykała z wiatrem, mieszając się z toksycznym gazem. Napastnicy nie byli w stanie celować, wiatr targał ich bronią, grożąc wyrwaniem jej z rąk. Lufy dział się przechylały, uniemożliwiając ostrzał.

Wszyscy obrońcy dołączyli swą wolę do szalonej wichury. Kierowali ją prosto na pociąg, aż wreszcie zatrzymali go w odległości stu metrów od stacji. Potem wzmocnili nacisk jeszcze bardziej, natchnieni wpływem adrenaliny. Żelazna bestia zakołysała się. Ciężar pancierza w niczym jej nie pomógł.

- Damy radę - zawołał Luca. Jego słowa porwał nadnaturalny wiatr. - Próbujcie dalej.

Gdy potężna lokomotywa się zakolebała, wszyscy uwierzyli w tę perspektywę.

Napastnicy obudzili swą energistyczną moc, próbując unieruchomić pociąg. Było ich jednak za mało, by mogli marzyć o zwycięstwie.

W pociąg uderzały granitowe głazy, porwane przez wicher z torowiska. Za nimi podążyły fragmenty szyn, które tłukły o lokomotywę, owijając się wokół kotła.

Jedna z par kół lokomotywy uniosła się nad ziemię. Maszyna wspierała się przez chwilę na pozostałych kołach, podczas gdy siedzący w niej napastnicy próbowali powstrzymać kołysanie. Obrońcy miasteczka nie zamierzali jednak uspokoić stworzonej przez siebie burzy. W końcu wózki kołowe wyskoczyły z torów. Lokomotywa zwała się na bok, pociągając za sobą pierwszy wagon.

Gdyby to była naturalna katastrofa na tym by się skończyło, obrońcy naciskali jednak dalej. Lokomotywa obróciła się o kolejne dziewięćdziesiąt stopni, unosząc ku niebu zdruzgotane wózki kołowe. Z rozerwanych tłoków buchnęły potężne strugi pary, natychmiast rozpraszając się na wietrze. Lokomotywa obróciła się po raz kolejny, ciągnąc za sobą wagony. Nabierała impetu, turlając się w bok. Wagony zerwały się z uwięzi i rozproszyły po polu, łamiąc drzewa i wpadając do rowów.

Lokomotywa nie przestawała koziółkować, gnana przez wichurę oraz myśli niedoszłych ofiar. Wreszcie kocioł eksplodował, druzgocząc grzbiet potężnej maszyny. Z wielkiego rozdarcia buchnęła para, która uleciała szybko pod szalejące niebo. Podążył za nią grad szczątków. Na zoraną ziemię spadły fragmenty maszynierii o bardzo nowoczesnym wyglądzie. Iluzja napędzanego parą kolosa zniknęła bez śladu, odsłaniając zwyczajną, ośmiokołową lokomotywę używaną przez Norfolk Railway Company.

Gdy wichurę się uspokoił, Luca oddalił się, pozwalając Marcelli zorganizować ekipy medyczne mające udzielić pomocy obrońcom, którzy padli ofiarą gazu. W lejach po pociskach nadal utrzymywał się niebezpieczny chemiczny odór. Ci, którzy zapewniali, że znają się na takich sprawach, twierdzili, że to może być jakiś rodzaj fosforu albo może chloru, czy nawet coś jeszcze gorszego. Luca nie bał się wymienianych przez nich nazw, a jedynie kryjącej się za nimi intencji. Przeszedł wzdłuż szeregu rannych, krzywiąc się na widok krwi spływającej z ich oczu na równi ze łzami. Próbował dodać ofiarom otuchy, przekrzykując okropny kaszel.

Potem nie miał już wątpliwości, co musi zrobić.

Zwołał grupkę robotników rolnych z Cricklade i - mając w pamięci swe pierwsze spotkanie ze Spantonem - ruszył w stronę rozbitej maszyny.

Do jej korpusu faktycznie przymocowano metalowe płyty, nie było to jednak żelazo, lecz jakiś lekki materiał budowlany, który w umyśle obserwatora łatwo mógł się stać grubym pancerzem. Lokomotywa poważnie ucierpiała od straszliwej wichury. Niektóre działa oderwały się od korpusu, a pozostałe również zostały uszkodzone. Maszyna wygięła się w płytkie V, a jej przednia część wbiła się w ziemię.

Luca okrążył wrak, zmierzając w stronę kabiny. Jej ściany oraz dach wgięły się do wewnątrz i było tam teraz ciaśniej niż w szafie. Luca przykucnął, zaglądając do środka przez szparę okna.

Bruce Spanton łypnął na niego ze złością. Jego ciało tkwiło uwięzione między metalowymi płytami i fragmentami sterczących ze ścian rur. Krew płynąca ze zmiażdżonych nóg oraz ręki mieszała się z olejem i błotem. Popielata twarz, typowa dla ofiary wstrząsu miała inne rysy niż poprzednio. Gogle oraz zaczesane do tyłu włosy zniknęły wraz z resztą iluzji.

- Dzięki Bogu - wydyszał Spanton. - Kurde, wyciągnij mnie stąd. Ledwie mogę powstrzymać nogi przed odpadnięciem.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę - zauważył ze spokojem Luca.

- No to znalazłeś mnie. Dam ci za to jebany medal, tylko mnie wyciągnij. Ściany zupełnie się rozwały podczas zadymy. Boli mnie tak paskudnie, że nie mogę nawet tego wyłączyć, jak zwykle.

- Zadymy? A więc to była zadyma?

- Przestań pieprzyć! - Wrzasnął Spanton. Skrzywił się gwałtownie z bólu wywołanego tym wybuchem złości. - Dobra. Wygrałeś. Jesteś królem wzgórza. A teraz odegnij ten metal.

- I to ma być wszystko?

- Niby co?

- My wygraliśmy, wy przegraliście i na tym koniec?

- Czego, kurwa, chcesz, pojebie?

- Ach, kapuję. Odejdziecie w siną dal i nigdy już nie wróćcie. Koniec opowieści. Nikt nie

ma do nikogo pretensji. Wszystko skończyło się dobrze, a wy po prostu wymordujecie gazem kogoś innego. Może ludzi w jakimś mniejszym miasteczku, którzy nie będą w stanie się obronić. Świetnie. Rewelacyjnie. Po to właśnie przyszliśmy miastu z pomocą. Żebyście mogli mieć swoją zadymę, a potem sobie pójść.

- Czego, kurwa, chcesz?

- Chcę żyć. Chcę widzieć efekty swojej pracy. Chcę, żeby moja rodzina mogła korzystać z jej owoców. Chcę, żeby była bezpieczna. Żeby nie musiała się bać megalomańskich szaleńców, którzy uważają, że tacy twardziele jak oni mogą żyć na koszt zwyczajnych, ciężko pracujących ludzi. - Uśmiechnął się do wykrzywionego z bólu Spantona. - Dotarło? Rozpoznajesz siebie w tym obrazie?

- Odejdę stąd, dobra? Opuścimy tę wyspę. Możesz nas wsadzić na statek, by mieć pewność, że to zrobimy.

- Problem leży nie w tym, gdzie jesteś, tylko w tym, kim jesteś.

Luca wyprostował się.

- Co? To wszystko? Wydostań mnie stąd, skurwielu.

- Nie sądzę.

- Jeśli uważasz, że teraz jestem problemem, nawet nie wiesz, co to takiego problem, dupku. Pokażę ci skurwysyński problem.

- Tak też myślałem.

Luca obrócił samopowtarzalną śrutówkę, zatrzymując wylot lufy w odległości piętnastu centymetrów od głowy Spantona. Nie przestawał strzelać, aż z głowy mężczyzny zostały tylko strzepy.

Dusza Spantona wysunęła się z okrwawionego trupa razem z prawdziwą duszą uśmierconego ciała. Niematerialne widmo uniosło się nad wrakiem pociągu niczym ospały dymek. Luca patrzył wprost w półprzezroczyste oczy i dostrzegł w nich świadomość, że po stuleciach nędznej, połowicznej egzystencji wreszcie nadchodzi prawdziwa śmierć. Nie odwrócił wzroku, uznając swą winę, aż w końcu zjawia rozwiła się powoli w nicość. Trwało to zaledwie sekundy, ale gorzkiego strachu i złości wystarczyłoby na całe życie.

Luca drżał, porażony swą wiedzą i gwałtownymi emocjami. Powtarzał sobie, że zrobił to, co konieczne. Trzeba było powstrzymać Spantona. Nie zrobić nic oznaczałoby samobójstwo.

Robotnicy przyglądali mu się z lękiem, czekając, co zrobi teraz. Ich myśli były wyciszone.

- Załatwmy resztę - rozkazał Luca. - Zwłaszcza tego skurwysyńskiego chemika.

Ruszył w stronę wagonu, pakując naboje do pustego magazynka. Pozostali podążyli za nim, ściskając broń mocniej niż zwykle.

*

W Cricklade nie słyszano podobnych krzyków od dnia przybycia Quinna Dextera. Przenikliwe, kobiece wrzaski dobiegały z otwartego okna wychodzącego na dziedziniec. Był pogodny, wczesnojesienny dzień i głos niósł się daleko poza szczyty spadzistych dachów dworu. Konie płoszyły się w stajniach, a mężczyźni wzdrygali się nerwowo.

Veronique odeszły wody rankiem następnego dnia po tym, jak Luca poprowadził grupę robotników na wojnę z rabusiami. Carmitha siedziała przy niej już od świtu, w jednej z pięknie urządzonych sypialni zachodniego skrzydła. Podejrzewała, że pokój mógł nawet należeć kiedyś do Louise. Z pewnością był wystarczająco wspaniały. Pośrodku ustawiono duże łóżko (choć nie aż tak duże, by można je uznać za dwuosobowe, to byłoby nie do pomyślenia w przypadku niezamężnej dziewczyny z ziemiańskiej rodziny). W tej chwili Louise z pewnością jednak nie zechciałaby w nim spać.

Rodząca spoczywała w pozycji półsiedzącej pośrodku materaca. Kucharka ocierała jej twarz małym ręcznikiem. Poza tym wszystko zależało od Veronique i Carmithy, a także dziecka, które nie śpieszyło się z wyjściem na świat.

Dzięki nowemu zmysłowi Carmitha mogła przynajmniej zobaczyć, że jest właściwie ustawione i pępowina nie owinęła mu się wokół szyi. Nie dostrzegła też żadnych innych komplikacji. Dzięki temu mogła się otoczyć aurą pewności siebie. W końcu odebrała już kilkanaście naturalnych porodów. Ta wiedza bardzo wszystkich pocieszała. Veronique zdawała się uważać ją za połączenie swej dawno zmarłej matki z wykwalifikowanym położnikiem, Carmitha nie wspominała więc, że jej udział ograniczał się do podawania ręczników prawdziwej położnej.

- Widzę główkę - zawołała Cyganka z podnieceniem w głosie. - Teraz mi zaufaj.

Veronique krzyknęła po raz kolejny, jej głos zaraz jednak przeszedł w gniewny jęk. Carmitha wsparła dłonie na wielkim brzuchu dziewczyny i wsparła skurcze macicy swą energistyczną mocą. Veronique nie przestawała krzyczeć, a gdy dziecko wreszcie się wydostało, załała się łzami.

Dzięki energistycznemu wsparciu wszystko odbyło się znacznie szybciej niż zwykle. Cyganka złapała dziecko i pociągnęła je lekko, ułatwiając zadanie wyczerpanej dziewczynie. Potem przecięła i zawiązała pępowinę, śpiesząc się pod wpływem normalnej w tym przypadku paniki. Veronique łkała z zachwytu. Do środka weszli ludzie, przynosząc ręczniki i gratulacje. Carmitha musiała jeszcze wytrzeć noworodka, odebrać łożysko i tak dalej.

Nowością było wykorzystanie energistycznej mocy celem zagojenia drobnych rozdarć w ścianach pochwy rodzącej. Carmitha starała się z tym nie przesadzać. Nadal obawiała się długoterminowych skutków ubocznych, jakie mogło wywołać nawet niewinne uzdrawianie. Niemniej dzięki temu nie potrzebowała szyć.

Gdy Carmitha wreszcie skończyła robotę, Veronique leżała już w czystej pościeli, tuląc w ramionach córeczkę. Otaczała ją klasyczna aura szczęścia i wyczerpania. Jej umysł był całkowicie spokojny.

Cyganka bez słowa przyglądała się Veronique przez chwilę. W dziewczynie nie było śladu wewnętrznej udręki wywołanej przez opętującą duszę tłamszącą gospodarza. Ból, krew i radość sprawiły, że dwie dusze połączyły się w jedną całość na przywitaniu nowego życia.

Veronique uśmiechnęła się do niej nieśmiało.

- Czyż nie jest śliczna? - Zapytała. - Bardzo ci dziękuję.

Carmitha przysiadła na skraju łoża. Nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok pomarszczonej twarzyczki, tak bardzo nieświadomej nowego otoczenia.

- Cudowna. Jak dasz jej na imię?

- Jeannette. To imię zdarzało się w obu naszych rodzinach.

- Rozumiem. To świetnie. - Pocałowała noworodka w czołko. - Odpocznijcie chwilę.

Wpadnę za jakąś godzinkę, żeby sprawdzić, jak się czujecie.

Wyszła na dziedziniec. Po drodze zatrzymywały ją dziesiątki ludzi. Wszyscy pytali, jak poszło, czy matka i dziecko czują się dobrze. Cieszyła się, mogąc choć raz przekazać dobre wieści, które pomogą nieco rozproszyć niepokój i napięcie panujące w Cricklade.

Kiedy znalazł ją Luca, siedziała w otwartych drzwiach z tyłu wozu, popalając trawę. Oparł się o tylne koło i spojrzał na nią ze skrzyżowanymi ramionami. Podsunęła mu jointa.

- Nie, dziękuję - rzekł. - Nie wiedziałem, że to robisz.

- Tylko przy wyjątkowych okazjach. Na Norfolku nie mamy zbyt wiele trawy. Musimy uważać, gdzie ją siejemy. Obszarnicy, tacy jak ty, walczą z nałogami u innych.

- Nie będę się z tobą sprzeczał. Słyszałem, że dziecko już się urodziło.

- Tak. Dziewczynka czuje się świetnie. I Veronique teraz również.

- Teraz?

- Pogodziły się z Olive. Stały się jednym. Jedną osobą. Podejrzewam, że taka przyszłość czeka was wszystkich.

- Ha! - Mruknął z goryczą Luca. - I tu właśnie się mylisz, dziewczyno. Zabijałem dziś ludzi. Butterworth ma rację, martwiąc się o zdrowie. W tym królestwie, kiedy ciało umiera, dusza ginie razem z nim. Nie ma duchów, nie ma nieśmiertelności. Tylko śmierć. Spieprzyliśmy sprawę. Mieliśmy tylko jedną szansę i nie trafiliśmy tam, gdzie chcieliśmy trafić.

Carmitha wypuściła z płuc obłok dymu o słodkim zapachu.

- Myślę, że trafiliście.

- Nie chrzań, dziewczyno.

- Wróciliście do tego, co niegdyś uważaliśmy za punkt wyjścia ludzkości. Macie tu tylko to, co mieli ludzie, zanim pojawiła się elektryczność i wszystkie wynalazki. To skończony świat, w jakim ludzie czują się bezpiecznie. Istnieje tu magia, ale nie ma z niej wielkiego pożytku. Działają tylko nieliczne maszyny, ale nie te skomplikowane, a już z pewnością nie elektronika. A śmierć... Śmierć jest realna. Kurde, odzyskaliśmy nawet bogów mieszkających po drugiej stronie nieba. Stworzonych na nasz obraz i podobieństwo bogów władających mocami wykraczającymi poza wszystko, co jest możliwe tutaj. Za parę pokoleń wiedza o nich przerodzi się w niejasne pogłoski. Legendy mówiące o stworzeniu tego świata, o tym, jak wyskoczył z czarnej pustki w blasku czerwonego ognia. Cóż to jest, jeśli nie nowy początek w krainie niewinności? To miejsce nie jest przeznaczone dla was. Nigdy nie było. Odkryliście na nowo biologiczny imperatyw i sprawiliście, że tym razem rzeczywiście coś znaczy. Zostało wam tylko spłodzić dzieci. Musicie radować się każdą chwilą, bo nie czeka was nic więcej. - Znowu się zaciągnęła. Koniec jointa rozjarzył się pomarańczowym blaskiem. W jej oczach odbijały się iskierki.

- Wiesz co? To mi się nawet podoba.

*

Rana Stephanie zagoiła się już w znacznym stopniu i kobieta mogła dwa razy dziennie dokonywać obchodu założonego na cyplu obozu w towarzystwie Moya i Sinona. Ich mały azyl rozrastał się w niepowstrzymany, chaotyczny sposób w miarę napływu kolejnych dezertów z armii Ekelund. Wyglądał teraz jak lawina spiworów, spływająca od brzegu urwiska ku środkowi wyspy. Nowo przybyli zbierali się w małe grupki, skupiając się wokół dobytku, który przynieśli ze sobą. Sierzanci narzucili tylko jedno prawo: wszyscy, którzy prosili o azyl, musieli oddać prawdziwą broń. Nikogo to nie odstraszyło.

Okrażając grupki przygnębionych ludzi, Stephanie podsłuchiwała wystarczająco wiele urywków rozmów, by wiedzieć, co czeka nierozsądnego dezertera, który spróbowałby powrotu. Paranoja Ekelund nasilała się w niepokojącym tempie. Nie pomogło też pojawienie się Dzwoneczek. Najwyraźniej krystaliczne jestestwo ostrzelano. Dlatego umknęło z powrotem w pustkę.

Mieli już pod dostatkiem zmartwień, a teraz musieli się jeszcze niepokoić możliwością, że Ekelund wywołała wojnę.

- Mnie też go brak - odezwał się Moyo ze współczuciem w głosie. Uścisnął dłoń Stephanie, próbując dać jej pocieszenie.

Uśmiechnęła się blado, wdzięczna za to, że odebrał jej melancholijne myśli.

- Wystarczy parę dni bez niego, by wszyscy popadli w przygnębienie. - Przerwała na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Być może nie odzyskała jeszcze sił w takim stopniu, jak jej się zdawało. - Wracajmy - zaproponowała. Te spacerowały nowo przybyłym poczucie tożsamości, przekonywały

ich, że wszyscy są częścią jednej wielkiej rodziny. To do Stephanie przybyli i chciała im zademonstrować, że w razie potrzeby mogą się z nią skontaktować. Większość z nich ją poznała. Było ich już jednak tak wielu, że zdobyli własną tożsamość, i to sierżanci gwarantowali im bezpieczeństwo. Stephanie utraciła znaczenie. I niech ją Bóg broni przed próbami odzyskania go siłą, jak zrobiła to Ekelund.

Wszyscy troje odwrócili się jednocześnie i ruszyli z powrotem w stronę małego obozu, w którym ich przyjaciele opiekowali się Tiną. Nieco dalej sierżanci ustawili linię obserwatorów, ciągnącą się wzdłuż urwiska. Wpatrywali Dzwoneczek. Szereg zajmował już jedną piątą długości obwodu. Sinon powiedział jej, że ich minikonsensus rozważał możliwość otoczenia całej wyspy. Kiedy zapytała, czy Ekelund mogłaby to uznać za zagrożenie, wielki technobiotyczny konstrukt wzruszył tylko ramionami.

- Istnieją sprawy ważniejsze niż łagodzenie jej neurotycznych obaw - oznajmił.

- To była szybka inspekcja - zauważył Franklin, kiedy wrócili.

Stephanie zaprowadziła Moya w wygodne miejsce położone parę metrów od prowizorycznego łóżka Tiny i rozłożyła dla niego koc.

- Nie stanowią już inspirującego widoku - poskarżyła się.

- Pewnie, że stanowisz, kochanie - zaprzeczyła Tina.

Wszyscy musieli wyęczać słuch, żeby ją usłyszeć. Była w kiepskim stanie. Stephanie wiedziała, że sierżanci dali już za wygraną i starali się tylko złagodzić cierpienia Tiny podczas ostatnich dni jej życia. Choć Rana rzadko wypuszczała z uścisku dłoń przyjaciółki, nie starała się już pomagać jej energistyczną mocą, poza prostym, nieokreślonym życzeniem powrotu do zdrowia. Aktywna ingerencja w stan zmiażdżonych narządów wewnętrznych zapewne pogorszyłaby tylko sprawę. Tinie brakowało już siły woli potrzebnej, by podtrzymywać iluzję ciała. Jej skóra stała się niebezpiecznie blada, wszyscy widzieli, że kobieta oddycha z trudem. Kroplówka nadal funkcjonowała, ale ciało chorej natychmiast wypacało cały płyn.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to już nie potrwa długo.

Stephanie wściekała się na siebie za to, że zastanawia się, czy dusza Tiny wróci w zaświaty, zostanie uwięziona w tym królestwie, czy też po prostu umrze na dobre. W ich sytuacji była to ważna kwestia, Stephanie była jednak pewna, że chora wykryje w jej myślach poczucie winy.

- Nadal przyciągamy dezertersów od Ekelund - zauważyła.

- W tym tempie za tydzień wszyscy będą obozowali tutaj.

- Jaki tydzień? - Poskarżył się cicho McPhee. - Nie czujesz, że powietrze się psuje?

- Jak dotąd nie wykrywamy wzrostu stężenia dwutlenku węgla - zapewnił Choma.

- Tak? A co właściwie robicie, żeby nam pomóc? - Wskazał rząd sierżantów stojących wzdłuż urwiska. - Poza wzmacnianiem paranoi tej wariatki.

- Nie ustajemy w wysiłkach - odparł Sinon. - Nadal staramy się opracować metodę stworzenia tunelu czasoprzestrzennego. Nasililiśmy też obserwacje.

- Pokładacie nadzieję w cholernej wróżce! Najwyraźniej wszyscy tu głupiejemy.

- "Wróżka" nie jest adekwatnym terminem, choć łatwo zrozumieć, dlaczego Cochrane go użył.

- To pewnie znaczy, że nadal nie wiecie, co to było.

- Niestety, masz rację, ale fakt, że istnieje tu jakiegoś rodzaju inteligencja, z pewnością napawa optymizmem.

- Skoro tak mówisz - burknął McPhee i odwrócił się.

Stephanie przysunęła się do Moya, ciesząc się, że odruchowo objął ją ramieniem. Dzięki bliskości nieco łatwiej było znieść straszliwe oczekiwanie. Nie potrafiła zdecydować, które

wydarzenie wolałaby zobaczyć najpierw. Choć sierżanci nie mówili tego na głos, zapewne spróbują otworzyć tunel wiodący do Mortonridge. Była opętana i raczej nie przyniesie to jej ocalenia. Być może lepiej byłoby zostać tutaj aż do chwili, gdy stężenie dwutlenku węgla osiągnie śmiertelny poziom. Znowu spojrziała z poczuciem winy na Tinę.

Po trzech godzinach oczekiwanie dobiegło końca. Tym razem sierżanci nie dali się zaskoczyć. Podstawę latającej wyspy otoczył cały rój błyszczących kryształków, które następnie pomknęły pionowo w górę i wypadły zza brzegu wyspy niczym biała, bezgłośna burza ogniowa. Tysiące drobinek zawróciły w locie i opadły kaskadą nad obóz na cyplu, rozpościerając się nad głowami zdumionych ludzi i sierżantów.

Nagle zrobiło się czterokrotnie jaśniej. Stephanie musiała osłonić oczy dłonią. Nie uchroniło jej to jednak zbyt przed migotaniem. Nawet gleba się iskrzyła.

- I co teraz? - Zapytała Sinona Stephanie.

Sierżant obserwował rój wirujących leniwie kryształków, dzieląc swe spostrzeżenia z towarzyszami.

- Nie mam pojęcia.

- Obserwują nas, jak my obserwujemy ich - odezwał się Choma. - To z pewnością jakiegoś rodzaju sondy.

- Możliwe - zgodził się Sinon.

- Coś się zbliża - ostrzegli ich ustawieni dalej sierżanci. Pod wyspą pojawił się dysk intensywnego światła, który szybko się powiększał. Z pewnością nie mógł się tam dotąd ukrywać, gdyż miał z górą sto kilometrów średnicy. Efekt przypominał skoki ZTT, wykonywane przez adamistyczne gwiazdoloty, ale był znacznie wolniejszy.

Gdy krąg przestał się rozszerzać, uniósł się, zajmując pozycję równoległą do urwiska. Zza horyzontu wyłoniło się jaśniejące zimnym, oślepiającym blaskiem słońce, które zajmowało jedną trzecią nieba. Nie było jednolitą sferą, za świetlistą powierzchnią można było zauważyć geometryczne kształty przywodzące na myśl płatki śniegu.

Kryształki rozproszyły się stopniowo na wszystkie strony i między olbrzymim gościem a obozem nie zostało nic. We wnętrzu obiektu eksplodowały opalizujące fontanny i pryzmatyczna powierzchnia rozblęśta tęczowym blaskiem. Rozpoczął się taniec pasemek i plamek, z którego powoli narodził się ład.

Rozmiary obrazu, który się w ten sposób uformował, oszołomiły na moment Stephanie. Po prostu nie potrafiła uwierzyć własnym oczom.

Uśmiechała się do nich twarz Cochrane'a, wysoka na trzydzieści kilometrów.

- Cześć - odezwał się. - Zgadnijcie, co znalazłem.

Stephanie parsknęła śmiechem. Otarła łzy z policzków grzbietem dłoni.

Kryształowa sfera zbliżała się powoli do wyspy Ketton, przygasając po drodze. Gdy od klifu dzieliło ją już tylko kilka metrów, jej mały, kolisty fragment zgasł całkowicie i cofnął się do środka szybkim, przywodzącym na myśl płyn ruchem.

Na prośbę Cochrane'a Stephanie weszła do środka. Towarzyszyli jej przyjaciele, a także Sinon i Choma. Tunel o okrągłym przekroju miał gładkie ściany z bloków przejrzystego kryształu oddzielonych od siebie cienkimi, zielonymi płytami. Po stu metrach dotarł do soczewkowatej komnaty o średnicy kilometra. Długie linie światła pod ich stopami jarzyły się karmazynowym, miedzianym i lazurowym blaskiem, tworząc zmieniający się nieustannie filigran niknący gdzieś wewnątrz. Nie dostrzegali tu nawet śladu oślepiającego światła produkowanego przez zewnętrzną powłokę. Za sobą wyraźnie widzieli wyspę. Jej obraz zniekształcały fasetki niezliczonych

kryształów.

Jedna z czerwonych tafli światła przecinających ścianę groty zaczęła się nagle powiększać. Kryształ w owym miejscu wycofywał się bezgłośnie. Z powstałej w ten sposób szczeliny wyszedł uśmiechnięty szeroko Cochrane. Na widok przyjaciół zakrzyknął radośnie, podbiegł do nich i uściskał mocno Stephanie.

- Kurde! Cieszę się, że cię widzę, kochanie.

- Ja też - odparła szeptem.

Obszedł całą grupę, witając wylewnie wszystkich łącznie z sierżantami.

- Cochrane, co to właściwie za cholerstwo? - Zapytał Moyo.

- Nie poznajesz jej? - Zapytał hipis, udając zaskoczenie. - To Dzwoneczek, brachu. Po prostu się przeniecała, czy coś w tym rodzaju.

- Przeniecała? - Powtórzył Sinon. Rozglądał się po komnacie, przekazując swe spostrzeżenia sierżantom przebywającym na zewnątrz.

- Aha, jej fizyczny wymiar. Ona ma mnóstwo naprawdę bajeranckich aspektów. Nie bardzo kapuję, na czym polegają, ale myślę, że jeśli zapragnie, może się zrobić znacznie większa. Kosmiczna myśl, tak?

- Ale czym ona właściwie jest? - Zapytał zniecierpliwiony Moyo.

- Ach. - Cochrane zatoczył ręką w wyrażającym niepewność geście. - Informacja przepływała właściwie tylko w jednym kierunku. Chyba może nam jednak pomóc.

- Tina umiera - odezwała się nagle Stephanie. - Czy da się ją jakoś uzdrowić?

Cochrane przestąpił z nogi na nogę z cichym brzękiem dzwoneczków.

- Jasne, siostrze. Nie ma potrzeby krzyczeć. Jestem świadomy tego, co się dzieje na wyspie.

- Mniejsze kryształki gromadzą się wokół Tiny - zameldował Sinon, spoglądający przez oczy opiekujących się chorą sierżantów.

- Wygląda na to, że otaczają ją całkowicie.

- Czy możemy porozmawiać bezpośrednio z tą Dzwoneczek? - Zapytał Choma.

- Możecie - odpowiedział wyraźny, kobiecy głos dobiegający znikąd.

- Dziękuję - rzekł z powagą sierżant. - Jak się nazywasz?

- W swoim języku nadaliście mi imię Dzwoneczek.

Cochrane poruszył się nerwowo pod naciskiem spojrzeń, które skierowały się nagle na niego.

- Co? - Zawołał.

- Proszę bardzo - odparł Choma. - Dzwoneczek, czy mogłabyś nam wyjaśnić, czym właściwie jesteś?

- Najbliższą analogią byłaby wieloskładnikowa osobowość edenistycznego habitatu. Składam się z wielu elementów. Jestem jednością i różnorodnością zarazem.

- Czy małe kryształki na zewnątrz to fragmenty ciebie?

- Nie. To inni przedstawiciele mojej rasy. Jak mówił Cochrane, ich fizyczny dynamizm jest ulokowany na innej płaszczyźnie.

- Czy Cochrane wyjaśnił ci, jak tu trafiliśmy?

- Zasymilowałam jego wspomnienia. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio spotkałam organiczną istotę, ale jego struktura neuronowa nie ucierpiała podczas procedury odczytu.

- Skąd ta pewność? - Mruknęła Rana.

Cochrane odpowiedział jej uniesionym ku górze kciukiem.

- W takim razie wiesz, na czym polega nasz problem - ciągnęła Stephanie. - Czy mamy szansę powrotu do rodzinnego wszechświata?

- Tak. Mogę otworzyć dla was bramę.

- O mój Boże.

Osunęła się na Moya, porażona nagłą ulgą.

- Jestem jednak przekonana, że powinniście najpierw rozwiązać swój konflikt - ciągnęła Dzwoneczek. - Zanim zaczęliśmy istnieć w tym królestwie, również byliśmy istotami biologicznymi. Początek naszej rasy był podobny do waszego i ta wspólnota doświadczeń pozwala mi zrozumieć etykę i poczucie sprawiedliwości, jakimi kierujecie się na obecnym etapie swej ewolucji. Dominujące świadomości ukradły te ciała. To zły uczynek.

- Zaświaty też są złe - zawołał McPhee. - Nie wrócę tam bez walki.

- To nie będzie konieczne - zapewniła Dzwoneczek. - Mogę wam przedstawić kilka wariantów.

- Mówisz, że kiedyś byliście biologicznymi istotami - odezwał się Sinon. - Czy w tym królestwie wszyscy przekształcimy się w coś podobnego do was?

- Nie. Tu ewolucja nie istnieje. Postanowiliśmy przenieść się w to miejsce już dawno temu. Tę postać specjalnie zaprojektowano po to, by mogła podtrzymywać naszą świadomość w połączeniu z wzorcem energii, jakim jest dusza. Jesteśmy teraz kompletni i w zasadzie nieśmiertelni.

- A więc mieliśmy rację - rzekł Moyo. - To królestwo jest czymś w rodzaju nieba.

- Nie w sensie, jaki nadają temu słowu ziemskie religie - odparła Dzwoneczek. - Nie ma tu miejskich królestw strzeżonych przez boskie istoty, ani nawet kolejnych poziomów ekstazy i świadomości, jakie mogłyby osiągnąć wasze dusze. W gruncie rzeczy, to królestwo jest nieprzyjazne dla nagich dusz. Wzorzec energii rozprasza się szybko. Możecie tu umrzeć.

- Przecież szukaliśmy azylu - nie ustępował McPhee. - To właśnie sobie wyobrażaliśmy, gdy byliśmy zmuszeni otworzyć sobie drogę ucieczki.

- I spełniono literę waszego życzenia, jeśli nawet nie jego ducha. Gdybyście sprowadzili tu całą planetę, jej atmosfera oraz biosfera mogłaby wystarczyć wam na tysiące pokoleń, okres co najmniej tak długi, jak gdyby planeta krążyła wokół gwiazdy. Królestwo zapewnia stabilność i długowieczność. Dlatego właśnie tu przybyliśmy. My jednak byliśmy przygotowani do nowego życia. Niestety, wy macie tylko nagą skałę.

- Mówisz o zmianie - zauważył Sinon. - I wiesz o istnieniu dusz. Czy twoja forma bytowania jest rozwiązaniem dręczącego nas problemu? Czy nasz gatunek powinien się nauczyć, jak się przekształcić w jestestwo podobne do was?

- To z pewnością jedno z możliwych rozwiązań. Nie sądzę jednak, byście byli gotowi do poświęcenia niezbędnego do podobnej transformacji. Jesteście młodym gatunkiem o wielkim potencjale. O nas nie można było tego powiedzieć. Byliśmy starzy i pogrążeni w zastoju. Nadal tacy jesteście. Wszechświat, w którym powstaliśmy, nie ma dla nas tajemnic. Znamy jego początki i jego przeznaczenie. Dlatego właśnie tu przybyliśmy. To królestwo zgadza się z naszym temperamentem. Przeczekamy tu czas swego istnienia, obserwując to, co spotkamy po drodze. To leży w naszej naturze. Inne rasy i kultury wybiorą drogę wiodącą ku dekadencji lub transcendencji. Zastanawiam się, na którą z nich wy wkroczycie w swoim czasie?

- Chciałbym wierzyć, że będzie to transcendencja - odparł Sinon. - Jak jednak wspomniałaś, jesteśmy młodą rasą, mniej dojrzałą od was. Zapewne nie potrafimy uniknąć podobnych marzeń.

- Muszę ci przyznać rację.

- Czy mogłabyś nam podpowiedzieć jakieś rozwiązanie problemu opętania, przed którym obecnie stanęliśmy, coś, co pozwoli naszym duszom bezpiecznie przejść przez zaświaty?

- Niestety, Kiintowie mieli rację, mówiąc, że odpowiedź na to pytanie musi nadejść z

wewnątrz.

- Czy wszystkie gatunki, które rozwiązały problem dusz, muszą okazywać niżej postawionym rasom swą moralną przewagę?

- Nie jesteście niżej postawieni od nas; po prostu inni.

- Jaki więc mamy wybór? - Zapytała Stephanie.

- Możecie umrzeć - odparła Dzwoneczek. - Wiem, że wszyscy wyrażaliście takie pragnienie. Mogę sprawić, że to się stanie. Spowodować, że wasze dusze opuszczą ciała, które opętały, a potem zgina, zgodnie z naturą tego królestwa. Wasi gospodarze odzyskają ciała i będą mogli wrócić do Mortonridge.

- To nie brzmi zbyt atrakcyjnie - stwierdziła Stephanie z drżeniem w głosie. - Jakie są inne możliwości?

- Twoja dusza mogłaby dołączyć do mnie w tej powłoce. Stałabyś się częścią mojej wieloskładnikowej osobowości.

- Jeśli potrafisz tego dokonać, czemu po prostu nie dasz każdemu z nas oddzielnej powłoki?

- Choć w tym królestwie jesteśmy niemal wszechmocni, to wykracza poza nasze możliwości. Narzędzie, które sprowadziło nas tutaj i stworzyło nasze obecne powłoki, zostało w dawnym wszechświecie. Uważaliśmy, że nie będzie już nam potrzebne.

- A czy nie możecie po nie wrócić?

- Teoretycznie możemy. Problemem jest brak woli. Nie wiemy też, czy narzędzie jeszcze istnieje, a co więcej, zapewne nie byłibyście w stanie przystosować się do bytowania w podobnej powłoce. Wasza psychologia różni się od naszej.

- Nic z tego nie brzmi atrakcyjnie.

- Dla was - wtrącił pośpiesznie Choma. - Większości sierżantów perspektywa transferu do nowego rodzaju wielorakiej osobowości wydaje się fascynująca.

- I doszliśmy do kolejnego wariantu - oznajmiła Dzwoneczek. - Mogę przenieść wasze dusze do ciał zwolnionych przez sierżantów.

- To byłoby lepsze - przyznała Stephanie. - Ale jeśli wrócimy do naszego wszechświata, nawet w ciałach sierżantów, prędzej czy później i tak wylądujemy w zaświatach.

- Niekoniecznie. Wasz gatunek może przedtem zdecydować, jak rozwiązać kwestię przebywających w zaświatach dusz.

- Zbyt mocno w nas wierzysz. Sądząc po tym, czego dokonaliśmy do tej pory, nie jestem pewna, czy na to zasługujemy. Jeśli nie można czegoś zastrzelić, ludzie nie są tym zainteresowani.

- Jesteś niesprawiedliwa - sprzeciwił się Sinon.

- Ale szczerza. Militarny sposób myślenia przenikał nasze rządy przez tak długi czas, że stały się jednym - zauważyła Rana.

- Przestańcie - odezwał się Cochrane. - To jest ważne, tak?

- Nie udaję, że potrafię przewidzieć, co się wydarzy - stwierdziła Dzwoneczek. - Przybywając tutaj, wyrzekliśmy się arogancji. Sprawiacie wrażenie zdeterminowanych. To z reguły wystarcza.

- Czy przenieśliście się tutaj tylko po to, by uniknąć zaświatów? - Zapytał Sinon. - Czy to było wasze rozwiązanie?

- Bynajmniej. Jak już wspominałam, jesteśmy starym gatunkiem. Jeszcze gdy mieliśmy biologiczną postać, przekształciliśmy się w zbiorowość zbiorowości. Gromadziliśmy wiedzę przez tysiąclecia, badaliśmy galaktyki, a także królestwa współistniejące z naszym wszechświatem. Wszystko, co robi nowy gatunek, gdy otwierają się przed nim bramy zrozumienia. W końcu nie

zostało już dla nas nic nowego, jedynie wariacje na temat, który odtwarzano już milion razy. Nasza technologia oraz intelekt osiągnęły doskonałość. Przestaliśmy się rozmnażać, gdyż nie było już potrzeby wprowadzania do wszechświata nowych umysłów. Ich przeznaczeniem mogłoby być jedynie dziedziczenie osiągnięć poprzednich pokoleń, nie nowe odkrycia. Niektóre gatunki, osiągnąwszy ten punkt, wymierają usatysfakcjonowane, oddając swe dusze zaświatom. My wybraliśmy ten transfer, będący ostatecznym triumfem naszych technologicznych zdolności. Nawet dla nas stworzenie narzędzia zdolnego do przeniesienia intelektu z biologicznego ciała do tej powłoki było niełatwym zadaniem. Postrzegacie jedynie fizyczne aspekty naszej obecnej formy. A przecież one mogą kolidować z waszymi wyobrażeniami. Sądzę, że zdajecie sobie z tego sprawę.

- Po co zawracać sobie głowę narzędziem? My dostaliśmy się tu wyłącznie dzięki sile woli.

- Wasza energistyczna moc jest bardzo prymitywna. Nasze powłoki nie mogą nawet w pełni istnieć we wszechświecie. Wzorce energii, dla których są domem, nie mają tam odpowiednika. Ich konstrukcja wymagała wielkiej finezji.

- A co z innymi? Czy odkryliście tu jakieś formy życia?

- Bardzo liczne. Niektóre porzuciły wszechświat celowo, podobnie jak my. Inne, tak jak wy, trafiły tu przypadkowo. Są też jeszcze inne. Spotkaliśmy również gości, jestestwa bardziej zaawansowane od nas, eksplorujące wiele królestw.

- Też chciałbym je ujrzeć - oznajmił Choma. - Dowiedzieć się tego, co wy wiecie. Przyłączę się do was, jeśli pozwolicie.

- Będiesz mile widzianym gościem - zapewniła Dzwoneczek. - A co z pozostałymi?

Stephanie popatrzyła na przyjaciół, starając się odgadnąć, jak zareagują na propozycję Dzwoneczek. Wszyscy byli zalęknieni, czekali na jej decyzję. Znowu.

- Czy są tu jacyś inni ludzie? - Zapytała. - Na planetach?

- Niewykluczone - przyznała Dzwoneczek. - Ale żadnych dotąd nie spotkałam. Jest wiele królestw cechujących się parametrami, jakich pragnęliście.

- A więc nie znajdziemy azylu w innym miejscu?

- Nie.

Stephanie wzięła Moya za rękę i przyciągnęła go do siebie.

- No cóż, pora podjąć decyzję.

- Kocham cię - rzekł. - Chcę tylko być z tobą. To dla mnie raj.

- Nie zdecyduję za was - oznajmiła pozostałym. - Jeśli będzie dostępne ciało sierżanta, przeniosę się do niego. W przeciwnym razie wybiorę śmierć w tym królestwie. Zwrócę ciało i wolność mojej gospodyni.

Cywilizacja, dla której regularne loty międzygwiazdne byłyby czymś nieznanym, z pewnością nie uznałaby pojawienia się pojedynczego gwiazdolotu za groźbę. Zagrożeniem mogło jednak okazać się to, co on reprezentuje, tkwiący w nim potencjał. Gatunek o paranoidalnych skłonnościach mógłby zareagować na podobne wydarzenie bardzo nieprzychylnie.

Joshua pamiętał o tym, gdy "Lady Makbet" wyszła ze skoku w odległości stu tysięcy kilometrów od miasta. Przez całą minutę załoga ograniczała się do biernej obserwacji. Nie wykryto żadnych cząstek, artefaktów ani namierzonych na nich instrumentów.

- Nadal odbieram tylko oryginalny sygnał radaru - oznajmiła Beaulieu. - Nie zauważyli nas.

- Wyszliśmy - zawiadomił Syrinx Joshua. Gwiazdoloty utrzymywały łączność tylko w paśmie afinicznym. Technobiotyczny zespół procesorowy zainstalowany na "Lady Makbet" przekazywał informacje do "Oenone" równie wydajnie jak standardowa datawizja. Technobiotyczny statek przeszukał pasmo afiniczne, maksymalnie wyęzając wrażliwość. Nie wykrył zupełnie nic. Wszystko wskazywało na to, że mieszkający w mieście-dysku Tyratakowie nie dysponują technologią afiniczną.

- Jesteśmy gotowi do skoku - odparła Syrinx. - Krzycz, jeśli będziesz nas potrzebował.

- Dobra. Pora wprowadzić plan w życie - oświadczył Joshua.

Załoga przywróciła normalne funkcjonowanie wszystkich instrumentów. Wysunięto panele termozrztu, by ostudzić nagrzaną w rozżarzonej fotosferze gwiazdolot. Za nimi podążyły wysięgniki z instrumentami obserwacyjnymi. Joshua użył systemów wysokiego powiększenia, by dokładnie namierzyć miasto-dysk. Nadal nie uruchamiał aktywnych czujników. Gdy ustalił pozycję z dokładnością do kilku metrów, przekazał dane nawigacyjne dwunastu niewidzialnym dla radaru satelitom obserwacyjnym, które natychmiast wystrzelono. W odległości pół kilometra od kadłuba "Lady Makbet" satelity włączyły silniki jonowe. Z ich dysz trysnęły cienkie, niebieskie płomyki i urządzenia pomknęły w stronę miasta-dysku. Minie prawie doba, nim zbliżą się na odległość operacyjną i będą im mogły przekazać użyteczne dane odnoszące się do ciemnej strony artefaktu. Joshua i Syrinx uważali za nieprawdopodobne, by jego mieszkańcy zdołali wykryć satelity w locie, nawet jeśli nakierowali instrumenty na przestrzeń otaczającą gwiazdolot. Podczas tej misji nieraz już podejmowali mniej akceptowalne ryzyko.

Następnie Joshua uruchomił aktywne czujniki i dokonał skanu otaczającej ich przestrzeni.

- Oficjalnie ogłosiliśmy swe przybycie - poinformował załogę.

- Nastawiam główny radioteleskop - zameldowała Sarha.

Joshua połączył się datawizyjnie z komputerem pokładowym, żeby przekazać przygotowaną przez nich wiadomość. Proste pozdrowienie w języku Tyrataków nadano w szerokim paśmie częstotliwości. Mówili, kim są, skąd przybywają, zapewniali, że ludzie nawiązali serdeczne stosunki z Tyratakami z Tandzurika-RI i prosili miasto-dysk o odpowiedź. Nie wspomnieli o obecności "Oenone". Członkowie załogi zakładali się o to, jak szybko nadejdzie odpowiedź, jak będzie brzmiała, a nawet o to, czy jedyną reakcją będzie salwa pocisków. Nikt jednak nie stawiał na to, że otrzymają osiem odrębnych odpowiedzi, pochodzących z różnych fragmentów miasta-dysku.

- Nic w tym dziwnego - zauważył Dahybi. - W końcu Tyratakowie są gatunkiem dzielącym się na klany.

- W takim artefakcie musi istnieć jakaś centralna administracja - sprzeciwił się Ashly. - Inaczej nie mógłby funkcjonować.

- Zależy, co ich ze sobą łączy - stwierdziła Sarha. - Zarządzanie tak wielkim miastem z pewnością nie należy do łatwych zadań.

- A więc dlaczego je zbudowali? - Zapytał Ashly.

Oski sprawdziła wszystkie wiadomości programem tłumaczącym.

- W porównaniu z naszymi Tyratakami są pewne różnice dotyczące słownictwa, składni i symboliki - zauważyła. - W końcu minęło piętnaście tysięcy lat. Mamy jednak jakiś punkt wyjścia.

- Fajnie, że coś się u nich zmieniło - mruknął Liol. - Ich niezmiennosc jest niesamowita.

- To tylko dryf, nie prawdziwa zmiana - odparła Oski. - Przyjrzyj się dokładnie temu miastu. Z łatwością moglibyśmy zbudować coś takiego. Jak wspomniała Sarha, zapewne poradzilibyśmy sobie z tym zadaniem znacznie lepiej. Nie widzimy tu rozwoju, jedynie ekspansję. Zupełnie nie rozwinęli się technologicznie, podobnie jak ich kolonie i arki.

- Co mówią przekazy? - Zapytał Joshua.

- Jeden jest niemal całkowicie niezrozumiały. To chyba jakiś obraz. Komputer nadal poszukuje regularności. Reszta to wiadomości tekstowe. Dwie odwzajemniają pozdrowienie i pytają, co tu robimy. Dwie następne proszą o dowód, że jesteśmy ksenobiontami. Trzy ostatnie witają nas i zapraszają do lądowania w mieście-dysku. Nazywają je Todżolt-HI.

- Pokaż mi pozycję trzech przyjaźnie nastawionych grup - rozkazał Joshua.

Na neuroikonowym obrazie Todżolt-HI dwie znajdowały się w pobliżu środka dysku, trzecia zaś na krawędzi.

- To rozstrzyga sprawę - stwierdził Joshua. - Skupimy się na źródle położonym na obwodzie. Nie chcę manewrować "Lady Makbet" nad powierzchnią dysku, dopóki nie upewnimy się, co tam siedzi. Czy wiemy, jak się nazywa ten sektor?

- Dominium Anthi-CL - odpowiedziała Oski.

- Sarha, skup wiązkę na tym źródle.

Joshua przeczytał wiadomość z obwodu, by wczuć się w jej styl, Po czym sformułował odpowiedź.

GWIAZDOLOT "LADY MAKBET"
KOMUNIKAT SKIEROWANY DO
TODŻOLT-HI, DOMINIUM ANTHI-CL
WIADOMOŚĆ:

DZIĘKUJEMY ZA ODPOWIEDŹ. PRZYBYLIŚMY TU W NADZIEI NA WYMIANĘ WIEDZY I SUROWCÓW KORZYSTNĄ DLA OBU GATUNKÓW. PROSIMY O POZWOLENIE ZACUMOWANIA W CELU ROZPOCZĘCIA TEGO PROCESU. JEŚLI WYRAŻACIE ZGODĘ, PROSIMY O PRZEKAZANIE WEKTORA LOTU.

KAPITAN JOSHUA CALVERT

DOMINIUM ANTHI-CL
KOMUNIKAT DO
GWIAZDOLOTU "LADY MAKBET"
WIADOMOŚĆ:

WITAMY W MASTRIT-PJ. IGNORUJECIE WSZYSTKIE PRZEKAZY OD INNYCH DOMINIÓW TODŻOLT-HI. DYSPONUJEMY NAJWIĘKSZYM ZASOBEM SUROWCÓW ORAZ WIEDZY. WYMIANA Z NAMI PRZYNIESIE WAM NAJWIĘCEJ KORZYŚCI. POTWIERDŹCIE, ŻE SPEŁNICIE TĘ PROŚBĘ.

QUANTOOK-LOU
DYSTRYBUTOR ZASOBÓW DOMINIUM

- Co o tym sądzicie? - Zapytał Joshua.

- To nie jest odpowiedź, jakiej bym się spodziewał po Tyratakach - stwierdził Samuel. - Być może ich zachowanie zmieniło się pod wpływem warunków. Sprawiają wręcz wrażenie chciwych.

- Z pewnością trudno tu o surowce - zauważył Kempster. - W pobliżu nie ma skupisk stałej materii, które mogliby eksploatować. Kilogram naszych odpadów może być dla nich więcej wart niż tysiąc fuzjodolarów.

- Będziemy o tym pamiętać podczas negocjacji - zapewnił Joshua. - Na razie mamy zaproszenie i sądzę, że je zaakceptujemy.

GWIAZDOLOT "LADY MAKBET"

KOMUNIKAT SKIEROWANY DO

DOMINIUM ANTHI-CL

WIADOMOŚĆ:

DZIĘKUJEMY ZA ZAPROSZENIE I POTWIERDZAMY PRAGNIENIE WYMIANY WYŁĄCZNIE Z WAMI. PROSIMY O PRZESŁANIE WEKTORA LOTU.

KAPITAN JOSHUA CALVERT

DOMINIUM ANTHI-CL KOMUNIKAT DO

GWIAZDOLOTU "LADY MAKBET" WIADOMOŚĆ:

NIE MOŻECIE SAMODZIELNIE OBLICZYĆ WEKTORA? CZY STATEK JEST USZKODZONY? OUNTOOK-LOU DYSTRYBUTOR ZASOBÓW DOMINIUM

- Mogą tu nie mieć kontroli lotów - zauważył Joshua, polecając neuronowemu nanosystemowi dokonać przeglądu pliku encyklopedycznego dotyczącego Hesperii-LN. - Nasi Tyratakowie też nie mieli formalnego systemu tego rodzaju, dopóki nie zaczęły ich odwiedzać statki Konfederacji.

- Ruch musi się zrobić dość intensywny, zanim takie rozwiązanie stanie się konieczne - zauważył Ashly. - Jak dotąd nie zauważyliśmy wokół Todzolt-HI ani jednego statku, mimo że prowadzę nieustanną obserwację.

- Oni również nas obserwują - oznajmiła Beaulieu. - Wykryłam siedemnaście różnych wiązek radaru. Myślę też, że skierowali na nas laser radarowy.

- Ale statków nie ma? - Zapytał Joshua.

- Nie dostrzegam żadnych emisji napędu - odparła Sarha. Nasze czujniki optyczne są tak czułe, że zarejestrowałyby nawet chemiczny napęd wewnątrz umbra.

- Może używają czegoś w rodzaju pola dystorsyjnego jastrzębi - zasugerował Dahybi. - Kempster twierdził, że materia jest dla nich cenna. Może nie mogą sobie pozwolić na napęd odrzutowy.

- Detektory grawitonów mówią, że się mylisz - sprzeciwił się Liol. - Nie wykrywam w okolicy żadnego rodzaju dystorsji.

- Z pewnością nie zdradzą się przed nami tak wcześnie - zauważyła Monica. - Nie pokażą nam, czym dysponują, zwłaszcza gdy chodzi o uzbrojenie.

Sarha przesunęła się pod siatką ochronną i spojrzała w zamyśleniu na agentkę ESA.

- Nonsens. Nie można w jednej chwili zatrzymać całego ruchu w kosmosie, gdy tylko wykryje się obecność ksenobiontów. Statki muszą dotrzeć na miejsce. A poza tym nie wiedzą, jak długo już ich obserwujemy.

- Tak ci się zdaje.

Sarha westchnęła z irytacją.

- Nie opanowali technologii ZTT, więc nie znają żadnych gwiazdolotów poza arkami. A gdyby któraś z nich uruchomiła napęd termojądrowy, by wyhamować przed przybyciem do układu, wykryliby ją z odległości pół roku świetlnego. Z pewnością zastanawiają się, skąd się tu wzięliśmy. To wszystko.

- Mniejsza z tym - mruknął Joshua.

GWIAZDOLOT "LADY MAKBET"

KOMUNIKAT SKIEROWANY DO

DOMINIUM ANTHI-CL

WIADOMOŚĆ:

STATEK NIE JEST USZKODZONY. POTRAFIMY OBLICZYĆ WEKTOR. NIE CHCIELIŚMY ZŁAMAĆ KIERUJĄCYCH RUCHEM STATKÓW KOSMICZNYCH PRAW, KTÓRE MOGĄ U WAS OBOWIĄZYWAĆ. CZY ISTNIEJĄ JAKIEŚ OGRANICZENIA DOTYCZĄCE PRĘDKOŚCI STATKU ORAZ JEGO ODLEGŁOŚCI OD FIZYCZNEJ STRUKTURY PORTU?

KAPITAN JOSHUA CALVERT

DOMINIUM ANTHI-CL

KOMUNIKAT DO

GWIAZDOLOTU "LADY MAKBET"

WIADOMOŚĆ:

NIE MA TEGO RODZAJU OGRANICZEŃ. PODAMY WSPÓLRZĘDNE POZYCJI CUMOWANIA, GDY ZNAJDZIECIE SIĘ W ODLEGŁOŚCI TYSIĄCA KILOMETRÓW OD TERYTORIUM DOMINIUM

QUANTOOK-LOU

DYSTRYBUTOR ZASOBÓW DOMINIUM

GWIAZDOLOT "LADY MAKBET" KOMUNIKAT SKIEROWANY DO DOMINIUM ANTHI-CL WIADOMOŚĆ:

ZROZUMIAŁEM. PRZEWIDYWANY CZAS SPOTKANIA CZTERDZIEŚCI PIĘĆ MINUT. KAPITAN JOSHUA CALVERT

Joshua połączył się datawizyjnie z komputerem pokładowym i uruchomił napęd termojądrowy. Obliczył wektor w ten sposób, by wyłączyć główny napęd w odległości stu kilometrów. Jeśli termojądrowe statki były w tym układzie rzadkością, widok słupa ognia "Lady Makbet" mógłby wzbudzić niepokój. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek na myśl, co powiedzieliby o antymaterii.

- Joshua - odezwała się Syrinx. - Znaleźliśmy drugie miasto-dysk.

- Gdzie? - Zapytał. Wszyscy na pokładzie "Lady Makbet" unieśli głowy z zainteresowaniem.

- Krąży czterdzieści pięć milionów kilometrów za Todzolt-HI, po orbicie nachylonej pod kątem dwóch stopni do ekliptyki. Kempster i Renato mieli rację. Prawdopodobieństwo, że wyłonimy się tak blisko jedynej zamieszkałej struktury, jest zaniedbywalne.

- Jezu, chcesz powiedzieć, że ta tak zwana ostatnia reduta otacza pierścieniem całą gwiazdę?

- Na to wygląda. Kontynuujemy poszukiwania dalszych miast. Zakładając, że odległość jest w

przybliżeniu stała, a ich orbity nie są pochylone pod szalonymi kątami, powinno ich być ponad sto.

- Zrozumiałem.

- Ponad sto - powtórzył Ashly. - Niezła cywilizacja. Jak myślisz, ilu Tyrataków może mieszkać w jednym mieście-dysku?

- Jego powierzchnia wynosi dwadzieścia milionów kilometrów kwadratowych, więc może nawet i sto miliardów - odparła Sarha. - Nawet przy ich stosunkowo mało zaawansowanej technice to mnóstwo miejsca. Pomyśl, ilu ludzi możemy wepchnąć do arkologii.

- Spójrz na to z demograficznej perspektywy, a przestaniesz się dziwić, że dominium Anthi-CL zażądało wyłącznych praw - zauważył Liol. - Z pewnością rozpaczliwie brakuje im surowców. Zdumiewające, że zdołali przetrwać tak długo. Już dawno powinni utonąć w produkowanych przez siebie odpadach.

- Społeczeństwa produkują odpady tylko wtedy, gdy zdobywanie nowych surowców jest opcją tańszą od recyklingu - stwierdził Samuel. - Tak blisko gwiazdy miasta-dyski mają dostęp do olbrzymich ilości energii. Z pewnością tylko bardzo niewielu odpadów nie można przetworzyć w coś użytecznego.

- I tak muszą drastycznie ograniczać przyrost naturalny. Kiedy myślę o takim cyklu życia, wyobrażam sobie bakterie na szkiełku laboratoryjnym.

- W przypadku istot rozumnych ta analogia nie ma zastosowania. Tyratakowie są z natury skłonni do logicznej regulacji swego zachowania. W końcu poradzili sobie podczas dziesięciu tysięcy lat lotu arką. Tutaj sytuacja jest podobna.

- Przyjmujesz założenie, że ich dominia są jednolite - zauważyła Sarha. - Wykryłam na dysku obszary, gdzie temperatura jest znacznie wyższa niż w innych miejscach. Ich regulacja termiczna przestała funkcjonować i ciepło gwiazdy napływa do wnętrza bez przeszkód. Wszyscy zginęli.

- Może i tak - przyznała Beaulieu. - Ale nadal jest tam mnóstwo życia. Bombardują nas sygnały radarowe ze wszystkich sekcji. Wiele dominiów bardzo się nami interesuje.

- Nadal nie widzę statków - zauważył Joshua. - Nikt nie próbuje nas przechwycić, zanim dotrzemy do Anthi-CL.

Połączył się z czujnikami, by obserwować dysk Todzolt-HI rosnący powoli na karmazynowym tle gwiazdy olbrzyma. Pomijając skalę, wyglądało to tak jak wtedy, gdy zbliżali się do stacji produkującej antymaterię. Czarny, dwuwymiarowy krąg otoczony blaskiem fotosfery. Zimne światło mgławicy nie oświetlało żadnego szczegółu na ciemnej powierzchni miasta-dysku. Tylko dzięki instrumentom obserwacyjnym "Lady Makbet" byli w stanie zobaczyć wysokie jak góry wieże sterczące ze środkowej części dysku. Program kartograficzny komputera pokładowego miał trudności ze skompilowaniem dokładnej mapy, gdyż potężna luna emisji elektromagnetycznych zakłócała pracę radaru.

- I co oni mówią? - Zapytał Oski Joshua.

- Przesiewam przekazy za pomocą programu wyszukującego słowa kluczowe. Sądząc z dotychczasowych próbek, wszystkie brzmią w przybliżeniu jednakowo. Wszyscy chcą, żebyśmy zacumowali w ich sektorze miasta-dysku, i zapewnijają, że to oni mają do zaoferowania najwięcej surowców, a także nieznane innym informacje.

- Były jakieś groźby?

- Jak dotąd, nie.

- Słuchaj dalej.

"Lady Makbet" odwróciła się i zaczęła zwalniać.

Instrumenty obserwacyjne gromadziły wciąż nowe dane i załogi "Lady Makbet" oraz

“Oenone” miały już dość dobre wyobrażenie o tym, jak jest skonstruowane gigantyczne miasto. Środkowa płyta, tworząca właściwy dysk, stanowiła konglomerat gęstych sieci pustych w środku rur o średnicy od dwudziestu do trzystu metrów. Choć przebiegały blisko siebie, stykały się ze sobą tylko na końcach. Przestrzenie między nimi wypełniały płachty folii, powstrzymujące światło czerwonego olbrzyma i niepozwalające mu rozproszyć umbra. Poszczególne sieci miały z reguły kolisty kształt i również znacznie różniły się wielkością. W miejscach połączenia tworzyły straszliwą płataninę. Analiza spektrograficzna wykazała, że rury z reguły są metalowe, ale na wielkich obszarach dominują krzemowe i węglowe kompozyty. Ponad pięć procent miało krystaliczną postać, a ich odwrócona od gwiazdy strona emitowała słabą poświatę. Istniały też obszary rozproszone bezładnie po całej ciemnej stronie, gdzie płatanina rur tworzyła skomplikowane, abstrakcyjne węzły szerokie na kilka kilometrów. Wyglądało, jakby rury powyginano przy użyciu brutalnej siły, choć na ekranie radaru nie potrafili wypatrzeć żadnych uszkodzeń.

Nad ciemną stroną dominowała maszyna odprowadzająca nadmiar ciepła. Promienniki ciepłe w postaci wysokich na kilometr stożków sąsiadowały z okrągłymi wachlarzami o świecącym słabym blaskiem skrzydłach czy minaretami ze spiralnych, szklanych przewodów, w których krążyły gorące gazy. Wszystkie rywalizowały o miejsce ze skupiskami czarnych kolumn przypominających z wyglądu krystaliczne kolce. Ich końce lśniły intensywnie różowym blaskiem. Kręte szeregi tych konstrukcji ciągnęły się setkami kilometrów, tworząc łańcuchy górskie mogące się równać ze wszystkim, co stworzyła planetarna geologia. W dolinach między nimi znajdowały się gigantyczne moduły przemysłowe wsparte na szczudłowatych suwnicach. Ciemne, metaliczne elipsoidy i wielokąty, których powierzchnię tworzyła koronkowa sieć rur i przewodów, wieńczyły korony promienników ciepłych, w oczywisty sposób spokrewnionych z maszyną, jaką znali z Tandzurika-RI. Choć ogólny plan narzucał miastu-dyskowi pewną jednorodność, żaden region ani nawet żadna konstrukcja nie wyglądały tak samo. Zastosowane technologie były równie różnorodne jak kształty. Standaryzacja i kompatybilność, tak typowe dla Tyrataków, w dominiach najwyraźniej przestały obowiązywać już przed tysiącami.

W miarę jak się zbliżali, dostrzegali na ciemnej stronie coraz większą aktywność. Dolinami i podwyższeniami oddzielającymi od siebie systemy wypromieniowania ciepła posuwały się długie na kilometry pociągi złożone z setek cystern. Szyny, po których się przemieszczały, były otwartą siecią dźwigarów zawieszoną nad rurami oraz płatami folii składającymi się na dysk. Falowały w górę i w dół niczym kolejka górską w lunaparku, a napotkawszy większe rury, wnikały w nie, pozwalając pociągom jechać w ich wnętrzu. Potem wynurzały się na zewnątrz i wspinały na szczudłowate nogi modułów przemysłowych, by przejechać przez ich środek.

- Kto to wszystko wybudował, do cholery? - Zapytał zdumiony Ashly, gdy jego neuronowy nanosystem przetworzył szare piksele w możliwy do odczytania obraz. - Isambard Kingdom Brunei?

- Jeśli coś działa, lepiej tego nie naprawiać - skwitował Joshua.

- Jest w tym coś więcej - sprzeciwił się Samuel. - Nie mamy do czynienia ze schyłkową technologią. Mieszkańcy Todzolt-HI wybrali najprostsze metody spełniające ich potrzeby. Ludzie w ciągu piętnastu tysięcy lat z pewnością otoczyliby gwiazdę pełną sferą Dysona, natomiast Tyratakowie udoskonalili coś, co wymaga tylko minimum konserwacji. Jest w tym pewna elegancja.

- Ale te systemy często zawodzą - zauważyła Beaulieu. - Na całym dysku są dziesiątki martwych sektorów. A każda taka awaria z pewnością pochłonie miliony ofiar. Wszystkie istoty rozumne powinny próbować udoskonalić środowisko, w którym mieszkają, by ograniczyć ryzyko wypadku. Mam rację?

Samuel wzruszył ramionami.

Dominium Anthi-CL zaczęło nadawać dane określające współrzędne miejsca cumowania. Przekazany przez gospodarzy plan wskazywał ściśle określony sektor dysku. Komputer pokładowy natychmiast porównał go z przekazywanym przez instrumenty obrazem. Chcieli, by "Lady Makbet" zacumowała w odległości dwóch kilometrów od przypominającej pirs struktury sterczącej z krawędzi dysku.

- Jak idzie uaktualnianie programu tłumaczącego? - Zapytał Oski Joshua. - Czy wiemy już wystarczająco wiele, by nawiązać bezpośrednią łączność?

- Program zintegrował wszystkie nowe terminy, jakie do tej pory napotkaliśmy. Czas reakcji podprogramu analizy porównawczej spadł do akceptowalnego poziomu. Sądzę, że możemy już spróbować z nimi porozmawiać.

Napęd "Lady Makbet" pracował coraz mniej intensywnie. Statek zbliżał się do płaszczyzny dysku. W porównaniu z jednolitą ciemną stroną obwód sprawiał wrażenie nieukończonego. Wystawały zeń wysmukłe wieże oraz spowite kablami platformy suwnicowe. Gdzieś widać było skupiska cystern i kapsuł, przytwierdzonych do kratownic.

- Nareszcie - odezwała się Sarha. - To z pewnością statek kosmiczny.

Statek cumował w odległości stu kilometrów od wyznaczonego miejsca spotkania. Miał prosty profil: pięciokąt złożony z pięciu wielkich kul pulsujących łagodnym złoty-szkarłatnym blaskiem w świetle czerwonego olbrzyma. Każda z kul miała co najmniej dwa kilometry średnicy. Między nimi znajdował się wylot długiego leja z jakiejś czarnej siatki, szerokiego na osiem kilometrów. Z miejsca, w którym znajdowała się "Lady Makbet", nie można było zauważyć żadnego systemu podtrzymywania życia.

- Odbieramy stamtąd mnóstwo bardzo skomplikowanych magnetycznych fluktuacji - odezwał się Liol. - Cokolwiek robi to urządzenie, zużywa mnóstwo energii.

- Gdyby nie nonsensowność takiego stwierdzenia, powiedziałbym, że chodzi o silnik strumieniowy Bussarda - stwierdził Joshua.

- To był ciekawy pomysł napędu międzygwiazdowego z czasów poprzedzających wynalezienie ZTT. Magnetyczny kolektor miał zbierać wodór z przestrzeni międzygwiazdowej i karmić nim napęd termojądrowy. To byłaby prosta i tania metoda podróży między gwiazdami. Nie trzeba by się martwić o zapasy paliwa. Niestety, okazało się, że gęstość wodoru w przestrzeni międzygwiazdowej jest zbyt mała.

- W naszej części Galaktyki, być może - zgodził się Liol.

- Ale między czerwonym olbrzymem a mgławicą?

- Masz rację. To może oznaczać, że utrzymują kontakty z koloniami wokół najbliższych gwiazd. - Joshua nie wierzył, by tak było. Zapomniał uwzględnić jakiegoś czynnika. Po co mieliby latać do sąsiednich układów? Handel międzygwiazdowy przy użyciu statków podświetlnych nie miał sensu. Czym zresztą mieliby handlować, jeśli społeczeństwo na obu końcach trasy wyglądało tak samo? Wszelkimi udoskonaleniami wprowadzonymi w ciągu tysiącleci można się było dzielić za pomocą wiązek lasera.

- Hej - zawołał. - Parker?

- Słucham, Joshua - odparł stary dyrektor.

- Myśleliśmy, że Tandzurik-RI utracił kontakt z Mastrit-PJ dlatego, że cywilizacja tutaj upadła. Tak się nie stało. W takim razie dlaczego przzerwali łączność?

- Nie mam pojęcia. Być może do katastrofy doszło na jednej z kolonii przekazujących sygnały wokół mgławicy.

- Załamanie się społeczeństwa Tyrataków? To raczej niezbyt prawdopodobne.

- Może ktoś ich załatwił - zasugerowała Monica. - Podoba mi się myśl, że obrócone w niewolników ksenobionty mogły się zbuntować i wytepić swych panów.

- Niewykluczone.

Joshua nie był jednak przekonany. Czuł, że wymyka mu się coś oczywistego.

"Lady Makbet" minęła płaszczyznę dysku. Celowo poprowadził statek nieco zbyt daleko, chcąc zobaczyć jasną stronę Todzolt-HI. Tu wreszcie odnaleźli standardową niezmiennosc, jakiej spodziewali się po Tyratakach.

Po tej stronie dysku wszystkie rury były przezroczyste jak szkło. Powierzchnię pokrywał bilion zmarszczek połączonych czarnymi pętlami wzmacniającymi. Wyglądało to jak dach szklarni Boga. Blask fotosfery był tak intensywny, że można go było uznać za szkarłatną mgiełkę. Jej błyski odbijały się od powierzchni dysku, tworząc fale barwy miedzi o długości większej niż średnice planet. Tak właśnie wyglądałby zachód słońca nad oceanem wieczności.

- Jezu - wydyszał Joshua. - Warto było narazić się na Tandzurika-RI.

Zatrzymali statek na kilka minut, wysuwając wszystkie wysięgniki, by zarejestrować tę scenę. Potem Joshua włączył z niechęcią pomocnicze silniki rakietowe. Wrócili na płaszczyznę dysku i ruszyli w stronę jego obwodu. Joshua nakierował statek na punkt wskazany przez dominium Anthi-CL i wprowadził go w powolny ruch wirowy. Wystawili wszystkie panele termozrzutu, które lśniły wiśniowym blaskiem, gdy tylko znaleźli się w cieniu.

Kiedy Sarha potwierdziła, że systemy chłodzące gwiazdolotu poradzą sobie z zadaniem, Joshua otworzył kanał bezpośredniej łączności z dominium Anthi-CL.

- Chciałbym pomówić z Quantook-LOU - oznajmił.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

- Mówię.

- Raz jeszcze dziękuję dominium Anthi-CL, że zgodziło się nas przyjąć. Liczymy na to, że wymiana okaże się korzystna, i mamy nadzieję, że stanie się ona początkiem kontaktów między naszymi gatunkami.

Przekonaj ich, że po nas przybędą następni, powiedział sobie. To znaczy, że jeśli nas zaatakują, nie unikną odpowiedzialności. Biorąc pod uwagę odległość, to mało prawdopodobne, ale oni o tym nie wiedzą.

- My również na to liczymy - zapewnił Quantook-LOU. - Masz bardzo interesujący statek, kapitanie Calvert. Nigdy nie widzieliśmy podobnego. Niektórzy z nas nie dowierzali, czy rzeczywiście jesteś tym, za kogo się podajesz. Teraz nie mają już wątpliwości. Czy to pomocniczy statek waszego gwiazdolotu, czy też pokonaliście w nim przestrzeń międzygwiazdną?

Joshua obrzucił brata niespokojnym spojrzeniem.

- Nawet jeśli program tłumaczący zrobił się nagle kreatywny, gość nie reaguje jak Tyratakowie, których znam.

- W dodatku to podchwytliwe pytanie - ostrzegł go Samuel. - Jeśli potwierdzisz, że okrążyliśmy mgławicę w "Lady Makbet", zrozumieją, że mamy napęd nadświetlny.

- I będą chcieli go dostać - dodała Beaulieu. - Jeśli rzeczywiście cierpią na brak surowców, to będzie dla nich droga ucieczki, pozwalająca ominąć sąsiednie kolonie.

- Nieprawda - zaprzeczył Ashly. - Pamiętam Wielkie Rozproszenie. Nie byliśmy w stanie przenieść nawet pięciu procent populacji Ziemi. ZTT nie jest drogą ucieczki, nawet jeśli ma się do dyspozycji potencjał przemysłowy miasta-dysku. Wszystko jest względne. Mogliby zbudować w ciągu roku wystarczająco wiele gwiazdolotów, by zabrać stąd miliard osobników z kasty rozplodowej, ale w miastach-dyskach nadal pozostałyby ich setki miliardów i wszystkie cały czas

znosiłyby jaja.

- Może i nie rozwiązałyby to ich problemów, ale z pewnością przyprawiłyby o ból głowy mieszkańców układów planetarnych, w których postanowiliby się osiedlić - zauważył Liol. - Widzieliśmy, jak traktują gatunki, które staną im na drodze.

- Dobra, rozumiem, w czym rzecz - odezwał się Joshua, unosząc rękę. - Uważam jednak, że musimy rozważyć możliwość sprzedania im technologii ZTT jako ostateczny środek poznania lokalizacji Śpiącego Boga. Tyratakowie z Hesperii-LN mają już ZTT. Mogą minąć dziesięciolecia, zanim napęd dotrze do Mastrit-PJ, ale prędzej czy później to się stanie.

- Postaraj się im go nie dawać - powiedziała z naciskiem Monica. - Postaraj się bardzo mocno.

Joshua patrzył jej prosto w oczy, ponownie otwierając kanał łączności z Quantook-LOU.

- Natura naszego statku jest jedną z informacji, którą możemy uwzględnić w negocjacjach dotyczących wymiany. Może zechcielibyście sporządzić listę dziedzin nauki i techniki, którymi jesteście najbardziej zainteresowani?

- A które z nich są waszą specjalnością?

Joshua zmarszczył brwi.

- Coś tu nie gra - wyszeptał do załogi. - To nie jest Tyratak.

- Zgadza się, że to nie jest odpowiedź, jakiej bym się spodziewał od jednego z nich - poparł go Samuel.

- W takim razie z kim rozmawiamy? - Zapytała Sarha.

- Przekonajmy się - odparł Joshua. - Quantook-LOU, uważam, że powinniśmy zacząć powoli. Na dowód dobrych intencji przekażę wam podarunek. Potem będziemy mogli wymienić informacje o naszej historii. Gdy już lepiej się zrozumiemy, łatwiej przyjdzie ocena, na jakiego rodzaju wymianie skorzystamy najwięcej. Czy możecie się na to zgodzić?

- W zasadzie tak. Co to za podarunek?

- Elektroniczny procesor. Standardowe narzędzie używane przez ludzi. Jego konstrukcja i skład mogą okazać się dla was interesujące. W takim przypadku skopiowanie go nie powinno nastręczyć wam trudności.

- Przyjmuję ten dar.

- Przekażę ci go osobiście. Gorąco pragnę ujrzeć wewnątrz Todzolt-HI. To zdumiewające osiągnięcie.

- Dziękuję. Czy możecie zacumować w jednym z naszych portów? Nie dysponujemy statkiem, który mógłby was zabrać z waszej obecnej pozycji.

- Robi się coraz ciekawiej - zauważył Liol. - Potrafią budować habitaty wielkości kontynentów, ale nie małe wahadłowce.

- Mamy prom, który przewiezie nas do portu - zapewnił Joshua. - Podczas pobytu w Anthi-CL będziemy nosić skafandry, by zapobiec biologicznemu skażeniu.

- Czy bezpośredni kontakt między naszymi gatunkami jest niebezpieczny?

- Nie, jeśli podejmie się należyte środki ostrożności. Nasz gatunek ma wielkie doświadczenie w tej dziedzinie. Nie macie powodów do niepokoju.

*

Joshua osobiście pilotował wahadłowiec, ignorując zjadliwe uwagi Ashly'ego na temat zasad związkowych. W małej kabinie było ciasno. Towarzyszyli mu Samuel i Oski, a także sierżant (na wszelki wypadek). Musiał obiecać pozostałym członkom załogi, że wszyscy kolejno odwiedzą miasto-dysk. Każdy chciał je zobaczyć.

Port wskazany przez Quantook-LOU był wykonaną z szarobiałego metalu cebulą o średnicy czterystu metrów wyrastającą z zakończenia jednej z rur. Jej szczyt stanowiła okrągła śluza szeroka na siedemdziesiąt pięć metrów, która otworzyła się powoli, odsłaniając słabo oświetlone wnętrze.

- Wygląda na to, że to jedna wielka hala - zauważył Joshua.

Włączył silniki pomocnicze, ostrożnie wprowadzając mały stateczek do środka. Wzdłuż ścian biegły długie pasy oświetleniowe, wyglądające jak emitujące łagodny, czerwony blask żebra. Między nimi stały szeregi maszynierii niewiele się różniące od zbudowanej przez ludzi. Joshua czuł się zupełnie jak w kosmodromie Tranquillity.

Naprzeciwko głównej śluzy znajdowała się przysadzista cylindryczna kratownica, na której końcu widniały włazy znacznie mniejszych śluz. Joshua skierował wahadłowiec w tamtą stronę.

- Połączenie datawizyjne zaczyna zanikać - zameldowała Sarha.

- Należało się tego spodziewać, choć dobrzy gospodarze ofiarowaliby nam możliwość utrzymania stałego połączenia. Zaczniemy się martwić, jeśli naprawdę zamkną tę śluzę.

Wahadłowiec dotarł do szczytu cylindra. Joshua wyciągnął jedno z manipulatorowych ramion, żeby unieruchomić stateczek.

- Jesteśmy na miejscu - zawiadomił Quantook-LOU.

- Przejdźcie, proszę, do śluzy przed wami. Czekam na was po drugiej stronie.

Wszyscy włożyli hełmy. Zakładali, że Tyratakowie nie znają programowalnego silikonu, więc nie rozumieją zasad działania skafandrów SII. Uznają pancerne kombinezony za ich autentyczne skafandry kosmiczne. Zapewni to członkom załogi pewną osłonę, nie obrażając jednocześnie gospodarzy. Cała czwórka opuściła przez śluzę "Lady Makbet".

Na końcu kratownicy znajdowały się trzy włazy, ale tylko jeden, największy z nich, był otwarty. Położona za nim komora była kulą o średnicy sześciu metrów.

- Te zamknięte włazy są za małe dla kasty rozplodowej - zauważył Samuel. - Zastanawiam się, czy nie zwiększyli sztucznie ilorazu inteligencji którejs z kast wasalnych. W dawnych czasach z pewnością żadna z nich nie potrafiła obsługiwać maszyn.

Joshua nie skomentował tej uwagi ani słowem. Przytknął buty do powierzchni, która z jego punktu widzenia była podłogą komory, w tej samej chwili, gdy do wnętrza z sykiem wtargnęło powietrze. Instrumenty skafandra poinformowały go, że atmosfera składa się z tlenu, azotu, dwutlenku węgla i argonu z domieszką rozmaitych węglowodorów. Wilgotność była bardzo wysoka, w powietrzu wykrywało się też rozmaite cząsteczki organiczne. Joshua sporym wysiłkiem woli powstrzymał się przed dotknięciem niewinnie wyglądającego cylindra u pasa, który w rzeczywistości był laserem.

O dziwo, wcale nie czuł się podekscytowany. Odnosił wrażenie, że zbyt wiele od niego zależy, by nie spoglądać na sprawę obiektywnie. Zapewne powinien się z tego cieszyć.

Wewnętrzny właz otworzył się, odsłaniając przed nim jeden z szerszych przewodów mieszkalnych Todzolt-HI. Rura wiodła do płaskiej metalowej grodzi odległej o jakiś kilometr. We wnętrzu dominowały dwa kolory: czerwony i brązowy. Gdy tylko Joshua zobaczył czekającą na niego grupkę ksenobiontów, uśmiechnął się szeroko, nie wypuszczając z ust przewodu oddechowego. To nie byli Tyratakowie.

Na pierwszy rzut oka wyglądali jak ławica koników morskich wielkości ludzi, unoszących się w powietrzu. Całe ich ciała falowały nerwowo w sposób typowy dla tych ryb, jakby istoty czekały niecierpliwie na początek wyścigu. Wydawały się prawie zupełnie czarne, Joshua podejrzewał jednak, że to efekt jednolicie czerwonego oświetlenia. Analiza spektralna sugerowała, że pokrywające stworzenia łuski mają w rzeczywistości ciemny, szarobrązowy kolor przypominający

ubarwienie Tyrataków. Sugerowało to wspólne pochodzenie z Mastrit-PJ. Głowa była ostro zakończona, jak u smoka, miała długi dziób i dwoje małych oczu usytuowanych w płytkich zagłębieniach. Silnie pomarszczona, zapewne bardzo ruchliwa, szyja utrzymywała ją pod kątem prostym do ciała. Jajowaty korpus zwężał się ku dołowi. Nie było ogona, ale tułów zakrzywiał się lekko na kształt litery S. W równej odległości od siebie wyrastały z niego trzy pary kończyn. Wszystkie były zbudowane podobnie: długi pierwszy odcinek wyrastający z odpowiednika stawu barkowego kończył się czymś w rodzaju stawu nadgarstkowego, a wydłużona dłoń miała dziewięć palców złożonych z dwóch paliczków. Na najwyższej parze kończyn były one cienkie i bardzo ruchliwe, na środkowej mniejsze i grubsze, na dolnej zaś krótkie i tępo zakończone, jak palce u nóg. U większości ksenobiontów stopy ostatniej pary kończyn uległy uwstecznieniu, przeradzając się w proste wiosła, jak u wodnych stworzeń.

Owo wrażenie nasilał jeszcze fakt, że wewnętrzne powierzchnie rury pokrywały długie wstęgi gumowej roślinności przypominające liście palm. Wszystkie sięgały ku geometrycznemu środkowi. Nawet te, które rosły na przezroczystej powierzchni, oddalały się od światła. Joshua nigdy nie widział czegoś podobnego na żadnym terrakompatybilnym świecie, który odwiedził, choć na części z nich botanika i biochemia stworzyły bardzo dziwaczne formy.

Gęszcz porastający całą długość rury bardzo ułatwiał ruch ksenobiontom. Istoty mknęły swobodnie wzdłuż jego powierzchni. Dolna połowa ich ciał zanurzała się w dżungli długich, brązowych liści, a kończyny kołysały się lekko, kierując ich ruchem. Ta pełna niezwykłego wdzięku czynność stanowiła w gruncie rzeczy szalone połączenie gładkich poruszeń płetwy delfina oraz ludzkiej dłoni chwytającej za szczeble drabiny.

Joshua z podziwem i lekką zazdrością obserwował ksenobionty, zadając sobie pytanie, jak długo musiała się trudzić ewolucja, by stworzyć coś takiego. Wyglądało to niemal jak przypadek symbiozy, co znaczyło, że ten rodzaj roślinności musiał tu być bardzo szeroko rozpowszechniony.

Nie mógł wątpić, że ksenobionty są znacznie inteligentniejsze od znanych Konfederacji Tyrataków z kast wasalnych. Nosiły elektroniczne systemy niczym ubrania. Górną połowę ich ciał pokrywały stroje stanowiące połączenie siatkowego podkoszulka z pasami na naboje. Przytroczono do niego rozmaite moduły, narzędzia i małe zbiorniczki. Istoty stosowały też zewnętrzną augmentację. Z ich oczodołów sterczały soczewki, wiele z nich zastąpiło też górne dłonie cybernetycznymi szczypcami.

Joshua kierował swe instrumenty na jedną istotę po drugiej, aż wreszcie znalazł taką, której elektroniczne urządzenia wyglądały nieco lepiej niż u pozostałych. Prezentowały się efektowniej, miały eleganckie klawiatury i ekrany. Niektóre moduły ozdobiono nawet marmurkowymi wzorami. Pośpieszna analiza spektralna świadczyła, że wykonano je z żelaza. Joshua pomyślał, że to osobliwy wybór.

- Jestem kapitan Joshua Calvert. Oferuję Quantook-LOU swe przeprosiny - oznajmił. Blok nadawczo-odbiorczy przetłumaczył jego słowa na pohukiwania i gwizdy języka Tyrataków, docierające do uszu Joshui przez silikon skafandra SII. - Zakładaliśmy, że mieszkają tu Tyratakowie.

Stworzenie, ku któremu skierował instrumenty, otworzyło sękaty dziób i zaskrzeczało głośno.

- Czy chcecie odlecieć, skoro się dowiedzieliście, że jest inaczej?

- Bynajmniej. Z radością dowiedzieliśmy się o waszym istnieniu. Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak się nazywa wasza rasa?

- Jesteśmy Mosdva. Przez całą historię Tyrataków byliśmy ich poddanymi. Ich historia dobiegła końca. Mastrit-PJ należy obecnie do nas.

- Czeka nas dalsza droga - zauważyła Monica na ogólnie dostępnym paśmie łącznościowym.

- Nie wyciągajmy przedwczesnych wniosków - skarciła ją Syrinx. - Nie ulega wątpliwości, że te istoty wywodzą się z tego samego łańcucha ewolucyjnego.

- Proszę zgłaszać tylko istotne spostrzeżenia - polecił Joshua. - Czy w ogóle mamy w to wchodzić? Możemy pogadać z nimi dyplomatycznie przez parę godzin, a potem odlecieć na poszukiwania najbliższej kolonii Tyrataków.

- Wywodzą się z tej samej planety i mówią tym samym językiem - zauważył Parker. - Wydaje się wysoce prawdopodobne, że używają też tych samych almanachów. Musimy się dowiedzieć znacznie więcej, nim rozważymy możliwość ruszenia w dalszą drogę.

- Dobra. - Joshua przełączył datawizyjnie blok nadawczo-odbiorczy z powrotem na funkcję tłumaczenia. - Osiągnęliście tu bardzo wiele. Mój gatunek nigdy nie stworzył konstrukcji na skalę dorównującą Todzolt-HI.

- Za to zbudowaliście bardzo interesujący statek.

- Dziękuję. - Powoli i ostrożnie odpiął od pasa blok procesorowy. Znalazł go w warsztacie elektronicznym "Lady Makbet". Urządzenie pochodziło sprzed ćwierćwiecza i wgrano do niego przestarzałe oprogramowanie. Starannie wykasowali też wszystkie odniesienia do lotów międzygwiazdnych. Programy mogły jednak być interesujące dla ksenobiontów, sądząc po ich sprzeczności. Niewykluczone nawet, że dar był nieco zbyt szczodry. Połowę modułów, którymi posługiwały się istoty, uznano by za przestarzałe już w dwudziestym trzecim wieku.

- To dla was - oznajmił Joshua.

Jeden z pozostałych Mosdva zbliżył się, z wielką ostrożnością ujął blok w dłoń i przekazał go Quantook-LOU. Dystrybutor zasobów przyjrzał się uważnie urządzeniu, a potem schował je do torby umieszczonej na samym dole okrywającego tułów stroju.

- Dziękuję, kapitanie Joshua Calvert. W zamian oprowadzę cię po sekcji Anthi-CL, która tak bardzo cię zainteresowała.

- Czy to był cynizm? - Zapytał swych ludzi Joshua.

- Nie sądzę - zaprzeczyła Oski. - Znany nam język Tyrataków nie posiada mechanizmów pozwalających przekazywać podobne niuanse. Nie potrzebuje ich, bo Tyratakowie nie wiedzą, co to cynizm.

- Dobrze by było nastawić program analityczny na śledzenie tego typu regularności.

- Zgadzam się - poparł go Samuel. - Bombardują nas impulsami czujników od chwili otwarcia wjazdu. Z pewnością szukają czegoś, co zapewni im przewagę. To zachowanie typowe dla kupieckiej mentalności i bardzo łatwo je zrozumieć. Wydają się niemal ludzcy.

- Rewelacja. Pokonaliśmy tysiąc sześćset lat świetlnych i spotkaliśmy miejscowy odpowiednik Stowarzyszenia Kupców Kulu.

- Joshua, w pierwszej kolejności musisz zrozumieć, jaką dokładnie pozycję zajmuje Quantook-LOU w tutejszej hierarchii społecznej - stwierdził Parker. - Gdy już się tego dowiemy, będziemy mogli szybko osiągnąć porozumienie. Ich kultura niewątpliwie opiera się na innych podstawach niż kultura Tyrataków, mogę jednak z satysfakcją stwierdzić, że podstawowe zasady handlu pozostają niezmiennie.

- Dziękuję, dyrektorze. - Joshua zadał sobie pytanie, czy Parker wie, co to cynizm. - Ujrzenie waszego dominium będzie dla mnie zaszczytem - oznajmił, zwracając się do Mosdva.

- Chodź więc z nami. Będę cię oświecał.

Cała grupa Mosdva odwróciła się niemal jednocześnie i pomknęła w inną stronę, unosząc się wśród roślinności. Joshuę, który zawsze uważał, że świetnie sobie radzi w stanie nieważkości, zafascynował ten manewr. W grę wchodziła spora bezwładność i moment pędu. Ich środkowe

kończyny musiały odpychać się od roślin z wielką siłą. Musiały być też one znacznie mocniejsze, niż się zdawało. Gdyby ktoś szarpnął w ten sposób liściem ziemskiej palmy, rozerwałby go na pół.

Joshua wyłączył w podeszwach butów program przylegania i popędził za ksenobiontami. Po chwili zaczął oszukiwać. Pomagał sobie impulsami zimnego gazu z plecaka manewrowego skafandra albo wspinał się po liściach, jak po sznurze. Gdy jednak docierał do końca liścia, gęstwina hamowała jego ruch. Liście rozstępowały się przed Mosdva, ale w jego przypadku tworzyły elastyczną sieć. Przekonał się, że najlepszą metodą jest trzymać się wysoko nad ich czubkami i odpychać się od nich w razie potrzeby. Dotykowe sensory rękawic poinformowały go, że liście mają gąbczastą konsystencję, choć pokrywa je twarda blaszka.

Z ich czworga Joshua był najzręczniejszy, ale i tak trudno mu było dotrzymać kroku Quantook-LOU. Na ruchy sierżanta żal było patrzeć. Ione nie zapuszczała się zbyt często do bezgrawitacyjnych sektorów Tranquillity.

Mosdva zwolnili, pozwalając, by ludzie ich dogonili.

- Nie latasz tak szybko jak twój statek, kapitanie Joshua Calvert - zauważył Quantook-LOU.

- Nasz gatunek mieszka na planetach. Jesteśmy przyzwyczajeni do życia w warunkach wysokiej grawitacji.

- Wiemy, co to są planety. Mosdva znają wiele opowieści o światach, które krążyły wokół Mastrit-PJ, zanim pożarła je ekspansja gwiazdy. Niestety, po tak długim czasie w Todzolt-HI nie zachowały się żadne zapisy wizualne. Planety są dla nas jedynie legendą.

- Mamy na pokładzie wiele danych na ich temat. Z chęcią wymienię je za zapisy dotyczące historii Mastrit-PJ.

- To byłby korzystny pierwszy krok. Mamy szczęście, że udało się nam nawiązać z tobą kontakt, kapitanie Joshua CaWert.

Joshua uczeplił się końcówki długiego liścia, czekając, aż sierżant go dogoni. Nagle uświadomił sobie, że roślina wije się lekko w jego uścisku. Wiatr z pewnością był za słaby, by to spowodować.

- Liście poruszają dla nas powietrze - wyjaśnił Quantook-LOU, gdy Joshua o tym wspomniał. Wszystkie rośliny w Todzolt-HI kołysały się lekko. Dlatego wybrano te właśnie gatunki, a staranna selekcja wzmocniła ową cechę. W nieważkości trzeba było sztucznie wywoływać powiew, gdyż w przeciwnym razie tworzyłyby się kieszenie pozbawionego tlenu powietrza, potencjalnie niebezpieczne dla roślin i zwierząt. Mosdva nadal stosowali mechaniczne wentylatory oraz przewody wentylacyjne, ale ich funkcja była czysto pomocnicza.

- Nie mogą się równać z edenistami - zauważyła Sarha.

- Skłaniają się ku biologicznym rozwiązaniom - zauważył Ruben. - Stopniowo rezygnują z maszyn.

- W tym środowisku nie można polegać wyłącznie na biologicznych systemach. Jest zbyt nieprzyjazne.

- Nie widzę też oznak wykorzystania inżynierii genetycznej - zauważył Samuel. - Quantook-LOU mówił, że te rośliny wyhodowano. W ludzkim społeczeństwie sztuka zapyłania krzyżowego popadła w praktyce w zapomnienie zarówno wśród adamistów, jak i edenistów. Będziemy musieli bardzo uważać, co mówimy i co im damy. To stabilne społeczeństwo i dzięki temu znakomicie sobie radzi. Wprowadzenie zmian, nawet nowych pojęć, mogłoby mieć katastrofalne skutki.

- Albo ich ocalić - zauważyła Sarha.

- Przed czym? My jesteśmy dla nich jedynym zagrożeniem.

Posuwali się w głąb struktury, spotykając po drodze coraz więcej Mosdva. Wszystkie

ksenobionty zatrzymywały się, by się pogapić na ludzi wlokących się z wysiłkiem za grupką gospodarzy. Dzieci Mosdva niewiarygodnie zręcznie śmigały między liśćmi. Zanurzały się głęboko w gęstwinę, a potem wyskakiwały na powierzchnię w zupełnie niespodziewanych miejscach, chcąc się przyjrzeć ludziom ze wszystkich możliwych stron. Podobnie jak dorośli, nosiły na torsach uprząże z najrozmaitszymi elektronicznymi modułami, nie miały Jednak cybernetycznych implantów.

Joshua zauważył, że korkociągowe liście nie są tak gęste, jak mu się początkowo zdawało. To raczej plantacja niż dżungla. Dzięki temu mógł ocenić, w jaki sposób zbudowano dżunglę. Między żebrami konstrukcji po nasłonecznionej stronie umieszczono płyty wykonane z przezroczystego materiału, po ciemnej zaś z matowego kompozytu albo metalu. Wewnętrzną powierzchnię pokrywała ciasna spirala z przezroczystych rurek, gęsto usiana małymi, pierścieniowymi otworami barwy miedzi, z których wyrastały rośliny. Wewnątrz rurek, przy pewnej staranności, dostrzegało się korzenie. Spirale wypełniał mętny płyn, który wyglądał na kleisty i nieco tłumił intensywnie czerwony blask słońca. Unosiły się w nim ciemne drobiny oraz maleńkie pęcherzyki powietrza. Dzięki temu można było zobaczyć, jak wartki jest jego strumień.

Quantook-LOU wyjaśnił Joshui, że przewodami pompuje się wodę albo węglowodorowe mieszanki. Ich obieg stanowił podstawę całego procesu recyklingu. Ciepło pochodzące od czerwonego olbrzyma szybko przekazywano na ciemną stronę, gdzie wykorzystywano je do produkcji elektryczności, pozbywając się nadmiaru za pomocą promienników. W wypełnionych różnymi płynami zbiornikach hodowano algi, które przetwarzały odchody Mosdva, zaopatrując w nawóz rośliny produkujące tlen. Grubość spiralnych rurek w żadnym punkcie nie spadała poniżej dwóch i pół metra, płyn tworzył więc znakomitą osłonę przed promieniowaniem gwiazdy.

Pokazano im rury, w których uprawiano wysokowydajne rośliny spożywcze. Rury mieszkalne, oddzielone cienkimi płachtami srebrzystobiałej tkaniny. Rury przemysłowe, w których maszyny rozmieszczono wzdłuż osi, tuż nad szczytami roślin.

- Kondensacja z pewnością ma dla nich fatalne skutki - zauważyła Oski.

Na koniec zobaczyli publiczne rury, w których roiły się tłumy Mosdva.

Po dwóch godzinach dotarli do sekcji zamieszkałej przez grupę, którą program tłumaczący nazwał klasą administracyjną dominium Anthi-CL. Joshua zaczął podejrzewać, że mają do czynienia z hierarchicznym społeczeństwem, w którym istnieje dziedziczna arystokracja. Roślinność była tu bardziej bujna, a maszyny mniej się rzucały w oczy. Od głównych rur odchodziły prywatne odgałęzienia znacznie większe od tych, które widzieli gdzie indziej. Gęstość populacji była tu mniejsza, a przy wejściu opuściły ich dwie trzecie świty Mosdva. Ci, którzy zostali, mieli najwięcej cybernetycznych protez. Choć ludzie nie widzieli broni, wszyscy się zgodzili, że byli to policjanci lub żołnierze.

Quantook-LOU zatrzymał się w wielkiej bańce z przezroczystego materiału. Odchodziły od niej trzy mniejsze przewody. Tu również powierzchnię pokrywały spiralne rurki usiane maszyną, nie było jednak żadnych roślin, a przejrzystość płynu mąciły jedynie pęcherzyki powietrza. Rozciągał się stąd wspiana widok na jasną i ciemną stronę stacji.

- To moje prywatne miejsce - oznajmił Quantook-LOU.

Joshua dostrzegł za ścianami słabe plamy mgławicy. Ostro zarysowane, stożkowe chmury rozpraszającego światła gazu tworzyły niezwykle bliski horyzont. Słoneczna strona była jednolitym płaszczem czerwonego blasku.

- To zgadza się ze wszystkim, co tu widzieliśmy - stwierdził Joshua.

- A co z twoim światem, kapitanie Joshua Calvert? Czy macie tam podobne widoki?

Przystąpili do wymiany informacji na temat historii. Na prośbę gospodarza Joshua, Samuel i

Oski zaczęli opisywać kontynenty oraz oceany. Musieli jasno zdefiniować te pojęcia, by wyjaśnić je rozmówcy. W języku Mosdva nawet same słowa zaginęły. Następnie opowiedzieli o tym, jak ludzie wyszli z Afryki i opanowali z końcem epoki lodowcowej całą Ziemię. Potem przeszli do powstania społeczeństwa technoindustrialnego i do katastrofalnych zanieczyszczeń, które zniszczyły ekologię planety, doprowadzając do nastania ery, w której międzygwiazdne statki wyruszyły na poszukiwania nowych kolonii. Wyjaśnili, że Konfederacja obejmuje obecnie setki układów planetarnych, między którymi kwitnie handel. Ten barwny, uproszczony opis był całkowicie pozbawiony wszelkich szczegółów oraz skali czasowej.

Mosdva w zamian opowiedział im o długich dziejach Mastrit-PJ. Ani ich gatunek, ani Tyratakowie nie byli pierwszymi rozumnymi mieszkańcami jedynej planety układu, na której powstało życie. Pierwsi byli Ridbatowie. Ich społeczeństwo rozkwitło przed z górą milionem lat. Nie wiadano o nich zbyt wiele. Quantook-LOU oznajmił, że przetrwały jedynie przekazywane z pokolenia na pokolenie pogłoski, które z każdym powtórzeniem stawały się coraz bardziej fantastyczne. Byli oni legendarnymi potworami układu Mastrit-PJ, krwiożerczymi bestiami o skażonych złem umysłach. Za ich czasów bez końca trwały wojny, a dwie z nich przerodziły się w wymianę nuklearnych ciosów obejmującą całą planetę. Ich cywilizacja przynajmniej trzykrotnie cofnęła się do poziomu barbarzyństwa. Nikt nie wiedział, czy udało się im rozwinąć loty kosmiczne. Nie zachowały się żadne ślady ich pozaplanetarnej aktywności. Czwartą i ostatnią przemysłową erę Ridbatów zakończył termojądrowy konflikt. Użyto wówczas również broni biologicznej, która zniszczyła siedemdziesiąt procent zwierzęcych form życia na planecie.

Podczas panowania Ridbatów Mosdva rozwinęli początki inteligencji. Dzięki temu stali się użytecznymi niewolnikami. Poddawano ich selekcji mającej zwiększyć zręczność, siłę i potulność, a jednocześnie bezlitośnie eliminowano takie cechy jak ciekawość i krnąbrność. Gdy Ridbatowie sami siebie zniszczyli, Mosdva byli już w pełni inteligentni. Liczne epidemie znacznie ograniczyły ich liczebność, ale gatunek zdołał przetrwać.

Po zniknięciu Ridbatów ewolucja Mosdva wróciła na bardziej naturalne tory - w takim stopniu, w jakim było to możliwe na doszczętnie zniszczonej planecie. Ich cywilizacja rodziła się bardzo powoli. Mastrit-PJ ze swymi wyczerpanymi surowcami mineralnymi, spustoszoną biosferą i rozległymi, radioaktywnymi pustkowiami nie było środowiskiem sprzyjającym rozwojowi zaawansowanej technologicznie kultury. Współgrała z tym psychika ostrożnych Mosdva. Podczas zimy nuklearnej, która nastąpiła po upadku Ridbatów, stali się koczownikami, wędrującymi między nadającymi się do zamieszkania obszarami. Dopiero po półmilionie lat, gdy lodowce ustąpiły, Mosdva znowu zaczęli się rozwijać.

Udało im się osiągnąć jedynie umiarkowany poziom industrializacji. Na planecie nie było już podziemnych złóż ropy, gazu ani węgla, ich cywilizacja opierała się więc na odnawialnych źródłach energii i żyła w harmonii z ekosystemem. Choć Mosdva nie byli w zasadzie przeciwni zmianom, zachodziły one bardzo powoli. Postępy w teoretycznych naukach, takich jak fizyka, astronomia i matematyka, nie przekładały się na osiągnięcia techniki. Mosdva byli przekonani, że już osiągnęli złoty wiek. Ze względu na swe straszliwe dziedzictwo, ponad wszystko pragnęli stabilności. Podobne priorytety mogły doprowadzić do powstania społeczeństwa zdolnego przetrwać geologiczne epoki.

Los zadał jednak owej perspektywie dwa straszliwe ciosy. Po zniknięciu lodowców ewolucyjny renesans Mastrit-PJ objął również Tyrataków, którzy do tej pory byli zwykłymi stadnymi zwierzętami przypominającymi zachowaniem krowy. Rozwój ich intelektu był powolny, choć niepowstrzymany. Owe cechujące się wielką fizyczną wytrzymałością istoty również w tej dziedzinie

parły uparcie do celu. Na każdym innym świecie ich brak wyobraźni stałby się poważną przeszkodą, tu jednak sprawy miały się inaczej. Tyratakowie dzielili planetę z Mosdva - życzliwym gatunkiem, który osiągnął już znaczny poziom rozwoju. Dało im to dostęp do maszyn oraz nowych pojęć, których sami nigdy nie zdołaliby stworzyć.

Niestety, Tyratakowie byli też znacznie bardziej agresywni niż Mosdva. Owa cecha wywodziła się z ich stadnego dziedzictwa i związanych z nim sporów terytorialnych, które doprowadziły do powstania kast wasalnych, w szczególności kasty żołnierzy. Dzięki skopiowanej technologii, większym rozmiarom i znaczniejszej liczebności Tyratakowie szybko stali się dominującym gatunkiem.

Ta sytuacja z łatwością mogła doprowadzić do zagłady Mosdva. Ich osiedla znalazły się pod narastającym naciskiem Tyrataków. Nagle jednak astronomowie Mosdva odkryli, że ich gwiazda wkrótce przerodzi się w czerwonego olbrzyma.

Dla każdego gatunku zdolnego do abstrakcyjnego myślenia perspektywa nieuniknionej zagłady za tysiąc trzysta lat byłaby czymś porażającym, jednak Tyratakowie, dla których każdy fakt miał bezpośrednie znaczenie, absolutnie nie byli w stanie znieść tej myśli. Wizja końca gatunku dostarczyła im motywacji, dzięki której szybko zapanowali nad całą planetą. Mosdva po raz drugi w swej historii stali się niewolnikami. Najpierw musieli opracować plan, dzięki któremu część Tyrataków - nawet jeśli nie wszyscy - mogłaby przetrwać ekspansję gwiazdy. Stworzyli pomysł statku-arki, który miał zapewnić przetrwanie gatunkowi ich panów. Resztę populacji Tyrataków miały pomieścić nadające się do zamieszkania asteroidy. Następnie kazano im wcielić ów plan w życie.

Dzięki swym mniejszym rozmiarom, większej zręczności oraz wyższej inteligencji Mosdva byli znakomitymi astronautami - w przeciwieństwie do samych Tyrataków. Ich techniczne umiejętności wykorzystano celem przechwycenia asteroid, które następnie holowano na orbitę Mastrit-PJ, gdzie przerabiano je na arki. Faza budowy ark trwała siedem stuleci i wystrzelono ich w sumie tysiąc trzydzieści siedem.

Po tym czasie narastająca niestabilność gwiazdy zniszczyła kruchą ekologię planety i potężny przemysł kosmiczny Mastrit-PJ przestawiono na przerabianie asteroid na habitaty. Wybrane planetki krążyły wokół gwiazdy w odległości z górą ćwierci miliona kilometrów, co znaczyło, że znajdują się poza zasięgiem przewidywanego rozszerzenia fotosfery. Ta operacja była znacznie prostsza od przerabiania asteroid na olbrzymie gwiazdoloty i w ciągu zaledwie dwóch stuleci stworzono z górą siedem tysięcy habitatów. W przeciwieństwie do budowy ark, które odlatywały natychmiast po ukończeniu, był to proces cechujący się wzrostem wykładniczym. Nowe habitaty wykorzystywały swój potencjał przemysłowy do tworzenia następnych.

Tysiąc lat po rozpoczęciu projektu planeta stała się niezdatna do zamieszkania i porzucono ją ostatecznie.

Arki nie zabrały ani jednego Mosdva, Tyratakowie zagarnęli je wyłącznie dla siebie. Gdy tylko Mosdva ukończyli jedną, kierowano ich do budowy następnej.

Tyratakowie nie mogli im jednak zabronić wstępu na asteroidy, chyba żeby zdecydowali się na ich całkowitą eksterminację. Dlatego tolerowali Mosdva, wiedząc, że sami stają się coraz liczniejsi i potrzebują wciąż nowych habitatów. Nie wiedziano, jak szybko będzie rosła gwiazda, i tylko umiejętności techniczne Mosdva mogły przystosować habitaty do warunków rosnącej fotosfery.

Gdy gwiazda wreszcie zakończyła wzrost, okazało się, że jej rozmiary są większe, niż przewidywano, podobnie jak emisja promieniowania. Trzeba było szybko stworzyć nowy, lepszy system odprowadzania nadmiaru ciepła z habitatów. W konsekwencji stały się one jeszcze bardziej

zależne od inżynierów, co doprowadziło do stopniowego przesunięcia się ośrodka władzy politycznej. Wyłącznie Tyratakowie z kasty rozplodowej byli w stanie nauczyć się obsługi maszynierii, wskutek czego kasty budowniczych, domowników i rolników stały się zbędne. Żołnierzy hodowano wyłącznie po to, by zmuszali Mosdva do posłuszeństwa.

Rewolucja nie była jednorazowym aktem. Zaczęła się dziesięć tysięcy lat temu i trwała z górą tysiąc lat. Pierwotnie habitaty utworzyły jedno, scentralizowane państwo, ale niedostatek surowców pod postacią niewykorzystanych asteroid zmusił Tyrataków do powrotu do pierwotnego stanu rywalizujących ze sobą klanów. Liczba asteroid szybko spadała i ostatnie z nich toczono wojny. Każdy habitat stał się całkowicie niezależny.

Po tym fakcie zwycięstwo Mosdva było już nieuniknione. To oni kontrolowali maszynierię i kierowali przemysłem habitatów. Owa władza pozwoliła im dyktować warunki Tyratakom.

Pod nowym reżimem habitaty zaczęły się zbliżać do siebie politycznie, a także pod względem fizycznym. Powstały nowe projekty, ponownie przywołujące charakterystyczną dla Mosdva ideę trwałej równowagi. Pozwoliły im one zrobić maksymalny użytek z kurczących się zasobów. Skonstruowano sekcje mieszkalne położone na zewnątrz komór biosferycznych, w których siła odśrodkowa zastępowała grawitację. Z początku były one zaledwie przybudówkami do łączącej habitaty w całość kratownicy rur transportowych, pozwalających na rezygnację z kosztownych śluz oraz statków kosmicznych. Okazało się jednak, że Mosdva ze swymi przystosowanymi do wspinania się kończynami znakomicie się zaadaptowali do stanu nieważkości. Tyratakowie zaś potrzebowali grawitacji oraz skomplikowanej maszynierii niezbędnej do podtrzymywania ruchu wirowego komór biosferycznych. Coraz częściej budowano segmenty pozbawione przyciągania. Początkowo były to sektory, w których skupiały się przemysł i uprawy hydroponiczne, ale obsługujący je technicy spędzali wciąż więcej i więcej czasu w stanie nieważkości, szybko więc dołączono do nich sekcje mieszkalne. Zaczęła się era miast-dysków.

- A co z Tyratakami? - Zapytał Joshua. - Czy nadal tu żyją?

- Już ich nie utrzymujemy - odparł Quantook-LOU. - Przestali być naszymi panami.

- Gratuluję, że udało się wam ich pozbyć. Konfederacja zawsze uważała ich za kłopotliwych partnerów.

- Mam nadzieję, że my nie okażemy się kłopotliwi. Dominium Anthi-CL leży na samej krawędzi Todzolt-HI. To znaczy, że jesteśmy bogatsi w masę niż inni. Będziemy dla was dobrymi partnerami handlowymi, kapitanie Joshua Calvert.

- Dlaczego fakt położenia na krawędzi czyni was bogatszymi?

- Czy to nie oczywiste? Wszystkie statki muszą cumować na krawędzi. Cała masa przepływa przez nasze terytorium.

- Och, to klasyczne - zauważył Ruben. - Dominia krawędzi są portami miasta-dysku. Mogą pobierać dowolnie wysokie myto za przepuszczane towary. Zapewne utworzyły polityczny sojusz, by móc łatwiej wywierać nacisk na dominia położone bliżej centrum.

- Cło minimalne? - Zapytał Joshua.

- Najprawdopodobniej. To stawia nas w bardzo korzystnej sytuacji. Wszystko przechodzi przez ich terytorium, a to znaczy, że muszą utrzymywać bliskie kontakty ze wszystkimi dominiami. Znajdą dla nas kopię almanachu, jeśli tylko istnieje.

- Dobra. - Joshua sprawdził czas w swym neuronowym nanosystemie. Spędzili w mieście-dysku już dziewięć godzin. - Dziękuję ci za gościnność, Quantook-LOU. Ja i moja załoga chcielibyśmy teraz wrócić na statek. Zdobyliśmy już wystarczająco wiele informacji, by wiedzieć, co może zainteresować obie strony. Dokonamy przeglądu przedmiotów oraz informacji, którymi

dysponujemy, by ustalić, co możemy najkorzystniej wymienić.

- Jak sobie życzycie. Ile czasu zajmie ten przegląd?

- Tylko kilka godzin. Z niecierpliwością oczekuję chwili powrotu i rozpoczęcia właściwych negocjacji.

- Ja również. Zgromadzimy nasze zasoby, by sprostać waszym wymogom. Być może będę mógł potem odwiedzić wasz statek?

- Będziesz mile widzianym gościem, Quantook-LOU.

Do wahadłowca odprowadziło ich dziesięciu Mosdva. Stateczek był nietknięty, choć Ashly i Sarha, którzy monitorowali jego stan, meldowali, że sprawdzono go wszystkimi wyobrażalnymi aktywnymi czujnikami.

Gdy tylko wrócili na pokład "Lady Makbet" i poddali się odkażeniu, Joshua polecił skafandrowi SII się złożyć. Westchnął z potężną ulgą, poczuwszy na skórze dotyk powietrza.

- Jezu, myślałem, że ten cały Quantook nigdy nie przestanie głądzić o tym, jacy wspaniali są Mosdva. Czy oni nigdy nie śpią?

- Zapewne nie - potwierdził Parker. - Sen jest z reguły ewolucyjnym produktem planetarnego cyklu dnia i nocy, a oni już się od niego uwolnili. Podejrzewam, że mają okresy zmniejszonej aktywności, ale nie prawdziwego snu.

- No cóż, do tej słabości zapewne będziemy się musieli przed nimi przyznać. Muszę coś zjeść, wymyć się żelem i poleżeć chwilę w kokonie. To był długi dzień.

- Zgadza się - poparła go Syrin. - Satelity obserwacyjne wkrótce znajdą się w zasięgu. Być może dadzą nam jakieś użyteczne informacje na temat dominiów. Musimy też przeanalizować wszystko, co dziś usłyszeliśmy. Wolałabym, żebyśmy byli wtedy wypoczęci. Spotkamy się za sześć godzin, żeby sprawdzić, co odkryły satelity, i zastanowić się nad następnym etapem.

Joshua zdołał przespać trzy godziny. Po przebudzeniu gapił się na ścianę kabiny przez piętnaście minut, nim wreszcie przyznał, że jeśli chce znowu zasnąć, musi przełączyć program usypiający w tryb nadrzędności. Nie znosił tego robić.

Gdy wpłynął przez właz do małej kuchni, Liol, Monica, Alkad i Dahybi już tam siedzieli. Wszyscy obrzucili go współczującymi spojrzeniami. Odpowiedział im pełnym smutku skinieniem głowy.

- Rozmawialiśmy z Syrinx i Casusem - oznajmiła Monica. Wzruszyła ramionami, spoglądając na Joshuę, który przestał napełniać wodą saszetkę z herbatą, unosząc brwi. - Nie tylko my czujemy się zaniepokojeni. Tak czy inaczej, zlokalizowali jeszcze siedem miast-dysków.

Joshua połączył się datawizyjnie z komputerem pokładowym, który zaraz przełączył go na pasmo ogólnie dostępne. Potem kapitan "Lady Makbet" przywitał załogę "Oenone".

- Wygląda na to, że imperium Mosdva jest dość rozległe - odezwała się Syrinx. - Rozmieszczenie miast-dysków, które do tej pory odkryliśmy, każe nam zwiększyć początkowe oceny ich liczebności. No, ale w końcu spodziewaliśmy się znaleźć siedem tysięcy zamieszkałych asteroid. Kempster i Renato zbadali również przestrzeń położoną dalej od fotosfery. Jak dotąd nie udało im się odkryć ani jednego kawałka skały w przestrzeni dwudziestu stopni kątowych od ekliptyki. Quantook-LOU mówił prawdę. Po zakończeniu ekspansji gwiazdy rzeczywiście musiało tu dojść do desperackiej walki o masę. Każdy dostępny gram włączono do miast-dysków.

- Quantook-LOU nie mówił o walce - sprzeciwił się Joshua. - Mówił o wojnach, w liczbie mnogiej.

- I zrzucił winę na Tyrataków - dodała Alkad.

Joshua obrzucił fizyczkę posępnym spojrzeniem. Alkad odzywała się rzadko, ale zawsze

mówiła do rzeczy.

- Uważasz, że Mosdva przejęli władzę wcześniej?

- Być może nigdy nie zdołamy poznać szczegółów historii tego układu, wydaje się jednak prawdopodobne, że Mosdva rozpoczęli swą rewoltę wkrótce po zakończeniu fazy ekspansji gwiazdy. Wtedy właśnie Tyratakowie byli od nich najbardziej zależni. Cała reszta tego, co nam powiedzieli, stawia ich w wyjątkowo korzystnym świetle. Uciemniony gatunek walczący o odzyskanie dawno utraconej wolności. Dajcie spokój. Historię zawsze piszą zwycięzcy.

- Ja również przemilczałem niektóre nasze mniej sympatyczne cechy - przypomniał Joshua. - To leży w ludzkiej naturze.

- Trzeba było zostawić w gabinecie Quantook-LOU parę nanonicznych pluskiew - stwierdził Liol. - Bardzo bym chciał usłyszeć, o czym tam teraz rozmawiają.

- To by było zbyt ryzykowne - sprzeciwiła się Monica. - Gdyby je znaleźli, mogliby to uznać za nieprzyjazny akt, a nawet gdyby zachowali się dyplomatycznie, dalibyśmy im za darmo zupełnie nową technologię.

- Nie sądzę, byśmy musieli się tym przejmować - odparł Liol. - Mosdva raczej nie napadną na Konfederację. Powinniśmy się martwić o Tyrataków.

- Starczy tego - przerwał im Joshua, przesuając się w bok, by przepuścić zaspanego, nieogolonego Ashly'ego, który właśnie wpłynął do pomieszczenia. - Posłuchajcie, nikt już nie śpi, więc możemy wkrótce zacząć naradę.

Przed rozpoczęciem spotkania dokonali jeszcze jednego odkrycia. Gdy Joshua kończył śniadanie, Beaulieu przekazała mu datawizyjnie krótką wiadomość, wzywając go do kabiny obserwacyjnej.

- Zlokalizowałam statek Mosdva - oznajmiła, gdy się zjawił.

- Nareszcie - ucieszył się Joshua. Zamknął oczy, by obejrzeć obraz.

Beaulieu nie uruchomiła żadnych programów korekcyjnych, które złagodziłyby czerwony blask gwiazdy. Joshua zobaczył tylko olśniewająco biały kształt mknący w stronę Todzolt-HI. Statek wyglądał tak samo jak ten, który cumował przy krawędzi: pięć wielkich kul otaczających napęd oraz wlot leja. Te kule lśniły jednak fioletowo-białym blaskiem, jaśniejszym niż fotosfera.

- Wyłonił się przed dwudziestoma minutami - poinformowała go datawizyjnie Beaulieu.

Kosmoniczka odtworzyła mu nagranie. Czujniki "Lady Makbet" wykryły wewnątrz fotosfery magnetyczną anomalię. Miała ona kilkaset kilometrów średnicy, linie sił pola magnetycznego skupiały się w gęsty węzeł. Anomalia poruszała się jednak z prędkością przekraczającą orbitalną i z każdą chwilą stawała się coraz większa. Instrumenty optyczne skierowały się w tamtą stronę, ale nie wykryły nic poza bezkresną szkarłatną mgiełką. Z początku była ona zupełnie nieruchoma, jak mgła unosząca się nad morzem o świcie, lecz nagle wydarzyło się coś niewiarygodnego. Obraz przeszyły długie smugi cienia. Coś ukrytego w głębi poruszało rozjarzonym wodorem, tworząc w nim prądy i wiry. Pośród czerwonej plazmy pojawiła się plama oślepiająco białego światła. Potem z fotosfery wynurzył się statek. Najpierw ujrzeli lej, pchający przed sobą potężną falę świecących jonów. Każda z pięciu kul świeciła jasno jak biały karzeł, wypromieniowując kolosalne ilości energii. Ze skraju leja sypały się gęste, szkarłatne fragmenty aureoli, opadające łagodnie ku powierzchni czerwonego olbrzyma. Resztę aureoli pochłaniał otwór gardzieli. Wpadający do niego gaz stawał się coraz jaśniejszy. W głębi zarzył się oślepiająco biały płomień.

- Odkąd statek się wynurzył, kule zaczęły przygasać - poinformowała Joshuę Beaulieu. - Ich zewnętrzna temperatura spada z każdą chwilą.

- Wychodzi na to, że to rzeczywiście silnik strumieniowy, Josh - oznajmił zachwycony Liol. -

Na pewno stąd właśnie czerpią masę, odkąd skończyły się asteroidy. Kto by pomyślał, słoneczni górnicy!

- Ich technologia termozrzutu jest naprawdę imponująca - dodała Sarha. - Z pewnością przerasta wszystko, czym dysponujemy. Pozbywają się ciepła, będąc wewnątrz gwiazdy. Boże!

- Samo skupianie wodoru fotosfery w stabilny stan gazowy nie wyprodukowałoby tak wielkiej ilości ciepła - zauważyła Alkad. - Muszą go spalać w reakcji termojądrowej, produkując hel, a może nawet węgiel.

- Chryste, naprawdę rozpaczliwie potrzebują masy.

- Bariera żelaza - przypomniał im Joshua. - Produkcja pierwiastków cięższych od żelaza drogą fuzji jądrowej pochłania energię. Tylko przy powstawaniu lżejszych jąder uwalnia się dodatkowa energia.

- Czy to ma dla nas znaczenie? - Zapytał Liol.

- Nie jestem pewien. Ale żelazo zapewne jest dla nich odpowiednikiem złota. Nie zaszkodzi wiedzieć, co cenią najwyżej. Z pewnością odczuwają dotkliwy brak pierwiastków cięższych niż żelazo.

- Fakt, że musieli się uciec do tak nadzwyczajnych metod, zapewnia nam znaczącą przewagę - zauważył Samuel. - W mieście-dysku nie widzieliśmy zbyt wielu przejawów działania inżynierii cząsteczkowej. Nasze zaawansowane materiałoznawstwo pozwoli im znacznie skuteczniej wykorzystywać masę, którą dysponują. Każda innowacja, którą wprowadzimy, może spowodować daleko idące zmiany w ich społeczeństwie.

- Powinniśmy podjąć decyzję - stwierdziła Syrinx. - Liol, czy satelity obserwacyjne ujawniły coś, co mogłoby nam pomóc?

- Nie za bardzo. Zajęty pozycję tysiąc kilometrów nad ciemną stroną, co daje nam znakomity widok. Wszystko wygląda mniej więcej tak samo jak podczas naszego przelotu. Poruszają się tam pociągi i niewiele poza nimi. Aha, zaobserwowaliśmy też parę nieprzyjemnie wyglądających wycieków powietrza. Na pewno pękły rury. W strumieniach gazu unosiły się ciała.

- Z pewnością toczą nieustanny bój ze zmęczeniem materiału - zauważył Oxley. - Muszą konserwować bardzo wielką powierzchnię

- Wszystko jest względne - sprzeciwiła się Sarha. - Mają mnóstwo Mosdva do tej roboty.

- Zastanawiam się, w jakim stopniu dominia polegają na wzajemnym handlu - wtrącił Parker. - Quantook-LOU mówił, że pobierają wysokie opłaty za ładunki transportowane przez terytorium Anthi-CL do wewnętrznych dominiów, ale przecież muszą dbać o ciągły napływ surowców. Jeśli ich zabraknie, rury zaczną się rozpadać. Podejrzewam, że wewnętrzne dominia bardzo stanowczo zareagowałyby na podobną groźbę.

- Naliczyliśmy w Todzolt-HI osiemdziesiąt martwych obszarów - oznajmiła Beaulieu. - Prawie trzysta procent całego terytorium.

- Aż tyle? To by sugerowało, że ich społeczeństwo przeżywa kryzys, być może nawet chyli się ku upadkowi.

- Poszczególne dominia mogą upadać, ale społeczeństwo jako całość ma się nieźle - sprzeciwił się Ruben. - Powiedzmy sobie szczerze, w Konfederacji też są światy, które nie rozwijają się zbyt dobrze, a mimo to niektóre z naszych kultur rozkwitają. Co więcej, żaden z sektorów krawędzi nie zginął. Uważam, że to ważny fakt.

- Martwe sektory stanowią właśnie drugi ośrodek zewnętrznej aktywności - uzupełnił Liol. - Wygląda na to, że prowadzi się tam prace rekonstrukcyjne na wielką skalę. Dominia, które się nimi zajmują, z pewnością nie chyli się ku upadkowi. Powiększają swe terytorium kosztem dawnych

sąsiadów.

- Mogę się zgodzić, że ich społeczeństwo jest porównywalne do naszego - odezwała się Syrinx. - Czy w związku z tym powinniśmy im dać technologię ZTT?

- W zamian za almanach sprzed dziesięciu tysięcy lat? Chyba żartujesz - obruszył się Joshua. - Quantook-LOU jest inteligentny. Zorientowałby się, że coś tu śmierdzi. Proponuję, byśmy rozpoczęli wymianę danych astronawigacyjnych, równoległe do umów handlowych, które zawrzemy. W końcu oni nigdy nie widzieli, co leży po drugiej stronie mgławicy. Jeśli oferujemy im szansę wyrwania się z przestrzeni opanowanej przez Tyrataków, będą się musieli dowiedzieć, co tam znajdują.

- Już wam mówiłem, że ZTT nie jest żadnym wyjściem - zaprotestował Ashly.

- Nie dla proli - zgodził się Liol. - Ale może być użyteczny dla przywódców razem z ich rodzinami, klanami czy stronnikami politycznymi. A to z przywódcami musimy się dogadać.

- Czy naprawdę chcemy zostawić za sobą takie dziedzictwo? - Zapytał cicho Peter Adul. - Groźbę walk wewnętrznych i międzygwiazdowego konfliktu?

- Nie próbuj moralizować - odburknął Liol. - Kto jak kto, ale ty nie masz do tego prawa. Nie możemy sobie pozwolić na etyczne dylematy. Chodzi o przetrwanie naszego gatunku i jestem gotowy uczynić wszystko, co będzie konieczne.

- Jeśli rzeczywiście zamierzamy prosić Boga o pomoc, może powinieneś zastanowić się nad tym, czy uzna nas za godnych.

- A co, jeśli on uważa niszczenie wrogów za szlachetny uczynek? Przypisujesz mu bardzo ludzkie motywacje. Tyratakowie tak nie postępowali.

- W tym rzecz - wtrącił Dahybi. - Teraz, gdy już wiemy, w jaki sposób Tyratakom udało się stworzyć cywilizację, choć są całkowicie pozbawieni wyobraźni; czy wpływa to na naszą analizę Śpiącego Boga?

- Obawiam się, że to mówi nam bardzo niewiele - odparł Kempster. - Sądząc z tego, co o nich wiemy, podejrzewam, że gdyby Śpiący Bóg nie opowiedział im o sobie, Tyratakowie ze Swantik-LI nie mieliby pojęcia, z czym mają do czynienia. Nazywając go Bogiem, wykazali się typową dla siebie prawdomównością. Najprostsze tłumaczenie tego pojęcia to "coś tak potężnego, że nie jesteśmy w stanie tego zrozumieć".

- W jakim stopniu napęd ZTT zmieni społeczeństwo miasta-dysku? - Zapytała Syrinx.

- W znacznym - odparł Parker. - Jak mówił Samuel, zmieniliśmy je już przez sam fakt swego przybycia. Pokazaliśmy mieszkańcom Todzolt-HI, że można ominąć przestrzeń opanowaną przez Tyrataków. Ponieważ Mosdva są gatunkiem intelektualnie podobnym do nas, musimy przyjąć założenie, że prędzej czy później odkryją tę metodę. Możemy co najwyżej przyspieszyć ową chwilę. A jeśli damy im napęd ZTT, możemy zyskać życzliwość przynajmniej jednej frakcji starego, utalentowanego gatunku. Uważam, że powinniśmy zrobić, co w naszej mocy, by zdobyć przyjaźń Mosdva. W końcu wiemy, że ZTT i pola dystorsyjne jastrzębi nie są szczytem możliwości w dziedzinie podróży międzygwiazdnych. Kiintowie znają teleportację.

- Są jakieś inne opcje? - Zapytała Syrinx.

- Widzę w sumie cztery - odparł Samuel. - Możemy spróbować zdobyć almanach drogą wymiany handlowej. Możemy użyć siły. - Przerwał, by uśmiechnąć się przepaszająco do pozostałych edenistów, dostrzegając ich dezaprobatę. - Przepraszam - rzekł. - Musiałem o tym wspomnieć, bo mamy taką możliwość i powinniśmy ją rozważyć. Nasza broń zapewne jest doskonalsza, a nasze oprogramowanie powinno sobie poradzić z ekstrakcją zapisów z ich komórek pamięci.

- Jeśli to zrobimy, to tylko w ostateczności - stwierdziła Syrinx.

- W pełni się zgadzam - poparł ją Joshua. - Ta kultura toczy wojny o dostępną masę na skalę, jakiej dotąd nie oglądaliśmy. Ich broń może być mniej zaawansowana od naszej, ale mają jej cholernie dużo, a "Lady Makbet" znajduje się na linii strzału. Jakie są dwie pozostałe możliwości?

- Jeśli Quantook-LOU nie okaże się skłonny do współpracy, znajdziemy inne dominium, które zgodzi się nam pomóc. Ostatnia opcja to wariant poprzedniej. Odlecimy na poszukiwania kolonii Tyrataków.

- Udało się nam nawiązać niezły kontakt z Quantook-LOU i dominium Anthi-CL - zauważyła Sarha. - Uważam, że nie powinniśmy z tego rezygnować. Nie zapominajcie, że czas również ma znaczenie i że przybyliśmy tu po nieudanej próbie porozumienia z Tyratakami.

- Zgoda - poparła ją Syrinx. - Na razie będziemy się trzymać taktyki Joshui. Spróbujemy zawrzeć dużą umowę handlową i otrzymać almanach jako dodatek.

Joshua wrócił do miasta-dysku z tą samą ekipą, którą zabrał tam po raz pierwszy. Tym razem zaprowadzono ich prosto do prywatnej szklanej bańki Quantook-LOU.

- Znalazłeś na statku jakieś przedmioty, które możesz oferować na sprzedaż, kapitanie Joshua Calvert? - Zapytał Mosdva.

- Tak sędzę - odparł Joshua, rozglądając się po komorze. Jej przejrzyste ściany pokrywały pąkle obcej maszynierii. Ogarnął go lekki niepokój. Coś tu się zmieniło. Jego neuronowy nanosystem porównał obecny obraz z zarejestrowanym w pliku pamięci wizualnej. - Nie jestem pewien, czy to ma znaczenie - powiedział swojej załodze w paśmie afinicznym - ale część urządzeń przytwierdzonych do tych rurek wygląda teraz inaczej.

- Widzimy je, Josh - zapewnił Liol.

- Ktoś wie, co to może oznaczać?

- Nie odbieram żadnych emisji - stwierdziła Oski. - Ale otaczają je silne pola magnetyczne i z pewnością zawierają czynne urządzenia elektroniczne.

- Broń energetyczna?

- Nie jestem pewna. Nie widzę nic, co mogłoby być dyszą, a pole magnetyczne nie odpowiada produkowanemu przez baterie. Podejrzewam, że przerobili całą komorę na skaner rezonansu magnetycznego. Jeśli ich detektory faz kwantowych są wystarczająco czułe, zapewne sądzą, że pozwolą im zajrzeć do środka naszych skafandrów.

- A pozwolą?

- Nie. Nasze osłony powstrzymają wszelkie próby tego rodzaju. Ale to niezły pomysł.

- Zbadaliście procesor, który wam dałem? - Zapytał Joshua.

- Poddaliśmy go próbom - odparł Quantook-LOU. - Zastosowano w nim radykalne rozwiązania, ale jesteśmy przekonani, że potrafimy go skopiować.

- Mogę wam zaoferować bardziej zaawansowane procesory. Mamy też akumulatory zdolne przechowywać energię elektryczną o bardzo wysokiej gęstości. Możemy wam również zaoferować formułę supersilnych wiązań cząsteczkowych, która byłaby dla was bardzo użyteczna, ponieważ cierpicie na brak masy.

- Ciekawe. A co chcielibyście otrzymać w zamian?

- Widzieliśmy, jak wasz statek wracał z wnętrza słońca. Wasza technologia rozpraszania ciepła byłaby dla nas nadzwyczaj użyteczna.

Negocjacje zaczęły się pomyślnie. Joshua i Quantook-LOU zaczęli wymieniać listy technologii oraz metod produkcji. Trudność polegała na zachowaniu równowagi: Czy kryształ pamięci optycznej był wart więcej czy mniej niż błona chroniąca metalowe powierzchnie przed ablacją w próżni? Czy niskoenergetyczny proces filtracji węgla odpowiadał wartością supersilnym

magnesom?

Podczas rozmowy Oski monitorowała nowe moduły ułożone na ścianach. Ich pola magnetyczne zmieniały się z każdą chwilą, omiatając wnętrze bańki. Żadnemu z nich nie udało się jednak przeniknąć do wnętrza skafandrów. Natomiast jej czujniki z łatwością wykrywały rezonanse tworzone przez pola wewnątrz ciał Mosdva. Powoli udało się jej utworzyć trójwymiarowy obraz ich wewnętrznej struktury, trójkątnych płyt kostnych oraz tajemniczych narządów. Doszła do wniosku, że kryje się w tym przyjemna ironia. Po czterdziestu minutach pola magnetyczne nagle wyłączono.

Liol nie poświęcał zbyt wielkiej uwagi negocjacjom. Oboje z Beaulieu zajęli się przeglądaniem danych napływających z satelitów obserwacyjnych. Przystosowali już podprogramy obserwacyjne do nowych warunków i przekonali się, że na ciemnej stronie panuje intensywny ruch. Wszędzie krążyły pociągi, poruszające się po prostej sieci linii. Olbrzymie, pełne cysterny posuwały się od krawędzi ku środkowi, wyładowywały zawartość w przemysłowych modułach, a po opróżnieniu wracały na krawędź. Pociągi towarowe rozwoziły na wszystkie strony artykuły produkowane w modułach. Liol i Beaulieu skłaniali się ku pogładowi, że mogą one nawet być niezależnymi karawanami handlowymi, bez końca krążącymi po dominiach. Joshua nie zapytał dotąd, czy Mosdva znają pieniądze, czy też zadowolają się handlem wymiennym.

- Kolejny wyciek - zauważyła Beaulieu. - Tylko siedemdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie jest kapitan.

- Chryste, to już trzeci dziś rano. - Liol polecił najbliższemu satelitom skupić instrumenty na wycieku. W płynącym ku mgławicy strumieniu gazu unosiły się kule płynu. Miotły się w nich czarne jak heban sylwetki, lśniące jasno w podczerwieni. Ich ruchy stawały się coraz wolniejsze, w miarę jak oddalały się od powierzchni. - Można by pomyśleć, że po tak długim czasie nauczą się budować solidniej. Z innymi sprawami radzą sobie całkiem nieźle. Z pewnością nie chciałbym żyć w cieniu podobnej groźby. To gorsze, niż zbudować dom na stoku wulkanu. - Jego podświadomość nie chciała zapomnieć o sprawie. Coś tu było nie w porządku. Przebiccia zdarzały się zbyt często. Przeliczył to pośpiesznie w neuronowym nanosystemie.

- Hej, koledzy, jeśli awarie są aż tak częste, całe miasto-dysk rozleci się za siedem lat. A przecież wziąłem sporą poprawkę na prace remontowe.

- Musiałeś popełnić jakiś błąd - zauważył Kempster.

- Albo nie mamy do czynienia z typowymi wydarzeniami.

- Znowu przebicie - zawołała Beaulieu. - W tej samej sieci, zaledwie sto metrów od poprzedniego.

Stojąca na mostku "Oenone" Syrinx obrzuciła Rubena zaniepokojonym spojrzeniem.

- Sprawdź zapis obrazu wszystkich satelitów obserwacyjnych - rozkazała. - Musimy się dowiedzieć, co się działo w miejscach, gdzie doszło do przebiccia, na krótko przed katastrofą.

Ruben, Oxley i Serina skinęli jednocześnie głowami. Ich umysły połączyły się z technobiotycznymi procesorami pamięci satelitów.

- Powiemy Joshui? - Zapytał Ashly.

- Jeszcze nie - odparła Syrinx. - Nie chcę go niepokoić. Upewnijmy się najpierw, czy zdołamy potwierdzić przyczynę.

Po godzinnych negocjacjach Joshua i Quantook-LOU sporządzili listę dwudziestu obiektów przeznaczonych do wymiany. Miała to być głównie informacja, sformatowana w cyfrowym standardzie używanym przez Mosdva, z pojedynczym przykładem opisywanego urządzenia na dowód, że tekst nie zawiera czcnych przechwałek.

- Chciałbym teraz przejść do czystych danych - ciągnął Joshua. - Jesteśmy zainteresowani

wszystkimi informacjami do tyczącymi waszej historii, jakie jesteście skłonni ujawnić, a także obserwacjami astronomicznymi, zwłaszcza dotyczącymi ekspansji waszego słońca, wszelkiego rodzaju znaczącymi osiągnięciami kultury, matematyką oraz biochemiczną strukturą waszych roślin. A także innymi sprawami, jeśli się zgodzicie.

- Czy po to właśnie tu przybyliście? - Zapytał Quantook-LOU.

- Nie rozumiem.

- Okrążyliście mgławicę, sami przyznajecie, że pokonaliście tysiąc sześćset lat świetlnych. Byliście przekonani, że mieszkają tu jedynie Tyratakowie, i twierdzicie, że przybyliście tu wyłącznie w celach handlowych. Nie wierzę. Opłaczalne stosunki handlowe między nami nie są możliwe. Odległość jest za duża. Wystarczyłyby dwie albo trzy wizyty podobne do waszej, by wyrównać różnice poziomu. Wasza technologia jest nieporównanie bardziej zaawansowana, do tego stopnia, że nawet nie potrafimy zajrzeć do wnętrza waszych skafandrów, by się upewnić, czy rzeczywiście jesteście tym, za kogo się podajecie. Czyli nie potrzebujecie naszej pomocy, by zrozumieć i skopiować wszelkie urządzenia, jakie tu zobaczycie. W praktyce oznaczałoby to, że wręczycie nam za darmo mnóstwo darów. A przecież nie kieruje wami altruizm. Udajecie, że przybyliście tu w celach handlowych. Uparcie staracie się wydobyć od nas informacje. Dlatego musimy was zapytać, po co naprawdę przybyliście w okolice tej gwiazdy?

- O Jezu - mruknął Joshua na bezpiecznym paśmie łączności.

- Wcale nie jestem taki sprytny, jak mi się zdawało.

- Wygląda na to, że to samo można powiedzieć o nas wszystkich - zauważyła Syrinx. - Cholera, bez trudu przejrzał naszą strategię.

- A to samo w sobie jest użyteczną informacją - zauważył Ruben.

- Dlaczego?

- Wartość wszystkiego w Anthi-CL przelicza się na surowce. Quantook-LOU kieruje ich dystrybucją, co oznacza, że sprawuje władzę w dominium. Jest też twardym negocjatorem i świetnym dyplomata. Jeśli te właśnie cechy czynią go dobrym przywódcą, potwierdza to, że między dominiami istnieje ostra rywalizacja. Możemy nadal mieć szansę. Skoro szydło i tak już wyszło z worka, sugeruję szczerą, Joshua. Powiedz mi, czego chcemy. W końcu co mamy do stracenia?

Joshua zaczerpnął tchu. Choć wywód Rubena brzmiał przekonująco, nie potrafił się zdobyć na to, by uzależnić powodzenie całej misji od szczodrości ksenobionta, zwłaszcza że nie udało im się potwierdzić niemal nic z tego, co Mosdva opowiedzieli im o historii Mastrit-PJ, a nawet o własnej naturze.

- Gratuluję, Quantook-LOU - powiedział do gospodarza.

- Wykazałeś się wielkimi umiejętnościami dedukcji, biorąc pod uwagę, jak niewiele miałeś informacji. Choć nie do końca masz rację. Kilka waszych technologii zapewni mi w Konfederacji znaczne zyski.

- Po co tu przybyliście?

- Z powodu Tyrataków. Chcemy się dowiedzieć, gdzie przebywają, jak daleko sięgają ich wpływy i ilu ich jest.

- A po co?

- W obecnej chwili Konfederacja koegzystuje z nimi pokojowo, ale nasze przywództwo jest przekonane, że ta sytuacja nie może trwać wiecznie. Wiemy, że podczas swych wędrówek podbili wiele rozumnych gatunków, obracając je w niewolników, jak zrobili to z wami, albo eksterminując je całkowicie. Na szczęście mamy nad nimi przewagę technologiczną, więc nie stali się dla nas natychmiastowym zagrożeniem. Jednakże mają już nasz system napędu i jeśli nie powstrzymają

ekspansji, konflikt jest nieunikniony. Mogą się posuwać tylko ku krawędzi Galaktyki, przez nasze światy. Jeśli się dowiemy, jak daleko sięga ich władanie, będziemy mogli położyć kres zagrożeniu, dopóki nasze statki pozostają doskonalsze.

- Na czym polega ten system napędu? Jak szybko latają wasze statki?

- Przeskakują natychmiastowo między układami gwiazdnymi.

Reakcja Quantook-LOU wydała się Joshui niemal ludzka. Ksenobiont pisnął przeraźliwie, tłukąc gwałtownie przednimi i środkowymi kończynami w przód tułowia.

- Całe szczęście, że nie mam w torbie jaj, bo z pewnością by popękały - wyznał Quantook-LOU, gdy już się uspokoił.

Czyżby był torbaczem? - Pomyślał Joshua.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co oznacza twój statek, kapitanie Joshuo Calvert? Jesteście dla nas wybawieniem. Orbitujemy wokół umierającej gwiazdy i ze wszystkich stron otaczają nas wrogowie. Nie mieliśmy żadnych szans na ucieczkę. Ale teraz to się zmieniło.

- Jak rozumiem, pragnęlibyście zdobyć nasz napęd?

- Tak. Bardziej niż cokolwiek innego. Przyłączymy się do waszej Konfederacji. Widziałeś, ilu nas jest i jak wiele potrafimy. Choć dysponujemy tylko ograniczonymi zasobami, jesteśmy wielcy i potężni. Możemy zbudować milion okrętów wojennych, sto milionów; wyposażyć wszystkie w nasz napęd. Tyratakowie są powolni i głupi, nie zdążą nam dorównać. Wspólnie wyruszymy na krucjatę, która uwolni Galaktykę od tego zła.

- Jezu - zawołał Joshua na bezpiecznym kanale. - Coraz lepiej. Jeśli damy Mosdva technologię ZTT, sprowokujemy kampanię eksterminacyjną na kosmiczną skalę. Podejrzewam też, że Quantook-LOU nie pozwoli nam wrócić na "Lady Makbet", dopóki nie otrzyma potrzebnych danych.

- Moglibyśmy się przestrzelić przez ścianę bańki - zaproponował Samuel. - Wydostać się na zewnątrz i poczekać, aż zabierze nas "Lady Makbet".

- To nie będzie konieczne - uspokoił go Liol. - Możemy mu dać dowolny syf. Choćby schemat urządzenia do produkcji lodów w dziesięciu smakach. Zanim się połapie, będziemy już daleko.

- Widać, że jesteś moim bratem.

- Dobra, w tej chwili masz poważniejsze problemy. Wygląda na to, że między dominiami wybuchł konflikt zbrojny. Doszło do kolosalnej liczby przebić struktury.

- Kurwa, rewelacyjnie. - Joshua rozejrzył się po komorze. Jej rozbitcie nie nastęczyłoby zbyt trudności. Nigdy też nie widział Mosdva w skafandrze kosmicznym. Jak dotąd.

- Jestem gotów oferować wam nasz napęd - poinformował Quantook-LOU. - W zamian muszę otrzymać wszystkie informacje dotyczące statków Tyraków oraz skolonizowanych przez nich układów gwiazdnych, jakimi dysponujecie. To nie podlega negocjacji. Od tysiącleci wysyłali wiadomości do tego układu. Chcę dostać je wszystkie, wraz z systemem współrzędnych, jakiego używali. Jeśli mi to dacie, otrzymacie w zamian swobodę poruszania się po Galaktyce.

- Te informacje trudno będzie zdobyć. Dominium Anthi-CL nie przechowuje zbyt wielu starożytnych danych na temat Tyraków.

- Być może inne dominia będą mogły mi je dać.

Czujniki skafandra Joshui zarejestrowały nerwowe poruszenia siedmiu pozostałych przebywających w pomieszczeniu Mosdva.

- Nie będziecie prowadzić handlu z innymi dominiami - zapowiedział Quantook-LOU.

- W takim razie odnajdź te informacje i sprzedaj je nam.

- Zbadam tę możliwość.

Quantook-LOU złapał dłonią środkowej kończyny za rurę biegnącą po powierzchni bańki. Z

pięciu elektronicznych modułów na jego uprząży wysunęły się cienkie, srebrzyste przewody. Ich końcówki zatańczyły na oślepie w powietrzu, a potem skierowały się ku jednemu z przytwierdzonych do rury urządzeń, wijąc się niczym węże.

Przewody wsunęły się do rozmaitych gniazdek i układ świateł na powierzchni urządzenia zmienił się w jednej chwili.

- Proste, ale skuteczne - zauważył Ruben. - Zastanawiam się, jak bardzo zaawansowana jest ich technologia interfejsu neuronowego.

- Kapitanie - odezwała się Beaulieu. - Widzimy coś, co wygląda na ruchy wojsk na terenie dominium Anthi-CL.

- Nie gadaj głupot.

- Po strukturach ciemnej strony posuwają się Mosdva w skafandrach kosmicznych. Nie mają żadnych narzędzi ani sprzętu remontowego. Są nadzwyczaj zręczni.

Joshua nie chciał nawet pytać, jak wielka była ich liczba.

- Sarha, przejdź, proszę, w stan gotowości do lotu. Jeśli będziesz nam potrzebna, to zaraz.

- Jak długo mamy czekać? - Zapytała Oski.

- Dajmy Quantook-LOU jeszcze piętnaście minut. Potem zwiewamy.

Mosdva poruszył się jednak po zaledwie dwóch minutach. Trzy z pięciu przewodów odłączyły się i schowały z powrotem do modułów.

- Dominium Anthi-CL posiada pięć plików zawierających potrzebne wam informacje.

Joshua uniósł blok nadawczo-odbiorczy.

- Przekaż je. Zobaczymy, czy to wystarczy.

- Przekażę wam tylko indeks. Jeśli was zadowoli, omówimy kwestię dokończenia wymiany.

- Zgoda.

Jego neuronowy nanosystem zarejestrował krótki przekaz danych z elektronicznych systemów bańki do bloku. Syrinx i "Oenone" zbadali je pośpiesznie.

- Nic z tego, Joshua - odezwała się Syrinx. - To tylko zapisy komunikatów przesłanych przez arki. Standardowe relacje z przebiegu podróży. Nie ma tam nic interesującego.

- Czy są jakieś przekazy od Swantik-LI?

- Nie, nawet tu nie uśmiechnęło się do nas szczęście.

- Ta informacja na nic nam się nie zda - oznajmił Joshua.

- To wszystko, co mamy - odparł Quantook-LOU.

- Tylko pięć plików w całym Todzolt-HI? Musi być ich więcej.

- Nie ma.

- Może inne dominia nie dają wam dostępu do swoich baz danych? Czy dlatego prowadzicie wojnę?

- To wy ją na nas ściągnęliście. Przez was giniemy. Dajcie nam napęd. Zakończcie nasze cierpienia. Czy wasz gatunek nie zna współczucia?

- Muszę zdobyć tę informację.

- Nie ma już znaczenia, gdzie mieszkają Tyratakowie i jakie planety skolonizowali. Jeśli zdobędziemy wasz napęd, nigdy już wam nie zagroją. Osiągniecie swój cel.

- Nie mogę dać wam napędu, jeśli nie otrzymam tej informacji. Skoro nie potraficie mi jej dać, znajdę dominium, które to zrobi.

- Nie możecie handlować z innymi dominiami.

- Nie chcę, żeby nasza znajomość zakończyła się groźbami, Quantook-LOU. Proszę, znajdź dla mnie te dane. Sojusz z innym dominium z pewnością nie jest zbyt wysoką ceną za wolność dla

wszystkich Mosdva.

- Jest w Todzolt-HI takie miejsce - przyznał Quantook-LOU. - Informacje, których szukacie, mogą się tam znajdować.

- Znakomicie. Połącz się z nim i zawrzyj umowę. Anthi-CL otrzymało od nas tak wiele nowych technologii, że mogłoby kupić drugie dominium w całości.

- Tamto miejsce nie ma łączności z dominiami. Wykluczaliśmy je dawno temu.

- Dobra, pora się z nimi przeprosić. Udamy się tam i osobiście odbiorę dane.

- Nie mogę was zabrać poza nasze granice. Nie wiem już, komu z naszych sojuszników możemy ufać. Nie wiadomo, czy przepuszczą nasz pociąg.

- Zapominasz, że już raz zaprosiłem cię na nasz statek. Polecimy. Tak będzie szybciej.

*

Valisk nadal spadał przez mroczne kontinuum. Czarną mgławicę, która ich otaczała, od czasu do czasu przeszywały blade błyski fosforescencji oświetlające niewyraźnym blaskiem powłokę olbrzymiego habitatu. Gdyby ktokolwiek to obserwował, zasmuciłby go kiepski stan całości. Dźwigary i metalowe płyty przeciwbrotowego kosmodromu rozsypywały się ze starości, a na peryferiach portu stała materia przeradzała się w płynący ospale płyn. Z zerodowanych końcówek tytanowych prętów skapywały wielkie krople, umykając w głąb mgławicy.

Polipowa powłoka bardzo ucierpiała od straszliwego chłodu. Wewnętrzne ciepło rozpraszało się szybciej, niż można je było uzupełnić. Na całej powierzchni pojawiały się wąskie pęknięcia, niektóre z nich sięgały aż do zewnętrznej warstwy mitotycznej. Tu i ówdzie sączył się z nich gęsty jak smoła płyn, pokrywający zewnętrzną powłokę plamami niezdrowej czerni. Od czasu do czasu od brzegu nowej szczeliny odrywał się płatek polipa, który niemrawo oddalał się od habitatu, jakby prędkość również odczuwała skutki wzrostu entropii. Co gorsza, z wybitych okien drapacza gwiazd bezustannie tryskało dwanaście strumieni powietrza. Już od wielu dni habitat otaczały fontanny zamrożonego gazu, służące jako drogowskaz dla kolejnych Orgathe, którzy wylaniali się z labiryntowego wnętrza mgławicy. Olbrzymie stwory przeciskały się do środka, blokując na kilka sekund wypływ powietrza.

Erentz i jej kuzyni świetnie zdawali sobie sprawę z ucieczki atmosfery, ale nie mogli w żaden sposób jej powstrzymać. Mroczne wnętrze habitatu należało do Orgathe i innych istot, jakie ze sobą sprowadzili. Teoretycznie ludzie mogli dotrzeć do drapaczy gwiazd tunelami metra albo rurami doprowadzającymi wodę, lecz gdyby nawet udało im się zatkać część dziur, nowi Orgathe po prostu wybiją kolejne okna.

Pięć jaskiń ukrytych głęboko w północnej czapie biegunowej stało się ostatnim azylem dla ocalałych ludzi. Wybrali je dlatego, że do każdej z nich wiodły tylko dwa wejścia. Obrońcy przyjęli strategię Horacjusza. Grupa ludzi uzbrojonych w miotacze ognia oraz wyrzutnie pocisków zapalających stała bok przy boku, wypełniając korytarz ogniem, gdy tylko któraś z istot próbowała się przedrzeć. Ludzkie duchy trzymały się podczas bitew z tyłu, czekając, aż stwór się wycofa. Dopiero potem wysuwały się naprzód, by pochłaniać lepki płyn pozwalający im odzyskać postać materialną. Nawiązały niezwykle sojusz z żywymi ludźmi i ostrzegały ich, gdy tylko zbliżała się kolejna istota z ciemnego kontinuum. Żaden z nich nie dał się jednak namówić, by zrobić coś więcej.

- Właściwie nie mogę mieć do nich pretensji - oznajmił Toltonowi Dariat. - Jesteśmy dla tych istot celem w takim samym stopniu jak wy.

Dariat był jednym z bardzo niewielu materialnych duchów, którym pozwolono schronić się w jaskiniach, a nawet on wolał się kryć w małej komorze, z której korzystali doktor Patan i jego ekipa, zamiast narażać się na kontakt z masą chorych, przerażonych uchodźców.

Osobowość habitatu oraz ocalali kuzyni Rubry podporządkowali swe wysiłki celowi obrony ekipy fizyków. Jedyną nadzieją było dla nich wysłanie do Konfederacji sygnału wzywającego pomocy. Biorąc pod uwagę, w jakim stanie był habitat, mieli bardzo niewiele czasu.

Tolton bał się pytać o to, jakie poczynili postępy. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo. Dlatego dotrzymywał towarzystwa Dariatowi, rozkładając śpiwór w korytarzu pod drzwiami sali fizyków. Chciał być tak blisko ich ostatniej szansy, jak to tylko możliwe. Osobowość albo Erentz zlecali mu czasem jakieś zadanie i wtedy musiał wracać do wielkiej jaskini. Z reguły chodziło o to, by przesunąć jakiś ciężki sprzęt albo pomóc w rozdzielaniu skąpych racji. Rozbierał też i czyścił wyrzutnie pocisków, dziwiąc się, jak dobrze sobie radzi z podobnym, czysto mechanicznym zadaniem. Oznaczało to jednak również, że wiedział, jak małe są ich zapasy amunicji.

- Ale to i tak nie ma znaczenia - poskarżył się Dariatowi, rozkładając śpiwór w korytarzu po całym dniu spędzonym na czyszczeniu broni. - Znacznie szybciej zginiemy z braku powietrza.

- Ciśnienie spadło już o całe dwadzieścia procent. Gdyby udało się nam uszczelnić drapacze gwiazd, nasze szanse znacznie by wzrosły.

Tolton zaczerpnął głęboko tchu i powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Nie wiem, czy rzeczywiście już czuję, że powietrze jest rzadsze, czy to tylko wytwór wyobraźni. Zadanie dodatkowo utrudnia mi ten smród bijący zza drzwi.

- Węch jest jedynym zmysłem, którego nie odzyskałem.

- Uwierz mi, w tym przypadku to błogosławieństwo. Tysiąc chorych ludzi, którzy od miesiąca się nie myli. Zdumiewa mnie, że Orgathe nie uciekli z wrzaskiem.

- Nie zrobią tego.

- Czy możemy ich jakoś powstrzymać?

Dariat przykucnął.

- Osobowość rozważa możliwość napompowania tuby świetlnej.

- Napompowania?

- Chce zużyć całą dostępną energię, by podgrzać plazmę, a potem wyłączyć pole. Raz już to zrobiliśmy, na małą skalę. Teoretycznie wszystkie złożone z płynu istoty w głównej komorze habitatu powinny obrócić się w parę.

- No to zróbcie to - wysyczał Tolton.

- Po pierwsze, nie zostało nam zbyt wiele energii. Po drugie, boimy się zimna.

- Zimna?

- Valisk wypromieniowywał ciepło już od chwili, gdy dotarliśmy do tego przekłętego przez Toalego królestwa. Powłoka stała się bardzo krucha. Napompowanie tuby świetlnej byłoby jak wybuch bomby wewnątrz habitatu. Mogłaby pęknąć.

- Rewelacja - mruknął Tolton. - Po prostu, kurwa, rewelacja. - Musiał cofnąć nogi, gdyż korytarzem szło trzech ludzi dźwigających sporych rozmiarów mikrogenerator termojądrowy. - A więc nici z pompowania? - Zapytał, gdy przeszli.

Dariat zmarszczył brwi, obserwując trójkę.

- Co oni robią? - Zapytał osobowość.

- Z powrotem zainstalują generator na pokładzie "Hainan Thunder".

- A po co?

- Myślałem, że to oczywiste. Trzydziestu z nich chce odlecieć stąd w cholerę.

- Których trzydziestu? - Zapytał rozgniewany Dariat.

- Czy to ważne?

- Dla pozostałych tak. I dla mnie również.

- Przetrywają najsilniejsi. Nie powinieneś się skarżyć, miałeś niezłe życie.

- Co im to da? Wszystkie te statki to właściwie wraki. Nawet jeśli uda się im uruchomić napęd, dokąd polecą?

- Jak najdalej stąd. Kadłub "Hainan Thunder" jest nietknięty, tylko pianka ochronna złązi.

- Jak dotąd. Entropia w końcu go zeżre i cały statek się rozleci. Wiesz, że mam rację.

- Wiemy też, że węzły modelujące działają prawidłowo. Może uda się ukształtować sygnał, który dotrze do Konfederacji. Jakiś impuls energii, który zdoła się przebić.

- Święty Ansrdzie, czy nie zostało nam już nic innego?

- Nie zostało. Zadowolony?

- Potrzebują tego generatora w zbrojowni - oznajmił na głos Dariat. - Ich zapasy mocy się wyczerpują.

Nie mógł spojrzeć ulicznemu poecie w oczy. Tolton chrząknął obojętnie i naciągnął sobie spiwór na ramiona. Gdy wypuścił powietrze z płuc, jego oddech zamienił się w białą parę.

- Cholera, miałeś rację z tym zimnem.

- Czy Tolton może polecieć z nimi? - Zapytał Dariat.

- Przykro nam.

- Daj spokój, jesteś mną. Przynajmniej jakaś część ciebie. Jesteś mi winien przynajmniej tyle. Co więcej, to on wydostał naszych kuzynów z pola zerowego.

- Wydaje ci się, że będzie chciał lecieć? W jaskiniach siedzą tysiące dzieci. Czy minie je spokojnie, zamiast zaproponować zamianę miejsc?

- Niech to szlag!

- Jeśli na pokładzie znajdzie się jakiś symboliczny cywil, nie będzie nim on.

- Już dobra, dobra, wygrałeś. Cieszysz się?

- Pani Czi-Ri nie pochwała goryczy.

Dariat skrzywił się ze złością, ale nie odpowiedział ani słowem. Wniknął w administracyjne procesy myślowe warstw neuronowych, by przyjrzeć się statkom, które nadal cumowały w kosmodromie. Większa część tamtejszej sieci czujników optycznych przestała działać. Czynnych było tylko siedem. Dariat wypatrzył za ich pomocą cztery gwiazdoloty oraz siedem wahadłowców. "Hainan Thunder" był w najlepszym stanie ze wszystkich.

- Zaczekaj chwilkę - odezwała się osobowość.

Potężne zaskoczenie słyszalne w tej myśli było czymś tak niezwykłym, że wszyscy, którzy mieli zdolności afiniczne, przerwali bieżące czynności, żeby sprawdzić, co się stało. Wszyscy wspólnie obejrzeliby obraz pochodzący od kilku ocalałych zewnętrznych komórek zmysłowych.

Valisk dotarł do końca mgławicy i opuszczał ją stopniowo. Granica była ostro zarysowana, jakby wysuwali się z ławicy chmur w atmosferze. Płaszczyzna kłębiącej się ospale mgły ciągnęła się na wszystkie strony, tak daleko, jak tylko potrafiły sięgnąć wzrokiem komórki zmysłowe. Między matowymi, obrzmiałymi sznurami tańczyły błyski bladego światła przywodzące na myśl niemrawe zakłócenia.

Za mgławicą ciągnął się szeroki na około sto kilometrów pas całkowicie pustej przestrzeni.

- Co to jest? - Zapytała dziwnie przybita osobowość.

Za przerwą rozpościerała się druga płaska powierzchnia, równoległa do mgławicy i równie rozległa jak ona. Miała siwą barwę i sprawiała wrażenie stałej materii.

Podprogramy interpretacji obrazu skupiły się na nowym obiekcie. Cała płaszczyna pulsowała lekko, lecz niepowstrzymanie.

- Melanz - odpowiedział Dariat. Gdy wróciły urywki wspomnień przejętych od spotkanego w

szybie stworzenia, jego fałszywe ciało zadrżało ze strachu. - Tu właśnie prędzej czy później trafia wszystko w tym królestwie. To koniec. Wieczny koniec.

- Natychmiast wystrzelcie "Hainan Thunder" - rozkazała przerażona osobowość. - Patan, ewakuuj się ze swoimi ludźmi. Wyślijcie wiadomość do Konfederacji.

- Co się dzieje? - Zapytał zdziwiony Tolton, rozglądając się po korytarzu. Z pracowni fizyków dobiegły bliskie hysterii krzyki oraz brzęk tłuczonego szkła laboratoryjnego.

- Mamy kłopoty - wyjaśnił Dariat.

- A do tej pory co mieliśmy? - Ciągnął Tolton. Starał się zachować dobry humor, ale wyraźnie widoczny strach ducha znacznie utrudniał mu zadanie.

- Do tej pory żyliśmy w raju. Teraz zacznie się piekło. Osobiste i wieczne.

Uliczny poeta zadrżał.

- Pomóż nam - błagał Dariat. - Zlituj się, przecież jestem tobą. Jeśli istnieje choć najmniejsza szansa ocalenia, wykorzystaj ją.

Pasma afiniczne wypełnił nagle strumień informacji, która zalała jego umysł z bolesną intensywnością. Czuł się tak, jakby coś zmuszało jego myśli do przebadania każdego centymetra sześciennego olbrzymiego habitatu. Rozciągnęło je to tak bardzo, że w każdej chwili mogły się rozerwać. Strumień zatrzymał się równie nagle, jak się zaczął, gdy świadomość ducha splotła się ze świadomością osobowości. Spojrzeli razem na wrzeciono łączące habitat z przeciwoobrotowym kosmodromem. Podobnie jak większość metalowych i kompozytowych elementów habitatu, padło ofiarą rozkładu. Jednakże obok podstawy, tuż nad potężnym magnetycznym sygnalizatorem pograżonym głęboko w polipie, czekało pięć szalup ratunkowych ukrytych w swych stanowiskach.

- Idźcie - poleciła osobowość.

- Za mną - warknął do Toltona Dariat i ruszył truchtem w stronę wyjścia do głównej pieczary, tak szybko, jak tylko pozwalała jego wielka masa. Tolton zerwał się bez chwili wahania i podążył za duchem.

W głównej pieczarze panował chaos. Uchodźcy wiedzieli, że coś się stało, ale nie mieli pojęcia, na czym polega kryzys. Doszli do wniosku, że to kolejny atak Orgathe i odsuwali się jak najdalej od obu wyjść. Pasy komórek elektrofosforencyjnych na suficie przygasały szybko.

Dariat skierował się ku niszy służącej jako zbrojownia.

- Weź jakąś broń - rzucił. - Może się nam przydać.

Tolton złapał wyrzutnię pocisków zapalających oraz pas z amunicją, po czym obaj popędzili w stronę najbliższego wyjścia. Żaden z zaniepokojonych obrońców nie próbował ich powstrzymać.

- Dokąd idziemy? - Zapytał Tolton.

- Do wrzeciona. Zostało tam jeszcze kilka szalup, które nie odleciały, gdy poprzednim razem opuszczałem w pośpiechu to miejsce.

- Do wrzeciona? Tam jest nieważkość. W nieważkości zawsze rzygam.

- Posłuchaj...

- Tak, tak, wiem. Nieważkość to raj w porównaniu z tym, co ma się wydarzyć.

Dariat wbiegł prosto w grupę duchów stojących w wielkiej, owalnej sali. Nie widziały melanzu, gdyż żaden z nich nie miał zdolności afinicznych, potrafiły go jednak wyczuć. Eter przepełniała aura cierpienia umniejszonych dusz, które pochłonał.

- Z drogi! - Ryknął Dariat. Zaciśnął dłoń na twarzy najbliższego ducha i wyssał z niego energię. Kobieta krzyknęła przeraźliwie, zataczając się do tyłu. Jej zarys się zatarł, sylwetka oklapła z cichym mlaśnięciem. Reszta duchów odsunęła się pośpiesznie. Na ich bladych twarzach malował

się wyraz smętnego wyrzutu.

Dariat skręcił w jeden z odchodzących od sali korytarzy. Pasy oświetleniowe na sufitach przygasały coraz szybciej.

- Masz latarkę? - Zapytał Toltona.

- Pewnie - odparł uliczny poeta, wskazując na pałeczkę świetlną wiszącą u jego pasa.

- Zachowaj ją na chwilę, gdy będzie naprawdę potrzebna. Powiniennem sobie poradzić.

Uniósł rękę i skupił się. Wewnętrzna powierzchnia dłoni rozjarzyła się zimnym, błękitnym blaskiem.

Dotarli do rozszerzenia korytarza. Było tu widać ślady ognia.

Polipowe ściany były osmalone, a pokryty sadzą pas komórek elektrofosforencyjnych zwiślał w strzępach. Tolton poczuł, że świat zaciska się wokół niego. Odbezpieczył wyrzutnię. Dariat stanął przed zamkniętą błoną mięśniową wprawioną w ścianę. Jej szczyt znajdował się na wysokości czubka jego głowy. Duch skupił myśli i gumowata powierzchnia rozstała się z wielką niechęcią. Wargi otworu drżały nerwowo. Powietrze wypadło ze świstem na zewnątrz. W miarę powiększania się otworu podmuch stawał się coraz silniejszy.

Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

- Co to jest? - Zapytał Dariat.

- Mały przewód powietrzny. Powinienn nas zaprowadzić prosto do piasty.

Tolton zadrżał z lęku i wszedł do środka.

Valisk opuścił już mgławicę. Minęło kilka minut, nim olbrzymi habitat w całości wysunął się w pustą przestrzeń. Kosmodrom znajdował się na samym końcu. Na obwodzie półki cumowniczej, przy której czekał "Hainan Thunder", paliły się tylko cztery światła z pierścienia złożonego co najmniej ze stu. Jednak w tym mrocznym środowisku ich światło wydawało się nadzwyczaj jasne. Jego wąskie wiązki padały na kadłub, oświetlając plamy srebrzystoszarego metalu wystające spod warstwy pianki z nultermu, która umykała powoli w przestrzeń jako kleista mżawka.

W oknach wychodzących na półkę paliły się światła. Zdesperowana załoga przechodziła przez pomieszczenia dla obsługujących kosmodrom techników. Wszyscy mieli na twarzach maski tlenowe i oświetlali sobie drogę latarkami. Po paru minutach gwiazdolit zaczął wykazywać oznaki życia. Z dysz otaczających końcową część kadłuba trysnęły rzadkie gazy. Jeden z paneli termozrzutu wysunął się z niszy i rozjarzył bladym blaskiem. Przewód śluzowy rozłączył się i cofnął o kilka metrów. Zaciski na stanowisku cumowniczym zwolniły kadłub.

Z dysz silników chemicznych usytuowanych wokół równika statku trysnęły strumienie rozgrzanego żółtego gazu, które przebiły metalowe płyty ściany półki, doprowadzając do gwałtownego wypływu powietrza z sekcji mieszkalnej. "Hainan Thunder" pomknął w przestrzeń, niesiony przez gejzer gęstej, białej pary.

Potem włączyły się potężniejsze rakiety chemiczne i statek oddalił się od kosmodromu. Jedna z nich eksplodowała nagle, gdyż wpływ ciemnego kontinuum osłabił komorę spalania. Gwiazdolit przechylił się na bok, ale zaraz odzyskał równowagę i pomknął w stronę mgławicy.

Ze spienionej masy wyłonił się Orgathe, który natychmiast rzucił się na statek. Szpony bestii rozerwały kadłub, niszcząc ukryty pod nim sprzęt. Rakiety zgasły, syjąc szafirowymi iskrami. Z głębokich szczelin trysnęły płyny i para.

Drugi Orgathe przyłączył się do pierwszego. Olbrzymie stwory szarpały gwałtownie statkiem. Wielkie fragmenty oderwanego metalu i kompozytu umknęły w pustkę. Bestie przedzierały się chciwie przez zbiorniki i maszynię, by dotrzeć do kapsuł podtrzymywania życia i ukrytych w nich iskier energii życiowej.

Gaz trysnął po raz ostatni, gdy Orgathe przebili kapsuły. Potem stwory znieruchomiały, pochłaniając efemeryczny posiłek.

Osobowość habitatu nie miała zbyt wiele czasu na wyrzuty sumienia ani nawet gniew. Pochłonęła ją obserwacja zbliżającej się z każdą chwilą powierzchni melanzu. Tafla oceanu gęstego płynu poruszała się nieustannie. Gdy osobowość znalazła się bliżej, dostrzegła, że w owym morzu tonie miliard rozmaitych gatunków ksenobiontów. Ich wyrostki, macki i kończyny owijały się wokół siebie, gdy stworzenia rozpaczliwie starały się utrzymać na powierzchni. Z jeszcze mniejszej odległości można było zobaczyć, że ciała powstają z płynu i szamoczą się desperacko, by umknąć w pustkę. Ich krótką egzystencję wypełniała daremna walka i marnotrawstwo energii. Po chwili traciły siły i z powrotem rozpuszczały się w melanzu. Jeśli sprzyjało im szczęście, tworzyły się góry złożone z wielu dusz, które poświęcały indywidualną tożsamość na rzecz siły. Te, które znalazły się na samym szczycie, wyciągały się z drzeniem coraz bardziej, próbując się oderwać. Osobowość zauważyła tylko jednego nowo narodzonego Orgathe - albo coś w tym rodzaju - który umknął triumfalnie w przestrzeń.

- Kiedy w to uderzymy, wyzwoli się tak wiele energii, że przebijemy się na drugą stronę - stwierdziła nerwowym tonem osobowość.

- Nie ma żadnej drugiej strony - zaprzeczył Dariat. - I nie ma nadziei.

Po wspinaczkę przewodem wentylacyjnym bolała go każda część ciała, nakazał sobie jednak iść dalej. Najpierw biegł pod górę, a potem, gdy grawitacja spadła prawie do zera, zaczął się odpychać ramionami od ścian niemal pionowego kanału.

- W takim razie czemu nie dasz za wygraną?

- To pewnie instynkt i głupota. Jeśli zdołam choć o dzień opóźnić chwilę, gdy znajdę się w melanzu, to znaczy, że będę cierpiał jeden dzień krócej.

- Dzień wobec wieczności? Co to ma za znaczenie?

- Dla mnie ma. Nadal pozostaję człowiekiem i jestem przerażony.

- W takim razie lepiej się pośpieszmy.

Południową czapę biegunową dzieliło od melanzu dwadzieścia kilometrów. Na jego powierzchni widać było gorączkową aktywność. Wznosiły się nad nią potężne góry, topniejące ciała wspinały się na ich szczyty, włączając na siebie. Każda istota pragnęła pierwsza dotknąć powłoki i karmić się ukrytą wewnątrz energią życiową.

Dariat dotarł do końca przewodu i rozkazał błonie mięśniowej się otworzyć. Wypłynęli do jednego z korytarzy prowadzących do komory piasty.

Tolton przytroczył przedtem pałeczkę świetlną do wyrzutni, jak zwykła to robić Erentz. Uniósł teraz broń w drżących rękach i oświetlił korytarz.

- Czy gdzieś tu jest wróg?

- Nie. Wszyscy czekają na zderzenie. W całym habitacie nic się nie porusza.

- Wcale mnie to nie dziwi. Czuję smak grozy. Ma fizyczny charakter, jakbym przedawkował środki uspokajające. Psiakrew. - Uśmiechnął się z przygnębieniem do Dariata. - Boję się, stary. Cholernie się boję. Czy jest jakiś sposób, żeby dusza mogła w tym królestwie umrzeć na zawsze? Nie chcę wylądować w melanzu. Tylko nie to.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Będziesz musiał żyć.

- Kurwa, co to za wszechświat?

Dariat wprowadził Toltona do mrocznego pomieszczenia i uniósł rękę nad głowę. Energia rozbłysła marnotrawnie, nagły błysk oświetlił geometryczny kształt pomieszczenia: pogrążone w milczeniu drzwi wind, pierścieniowe trasy wiodące do stacji metra. Skierował się ku drzwiom

prowadzącym do sekcji inżynierskiej i odbił się kopniakiem od ściany.

Korytarze po drugiej stronie miały metalowe ściany. Umieszczono w nich pierścienie służące jako uchwyty. Mknęli szybko wzdłuż nich, otwierając kolejne śluzy za pomocą przycisków. Powietrze było przeraźliwie zimne, ale można było nim oddychać. Tolton zaczął dzwonić zębami.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Dariat. Okrągły właz szalupy był otwarty. Materialny duch wskoczył do środka. Znajomy wygląd wnętrza stateczku wzbudził w nim lekki niepokój. Wokół niego ustawiono dwanaście foteli amortyzacyjnych. Wybrał ten, który stał pod jedyną tablicą sterowniczą, i zaczął naciskać przełączniki, w tej samej kolejności co poprzednim razem. Właz zamknął się automatycznie. Światła zapaliły się opornie, rozległ się pisk pomp powietrznych.

Tolton uniósł ręce do wylotu przewodu powietrznego, by ogrzać je w ciepłym powiewie.

- Boże, ależ tam było zimno.

- Zapnij pasy. Zaraz startujemy.

Osobowość zauważyła, że szczyt południowej czapy biegunowej dotknął powierzchni melanżu.

- Jestem z was wszystkich dumny - oznajmiła potomkom Rubry.

Płyn trysnął w górę pod wpływem uderzenia, spływając po powłoce kadłuba. Setki tysięcy oszalałych dusz wtargnęły do środka, przebijając polip, by się zanurzyć w rozkosznym strumieniu życiowej energii, którą mogły pochłaniać bezpośrednio.

Szczeliny w kadłubie poszerzyły się gwałtownie pod wpływem zmiany temperatury.

Dariat uruchomił sekwencję startową. Włączyło się pięć rakiet na paliwo stałe, strumienie gazu z dysz przebiły ścianę półki. Wypadli na zewnątrz, mknąc równoległe do powierzchni melanżu.

- Żegnajcie - rzekła osobowość ze smutkiem tak wielkim, że oczy Dariata wypełniły łzy.

Valisk rozpadł się tak gwałtownie, jakby w jego wnętrzu eksplodowała bomba termojądrowa. Z chmury rozgrzanego gazu oraz odłamków polipa wypadły tysiące ludzkich dusz, niezniszczalne widma nagie wobec ciemności. Podobnie jak wszystko, co żyło w ciemnym kontinuum, pochłonał je melanż i zaczęły się ich cierpienia.

Rakiety na paliwo stałe przestały działać i w szalupie zapanowała nieważkość. Dariat wyjrzał na zewnątrz przez maleńki bulaj, ale nie zobaczył zbyt wiele. Poruszył drążkiem, włączając silniki sterownicze, by obrócić szalupę. Na zewnątrz przesunęły się szare plamy.

- Chyba widzę melanż - zameldował. Jego umysł odbierał zawodzenie niewiarygodnej liczby nieszczęsnych dusz. Ogarnęła go niepewność. Tutaj wszystkich czekał ten sam los.

W oceanie cierpienia można było wykryć kilka wątków bardziej spójnych, przepojonych złą wolą myśli. Jeden z nich stawał się z każdą chwilą silniejszy. Był coraz bliżej.

- Coś tam jest - odezwał się Dariat i znowu nacisnął drążek sterowy, obracając szybko szalupę. W głębi mgławicy pojawiły się blade plamy blasku, oświetlające wirującą drobinę, która zmierzała ku nim.

- Cholera, to Orgathe.

Obaj z Toltonem popatrzyli na siebie bez słowa. Uliczny poeta zadrżał lekko.

- Nie mogę nawet powiedzieć, że było fajnie.

- Zostało nam jeszcze pięć rakiet. Włączymy je i uciekniemy do mgławicy.

- Ale czy z czasem tu nie wrócimy?

- Prędzej czy później tak. Jednak zyskamy dzień albo dwa poza melanżem.

- Nie jestem pewien, czy robi mi to jakąś różnicę.

- Z drugiej strony, moglibyśmy odpalić rakiety, gdy Orgathe" tu doleci, i usmażyć skurwysyna.

- To nic nie zmieni.

- Na koniec, możemy też odpalić rakiety i polecieć prosto w melanz.

- A co by to nam dało?

- Absolutnie nic. Nawet jeśli statek nie rozpadnie się pod wpływem wstrząsu, i tak po kilku dniach rozpuści się w płynie.

- Albo przeleci na drugą stronę.

- Nie ma żadnej drugiej strony.

- Nie możemy być tego pewni, dopóki nie sprawdzimy. Poza tym, to by było rozwiązanie w najlepszym stylu.

- W najlepszym stylu. Też coś.

Obaj uśmiechnęli się szeroko.

Dariat ponownie obrócił szalupę, nakierowując ją w przybliżeniu na melanz, i odpalił dwie kolejne rakiety. Nie mógł użyć ich więcej, bo szalupa rzeczywiście by pękła w chwili zderzenia.

Zimno zresztą zapewne i tak ją zniszczy.

Przez trzy sekundy poruszali się z przyśpieszeniem 5 g, a potem uderzyli w powierzchnię z gwałtownym wstrząsem. Tolton jęknął z bólu, gdy pasy wbiły się w jego skórę. Przygotował się na najgorsze.

Jednakże osłona termiczna oparła się niszczycielskiemu działaniu podkrionicznej temperatury melanzu. Szalupa zadrżała lekko. Silniki rakietowe nie przestały działać, wbijając stateczek coraz głębiej pod powierzchnię. Obaj słyszeli kakofonię produkowaną przez przebywające na zewnątrz dusze, ich szok i przerażenie, gdy strumienie gazu z dysz zamieniały w parę płyn, w którym były zawieszone. Im bardziej zagłębiali się w melanz, tym słabsze stawały się krzyki. Po piętnastu sekundach rakiety przestały działać.

- Udało się nam - zawołał Tolton z nerwowym śmiechem.

Gdy tylko zanurzyli się w płynie, szybę pokrył szron. Uliczny poeta wyciągnął rękę, by wytrzeć kryształki lodu, ale dłoń przywarła mu do szkła.

- O w dupę! - Uwolnił rękę, tracąc kawałki skóry. - I co mamy teraz zrobić?

- Absolutnie nic.

Volkswagen trooperbus zawiózł Louise i Ivanova Robsona z powrotem do Londynu. Przez większą część czterogodzinnej podróży Louise siedziała na jednym z wielkich, skórzanych foteli w kabinie, śledząc wiadomości z arkologii. Krajobraz przestał ją interesować.

W kopule Westminster zostało niewielu reporterów, którzy mogliby informować o wydarzeniach. Ci, którzy postanowili podjąć ryzyko, wysyłali sensywizyjne przekazy ze znacznym opóźnieniem, by zdążyć uciec z miejsca, które pokazywali. Opętani nie lubili, gdy o ich poczynaniach informowano widzów na całej planecie. Ci, których złapali pierwszego dnia, nie wysyłali już więcej wiadomości.

Ocalali reporterzy - a także, bardziej szczegółowo, zamontowane w kopule czujniki - meldowali, że pośród starych budynków zapanowało coś w rodzaju ładu. Małe grupki opętanych chodziły otwarcie po ulicach, rzucając w ten sposób wyzwanie Rządowi Centralnemu. Broń strategiczno-obronna mogłaby z łatwością ich wykończyć, gdyby tylko istniała wola polityczna. Niemniej w ten sposób odsłaniało się najwyżej dwustu jednocześnie, a pozostali mogliby wyrzucić straszliwą zemstę na nieopętanych mieszkańcach. Siły rządowe na terenie arkologii wyeliminowano niemal całkowicie. Całą noc szalały starannie ukierunkowane pożary, które zniszczyły wszystkie komisariaty oraz osiemdziesiąt procent budynków władz miejskich. Co charakterystyczne, choć opętani atakowali również sieć energetyczną oraz łącznościową, nie uszkodzili żadnych innych budynków użyteczności publicznej. Wodociągi nadal funkcjonowały, a kopuła była w stanie się oprzeć naporowi burz armadowych. Ktoś panował nad opętanymi, kierował ich poczynaniami ze znaczną precyzją.

Media zastanawiały się, kto to może być.

Charliego jednak interesowały wyłącznie jego motywacje. Opętani wymuszali przestrzeganie godziny policyjnej znacznie skuteczniej, niż robiła to policja. Jednostki sztucznej inteligencji, analizujące ich ruchy, doszły do wniosku, że jest ich od siedmiu do dziesięciu tysięcy, a każda grupa kontroluje inną część kopuły. To wystarczyło, by nikt nie chciał wychodzić na ulicę. Tworzono bardzo niewielu nowych opętanych, a w dziewięciu zewnętrznych kopułach było ich zaledwie kilkuset.

Opętani ograniczyli się do jednej większej wycieczki, zaatakowali garaż pojazdów powierzchniowych. Gdy tylko jednak próbowali wyjechać na rampę jednym z ciężkich wehikułów, niszczył go ogień z platform strategiczno-obronnych. Prezydent osobiście nakazał przeprowadzenie tych ataków, nie czekając na podpowiedzi ludzi ze swej kancelarii i gabinetu pracujących dla B7. Opętani próbowali osiem razy, nim dali za wygraną.

- Dexter się do czegoś przygotowuje - powiedział Charlie, gdy Louise opuszczała jego kopułę. - Wykluczone, by zadowolili się samym Londynem. Dlatego właśnie nie śpieszy się z opętaniem reszty mieszkańców. Trzyma wszystko w rękę i mógłby to zrobić w niespełna tydzień, gdyby tylko zechciał. Londyn jest znacznie lepiej zorganizowany niż Nowy Jork.

Louise również nie rozumiała, dlaczego Dexter się powstrzymuje. Diabeł, którego poznała na Norfolk, nie sprawiał wrażenia zdolnego do powściągliwości.

Poza wiadomościami z arkologii Louise otrzymywała podczas podróży jedynie informacje dotyczące Genevieve. Jej siostra pojechała drugim volkswagenem do Birmingham, razem z Divinią oraz pierwszą częścią rodziny Charliego. Potem kolej próżniowa miała je zabrać do Kenya Station. Gen poczuła się rozczarowana, kiedy się okazało, że kopuła Charliego nie potrafi latać.

Do Birmingham było znacznie bliżej. Louise nadal jechała przez dolinę Tamizy, gdy

Genevieve znalazła się już na szczycie Wieży Afrykańskiej połączonej ze Skyhigh Kijabe.

- Już je widać. Chcesz popatrzeć? - Zawołał do niej z kabiny kierowcy Yves Gaynes.

Louise przeszła na przód. Kiedy opuszczali Londyn, kopuła nie było widać zbyt dobrze, gdyż jechali w niewłaściwym kierunku, teraz jednak trooperbus włókł się prosto na nie.

Dziewczyna wpatrzyła się w wystające zza horyzontu kopuły. Widziała tylko dziewięć zewnętrznych, otaczających ochronnym pierścieniem położone w środku starożytne miasto. Potężne arkady z geodezyjnego kryształu lśniły czerwonym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca. Poza tym kopuły były zupełnie czarne. Louise po raz pierwszy uświadomiła sobie, że są czymś całkowicie sztucznym i obcym.

Yves przyglądał się jej z uwagą.

- Nie spodziewałem się, że wrócę tak szybko.

- Ja też nie.

- No wiesz, szef dba o swoich ludzi.

- Nie wątpię.

Nie była przekonana, czy można ją uznać za agentkę B7. Możliwe jednak, że to Charlie sterował z oddali słowami kierowcy, starając się uspokoić dziewczynę, zapewnić sobie jej posłuszeństwo. Nie była już niczego pewna.

Trooperbus minął pogrążone do połowy w ziemi hale fabryczne otaczające arkologię i w końcu dotarł do rampy prowadzącej do jednego z podziemnych garaży. Palilo się tam niewiele świateł, a wśród szeregów parkujących pojazdów nic się nie poruszało. Zaparkowali na stanowisku nieopodal rampy. Gdy tylko brama się zamknęła, z mroku wyłonił się granatowy samochód. Ivanov Robson wstał i otworzył właz kabiny kierowcy.

- Jesteś gotowa? - Zapytał uprzejmym tonem Louise.

- Tak - odparła ze spokojem dziewczyna. Od chwili wyruszenia w drogę, nie odezwała się do niego ani słowem. Kierował nią gniew, choć nie była właściwie pewna, na kogo się gniewa. Na Ivanova za to, że jest tym, kim jest, czy na siebie za to, że go polubiła. Być może po prostu zbyt dobitnie przypominał jej, jak łatwo można nią manipulować.

Zeszła na ziemię po kilkuszczelowej drabince. Powietrze przesyciła wilgoć, ale w garażu było chłodniej, niż się spodziewała.

Była ubrana na arkologię: krótka spódniczka, czarne legginsy, szmaragdowa koszulka z długimi rękawami zasłaniającymi nanoniczną bransoletę medyczną oraz cienka skórzana kamizelka. Włosy związała w koński ogon.

Pobiegła do samochodu. Ivanov podążył za nią, niosąc smukły futerał ze skóry aligatora, w którym trzymał otrzymaną od Charliego broń. Policjantka, która wpuściła ich do środka, miała twarz pozbawioną śladu ciekawości. Louise zastanawiała się, ilu ludzi B7 poddało sekwestracji. Tym razem wewnątrz samochodu wyglądało zupełnie normalnie. Louise zajęła miejsce z tyłu. Ivanov usiadł obok niej, trzymając na kolanach swój futerał.

- No wiesz, przez większość czasu jestem sobą - rzekł cicho. - B7 nie kontroluje każdej mojej myśli.

- Aha.

Louise nie chciała o tym rozmawiać.

- Uważam to za pokutę, nie karę. Mam też okazję zobaczyć wiele ciekawych rzeczy. I wiem, jak jest urządzony ten świat. W dzisiejszych czasach bardzo niewielu może się cieszyć tym przywilejem. Ty również zdobyłaś tę wiedzę.

- Co właściwie zrobiłaś?

- Coś bardzo głupiego i nieprzyjemnego. Ale właściwie nie miałem wówczas wyboru. Oni albo ja. Pewnie właśnie dlatego B7 postanowiło dać mi szansę. Nie byłem typowym zawodowym przestępcą. Miałem nawet rodzinę. Nie widziałem bliskich już od dwudziestu lat, ale pozwalają mi wiedzieć, jak im się powodzi.

- Ale kiedy byłeś ze mną, cały czas wykonywałeś ich polecenia.

- Powiedzieli mi, jakie informacje ci przekazać i kiedy to zrobić. Cała reszta była autentyczna.

- W tym również obecny powrót do Londynu? Ivanov zachichotał cicho.

- O nie. Mój wrodzony altruizm nie sięga granic obłądzenia. Wydano mi taki rozkaz. - Przerwał na chwilę. - Ale skoro już tu jestem, zrobię, co w mojej mocy, by cię ochraniać, jeśli okaże się to konieczne.

- Myślisz, że powrót to głupota?

- Kompletny idiotyzm. B7 powinno wziąć się w garść i rzucić na Londyn bombę atomową. Tylko w ten sposób będziemy mogli się pozbyć opętanych.

- Tego rodzaju broń nie ma się Quinna Dextera.

- Tak sądzisz? - Pogłaskał długim palcem futerał. - Ufasz temu Fletcherowi, z którym mamy się spotkać?

- Oczywiście. Jest dobrym i porządnym człowiekiem. Opiekował się Gen i mną przez całą drogę z Norfolku.

- To powinno się okazać ciekawe - mruknął Ivanov. Odwrócił się i wbił wzrok w betonową ścianę tunelu na zewnątrz.

Dotarli do małej towarowej stacji kolei próżniowej, położonej w jednej z podziemnych stref przemysłowych arkologii. Charlie wybrał ją, gdyż miała bezpośrednie połączenie z garażem, a w całym sektorze sieć nadal funkcjonowała.

Peron był znacznie węższy niż na dworcu Kings Cross. Przy każdej słuzie stał ciężki sprzęt przeładunkowy. Gdy tylko Louise i Ivanov wysiedli z windy towarowej, zobaczyli ośmiu czekających na nich agentów GISD-u. Każdy z nich był uzbrojony w karabin strzelający pociskami elektrostatycznymi.

Pociąg przyjechał po pięciu minutach. Otworzyła się tylko jedna śluza. Pierwszy wyszedł z niej detektyw Brent Roi. Rozejrzał się wokół podejrzliwie, a gdy tylko zobaczył Louise, jego mina powiedziała jej, że jest teraz najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na całej planecie.

- Wsiadaj - warknął, oglądając się przez ramię.

Fletcher Christian wyszedł ze śluzy, jak zwykle ubrany w nieskazitelny mundur marynarza. Szło za nim dwóch strażników, a na szyi miał gruby, metalowy kołnierz. Louise podbiegła do niego, nie zważając na spojrzenia agentów, i rzuciła mu się na szyję.

- O Boże, jak bardzo za tobą tęskniłam. Nic ci nie jest?

- Czuję się świetnie, najdroższa lady Louise. A co z tobą? Jak ci się wiodło od chwili naszego rozstania? Idę o zakład, że przeżyłaś kolejne nieprzystojące damom przygody.

Otarła łzy o kłapy jego munduru. Guziki kurtki wciskały się w jej skórę.

- Coś w tym rodzaju.

Uścisnęła go jeszcze mocniej, zdumiona tym, jak bardzo się cieszy na jego widok. Był jedyną na całej planecie osobą, której mogła zaufać. Fletcher pogłaskał ją po głowie.

- O rety - mruknął z niesmakiem Brent Roi.

Zawstydzona Louise odsunęła się o krok. Ze smutnych oczu Fletchera wyczytała, że to rozumie.

- Skończyliście już?

Ivanov podszedł bliżej.

- Spróbuj zacząć ze mną - zaproponował detektywowi z Halo.

- Kim jesteś, do licha?

- Można powiedzieć, że pracujemy dla tego samego szefa. A gdybyś miał wystarczająco wysokie uprawnienia, by wiedzieć, co dla nas zrobiła Louise, z pewnością okazałbyś jej trochę szacunku.

Fletcher popatrzył z zainteresowaniem na potężnie zbudowanego prywatnego detektywa. Ivanov wyciągnął rękę.

- Cieszę się, że mam okazję pana poznać, Fletcher. Jestem facetem, który opiekuje się Louise na Ziemi. - Mrugnął do niej znacząco. - Gdy pozwala na to sytuacja.

Fletcher ukłonił się uprzejmie.

- W takim razie wyświadczył pan nam wszystkim wielką przysługę. Byłoby mi niewymownie żal, gdyby tak cenny kwiat miała spotkać krzywda.

Brent Roi westchnął z niedowierzaniem.

- Chce pan już ruszać? - Zapytał.

- Jasne - odparł Ivanov. - Przejmiemy go od was. Chyba nie muszę podpisywać kwitu?

- Przejmiecie? Że niby moja rola się tu kończy? To wam nie pójdzie tak łatwo. Nie mam jak wrócić do Halo. Muszę eskortować tego pierdolonego głaba.

Louise chciała już mu powiedzieć, że B7 w każdej chwili może go dostarczyć z powrotem do wieży orbitalnej, zauważyła jednak, że twarz Ivanova straciła nagle wszelki wyraz. Charlie z pewnością coś mu mówił.

- Dobra - mruknął ze smutkiem Ivanov. - Ale niech pan pamięta, że to nie był mój pomysł.

- Bardzo mnie pan pocieszył.

Kiedy wrócili do samochodu, Louise usiadła obok Fletchera, a Ivanov i Brent zajęli miejsca naprzeciwko.

- Pan jest tu najważniejszy - oznajmił Fletcherowi Ivanov.

- Jak chce pan rozegrać sprawę?

- Chwileczkę - odezwała się Louise. - Fletcher, co to za kołnierz?

- Uspokajacz - mruknął Brent. - Jeśli zrobi się wojowniczy, dam mu kopa z tysiąca woltów.

Uwierz mi, te opętane skurwysyny tego nie lubią.

- Niech pan to zdejmie - zażądała.

- Lady Louise...

- Nie. Muszą to zdjąć. Nie potraktowałabym tak nawet zwierzęcia. To obrzydliwe.

- Blisko mnie musi nosić kołnierz - sprzeciwił się Brent.

- Im nie można ufać.

- Charlie - przekazała datawizyjnie Louise. - Każ im to zdjąć. Poważnie. Nie będę z wami współpracować, jeśli nie przestaniecie traktować Fletchera w ten sposób.

- Przepraszam, Louise - odparł Charlie. - Policjanci z Halo trochę się bali. Miał mieć kołnierz tylko na czas transportu.

Twarc Brenta pociemniała, gdy odebrał przekaz datawizyjny od Charliego.

- W dupę z tym wszystkim - warknął. W kołnierzu Charliego rozległ się trzask. Mechanizm zamykający obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni. Fletcher uniósł rękę i na próbę pociągnął kołnierz. Zszedł bez oporu.

- Hej. - Brent rozsunął kurtkę, odsłaniając kaburę, którą miał pod pachą. Sterczał z niej

bardzo wielki pistolet. Na trzech zapasowych magazynkach umieszczono małe, czerwone błyskawice.

- Będę miał cię na oku - oznajmił Fletcherowi.

Opętany pełnym pogardy ruchem położył kołnierz na podłodze między nimi.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy - odparł Ivanov. - Chcemy, żeby czuł się pan wygodnie.

- Mówiłaś o jakiejś broni, lady Louise.

- Tak. Siły Powietrzne Konfederacji stworzyły coś, co niszczy dusze. Chcą, żebyś spróbował zbliżyć się do Dextera i zastrzelił go z tej broni.

- Prawdziwa śmierć - mruknął zdumiony Fletcher. - Wielu dzisiaj z radością przywitałoby tę perspektywę. Jesteś pewna, że to urządzenie działa, lady Louise?

- Potwierdzono to - zapewnił Ivanov. - Wypróbowano je.

- Czy mogę być tak śmiały i zapytać, na kim?

- Uczony kierujący projektem użył go na sobie i na opętanej kobiecie, która mu groziła.

- Nie jestem pewien, czy to bohaterstwo, czy tragedia. Cierpieli?

- Ani trochę. To całkowicie bezbolesne.

- Kolejny przykład waszego sławetnego postępu. Czy mogę zobaczyć ten straszliwy instrument?

Ivanov położył futerał na kolanach i przekazał datawizyjnie kod otwierający. Zamek zapiszczał i Ivanov otworzył futerał. Na szarej piance leżało pięć czarnych, matowych cylindrów długości trzydziestu centymetrów. Wybrał jeden z nich. Na jednym końcu urządzenie miało szklaną soczewkę, a z boku płaski, czerwony guzik.

- Składa się głównie z technobiotycznych elementów, więc powinno przez jakiś czas funkcjonować w pobliżu opętanych. Ob sługa jest prosta. Trzeba przesunąć przycisk do przodu... - Zademonstrował kciukiem - ...Żeby uaktywnić urządzenie, a potem nacisnąć go, żeby wystrzelić. Pojawi się wąska wiązka czerwonego światła, która musi trafić cel w oczy. Skuteczny zasięg wynosi około pięćdziesięciu metrów.

- Jardów - wyszeptała z uśmiechem Louise.

Fletcher pochylił głowę na znak podziękowania.

- Wszystko jedno - stwierdził Ivanov i wręczył broń Fletcherowi. Brent zeszytniał nagle, ale opętany przyjrzał się tylko gadżetowi z lekkim zainteresowaniem.

- Wygląda jak zupełnie nieszkodliwa pałeczka.

- Ale w środku kryje się mnóstwo urządzeń, których pan nie widzi.

- I których z pewnością bym nie zrozumiał. Mniejsza z tym, jego obsługa w rzeczy samej nie nastrecza trudności. Niech mi pan powie, co się dzieje z oryginalną duszą zamieszkującą ciało?

Ivanov odchrząknął nerwowo.

- Ona również ginie.

- To morderstwo.

- Jedna śmierć to niewysoka cena za uwolnienie wszechświata od Quinna Dextera.

- Zaiste, poddani nie są od tego, by kwestionować postęпки królów. Dlatego właśnie ci są królami. Może ich sądzić wyłącznie Najwyższy.

- Czy ja też mogę jeden dostać? - Zapytała Louise.

Ivanov bez słowa wręczył jej cylinder. Dziewczyna sprawdziła spust, a potem schowała broń do kieszeni kurtki.

Ivanov wziął trzeci cylinder dla siebie i zaproponował czwarty Brentowi Roi. Detektyw z Halo potrzęsła głową.

- Teraz musimy tylko znaleźć Quinna Dextera - stwierdził Ivanov. Spojrzał na Fletchera. - Ma pan jakieś pomysły?

- Wiecie, gdzie on może się ukrywać?

- Przyjmujemy, że przebywa w kopule Westminster, bo tam właśnie podporządkował opętanych swojej władzy. Logika sugeruje, że nie może być zbyt daleko.

- Słyszałem o Westminster, ale nie o jego kopule.

- Właściwie cały znany panu Londyn nakryto ochronną szklaną kopułą. Dexter może przebywać w każdym punkcie miasta.

- W takim razie sugeruję, byście znaleźli mi dobry punkt obserwacyjny. Może uda mi się ustalić, gdzie zalegają wielkie grupy opętanych. To będzie jakiś początek.

*

Dobry przywódca cechuje się tym, że potrafi szybko się przystosować do zmiennych warunków. Po paru ostatnich dniach w Quinnie zrodziło się przekonanie, że jest jednym z najlepszych przywódców w historii. Wprowadzenie godziny policyjnej stało się dla niego szokiem, przede wszystkim dlatego, że znaczyło to, iż supergliny znowu są na jego tropie. Podejrzewał, kto mógł ich ostrzec i ta myśl sprawiała mu niemal przyjemność.

Rzecz jasna, godzina policyjna całkowicie pokrzyżowała jego wcześniejsze plany. Opętani z Lanciniego wykonali rozkazy, przejmując nocą wielu ludzi w wyznaczonych budynkach, ale rankiem robotnicy nie przybyli do pracy i sytuacja zmieniła się całkowicie.

Quinn wysłał do wszystkich gońców poruszających się siecią podziemnych kanałów i tuneli i wydał im nowe polecenia. Mieli wyeliminować policję, zgodnie z pierwotnym planem, zwabiając gliniarzy w zasadzki i paląc komisariaty. Było ich mniej i akcja musiała potrwać dłużej, ale z drugiej strony godzina policyjna sparaliżowała arkologię i gliniarze nie mogli liczyć na wsparcie. Quinn rozkazał też swoim ludziom atakować sieć oraz podstacje elektroenergetyczne, jeszcze bardziej izolując policję.

Późnym popołudniem pozbawiona osłony policji oraz służb ratunkowych, mocy i komunikacji populacja została w praktyce uwięziona w domach. Quinn osiągnął swój cel, bez konieczności niszczenia sieci transportu, urzędów komunalnych ani fabryk żywności.

Udało się mu niemal całkowicie zrealizować swe zamierzenia, mimo że miał mniej opętanych, niż się spodziewał. Okazało się to zresztą bardzo korzystne, gdyż mniejszej liczbie ludzi łatwiej było narzucić dyscyplinę. Wszystkie zasoby arkologii pozostały nietknięte i będzie mógł je wykorzystać w razie potrzeby. Nad kopułą Westminster panował całkowicie, a dziewięć zewnętrznych kopuł sparaliżował strach.

Po opanowaniu Londynu Dexter postanowił wysłać swych akolitów drogą lądową do Birmingham. Próba zakończyła się atakami strategiczno-obronnymi, które całkowicie zniszczyły skonfiskowane pojazdy.

Zawsze wiedział, że to nie będzie łatwe.

Pierwszej nocy, gdy jego bataliony opętanych kontynuowały ataki na miejską policję, kazał przyprowadzić na swą kwaterę kilku ekspertów od techniki i inżynierii. Rozkazał im opracować metody podróży niewykrywalne dla platform strategiczno-obronnych. Był to jednak wyłącznie symboliczny gest. Dexter wiedział, że nadchodzącej wojny Nocy nie będzie się toczyło za pomocą nauki i maszyn. To będzie bezpośrednia, chwalebna walka. Tak właśnie powinna wyglądać wojna.

Gdy zapadł zmrok, jazgot demonów przybrał na sile. Quinn padł na twarz na zbezczeszczonym ołtarzu w katedrze Świętego Pawła i ponownie wyruszył w głąbiny królestwa duchów. Tym razem otrzymał w nagrodę najwspanialszą wyobraźną wiadomość, tak cudowną, że aż pisnął z radości.

Boży Brat przebudził się gdzieś w niewyobrażalnej dali za końcem wszechświata i wracał z wygnania. Demony przywitały swego potężnego Pana krzykami czci i zachwytu. Jego złowroga obecność napełniła je siłą i wigorem, jakich nigdy przedtem nie znały.

Ich zimne, senne myśli wniknęły do umysłu Quinna. Poznał całe ich zdumiewające mrowie, połączone magiczną udręką. Boży Brat pojawił się przed nimi, mroczny i rozżarzony, promieniujący złą wolą. Sięgnęły ku Niemu, by otrzymać Jego moc. A On je uwolnił. Jego energia skruszyła ich łańcuchy i mogły znowu zerwać się do lotu, jak w pradawnych czasach. Cała armia aniołów apokalipsy podniesionych do nowego stanu i straszliwie głodnych. Głodnych bardzo wielu rzeczy, których odmawiano im przez długi czas. Krążyły wokół Nosiciela Światła, otaczając go pełnym czci cyklonem większym niż świat. Ich złowrogie wrzaski przepajała radość z Jego przybycia.

Quinn opuścił duchowy sen, jego ciało zmaterializowało się i obudziło na ołtarzu w tej samej chwili, gdy przez witraże wpadło do środka blade światło brzasku. W oczach miał łzy. Nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

- Och, Banneth, niewierna suko, gdzie teraz jesteś? Gdy ujrzysz prawdę, w końcu ulegniesz rozpaczcy!

- Quinn? - Zawołała zaniepokojona Courtney. - Nic ci się nie stało?

- Nadchodzi.

- Kto? - Zapytała dziewczyna, zerkając na wielkie, dębowe drzwi katedry.

- Boży Brat, durna zdiro. - Quinn stanął na ołtarzu i rozpostarł szeroko ramiona, spoglądając z góry na kongregację opętanych tłoczących się w nawie. - Widziałem naszego Pana. Widziałem Go! On żyje. Powstał, by poprowadzić nas do ostatecznego triumfu. Prowadzi ze sobą armię, która zniszczy metalowe anioły strzegące nieba. Noc zapadnie! - Drżał z siły przekonania. Courtney wpatrywała się weń z lękiem i bojaźnią. Przeniósł na nią spojrzenie.

- Wierzysz mi?

- Wierzę, Quinn. Zawsze ci wierzę.

- Aha, rzeczywiście wierzysz.

Zeskoczył lekko na marmurową posadzkę. Pod zasłoną ciemności, jaką jego szata spowijała ciało, można było wypatrzeć szalony uśmiech. Quinn obrócił zakapturzoną głowę, by spojrzeć na zastraszoną kongregację. Zebrało się tu z górą pięciuset opętanych, którzy czekali posłusznie, aż mroczny mesjasz powie, czego od nich żąda. Ich liczba rosła powoli, gdy podziemnymi tunelami doprowadzano do katedry kolejnych nieopętanych jeńców. Przestrzeń wokół katedry już przed kilkoma stuleciami oczyszczono ze sklepów i biurów, zastępując je ogrodami i bulwarem dla pieszych. Quinn diabelnie dobrze wiedział, że jeśli zbyt wielu ludzi przemierzy plac, by wejść do katedry przez jedne z oficjalnych drzwi, satelity oraz czujniki zamontowane w kopule natychmiast to zauważą. Supergliny z pewnością się zainteresują, dlaczego tak wielu ludzi wchodzi do środka, a nikt nie wychodzi na zewnątrz. Dlatego musiał budować swą armię powoli i ostrożnie.

Jeńców bezzwłocznie prowadzono do krypty, gdzie przygotowywała ich do opętania grupka wyznawców wiernych Ewangelii Bożego Brata. Quinn nie dbał już o to, czy ci, którzy przybywają z zaświatów, by wejść w czekające na nich ciała, wierzą w Jego słowo, czy nie. Dopóki będzie blisko, zdoła ich zmusić do posłuszeństwa.

Gdy patrzył na tłum opętanych, uświadomił sobie, że ma dopiero jedną trzecią liczby, jakiej będzie potrzebował do ceremonii wezwania. Samo sięgnięcie do królestwa duchów pochłonęło znaczną część jego energistycznej mocy. W pojedynkę nigdy nie zdoła rozbić bram piekieł.

- Gdzie Billy-Joe? - Zapytał.

Courtney wzruszyła ramionami z naburmuszoną miną.

- Znowu zszedł na dół. Lubi patrzeć.

- Przeprowadź go. To, co widziałem, oznacza, że musimy zdobyć od chuja nowych ciał do opętania. Ma przekazać słowo tym głąbom na ulicach, dopilnować, żeby przysyłali nam więcej delikwentów. Dzisiaj nikt nie może spieprzyć sprawy. To Jego chwila.

- Dobra. - Courtney ruszyła w stronę drzwi u podstawy centralnej kopuły, za którymi znajdowały się schody prowadzące do krypty. Nagle zatrzymała się i odwróciła. - Quinn, co się stanie potem?

- To znaczy kiedy?

- Jak już Nosiciel Światła przybędzie i, no wiesz, zabijemy wszystkich, którzy nie będą nam posłuszni.

- Będziemy żyli w Jego królestwie, pod Jego światłem, a nasze węzowe bestie odzyskają wolność na wieki wieków. Ocali nas z niewoli w więziennym mieście fałszywego pana, tym niebie, o którym opowiadają religie dla głąbów.

- Aha. Brzmi nieźle.

Quinn odprowadzał dziewczynę wzrokiem, wyczuwając w jej myślach tępą akceptację. Dziwne, ale bezrefleksyjne posłuszeństwo Courtney zaczęło go ostatnio irytować.

Resztę poranka spędził na nadzorowaniu grup, które wysłał na ulice, i wyznaczaniu im nowych celów. Polegało to głównie na zastraszeniu ich przedstawicieli, którzy zjawiali się w katedrze. Parę razy wymknął się do królestwa duchów i osobiście wędrował po arkologii. Akolici z Lanciniego próbowali zmusić nowych opętanych do posłuszeństwa, ale ich opowieści o Dexterze i o tym, co im zrobi, jeśli będą się sprzeciwiać, nie były zbyt skuteczne. Gdy jednak sam Dexter zjawiał się nagle między nimi, sprawy miały się inaczej. Trzy razy musiał przykładowo ukarać buntowników. Nie mógł odwiedzić każdej grupy, ale wieści rozchodziły się szybko, nawet bez sieci.

Po południu wrócił do Świętego Pawła i zobaczył, że na podłodze nawy trwa kilka orgii. Nowi opętani rozpaczliwie poszukiwali silnych wrażeń zmysłowych. Nie powstrzymywał ich. Profanacja świętego miejsca sprawiała mu przyjemność. To był jeden z powodów, dla których wybrał katedrę. Wprowadził jednak ograniczenia dotyczące liczby uczestników. Gdy opętani dawali się ponieść, powodowane przez nich zakłócenia były wykrywalne z daleka, a w katedrze funkcjonowało jeszcze trochę elektronicznych urządzeń. Nie mógł ryzykować, że jednostka sztucznej inteligencji zauważy charakterystyczny impuls. Dusze, które opętały policjantów, meldowały, że Rząd Centralny wykorzystuje sieć do wykrywania opętanych.

Dopóki nie zdobędzie ludzi potrzebnych, by odprawić ceremonię wezwania, musi być powściągliwy.

*

Quinn był zajęty obserwowaniem duchów, gdy Billy-Joe przyprowadził opętanego nazwiskiem Frenkel. W Świętym Pawle było mnóstwo grobowców, niektóre z nich miały z górą tysiąc lat. Były wśród nich również takie, które zaginęły bez śladu, gdy pierwsza katedra spłonęła w wielkim pożarze w roku 1666. Chowano tam ponoć wyłącznie wybitnych albo szlachetnie urodzonych ludzi, najwybitniejszych synów dawnego narodu. Za takich przynajmniej uważano ich za życia. Obecnie Quinnowi wydawali się kurewsko uciążliwi. Och, mieli swoją dumę, która przybierała postać resentymentu i nienawiści, ale poza tym niczym się nie różnili od innych żalonych mieszkańców mdłego królestwa. Większość tych, którzy straszili tu po śmierci, zdawali się stanowić wojownicy polegli w obronie króla i ojczyzny. Wszyscy darzyli Quinna wściekłą nienawiścią, ale byli świadomi jego mocy w wystarczającym stopniu, by się go bać. Od początku robili, co mogli, by utrudniać życie jego wyznawcom, zwłaszcza Billy-Joemu i Courtney, maksymalnie wyczerpując swe

wątle siły. Ich zimna obecność sprawiała, że ściany pokrywały kropelki rosy, a dostrzegalne wyłącznie kącikiem oka ruchy trącały oddzielające prezbiterium zasłony, bogato ozdobione złotymi chwostami. Do tego wyli jak psy do księżyca w pełni, wypełniając powietrze swą niezdrową rozpaczą.

Quinn dwukrotnie musiał się przenosić do królestwa duchów, by dać im nauczkę. Sam jego dotyk parzył widma, które pierzchały przed nim trwożnie.

Duchy uspokoiły się teraz, obserwując cizbę opętanych z niemą dezaprobatą. Aura ich ponurej złości wypełniała całą katedrę. Nagle zaczęły się poruszać, jakby w ich tłum również wtargnął jakiś nadnaturalny intruz. Zebrały się pod centralną kopułą, drżąc trwożnie.

Demony zawodziły coraz głośniej.

- Powinieneś o tym usłyszeć, Quinn - odezwał się Billy-Joe.

Zamarł w bezruchu, widząc grymas niezadowolenia na twarzy mrocznego mesjasza. W przesyconym energistyczną mocą środowisku nawy nawet Billy-Joe potrafił dostrzec duchy - drżące, barwne płomyki unoszące się niepewnie nad posadzką. - To ważne, daję słowo.

- Gadaj - westchnął Quinn.

Frenkel dyszał ciężko, starając się nie zaglądać w mroczną otchłań pod kapturem Quinna.

- Jestem z grupy z Hempstead. Coś zobaczyliśmy i uznaliśmy, że powinieneś się o tym dowiedzieć. Dotarłem tu drezyną, przez tunel metra.

- Niech to szlag - wyszeptał Quinn. - Dobra, dobra, mów dalej.

- Jakaś grupa kręciła się przy skrzyżowaniu tuneli pod Dartmouth Park. Podjechali tam samochodem. Dziwne, bo nie spieszyliśmy jeszcze procesorów kierujących ruchem. To musiał być policyjny wóz; godzina policyjna nadal obowiązuje. Wyszli na powierzchnię wyjściem awaryjnym i ruszyli przez wnętrza budynków. Na pewno miejscowi, bo świetnie znali rozkład. Nie sposób zauważyć ich z zewnątrz. Nasze chłopaki miały trudności z dotrzymaniem im kroku. Nie załatwiliśmy ich, bo było ich sześcioro, z czego dwoje bardzo przypominało ludzi, których kazałeś nam szukać.

- Których dwoje? - Zapytał ostrym tonem Quinn.

- Laleczka z długimi włosami i cholernie wielki Murzyn. Reszta to żołnierze, prawdziwi twardziele. Poza jednym - najdziwniejszym. Jest opętany. W dodatku nie z naszej grupy. Nigdy przedtem go nie widzieliśmy.

- Czy to on jest szefem?

- Nie. Wszyscy współdziałają.

- Dokąd poszli?

- Kiedy ich zostawiłem, skradali się wzdłuż Junction Road.

Jeden z naszych ich śledzi.

- Zaprowadź mnie tam - warknął Quinn i ruszył szybko w powietrzu ku najbliższym drzwiom prowadzącym do tuneli. - Billy-Joe, zabierz swój sprzęt.

*

Louise cieszyła się, że dwaj towarzyszący im agenci GISD-u mieli bloki nadawczo-odbiorcze. Dzięki temu jej neuronowy nanosystem miał bezpośrednie, bezpieczne łącze satelitarne z Charliem oraz cywilnym bankiem danych GISD-u i nie musiała korzystać z sieci, która w tej części arkologii nie funkcjonowała zbyt dobrze. Ich drugim bezpiecznym łączem była więź afiniczna Ivanova, dzięki której Louise widziała trasę do Archway Tower, wytyczoną dla nich przez jednostkę sztucznej inteligencji B7.

Gdy wyszła na powierzchnię, ogarnął ją strach. Całe trzydzieści sekund znajdowała się na otwartej przestrzeni, zanim zdołała się skryć w cieniu pierwszego budynku. Potem nie tylko widziała,

gdzie są, lecz również wiedziała, dokąd zmierzają. Dziwne, jak bardzo ją uspokajała ta wiedza.

Przez większość budynków można było przejść, korzystając z serii drzwi - wszystkie były zamknięte na klucz - albo piwnicznych korytarzy. Tam, gdzie było to niemożliwe, agenci GISD-u zamierzali przebić ściany nożami rozszczepieniowymi, ale nie okazało się to potrzebne. Fletcher potrafił po prostu wyczarować drzwi. Nie miało znaczenia, jaką grubość ma ściana ani czy zbudowano ją ze starożytnej cegły, czy z nowoczesnego wzmocnianego betonu węglowego. Ta sztuczka bardzo niepokoiła Brenta Roi, ale oszczędzała im mnóstwo czasu. Opętany wiedział też zawsze, czy przed nimi są jacyś ludzie.

Przechodzili z budynku do budynku, gdy tylko było to możliwe unikając frontowych pokoiów z oknami wychodzącymi na ulicę. Mijali puby, magazyny sklepowe, a nawet kuchnie i kawalerki. Ludzie, których spotykali, reagowali zdumieniem i strachem. Kiedy się dowiadywali, że ich grupa ma oficjalny charakter, pytali, co dzieje się w mieście. I błagali o ratunek. Wszyscy chcieli się stąd wydostać.

Dla Louise to właśnie było najtrudniejsze. Napięcie nerwowe można było wytrzymać, przyzwyczała się już do ustawicznej niepewności, ale żalosne błagania nie dawały jej spokoju. Pokazywali im małe dzieci, a ich spojrzenia były pełne wyrzutu.

- Czy jest jakaś inna droga? - Zapytała datawizyjnie Charliego, gdy opuścili kobietę z trzyletnim chłopczykiem. Oboje płakali żałośnie. - To okropne, że musimy odmawiać tym wszystkim ludziom.

Brent Roi skinął dłonią, nakazując Louise przejść przez małe, trójkątne drzwi do wąskiego, zapuszczonego korytarza. Światło docierało tu tylko przez brudne okienko nad zamurowanymi ceglami drzwiami.

- Przykro mi, Louise - odpowiedział Charlie. - Jednostka sztucznej inteligencji mówi, że posuwając się tą trasą, macie największe szanse uniknąć wykrycia przez opętanych. Emocjonalnego napięcia nie wzięła pod uwagę. Postaraj się jakoś to wytrzymać. Już niedaleko.

- Gdzie jest Genevieve?

- Przed siedmioma minutami dotarła do Skyhigh Kijabe. Wyczarterowałem czarnego jastrzębia, który zabierze ją do Tranquillity. Będzie tam za godzinę.

Louise trąciła w ramię Fletchera.

- Genevieve jest bezpieczna. Zaraz odlatuje do Tranquillity.

- Słyszę o tym z radością, pani. Jest jeszcze nadzieja.

Ivanov doszedł do końca korytarza i uniósł rękę.

- Droga zewnętrzna.

Dwaj agenci GISD-u podbiegli do metalowych drzwi. Jeden z nich spojrział na Fletchera.

- W pobliżu nikogo nie ma - zapewnił opętany.

Agent przycisnął mały blok do wilgotnej ściany w pobliżu drzwi. Urządzenie wysłało przez tynek i cegły wąską wiązkę elektronów. Następnie wysunął się z niego mikrofilament z czujnikiem na końcu. Na obrazie, który przekazał, było widać wąską ulicę, pustą, jeśli nie liczyć pary kotów. Potem czujnik przełączył się na podczerwień i agent skierował go kolejno na wszystkie widoczne okna, szukając ciepłych sylwetek. Jednostka sztucznej inteligencji cały czas obserwowała okolicę za pomocą instrumentów zamontowanych w kopule na górze, ale z takiego kąta nie mogła zajrzeć do okien.

Przechodząc przez ulicę, zawsze zachowywali wielką ostrożność, co znacznie ich spowalniało.

- Dwa możliwe cele - zameldował agent, przekazując datawizyjne współrzędne swym

towarzyszom. Otworzyli drzwi i mężczyzna przebiegł szybko do budynku po drugiej stronie ulicy. Ich celem było zamknięte kratą okno. Przecięcie rygli nożem rozszczepieniowym trwało piętnaście sekund, a zamka zaledwie dwie. Agent wpadł do środka, przetaczając się zręcznie po podłodze. Drugi był Brent Roi, a trzecia Louise, która przebiegła sprintem na drugą stronę ulicy. Według jej neuronowego nanosystemu była to Vorley Road, ostatnia wolna przestrzeń, jaką mieli pokonać.

Zbliżamy się do celu, powiedziała sobie. Od najbliższej stacji kolei próżniowej dzieliła ich już daleka droga.

Skupisko budynków, w którym się znaleźli, otaczało monolityczny, dwudziestopiętrowy wieżowiec usytuowany w połowie pochyłości, której szczytem było Highgate Hill. Gdyby sąsiednie domy nie zasłaniały im widoku, mogliby już zobaczyć dachy starego miasta.

Gdy tylko znaleźli się wewnątrz, ruszyli korytarzem prosto do holu wieżowca. Czekala tam już na nich winda z otwartymi drzwiami.

- W wieżowcu nadal jest prąd i działa sieć - poinformował ją datawizyjnie Charlie. - Jednostka sztucznej inteligencji obserwuje wszystkie obwody. Gdyby doszło do zakłóceń, będę mógł was ostrzec ze znacznym wyprzedzeniem.

Wszyscy wpełnęli się do windy, która zawiozła ich gładko na wyższe piętro. Gdy drzwi się otworzyły, ujrzeli przed sobą świat sztucznego oświetlenia, grubych, metalowych rur, czarnych zbiorników oraz wielkich, prymitywnych wentylatorów. Ivanov poprowadził ich metalowym chodnikiem ku krętym schodom, po których dotarli na płaski dach. Wychodząc na zewnątrz, spłoszyli stadko szkarłatnych papużek, które zerwały się do lotu z przeraźliwym wrzaskiem.

Louise rozejrzała się niepewnie wokół. Pierwszy szereg wysokich, nowoczesnych drapaczy chmur otaczających stare miasto znajdował się zaledwie milę na północ od nich. Szkliste fasady wieżowców lśniły różowo-złotym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca. Na południe stąd objęte godziną policyjną miasto opadało falą pograżonych w mroku dachów ku odległej Tamizie. Przy niektórych większych ulicach, gdzie moc jeszcze dopływała, można było zobaczyć srebrzyste błyski holograficznych reklam. W ani jednym oknie nie paliło się światło. Mieszkańcy woleli siedzieć po ciemku, bojąc się ściągnąć na siebie uwagę.

Usłyszała śmiech Fletchera. Opętany opierał się o rozsypującą się betonową balustradę na krawędzi dachu, spoglądając na południe.

- O co chodzi? - Zapytała.

- Śmieję się z własnej pokory, pani. Ujrzałem miasto, w którym stał ongiś mój dom, i okazało się, że od chwili powrotu nie widziałem nic bardziej niezwykłego. Słowo "miasto" nie znaczy już tego, co za moich czasów. Potraficie zbudować takiego kolosa, a mimo to mnie przypadło w udziale proste zadanie odnalezienia jednego człowieka.

- To nie człowiek tylko potwór.

- Zaiste, lady Louise. - Z jego przystojnej twarzy zniknęła wesołość. Znowu spojrzął na starożytne miasto. - Oni tu są, ale oczywiście już o tym wiesz.

- Ilu ich jest?

- Mniej, niż się spodziewałem, ale wystarczająco wielu. Wszędzie wyczuwam ich obecność. - Zamknął oczy i wychylił się nieco za balustradę, wężąc intensywnie. Zacisnął mocno dłonie na murku. - Zgromadzili się. Czuję ich. Celowo wyciszyli myśli. Czekają na coś.

- Czekają? - Zapytał pośpiesznie Ivanov. - Skąd pan wie?

- Spowija ich aura niecierpliwości. I niepokoju. Obawiają się czegoś, ale nie są w stanie uciec przed źródłem swego lęku.

- To on! Na pewno. Nikt inny nie potrafiłby zmusić do posłuszeństwa całej bandy opętanych.

Gdzie są?

Fletcher uniósł jedną rękę. Na balustradzie została ciemna plama potu. Opętany wskazał w kierunku, w którym biegła Holloway Road.

- Gdzieś tam. Nie jestem pewien, ile mil stąd. Są jednak wewnątrz kopuły. Mogłbym na to postawić kapelusz.

Ivanov stanął za Fletcherem, spoglądając w kierunku, który wskazywał opętany.

- Jest pan pewien?

- Jestem, sir. Tam.

- W porządku. Mamy jeden namiar. Teraz trzeba użyć triangulacji.

- Świetny pomysł.

- Pójdziemy na Crouch Hill. To powinno być wystarczająco daleko. Jak już będziemy w przybliżeniu wiedzieli, gdzie skurwysyn się ukrywa, wytyczymy trasę, która pana tam zaprowadzi.

- Jeśli wolno mi coś zasugerować, wolałbym iść na piechotę. Nikt mnie nie zaatakuję, gdy będę w tej postaci, a już z pewnością nie będzie nic podejrzewał.

- Pójdiesz sobie w siną dal - warknął Brent. - Wykluczone.

- Porozmawiamy o tym później - zdecydował Ivanov. - Fletcher, wie pan, ilu ich może tam być?

- Sugerowałbym kilkuset. Być może nawet tysiąc.

- Po co mu aż tylu opętanych w jednym miejscu?

- Nie potrafię w żaden sposób wyjaśnić zachowania Quinna Dextera. To szaleniec, sir.

- W porządku. - Ivanov raz jeszcze spojrzął w kierunku wskazanym przez Fletchera. -

Ruszajmy.

Gdy wsiedli do windy, jednostka sztucznej inteligencji zameldowała, że w pobliżu Archway Tower pojawiły się zakłócenia. Natychmiast zawiadomiła o tym datawizyjnie Charliego. Do zakłóceń doszło w pobliżu podstacji zaopatrującej wieżowiec w prąd. Obraz kamery pokazywał dwóch ludzi zmierzających ciemnym korytarzem ku podstacji.

- Macie kłopoty - ostrzegł Ivanova Charlie.

Drzwi podstacji pękły pod uderzeniem białego ognia. Wokół podstawy Archway Tower wykryto trzy kolejne przypadki zakłóceń. Na rejestrowanych przez czujniki obrazach było widać opętanych, którzy posuwali się z wyraźną determinacją tunelem metra oraz korytarzami. Transformatory podstacji eksplodowały, gdy biały ogień zniszczył obudowę.

Ivanov zauważył, że światła w windzie zamigotały, kiedy włączył się awaryjny generator wieżowca. Mijali właśnie dziewiętnaste piętro.

Opętani wtargnęli do piwnicy i niszczyli wszystkie obwody, które zdołali znaleźć, wrywając kable ze ścian. Jednostka sztucznej inteligencji obserwowała bezsilnie, jak połączenia sieciowe wieżowca przestają działać jedno po drugim. Niezależne źródła mocy podtrzymywały funkcjonowanie wewnętrznych procesorów, ale mogła się z nimi połączyć jedynie za pośrednictwem bloków nadawczo-odbiorczych agentów GISD-u, korzystając z pasma potrzebnego do obserwacji otoczenia oraz ewentualnego inicjowania akcji wymierzonych przeciwko nieprzyjacielowi.

Czujniki bezpieczeństwa na parterze zarejestrowały piętnastu opętanych, którzy wbiegli po schodach do holu. Intruzi natychmiast zniszczyli wszystkie elektroniczne instrumenty niewielkimi impulsami białego ognia. Zanim ostatnia kamera przestała działać, Charlie zauważył, że potężne uderzenie rozwalilo drzwi szybu windy.

- Uciekajcie - rozkazał. - Zwiewajcie na korytarz.

Jednostka sztucznej inteligencji zdążyła już nawiązać połączenie z procesorem kierującym

windą. Włączyła hamulce awaryjne i zatrzymała gwałtownie kabinę na trzynastym piętrze.

Louise pisnęła z przerażenia, gdy podłoga windy podskoczyła nagle. W tej samej chwili rozległ się przenikliwy sygnał syreny alarmowej. Dziewczyna złapała się poręczy. Wstrząs cisnął nią o ścianę.

Drzwi się otworzyły. Charlie przekazywał jej datawizyjnie rozkazy.

- Ruszać się! - Wołał Ivanov. - Nadchodzą opętani.

Wszyscy wybiegli na korytarz. Po obu stronach mieli czarne drzwi mieszkań. Przez okna z ciemnego szkła na obu końcach przedostawało się do środka słabe światło zachodzącego słońca. Na obojgu drzwiach prowadzących do klatek schodowych paliły się jasne światła alarmowe.

Charlie kazał jednemu z agentów GISD-u zostawić blok nadawczo-odbiorczy na korytarzu. Mężczyzna schował go pod drzwiami, umożliwiając w ten sposób jednostce sztucznej inteligencji utrzymanie kontaktu z siecią wieżowca.

- Opętani zmiierzają w górę obiema klatkami schodowymi - przekazał datawizyjnie Charlie. - W jednej jest ich pięciu, w drugiej czterech. Reszta czeka na dole. Będziecie musieli utorować sobie drogę siłą. Sugeruję, byście użyli antypamięci, gdy tylko będzie to możliwe.

- Jestem za - stwierdził Ivanov. Wyciągnął małą broń, trzymając ją w lewej ręce. W prawej miał mały pistolet.

Fletcher i Louise również wydobyli broń. Agenci i Brent sprawdzali karabiny maszynowe.

Ivanov otworzył ostrożnie drzwi klatki schodowej. Betonowe schody o metalowych poręczach biegły w dół prostokątną spiralą. Z dołu dobiegał tupot biegnących ludzi.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - stwierdził krótko Fletcher.

Jednostka sztucznej inteligencji śledziła posuwające się w górę zakłócenia, obliczając odległość. Obaj agenci GISD-u wprowadzili przewidywany czas do mechanizmu spustowego granatów i rzucili je do klatki schodowej.

Louise przykucnęła pod ścianą, osłaniając uszy dłońmi. Chemiczne granaty eksplodowały z głośnym hukiem. Potem agenci rzucili w dół pociski zapalające. Płomienie buchnęły w górę, przypalając oszołomionych opętanych. Krzyki poniosły się echem po klatce schodowej.

- Naprzód - rozkazał Ivanov i ruszył pierwszy w dół. Louise biegła jako trzecia, za jednym z agentów. Tuż za nią podążał Brent. Przełączyła w tryb nadrzędności cały zestaw programów: autolokomocję, pozwalającą jej gładko mijać zakręty; inhibitor adrenaliny ułatwiający zachowanie spokoju; sterownik broni, który umożliwi jej skuteczne wycelowanie antypamięci; analizator ruchów dostrzeganych kącikiem oka; kontroler akcji serca równoważący działanie inhibitora adrenaliny i zapewniający odpowiedni dopływ krwi jej mięśniom; program analizy taktycznej zsynchronizowany z jednostką sztucznej inteligencji. Ta ostatnia zawiadomiła dziewczynę, że opętani z holu wtargnęli do klatki schodowej, by przyjść z pomocą rannym towarzyszom. Dwa piętra niżej agenci rzucają kolejne granaty, a potem wszyscy przejdą do drugiej klatki schodowej.

Środkiem studni w górę uderzył snop białego ognia. Jego koniec szybko stawał się coraz szerszy.

Louise odskoczyła od poręczy. Brent i jeden z agentów przełożyli nad poręczą karabiny maszynowe i wystrzelili w dół deszcz elektrostatycznych pocisków.

Fontanna białego ognia rozpadła się, sypiąc na boki rozżarzonymi iskrami. Kilka z nich spadło na nogi Louise, przepalając legginsy i parząc ją dotkliwie. Zgasiła je wolną dłonią, uruchamiając jednocześnie program blokujący ból. Pojawiły się neuroikony ostrzegające przed spadkiem wydolności jej neuronowego nanosystemu.

Kolejny impuls białego ognia rozbłysnął niczym piorun, trafiając agenta GISD-u, który

osłaniał tyły grupy. Energia przebiła czaszkę i zwęgliła mózg. Mężczyzna natychmiast zwałił się na ziemię.

Ivanov i drugi agent odwrócili się błyskawicznie, unosząc broń w poszukiwaniu celu.

- Kurwa, skąd to się wzięło? - Wrzasnął Brent.

Charlie wiedział, że odpowiedź może być tylko jedna. Połączony z nim więzią afiniczną Ivanov zwrócił się instynktownie w stronę Fletchera.

- To on? - Zapytał detektyw.

- Tak - potwierdził Fletcher przepojonym łękiem głosem. - Wyczuwam go, mimo że ukrywa się przed naszymi oczami.

Opętani znowu ruszyli w górę. W pracy neuronowych nanosystemów i bloków nadawczo-odbiorczych pojawiły się zakłócenia. Charlie zacisnął dłoń Ivanova na antypamięci.

- Tędy - rozkazał.

Ivanov przeszedł przez drzwi prowadzące na dziesiąte piętro, zataczając bronią szeroki łuk, żeby pokryć cały korytarz. Był pusty, wyglądał tak samo, jak na trzynastym piętrze. Louise i Brent podążyli za nim, a ostatni agent rzucił jeszcze w dół dwa granaty. Potem wszyscy pobiegli do drugiej klatki schodowej. Granaty nie wybuchły.

- Nadal tu jest? - Zapytał Ivanov.

- Blisko - odparł Fletcher. Jego głos był pełen furii i frustracji. - Nie widzę go! To diabeł!

- Strzel tam, gdzie twoim zdaniem może być. A nuż się uda.

Fletcher zatrzymał się i uniosł antypamięć, przesuwając kciukiem guzik do przodu. Rozejrzał się po mrocznym korytarzu, próbując się zdecydować. Nagle nacisnął spust. Z broni trysnął stożek rubinowego, laserowego światła.

- To się na nic nie zda - zawołał. - Na nic.

Energistyczne zakłócenia niemal całkowicie sparaliżowały neuronowy nanosystem Ivanova. Detektyw nie odbierał już żadnych przekazów datawizyjnych. To znaczyło, że opętani są bardzo blisko.

- Jednostka sztucznej inteligencji utraciła połączenie z blokami nadawczo-odbiorczymi - odezwał się Charlie. - Nie jestem już w stanie śledzić ruchów opętanych.

- Ucieczka w górę nic nam nie da - stwierdził Ivanov, rozglądając się wokół w popłochu. - Musimy stanąć do walki.

- Zgoda. Jest szansa, że podczas starcia Dexter stanie się widzialny. W takim przypadku musicie użyć antypamięci bez względu na koszt.

- Nie będzie nawet trzeba mnie zmuszać. Z radością wykończę tego zdrańca.

Fletcher objął opiekuńczo ramieniem drżącą Louise. Nagle znowu wystrzelił z antypamięci. Wiązka przemknęła nad głową Brenta.

- Uważaj z tym - zawołał detektyw z Halo.

Fletcher zignorował go.

- Reszta jest już prawie na miejscu.

Trzy karabiny maszynowe skierowały się ku drzwiom.

- Uciekaj stąd - rozkazał Louise Ivanov, wskazując ręką okno na końcu korytarza. Nagle zauważył, co znajduje się za nią, i krzyknął głośno z zachwytem. - Tak jest! Najstarsza ze znanych sztuczek. Fletcher, osłaniaj mnie. Możemy ją stąd wyprowadzić.

- Powinieneś być na to wpaść - oskarżył Charliego.

Za oknem znajdował się ewakuacyjny rękaw przeciwpożarowy, wielki kompozytowy wór zamontowany na grubych wałkach obrotowych. Ivanov złapał Louise i pociągnął ją za sobą. Potem

chwycił dźwignię usytuowaną przy wejściu do rękawa i obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni. Okno wypadło na zewnątrz, rozległ się sygnał alarmowy i w całym korytarzu z sufitowych zraszaczy trysnęła woda. Wlot rękawa odwrócił się, kierując się ku otwartemu oknu. Długi rękaw rozwinął się płynnie, jego wolny koniec opadł ku pograżonej w mroku ziemi.

- To ręczny system - sprzeciwił się Charlie. - Jednostka sztucznej inteligencji nie może nim kierować.

Oszołomiona Louise gapiała się na wlot rękawa. Zimna woda docierała już do jej skóry.

- Wskakuj - zawołał Ivanov, przekrzykując alarm. - Nogami do przodu.

Śmiał się jak szaleniec.

- Nie - wyjąkała zalekciona dziewczyna, cofając się o krok.

Obok drzwi na klatkę schodową w ścianie zmaterializowały się drugie, identyczne. Brent wypuścił w ich kierunku serię z karabinu maszynowego. Z podłogi obok jego stóp wysunęły się szkieletowe dłonie o długich, czerwonych paznokciach, łapiąc go za kostki. Zdążył jeszcze krzyknąć z przerażenia, nim pociągnęły go w dół. Potem mógł jedynie chrząknąć z niedowierzaniem, gdy jego łydki zapadły się w dywan jak w ruchome piaski.

Fletcher złapał miotającego się szaleńczo mężczyznę i wyzwolił energistyczną moc, by powstrzymać destabilizację podłogi. Przez drzwi na drugim końcu do korytarza weszli dwaj opętani. Byli ubrani jak rzymscy legionieści, ale mieli kusze z nierdzewnej stali. Agent GISD-u przykucnął i otworzył do nich ogień z karabinu maszynowego. Przeszywającym strumienie wody kulom towarzyszyły gwałtowne błyskawice. Legionieści potknęli się, gdy pociski w nich uderzyły, odbijając się z brzękiem od napierśników z brązu, zdołali jednak zachować równowagę. Ruchy ich kończyn stały się krótkie i urywane. Jeden z nich uniósł kuszę i wystrzelił. Bełt trafił agenta w kolano, ucinając dolną część nogi. Z kikuta trysnęła krew. Mężczyzna zwałił się na bok, oszołomiony bólem.

- Ruszaj się! - Zawołał Ivanov, spoglądając na Louise. - Zmiataj stąd!

Jedną ręką złapał ją brutalnie, a drugą wymierzył antypamięć w głąb korytarza. Wiązka światła trafiła nadchodzących legionistów.

Louise złapała za brzeg wlotu, spoglądając w głąb rękawa. Myśl o wskoczeniu do środka wypełniała ją przerażeniem. Za jej plecami rozległ się kolejny krzyk. Złapała za rączkę u szczytu wlotu, włożyła nogi do rękawa i puściła uchwyt.

Fletcher zdołał uwolnić jedną z nóg Brenta, gdy z duplikatu drzwi wypadło trzech opętanych. Instynktownie wyciągnął ku nim ramiona, z koniuszków jego palców trysnęły strumienie białego ognia. Porażeni napastnicy miotali się gwałtownie, ale po chwili zdołali skupić swą moc i strugi płomienia spłynęły bez szkody po ich skórze.

Wokół tułowia Fletchera owinęła się biała wstęga. Był zmuszony zaprzestać ataku i przejść do obrony. Czerwony snop antypamięci rozświetlił kropelki zaledwie cal od jego nosa, gdy Ivanov spróbował go osłaniać. Jeden z opętanych padł na podłogę.

Detektyw wycelował w następnego przeciwnika, ale w tej samej chwili bełt kuszy przebił jego przedramię, wrywając przerażająco długi pas mięśni i odsłaniając kość. Dłoń Ivanova otworzyła się bezsilnie, karabin maszynowy spadł na podłogę. Na matowy metal broni trysnęła krew.

Ivanov uniósł wzrok, potrząsając głową, by usunąć wodę z wypełnionych bólem oczu, i zobaczył, że Fletcher siania się na nogach, otoczony pięcioma rozwidlonymi wiązkami energistycznej mocy. Poparzony Brent leżący u jego stóp zaczerpnął z wysiłkiem tchu, uniósł broń i zaczął strzelać na oślep, nie dbając o to, kogo trafią kule. Nigdzie nie było widać Dextera.

- Może spróbować pójść za Louise - stwierdził Charlie.

Ivanov nie był w stanie określić, kto w owej chwili kierował ruchami jego ciała. Cofnął się

chwiejnie o dwa kroki, aż wreszcie dolny brzeg wlotu rękawa uderzył go tuż poniżej nerek. Potem wykonał niewiarygodnie zręczny przewrót w tył i głową naprzód wpadł do rękawa.

Fletcher zatoczył się w bok, a Brent znowu zaczął strzelać. Opętani padli na podłogę, dwóch z nich skryło się w ścianach. Wtem niktąd pojawiła się kula białego ognia, która bezbłędnie trafiła Brenta w lewy oczodół. Broń umilkła. Dwie włócznie białego ognia natychmiast wznowiły atak. Fletcher wygiął się pod wpływem bólu i uniósł dłoń w kierunku, z którego nadchodziła jedna z wiązek, gotowy odpowiedzieć własnym płomieniem. Nagle jednak na jego szyi zacisnęła się cienka metalowa obręcz. Przez ciało Fletchera popłynął prąd. Musiał skupić całą swą siłę, by nie pozwolić, żeby paląca energia zalała jego mózg niby gorący kwas. Nie był w stanie myśleć, pozostał mu wyłącznie instynkt. Osunął się na kolana, nozdrza wypełnił mu intensywny odór palonej skóry. Antypamięć wypadła z jego bezwładnych palców.

- Wystarczy.

Prąd wyłączono. Mięśnie Fletchera utraciły napięcie, jego ciało osunęło się bezwładnie na podłogę. Trudno mu było oddychać, gdyż metalowa obręcz bezlitośnie uciskała jego grdykę. Uniósł bezwładne palce do kołnierza.

- Zostaw to, skurwysynu, bo znowu dam ci kopa. Fletcher zamrugał, starając się oczyścić oczy z nadal leżącej się z sufitu wody. Skupił spojrzenie na długim pręcie sterującym z jego obroży. Trzymał go młody mężczyzna, który nie był opętany. Wystawiał język z kącika ust.

Fletcher cofnął dłonie od kołnierza.

- Grzeczny chłopczyk - zadrwił młodzieniec. - Hej, Quinn, mam go. Oberwał, ale nic mu się nie stało.

Obok Billy-Joego zmaterializował się Quinn Dexter. Strumienie wody nawet nie tknęły jego szaty.

- Dobra robota. Należy ci się za to co najmniej hrabianka i aktorka klasyczna.

Billy-Joe odrzucił głowę do tyłu i zawył z radości.

- Tak jest. Umrę z przejebania.

- Szkoda, że moja stara przyjaciółka Louise uciekła.

- Nie uciekła - zawołał radośnie Billy-Joe. Wepchnął pręt sterujący kołnierza w rękę zaskoczonych Frenkela, który złapał go odruchowo. - Znajdę ją dla ciebie, Quinn. Zobaczysz.

- Nie - sprzeciwił się Dexter.

Billy-Joe jednak gnał już ku wlotowi rękawa.

- Billy-Joe! - Zawołał Dexter złowrogim tonem. Młodzieniec odpowiedział niemądrym uśmiechem i skoczył do rękawa.

- Cholera! - Warknął Quinn. Prowadząc opętanych do wieży, oznajmił im dobitnie, że bardzo mu zależy na pojmaniu Louise Kavanagh żywcem. A bez względu na całą swą lojalność, Billy-Joe był za głupi, żeby zrozumieć choć prostą strategię.

Quinn nie mógł jednak sam ścigać dziewczyny. Fletcher gapił się na niego ze spokojną zaciekłością. Pojmali go, ale nie złamali. Quinn musiał też zadać mu parę pytań dotyczących pozbawionych dusz ciał, które leżały bezwładnie w korytarzu. Strzelił palcami na dwóch opętanych z grupy z Hampstead.

- Wy dwaj, zejdźcie na dół mu pomóc.

Gdyby Louise miała czas przeczytać instrukcje i obejrzeć piktogramy umieszczone przy wejściu, mogłaby się nie bać tak bardzo. Rękaw był starym wynalazkiem, udoskonalonym dzięki zastosowaniu nowoczesnej, supergiętkiej tkaniny, i można go było używać na niemal każdej wysokości. Przez cztery pierwsze piętra zjeżdżała w dół niemal bez oporu, potem jednak rękaw

zaczął się zwężać, łagodnie hamując upadek dziewczyny. Rozciągał się tylko w jedną stronę i jego długość była stała. Bez względu na to, ilu ludzi weszło do środka, koniec zawsze unosił się metr nad ulicą.

Louise opadła lekko na chodnik, nawet nie uginając kolan. Jej neuronowy nanosystem znowu zaczął działać, a inhibitor adrenaliny szybko powstrzymał drzenie. Dziewczyna postąpiła kilka niepewnych kroków, po czym spojrzała w górę. Z otwartego okna dobiegały słabe odgłosy walki. W dół rękawa posuwało się zgrubienie wyglądające jak świnka morska połknięta przez węża.

Louise nie miała czasu, by gdzieś się schować, zanim zjeżdżający rękawem człowiek znajdzie się na ulicy. Popatrzyła bez wyrazu na antypamięć, którą trzymała w dłoni, a potem wycelowała ją w wylot rękawa.

Pojawiła się w niej głowa, co zaskoczyło dziewczynę. Spodziewała się stóp.

Podczas zjazdu Ivanov zaciskał zęby z bólu, który przeszywał mu ramię - Neuronowy nanosystem stopniowo wracał do normy. Kiedy detektyw wypadł z rękawa, blok aksonowy odzyskał już sprawność i odciął dopływ impulsów z rany. Fizjologiczny szok był jednak trudniejszy do powstrzymania.

Mógł się wesprzeć tylko na jednej ręce i gdy wypadł w całości z rękawa, runął bezwładnie na ziemię. Louise podbiegła bliżej, żeby mu pomóc, i wciągnęła trwożnie powietrze na widok zakrwawionego ramienia.

- Nie - jęknął Ivanov. Przetoczył się na kolana i mocno ścisnął długą ranę, starając się powstrzymać wypływ krwi. - Uciekaj - rozkazał z przejęciem.

- Jesteś ranny.

- Nieważne. Uciekaj. I to już.

- Ale... - Rozejrzała się z rozpaczą po ciemnych, opustoszałych ulicach. - Nie mam dokąd pójść.

Twarcz Ivanova zmieniła nagle wyraz, nieznacznie, lecz zauważalnie.

- Mówi Charlie. Uciekaj, Louise. Szybko. Nie zatrzymuj się ani na chwilę. Najpierw na Holloway Road, tam nie ma ich zbyt wielu. Strzelaj do każdego, którego zobaczysz. Mówię poważnie. Nie zadawaj pytań, tylko strzelaj. Gdy już będziesz daleko, znajdź jakieś puste miejsce i schowaj się tam. Obiecuję, że zrobię, co będę mógł, żeby uratować Londyn. Wiesz, że to prawda, Louise. - Detektyw uniósł wzrok. Posuwające się w dół rękawa rozszerzenie było już w połowie długości. - Uciekaj! Proszę. Zmiataj stąd. Ja się nimi zajmę. W najbliższym czasie nikt nie będzie cię ścigał.

Ivanov mruknął znacząco. Louise wiedziała, że to on, nie Charlie. Skinęła głową i odsunęła się.

- Dziękuję - powiedziała, a potem popędziła przed siebie.

Ivanov odwrócił się w stronę wylotu. Puścił ranne ramię, pozwalając, by krew wypływała swobodnie. Uniósł zdrową rękę i wycelował antypamięć w wylot rękawa w tej samej chwili, gdy pojawiła się w nim głowa Billy-Joego.

*

Żółte, odblaskowe frisbee pomknęło wysoko nad białym piaskiem. Haile musiała wypuścić z traktamorficznego ciała długą mackę, żeby je złapać. Jay klaskała w dłonie i podskakiwała radośnie.

- Rzuć mi je, rzuć mi je - wołała.

Haile owinęła mackę wokół zabawki i cisnęła ją nagłym ruchem. Frisbee pomknęło po idealnie płaskiej trajektorii, dwukrotnie szybciej niż wtedy, gdy rzuciła je dziewczynka.

Jay musiała podskoczyć wysoko, by mieć szansę je złapać. Uderzyło ją w rękę z ostrym

trzaskiem i dziewczynka zwała się na ziemię.

- Aj!
- Czujesz bolesność?
- Bardzo małą.

Jay wstała, potrząsając dłonią, by uwolnić ją od mrowienia. Z lekkim poczuciem winy spojrzała na domek na plaży. Tracy ciągle jej powtarzała, ile razy musiała prosić dostawcy o pomoc medyczną, kiedy Jay szła surfować. Groziła, że skonfiskuje jej deskę. Jeśli dziewczynka poprosi o jakiś środek na ból dłoni, znowu dostanie burę.

- Pora na odpoczynek - oznajmiła, okrywając się ręcznikiem.

Haile podeszła bliżej i za pomocą traktamorficznego ciała wygrzebała w ciepłym, suchym piasku płytkie zagłębienie. Następnie usadowiła się w nim, emitując pełne zadowolenia myśli.

Jay ponownie zerknęła na chłodziarkę, a potem znowu na domek.

- Co teraz oglądają?
- Korpus pokazuje im obrazy przekazywane przez czujniki zainstalowane na Ziemi.
- Naprawdę? A skąd?

- Z Londynu. Fletcher Christian pomaga policji zlokalizować Quinna Dextera. Tracy martwi się tym, że siły bezpieczeństwa dysponują teraz bronią niszczącą wzór życia.

Jay westchnęła z niecierpliwości. Tracy wciąż jej powtarzała, że w Konfederacji rozgrywają się wydarzenia o olbrzymim znaczeniu. Dziewczynka uważała jednak, że starzy obserwatorzy zachowują się głupio, tak bardzo przejmując się zwykłą polityczną przepychanką. Interesowało ją tylko, kiedy to wszystko się skończy i będzie mogła wrócić do mamy. Banda polityków kłócących się, z kim sprzymierzyć swoje planety, z pewnością nie rozwiąże kryzysu.

- Przyjaciółko Jay, co się stało?
- Chcę wrócić do domu.

Zawstydził ją płaczący ton jej własnego głosu.

- Korpus prosi cię o cierpliwość.
- Aha! - Smutek szybko przerodził się w gniew. - Akurat go to obchodzi.
- Obchodzi go - zapewniła urażona Haile. - Obchodzi wszystkich Kiintów.
- Jasne.

Jay nie zamierzała się kłócić z przyjaciółką. Zawsze obie czuły się potem fatalnie.

- Leci Tracy - oznajmiła Haile z nutą nadziei.

Staruszka zmierzała ku nim na chromowoniebieskim skuterze powietrznym. Niektórzy z mieszkańców Wioski wszędzie latali na tych małych wehikułach, a każdy z nich wyglądał inaczej. Skuter Tracy był grubą elipsoidą z siodełkiem umieszczonym w zagłębieniu pośrodku. W jednej trzeciej długości kadłuba sterczały z niego krótkie, grube, trójkątne płetwy z czerwonymi światłami pozycyjnymi. Jay nie wątpiła, że są tylko na pokaz. Z przodu pojazdu umieszczono też anachroniczne okrągłe reflektory, przypominające szklane klejnoty. Tracy mówiła, że to jej thunderbird.

To było kolejne urządzenie, którego Jay nie pozwalano używać. Dziewczynka była przekonana, że z opływowego wehikułu można by wycisnąć prędkość znacznie większą, niż robiła to Tracy.

Maszyna mknęła dwa metry nad ziemią, nie szybciej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę.

Jay wstała i strzepnęła piasek z kostiumu kąpielowego. Thunderbird wylądował obok niej.

- Przepraszam, że się spóźniłam, złotko - zawołała Tracy. - Haile, moja droga, będziesz musiała dziś po południu zostać sama. Zabieram Jay na Agarn.

- A co to jest Agarn?

Tracy i dziewczynka ruszyły w stronę domku. Thunderbird podążał wiernie za nimi. Po drodze staruszka wytłumaczyła Jay, że Agarn to inna planeta położona w Łuku. Mieszkało tam niewielu Kiintów, którzy nie ingerowali w życie większości mieszkańców Łuku, zajmując się filozofią.

- Lepiej bądź grzeczna - ostrzegła ją Tracy, gdy już znalazły się w środku. - To bardzo dystygowana grupa.

- Po co się tam wybieramy?

- Kiintowie z Agarn różnią się nieco od pozostałych. Mam nadzieję, że zechcą nam pomóc. Można by powiedzieć, że to chwytanie się brzytwy, ale sytuacja w Konfederacji zrobiła się naprawdę nieprzyjemna. Martwię się, że wszystko zakończy się zgniłym kompromisem, który niczego nie rozwiąże. To jeden z najgorszych możliwych rezultatów.

Kobieta omiotła spojrzeniem strój Jay: szorty koloru khaki, niebieską koszulkę i mocne, turystyczne buciory.

- Może być - oceniła. - Wyglądasz jak mała podróżniczka.

- Dlaczego zabierasz mnie ze sobą?

- Żeby mogli zobaczyć prawdziwego człowieka.

- Aha. - Ten pomysł nie spodobał się Jay nawet w najmniejszym stopniu. - A czy nie mogą obejrzeć przekazów z Konfederacji, jak wy?

- W pewnym sensie już je widzieli. Nie odwrócili się plecami do Korpusu. Gdyby to zrobili, nie byłoby sensu ich odwiedzać.

Jay uśmiechnęła się tylko. Nadal nie potrafiła pojąć, na czym polega Korpus.

W zasięgu wzroku od kręgu teleportacyjnego, w którym znaleźli się po przybyciu na Agarn, nie było żadnych budynków. Wokół rozciągała się wielka dolina o dnie pokrytym pofałdowanymi wzgórzami. Ziemię porastał tu bujny, szmaragdowy odpowiednik trawy. Przypominało to parkowe tereny Riynine pozostawione na parę stuleci bez opieki. Drzewa wyglądały jak powykręcane wieże złożone z pęcherzyków barwy fuksji. Z urwisk otaczających dolinę spływało kilkanaście wodospadów, a we wszystkich rozpadlinach toczyły swe wody strumienie wpadające do wypełniających kraterę jezior. Tracy rozejrzała się wokół, ocierając czoło koronkową chusteczką.

- Zapomniałam, jak tu gorąco - wyszeptwała.

Jay włożyła okulary słoneczne i obie ruszyły w stronę najbliższego jeziora. Nieopodal brzegu kapło się w nim dwóch Kiintów.

- Cześć, Fowin - odezwała się Tracy.

Kiint wyprostował tępo zakończone traktamorficzne ciało i ruszył w stronę brzegu.

- Pozdrowienia dla ciebie, Tracy Dean. Ty jesteś Jay Hilton? Zapytanie.

- Tak, bardzo dziękuję. Cześć.

Gdy Kiint dotarł do brzegu i wygramolił się na bujny odpowiednik trawy, Jay uniosła okulary słoneczne na czoło. Kiint bardzo przypominał rodziców Haile, choć dziewczynka odnosiła wrażenie, że jego szpary oddechowe są ustawione bardziej pionowo, a nogi ma bardziej płaskie.

- Dziękuję za tę wizytę - powiedziała Tracy. - Chcę, byś rozważył możliwość interwencji.

- Wiem o tym. W jakim innym celu odwiedzają mnie obserwatorzy? Po przypadku stabilizacji Gebali, gdy tylko jakiś nowy gatunek przeżywa kryzys, zawsze proszą mnie o przychylność dla niego.

- Twoje oświecone podejście słynie w całym Korpusie.

- Korpus stanowi nieustanne przypomnienie o Gebalach. Dlatego właśnie wątpię, czy zachowałem się mądrze, zgadzając się im pomóc. Ta wątpliwość kładzie się wielkim ciężarem na moich kontemplacjach. Odciąga moją uwagę od wyższych myśli.

- Gebale znaleźli się w wyjątkowej sytuacji. Podobnie jak ludzie.

- Ludzie znaleźli się w niefortunnej sytuacji.

- Mimo to możemy osiągnąć pełną transcendentną zgodę. Populacja powracających jest minimalna. Zmierzamy ku dojrzałości powoli, ale niepowstrzymanie. - Wskazała na Jay. - Rozważ, proszę, nasz potencjał.

- Ta próba wpłynięcia na mnie jest nieudolna, Tracy Dean. Dziecko każdego gatunku jest rezerwuarem wielkiego potencjału zarówno dobra, jak i zła. Nie potrafię osądzić indywidualnej ścieżki i w ten sposób zdobyć neutralnego świadka. Niemniej jednak, dzieci są z natury rzeczy niewinne, co budzi przychyłność.

- Jay jest jedynym człowiekiem, jakiego tu mamy.

- Proszę bardzo. - Kiint skierował na dziewczynkę wielkie, fiołkowe oczy. - Czego pragniesz najbardziej, Jay Hilton?

- Wrócić do mamy, oczywiście. Ciągle to powtarzam Korpusowi.

- To prawda. Dzielę z tobą twój żal.

- Ale nie chcesz nam pomóc, tak? Żaden z was nie chce. Myślę, że zachowujecie się okropnie. Wszyscy powtarzacie, że nie jesteśmy doskonali. Wiesz, co powiedział mi kiedyś ojciec Horst?

- Nie wiem.

- To bardzo proste i bardzo mądre. Jeśli chcesz wiedzieć, czy coś jest sprawiedliwe, odwróć sytuację. Jeśli rzeczywiście znacie nas tak dobrze, jak sądzicie, wyobraźcie sobie, co by się stało, gdybyśmy mieli tysiąc planet, dostarczycieli i tak dalej. Czy pomoglibyśmy wam, gdyby to tylko było możliwe?

- Zdrowy, szczerze przedstawiony argument. Wiem, że to trudne, ale w grę wchodzi więcej czynników, niżby się zdawało.

- Bardzo sprytnie - odparła Jay, krzyżując ramiona na piersi w geście irytacji. - Wiem, że można wygnać opętujących z ciał, które ukradli. Widziałam to na własne oczy. Dlaczego nie pomożecie nam tego zrobić? Potem moglibyśmy sami zdecydować, co robić dalej.

- Konstrukcja broni, którą buduje wasza armia, nie wymaga naszej pomocy.

- Nie mówię o tym. Ojciec Horst egzorcyzmował Freyę. Wyrzucił z niej opętującą duszę.

- Zainteresowała mnie twoja relacja, Jay Hilton. Korpus nic nie wie o tym incydencie. Czy mogłabyś mi opowiedzieć, jak do tego doszło?

Jay rozpoczęła opowieść o wydarzeniach, które rozegrały się owego pamiętnego dnia w małym gospodarstwie na sawannach Lalonde. Mówiąc o tym, uświadomiła sobie, jak wiele wydarzyło się od tego czasu, jak wiele widziała i zrobiła. Odsunęło to też wspomnienie o matce dalej w przeszłość, sprawiając, że wydała się dziewczynce jeszcze bardziej odległa. Gdy Jay skończyła relację, po jej policzkach spływały łzy.

Tracy natychmiast objęła ją ramieniem.

- Sza, złotko. Tu opętani nie dotrą.

- Nie o to chodzi - zawodziła dziewczynka. - Już nie pamiętam, jak wygląda mama. Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie potrafię.

- Temu przynajmniej mogę zaradzić - zapewnił Fowin. W powietrzu obok Jay pojawiła się kula dostarczyciela. Wysunął się z niej kwadratowy kawałek błyszczącego papieru. Jay wzięła go ostrożnie w rękę. Na jednej stronie wydrukowano podobiznę jej matki. Dziewczynka uśmiechnęła się, zapominając o płaczu.

- To fotografia z jej fleksa paszportowego - powiedziała. - Pamiętam, jak poszliśmy razem

do biura. Skąd ją masz?

- Jest zapisana w komórkach pamięci waszego Rządu Centralnego. Nadal mamy do nich dostęp.

- Bardzo dziękuję - wyszeptała skruszona Jay. Raz jeszcze spojrzała na zdjęcie matki, uradowana jego widokiem. - Myślałam, że na tej planecie nie używacie dostarczycieli. Że wróciliście do natury albo coś w tym rodzaju.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczył Fowin. - Odrzuciliśmy wszystko poza naszą technologią. Permanentne fizyczne struktury nie są konieczne. Możemy swobodnie oddawać się czystym myślom.

- Ludzie nigdy nie staną się podobni do was - stwierdziła ze smutkiem dziewczynka. - Umarlibyśmy z nudy.

- Cieszę się z tego. Wasze pragnienia są niepowtarzalne. Cieszcie się nimi. Bądźcie sobą.

- To znaczy, że pomożecie nam wypędzić opętujące dusze?

- Jestem przekonany, że warunki, które pozwoliły ojcu Horstowi dokonać egzorcyzmu, nie będą się powtarzały zbyt często.

- A dlaczego?

- Jak sama dziś zademonstrowałaś, ludzkie dzieci mają bardzo silne przekonania. Freyę wychowano w wierze w jej rodzimą, chrześcijańską religię. Gdy ojciec Horst rozpoczął ceremonię wygnania opętującego ją ducha, wierzyła, że mu się uda, że egzorcyzm okaże się skuteczny. W tej samej chwili opętującą duszę ogarnęły wątpliwości. Zaznała przedtem czegoś w rodzaju czyścica, co znaczyło, że księża z jej ery rzeczywiście znali fundamentalną prawdę o sprawach duchowych. A teraz stanęła w obliczu kapłana, który wierzył, że Bóg dał mu moc przeprowadzenia egzorcyzmu. Na duszę działały trzy odmienne, bardzo silne przekonania, a wywierany przez nie nacisk nie miał wyłącznie zewnętrznego charakteru. Działał również na jej myśli. Dusza sama siebie przekonała, że przeprowadzana ceremonia jest skuteczna. Jej własna wiara obróciła się przeciwko niej. Wycofała się, bo wierzyła, że musi to zrobić.

- To znaczy, że ojciec Horst nie może egzorcyzmować całych planet?

- Nie może.

- No dobra - ustąpiła z niechęcią Jay. Zabrakło jej już argumentów i nadziei.

- Jak brzmi twoja ocena? - Zapytała z szacunkiem Tracy.

- Przyznaję, że do przebicia na Lalonde doszło z przyczyn zewnętrznych. Nie może to jednak usprawiedliwiać interwencji na pełną skalę.

- Rozumiem.

- Niemniej jednak potencjał waszego gatunku powinien być zachowany. Pozwolimy wam na nowy początek.

- Dziękuję - odparła słabym głosem Tracy.

*

- Nic nie rozumiem - poskarżyła się Jay, gdy wróciły do domku na plaży. - Z czego się tak cieszysz? Korpus nam nie pomoże.

Tracy usiadła na jednym z leżaków na werandzie. Po raz pierwszy złamała własną zasadę i poprosiła dostarczyciela o filiżankę herbaty.

- Dokonałaś prawdziwego cudu, złotko. Oceny Fowina natychmiast przeradzają się w politykę całego Korpusu. Jeśli Konfederacja się rozpadnie, pozwolą nam założyć nową kolonię.

- A co w tym dobrego? Sama mówiłaś, że opętani nie dotrą na wszystkie skolonizowane światy.

- Masz rację. Rozumiesz, chodzi o wiedzę. Ludzie poznali prawdę o duszach, nim jeszcze ich

społeczeństwo osiągnęło dojrzałość potrzebną, by poradzić sobie z takim objawieniem. Ta wiedza stanie się teraz mentalną trucizną, która skazi wszystkie kultury. Ludzkość podzieli się na tysiące skłóconych frakcji. To już się zaczęło, gdy Kulu zgłosiło swój projekt małej Konfederacji bogatych światów. Odzyskanie równowagi po takiej katastrofie potrwa pokolenia, a nawet wtedy na ostateczne rozwiązanie wpłynie to, co wydarzyło się przedtem. Korpus założy nową kolonię, liczącą może z milion mieszkańców. Obserwatorom pozwoli się kupić albo zdobyć w inny sposób nasienie oraz komórki jajowe przechowywane w kapsułach zerowych instytutów medycznych i biologicznych na obszarze całej Konfederacji. Mieszkańcy nowej kolonii będą dojrzewali w egzomacicach, a podczas dzieciństwa będą się nimi opiekowały jednostki sztucznej inteligencji. Dzięki temu można będzie ściśle kontrolować informacje, jakie otrzymają. Zaczniemy od zaawansowanego społeczeństwa, odpowiadającego poziomem technologicznym współczesnej Konfederacji, i pozwolimy mu się rozwijać w naturalny sposób.

- Fowin może zrobić to wszystko?

- Każdy Kiint może. Jeśli mnie o to pytasz, zbyt wielu z nich ulega konformistycznym procesom myślowym. Kiintowie z Agarn przynajmniej próbują osiągnąć coś nowego. Ale to i tak im nie pomogło przy spotkaniu ze Śpiącym Bogiem.

- A co to takiego? - Zapytała zaciekawiona Jay.

Tracy uśmiechnęła się do niej z powagą.

- Coś, co jakieś pradawne istoty zostawiły po sobie w bardzo zamierzchłej przeszłości. Śpiący Bóg stał się poważnym dylematem dla gatunku samozwańcych filozoficznych guru, jakim są Kiintowie. Co prawda, i tak są wobec niego bezsilni. Podejrzewam, że to właśnie irytuje ich najbardziej. Od bardzo dawna byli niekwestionowanymi władcami tego sektora wszechświata, a gdy natrafili na coś nieporównanie bardziej zaawansowanego od siebie, był to dla nich szok. Może właśnie dlatego Fowin okazał się dziś taki ustępliwy.

Przerwała nagle, gdy u wejścia na prowadzące na werandę schody pojawił się Galie.

- Zrobiłaś to - oznajmił.

- Jasne - potwierdziła z uśmiechem Tracy.

Wszedł na górę i osunął się na leżak obok niej. Po chwili zaczęli się schodzić następni emerytowani obserwatorzy, którzy chcieli porozmawiać o nowej kolonii. Okazywali entuzjazm, którego Jay przedtem u nich nie widziała. Wydawali się dzięki temu młodszy. Przez cały wieczór ani razu nie wspomnieli o przeszłości.

Po zapadnięciu zmierzchu wszyscy przenieśli się do pokoju Tracy, gdzie zaczęli oglądać mapy gwiazdne oraz dane zebrane przez zwiad planetarny, spierając się dobroduszenie o zalety poszczególnych lokalizacji. Większość chciała, by kolonia znajdowała się w tej samej galaktyce, co Konfederacja, nawet gdyby musieli ją założyć po drugiej stronie jądra.

Gdzieś około północy Tracy zauważyła, że Jay zasnęła na kanapie. Galie uniósł dziewczynkę i zaniósł ją do sypialni. Nie obudziła się, gdy przykrył ją kołdrą i położył Księcia Della na poduszce obok niej. Potem wyszedł na palcach z pokoju, zamykając za sobą drzwi, i wrócił do debatujących.

*

Louise uciekała Holloway Road przez pół mili. Ulica stawała się coraz węższa. Ciągnęły się wzdłuż niej wysokie ceglane budynki o rozsypujących się parapetach. U ich stóp biegły rynsztoki. Na parterze większości domów ulokowano małe sklepy albo kawiarnie. Wszystkie okna zasłonięto brudnymi żaluzjami. Odgłos kroków dziewczyny odbijał się echem od ścian, zdradzając wszystkim, w którą stronę uciekała.

Po pewnym czasie ulica znowu zaczęła się poszerzać. Na tym odcinku budynki były w

lepszym stanie. Cegły były tu czystsze, a sklepy lepiej utrzymane. Co jakieś sto jardów od ulicy odchodziły wąskie uliczki, przy których stały małe, atrakcyjnie wyglądające segmenty przerobione na domy mieszkalne. Gałęzie rosnących w ogrodach przed domami brzoź oraz wiśni wysuwały się nad chodnik, nadając okolicy wygląd spokojnego, prowincjonalnego miasteczka.

Teren stał się bardziej płaski i Louise ujrzała przed sobą całą milę prostej, pustej ulicy. Sklepy były tu większe, a ich holograficzne reklamy tańczyły nad szerokimi chodnikami, tworząc ruchliwą, opalizującą tęczę. Nad głównymi skrzyżowaniami wisały holopanele kontroli ruchu, oświetlające swymi sekwencjami świateł nawierzchnię z węglowego betonu.

Louise zatrzymała się, dysząc ciężko ze zmęczenia. Nie widziała za sobą żadnego ruchu, ale było tak ciemno, że z pewnością nie zauważyłaby ścigających, dopóki nie znaleźliby się bardzo blisko. Popełniłaby błąd, uciekając oświetloną hologramami ulicą.

Pięćdziesiąt jardów przed nią znajdowała się Tollington Way, wąska boczna uliczka wiodąca do labiryntu zaułków kryjącego się za fasadami domów wszystkich wielkich ulic w Londynie. Louise wbiegła sto metrów w głąb ulicy, trzymając się za boki z bólu wywołanego oddychaniem. Potem zatrzymała się i skryła w głębokim cieniu drzwi.

Mokre legginsy ocierały jej nogi, koszulka zaś zrobiła się obrzydliwie zimna i wilgotna. Miała wrażenie, że jej stopy się kurczą. Dygotała z chłodu. Wysoko nad jej głową, na geodezyjnej strukturze kopuły, migotały zielone światełka.

- I co teraz? - Wydyszała, gapiąc się na nie. Charlie z pewnością obserwował ją za pośrednictwem czujników, widział w podczerwieni jej skuloną sylwetkę. Spróbowała połączyć się datawizyjnie z siecią, ale nie uzyskała odpowiedzi.

Kazał jej uciec i gdzieś się schować. Łatwo powiedzieć. Gdzie? Dzisiejszej nocy nikt nie otworzy drzwi przed nieznajomą. Zapewne zastrzeliliby ją za samo pukanie.

Usłyszała głośnie miauknięcie. Z pobliskiego murku zeskoczył kot i pobiegł ulicą. Louise padła na ziemię i wyciągnęła gładkim ruchem antypamięć, nim jeszcze dźwięk dotarł w pełni do jej świadomości. Kosmaty kocur przebiegł obok dziewczyny, spoglądając na nią pogardliwie.

Z ust Louise wyrwało się spazmatyczne łkanie. Wszystkie jej mięśnie zwiotczały. Broń nadal była gotowa do strzału. Dziewczyna zabezpieczyła ją i podniosła się z wysiłkiem, strzepując ziemię z kolan i kamizelki.

Sylwetka kota nadal rysowała się na tle mgiełki hologramów wypełniającej wylot Tollington Way. Zwierzę poruszało arogancko ogonem. Nie ulegało wątpliwości, że Louise ciągle jest za blisko Holloway Road. Ścigający z pewnością sprawdzą wszystkie boczne uliczki. Fletcher mówił, że potrafią wyczuć ludzi, nawet gdy ich nie widzą.

Louise sprawdziła plan Londynu zapisany w nanosystemowej komórce pamięci i zaczęła oddalać się od oświetlonych miejsc. Schowała antypamięć z powrotem do kieszeni. Nie była pewna, jak lepiej umknąć poszukiwaczom: ukryć się w jednym miejscu (zakładając, że znajdzie pusty pokój albo magazyn) czy nieustannie zmieniać kryjówkę. Nie była w stanie tego obliczyć, przede wszystkim dlatego, że nie wiedziała, z czym ma do czynienia - ze zorganizowaną, systematyczną obławą czy z grupką opętanych kręcących się po mieście bez zbytniego zaangażowania.

Plan właściwie w niczym jej nie pomógł. Nie miała żadnego celu, nie zmierzała donikąd i jedna ulica niczym się dla niej nie różniła od drugiej. Plan pozwalał jej tylko unikać głównych, dobrze oświetlonych ulic.

Może powinna po prostu znaleźć jakąś kryjówkę. To właśnie sugerował Charlie.

Pod wpływem nagłego impulsu sprawdziła adres Ritza. Hotel był tak daleko, że nanosystem musiał zmienić skalę planu.

A więc ta możliwość odpadała. Szkoda, z pewnością nikt nie wpadłby na to, żeby jej tam szukać.

- Andy - wyszeptała nagle. Był jedyną osobą, którą знаła w Londynie, i z pewnością jej nie odmówi.

Odczytała jego e-adres i sprawdziła go w londyńskim katalogu, który załadowała razem z całą masą innych danych, zalecanych turystom jako niezbędne do przetrwania w arkologii. Niektórzy nie podawali fizycznego adresu razem z kodem sieciowym, ale Andy to zrobił. Mieszkał w Islington, gdzieś przy Halton Road. Na planie zapaliła się maleńka, niebieska gwiazdka.

Dwie mile stąd.

- Słodki Jezu, spraw, żeby był w domu.

*

Przykuli Fletchera do ołtarza kajdankami, przez które cały czas płynął prąd neutralizujący jego energistyczną moc. Zdarli z niego ubranie i wycięli mu w ciele obsceniczne runy. Ogolili go. Spalili u jego stóp kilka Biblii i modlitewników, a popiołem narysowali otaczający ciało pentagram. Nad głową zawiesili odwrócony krzyż. Sznur był zbutwiały i w każdej chwili mógł się zerwać.

Wokół snuły się duchy, oferujące mu smętne wyrazy współczucia.

- Przykro nam - szeptały tylko. - Tak bardzo przykro. Dawni bohaterowie, upokorzeni i umniejszeni.

Opętani pluli na nich, odganiając ich z drogi.

Katedrę oświetlał jedynie słaby blask żelaznych piecyków oraz szeregów świec. Kopulaste sklepienie ginęło w mroku na górze. Woń kadzidła zastąpił odór niemytych ciał i smażonej cebuli. Modlitwy ustąpiły miejsca rockowi płynącemu z gettowego głośnika. W przerwach między utworami słyszeć było odgłosy kopulacji. Głowę więźnia odchyłono do tyłu, kładąc ją na kamieniu, i Fletcher widział garstkę młodych opętanych, którzy łazili po ołtarzach niczym małpy, malując je lepkiem, czarnym płynem. Wtem w jego polu widzenia pojawiła się mroczna sylwetka.

- Cieszę się, że znowu cię widzę - rzekł Quinn, pochylając się nad nim.

- Raduj się swoimi szyderstwami, dopóki możesz, ty nieludzki potworze. Gdy dzisiejszy dzień dobiegnie końca, nie będziesz już mógł ich wygłaszać.

- Jesteś niezły. Podziwiam cię. Udało ci się uciec na czas z Norfolku, co nie było łatwe. Potem dotarłeś na Ziemię, a to było, kurwa, niemożliwe. Znakomicie. Jak to zrobiłeś? Zawarłeś ugodę z superglinami?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Cholera. Dobra, ujmę to w prostych słowach, zrozumiałych nawet dla takiego głąba jak ty. Kto cię przywiózł na Ziemię?

Fletcher nie odpowiadał. Quinn przesunął dłoń nad żelazną taśmą krępującą czoło więźnia.

- Mogę im kazać zwiększyć napięcie. Wtedy zrobi się dużo gorzej.

- Tylko dopóki pozostanę w tym ciele.

- Ach, więc nie jesteś aż takim głupim dupkiem. - Quinn wlaź na ołtarz, położył się obok Fletchera i przysunął zakapturzoną głowę do jego ucha. - Zanim posuniemy się dalej, powiedz mi, czy fajnie było ją pierdolić - wyszeptał. - Czy jest napalona, czy tylko leży jak trup? Nikomu nie powiem, to zostanie między nami. Czy umie robić laskę? Pozwala się walić w dupkę?

- Nie zasługujesz na życie, sir. Będę się radował twym upadkiem. Będzie on bardzo bolesny, gdyż twa arogancja nie ma sobie równych.

- Nie wmawiaj mi, że nigdy z nią nie próbowałeś. Z tą Louise. Spędziła z tobą wiele tygodni. Kupę czasu. Musiałeś ją mieć. - Lekko zdziwiony Quinn odsunął się nieco. - Kurwa, to ty nie jesteś

człowiekiem.

- Twoja opinia nie ma dla mnie żadnego znaczenia ani wartości.

- Naprawdę? Ale w jednej sprawie moja opinia z pewnością cię zainteresuje. Zamierzam sam wypróbować tę Louise. Moi ludzie mi ją przyprowadzą i będziesz mógł się przyglądać, jak zabierzemy się za nią razem z Courtney. Zobaczymy, czy wtedy też będziesz taki zarozumiały, skurwysyński dupku!

- Najpierw będziesz musiał ją znaleźć.

- Och, zrobię to. Uwierz mi. Nawet jeśli kretyni, których wysłałem w pościg, nie poradzą sobie z tym zadaniem, przyprowadzi mi ją Jego armia. A wtedy ostatnia nitka oporu, której tak rozpaczliwie się czepiasz, pęknie. Będziesz wrzeszczał, błagał, płakał i przeklinał swego fałszywego Pana za Jego boską bezczynność.

- Ścieżki Pana są niezbadane. Być może wiek cudów się skończył, ale Jego wysłannicy nadal chodzą między nami. Przegrasz. To jest zapisane.

- Gówno prawda. Nie ma żadnych wysłanników. A książkę, w której to zapisano, palę, gdy tylko ją znajdę. To mój Pan nadchodzi, nie twój. A Jego ścieżki nie są niezbadane. Boży Brat przemawia prosto z mostu. Przekonasz się o tym na własnej skórze, chyba żebym cię oszczędził.

- Nie pozwolę, by skalało mnie twoje miłosierdzie, sir.

- Nie? A jeśli oszczędzę Louise? Przyłącz się do nas. Przejdź na stronę zwycięzców. Oddam ci ją. Nawet włos jej z głowy nie spadnie. Obiecuję. A ona ma mnóstwo włosów.

Fletcher parsknął krótkim, gorzkim śmiechem.

- Mówię prawdę - zapewnił gładko Quinn. - Jesteś twardy i bystry. Potrzebuję takich ludzi. Byłeś jakimś oficerem, tak? Połowa tych przygłupów, którzy dla mnie pracują, nie potrafi znaleźć własnej dupy obiema rękami. Zrobię cię ich szefem. Będziesz mógł robić, co chcesz. Ożenić się z Louise. Mieszkać w pałacu. Będziesz miał wszystko.

- Wybacz, ale widzę, że byłem w błędzie. Myślałem, że jesteś niebezpieczny, ale teraz zrozumiałem, że jesteś po prostu mały. Nasz Pan Jezus odmówił, gdy zaoferowano mu królestwa tego świata. Sądzę, że potrafię się oprzeć pożądanemu żony bliźniego swego i wygodnemu życiu. Czy nie wiesz, że w tym nieszczęsnym stanie możemy stworzyć dla siebie wszystko, czego zapagniemy? Nie masz mi nic do zaoferowania. Potrafisz jedynie miotać czcze groźby.

- Czcze! - Wrzasnął rozwścieczony Quinn. - On nadchodzi. Mój Pan, nie twój. Jeśli nie wierzysz, zapytaj duchy. One słyszą mroczne anioły, które są coraz bliżej. Jego Noc zapadnie. Oto nowy cud.

- Po nocy nastaje dzień. Zawsze tak było i zawsze będzie. Amen.

Quinn odsunął się od ołtarza i wyprostował. Podsunął pod twarz Fletchera antypamięć.

- Dobra, koniec zabawy, głąbie. Powiedz mi, co to jest.

- Nie mam pojęcia, sir.

- Przed chwilą strzelałeś z tego bez zahamowań. Czy to było przeznaczone dla mnie? Czy dlatego supergliny cię tu wpuściły? Miałeś odszukać mnie dla nich?

Quinn skinął dłonią.

Frenkel podszedł bliżej i położył ciało Billy-Joego na ołtarzu obok Fletchera. Głowa młodzieńca zwisała bezwładnie. Otwarte oczy wpatrywały się w pustkę. Mimo to nadal oddychał.

- Znaleźliśmy go w takim stanie na ulicy pod wieżowcem. Ten wielki Murzyn strzelił do niego z jednej z tych zabawek, zanim moi ludzie go załatwili. Potrafię zrozumieć broń, która wyrzuca opętujących z ciał, którymi zawładnęli. Na pewno każdy uczony w pierdolonej Konfederacji stara się teraz coś takiego wynaleźć. Ale to coś trochę potężniejszego, prawda? Billy-Joe nie był opętany, a ta

zabawka i tak wykopała duszę z jego ciała. - Quinn uśmiechnął się, wciskając kły w zbieleńskie wargi. Wyczuł niepokój, który zakradł się do myśli Fletchera. - A może zrobiła coś więcej? He? Supergliny grają o najwyższą stawkę. Wiedzą, że powrócę w nowym ciele i ponownie podejmę krucjatę. Bo nie mogę umrzeć, prawda? Wszyscy jesteśmy teraz nieśmiertelni.

Twarz Fletchera stała się maską nieprzejednanego uporu.

- Ach - wyszeptał Quinn. Uniósł broń, spoglądając na nią ze zwiększonym szacunkiem. - Przeprowadźmy mały eksperyment, dobra?

Przesunął dłoń nad Billy-Joem, otwierając za pomocą energistycznej mocy ścieżkę wiodącą w zaświaty. Do ciała wtargnęła nowa dusza. Młodzieniec usiadł, zaczerpnął z wysiłkiem tchu i rozejrzał się żywo wokół.

- Proszę, proszę - zdumiał się Quinn. - Bez bólu i wysiłku. Możemy znacznie przyspieszyć zmartwychwstanie. - Uśmiechnął się do Fletchera. - Wiesz co? Jeśli ta zabaweczka, którą mi przyniosłeś, wpadnie w niewłaściwe ręce, może się stać naprawdę niebezpieczna.

*

Trzy tandetne wieżowce mieszkalne przy Halton Road były pierwotnie przeznaczone dla starych i biednych. Jedna trzecia lokatorów nadal zaliczała się do tej kategorii, reszta zaś pracowała w szarej strefie albo żyła z zasiłków, zabijając czas za pomocą tanich programów pobudzających albo narkotyków domowej roboty. Nie oferowano im nic więcej. Teren między dwudziestopiętrowymi budynkami zajmował pokryty betonem plac, na którym zbudowano szeregi małych garaży. Wyblakłe białe linie wyznaczały granice boisk do piłki nożnej i koszykówki, ale bramki i kosze dawno już wyrwano z ziemi. Choć okolica prezentowała klasyczny obraz wielkomiejskiego rozkładu, była idealną lokalizacją dla Dyskoteki Na Końcu Świata.

Andy tańczył na splekowanym betonie już od zachodu słońca, dołączając się do zbiorowego szaleństwa. Mieszkańcy wieżowców reprezentowali ten typ londyńczyków, który miał najmniej do stracenia w przypadku, gdyby z mroku nagle wyłonili się opętani. Dlatego totalnie to olewali. Jeśli ktoś z całą pewnością wiedział, że czeka go pojmanie przez opętanych, tortury, pożarcie żywcem albo wieczna niewola w charakterze zombie mógł przynajmniej przedtem porządnie się zabawić.

Z nadejściem zmierzchu undergroundowi traksowcy ustawili na betonie swe stare głośniki. Kiedy słońce zniknęło z nieba, zabrzmiał basowy rytm, który grzechotał oknami, rzucając nowym władcom arkologii zupełnie bezwartościowe wyzwanie. Wszyscy ubrali się odpowiednio. To właśnie zachwycało Andy'ego. Dyskotekowe diwy w ozdobionych cekinami mikrosukienkach, funkowi tancerze w skórzanych kurtkach i ultrabiałych koszulach, mistrzowie jive'a w eleganckich garniturach. Wszyscy kołysali się, zbici w gęsty tłum, wykonując absurdalne ruchy w rytm głupich, starych piosenek.

Andy kołysał biodrami, machał rękami i w ogóle szalał jak nigdy dotąd. Nie musiał już czuć się skrępowany. Jutra nie będzie i nikt nie będzie się wyśmiewał z jego nieskoordynowanych ruchów. Pił z krążących w tłumie butelek. Zaczepił parę dziewczyn. Śpiewał na cały głos. Wymyślał nowe taneczne kroki. Śmiał się i krzyczał głośno, zastanawiając się, czemu, do cholery zmarnował, życie.

I nagle ją zobaczył. Louise stanęła tuż przy nim, cała mokra i rozczochrana. Jej piękna twarz miała śmiertelnie poważny wyraz.

Otoczała ją pusta przestrzeń. Szalejący tancerze omijali ją instynktownie, wiedząc, że dziewczyna jest zamknięta w osobistym piekle, z którym nie chcieli mieć nic wspólnego.

Otworzyła usta, krzyząc coś do niego.

- Słucham? - Zawołał.

Muzyka grała niewiarygodnie głośno.

“Pomóż mi” - odczytał z jej warg.

Wziął ją za rękę i poprowadził za sobą. Minęli pierścień starszych ludzi, którzy otaczali tłum tańczących, klaszcząc radośnie i poruszając lekko nogami. Weszli do holu o ścianach z cegieł i ruszyli kamiennymi schodami do mieszkania Andy'ego.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, chłopak pomyślał, że to z pewnością sen. Louise była w jego mieszkaniu. Louise! Tę Ostatnią Noc świata spędzą razem.

Okno wychodziło na ulicę, nie na plac, słyszeli więc tylko stłumiony, basowy rytm. Andy sięgnął po pałeczkę świetlną. Prądu zabrakło wczesnym rankiem.

- Nie - powiedziała Louise.

Klimatyzacja nie działała i wewnętrzną powierzchnię szyb pokrywały gęste krople, ale rozproszone światła dyskoteki otaczały łuną cały budynek i można było zobaczyć zarysy pomieszczenia. Łóżko stało u końca małej izdebki, pościeli nie prano już od pewnego czasu. Poza stołem o winylowym blacie, na którym walały się elektroniczne narzędzia, jedynymi meblami były tu kartonowe pudła. Kuchnia znajdowała się we wnęce, w łukowatym wejściu wisiała plastikowa zasłona.

Andy miał nadzieję, że Louise nie będzie się przyglądała wszystkiemu zbyt uważnie. Zachwyty, który ogarnął go na jej widok, słabł szybko, gdy otoczył go obraz jego prawdziwego życia.

- Czy to łazienka? - Zapytała Louise, wskazując drugie drzwi. - Okropnie przemokłam. Nadal mi zimno.

- Hmm, przepraszam, to powinna być sypialnia, ale tylko trzymam tam rzeczy. Łazienka jest w korytarzu. Pokażę ci.

- Nie.

Louise podeszła bliżej, objęła Andy'ego i przytuliła się do niego. Był tak zaskoczony, że nie zareagował przez parę sekund. Potem z wielką ostrożnością odwzajemnił uścisk.

- Widziałam dziś tak wiele okropności - zaczęła. - Tak wiele plugastwa. Okropnie się bałam. Przyszłam do ciebie, bo musiałam to zrobić. Nie został mi już nikt inny. Ale także dlatego, że chciałam być z tobą. Rozumiesz?

- Nie bardzo. Co ci się stało?

- Nieważne. Nadal jestem sobą. Na razie.

Pocałowała go. Lęk obudził w niej podniecenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Rozpaczliwie pragnęła, by ktoś ją objął, by ją uwielbiał, zapewnił, że świat mimo wszystko jest dobrym miejscem.

Zażądała tego wszystkiego od Andy'ego na jego małym, nieporządnym łóżku. Pozwoliła, by całą noc ją uwielbiał, słuchała, jak jego krzyki ekstazy mieszają się z dyskotekową muzyką, gdy na sufit wpełzało blade światło jutrzeńki. W pokoiku zrobiło się duszno od żaru ich ciał i zlewającego ich potu. Nie zważali na to, że system klimatyzacyjny wielkiej kopuły Westminster przestał działać.

Gdy pierwsze kłębki mgły uniosły się znad Tamizy, zawisając apatycznie nad nadrzeczными budynkami, eksplozje ich orgazmów stały się bliskie bólu. Oprogramowanie zmuszało ich przeciążone ciała do wciąż nowych wysiłków. W końcu jednak zrodzony z desperacji narkotyk utracił moc i oboje przytulili się do siebie, zbyt zmęczeni, by wiedzieć, że cienka warstwa chmur nad sercem starożytnego miasta rozjarzyła się czerwienią.

Liol zbliżył "Lady Makbet" do wielkiego, kulistego doku na krawędzi miasta-dysku, w którym parkował wahadłowiec, zatrzymując się w odległości zaledwie dwudziestu metrów od otwartego wylotu. Joshua z wielkim naciskiem zabronił mu wlatywać do środka.

Przez całą drogę z przezroczystej bańki do śluzy na krawędzi zastanawiali się nad procedurą wprowadzenia Quantook-LOU oraz jego świty na pokład gwiazdolotu. W końcu zgodzili się, że najpierw wahadłowcem polecą dwaj członkowie załogi Joshui, Quantook-LOU oraz jeszcze jeden Mosdva. W sumie mieli odbyć trzy loty. Joshua poleci ostatnim kursem. Dystrybutor zasobów chciał się upewnić, że statek nie umknie, gdy tylko kapitan znajdzie się na pokładzie, zostawiając go w mieście-dysku. Myśl, że Joshua, jako dowódca, nigdy nie porzuciłby członków załogi, była dla niego czymś zupełnie obcym. Ludzie zgodzili się, że to ciekawa informacja i warto ją zapamiętać.

Ksenobiontom przydzielono dolne pomieszczenie w kapsule D, które miało niezależny obieg bioizolacyjny. Sarha zmodyfikowała go, by zapewnić gościom mieszaną gazów przypominającą składem atmosferę Todzolt-HI. Nie mieli jednak na pokładzie zbyt wiele argonu, a z węglowodorów musiała zrezygnować całkowicie.

Gdy tylko Quantook-LOU wejdzie do pomieszczenia, a Joshua wróci na mostek, Mosdva mieli im przekazać współrzędne miejsca, do którego zmierzali.

Skafandry Mosdva wykonano z przylegającej do ciała tkaniny, gęsto przesytej przewodami cieplnymi. Tylko dwie górne pary kończyn miały rękawy, dolna połowa wyglądała jak koniec wielkiej pończochy. Hełm był masywny, wewnętrzne mechanizmy sterczały z niego niczym brodawki, a przednią szybę wyposażono w kilka ruchomych zasłon ochronnych. Plecak podtrzymujący życie miał kształt stożka, z którego szczytu sterczały małe, czarne płetwy. Z hełmem łączył go gruby, opancerzony przewód. Skafander pokrywała sieć elektronicznych modułów oraz zbiorniczków, podobnie jak noszone przez Mosdva kurtki.

Beaulieu i Ashly obserwowali ksenobionty za pośrednictwem zamontowanego w suficie czujnika. Mosdva nie poruszali się tu z taką gracją jak w mieście-dysku. Na statku nie było roślin, które pomogłyby im zachować stabilność, szybko jednak przyzwyczajali się do uchwytów i drabinek.

Gdy ostatni przeszedł przez śluzę, Ashly zamknął włącznik i wpuścił do środka nową atmosferę. Quantook-LOU czekał pośrodku pomieszczenia, podczas gdy pozostali zbadali je szczegółowo. Większość instalacji usunięto na czas lotu i kabina była teraz urządzona po spartańsku. Mosdva nie mieli zbyt wielu urządzeń, które mogliby zbadać, z pewnością nie mogli też uszkodzić nic ważnego. Upewniwszy się, że w pomieszczeniu nie ma nic niebezpiecznego, a powietrze nadaje się do oddychania, goście ściągnęli skafandry. Następnie zdjęli z nich elektroniczny sprzęt, przenosząc go na kurtki.

Gdy ksenobionty były w śluzie, Beaulieu sprawdziła ich sprzęt za pomocą detektora rozproszonych neutronów. Alkad i Peter pomogli jej określić funkcję rozmaitych elementów. Mosdva mieli małe cylindry z chemicznymi materiałami wybuchowymi, lasery, szpulki diamentowego drutu, a także urządzenie, które zdaniem Alkad i Petera mogło produkować potężne impulsy elektromagnetyczne. Gdyby goście zrobili się agresywni, generatory walencyjne będą w stanie obronić ściany pomieszczenia przed każdą z tych broni.

Bardziej interesująca była liczba implantów, w które wyposażono Mosdva. W centralny słupek nerwowy, biegnący pośrodku ciała, wpleciono mnóstwo dodatków. Sztuczne włókna docierały do wszystkich tkanek, tworząc drugi układ nerwowy. Gruczoły wyposażono w biochemiczne urządzenia oraz sieci krążeniowe, udoskonalające ich działanie. W mięśniach kończyn ukryto małą, cylindryczną

broń.

- Broń potrafię zrozumieć - stwierdził Ruben, gdy Beaulieu wyświetliła obrazy w pokładowej sieci. - Cała reszta wydaje się zbyt cenna. Być może ich narządy nie są w pełni przystosowane do stanu nieważkości.

- Nie zgadzam się - odparł Cacus. - Quantook-LOU nie ma tylu udoskonaleń, co pozostała piątka. Podejrzewam, że jego eskorta jest miejscowym odpowiednikiem wzmocnianych najemników. Będą w stanie funkcjonować, nawet jeśli doznają poważnych uszkodzeń.

- To zapewne znaczący szczegół, że Quantook-LOU jest w lepszym stanie fizjologicznym niż reszta - zauważył Parker. - Jego kości mają gęstszą strukturę, a o ile potrafimy to ocenić, biochemiczne funkcje jego narządów wewnętrznych są wydajniejsze. To sugeruje, że jest produktem celowej selekcji. Piętnaście tysięcy lat to zbyt krótki okres, by mogli się ewolucyjnie przystosować do stanu nieważkości. Potrzeba do tego zbyt wielu zmian.

- Jeśli masz rację, potwierdzałyby się, że ich społeczeństwo ma arystokratyczną strukturę - stwierdził Cacus. - Zapewne cała administracyjna klasa stanowi dziedziczną elitę.

- Ma mnóstwo procesorów połączonych z korą mózgową - wtrąciła Oski. - Znacznie więcej niż żołnierze. To wzmacnia jego pamięć i zdolności analizy w stopniu porównywalnym z neuronowym nanosystemem.

- Wyższość fizyczna i umysłowa. To faszyzm - oburzył się Liol.

- Tylko według ludzkich pojęć - skarcił go Ruben. - Osądzanie ksenobiontów według naszych standardów to szczyt zarozumiałości.

- Pokornie błagam o wybaczenie - wymamrotał Liol. Rozejrzał się po mostku i zobaczył, że Ashly i Dahybi szczerzą zęby w uśmiechu, rozbawieni snobizmem edenisty. Sarha pokazała mu uniesiony kciuk.

- Historia uczy, że arystokracja zawsze jest arogancka - stwierdziła Syrinx. - Jeśli wszystkie dominia są urządzone w taki sam sposób, to tłumaczy, dlaczego spory między nimi tak łatwo przeradzają się w wojny. Klasa administracyjna nie dba o życie żołnierzy. Jak wszystko tutaj, są oni jedynie zasobami, które wykorzystuje się dla dobra dominium.

- A jaką rolę my gramy w ich małej hierarchii? - Zapytała Sarha.

- To, co mamy, jest dla nich wartościowe - odparł Parker. - Ale to, czym jesteśmy, nie. Ograniczą wymianę z nami stosownie do tego.

Joshua wsunął się na mostek przez właz prowadzący z dolnego pokładu i usiadł na fotelu amortyzacyjnym. Połączył się datawizyjnie z komputerem pokładowym, prosząc o przegląd systemów, i przejął dowodzenie od Liola.

- Jesteśmy gotowi - poinformował Quantook-LOU. - Podaj nam współrzędne.

Jeden z elektronicznych modułów Mosdva przesłał mu strumień danych.

- To jeden z węzłów sieci, dziewięćset kilometrów stąd - stwierdziła Beaulieu. Przekazała datawizyjnie instrukcje satelitom obserwacyjnym, polecając najbliższemu z nich dokładnie zbadać cały sektor. - Sam węzeł ma około czterech kilometrów średnicy i wznosi się tysiąc siedemset metrów ponad średni poziom dysku. Większość tworzących go rur jest martwa, ale mechanizmy wymiany ciepła nadal funkcjonują, choć na ograniczonym poziomie.

- Ktoś tam jeszcze żyje - zauważyła Sarha.

- Na to wygląda.

- Mamy pozycję - zapewnił Quantook-LOU Joshua. - Jak wysokie przeciążenie możecie znieść?

Na chwilę zapadła cisza.

- Trzydzieści procent tego, z jakim zbliżaliście się do Anthi-CL, jest dla nas możliwe do zaakceptowania - odpowiedział wreszcie Mosdva.

- Rozumiem. Zajmijcie miejsca.

Joshua wysunął czujniki bojowe "Lady Makbet", chowając jednocześnie standardowe wysięgniki. Na pokładzie ogłoszono alarm bojowy. Zajrzeli pośpiesznie do pomieszczenia dla Mosdva i przekonali się, że wszyscy położyli się na amortyzacyjnej wyściółce, którą przygotowali dla nich Beaulieu i Dahybi.

Nie opłacało się uruchamiać silników termojądrowych. Joshua użył napędu pomocniczego, nadając statkowi przyśpieszenie 1/10 g. Obliczony przez niego wektor oddalał się sto kilometrów od krawędzi, a potem zawracał w stronę węzła.

- Po tej stronie też widać wycieki gazu - ostrzegła go Beaulieu. - Walki nie ustały.

Joshua połączył się z Quantook-LOU.

- Widzimy, że w Todzolt-HI nadal trwają zacięte starcia. Chciałbym się dowiedzieć, czy grozi nam atak, a jeśli tak, to przy użyciu jakiej broni?

- Żadne dominium w Todzolt-HI nie zaatakujecie waszego statku, chyba że będzie się zanosilo na to, że odleciecie. Jeśli nie uda mi się zdobyć waszego napędu, nasza desperacja wzrośnie.

- Jaką formę może przybrać atak na nas? Macie statki zdolne nas przechwycić?

- Nie mamy żadnych statków poza poławiaczami materii, które już widzieliście. Użyje się przeciwko wam wiązek energii, które uszkodzą statek. Przypuszczam też, że wiele dominium buduje szybkie automatyczne stateczki. Zbadano prędkość, z jaką może się przemieszczać "Lady Makbet". One będą szybsze.

Joshua rozejrzał się po mostku.

- Myślę, że nie musimy się obawiać pocisków - stwierdził.

- Martwię się jednak o lasery. Dominia mogą generować moc, przy której nasze platformy strategiczno-obronne są drobiazgiem.

- Ale nie po tej stronie miasta-dysku - wskazała Beaulieu.

- Odkąd przelecieliśmy na jasną stronę, nasze instrumenty wykrywają znacznie mniej źródeł mocy. Dziewięćdziesiąt procent ich systemów znajduje się po ciemnej stronie.

- Przebić się laserem przez folię to żadna sztuka - zauważył Liol.

- Będziemy na to uważać - zapewniła Sarha.

- Nadal chciałbym lepiej zrozumieć sytuację - podjął Joshua. - Quantook-LOU, czy mógłbyś mi powiedzieć, które dominia są sprzymierzeńcami Anthi-CL?

- Poza zasadniczym czwórprzymierzem naszych sojuszników nie sposób już tego określić. Wasze przybycie zakłóciło funkcjonowanie dominium na wszelkich możliwych poziomach. Dominia z krawędzi szukają sojuszników w centrum, a centralne walczą między sobą. Dawne sojusze się rozpadają, zastąpione przez kłamstwa i obietnice, których nie będzie można dotrzymać.

- I wszystko to nasza wina?

- Przez całą naszą historię zasoby były ograniczone. A teraz zjawiliście się wy, przynosząc obietnicę dostępu do nieograniczonych zasobów. Może się ostać tylko jedno dominium.

- A dlaczego?

- Istnieje między nami równowaga. Centralne dominia mają większy obszar niż te, które leżą na krawędzi, ale to krawędź zajmuje się dystrybucją nowej masy dostarczonej przez poławiacze materii. Każde dominium z krawędzi zaopatruje w masę sojuszników z centrum, a jej ilość zależy od liczby poławiaczy materii. Im większy sojusz, tym więcej statków może wybudować. Ich konstrukcja pochłania przeraźliwie wielką część naszych zasobów. Gdy jeden z nich nie wraca, ilość masy

dostępna sojuszowi spada, co prowadzi do braków oraz wywołuje napięcia między dominiami. Sojusz słabnie, gdyż dominia zaczynają walczyć między sobą, by zdobyć potrzebną masę. Następnie dystrybutorzy w dominiach szukają nowego sojuszu, który zapewni im zaopatrzenie na dotychczasowym poziomie.

- Rozumiem - stwierdził Joshua. - Nasza technologia pozwoli wam zdobyć masę w innych układach gwiazdnych. Poławiacze materii nie wytrzymają konkurencji. Wszystkie centralne dominia staną się sojusznikami Anthi-CL. Pozostałe dominia z krawędzi, pozbawione rynków zbytu, upadną i zostaną wcielone do sojuszu.

- A ja zostanę dystrybutorem zasobów całego Todzolt-HI.

- W takim razie dlaczego pozostałe dominia z tobą walczą?

Quantook-LOU uniósł z wysiłkiem środkowe kończyny, walcząc z przeciążeniem, i uderzył się lekko w tułów.

- Dlatego, że jeszcze nie mam waszego napędu. Jak zwykle próbują zdobyć przewagę. Jeśli spustoszą Anthi-CL, pozbawią mnie środków potrzebnych do budowy gwiazdolotów i zmuszą was do dobicia targu z nimi.

- Mówiłeś, że sojusze między centralnymi dominiami są niestabilne.

- Bo są. Pozostali dystrybutorzy to chciwi głupcy. Zgubią nas wszystkich. Już teraz zniszczenia w Todzolt-HI osiągnęły niespotykaną dotąd skalę. Potrzeba dziesięcioleci, by wszystko naprawić.

- Powiedz im, że już masz nasz napęd. Potwierdzą twoje słowa. Szczegóły wymiany możemy uzgodnić później. To położy kres zniszczeniom.

- Sojusznicy Anthi-CL wiedzą, że jeszcze go nie mam. Zdołałem utrzymać nasz sojusz z czwórprzymierzem, zapewniając je, że nasza wyprawa w poszukiwaniu astronomicznych danych zakończy się sukcesem. Czwórprzymierze sprzedało tę informację dalej, by się zabezpieczyć na wypadek mojego niepowodzenia. Całe Todzolt-HI wie, że jeszcze nie wymieniliście ze mną danych. Wszyscy czekają na rezultat tego lotu. Kiedy zawiadomię Anthi-CL, że posiadam informacje potrzebne do budowy napędu, nasz sojusz z czwórprzymierzem scementuje się na nowo. Inne dominia będą się musiały do nas przyłączyć. Napęd nadświetlny sprawi, że zjednoczenie stanie się nieuniknione. Wszyscy o tym wiedzą. Pozostaje tylko kwestia, kto zostanie dystrybutorem zasobów Todzolt-HI. Jeśli nie ja, będzie nim dystrybutor innego dominium. Dlatego zaatakują was, jeśli spróbujecie odlecieć.

Joshua przełączył kanał na pomieszczenie dla załogi.

- I co wy na to? - Zapytał.

- Jest bardzo zręczny - odparł Samuel. - Chyba uświadomił sobie, że masz sumienie, a przynajmniej wyznajesz jakiś etyczny kodeks. Dlatego właśnie obciąża nas winą za wybuch wojny. Grozi nam też atakiem w przypadku, gdybyśmy spróbowali odlecieć. Wszystko, co nam powiedział, jest dla niego korzystne.

- Ekonomiczna struktura Todzolt-HI, jaką nam przedstawił, ma sens - zauważył Parker. - To dodaje wiarygodności reszcie jego słów.

- Sytuacja z pewnością nam sprzyja - dodał Liol. - Nawet jeśli Quantook-LOU przesadza w opisie politycznej niestabilności, każdy tu chce być tym, który otrzyma od nas ZTT. Są gotowi walczyć ze sobą o to, kto da nam to, czego chcemy.

- Szkoda, że nie możemy tego wykorzystać, by pomóc w wy negocjowaniu pokoju - odezwała się Syrinx. - Wszystko to nie podoba mi się nawet w najmniejszym stopniu.

- Moglibyśmy po prostu nadać niezbędne informacje na otwartym paśmie, gdy już otrzymamy

tyratracki almanach - zasugerowała Beaulieu. - Nawet jeśli dokonamy wymiany z Quantook-LOU i damy mu technologię ZTT, fizyczny aspekt konfliktu zapewne będzie trwał, dopóki nie zakończy się konsolidacja miasta-dysku w jedno dominium.

- Zdumiewa mnie zawarta w tym ironia - wtrącił Ruben.

- Nie mam pojęcia, dlaczego - oburzyła się Syrinx. - Musisz bardzo lubić czarny humor, jeśli dostrzegasz w tym coś śmiesznego.

- Nie powiedziałem, że to śmieszne. Czy nie dostrzegasz analogii? Kiintowie z pewnością toczyli podobne debaty o naszym gatunku, gdy pytaliśmy ich o rozwiązanie kwestii zaświatów. Dla Mosdva napęd nadświatowy jest lekarstwem na wszystkie ich problemy. Pozwoli im zdobyć niewyczerpane zasoby masy, założyć nowe kolonie i wytepić dawnych ciemżycieli. Jego zdobycie ma dla nich kluczowe znaczenie i są gotowi podjąć każde ryzyko. My natomiast w pełni rozumiemy technologię ZTT i zdajemy sobie sprawę, że gdybyśmy im ją dali, oznaczałoby to rozpętanie eksterminacyjnej krucjaty obejmującej cały sektor Galaktyki, a także możliwość, że w przyszłości Konfederacja będzie zmuszona toczyć wojnę z Mosdva. Wojnę, którą zapewne byśmy przegrali z uwagi na ich przewagę liczebną.

- Jeśli Tyratakowie nie załatwią nas wcześniej - mruknęła Monica.

- Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy im dawać ZTT? - Zapytał Joshua.

- Pomyśl, co się stanie, jeśli to zrobimy.

- Już o tym rozmawialiśmy. Mosdva zapewne i tak wynajdą napęd nadświatowy, skoro już wiedzą, że to możliwe.

- Kiintowie również nam powtarzają, że musimy znaleźć własne rozwiązanie problemu dusz przebywających w zaświatach, skoro już wiemy, że ono istnieje.

- Jezu! Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

- Na razie nic. Mieliśmy rację, twierdząc, że wszystko zależy od wyboru odpowiedniej chwili. Chyba popełniliśmy błąd.

- Może i tak - przyznała Syrinx. - Ale nie jestem o tym przekonana. Tak czy inaczej, nasze priorytety są oczywiste. Najpierw musimy rozwiązać problem zaświatów i opętania. Dopiero potem będziemy mogli się martwić o Tyrataków i Mosdva. To zaś oznacza, że musimy odnaleźć Śpiącego Boga.

Satelity obserwacyjne nadal przekazywały im obrazy wojny trwającej na ciemnej stronie Todzolt-HI. Wycieki powietrza były coraz częstsze. W długich fontannach gazu i pyłu tryskających w przestrzeń unosiły się ciała. Po zagłębieniach i wzniesieniach ciemnej strony przemieszczali się żołnierze Mosdva odziani w skafandry kosmiczne. Ruch pociągów ustał niemal całkowicie.

Najintensywniejsze walki toczono na granicach Anthi-CL oraz jego sojuszników. Dochodziło tam do wycieków opróżniających z atmosfery całe przewody, a żołnierze Mosdva strzelali do siebie, próbując wtargnąć na terytorium nieprzyjaciela, by zniszczyć systemy o kluczowym znaczeniu. Satelity rejestrowały też potężne rozbłyski energii na wysokich wieżach promienników cieplnych. Obronne lasery i masery raziły stamtąd szeregi atakujących żołnierzy.

- Ale nie używają broni jądrowej - zauważyła Beaulieu. - Przynajmniej jak dotąd. Było trochę małych rakiet krótkiego zasięgu, ale wszystkie miały chemiczne głowice. Nie są też zbyt skuteczne, lasery z reguły je przechwytyją. Nic w tym dziwnego, ich maksymalne zaobserwowane przyspieszenie to 7 g.

- Dlaczego używają chemicznych systemów? - Zapytała Monica. - Jedna eksplozja jądrowa w odpowiednio wybranym miejscu mogłaby wyeliminować całe dominium. Z pewnością potrafią budować bomby jądrowe. Quantook-LOU wspominał, że używali ich do przemieszczania asteroid,

tak samo jak my.

- Możemy go o to zapytać, jeśli chcesz - zaproponował Joshua.

- Lepiej nie - sprzeciwił się Samuel. - Nie chciałbym podsuwać mu pomysłów. Błędnie rozumiecie naturę tego konfliktu. Tu wszystko kręci się wokół zasobów, nawet wojna. Celem z pewnością jest zabicie populacji nieprzyjaciela, ale zachowanie w całości pajęczyny rur. Gwałtowna dekompresja zawsze zapewni ten rezultat, otwierając przed zwycięskim dominium możliwość ekspansji. Broń jądrowa zniszczyłaby znaczny fragment struktury miasta-dysku, a fala uderzeniowa osłabiłaby jeszcze większą część.

- Dobra, w takim razie powinni używać bomb neutronowych - skwitował Liol. - One świetnie wykonają to zadanie.

- O tym z pewnością nie wspominałbym Quantook-LOU.

*

Gdy tylko Etchells wyłonił się z terminala tunelu czasoprzestrzennego siedemdziesiąt pięć milionów kilometrów nad powierzchnią fotosfery Mastrit-PJ, natychmiast rozszerzył pole dystorsyjne, by zbadać okolicę. Wszystkie panele termozrzutu wysunęły się na pełną długość, żeby zapobiec przegrzaniu. Elektroniczne instrumenty obserwacyjne rozchyłały się niczym płatki kwiatów, wysuwając anteny.

Urządzony po spartańsku mostek zalało czerwone światło przebijające się przez grubą osłonę głównej szyby. Siedząca w fotelu amortyzacyjnym Kiera zamrugła powiekami, by usunąć z oczu nagłe łzy. Zadowolona się podziwianiem autentycznej panoramy, ignorując rozmaite obrazy przewijające się na ekranach konsoli.

- Niezły widok, choć trochę pozbawiony wyrazu - zauważyła. W jej dłoni pojawiły się nagłe okulary słoneczne. Założyła je ostrożnie na nos. - Wykryłeś coś w pobliżu?

- Nie - zaprzeczył Etchells. - Ale z tego nic nie wynika. Jeden statek nie zdoła przeszukać całego układu gwiazdowego. Zakładając, że w ogóle tu przylecieli.

- Bzdura. Są tutaj. To jedyne możliwe miejsce. Ta cholerna gwiazda świeci nam prosto w oczy od chwili, gdy okrążyliśmy mgławicę. Stąd właśnie pochodzą Tyratakowie, stąd przyleciała arka. Muszą tu być, podobnie jak to, czego szukają.

- Aha, ale gdzie?

- To już twój problem. Nie chowaj czujników. Znajdź ich. Jak już to zrobisz, dotrzymam swojej części umowy.

- Nasze szanse nie są zbyt wielkie.

- Sam fakt, że w ogóle mamy jakieś szanse, jest bardzo korzystny. Jeśli przetrwali tu jacyś Tyratakowie, z pewnością żyją na planecie albo asteroidzie. Musisz zacząć jej szukać.

- Bardzo dziękuję. Sam nigdy bym na to nie wpadł.

Kiera nie trudziła się wygłaszaniem riposty. Każde z nich świetnie wyczuwało nastrój drugiego. Nie chodziło nawet o to, że podczas długiej podróży działali sobie nawzajem na nerwy. Po prostu ich natury nie były zgodne.

- Potrafisz wytrzymać tutejszą temperaturę?

- Przez pewien czas - odparł Etchells. - Ale gęstość cząstek trzeba będzie obserwować z równie wielką uwagą jak napływ ciepła. Moje systemy poradzą sobie z temperaturą i kadłub również. Według mojej oceny możemy wytrzymać w tym środowisku trzy dni. Potem będziemy musieli przeskoczyć w jakieś chłodniejsze miejsce, żeby wystygnąć.

- Dobra. - Wstała i przeciągnęła się demonstracyjnie. Pod czas lotu zbyt wiele godzin spędziła, siedząc beczynnym na mostku. Wciąż myślała o tym, co poszło nie tak w Montereyu,

zamiast zastanawiać się, jak może wykorzystać broń, której szukała Konfederacja. - Idę wziąć prysznic. Zawiadam mnie, jak już coś znajdziesz.

*

Gdy "Lady Makbet" zwolniła, zbliżając się do miejsca wskazanego przez Quantook-LOU, Beaulieu sprawdziła nasłonecznioną powierzchnię wszystkimi dostępnymi instrumentami. Przewody tworzące sieć i rozpostarte między nimi płachty wyglądały tak samo, jak po całej słonecznej stronie Todzolt-HI, ale wyrastały nad powierzchnię miasta-dysku, tworząc półkolisty wzgórek, któremu odpowiadało analogiczne wzniesienie po ciemnej stronie.

- Węzeł ma około trzech kilometrów średnicy i dziewięciuset metrów wysokości. Nie potrafię określić, co może się znajdować w środku - zaczęła Beaulieu. - Prawie osiemdziesiąt procent węzła i otaczającej go pajęczyny jest martwe. Materiał powierzchniowy popękał, a niektóre strukturalne wsporniki się złamały, ale nadal jest tam wystarczająco wiele masy, by osłonić wewnętrzną strukturę przed naszymi instrumentami.

- To mi się nie podoba - stwierdził Liol. - W sumie to będzie z górą dziesięć kilometrów sześciennych, o których nic zupełnie nie wiemy. Mogą tam ukrywać wszystko.

- Pod warunkiem, że nie korzystają z tego regularnie - zauważył Ashly.

- Aha. Na przykład najpotężniejszą broń, jaką mają.

- Pola elektromagnetyczne wyglądają tu normalnie - zapewniła Beaulieu. - Nie zaobserwowałam żadnych wielkich źródeł mocy po obu stronach dysku.

- Nie muszą być aktywne. Energia potrzebna do ataku może być zgromadzona od dawna.

- A po co? - Zapytała Sarha.

- Nie mam pojęcia. Nie zbadaliśmy nawet jednego procenta tego układu gwiazdowego. Nie mamy pojęcia, co jeszcze może się tu czaić. Floty uchodźców z innych miast-dysków. Ksenobionty mieszkające wewnątrz Mgławicy Oriona. Opętani Mosdva.

- Och, daj spokój.

- Ma trochę racji - poparł brata Joshua. - Musimy być ostrożni.

- "Oenone" może do was przeskoczyć - zaproponowała Syrinx. - Nasze pole dystorsyjne powinno być w stanie przeniknąć do wnętrza węzła.

- Nie - sprzeciwił się Joshua. - Nie sądzę, by nadszedł już czas wyciągnąć naszego asa w rękawie. Beaulieu, obserwuj węzeł przez cały czas. Jeśli zarejestrujesz jakąkolwiek zmianę poziomu energii, natychmiast stąd przeskoczmy. A tymczasem sprawdźmy, co Quantook-LOU jest gotowy nam powiedzieć.

Nim Joshua zadał gościowi pytanie, usunął z ekranu schemat statku. Myśl o Todzolt-HI niepokoiła go już od pewnego czasu. Chodziło nie tyle o lęk przed tym, co ich czekało, co o same rozmiary miasta-dysku. Był zdumiony i pełen podziwu już od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał ten obraz, ale obecna wyprawa zmieniła jego perspektywę. Przelatywali nad artefaktem o populacji tak gęstej, że arkologia wydawała się w porównaniu z nim pustynią. Ludzkie technobiotyczne habitaty były ogromne, ale nie trzeba było latać po nich gwiazdolotami, nie przez wiele minut. A nie pokonali jeszcze nawet połowy drogi do centrum.

W paśmie widzialnym widzieli maleńką, czarną plamkę przesuwaną się po lśniącej powierzchni słonecznej strony - cień "Lady Makbet", mniejszy niż średnica większości przewodów składających się na pajęczynę. Joshua nieraz widział cień Ganimeda przesuwaną się po dziennej stronie Jowisza, czarną plamkę mniejszą niż wielkie cyklony gazowego olbrzyma. Księżyc tak wielki, że można go było uznać za planetę, był pełnym drobiazgiem w porównaniu ze swym wspaniałym gospodarzem. Analogia była wyraźna.

- Za parę minut dotrzemy w wyznaczone miejsce - poinformował ksenobionta Joshua. - Chciałbym omówić warunki wymiany danych. W końcu obu nam zależy na jej powodzeniu.

- Zgadzą się - odparł Quantook-LOU. - Udam się ze swoją eskortą do tego sektora Todzolt-HI i zdobędę potrzebną wam informację. Jak poprzednio, otrzymasz indeksy plików. Jeśli będziesz usatysfakcjonowany, dokonamy zsynchronizowanej wymiany danych. Potem natychmiast opuścicie Mastrit-PJ.

- Dla mnie brzmi to nieźle, ale czy nie narazisz się na niebezpieczeństwo? Droga do Anthi-CL jest daleka. Moglibyśmy dostarczyć cię tam z powrotem.

- Po dokonaniu wymiany będę jedynym przedstawicielem naszego gatunku posiadającym tę informację. To znaczy, że będę wart więcej niż masa słońca w żelazie. Nikt nie zrobi mi krzywdy. Gdybym wrócił na pokład "Lady Makbet", jak mógłbyś mi zagwarantować, że po prostu nie odlecieś z powrotem do waszej Konfederacji, pozbawiając mój gatunek potrzebnej mu wiedzy?

- Nie potrafię ci dać gwarancji, które by cię zadowolily, Quantook-LOU. Ale z drugiej strony nic nie wiem o Todzolt-HI i nie mam pojęcia, co znajduje się w sektorze ukrytym za przewodami pajęczyny. Skąd mam wiedzieć, czy nie jest to jakaś potężna broń, która może zniszczyć mój statek, gdy tylko przekażę wam dane?

- To stary sektor. Tutejsze dominium chyli się ku upadkowi. Czy wasze instrumenty nie mówią wam, że nie ma tam nic groźnego?

- Nie widzimy nic na powierzchni, jednak muszę się dowiedzieć, co jest w środku. Moja propozycja wygląda tak: wyślę z wami dwóch członków mojej załogi. Ograniczą się do obserwacji, nie będą się wtrącać w wasze poczynania.

- Zgadzą się.

Joshua przerwał połączenie.

- Ione, zbieraj się.

"Lady Makbet" zbliżała się powoli do powierzchni słonecznej strony, manewrując za pomocą silników jonowych. Rury pajęczyny położone pod gwiazdolotem były martwe, zgodnie z życzeniem Quantook-LOU. Mosdva prosił też Joshuę o przetransportowanie go na drugą stronę. Dlatego w otwartej śluzie czekało dwóch odzianych w pancerne skafandry sierżantów gotowych przelecieć na drugą stronę i przywiązać linę do powierzchni przewodu.

Ione przyglądała się długim, łukowatym przezroczystym segmentom, które stawały się coraz większe. Pod ich szorstką, spatynowaną powierzchnią nie sposób było nic zobaczyć. Instrumenty jej pancerne skafandra ledwie były w stanie wykryć spirale wewnętrznych rur. Padający na powierzchnię cień "Lady Makbet" rósł i ciemniał z każdą chwilą, w miarę jak gwiazdolot się zbliżał. Wtem zauważyła w ciemnej tafli jakiś ruch. Pojawiły się niezliczone, bezładne szczeliny, jakby przewód pokrył nagle szron.

- Powierzchnia pęka - zawiadomiła załogę.

- To stres termiczny - wyjaśnił Liol. - Efekt cienia rzucanego przez statek. Nie zapominaj, że ten materiał nigdy nie zaznał zmiany narażenia na ciepło.

- Ione - odezwał się Joshua. - Poprawiam nasze położenie... Już. Możesz przejść, gdy tylko będziesz gotowa.

Wylot śluzy dzieliło od łukowatej powierzchni siedemdziesiąt metrów. Pierwszy sierżant odczepił linę łączącą go ze statkiem i włączył plecak manewrowy.

Przytwierdzenie liny do powierzchni nie było trudne. Pęknięta szklista substancja oddzieliła się od krawędzi metalowej pętli wzmacniającej, pozwalając Ione przeciągnąć linę. Potem odsunęła się na bok. Joshua chciał, żeby Mosdva sami przecięli ścianę, torując sobie drogę do środka.

Ksenobionty posuwały się wzdłuż linii za pomocą silnikowych rękawic na drugiej parze dłoni. Ich wejście nie należało do subtelnych. Jeden z nich po prostu wziął laser i wyciął w ścianie okrągły otwór.

Ione weszła do środka ostatnia. Obaj sierżanci podążali za jednym ze strażników osobistych Mosdva. Nasunęła się jej myśl, że z pewnością minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio ktoś tu mieszkał. Rośliny zamarły, a potem wyschły w próżni, pozostawiając tylko granulowany pył wypełniający wnętrze przewodu. Mimo to było tu znacznie jaśniej niż w zwiedzanych przez nich sektorach Anthi-CL. Pod nieobecność osłaniającego wnętrze płynu blask słońca był przerażająco jaskrawy.

Mosdva posuwali się spokojnie ku końcowi korytarza. Chwyтали się zaśniedziałych otworów, z których ongiś wyrastały rośliny. Z powodzeniem zastępowały im liście, którymi sobie pomagali w wypełnionych powietrzem korytarzach. Ione po prostu korzystała z plecaków manewrowych.

Gdy dotarli do końca przewodu, jeden z ochroniarzy przeciął laserem drzwi śluzy. Następnie przeszli do drugiego korytarza, zmierzając w stronę węzła.

*

Gdy tylko drugi sierżant zniknął w środku, Joshua włączył chemiczne silniki manewrowe i oddalił się od nasłonecznionej powierzchni. Beaulieu meldowała, że w różnych miejscach Todzolt-HI wystrzelono dziewięć małych satelitów. Wszystkie emitowały słabe impulsy radarowe, śledząc "Lady Makbet".

- Wygląda na to, że Quantook-LOU zmierza ku szczytowi węzła - zauważył Samuel. - Jak dotąd trzyma się powierzchniowych przewodów.

- Analizuję sygnały odbierane przez elektroniczne bloki bojowe sierżantów - odezwała się Oski. - Mosdva emitują mnóstwo impulsów, w większości pochodzących od Quantook-LOU. Poziom kodowania jest bardzo wysoki.

- Z kim rozmawia? - Zapytał Joshua.

- Chyba z nikim. To wszystko sygnały o bliskim zasięgu. Nie wykrywam żadnej elektronicznej aktywności w miejscowych systemach. Podejrzewam, że te sygnały są przeznaczone dla jego ochroniarzy. Skorelowałam je z ich ruchami i wygląda na to, że on właściwie zdalnie nimi steruje. Ich sygnały wyglądają zupełnie inaczej. Zapewne chodzi o dane ściągnięte przez ich instrumenty, pozwalające mu widzieć to samo, co oni.

- To regularny oddział automatów - zauważył Ashly. - Czyżby im nie ufał?

- Trochę za późno martwić się o jego status - stwierdził Joshua. - Oski, sprawdź, czy uda ci się w jakiś sposób unieruchomić tych ochroniarzy, gdyby okazało się to konieczne.

- Spróbuję.

Joshua zatrzymał statek w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od powierzchni. Czekanie przychodziło mu z trudnością. Żałował, że nie towarzyszy Quantook-LOU i nie widzi na własne oczy, co się dzieje. To dałoby mu panowanie nad sytuacją, umożliwiło natychmiastową reakcję. Tak właśnie było na Ayacucho i na Nyvanie. Jeśli miał zrobić wszystko jak trzeba, powinien przebywać na linii frontu.

Jeżeli jednak Ayacucho i Nyvan czegoś go nauczyły, to z pewnością tego, że dowódca powinien być kimś więcej niż tylko dobrym pilotem. Ufał swoim ludziom i nie wątpił, że poradzą sobie z kierowaniem gwiazdolotem. Korzystanie z usług ekspertów, których miał, było jedynie rozszerzeniem tej zasady. Podczas drugiej wizyty w Anthi-CL, gdy Quantook-LOU zaczął się upierać, Joshua natychmiast sobie uświadomił, że nie powinien był przylatywać tam osobiście. To raczej poczucie winy niż profesjonalizm skłoniło go do wysłania do węzła sierżantów.

Przynajmniej jednak nikt nie protestował, że nie pozwolono mu pójść. Joshua podejrzewał, że miasto-dysk działa jego ludziom na nerwy tak samo jak jemu.

Po piętnastu minutach programy monitorujące zawiadomiły Beaulieu, że jeden z poławiaczy materii zmienił orbitę. Potężne silniki termojądrowe nadawały mu stałe przyśpieszenie 1/50 g.

- Zmierza prosto na nas - zawiadomiła załogę Beaulieu.
- Jezu. Ile mamy czasu?
- Około siedemdziesięciu minut.

*

Ione wysłuchała Joshui, który przekazał jej wiadomość o statku Mosdva.

- Dobra. Zapytaj Quantook-LOU - odparła.

Dotarli już do piątego martwego korytarza i nadal brnęli przez pył. Pomijając brak powietrza i płynu, wszystkie przewody były w niezłym stanie. Ione nie potrafiła pojąć, dlaczego je opuszczono. Z pewnością jednak ktoś zabrał z nich cały sprzęt. Wymontowano nawet parę grodzi na końcach korytarzy, pozostawiając ziejące otwory.

Przełączyła blok nadawczo-odbiorczy na częstotliwość używaną przez Mosdva.

- Quantook-LOU, kapitan nawiązał ze mną łączność. Chce, byś się dowiedział, że poławiacz materii zmienił kierunek i mierza prosto na "Lady Makbet". Czy wiesz coś na ten temat?

- Nie wiem. Ten statek należy do dominium Danversi-YV, którego nie łączy z nami żaden sojusz.

- Może zagrozić naszemu statkowi?

- Nie ma żadnej broni. Jego strategia będzie polegała na zastraszeniu "Lady Makbet", zmuszeniu jej do dobicia targu z Danversi-YV. Czy macie broń zdolną zniszczyć ten statek?

- Nie jesteśmy pewni, jakie skutki spowoduje użycie naszej broni. Kapitan Calvert nie chce strzelać do nieuzbrojonego statku.

- Zmieni zdanie, kiedy poławiacz materii wyceluje w "Lady Makbet" swój termojądrowy napęd. Powiedz mu, że dominium Danversi-YV straciło w ciągu piętnastu ostatnich lat dwa takie statki. To ich znacznie osłabiło. Ich sojusz się zmniejszył, a wpływy osłabły. Gdy już zdobędę napęd nadświatlny, będą pierwszym dominium z krawędzi, które upadnie. Dlatego są najbardziej zdesperowani.

- Rozumiem.

Mosdva wsunął się do wielkiej komory, od której odchodziło siedem rur.

- Wygląda ciekawie - oznajmiła towarzyszom Ione. - Sądząc po położeniu włazów śluz, dwa z tych korytarzy prowadzą do węzła. O ile to rzeczywiście korytarze.

- Mamy wasze położenie - poinformował ją Liol. - Od najbliższej zamieszkaney rury dzieli was tylko sto pięćdziesiąt metrów.

Mosdva odbili się kolejno od krawędzi grodzi, zmierzając prosto ku pierwszemu z wiodących do węzła korytarzy. Wycięli pośrodku włazu z węglowego kompozytu okrągłą dziurę i weszli do środka.

- Mam wrażenie, że unikamy kontaktu z tubylcami - zauważyła Ione.

Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Gdy pierwszy sierżant precyzyjnie przesunął się przez otwór, instrumenty w jego hełmie wykryły sześć szerokich wiązek ultrafioletowego światła produkowanych przez posuwających się szybko naprzód Mosdva.

- Poznają tę powierzchnię - odezwała się Ione, podekscytowana tak bardzo, jak tylko pozwalały na to jej technobiotyczne neurony.

Ściany korytarzy wykonano z tego samego, przypominającego pumeks materiału, którego

Tyratakowie używali w bezgrawitacyjnych sektorach Tandzurika-RI. Pancerne rękawice sierżantów z łatwością wsuwały się w regularne zagłębienia powierzchni, dzięki czemu obaj mogli szybko podążać za Mosdva.

- Przypadki nie istnieją - zauważył Joshua.

- Śluza przed nami ma inną konstrukcję - ciągnęła Ione. - Różni się od tych z Tandzurika-RI, ale nie przypomina też tych, które widzieliśmy tutaj.

Właz umieszczony pośrodku grodzi był grubą, kwadratową płytą tytanu, wyposażoną w szerokie uszczelnienie oraz podobne do tłoków zawiasy. Miał trzy metry szerokości. Czujniki podczerwieni poinformowały Ione, że jest znacznie cieplejszy niż ściany.

Mosdva zatrzymali się przed grodzią i przytknęli do metalu małe zestawy czujników.

- Następny sektor jest zamieszkały - oznajmił Quantook-LOU. - Wolę na razie unikać kontaktu. Dlatego wyjdziemy na zewnątrz.

Jeden z Mosdva zdrapał elektrycznym narzędziem warstwę porowatego materiału z fragmentu ściany, odsłaniając błyszczącą metalicznie powierzchnię. Następnie wyciął w niej otwór laserem i wysunął się w przestrzeń.

Ione przełączyła czujniki hełmu na podczerwień. Zapuscili się już daleko w głąb węzła. Nie dostrzegą tu żadnych regularności. Rury krzyżowały się ze sobą, a nieregularne luki między nimi wypełniały grube przypory, otaczające ją przypominającym ptasie gniazdo filigranem. Na zewnątrz korytarzy biegły jaskrawoczerwone nici przewodów cieplnych, a na obrazie pochodzącym od czujników pola magnetycznego widziała półprzezroczyste, szmaragdowe linie kabli elektrycznych.

- Wykrywam intensywną aktywność - powiedziała Ione. - Ale wszystkie rury są nieprzejryste i nadal nie mogę zajrzeć do środka.

- Wiesz, dokąd idziecie? - Zapytał Joshua. - Masz jakieś pomysły?

- Nie ma mowy. Płatanina rur jest tak gęsta, że nie sięgam wzrokiem dalej niż na sto metrów.

Wzdłuż każdej z rur biegły grube pasy porowatego materiału, pozwalające im poruszać się swobodnie. Mosdva bez większych ceregieli popędzili naprzód. Bloki orientacyjne Ione poinformowały ją, że zapuszczają się coraz dalej w głąb węzła.

Po dwustu metrach płatanina rur skończyła się nagle. W środku węzła znajdowała się pusta przestrzeń, szeroka na z górą dwa kilometry. Unosił się w niej cylinder o średnicy około ośmiuset metrów. Jego piastę łączyły z pajęczyną potężne magnetyczne łożyska, pozwalające mu obracać się powoli. Dwadzieścia procent zewnętrznej powierzchni pokrywał pas regularnych, trójkątnych wypukłości umieszczony na jednym z końców. Pas był znacznie cieplejszy niż reszta cylindra, świecił w podczerwieni jednolitym, różowym blaskiem. Z pewnością było to promiennik odprowadzający nadmiar ciepła, co świadczyło, że systemy wewnątrz cylindra nadal funkcjonują.

- Proszę, proszę - powiedziała. - Tylko spójrzcie. Ktoś tu nadal mieszka w warunkach przyciągania.

Sprawdziła otoczenie wszystkimi instrumentami. Otaczająca cylinder komora przypominała dok kosmodromu. Z otaczającej ją płataniny rur sterczały ramiona suwnic oraz przypory, pełne kabli oraz doprowadzających płyn przewodów. Na ich końcach zamontowano masywne pierścienie, z których sterczały liczne chwytaki, nieczynne i złożone jak uspione ukwiały. Większość była pusta, niektóre jednak trzymały w uchwycie kawałki czarnej skały, wyszlifowane niby diamenty w setki maleńkich fasetek. Okruchy różniły się od siebie wielkością i kształtem. Jeden z nich był tak wielki, że musiało go trzymać dziesięć ramion. W większości przypadków wystarczały jednak dwa albo trzy. Do skały przylegały jakieś maszyny, tak ciemne i zimne, że można by je wziąć za dziwaczne wypukłości. Tylko jedna, usytuowana pośrodku największego fragmentu, świeciła łososiowym

blaskiem.

- To coś w rodzaju rafinerii - domyśliła się Ione. - Podejrzewam, że większość tych skał to bogaty w węgiel chondryt.

Nie przerywała obserwacji. Wykryła jeszcze kilka intensywnych pól magnetycznych. Produkujący je sprzęt zamontowano na masywnych platformach krążących wokół cylindra. Najprawdopodobniej były to silniki termojądrowe.

- Kto tutaj mieszka? - Zapytała Ione. - Tyratakowie, prawda?

- To jest Lalarin-MG - odpowiedział Quantook-LOU. - Miejsce, które im przydzielono. Muszę z niezadowoleniem stwierdzić, że jeszcze żyją.

- Nienawidzicie ich. Byliście ich niewolnikami. Sądziłam, że wszystkich zabiliście. To właśnie sugerowałeś w rozmowie.

- Ci, którzy przeżyli, pod koniec zmiany zgromadzili się w swych enklawach. Trudno ich było stamtąd wykurzyć. Atak na ich systemy obronne nie byłby opłacalny. Nowo powstałe dominia po prostu zerwały z nimi kontakty, pozwalając, by chylił się ku upadkowi w izolacji. Tylko największe enklawy przetrwały do dziś.

- Niewiarygodne - stwierdził Samuel. - Są jak ziarenko piasku w ostrydze. Mosdva po prostu otoczyli ich ze wszystkich stron.

- Bardzo duże ziarenko - zauważyła Sarha. - Przyjrzyj się tej grocie. Założę się, że gdy budowano miasto-dysk, była to lita asteroida, być może z komorą biosferyczną w środku. Przez tysiąclecia usunęli mnóstwo skały, by zdobyć surowce, a cylinder jest zapewne dalekim potomkiem tamtej komory. Nie mogli rosnąć, jak Mosdva, więc zachowali ten sam rozmiar. Wiemy, że Tyratakowie potrafią podtrzymać funkcjonowanie tego typu społeczeństwa przez nieograniczony czas. Tandzurik-RI istnieje tak samo długo, jak ta enklawa. Ale tutaj pewnego dnia zabraknie im skały.

- To zgadza się z tym, co widzę, pomijając silniki raketowe - stwierdziła Ione. - Po co marnują na nie zasoby, których tak bardzo potrzebują, by podtrzymać funkcjonowanie sztucznego środowiska w skrajnie nieprzychylnych okolicznościach?

- To mogły pierwotnie być silniki gwiazdolotu - zasugerował Liol. - Ale te czasy dawno już minęły. Podejrzewam, że mogą być elementem systemu obronnego, o którym wspominał Quantook-LOU. Nie zapominajcie, że rewolucja Mosdva wybuchła, gdy miasta-dyski były jeszcze w fazie embrionalnej. Asteroida z enklawy z pewnością była już przytwierdzona do reszty skupiska. Jeśli używali napędu termojądrowego jak miotacza ognia, mogli spowodować wielkie spustoszenia, rozbić asteroidy, zniszczyć nowo zbudowane przewody mieszkalne oraz mechanizmy wymiany ciepła. Tyratakowie nie mieli nic do stracenia, ale Mosdva bardzo dużo. Dlatego obie strony zgodziły się na izolację.

- A ponieważ Tyratakowie to skurczybyki totalnie pozbawione wyobraźni, przez cały ten czas podtrzymują groźbę - stwierdził Ashly. - Te silniki nawet w dzisiejszych czasach mogłyby spowodować w mieście-dysku wielkie straty.

- Tyle że nie są już w pełni funkcjonalne - zauważyła Ione.

- Widzę dziesięć, z czego tylko trzy produkują pola magnetyczne.

- Ale Mosdva o tym nie wie.

- Teraz już wie.

Quantook-LOU i jego strażnicy ponownie ruszyli przed siebie, pełznąć wzdłuż okrążających komorę rur. Ione podążyła za nimi.

- Chyba zmierzamy w stronę piasty. Na pewno ma zamiar wejść do środka, żeby ich spotkać.

- Zaczynam szanować naszego Quantook-LOU - odezwał się Joshua. - Był z nami szczerzy. Fakt, że zwrócił się do Tyrataków, sugeruje, iż rzeczywiście chce zdobyć dla nas almanach.

- Nie tłumaczyłabym jego zachowania wyłącznie uczciwością - sprzeciwiła się Syrinx. - Nasze przybycie postawiło go przed prostym wyborem. Mógł walczyć o prymat albo zgodzić się, żeby jakieś inne dominium wchłonęło Anthi-CL. Nie tylko chce zdobyć almanach, ale bezwzględnie musi to zrobić.

- W dawnych czasach nie byłaś taka cyniczna.

- Potem poznałam ciebie.

Joshua zachichotał. Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie ma zdolności afinicznych. Właściwie ich jednak nie potrzebował, gdy chodziło o jego załogę. Liol z pewnością starał się ukryć uśmiech, Sarha zerknęła na niego znacząco, a Dahybi udawał, że nic nie rozumie.

- Pociągi znowu ruszyły - poinformowała ich Beaulieu. - Nasze satelity śledzą ruch pięciu. Wszystkie pojawiły się w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

- Powiedz nam, dlaczego to zła wiadomość.

- Znajdują się w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od enklawy Tyrataków i zmierzają w jej stronę.

- Jezu! Rewelacja. Ione, słyszałaś?

- Tak. Zawiadomię Quantook-LOU, chociaż w tej chwili i tak nie możemy nic przyspieszyć.

Sierzanci wspinali się wzdłuż rury biegnącej poniżej końca cylindra. Nie czuli się tu zbyt pewnie. W miarę zbliżania się do piasty luka robiła się coraz węższa, a monstrualna bezwładność cylindra stawała się przerażająco wyraźna. Ione zdawała sobie sprawę, że gdyby była prawdziwym człowiekiem, ciągle wspominałaby dzień, gdy wsadziła rękę w szprychy roweru. Miała wówczas sześć lat i próbowała zwolnić zablokowany hamulec, nim Tranquillity zdołało ją powstrzymać.

W swym obecnym stanie mogła się po prostu zachwycić tym oryginalnym skojarzeniem.

- Wejdziemy do środka tędy - zdecydował Quantook-LOU. Mosdva zatrzymali się wokół włazu śluzy i jeden z nich przesunął elektroniczny moduł nad rozetą klawiszy. Po chwili na zielonym wyświetlaczu pojawił się szereg cyfr, które następnie wpisano za pomocą klawiszy. Drzwi otworzyły się do środka.

- Przejdziemy pierwsi - oznajmił Quantook-LOU.

Ione zaczekała, aż cykl śluzy się zakończy. Potem obaj sierżanci weszli do środka. Wewnętrzne drzwi komory prowadziły do sferycznego pomieszczenia. Instrumenty jej skafandra musiały wyłączyć programy filtrujące, by przystosować się do białego światła. Zastanawiała się, jak radzą sobie z tym Mosdva i czy w ogóle rozróżniają kolory. Ta kwestia nie zajmowała jednak wysokiej pozycji na liście jej priorytetów.

Sfera miała trzydzieści metrów średnicy, a w jej ściany wprawiono siedem włazów. Dziesięciu Tyrataków z kasty żołnierzy stało na ścianie pod różnymi kątami. Wbili mocno kopyta w zagłębienie gąbczastej powłoki, co pozwalało im zachować nieruchomą pozycję. W rękach trzymali masywne maserowe karabiny, wycelowane w grupę Mosdva.

Rozległo się skrzeczenie i przeciągłe, nerwowe gwizdy. Quantook-LOU przez długi czas przemawiał do jedyne Tyrataka z kasty rozplodowej, otoczonego przez kordon żołnierzy. Dystrybutor zasobów zdjął hełm skafandra.

- Kim oni są? - Zapytał Tyratak z kasty rozplodowej, nie spuszczać z sierżantów orzechowych oczu.

- Dowodem prawdziwości moich słów - odparł Quantook-LOU. - To istoty, które przybyły z drugiej strony mgławicy.

- Quantook-LOU mówi prawdę - potwierdziła Ione. - Cieszymy się, że możemy was spotkać. Jestem Ione Saldana, członek załogi gwiazdolotu "Lady Makbet".

Kiedy mówiła, kilku żołnierzy poruszało czułkami. Tyratak z kasty rozplodowej milczał przez chwilę.

- Mówicie jak my, ale wasz kształt się nie zgadza - odezwał się wreszcie. - Nie należycie do żadnej ze znanych nam kast. Nie jesteście też Mosdva.

- Jesteśmy ludźmi. Nauczyliśmy się waszego języka od Tyrataków, którzy przybyli do naszej domeny na statku Tandzurik-RI. Słyszałeś o nim?

- Nie. Wspomnień o tamtych czasach już się nie przekazuje.

- Cholera jasna! - Zawołała Ione na ogólnie dostępnym paśmie. - Skasowali wszystkie zapisy.

- Wcale nie o to chodzi - sprzeciwił się Parker. - Tyratakowie przekazują użyteczne wspomnienia z pokolenia na pokolenie za pomocą gruczołów programowania chemicznego. Szczegóły wydarzeń sprzed piętnastu tysięcy lat raczej nie są aż tak istotne, by warto je było zachowywać w ten sposób.

- On ma rację - poparł go Joshua. - Interesują nas ich elektroniczne zapisy, nie legendy rodzinne.

- Chciałbym negocjować z rodziną zarządzającą elektronicznymi archiwami w Lalarin-MG - oznajmił Quantook-LOU. - Po to tu przybyliśmy.

- Tyratakowie i Mosdva nie negocjują ze sobą - odpowiedział gospodarz. - Tak mówi umowa separacyjna. Nie powinniście byli tu przychodzić. My nie odwiedzamy waszych dominiów. Przestrzegamy umowy separacyjnej.

- A co z ludźmi? - Zapytał Quantook-LOU. - Czy ich też nie powinno tu być? Ich umowa nie dotyczy. Wszechświat otaczający Todzolt-HI zmienił się dla Mosdva i dla Tyrataków. Trzeba wynegocjować nową umowę. Mogę to zrobić. Wszyscy skorzystają. Mosdva, ludzie i Tyratakowie.

- Możesz negocjować z Baulona-PWM - zgodził się Tyratak. - Może ci towarzyszyć dwóch członków eskorty oraz ludzie. Chodź za mną.

Rura, do której ich zaprowadził, miała sześć metrów średnicy, a na biegnącej jej środkiem linie w regularnych odstępach zawieszono światła. Wszyscy Tyratakowie przemieszczali się wzdłuż ścian, jakby przebywali w polu grawitacyjnym. Ich przypominające bicze czułki poruszały się z wigorem niczym miniaturowe skrzydła. Ione uświadomiła sobie, że u Tyrataka z kasty rozplodowej są one znacznie dłuższe niż u osobników znanych Konfederacji.

- Zawsze przypuszczaliśmy, że służą one zachowaniu równowagi - odezwał się Parker. - Wygląda na to, że z powodu niskiego przyciągania znowu zaczęli ich używać.

Ione skierowała instrumenty na Tyrataka. Był o jakieś dziesięć procent mniejszy od osobników z kasty rozplodowej znanych Konfederacji, robił jednak wrażenie tłustszego. Tu i ówdzie jego łuski barwy sjeny palonej przybrały jasnosiwą kolor, a w mięśniach było widać zgrubienia. Tyratak oddychał z lekkim wysiłkiem, jakby charczał. Ione sprawdziła żołnierzy i wykryła u nich podobne skazy. Dwóch miało gorączkę.

- Znieśli izolację gorzej niż Mosdva - zauważyła.

- Mieli mniejszą populację wyjściową - wyjaśnił Ashly. - Wsobne krzyżowanie z pewnością powoduje u nich mnóstwo problemów. Nie można też zapominać o medycznych komplikacjach wywołanych przebywaniem w stanie nieważkości. Zapewne znaczny procent jaj nie może się rozwinąć. Biorąc pod uwagę, że brak im bazy naukowej potrzebnej, by znaleźć rozwiązanie tych problemów, fakt, że udało się im przetrwać tak długo, należy uznać za spore osiągnięcie.

Ostatni korytarz wiódł do obrotowej śluzy, bardzo przypominającej używane w Tandzuriku-

RI. Na przeciwnym końcu długiej, cylindrycznej komory ulokowano trzy wielkie włązy prowadzące do Lalarin-MG. Uszczelnienie znajdowało się w połowie długości. Powietrze drżało od niskiego łoskotu obracającego się cylindra.

Po drugiej stronie śluzę również znaleźli rozwiązania znane ze statku-arki. Po obu stronach windy towarowej znajdowały się łukowate przejścia wychodzące na spiralne rampy.

Wszyscy wpełnęli się razem do windy, która ruszyła w dół. Przyciąganie powoli rosło, sprawiając trudności trzem Mosdva. Musieli całkowicie zdjąć skafandry i uwolnić tylne kończyny. Następnie stanęli na nich, podpierając się środkową parą. Nie było to łatwe. Ich tępo zakończone stopy utraciły chwytność, a środkowe dłonie były niemal zbyt delikatne, żeby utrzymać połowę ciężaru ciała. Gdy winda dotarła do podstawy cylindra, przyciąganie osiągnęło piętnaście procent ziemskiego. Tyratakom nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu. Ione przeprogramowała silniczki skafandrów, by się upewnić, że sierzanci nie będą skakać zbyt wysoko, oraz wziąć poprawkę na siłę Coriolisa. Quantook-LOU włókł się powoli przed siebie, poruszając kończynami z bolesnym wysiłkiem. Jego dwaj ochroniarze radzili sobie nieco lepiej, gdyż ich środkowe kończyny wyposażono w protetyczne wzmocnienia. Serwomechanizmy zawodziły głośno przy każdym ich ruchu. Ione zastanawiała się, jak nadmierne przyciąganie wpływa na serca oraz inne narządy wewnętrzne ksenobiontów.

Drzwi windy otworzyły się, odsłaniając wnętrze cylindra. Ione musiała włączyć dodatkowe filtry, żeby blask jej nie oślepił.

Wnętrze Lalarin-MG stanowiła pojedyncza komora otoczona cykloramą z aluminiowego stopu. Całą powierzchnię zajmowały gęsto ustawione szeregi budynków, standardowych, zwężających się ku górze wież oglądanych we wszystkich osiedlach Tyrataków. Tu jednak zbudowano je z jakiegoś czarnego kompozytu. Ze ścian sterczały grube rury oraz mechaniczne części, jakby były to maszyny, nie budynki mieszkalne. Z tym wrażeniem kłóciły się jednak porastające bujnie ich ściany pnącza o szerokich, opadających liściach. Z ich łodyg wyrastały pierścienie wielkich, półkolistych kwiatów barwy turkusowej i złotej. Nad szachownicą ulic unosiły się rzadkie opary, przechodzące w perłowoszarą mgiełkę w miarę, jak zbliżali się do osi. Na każdym dachu umieszczono baterię oślepiająco jasnych reflektorów. Skierowane pionowo w górę snopy ich blasku krzyżowały się ze sobą i rozpraszały w mgiełce, oświetlając fragment powierzchni położony naprzeciwko.

Pionowe ściany końcowe cylindra były porośniętymi mchem kołami podzielonymi na małe fragmenty przez skomplikowaną płataninę wzmocniających żeber i przypór. Wzdłuż osi biegła smukła suwnica zajmująca całą długość cylindra. Z jedną przerwą.

- O mój Boże - wyszeptła Ione. - Czy wszyscy to widzą?

- Widzimy - potwierdziła Syrinx.

W samym środku cylindra wisiała podobizna Śpiącego Boga, oparta oboma końcami o suwnicę. Miała dwieście metrów długości, a sto pięćdziesiąt średnicy w najszerszym miejscu centralnego dysku. Wykonano ją z polerowanego metalu, ale z czasem powierzchnię pokryły strużki alg, a z pęknięć i szczelin wyrastały grzyby o niezdrowej, brązowej barwie. Obie wieże upstrzyły liczne plamy porostów.

Mosdva nie zwracali na to wszystko uwagi, z wysiłkiem poruszając się wąskimi uliczkami. Wilgotność była tu wysoka. Każdą powierzchnię pokrywały kropelki rosy, a ze wszystkich półek i rynien ściekała woda, wypełniając habitat dźwiękiem przypominającym lekki szum deszczu.

Na wszystkich skrzyżowaniach tłoczyli się pogrążeni w rozmowach Tyratakowie z kasty rozplodowej. Ione dostrzegła, że zawsze chodzą parami. Widziała tylko niewielu przedstawicieli

kast wasalnych, głównie żołnierzy. Poruszający się powoli jak artretycy farmerzy pielęgnowali pnąca, zrywając dojrzałe grona ciemnofioletowych owoców.

W umyśle Ione powoli kształtował się obraz Lalarin-MG. Wnętrze cylindra wypełniała ta sama aura letargicznego rozkładu, którą dostrzegało się w całym Todzolt-HI. Niektóre budowle były w dobrym stanie, zauważyła nawet kilka rzeczywiście nowych, w których pnąca ledwie sięgały do okien pierwszego piętra. Na każdy nowy budynek przypadały jednak cztery opuszczone. Nawet sprzęt widoczny w ścianach zamieszkanym wież często był popsuty. Czujniki pól magnetycznych i podczerwieni informowały ją, że urządzenia nie działają, a ich temperatura nie odbiega od temperatury otoczenia.

- Są na granicy między stabilizacją a stagnacją - skonstatowała. - I zmierzają w niewłaściwym kierunku.

- Chodzi o aspekt biologiczny - stwierdził Ashly. - Nie widzę innego wytłumaczenia. To jedyne czynniki, które działają na ich niekorzyść. Potrzebują zastrzyku świeżej krwi, który pozwoliłby im odzyskać witalność. W przeciwnym razie z pewnością wymrą.

W końcu dotarli na pierścieniowaty plac położony pod podobizną Śpiącego Boga. Nawierzchnię stanowiły tu aluminiowe płyty pokryte szorstkim kwarcem dla zwiększenia przyczepności. Z krawędzi podobizny zwisały długie warkocze alg, jakby ktoś włożył Śpiącemu Bogu wystrzępioną spódniczkę. Ściekała z nich woda, spadająca szerokim łukiem na plac.

Wzdłuż brzegu pokrytego płytami obszaru zgromadzili się osłonięci przed mżawką Tyratakowie z kasty rozplodowej. Wszyscy siedzieli na tylnych częściach ciała, a ich czułki sterczały nad kosmate grzywy biegnące wzdłuż pleców.

Towarzyszący im strażnicy z kasty żołnierzy zatrzymali się jak jeden mąż na nagły pisk dowódcy. Quantook-LOU oklapł natychmiast, opierając dolną część tułowia o podłogę. Oddychał bardzo szybko.

Jeden z siedzących w rzędzie Tyrataków z kasty rozplodowej wstał i podszedł do nich, zatrzymując się przed sierżantami. Wyglądał na starego. Jego skórę pokrywały białe i szare plamy, a z oczu ciekła ropa. Wydawało się też, że ma trudności ze skupieniem wzroku.

- Jestem Baulona-PWM. Moja rodzina opiekuje się elektroniką w całym Lalarin-MG. Znam Mosdva. Ale was nie znam.

- Jesteśmy ludźmi.

- Dystrybutor zasobów Mosdva twierdzi, że przybyliście do Mastrit-PJ z drugiej strony mgławicy.

- To prawda.

- Czy przysłał was Śpiący Bóg?

- Nie.

Baulona-PWM odchylił głowę do tyłu, nie zważając na ciepły deszczyk, i wydał z siebie cichy jęk. Pozostali Tyratakowie podążyli za jego przykładem. Nad całym placem poniosło się żalobne zawodzenie.

- Czy ludzie wiedzą o istnieniu Śpiącego Boga?

- Tak.

- Widzieliście go?

- Nie.

- Błagamy Śpiącego Boga o pomoc od chwili zawarcia umowy separacyjnej. Wzywaliśmy go, gdy Mosdva rozpoczęli rzeź naszych klanów. Gdy zapędzili nas do enklaw. Od tego czasu wzywamy go bez chwili przerwy. Ktoś z nas zawsze tu czuwa. Klan, który odleciał w Swantik-LI,

mówi, że Śpiący Bóg widzi wszechświat. Że jest naszym sojusznikiem. W takim razie, dlaczego nie odpowiada?

- Śpiący Bóg znajduje się daleko od Mastrit-PJ. Może minąć wiele czasu, nim będzie mógł przyjść wam z pomocą.

- Nie przynosicie nam nic nowego.

Quantook-LOU wyprostował środkowe kończyny i podniósł się z półleżącej pozycji, przenosząc spojrzenie z sierżantów na Baulona-PWM.

- Czym jest ten Śpiący Bóg?

Stary Tyratak zahuczał głośno.

- Pewnego dnia się dowiesz. Śpiący Bóg jest naszym sojusznikiem, nie waszym.

- Przybyłem tu, by znaleźć nowych sojuszników. Pojawienie się ludzi zmieniło sytuację. Ich statek leci szybciej niż światło.

Baulona-PWM przesunął głowę do przodu, zatrzymując ją w odległości dziesięciu centymetrów od pierwszego sierżanta.

- Śpiący Bóg potrafi podróżować szybciej niż światło. Jak możecie tego dokonać bez jego pomocy?

- Uważam, że powinniśmy na tym etapie unikać wszystkiego, co mogłoby zostać uznane za bluźnierstwo - powiedziała Ione na ogólnie dostępnym paśmie. - Macie jakieś sugestie?

- Powiedz im, że to był dar od naszego Boga - zasugerowała Syrinx. - Tego raczej nie będą mogli kwestionować.

- Nie chcę was poganiać, ale nie zostało nam zbyt wiele czasu do chwili przybycia poławiacza materii - wtrącił Joshua. - Te pociągi również są coraz bliżej. Jeśli okaże się, że Quantook-LOU nie może nam pomóc, będziemy musieli dogadać się z Tyratakami bez pośredników.

- Rozumiem - odparła Ione. - Otrzymaliśmy napęd nadświatłowy od naszego Boga - oznajmiła staremu Tyratakowi.

- Macie Boga?

- Tak.

- Gdzie on się znajduje?

- Nie wiemy. Odwiedził nasz świat w zamierzchłych czasach i jak dotąd nie powrócił.

- Ludzie dadzą mi napęd nadświatłowy - odezwał się Quantook-LOU. - Dzięki niemu dominia Mosdva zdobędą świeże zasoby. Wybudujemy nowe miasta-dyski. Będziemy mogli opuścić układ Mastrit-PJ, jak Tyratakowie.

- Dajcie nam napęd - zażądał Baulona-PWM.

- On należy do mnie - odparł Quantook-LOU. - Jeśli chcecie go otrzymać, musicie negocjować ze mną. Dlatego właśnie tu przybyłem.

- Co chcesz otrzymać od Lalarin-MG?

- Wszystkie dane i zapisy dotyczące tyratackich statków-ark. Baulona-PWM zahuczał ostro. Zaniepokojeni żołnierze zaszurali nogami.

- Dowiedzielibyście się, gdzie leżą nasze nowe światy - sprzeciwił się Baulona-PWM. - Zniszczylibyście wszystkich Tyrataków. Znamy Mosdva. Nigdy nie zapominamy.

- My również nigdy nie zapominamy - zahuczał w odpowiedzi Quantook-LOU. - Dlatego właśnie musimy negocjować już teraz. W przeciwnym razie między Mosdva a Tyratakami znowu wybuchnie wojna. Wiesz, że tak się stanie. Ludzie mówią, że nie pomogą żadnej ze stron, jeśli nie zawrzemy porozumienia, które zapobiegnie wojnie.

- Zręczny argument - powiedziała do towarzyszy Ione. - Chyba już widzę, dokąd zmierza.

- Jak miałyby wyglądać ta nowa umowa? - Zapytał Baulona-PWM.

- Ludzie nie chcą wojny w tej części Galaktyki. Jeśli dostaniemy napęd nadświatlny, Mosdva nie będą mogli latać do gwiazd, wokół których krążą światy Tyrataków. Musimy się dowiedzieć, gdzie one są, żeby tego uniknąć.

- Tylko pod tym warunkiem zgodzimy się dać wam napęd nadświatlny - poparła go Ione. - Znamy historię konfliktu między wami. Nie pozwolimy, by ten konflikt się rozszerzył i ogarnął inne gatunki. W Galaktyce jest dość miejsca dla Mosdva i dla Tyrataków. Pokojowe współistnienie jest możliwe. To będzie przypominało istniejącą tu separację, tylko na znacznie większą skalę.

- Tu mamy broń, która zmusza Mosdva do przestrzegania umowy separacyjnej - sprzeciwił się Bauloma-PWM. - Jak ich do tego skłonimy, gdy już dacie im napęd nadświatlny i dowiedzą się, gdzie leżą nasze planety? Napęd pozwoli im opuścić Todżolt-HI. Nasza broń utraci wszelkie znaczenie. Zniszczą wszystkich Tyrataków w Mastrit-PJ i wszystkie nasze nowe światy.

- To wy niszcycie - sprzeciwił się Quantook-LOU. - My budujemy.

- Mosdva nie dotrzymują umów. Wysłaliście do Lalarin-MG swoich żołnierzy. Już tu są. Użyjemy naszej broni przeciwko całemu Todżolt-HI.

- Możecie to potwierdzić? - Zapytała załogę "Lady Makbet" Ione.

- Obserwujemy na ciemnej stronie jakieś poruszenia Mosdva - przyznał Joshua. - Wygląda na to, że infiltrują przewody na granicy węzła.

- Ilu ich jest?

- Kilkuset. Łatwo zauważyć w podczerwieni.

- Czy przyjechali pociągami?

- Nie. Pierwszy pociąg będzie na miejscu dopiero za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.

- To nie są żołnierze Anthi-CL - zapewnił Quantook-LOU.

- Pochodzą z dominiów, które chcą zagarnąć ludzki napęd dla siebie. Ja będę negocjował z Tyratakami i zawrę z nimi umowę. Oni tego nie robią. Przekażcie mi tę informację. Gdy już zdobędę napęd, będą się musieli wycofać z Lalarin-MG.

- Każ im się wycofać teraz - sprzeciwił się Baulona-PWM.

- Kiedy odejdą, będę z tobą negocjował.

- Nie mogę negocjować z innymi dominiami, dopóki nie zdobędę informacji.

- Nie dam ci jej, dopóki nie zaczniesz negocjacji. Siedzący na mostku "Lady Makbet" Joshua walnął pięścią w miękki fotel.

- Jezu! Co jest z nimi nie w porządku?

- Dwadzieścia tysięcy lat walki i nienawiści zapisało się w ich genach - wyjaśnił Samuel. - Nie potrafią już sobie zaufać.

- Będziemy musieli znaleźć wyjście z tego pata.

- Zaczyna nam brakować czasu - wtrącił Liol. - Poławiacz materii właśnie zmniejszył przyspieszenie ujemne.

- O cholera - mruknął Joshua. Wiedział, co to oznacza. Komputer pokładowy przekazał datawizyjnie do jego neuronowego nanosystemu nową trajektorię ogromnego statku. Poławiacz materii nie wyrówna prędkości na czas, by zatrzymać się obok "Lady Makbet", dwadzieścia kilometrów nad słoneczną stroną Todżolt-HI. Nowy wektor zaprowadzi go kilometr nad ciemną stronę węzła, w którym znajdowało się Lalarin-MG. Ponieważ statek zbliżał się do węzła z dyszami skierowanymi ku przodowi, strumień plazmy przetnie enklawę Tyrataków, zamieniając całą strukturę w parę. Poławiacz materii przeleci też niebezpiecznie blisko "Lady Makbet".

- Chyba musimy podjąć bardziej aktywne kroki - oznajmił przebywającym na mostku

członkom załogi Joshua. Skierował na statek Mosdva główną antenę "Lady Makbet". - Uwaga poławiacz materii. Wasz obecny kurs doprowadzi do zniszczenia Lalarin-MG. Na terenie tego dominium przebywają obecnie członkowie mojej załogi. Natychmiast przyspieszcie wytracanie prędkości.

- Josh, on ma przeszło cztery kilometry średnicy - zdumiał się Liol. - To nie statek, to góra. Nawet jeśli przyładujesz mu pociskiem jądrowym, szczątki zasypią cały sektor Todzolt-HI. Szczerze mówiąc, zapewne w ten sposób spowodujesz większe szkody.

- Wydawało mi się, że ci opowiadałem, jak sobie poradziłem z Neevesem i Sipiką w Pierścieniu Ruin.

- Och, a więc to prawdziwa historia? - Zapytał z powagą w głosie Ashly.

Joshua obrzucił pilota pełnym urazy spojrzeniem.

- Poławiacz materii nie odpowiada - poinformował ich Liol. - I nie zmienia przyspieszenia. Za osiem minut przepali się przez węzeł.

- Dobra, jeśli rzeczywiście tego chcą. Wszyscy na stanowiska bojowe.

Panele termozrzutu "Lady Makbet" złożyły się i schowały w niszach kadłuba. Joshua uruchomił główny napęd termojądrowy i ruszył w stronę statku Mosdva z przyspieszeniem 1,5 g.

- To będzie bardzo szybki przelot - zapowiedział. - Sarha, ty pokierujesz ogniem.

- Tak jest, kapitanie - potwierdziła. Widziała już na neuroikonicznym obrazie statek Mosdva: skupisko rozszarpanych kul wspierających się na jeszcze jaśniejszym strumieniu plazmy, który ciągnął się trzydzieści kilometrów, nim wreszcie rozprasał się w mgiełkę błękitnych jonów. Poławiacz materii opadał nieubłaganie ku słonecznej stronie miasta-dysku niczym jakiś gigantyczny, żądliwy owad.

Komputer pokładowy przekazał datawizyjnie strumień danych, nakładając na obraz jaskrawofioletowy krzyż nitek. Na polecenie Sarhy podzielił go na pięć części, pokrywając nimi wszystkie kule. Sarha zwiększyła pobór mocy z tokamaka i uaktywniła działo maserowe.

"Lady Makbet" minęła poławiacza materii po lekko łukowatej trajektorii, zachowując odległość dwudziestu kilometrów od strumienia plazmy. Masery ludzkiego statku wystrzeliły do pięciu kulistych zbiorników, z łatwością przebijając powłokę. Z miejsc, w które trafiły wiązki, rozeszły się szczeliny pęknięć. Potem wiązki zaczęły się poruszać po ciasnej spirali, powiększając otwory. Nieznany materiał stawiał mikrofalom bardzo niewielki opór. Dziewięćdziesiąt procent energii przedostawało się na drugą stronę, do olbrzymiego rezerwuaru płynnych węglowodorów. Ciecz natychmiast zaczęła wrzeć, produkując kłęby gorącej pary. Ciśnienie wewnątrz kul wzrosło, ze szczelin trysnęły potężne strumienie niebieskoszarego gazu.

- Delta v się zmienia - zameldował Liol. - Przebicia powodują odrzut. Chryste, Josh, udało się.

- Dziękuję. Sarha, trzymaj masery w pogotowiu. Chcę rozgrzać jak najwięcej płynu. To zmniejszy ich manewrowość. Spróbujemy drugiego przelotu.

- Kapitanie - zawołała Beaulieu. - Poławiacz materii wyłączył napęd.

Czujniki bojowe "Lady Makbet" śledziły statek Mosdva i Joshua ujrzał na obrazie, że słup plazmy gaśnie.

- Cholera, czy to nasza robota?

- Nie - zaprzeczyła Sarha. - Nie strzelam aż tak niecelnie. Systemy napędowe są nietknięte.

- Liol, pokaż mi nową wersję trajektorii.

- Mają bystrego kapitana. Po wyłączeniu napędu termojądrowego wypływ gazu nie wystarczy, by wytracić ich prędkość. Uderzą w węzeł. Za cztery minuty.

- Niech to szlag.

Joshua natychmiast zaczął obliczać nowy wektor, ponownie zmierzając w stronę statku Mosdva. Gwiazdolot poruszał się z przyspieszeniem 4 g. Joshua musiał uważać, by ich własny strumień plazmy nie dotknął sieci po słonecznej stronie.

- Wyływ gazu z poławiacza materii słabnie - poinformował go Ashly. - Ciecz na pewno już stygnie. Ich system rozpraszania ciepła jest cholernie dobry, Joshua. Opłaci się dać im napęd ZTT w zamian za niego.

"Lady Makbet" była coraz bliżej statku Mosdva. Sarha ponownie uruchomiła masery i z kul trysnęły strumienie gazu. U wylotu gorzały srebrnobiałym blaskiem, ale potem stygły i ich rozproszone końcówki miały wiśniową barwę.

W "Lady Makbet" uderzyły wiązki dwóch laserów, zamontowanych gdzieś na słonecznej stronie. Pianka z nultermu wyparowała, ale Joshua obrócił szybko statek. Na kadłubie pozostały długie, czarne ślady.

- Nie było przebicia - zawołała Beaulieu. - Możemy wytrzymać ten poziom energii przez osiem minut. Potem pojemność termiczna się wyczerpie.

- Zrozumiałem.

Joshua zwiększył przyspieszenie do 8 g, zmierzając z powrotem ku słonecznej stronie. Wszyscy wyteżyli mięśnie, by nie dać się zmiażdżyć straszliwemu przeciążeniu. Czujniki przekazywały im obraz czerwonych i złotych płomieni, które pomknęły w ich stronę. "Lady Makbet" zmieniła kurs, lecąc równoległe do powierzchni miasta-dysku, sześćdziesiąt metrów nad szczytami przewodów składających się na pajęczynę. Joshua wyłączył napęd termojądrowy i na pokładzie zapanowała nieważkość.

- Zgubiliśmy lasery - oznajmiła Beaulieu. - Na tej wysokości nie mogą nas śledzić.

Poławiacz materii nadal leciał prosto na węzeł. Pięć kul świeciło oślepiającym blaskiem, próbując się pozbyć energii przekazanej przez masery "Lady Makbet" podczas drugiego przelotu. O sukcesie poczytać świadczył fakt, że strumienie gazu kurczyły się powoli.

- Przeleci blisko, ale chyba nam się powiodło - stwierdził Liol.

Joshua prześledził wyliczoną przez komputer pokładowy trajektorię. Prędkość poławiacza materii spadała, a strumienie wypływającego gazu były coraz mniejsze. Zaczęły się w nim pojawiać płatki szarej mazi. Wszystko wskazywało na to, że się uda, choć do zderzenia zabraknie niewiele. Prędkość statku względem miasta-dysku spadnie do zera w odległości sześćdziesięciu kilometrów.

Nagle w jego polu widzenia rozbłysły neuroikoniczne symbole alarmu. "Lady Makbet" znowu zaatakowano. W kadłub uderzyły wiązki energii. Fragmenty pianki obróciły się w parę, tryskając obłokami sadzy.

- Znowu lasery - poinformowała go Beaulieu. - Żaden z nich nie może utrzymać na nas ognia przez dłużej niż dwie, góra trzy sekundy, ale jest ich bardzo wiele. Spróbują skoordynowanego nasycenia ogniem. Atakują nas niemal bez przerwy.

- Quantook-LOU ostrzegął, że dominia nie pozwoli nam odlecieć, dopóki nie przekazemy im danych - przypomniał Samuel. - Zapewne wydaje im się, że to właśnie robimy.

Joshua sprawdził ich wektor. Przy obecnej prędkości za sto sekund przelecą nad krawędzią miasta-dysku. Ten kurs zaprowadzi ich daleko od Anthi-CL. Połączył się datawizyjnie z komputerem pokładowym, by uzyskać analizę taktyczną.

- Nasza stara "Lady Makbet" wytrzyma taki poziom energii. Nie musimy jeszcze przeskakiwać.

Instrumenty gwiazdolotu ciągle śledziły statek Mosdva. Poławiacz materii znajdował się w

odległości sześćdziesięciu pięciu kilometrów od słonecznej strony, a jego prędkość względem miasta-dysku spadła do dziesięciu metrów na sekundę. Z pięciu kul nadal tryskały fontanny, które jednak nie składały się już z gazu, lecz z cieczy i krzepnącej mazi. W odległości sześćdziesięciu trzech kilometrów prędkość statku osiągnęła dwa metry na sekundę.

Na sześćdziesiątym pierwszym kilometrze wektor się odwrócił. Poławiacz materii znieruchomiał na chwilę, a potem znowu zaczął się oddalać od miasta-dysku, z początku niedostrzegalnie powoli. Wyływ z kul magazynujących przerodził się w słabe strużki brudnego płynu znikające w pustce.

Napęd termojądrowy statku Mosdva włączył się po raz kolejny.

Joshua jęknął trwoźnie, gdy komputer pokładowy "Lady Makbet" przełożył odbierany przez czujniki obraz na czyste dane, dostarczając mu informacji na temat temperatury, jasności oraz szybkości wyływu plazmy. Tym razem poławiacz materii użył całej dostępnej mocy. Koniec strumienia plazmy dosięgnął powierzchni miasta-dysku, zanim gigantyczny statek zdążył się oddalić, uderzając jak młot w szczyt węzła.

Wszystkie przewody i płachty folii, których dotknął, natychmiast obróciły się w parę. Fala uderzeniowa rozżarzonego gazu wtargnęła do plątaniny wewnętrznych rur, rozrywając ich ściany. Oderwane fragmenty posypały się na wszystkie strony, powodując dalsze zniszczenia. Słoneczną stroną węzła zakołysało powolne strukturalne drżenie. Pękały kolejne rury. Na obszarze o średnicy pięćdziesięciu kilometrów w pustkę tryskały fontanny płynu i atmosferycznego gazu, tworząc wokół warstewkę karmazynowej mgiełki otaczającą powierzchnię, nadal rozgrzewaną przez błękitny słup plazmy, idealnie symetryczny krąg, który w miarę oddalania się statku stawał się coraz większy i bledszy.

Spustoszone dominia Mosdva otaczające węzeł odpowiedziały na atak. Wszystkie nadal funkcjonujące lasery skierowano na poławiacza materii. Na rozżarzonych kulach pojawiły się małe plamki ciemności, które stawały się coraz większe. Z dysz napędu trysnęły strugi stopionego metalu. Za nimi podążyły kulki wrzącego płynu. Słup plazmy zamigotał, zanieczyszczony płonącymi szmaragdowym albo turkusowym płomieniem domieszkami.

Cienie na powierzchni kul połączyły się ze sobą, a po chwili blask zgasł całkowicie. Wszystkie pękły jednocześnie, wylewając z siebie rzeki gęstych węglowodorów. Ciecz wyparowała w intensywnym blasku czerwonego olbrzyma, tworząc oleistą chmurę. Na słoneczną stronę padła wielka plama cienia, redukując miedziany blask do ciemnobordowej barwy.

- Chryste - wydyszał Liol. - Czy to nasza wina?

- Nie - zaprzeczył Dahybi. - Ale i tak nas o to oskarżają.

- Ione? Nic wam się nie stało? - Zapytał Joshua, skupiając uwagę na ogólnie dostępnym paśmie. Obraz przekazywany przez instrumenty sierżanta kołysał się gwałtownie. Atak poławiacza materii podziałał na Lalarin-MG jak trzęsienie ziemi. Tyratakowie z kasty rozplodowej padli na ziemię i teraz próbowali się z wysiłkiem podnieść. Żołnierze otoczyli pierścieniem trzech Mosdva, celując w nich z wielkich karabinów maserowych.

- Wszystko w porządku - zapewniła Ione. Sierzanci zbadali otoczenie instrumentami ze swego wyposażenia. - Nie dostrzegamy żadnych strukturalnych uszkodzeń. Cylinder jest nietknięty i nadal się obraca.

- To już coś.

Podobizna Śpiącego Boga obracała się powoli, w sposób zupełnie niesynchronizowany z ruchem cylindra. Suwnica, na której była zawieszona, wygięła się i rozciągnęła, trzeszcząc przerażająco głośno.

Baulona-PWM podszedł chwiejnym krokiem do Quantook-LOU. Dystrybutor zasobów wyraźnie ucierpiał na skutek ataku i nie był w stanie wstać z drżącego ciągle placu.

- Mosdva złamali umowę o separacji - oznajmił Baulona-PWM. - Uszkodziliście Lalarin-MG. Zabiliście członków naszych kast wasalnych. Użyjemy swojej broni przeciwko Todzolt-HI. Eksterminujemy was.

- Chwileczkę - sprzeciwiła się Ione. - Nie możecie eksterminować Quantook-LOU. Jest jedynym Mosdva, który chce z wami rozmawiać. Gdy go zabraknie, wybuchnie wojna. Zginą miliardy Tyrataków. Jeśli go eksterminujecie, wy będziecie winni ich śmierci.

- Nie zginą, jeśli opuścicie Mastrit-PJ. Nie dawajcie Mosdva nadświatelnego napędu. Tyratakowie w tym miejscu przetrwają. Śpiący Bóg przybędzie nam z pomocą.

- Mosdva otrzymają nasz napęd. Po to właśnie tu przybyliśmy. W Galaktyce musi istnieć równowaga. Tyratakowie z Tandzurika-RI już go mają.

- Tyratakowie mają napęd nadświatelny? - Zapytał Baulona-PWM.

- Tak, niektóre z waszych światów go mają i ta wiedza powoli się rozszerza. Poza Mastrit-PJ wasz gatunek staje się potężny. Ludzie i sprzymierzone z nami ksenobionty nie pozwolą na to. Między gatunkami musi istnieć równowaga i harmonia. Tylko wtedy możliwy będzie pokój.

Quantook-LOU zdołał zaczerpnąć oddechu, ale nadal nie próbował się podnieść.

- Ludzie są głupi - stwierdził. - Dlaczego daliście Tyratakom napęd? Nie wiecie, jacy oni są?

- Wiemy też, jacy wy jesteście. Dlatego właśnie przybyliśmy. Musicie zdecydować. Wynegocjujecie nowe porozumienie? Czy chcecie pokoju?

- A co zrobicie, jeśli go nie wynegocjujemy? - Zapytał Quantook-LOU.

- Wymusimy zachowanie równowagi - odparła Ione. - Nie będziemy tolerować wojny.

- Mosdva będą negocjować pokojowe rozwiązanie - zapewnił Quantook-LOU. - Jeśli Tyratakowie z Lalarin-MG nie zechcą ze mną rozmawiać, znajdę enklawę, która się zgodzi.

- Baulona-PWM, jak brzmi twoja odpowiedź? - Zapytała Ione.

- Będę negocjował - zapewnił Tyratak. - Ale Mosdva nadal atakują Lalarin-MG. Trzeba ich powstrzymać. Jeśli zginiemy, porozumienia nie będzie.

- Quantook-LOU, czy możesz nakłonić inne dominia do wycofania się?

- Nie. Muszę najpierw zdobyć napęd, a "Lady Makbet" musi odlecieć. Dopiero wtedy będą zmuszeni sprzymierzyć się ze mną.

- Nie damy ci napędu, dopóki nie dostaniemy od Tyrataków potrzebnych nam informacji. Baulona-PWM, ile czasu potrzebujesz, by je znaleźć?

- Nie jestem pewien, gdzie są przechowywane. Nasze stare centra pamięci już nie funkcjonują. Musielibyśmy je reaktywować.

- Rewelacja - zawołał Joshua. - Nawet totalna katastrofa nie skłoni tych baranów do pośpiechu. Beaulieu, co się dzieje z pociągami?

- Trzy nadal się zbliżają, kapitanie. A ocalali Mosdva w dalszym ciągu próbują przenikać do węzła po ciemnej stronie.

- Jezu, musimy wywalczyć dla Ione trochę czasu.

- Moglibyśmy wrócić do węzła i użyć naszej siły ognia do obrony Lalarin-MG przed żołnierzami Mosdva - zasugerował Liol.

- Nie.

Joshua bez namysłu odrzucił tę propozycję. Wiedział, że szybko zrobiłoby się bardzo nieprzyjemnie. "Lady Makbet" mogła być najpotężniejszym statkiem w całym układzie, ale nie była niezwyciężona. Musieli znaleźć jakiś sposób, który pozwoli im izolować Lalarin-MG do chwili, gdy

Tyratakowie znajdują almanach. Niewykluczone też, że Quantook-LOU rzeczywiście zdoła wynegocjować pokojowe porozumienie. To byłaby dodatkowa korzyść.

Pozwolił, by czynniki przepływały przez jego umysł. Nie opuszczała go typowa dla Calvertów pewność siebie, przekonanie, że musi tylko sprawdzić wszystkie dostępne opcje, by znaleźć rozwiązanie.

Nagle z jego ust wyrwał się złośliwy chichot.

- O cholera - mruknął Ashly, zamykając oczy w modlitwie.
- Syrinx - zawołał Joshua. - Potrzebuję tu "Oenone".

*

Jeden z sierżantów pochylił się nad Quantook-LOU. Dystrybutor zasobów przetoczył się częściowo na bok. Dlatego właśnie nie mógł wstać. Ciężar ciała przygniatał jedną z jego środkowych kończyn.

Ione popchnęła go tak mocno, jak tylko się odważyła. Zbyt silny nacisk mógłby połamać mu kości.

- Dziękuję - wyszeptał Quantook-LOU, uwalniając kończynę. - Byłabyś znakomitym Mosdva. Twoja strategia negocjacji nawet mnie zamieszała w głowie.

- To prawdziwy komplement. Moje podstawowe żądanie pozostaje jednak niezmiennione.
- Rozumiem. Wykonam swoje zadanie.
- Świetnie.
- W nadziei na nagrodę.
- Otrzymasz napęd. Ludzie dotrzymują słowa.
- W obecnej chwili to zapewnienie bardzo mnie uspokaja.

Drugi sierżant poszedł porozmawiać z Baulona-PWM. Obaj zatrzymali się pośrodku placu i kapał na nich brudny deszcz ściekający z podobizny. Krople padały teraz rzadziej, ale za to były większe. Podobizna nadal wirowała powoli.

- Mój statek informuje mnie, że do obszaru otaczającego cylinder wtargnęli żołnierze Mosdva - odezwała się Ione. - Czy wasze siły zdołają ich powstrzymać na czas wystarczająco długi, byście mogli odnaleźć potrzebne informacje?

- Skąd o tym wiesz? Nie wykryliśmy żadnej komunikacji między wami a statkiem.

- Używamy nieznaney wam metody. Czy możecie ich powstrzymać?

- Nie mamy już żadnych żołnierzy poza Lalarin-MG. Wszystko zostało zniszczone. Produkuje żywność wewnątrz rur. Nasze systemy komunikacji zawodzą, a broń termojądrowa nie jest już funkcjonalna. Czy wasz statek posiada broń, która mogłaby nam pomóc?

- Nie mamy takiej broni, ale pomoc z pewnością możemy. Chcę, żebyś mnie upoważnił do mediacji między tobą a Quantook-LOU.

- A po co?

- Jeśli dasz mi informację, która umożliwi porozumienie między Tyratakami a Mosdva, będę w stanie zaoferować wszystkim Tyratakom z Lalarin-MG transport na jeden z waszych nowych światów. To nie wydarzy się dzisiaj, ale po powrocie do domu będziemy mogli przysłać tu większe statki, które was przewiozą. Mogłyby tu przybyć za trzy, cztery tygodnie.

- Zginiemy przed upływem godziny. Mosdva rozbiją powłokę Lalarin-MG.

- Mój statek może zabrać Lalarin-MG z Todzolt-HI. Mosdva nie będą już w stanie go osiągnąć. To da wam czas na odnalezienie informacji i wynegocjowanie porozumienia z Quantook-LOU.

- Możecie przenieść Lalarin-MG?

- Tak.

- Po opuszczeniu cienia Todzolt-HI nie będziemy w stanie uwolnić się od nadmiaru słonecznego ciepła. Nasze promienniki pozwalają nam jedynie pozbyć się ciepła produkowanego wewnątrz.

- Wynegocjowanie porozumienia nie potrwa aż tak długo. Znajdziecie astronomiczne informacje i dostarczycie je mnie. Gdy już się upewnię, że są prawdziwe, przekażę napęd Quantook-LOU i odleczę. Nastąpi zawieszenie broni i porozumienie wejdzie w życie. Będziecie mogli przenieść się do innej enklawy i poczekać na nasze statki.

- Zgadzam się.

*

Wracając do spustoszonego węzła, Joshua zmieniał losowo przyśpieszenie "Lady Makbet", by utrudnić nieprzyjacielowi celowanie.

- Nikt do nas nie strzela - uspokoił go Liol. Zabrzmiało to niemal jak skarga. Intensywny ostrzał mógłby skłonić Joshuę do zmiany planów. Z drugiej strony, jakaś część jego jaźni cieszyła się jak dziecko na tę myśl. Podejrzewał, że to samo dotyczy jego młodszego brata. Reszta załogi przyjęła pomysł z tolerancyjnym rozbawieniem, a Ione skutecznie robiła wodę z mózgu ksenobiontom.

Musiał przyznać, że wszystko idzie zgodnie z planem.

- Bo lecimy w ich stronę - wyjaśniła Monica. - Nie podobało im się, że próbowaliśmy odlecieć.

- Ciekawe, co powiedzą na to - odparł Joshua.

"Lady Makbet" przemknęła nad granicą węzła. Niemal cała folia po słonecznej stronie uległa zniszczeniu i czerwony blask słońca padał na płataninę ciemnych rur. W otaczającej węzeł przestrzeni unosiły się odłamki, kryształki i kawałki folii, lśniąco feerią szkarłatnych błysków. Snop plazmy utworzył w szczycie węzła potężny krater o średnicy trzystu metrów. Z jego ścian sterczały stopione końcówki pękniętych rur, nadal świecące koralowym blaskiem.

- Lecę do środka - oznajmił Joshua. - Beaulieu, rozpocznij ostrzał węzła.

- Tak jest, kapitanie.

Kosmoniczka przestawiła działa maserowe na szerokie wiązki, skupiając mikrofałe na wnętrzu krateru. Poziom energii był za niski, by mógł spowodować dalsze zniszczenia struktury, ale wystarczający, żeby zabić Mosdva, którzy wtargnęli do środka.

Joshua obrócił gwiazdolot i skierował go do wnętrza krateru. Włączył dziobowe lasery, by przeciąć rury i szczątki pokrywające dno. Fragmenty odpłynęły w przestrzeń, delikatnie popychane strumieniami gazu wypływającymi ze stopionych końców. Chemiczne silniki korekcyjne usytuowane wokół równika gwiazdolotu włączyły się, popychając "Lady Makbet" w głąb węzła.

*

"Oenone" wyłonił się z terminala tunelu czasoprzestrzennego trzydzieści kilometrów nad ciemną stroną węzła. Wszyscy przebywający w toroidzie załogi edeniści podłączyli się do pęcherzy sensorowych jastrzębia, podziwiając monumentalne miasto-dysk. Syrnix i Ruben wymienili uśmiechy. Ich umysły wspólnie radowały się wspaniałą panoramą. Gdy zauważano z zachwytem nowe elementy miasta ksenobiontów, mentalną wspólnotę wypełniającą mostek przebiegały fale radości. Dane z satelitów obserwacyjnych nie mogły się równać z tym doświadczeniem.

Dla zmysłów jastrzębia wysokie wieże promienników gorzały jednostajnym, pomarańczowym blaskiem. Gwiazdolot wyczuwał potężne fale ciepła, które od nich buchały, rozpraszając się w przestrzeni. W paśmie widzialnym Todzolt-HI było niemal zupełnie czarne. Wyjątkiem była okolica zaatakowana przez poławiacza materii. Płachty folii oderwały się albo zamieniły w parę i między

gęsto skupionymi rurami na ciemną stronę przenikały snopy jaskrawoczerwonego światła.

- Gdyby tylko Wing-Cit Czong i terapeuci mogli mnie teraz zobaczyć - rozmarzyła się Syrinx.
- Nie muszą cię widzieć - odparł Ruben. - Wiedzą, że dobrze wykonali zadanie.
- Tak, ale to mnie zabolalo. Turystka, też coś!
- Cieszę się, że przybyliśmy - oznajmił "Oenone". - Wszystko jest tu świeże, a zarazem stare.

Wyczuwam wokół Todzolt-HI aurę niezawodności.

- Wiem, co masz na myśli - odpowiedziała zachwyconemu jastrzębiowi Syrinx. - Jeśli coś ma tak długą przeszłość, musi mieć przed sobą równie długą przyszłość.

- Miało ją przed naszym przybyciem - zauważył Ruben.

- Mylisz się. Mosdva nie mogą go porzucić. Innych miast-dysków również nie. Ashly ma rację. ZTT nie otworzy przed nimi tej opcji. Niewykluczone jednak, że będziemy świadkami zmian. Postęp zacznie się na nowo. Wolę uważać, że to właśnie zostawimy po sobie. Kto wie, co zdołają osiągnąć dzięki świeżym zasobom i nowym technologiom?

- Jeszcze za wcześnie na radość.

- Masz rację.

W jej myślach pojawiła się blada iskierka żalu.

- Wykrywam znaczną aktywność radaru po tej stronie miasta-dysku - poinformował ich Edwin. - Ale nasze środki zaradcze chyba są skuteczne.

- Dziękuję - odpowiedziała Syrinx. - Obawiam się, że w sprawie pasma wizualnego nic nie możemy zrobić. Naszą sylwetkę na tle mgławicy widać w całym Todzolt-HI. Serina, namierzyłaś już pociągi?

- Tak.

- Przetnij szyny.

Ze stanowisk bojowych ukrytych w wyłobieniu dolnej powierzchni kadłuba "Oenone" wysunęło się pięć laserów. Ich wiązki przecięły szyny wijące się między wielkimi promiennikami cieplnymi ciemnej strony. Serina zaczekała, aż pociągi się zatrzymają, a potem przecięła szyny również za nimi.

- Są unieruchomieni - zameldowała. - Nie mogą już zaatakować Lalarin-MG.

- Byliby głupi, gdyby próbowali - odparł Edwin. - Nasze elektroniczne instrumenty wykrywają mikrofałe emitowane przez "Lady Makbet". Są tak potężne, że przenikają przez węzeł.

- Polećmy mu na pomoc - rozkazała Syrinx.

Jastrząb pomknął w stronę miasta-dysku i zatrzymał się bezpośrednio nad węzłem. Pola dystorsyjne "Oenone" wniknęły w uszkodzone przewody i przypory, pozwalając edenistom zbadać ich anatomie. Fragmenty asteroidy, które przetrwały we wnętrzu jaskini, stanowiły plamy ciemności, ich pole grawitacyjne zniekształcało w niewielkim stopniu czasoprzestrzeń. Cylinder wirował powoli, jego cienka skorupa była dla zmysłów gwiazdolotu zaledwie bladym cieniem. Przewody elektryczne tworzyły siatkę niewyraźnych, fioletowych linii przenikającą całą budowlę. Najwięcej energii skupiało się wokół magnetycznych łożysk piasty. W półprzezroczystych zakrętach migotały zanieczyszczające obraz niestabilności. Zaledwie pięćdziesiąt metrów od dalszego końca cylindra czekała "Lady Makbet" - jasny, gęsty węzeł czasoprzestrzeni.

- Mam go, Joshua - oznajmiła Syrinx na ogólnie dostępnym paśmie. - Masa cylindra wynosi w przybliżeniu jeden i trzy dziesiąte miliona ton.

- Znakomicie. To nie przysporzy nam problemów. Silniki na antymaterię "Lady Makbet" mają ciąg 40 g, a nasza masa wynosi nieco ponad pięć tysięcy ton. To powinno nam dać prawie 1/5 g przyspieszenia.

- Dobra, bierzemy się za cięcie.

Ruben, Oxley i Serina wydali polecenia technobiotycznym procesorom kierującym stanowiskami bojowymi "Oenone". Z kadłuba jastrzębia wysunęło się osiemnaście laserów, które zaczęły ciąć ściany korytarzy u szczytu węzła.

*

Instrumenty obserwacyjne "Lady Makbet" mogły się teraz skoncentrować na samym Lalarin-MG. Lasery adamistycznego gwiazdolotu przecięły kłębowisko korytarzy i przypór, tworząc szerokie przejście, przez które Joshua mógł wlecieć do środka. Gorące fragmenty rur pomknęły w głąb komory, odbijając się od metalowych ścian cylindra i od czarnych brył skały. Po raz pierwszy od dziesięciu tysięcy do wnętrza napłynęło światło. Snopy czerwonego blasku gwiazdy harmonizowały ze skwierczącymi, szkarłatnymi wiązkami lasera.

- Jak wam idzie, Ione? - Zapytał Joshua.

- Jesteśmy gotowi. Obrotowe śluzę szczelnie zamknięto. Przekonałam nawet Baulona-PWM, żeby znalazł jakieś posłanie dla Mosdva.

- Dobra, zaraz zaczynamy. - Widział tuż przed sobą piastę cylindra z jej wielkim, okrągłym łożyskiem. Przeciął ostatnią rurę, odsłaniając komorę śluzę, a potem uruchomił jonowe silniki korekcyjne, by wyrównać rotację "Lady Makbet" z ruchem obrotowym cylindra. Przednia część kadłuba gwiazdolotu wsunęła się w łożysko, miażdżąc resztki ścian rury.

- Sarha?

- Nastawiłam generatory walencyjne na maksymalną moc.

- Wyłącz ograniczniki bezpieczeństwa i podkręć je jeszcze bardziej. Potrzebuję całej mocy, na jaką nas stać.

- Zrobione.

- Z naszej strony wszystko przecięte - poinformowała Syrinx. - Droga wolna.

- Dobra. Przygotujcie się wszyscy.

Joshua uruchomił silniki termojądrowe, ograniczając ich ciąg do 1 g. "Lady Makbet" ruszyła naprzód, miażdżąc resztki śluzę. Krawędź łożyska przecięła ochronną piankę, dotykając kadłuba gwiazdolotu.

- Mamy styk - oznajmił Liol.

Joshua zwiększył przyśpieszenie. Z krateru wytrysnęły trzy snopy białej plazmy, splatające się ze sobą. Korytarze i przypory dotknięte strumieniem jonów zawrzały nagle, buchając kłębami gazu.

- Struktura się trzyma - oznajmiła Sarha. Dźwięk silników przenikał do kapsuł dla załogi, wypełniając je stłumionym buczeniem. Nigdy jeszcze tego nie słyszała.

- Cylinder się rusza - zawołała Beaulieu. - Z przyśpieszeniem 4 g.

- Udało się - zawołał Joshua, włączając silniki na antymaterię.

Wodór i antywodór zderzyły się ze sobą w skomplikowanym polu magnetycznym silnika. Za gwiazdolotem pojawił się snop czystej energii, jakby w czasoprzestrzeni otworzyła się szczelina. Dwieście tysięcy ton ciągu zaczęło wypychać Lalarin-MG z jego szybko się rozpadającej poczwarki.

*

- Chyba coś mamy - odezwał się Etchells.

Kiera oderwała wzrok od kawałka pizzy, który właśnie pochłaniała. Na paru ekranach było widać wydłużone gwiazdy łapane na turkusowe łaśsa. Kolumny szkarłatnych cyfr przemykały przez nie zbyt szybko, by była w stanie je odczytać. Do tej pory piekielny jastrząb odkrył jedynie radarowe impulsy, zapewne pochodzące od stacji krążących wokół olbrzymiej gwiazdy. Nie powiedziały im

one nic, poza tym, że nie pochodzą z Konfederacji. Kiera i Etchells chcieli się przekonać, czy coś tu jest, zanim rozpoczną dokładniejsze poszukiwania.

- Co zauważyłeś? - Zapytała.

- Sama zobacz.

Piekielny jastrząb obrócił się. Z głównego okna zniknęły opalizujące chmury mgławicy, ustępując miejsca czerwonemu olbrzymowi.

Kiera schowała pizzę z powrotem do termopudełka i przymrużyła powieki, wpatrując się w blask. W samym środku obrazu pojawiła się oślepiająca iskierka, która z każdą chwilą stawała się coraz dłuższa.

- Co to jest?

- Napęd na antymaterię.

Uśmiechnęła się ponuro.

- To z pewnością gwiazdolit Sił Powietrznych Konfederacji.

- Jeśli tak, coś tu nie jest w porządku. Napęd na antymaterię powinien mu nadać przyspieszenie 35 g. Źródło tego rozbłysku porusza się bardzo powoli.

- Lepiej przyjrzyjmy się temu z bliska. Jak daleko jest rozbłysk?

- Około stu milionów kilometrów od nas.

- Cholernie jasny.

- Ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy z potęgi antymaterii, dopóki nie ujrzą jej działania na własne oczy. Zapytaj dawnych mieszkańców Trafalgara.

Kiera popatrzyła na rozbłysk ze zwiększonym szacunkiem, po czym wróciła do konsoli i zaczęła uzbrajać osy bojowe.

- Ruszajmy.

*

Gdy tylko Lalarin-MG znalazł się poza obszarem węzła, Joshua wyłączył wszystkie silniki gwiazdolotu. Komputer pokładowy musiał mu powiedzieć, w którym momencie się to stało. Strumień plazmy stopił strukturalne elementy Todzolt-HI, pozostawiając w miejscu węzła dziurę szeroką na ponad osiem kilometrów. Jej brzegi lśniły wiśniowym blaskiem, sterczały z nich wygięte nitki stopionego metalu. Tylko największa bryła asteroidalnej skały przetrwała, choć i ona zmniejszyła się do jednej czwartej poprzedniej wielkości. Skała pomknęła ku fotosferze, ciągnąc za sobą warkocz petrochemicznej mgły. Jej powierzchnia przerodziła się w jezioro wrzącej smoły.

Światło czerwonego olbrzyma przedostawało się na drugą stronę przez ogromną, okrągłą dziurę w mieście-dysku, oświetlając koniec cylindra oraz stożkowaty wycinek jego powłoki. Wyglądało to, jakby powoli ogarniał ją pożar. Joshua włączył jonowe silniki korekcyjne, wycofując "Lady Makbet" ze zmiążdżonego łożyska. Piasta wgniotła się pod potężnym naciskiem, ale żebra wzmacniające wytrzymały. Oddalali się od miasta-dysku z prędkością trzydziestu metrów na sekundę.

- Nadal do nas nie strzelają - zauważył Liol.

- I nic w tym dziwnego - ocenił Dahybi. - Po tym małym pokazie siły raczej nie zechcą już nas więcej prowokować.

- Tylko spójrz, jak wielkie szkody spowodowaliśmy - odezwał się Ashly. - Przykro mi, ale akurat z tego raczej nie jestem dumny.

- Ten sektor Todzolt-HI jest prawie całkowicie martwy - uspokoił go Liol. - Poza tym poławiacz materii i tak już zniszczył przewody, w których funkcjonował system podtrzymywania życia.

- Ashly ma rację - przyznał Joshua. - Tylko reagowaliśmy na wydarzenia. Nie panowaliśmy nad nimi prawie w ogóle.
 - Myślałem, że na tym właśnie polega życie - stwierdził Liol.
 - Mamy zaszczyt być świadkami wydarzeń. Tylko bogowie mogą nad nimi panować.
 - Wpakowałeś nas w niezły paradoks - zauważyła Sarha.
 - Jeśli mamy odnaleźć Boga, musimy zapanować nad wydarzeniami, a to by z kolei oznaczało, że sami jesteśmy bogami.
 - Moim zdaniem to kwestia skali - skwitował Joshua. - Bogowie panują nad wielkimi wydarzeniami.
 - To, co się tu stało, było całkiem spore.
 - Nie w porównaniu z przeznaczeniem całego gatunku.
 - Traktujesz sprawę bardzo poważnie - zauważył Liol.
 - Ktoś musi - odparł Joshua, nawet się nie uśmiechając.
 - Pomyśl o konsekwencjach.
 - Nie jestem totalnym dupkiem, Josh. Rozumiem, jak trudna będzie sytuacja, jeśli ktoś nie znajdzie rozwiązania.
 - Właściwie myślałem raczej o tym, co się stanie, jeśli nam się uda.
- Liol prychnął pełnym zaskoczenia śmiechem.
- A co w tym mogłoby być złego?
 - Wszystko się zmieni. Ludzie tego nie lubią. Trzeba będzie wiele poświęcić, nie tylko w sensie fizycznym czy finansowym. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że to nieuniknione?
 - Być może - przyznał z niechęcią Liol.
- Joshua zerknął na brata, uśmiechając się łobuzersko.
- Ale musisz przyznać, że to bardzo ekscytujące.

*

Jeden z sierżantów został z Baulona-PWM oraz Quantook-LOU, by służyć jako mediator podczas negocjowania nowego porozumienia. Ione pomyślała, że to prawdziwy triumf optymizmu. Obaj rozmówcy wyraźnie wierzyli, że napęd ZTT będzie oznaczał początek nowej ery dla miast-dysków krążących wokół Mastrit-PJ. Zakładali też najwyraźniej, że ocalałą populację Tyrataków ewakuuje się na światy skolonizowane przez statki-arki. Ich enklawy w miastach-dyskach nie miały rosnąć. Takie rozwiązanie czyniło jeszcze ważniejszym zapobiegnięcie walkom o nowe układy planetarne. Kryła się w tym intrygująca ironia. Teraz Ione musiała się martwić jedynie o szczerłość Quantook-LOU. Zasugerowała Baulona-PWM kilka zabezpieczeń, na przykład otwarcie kanałów łączności z pozostałymi enklawami Tyrataków. Żaden z nich nie miał pojęcia, ile ich jeszcze przetrwało w miastach-dyskach. Quantook-LOU przyznawał nawet, że nie wie, ile jest miast-dysków.

Drugi sierżant towarzyszył sześciu Tyratakom z kasty rozplodowej, którym Baulona-PWM zlecił reaktywację systemów elektronicznych. Grupa ruszyła ku masywnym wieżom otaczającym podstawę cylindra. Tam właśnie mieściły się urządzenia komunalne Lalarin-MG: oczyszczalnie wody, filtry powietrza, generatory termojądrowe (Ione pomyślała, że są przerażająco prymitywne) oraz promienniki ciepła. Na szczęście każdą czynność wykonywało kilka urządzeń równolegle, co zapewniało względną niezawodność. Jedna trzecia systemów nie działała, a nieczynne maszyny pokryła śniedź. Minęło bardzo wiele czasu, odkąd Lalarin-MG zamieszkiwała pełna populacja.

Udali się do wieży, która według Tyrataków służyła jako elektrownia i centrum łączności. Parter zajmowały trzy tokamaki, ale tylko jeden z nich działał. Na pierwsze piętro wiodła spiralna rampa. Nie było tu żadnych okien, a światła sufitowe nie działały. W paśmie podczerwieni Ione

ujrzała szeregi elektronicznych konsoli, bardzo podobnych do tych, które widziała w Tandzuriku-RI. Tyratakowie przynieśli ze sobą latarki. W ich świetle zobaczyła, w jakim naprawdę stanie są konsole. Rozety klawiatur oraz ekrany pokryła warstwa pieniących się w wilgotnej atmosferze alg. Trzeba było wywiercić otwory w płytach, by je zdjąć i zajrzeć do środka. Okazało się, że elektroniczne obwody zarosły gumowatym grzybem. Tyratakowie musieli poprowadzić przewody do generatora na dole, by móc uruchomić konsole.

Jedna z nich stanęła w płomieniach, gdy tylko ją włączyli. W paśmie ogólnie dostępnym rozległy się głośne przekleństwa Oski.

- Zapytaj ich, czy da się podłączyć nasze bloki procesorowe do ich sieci - zażądała Oski. - Jeśli uzyskam dostęp, może uda mi się wprowadzić kilka kwestorów. To powinno przyspieszyć sprawę. Skoro już o tym mowa, przekonajmy się też, czy zechcą skorzystać z naszych rad dotyczących procedur reaktywacji.

*

Terminal tunelu czasoprzestrzennego otworzył się sześćset kilometrów nad ciemną stroną Todzolt-HI, głęboko w jego cieniu. Wynurzył się z niego "Stryla". Etchells przybrał postać harpii o gorejących, czerwonych ślepiach. Rozejrzał się wokół z zaskoczeniem. Ogromny dysk zasłaniał większą część powierzchni słońca. Spoza krawędzi sączyła się fala karmazynowego blasku, jakby gigantyczna konstrukcja tonęła w bagnie fotonów.

Rozszerzył pole dystorsyjne, by ją zbadać, i zderzyło się ono z drugim polem.

- Co tu robisz? - Zapytał go "Oenone".

- To samo, co ty.

Odnalazł odległego o trzy tysiące kilometrów jastrzębia. Statek zajął pozycję obok wielkiego, pustego w środku cylindra, jakiegoś rodzaju habitatu. W pobliżu znajdował się też drugi gwiazdolot Konfederacji. Etchells skierował na nich swe optyczne zmysły i zobaczył blask słońca przenikający przez otwór w dysku za dwoma statkami.

Szybko przekształcił pole dystorsyjne, otwierając kolejny tunel. Tym razem wyłonił się sto kilometrów od jastrzębia. Na jego łuskowate pióra padł czerwony blask słońca. Etchells przyjrzał się z zainteresowaniem otworowi. Jego stopione brzegi jasno świeciły w paśmie podczerwieni. Otaczające go ogromne promienniki pracowały na pełnych obrotach, starając się pozbyć nadmiaru ciepła.

- Wygląda na to, że adamistyczny gwiazdolot użył napędu na antymaterię, żeby wydobyć cylinder z dysku - stwierdził Etchells. - Nic innego nie mogłoby spowodować tak wielkich uszkodzeń.

- A to znaczy, że uważają ten cylinder za ważny - zauważyła Kiera.

- Nie rozumiem tego. Jest zamieszkały i bardzo kruchy. Nie może być bronią. - Jego pole dystorsyjne zarejestrowało grupki małych pocisków z napędem chemicznym, które śmigły pośród rozgrzanych stożków pokrywających ciemną stronę. Lasery strącały je w locie. Namierzyło go z górą trzydzieści wiązek radarowych, pochodzących ze wszystkich części dysku. Nagle jeden z pocisków runął na powierzchnię i eksplodował. Z biegnącego między gigantycznymi promiennikami przewodu mieszkalnego buchnął strumień powietrza. - Trwa tam wojna. Wygląda na to, że duża.

- Okrążyli Mgławicę Oriona, a po przybyciu tutaj wydostali cylinder ze strefy działań wojennych - zauważyła Kiera.

- Masz rację, on jest ważny.

- A to znaczy, że musimy go uznać za zagrożenie. Zminimalizuj, proszę, swoją energistyczną moc.

Piekielny jastrząb wrócił do naturalnej postaci. Palce Kiery zatańczyły na klawiaturze konsoli bojowej. Instrumenty celownicze namierzyły cylinder.

- Natychmiast wycofaj swoją broń - rozległ się głos "Oenone".

Etchells pozwolił Kierze usłyszeć afiniczny głos, przesyłając go do jednej z kolumn AV na mostku.

- A dlaczego? - Zapytała. - Co tam jest?

- Kilka tysięcy bezbronnych Tyrataków. To byłoby masowe morderstwo.

- A co ci do tego? Po co tu przybyłeś?

- Żeby im pomóc.

- Bardzo szlachetnie z twojej strony. Nie wciskaj mi kitu.

- Nie strzelaj - powiedział "Oenone", zwracając się do Etchellsa. - Będziemy bronić cylindra.

- W tym cylindrze znajduje się coś, co pozwolił mi zniszczyć - odparł Etchells. - Jestem tego pewien.

- Nie jesteście barbarzyńcami. Fizyczna destrukcja niczego nie rozwiąże.

Kiera wystrzeliła w cylinder cztery osy bojowe.

"Oenone" i "Lady Makbet" zareagowały natychmiast. Piętnaście os bojowych pomknęło na spotkanie napastników, sypiąc podpociskami. Masery obronne "Lady Makbet" przeszły osy, nim te zdążyły wypuścić podpociski. W ciągu trzech sekund wybuchło dwieście pięćdziesiąt ładunków termojądrowych. Niektóre z nich dostarczały energii laserom promieniowania gamma, większość jednak stanowiły głowice bojowe.

Joshua pochłonął strumień danych przetrawionych przez program taktyczny, pośpiesznie próbując przeanalizować sytuację. Instrumenty optyczne były bezużyteczne, oślepił je błysk eksplozji. Niemniej jednak żaden z nieprzyjacielskich podpocisków nie był wycelowany w "Lady Makbet", co świadczyło, że zaprogramowano je dziwnie niedbale. Czujniki gwiazdolotu zajrzały w serce gorejącego piekła, odfiltrowywując atomowe i elektromagnetyczne zakłócenia. W powłokę cylindra uderzyły trzy małe kinetyczne pociski oraz kilka wiązek energii, ale struktura wytrzymała.

- Sarha, załatw skurwysyna - rozkazał Joshua.

W piekielnego jastrzębia wystrzeliło pięć maserów. Statek przetoczył się szybko, umykając z przyspieszeniem 7 g.

Joshua wystrzelił pięć dalszych os bojowych, nakazując im utworzyć obronne pole minowe. Napędy rozjarzyły się na krótką chwilę i podpociski wypadły w przestrzeń, otaczając Lalarin-MG szeroką chmurą ochronną. Jeśli piekielny jastrząb rzeczywiście zamierzał zaatakować cel położony poza polem grawitacyjnym, jego taktyka będzie polegała na tym, by przeskoczyć na jak najmniejszą odległość - najlepiej bliżej niż kilometr - i wystrzelić salwę os bojowych. Część podpocisków z pewnością dotrze do celu, chyba żeby osłaniał go potężny zestaw laserów strategiczno-obronnych. Pole minowe powinno na jakiś czas powstrzymać nieprzyjaciela.

Piekielny jastrząb przeskoczył.

- Syrinx, gdzie on się podział? - Zapytał Joshua.

- Zatrzymał się dwa tysiące kilometrów od nas.

"Oenone" przekazał datawizyjnie współrzędne do komputera pokładowego "Lady Makbet". Instrumenty adamistycznego gwiazdolotu namierzyły piekielnego jastrzębia.

- Mają bardzo dziwne wyobrażenie o taktyce - zauważył Joshua. - Oski, jak długo jeszcze?

- Co najmniej pół godziny, kapitanie. Zidentyfikowałam prawdopodobne miejsca przechowywania almanachu, ale żadne z nich nie jest aktywne.

- Joshua, nie jestem pewna, czy cylinder wytrzyma drugi podobny atak - odezwała się Ione. Sierżant mediujący między Baulona-PWM i Quantook-LOU padł na kolana, gdy pierwszy szrapnel przebił powłokę cylindra. Z wieży odległej od nich zaledwie o sto metrów buchnęła mała kula ognia. Cały plac zatrzęsł się gwałtownie, gdy wieża runęła, zasypując okolicę dymiącymi odłamkami metalu oraz płonącymi fragmentami roślin. Rozejrzawszy się wkoło, Ione zauważyła kilkanaście fioletowych smug przesywających powietrze. Fluorescencję cząsteczek wywołały wiązki laserów promieniowania gamma. Dwie z nich wypaliły dziury w podobiznie Śpiącego Boga. Ione upewniła się pośpiesznie, że osiowa suwnica nie ucierpiała.

Przez plac przejechała automatyczna ciężarówka, zmierzająca ku zniszczonej wieży. Powietrze wypadało przez otwór z głośnym świstem. Z tyłu pojazdu wyłoniły się hydrauliczne ramiona, trzymające grubą metalową płytę, którą następnie zamknęły otwór. Z dyszy trysnęła gęsta brązowa maź, która zakrzepła szybko, uszczelniając zamknięcie.

- Mosdva znowu zaatakowali - oznajmił Baulona-PWM.

Ione miała wrażenie, że Tyratak zaraz się rzuci na Quantook-LOU.

- Nie - odezwała się pośpiesznie. - To był ludzki statek z dominium, z którym nie jesteśmy sprzymierzeni. "Lady Makbet" go odpędziła.

- Ludzie mają dominia? - Zdziwił się Quantook-LOU. - Nie wspominaliście o tym.

- Nie spodziewaliśmy się, że tu trafią.

- Po co tu przybyli? Dlaczego nas zaatakowali?

- Nie zgadzają się na to, by dać Tyratakom i Mosdva napęd nadświatłny. Musimy zawrzeć umowę i odzyskać dane. Wtedy nie będą w stanie zapobiec wymianie.

- Moja rodzina pracuje bardzo ciężko - oznajmił Baulona-PWM. - Pozwalając ci mediować, dotrzyaliśmy umowy z wami.

- My również dotrzyjemy umowy i dopilnujemy, by nie spotkała was żadna szkoda. Musimy teraz zdecydować, jaki komunikat wyślemy do innych dominiów miasta-dysku. - Przełączyła się na pasmo ogólnie dostępne. - Potrzebujemy więcej czasu.

- Damy go wam - zapewniła Syrinx. - Joshua, pilnuj cylindra.

- Jasne.

Detektory pól dystorsyjnych "Lady Makbet" poinformowały kapitana statku, że jastrząb otworzył tunel czasoprzestrzenny.

"Oenone" wyłonił się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od "Stryli". Syrinx spodziewała się, że piekielny jastrząb natychmiast wystrzeli do nich z laserów. Nie zrobił tego i uznała to za dobry znak.

- Chcę porozmawiać - oznajmiła.

- A ja chcę przetrwać - odparł Etchells. - Oboje wiemy, że szukacie tu czegoś, co moglibyście wykorzystać przeciw nam. Nie pozwolę na to.

- Niczego nie użyjemy przeciwko wam. Staramy się rozwiązać kryzys z korzyścią dla wszystkich.

- Nie podzielam twojego optymizmu.

Piekielny jastrząb wystrzelił dwie osy bojowe.

"Oenone" natychmiast przeskoczył, wyłaniając się z terminala po przeciwnej stronie piekielnego jastrzębia, dwadzieścia kilometrów od niego. Wystrzelił z dziesięciu laserów, trafiając w polipowy kadłub przeciwnika.

Etchells przeskoczył, pojawiając się sto metrów nad jednym ze stożkowatych promienników ciepła miasta-dysku. "Oenone" wyłonił się tuż za nim. Piekielny jastrząb spodziewał się tego. Jego

działo maserowe wystrzeliło w edenistyczny gwiazdolit. "Oenone" schował się za srebrzystym stożkiem, a potem okrążył go i wystrzelił do Etchellsa.

Piekielny jastrząb umknął z przyśpieszeniem 8g, pędząc doliną między cylindrycznymi wieżami promienników. Wciśnięta w fotel amortyzacyjny Kiera pisnęła z zaskoczenia i bólu.

- Przekaż mi kontrolę nad ogniem - zażądał Etchells. - Nie potrafisz zaprogramować os bojowych do tego zadania. Ja potrafię.

- Wtedy nic bym już nie znaczyła - sprzeciwiła się. - Nie ma mowy. Zabierz nas stąd.

- Niech cię chuj strzeli.

Zaprzestał dodatkowych manipulacji polem dystorsyjnym, które łagodziły przyśpieszenie. Kiera jęknęła, gdy pełne 8 g wcisnęło ją w fotel. Sięgnęła po energistyczną moc, by wzmocnić swe ciało. W kadłub "Stryli" uderzyły wiązki laserów. Etchells okrążył przezroczystą, spiralną wieżyczkę, zwiększając przyśpieszenie do 12 g. Dla jego optycznych zmysłów odprowadzające ciepło mechanizmy zmieniły się w szarą plamę. Kierował się wyłącznie zmysłem pola dystorsyjnego. Leciał za szybko, dolina kończyła się ostrym zakretem, bliskim kąta prostego. Przemknął nad szczytami i odwrócił statek, zwalniając jak szalenic. Przez chwilę dwa gwiazdoloty patrzyły prosto na siebie. Włączyły się lasery i masery. Potem Etchells umknął w głęboką dolinę o ścianach z pionowych, zwierciadlanych promienników.

"Oenone" powtórzył jego manewr i znowu wystrzelił. Etchells przeskakiwał z boku na bok wąwozu, przyśpieszając i zwalniając nieprzewidywalnie. Jego masery odpowiedziały ogniem. Wiązki energii zostawiły głębokie ślady w ścianach promienników. Oba gwiazdoloty wirowały gwałtownie. Całą dolinę wypełniły karmazynowe wyziewy.

Etchells wypadł z gęstego smogu, zostawiając za sobą cyklony wirów. Okrążył skupisko czarnych, pięciokątnych kolumn, a potem grzybiasty budynek przemysłowej rafinerii.

Syrinx wcisnęła spazmatycznie palce w obicie fotela amortyzacyjnego. Nie miało to jednak nic wspólnego z przerażającym przyśpieszeniem na mostku. Obraz nierównej powierzchni miastodysku przemykającej tuż obok wnikał prosto w jej mózg. Zaciskała odruchowo powieki i w niczym jej to nie pomagało. Nie było ucieczki.

Zdecydowanie "Oenone" nie pozwalało na sprzeciw. Zwątpić w swą miłość w takiej chwili równałoby się zdradzie. Stłumiła strach, okazując jastrzębiowi zaufanie i dumę.

Siedzący po drugiej stronie mostka Oxley jęczał trwożnie bez chwili przerwy, nawet nie zaczerpując tchu.

- Jego determinacja słabnie - oznajmił "Oenone" z nutą triumfu. - Zwalnia. Za chwilę go dopadniemy.

Tak jest. Taktyczne programy nie zawierały nic, co mogłaby wykorzystać w podobnej sytuacji. Jeśli wzniosą się nad sztuczne doliny, piekielny jastrząb będzie w stanie wystrzelić osy bojowe prosto w nich, a oni nie będą mogli odpowiedzieć ogniem, gdyż jeden zbłąkany podpocisk wystarczy, by pozbawić życia tysiące Mosdva. Dlatego pościg musiał trwać, a na dłuższą metę było to dla nich korzystne, gdyż piekielny jastrząb nie mógł strzelać do Lalarin-MG. Jej nerwy płaciły jednak straszliwą cenę.

Wtem sto kilometrów nad nimi utworzył się kolejny terminal tunelu czasoprzestrzennego.

- Cześć, Etchells - powiedział Rocio.

- To ty? - W głosie Etchellsa pobrzmiwał szok. - Rozwał skurwieli, którzy mnie ścigają. Odkryli tu coś, co może nas zniszczyć.

"Mindori" wystrzelił z trzech laserów w przezroczysty stożek promiennika jakieś dwa kilometry przed Etchellsem. Mechanizm eksplodował, rozpadając się na małe kryształki wirujące w

chmurze skłębionego gazu. Etchells wrzasnął z wściekłości w paśmie afinicznym i zwiększył przyśpieszenie do 17 g, rozpaczliwie próbując uniknąć śmiertelnie groźnych kinetycznych szczątków. Polipa kadłuba dotknęły strugi napromieniowanego gazu. Zapłonęła energistyczna moc, odbijając kryształki nierówną tarczą białego ognia. Etchells obrócił się, umykając przed powiększającym się szybko nimbem barwy indygo.

"Oenone" zostało do kolizji kilka sekund. Jastrząb wzleciał błyskawicznie w górę, muskając granicę chmury kryształków. "Stryla" był tylko trzydzieści kilometrów przed nim. Radar celowniczy "Oenone" namierzył piekielnego jastrzębia. Nagle jednak elektroniczne czujniki ostrzegły Syrinx, że broń "Mindori" jest wymierzona w ich kadłub.

- Nie strzelaj - ostrzegł ją Rocio.

- Załatw ich - zażądał Etchells.

Syrinx wycelowała pięć laserów w "Mindori". Etchells również wymierzył w drugiego piekielnego jastrzębia trzy masery.

- Załatw ich natychmiast - powtórzył.

- Nie będę strzelał, jeśli nie zaatakujecie pierwsi - zapewnił Syrinx Rocio. Dwa z jego laserów były wymierzone w "Strylę". - Przynajmniej dowiedzcie się, po co tu przyleciałem.

- Słucham - zgodziła się Syrinx.

*

Jed i Beth wciskali się w szybę wielkiego okna na mostku, gapiąc się z podziwem na zbudowany przez ksenobionty artefakt rozpościerający się pod piekielnym jastrzębiem. Było bardzo ciemno i nie dostrzegali zbyt wielu szczegółów, ale krawędź znajdowała się wystarczająco blisko, by mogli wypatrzeć tajemnicze, geometryczne sylwetki na tle czerwonego blasku. Gerald Skibbow siedział na fotelu amortyzacyjnym za konsolą bojową. Loren Skibbow przyglądała się z uwagą taktycznym obrazom, obserwując dwa pozostałe jastrzębie, które oddalały się szybko od ciemnej strony.

- Zdrajca - warknął Etchells, wkładając w to słowo cały swój nerwowy gniew.

- A kogo właściwie zdradziłem? - Zapytał Rocio. - Na czym polega twoja krucjata, Etchells?

Dbasz wyłącznie o siebie, o nic więcej.

- Próbuję powstrzymać tych ludzi przed ciśnięciem nas z powrotem w zaświaty. Może to by ci się spodobało?

- Nie gadaj bzdur.

- To pomóż nam zniszczyć ten cylinder, niech cię chuj. Tam właśnie jest to, czego szukają.

- Nie ma w nim żadnej broni - oznajmiła Syrinx. - Już ci mówiliśmy.

- Może przyjrzę się temu później - zdecydował Rocio.

- Ty debilu! - Wściekał się Etchells. - Jeśli nie pomożesz mi zniszczyć tego jastrzębia, rozpiardolę cię na drobne kawałeczki.

- Dlatego właśnie tu przyleciałem.

- Co? O czym ty, kurwa, gadasz?

Irytacja i zdziwienie promieniujące od Etchellsa sprawiły Rodowi wielką przyjemność.

- Śmierć - zaczął. - Z wielką przyjemnością zadajesz ją innym, prawda? Nie dałeś Pran Soo najmniejszych szans.

- Nie pierdoł, że przyleciałeś tu z jej powodu.

- I z powodu Kiery. Mam na pokładzie kogoś, kto z chęcią by ją spotkał.

- Kiera jest na pokładzie? - Zapytała Syrinx.

- Tak - potwierdził Rocio.

- Posłuchaj, pojebie, jesteśmy po tej samej stronie - odezwał się Etchells. - Wiem, że piekielne jastrzębie znalazły nowe źródło płynu odżywczego. No i świetnie. Nie będziemy więcej musieli walczyć dla ludzi takich, jak Capone i Kiera. Tego właśnie pragnę.

- Byłeś największym klakierem Kiery. Nadal wykonujesz jej polecenia, mimo że nie ma już czym cię szantażować.

- Dbałem o swoje interesy, tak samo jak ty o swoje. Nasze metody się różniły, ale obaj chcieliśmy tego samego. Dlatego właśnie musisz mi pomóc. Razem pokonamy gwiazdoloty Konfederacji i zniszczymy cylinder.

- A co zrobimy potem?

- Co tylko zechcemy, oczywiście.

- Naprawdę wierzysz, że podzielimy się z tobą płynem odżywczym? Po tym, co zrobiłeś?

- Zaczynasz mnie wkurzać.

Jed i Beth ujrzeni za oknem monstrualnego ptaka, czarny cień rysujący się na ciemnoczerwonym tle. Szkarłatne ślepia lśniły złowrogo, spoglądając prosto na nich. Oboje odsunęli się od okna. Obok ptaka było widać drugi cień, wydłużony owal.

- Gerald - odezwał się nerwowo Jed. - Stary, tam ktoś jest.

- Aha - potwierdził Skibbow. - To "Oenone" i "Mindori". Czyż nie cudownie się składa? - Pociągnął nosem, ocierając wilgoć z przekrwionych, zapadniętych oczu. Jego głos znowu nabral wyższej tonacji. To mówiła Loren. - Ona tam jest. Tym razem dziwka nie ma dokąd uciec.

Jed i Beth wymienili zniechęcone spojrzenia. Gerald pochylił się nad konsolą, aktywując kolejne systemy.

- Co robisz? - Zapytał Rocio.

- Uruchamiam pozostałe generatory - odparł Skibbow. - Będziesz mógł przekazać ich moc laserom. Zabijesz go jednym strzałem.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- DOBRY! - Wrzasnął Gerald. - Nie próbuj się teraz wycofać.

Zacisnął dłonie na krawędzi konsoli, mrugając ze zdziwioną miną powiekami.

- Gerald? - Błagała go Beth z drzeniem w głosie. - Gerald, proszę, nie rób nic pochopnego.

Na udręczonej twarzy Skibbowa pojawiły się na moment rysy jego żony.

- Gerald czuje się dobrze. Naprawdę. Nie bójcie się.

Beth wybuchła płaczem, czepiając się kurczowo Jeda. Objął ją, wpatrując się z przygnębieniem w pochylonego nad konsolą szaleńca. Było wystarczająco źle, gdy Skibbow był tylko zwyczajnym świrem. A nowa kombinacja była czymś z piekła rodem.

Loren postanowiła zignorować nastolatków.

- Rocio, poproś jastrzębia o pomoc - zażądała. - To leży w interesie edenistów. Nie chcemy teraz żadnych pomyłek.

- Proszę bardzo - zgodził się z lekką nutą niepokoju. - Mam propozycję - powiedział do Syrinx w trybie indywidualnej rozmowy.

- Słucham.

- Nie mam nic przeciwko tobie i nie obchodzi mnie wasza misja. Etchells i Kiera są dla mnie zagrożeniem w takim samym stopniu, jak dla was.

- To dlaczego nie pozwoliłeś nam do nich wystrzelić?

- Dlatego, że muszę wziąć Kierę żywcem. Mam na pokładzie ciała rodziców, które opętała. Niestety, to oni kierują moimi osami bojowymi. Moja moc energistyczna może rozbroić pociski, ale Skibbowowie wykryliby moje zamiary. Nie sposób przewidzieć, jak by zareagowali. Nie stanowią

stabilnego połączenia. Mogliby się zdecydować na atak samobójczy. Nie jestem pewien, czy w takim przypadku zdołałbym zablokować polecenie odpalenia głowic.

- Rozumiem. Co więc proponujesz?

- Moje lasery mogą z tej odległości zniszczyć jednym strzałem centralne skupisko narządów "Stryli". Etchells zostanie ciśnięty z powrotem w zaświaty, a Kierze nic się nie stanie. Potem Skibbowowie przejdą na drugi statek i rozprawią się z nią.

- A co my mamy zrobić?

- Nic. Nie wtrącajcie się, kiedy wystrzelę. Nie proszę o nic więcej.

- Ale Kiera kontroluje osy bojowe "Stryli".

- Drugi strzał lasera wyeliminuje je, zanim opuszczą stanowiska. Potrafię być szybki. Nie zdąży ich wystrzelić ani zdetonować.

- Na to przynajmniej liczysz.

- Masz jakiś lepszy pomysł?

- Rocio, widzę, że włączyłeś generatory stanowisk broni - odezwał się Etchells na ogólnie dostępnym paśmie afinicznym.

- Dowiedz się, że ustawiliśmy z Kierą osy bojowe tak, że każdy atak laserowy na mnie albo na moduł podtrzymywania życia doprowadzi do natychmiastowej eksplozji wszystkich głowic. Oboje znajdziecie się w zasięgu śmiertelnie niebezpiecznego promieniowania.

- Dobra - ustąpił Rocio. - Wszyscy okazaliśmy się sprytni i zablokowaliśmy się nawzajem. Nikt nie może wygrać, więc może po prostu się wycofajmy?

- Nie - sprzeciwiła się Syrinx. - Jeśli któryś z was spróbuje się oddalić albo otworzy tunel czasoprzestrzenny, będę strzelać. Nie pozwolę wam wrócić do cylindra.

- Co więc mamy zrobić, do cholery? - Zapytał Rocio.

- Prowadzimy negocjacje mające doprowadzić do ewakuacji cylindra - odparła Syrinx. - Gdy wszyscy Tyratakowie już go opuszczą, pozwolę wam oddalić się jednocześnie. Dopiero wtedy, nie przedtem. Nie zamordujecie niewinnych istot, by zaspokoić własną paranoję.

- Niech to chuj - wściekał się Etchells. - Rocio, przyłącz się do mnie. Rozpieprzymy tego jastrzębia i nie pozwolimy im zdobyć broni.

- Nie ma żadnej broni - zapewniła po raz kolejny Syrinx.

- Coś ci powiem, Etchells - odezwał się Rocio. - Jeśli będę musiał wybierać, wybiorę kapitan Syrinx.

- Popierdolony zdrajca! Lepiej się módl, żeby ich broń okazała się skuteczna, i to gorliwie się módl, bo inaczej będę cię ścigał aż po koniec wszechświata.

- Nie będziesz mnie musiał szukać.

Syrinx spojrzała na Rubena, wydymając usta.

- Może powinniśmy pozwolić, żeby rozstrzygnęli to między sobą.

- Niezły pomysł. Ciekawe, co o tym wszystkim sądzą dominia Mosdva.

- Dopóki do nas nie strzelają, nic mnie to nie obchodzi.

- Coś mamy - oznajmiła Oski. - To nie jest pełen almanach, ale znalazłam pliki z lokalizacją kolonii. Dołączono do nich odniesienia do map gwiazdnych.

- A możesz znaleźć te mapy? - Zapytała Syrinx.

- Wprowadzam kwestor - odpowiedziała Oski. - Bądźcie gotowi.

Syrinx i "Oenone" czekali cierpliwie. Po chwili informacja zaczęła sączyć się powoli przez łącze. Na pierwszych wyszukanych mapach przedstawiono nieznaną polę gwiazdne, ale jedną czwartą trzeciej zajmował fragment Mgławicy Oriona. "Oenone" porównał ten obraz z nawigacyjnym

wykresem mgławicy, który wykonał po drodze do Mastrit-PJ, instynktownie zestawiając współrzędne stosowane przez Tyrataków z własnym układem odniesień. Potem pojawiły się kolejne mapy gwiazdne, które pozwoliły jastrzębiowi udoskonalić system współrzędnych. Po ośmiu minutach "Oenone" potrafił już utworzyć w swym umyśle obraz przestrzeni w promieniu dwóch i pół tysiąca lat świetlnych od Mastrit-PJ, przypisując gwiazdozbiorom tyratackie oznaczenia.

Myśli przepłynęły przez mentalny konstrukt. Gdy przyswoiła sobie jego szczegółową konfigurację, wypełniła ją dumą.

- To było łatwe - oznajmił skromnie "Oenone".
- Świetnie sobie poradziłeś - odparła. - Muszę cię pochwalić.
- Dziękuję.

Syrinx spróbowała stłumić smutek.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że raczej tam nie polecimy?
- Tak. Musimy powstrzymać piekielne jastrzębie.
- Strasznie mi przykro. Wiem, jak bardzo tego pragnąłeś.
- Ty również. Ale nie możemy być samolubni. Chodzi o coś więcej niż nasze uczucia. Zresztą i tak dotarliśmy dalej niż ktokolwiek przed nami.

- Och, tak!
- Joshua sobie poradzi.
- Wiem. - Nagła wesołość podniosła ją na duchu. - Rok temu byłabym innego zdania.
- Nie tylko ty się zmieniłaś.
- Zawsze go lubiłaś, prawda?
- Był tym, kim bałaś się zostać. Twoja zazdrość zmieniła się w pogardę. Nigdy nie powinnaś się bać tego, kim jesteś, Syrinx. Zawsze będę cię kochać.
- I ja ciebie.

Westchnęła z zadowoleniem.

- Joshua, Swantik-LI natknęło się na Śpiącego Boga w pobliżu gwiazdy typu widmowego F, trzysta dwadzieścia lat świetlnych stąd. Przekazuję ci współrzędne.

Poleciała procesorom mostka przesłać datawizyjnie plik do komputera pokładowego "Lady Makbet".

- Hej, to była dobra robota, "Oenone".
- Dziękuję, Joshua.
- Dobra, to jak zamierzacie wyjść z tego pata? Jeśli wystrzelę stąd salwę os bojowych, będą musieli przeskoczyć. Możemy razem bronić cylindra. Jeśli nam się poszczęści, może zniszczą się nawzajem, zanim do niego wrócą.
- Nie, Joshua, poradzimy sobie sami. Ruszaj w drogę.
- Jezu, chyba żartujesz.
- Nie możemy marnować czasu. Cylindra pewnie trzeba będzie bronić przez kilka dni. A już z pewnością nie możemy ryzykować uszkodzenia albo zniszczenia obu statków w walce z piekielnymi jastrzębiami. Musisz odlecieć. Gdy tylko sytuacja tutaj się rozwiąże, podążymy za tobą.
- To bardzo zimne i logiczne.
- I bardzo racjonalne, Joshua. W końcu jestem edenistką.
- No dobra. Jesteś pewna?
- Któż byłby lepszy?

Wyciągnęła się wygodnie w fotelu amortyzacyjnym, obserwując otaczającą przestrzeń za pośrednictwem zmysłów "Oenone". Czekwała. Skok "Lady Makbet" był nagłym zniekształceniem

czasoprzestrzeni, trwającym zaledwie nanosekundę.

Spojrzała na członków załogi, sięgając ku nim, by wszyscy mogli dzielić swe żale i myśli. W ten sposób osiągnęli spokój, z którego słyneła ich kultura.

- Czy ktoś ma talię kart? - Zapytała po chwili.

Dwaj przyjaciele weszli razem na szczyt urwiska wyspy Ketton, by spędzić ze sobą kilka ostatnich minut. Mieli się rozstać na zawsze. Choma postanowił przyłączyć się do Dzwoneczek i wyruszyć w podróż przez wieczność, Sinon zaś był jednym z bardzo nielicznych sierżantów, którzy woleli wrócić do Mortonridge.

- Obiecałem żonie, że wrócę, że ponownie przyłączę się do wieloskładnikowej osobowości - wyjaśnił. - Dotrzymam danego słowa, gdyż oboje wierzyliśmy w edenizm. Tym uczynkiem wzmocnię naszą kulturę. Tylko w niewielkim stopniu, pierwszy to przyznam, ale moja wiara w nas i w drogę, jaką obraliśmy, stanie się potwierdzeniem wiary wieloskładnikowej osobowości oraz konsensusu. Musimy wierzyć w siebie. Gdybyśmy zwątpili, równałoby się to przyznaniu, że nigdy nie powinniśmy byli powstać.

- Ale nasza droga jest szczytem wszystkiego, co oznacza edenizm - zauważył Choma. - Transfer do wieloskładnikowej osobowości Dzwoneczek to przekroczenie ograniczeń stwarzanych przez ludzką kondycję, wejście na drogę zmian z pewnością siebie i zachwytem. To właśnie jest ewolucja, zdobywanie wciąż nowej wiedzy. Nie ma granic temu, czego możemy się dowiedzieć w tym królestwie.

- Ale będziecie sami, rozłączycie się z nami. Jaki pożytek z wiedzy, którą nie można się dzielić? Której nie można wykorzystać, by pomóc innym. Zjednoczona ludzkość musi stawić czoło zaświatom. Wszyscy, jak jeden mąż, musimy poznać i zaakceptować nasze rozwiązanie. Mortonridge nauczyło nas przynajmniej tego. Pod koniec miałem dla opętanych wyłącznie współczucie.

- Obaj mamy rację. Wszechświat jest wystarczająco wielki, by nam na to pozwolić.

- To prawda. Niemniej jednak żałuję, że podjąłeś taką decyzję. To niezwykła sytuacja. Chyba stałem się w tym ciebie kimś więcej, niż planowano. Kiedy przyłączałem się do kampanii wyzwolenia, byłem przekonany, że takie uczucia nie będą dla mnie możliwe.

- Z czasem musiały się pojawić - stwierdził Choma. - Nosimy w sobie ziarna człowieczeństwa bez względu na to, jaką powłokę zamieszkują nasze umysły. Prędzej czy później, emocje znajdą sposób, by się uzewnętrznić.

- To znaczy, że nie jestem już tym samym Sinonem, który wyłonił się z wieloskładnikowej osobowości.

- Nie jesteś. Każda rozumna, żyjąca istota musi się zmieniać.

- Z tego wynika, że mam teraz duszę. Nową duszę, inną niż dusza Sinona, którego pamiętam.

- Masz. Wszyscy je mamy.

- A z tego z kolei wynika, że będę musiał umrzeć, nim przetransferuję się z powrotem do wieloskładnikowej osobowości. Przynoszę habitatowi jedynie mądrość, jaką udało mi się zgromadzić. Moja dusza nie podąży za wspomnieniami. Tak mówią Kiintowie.

- Boisz się tej chwili?

- Nie sędzę. Nie wszystkich czekają zaświaty. Laton zapewniał, że jest z nich wyjście. To wystarczy, by dodać mi pewności siebie. Odczuwam jednak lekki niepokój.

- Jestem pewien, że sobie poradzisz. Nigdy nie zapominaj, że sukces jest możliwy. Ta myśl powinna być dla ciebie przewodnictwem.

- Będę o tym pamiętał.

Zatrzymali się na szczycie wzgórza i spojrzeli na wyspę. Po spękanej ziemi posuwały się długie szeregi ludzi. Ostatni uchodźcy z miasteczka kierowali się ku urwisku, przy którym czekała przysunięta do skały Dzwoneczek. Na nagą ziemię padał łagodny, tęczyowy blask olbrzymiego

kryształu. Powietrze wokół niego lśniło, otaczając go topazowym nimbem.

- Wygląda, jakby odchodzili ku zachodzącemu słońcu - zauważył Sinon.

- Jeśli czegoś żałuję, to tylko tego, że nie dowiem się, jak się skończyło ich życie. To będzie niezwykła grupa, te dusze, które zajmą ciała sierzantów. Pełnia człowieczeństwa zawsze pozostanie poza ich zasięgiem.

- Kiedy wrócili z zaświatów, twierdzili, że pragną jedynie zmysłowych wrażeń. Teraz je odzyskają.

- Ale są całkowicie bezpłciowi. Nigdy nie zaznają miłości.

- Fizycznej miłości, być może. Ale to z pewnością nie jedyna jej forma. Podobnie jak my dwaj, staną się kompletni na swój sposób.

- Już w tej chwili wyczuwam ich niepokój, a nawet jeszcze nie dotarli do Mortonridge.

- Przystosują się do tego, co ich czeka. Habitaty chętnie ich przyjmą.

- Nikt dotąd nie został edenistą wbrew własnej woli. Teraz będziecie mieli dwanaście tysięcy gniewnych, nieprzystosowanych intruzów, głośno wyrażających swe niezadowolenie w ogólnie dostępnym paśmie afinicznym. Co więcej, większość z nich wywodzi się z kultur, które utrudnią im akceptację nowej sytuacji.

- Dzięki dobroci i cierpliwości odnajdą się na nowo. Pomyśl, przez co musieli przejść.

- I tu właśnie się różnimy. Ja marzę o przyszłości, o podróżach, tobą zaś rządzi współczucie, pragniesz uzdrawiać dusze. Dlatego musimy się rozstać.

- Oczywiście. Życzę ci szczęścia w twojej wspaniałej wędrówce.

- I ja tobie. Mam nadzieję, że odnajdziesz spokój, którego pragniesz.

Odwrócili się i ruszyli powoli wzdłuż urwiska. Nad ich głowami krążyły maleńkie krystaliczne jestestwa, nigdy nie zatrzymując się w jednym miejscu dłużej niż na chwilę. Przeszukały całą wyspę, by się upewnić, że wszyscy opętani usłyszą, iż mają drogę wyjścia, a także dowiedzą się, co oznaczałoby pozostanie tutaj. To był koniec władzy Ekelund. Właśni żołnierze ją porzucili, opuszczając tłumnie Ketton. Jej groźby i furia przyśpieszyły tylko ich ucieczkę.

Przed krystaliczną powierzchnią Dzwoneczek ustawiło się pięć długich kolejek, wijących się przez resztki obozowiska. Dwie z nich składały się z sierzantów, trzy pozostałe z opętanych, którzy trzymali się w bezpiecznej odległości od tych pierwszych. Sprawiali wrażenie dziwnie przybitych. Niecierpliwość i ulgę wywołane końcem koszmaru tłumił lęk przed tym, co ich czeka.

Stephanie stała na samym końcu najdłuższej kolejki opętanych. Towarzyszyli jej Moyo, McPhee, Franklin i Cochrane. Tina i Rana przeszły na samym początku. Krystaliczne istoty ustabilizowały stan Tiny, najwyraźniej naprawiając uszkodzenia narządów wewnętrznych, podkreślały jednak, że powinni ją jak najszybciej zbadać ludzcy specjaliści. Stephanie postanowiła, że opuści wyspę jako jedna z ostatnich. Po raz kolejny kierowała nią odpowiedzialność. Chciała się upewnić, że nikomu nic się nie stanie.

- Nie jesteś za nich odpowiedzialna - próbował ją przekonać McPhee. - Wszyscy uciekli pod sztandary Ekelund. Trafili tu przez własną głupotę.

- Wiem o tym, ale to my próbowaliśmy powstrzymać Ekelund i nasze wysiłki zakończyły się kompletną klapą.

Wzruszyła ramionami, wiedząc, że jej słowa nie brzmią przekonująco.

- Zaczekam z tobą - zaproponował Moyo. - Razem przejdziemy na drugą stronę.

- Dziękuję.

McPhee, Franklin i Cochrane popatrzyli na siebie nawzajem z wyrazem mówiącym: "a co nam szkodzi". Wszyscy ustawili się w kolejce za Hoi Sonem. Były ekopartyzant miał na sobie swój

ciemny mundur polowy z filcowym kapeluszem założonym na bakier, jakby przed chwilą zakończył jakąś żmudną robotę. Obrzucił ich pełnym ironii spojrzeniem i uklonił się Stephanie.

- Gratuluję pani dochowania wierności zasadom.
- Nie sędzę, by miało to znaczenie, ale i tak panu dziękuję.

Usiadła na jednym z licznych głazów, by dać odpocząć zranionemu biodru.

- Z nas wszystkich to pani osiągnęła najwięcej.
- Pan powstrzymał sierzantów.
- Tylko na krótką chwilę i w dodatku zrobiłem to w służbie ideałowi.
- Sądziłam, że ceni pan ideały.

- Cenię. A przynajmniej cenilem. Na tym właśnie polega problem z naszą sytuacją. Dawne ideały nie mają już znaczenia. Próbowałem je zastosować, podobnie jak polityczne czynniki stojące za kampanią wyzwolenia. Obie strony myliły się gruntownie. Niech pani spojrzy, jak wiele zniszczeń wywołaliśmy. Całe mnóstwo wysiłku skierowanego wyłącznie na konflikt i zniszczenie. Kiedyś mawiałem, że stoję po stronie natury.

- Jestem pewna, że był pan przekonany, iż postępuje słusznie.

- W rzeczy samej, Stephanie Ash. Niestety, nie przemyślałem sprawy zbyt dokładnie i w rezultacie popełniłem straszliwy błąd.

- Hej, to już nie ma znaczenia, kolego - odezwał się Cochrane. - Nie ma się czym przejmować. Wszyscy wracamy do domu.

Podsunał Hoi Sonowi jointa.

- Nie, dziękuję. Nie chcę w żaden sposób zatruwać tego ciała. Jestem tylko jego powiernikiem i wkrótce mogę zostać pociągnięty do odpowiedzialności za wszelkie szkody, jakie spowodowałem. W końcu po przejściu przez bramę spotkamy się z nimi jak równi z równymi, czyż nie?

Cochrane obrzucił go kwaśnym spojrzeniem i cisnął jointa na ziemię, rozdeptując go butem.

- Masz rację, kolego - mruknął.
- A gdzie jest Ekelund? - Zapytała Stephanie.
- Na swoim stanowisku dowodzenia. Nie chciała wracać.
- Co? Jest szalona.

- Z pewnością tak. Niemniej szczerze wierzy, że po odejściu sierzantów to miejsce stanie się naprawdę wolne. Zamierza odnaleźć tu własny raj.

Stephanie obejrzała się na skrawek martwej ziemi, w jaki przerodziło się Ketton.

- Nie - sprzeciwił się stanowczo Moyo. - Podjęła decyzję. Zresztą kogo jak kogo, ale ciebie na pewno nie wysłucha.

- Pewnie masz rację.

Choć co parę sekund na drugą stronę przechodził kolejny opętany, repatriacja wszystkich trwała ponad siedem godzin. Procedura była prosta. W miejscu, gdzie Dzwoneczek dotykała powierzchni urwiska, pojawiło się kilka owalnych wylotów tuneli, prowadzących głęboko do jej wnętrza. Ich ściany lśniły delikatnym akwamarynowym blaskiem, który stopniowo stawał się coraz jaśniejszy, aż wreszcie wypełnił całą rozpadlinę. Opętani wchodzili w światło i znikali w nim.

Stephanie nie przeszła jednak ostatnia. Moyo i McPhee spokojnie i stanowczo zajęli miejsca za nią. Uśmiechnęła się dobrodusznie na znak kapitulacji i przekroczyła próg. Powietrze zgęstniało, spowalniając ruchy jej kończyn. Po chwili poczuła się, jakby szła przez kryształ. Otoczenie wywierało uporczywy nacisk na każdą część jej ciała. Potem owa moc odpłynęła, pozwalając jej znowu przyspieszyć. Akwamarynowy blask przygasł i zobaczyła, że jej ciało stało się przezroczyste.

Było skupiskiem światła krążącym w kryształach. Rozejrzała się i zobaczyła, że za nią stoi ciało, które opętała. Kobieta unosiła ręce nad głowę, a na jej twarzy malowało się obrzydzenie połączone z satysfakcją.

- Choma? - Zapytała Stephanie. - Choma, czy mnie słyszysz? Muszę coś zrobić.

- Cześć, Stephanie. Tak też myślałem, że to się może zdarzyć. Zajęcie ciała sierżanta było bardzo proste. Jedno z nich czekało na nią, zanurzone w kryształach i całkowicie bierne. Pochyliło wielką głowę. Bez względu na to, w którą stronę się zwróciła, zawsze zmierzała ku niemu. Gdy połączyli się w całość, ciało zgęstniało wokół niej. Powróciła nieprzejrzysta, akwamarynowa łuna. Wrażenie było osobliwe. Szkielet zewnętrzny nie miał nerwów czuciowych, a mimo to potrafił w jakiś sposób zarejestrować kontakt. Podeszwy jej stóp z całą pewnością dotykały jakiejś powierzchni, a gdy ruszyła naprzód, poczuła powiew powietrza. Blask zniknął i przed jej oczyma pojawił się niezwykle ostry obraz.

Wyszła z tunelu o owalnym przekroju, wracając na zdeptany, błotnisty grunt wyspy Ketton. Po ziemi spływały rzeki wielobarwnego światła, pochodzącego z wnętrza Dzwoneczek. Poza nimi nic się nie poruszało.

Droga do położonego pośrodku wyspy miasteczka była długa i męcząca. Nawet w silnym cieple sierżanta zajęła jej godzinę i kwadrans. Dzwoneczek opuściła Stephanie po pokonaniu jednej trzeciej odległości. Zatoczyła krąg nad jej głową, lśniąc tęczwowym blaskiem, i oddaliła się nieprawdopodobnie szybko. Stephanie przyśpieszyła kroku. Powietrze zaczęło się rozpraszać w pustkę, pojawił się lekki wietrzyk, dmący ku krawędzi. Rzecz jasna, ich życzenia zachowały jeszcze moc, gdyż były wpisane w samą strukturę tego królestwa, ale pod nieobecność podtrzymujących je aktywnie opętanych normalność powoli wracała.

Gdy Stephanie dotarła do granicy miasteczka, zrobiło się już znacznie jaśniej. Powietrze z każdą chwilą stawało się rzadsze i typowy dla tego królestwa niebieskobiały blask padał na wyspę z całą mocą. Każdy krok unosił ją parę metrów nad ziemię. Przyciąganie spadło o jakieś dwadzieścia procent.

Kwatera Ekelund znajdowała się w samym środku ruin. Wielki namiot rozbito na szczycie wzgórza. Bił z niego lekki blask. Gdy Stephanie zaczęła wbiegać na wzgórze, kobieta wyszła z namiotu i oparła się o tyczkę, uśmiechając się półgębkiem.

- Masz teraz inne ciało, ale wszędzie poznałabym twoje myśli. Myślałam, że już się ze sobą pożegnałyśmy, Stephanie Ash.

- Musisz stąd odejść. Proszę. Jeśli tu zostaniesz, zniszczysz ciało i duszę Angeline Gallagher.

- Nareszcie! To nie o moją pomyślność się martwisz. Drobne zwycięstwo, ale uważam je za istotne.

- Wróć do Mortonridge. Zostało tam jeszcze trochę ciał sierżantów i jedno z nich może przyjąć twoją duszę. Będiesz miała nowe życie, prawdziwe życie.

- Jako kto? Mała, banalna żona i matka? Nawet ty nie zdołasz wrócić do dawnego życia, Stephanie.

- Nigdy nie wierzyłam, że przyszłość dziecka jest z góry określona. Po narodzinach sami musimy zdecydować, co zrobimy z naszym życiem. A teraz narodziliśmy się na nowo w ciałach sierżantów. Wykorzystaj tę szansę, Ekelund. Nie zabijaj siebie i Gallagher z powodu fałszywej dumy. Rozejrzyj się wokół! Powietrze już prawie zniknęło, przyciąganie słabnie. Nic więcej tu nie ma.

- Ja tu jestem. Wyspa rozkwitnie, gdy tylko uwolni się od waszego wpływu. Przybyliśmy do tego królestwa, gdyż ofiarowało nam ono azyl, którego potrzebowaliśmy.

- Na Boga, przyznaj, że się myliłaś. Nie ma się czego wstydzić. Co mogę ci zrobić? Będę cię

nachodzić, żeby chełpić się triumfem?

- Dotarłaś do sedna sprawy. Która z nas ma rację? Na tym właśnie polegał spór między nami.

- Nie chodzi o rację. Ty zgromadziłaś armię. Ja miałam kochanka i grupkę pięciorga przyjaciół. To znaczy, że ty wygrałaś. A teraz wróć. Proszę.

- Nie.

- Dlaczego? Przynajmniej mi to powiedz.

Z twarzy Annette Ekelund zniknął na chwilę uparty uśmieszek.

- Po raz pierwszy mogłam być sobą. Nie musiałam nikogo słuchać, prosić o pozwolenie, spełniać społecznych oczekiwań. A teraz to utraciłam - jej głos przeszedł w ochrypy szept. - Zaprowadziłam ich tutaj i wszyscy mnie opuścili. Nie chcieli tu zostać, a ja nie miałam sił, by ich zmusić. - Z jej lewego oka spłynęła łza. - Myliłam się. Miałaś rację, niech cię diabli wezmą!

- Nikogo nie zaprowadziłaś. Nie zrobiliśmy tego na twój rozkaz. Trafiliśmy tu, ponieważ rozpaczliwie tego pragnęliśmy. Ja również miałam w tym swój udział, Annette. Kiedy leżeliśmy w błocie po ataku harpunów i sierżanci zaczęli nas zamykać w kapsułach zerowych, ja również wam pomogłam. Byłam tak przerażona, że włożyłam całą swą moc w ucieczkę z Mortonridge. I cieszyłam się, gdy się tu znaleźliśmy. Wszyscy jesteśmy winni. Wszyscy.

- To ja zorganizowałam obronę Mortonridge. Ja sprowokowałam kampanię wyzwolenia.

- Istotnie, ale gdyby nie ty, zrobiłby to ktoś inny. Mogłabym nim być nawet ja. Nie jesteśmy odpowiedzialni za to, że otworzyło się połączenie z zaświatami. Wszystko, co wydarzyło się potem, było nieuniknione. To było przeznaczenie, nie twoja wina. Tak już jest urządony wszechświat. Nie jesteś aż taka ważna.

Annette musiała mocno wciągnąć powietrze, by wypełnić płuca. Niebo zrobiło się bardzo jasne.

- Byłam.

- Ja również. Tamtego dnia, gdy wyprowadzaliśmy dzieci, osiągnęłam więcej niż Richard Saldana przez całe życie. Tak się przynajmniej czułam. Byłam zachwycona i pragnęłam, by to wrażenie trwało. Moja grupa szanowała mnie i podziwiała. Typowa ludzka słabość. Nie jesteś pod tym względem wyjątkiem.

- Cóż za samozadowolenie. Boże, jak ja cię nienawidzę.

Kawałki wyschniętego błota uniosły się ospale w górę, porwane przez resztki umykającego powietrza. Zawisły nad ziemią, oddalając się od niej powoli. Przyciąganie spadło niemal do zera. Stephanie utrzymywała kontakt z powierzchnią wyłącznie dzięki sile woli.

- Chodź ze mną - musiała krzyczeć, powietrze było już bardzo rzadkie. - Będiesz mogła nienawidzić mnie dalej.

- Czujesz się gotowa ze mną umrzeć? - Wrzasnęła Annette. - Jesteś aż tak kurewsko szlachetna?

- Nie.

Annette znowu coś krzyknęła. Stephanie już jej nie słyszała, powietrze rozproszyło się całkowicie.

- Choma, Dzwoneczek, przylećcie po nas. Szybko.

Annette złapała się za gardło, rozpaczliwie próbując pochwycić powietrze. Jej skóra przybrała ciemnoczerwony odcień. Gwałtowne ruchy spowodowały, że uniosła się w górę. Stephanie skoczyła za nią i zdołała złapać ją za kostkę. Obie stoczyły się ze szczytu wzgórza. We wszechobecnym białym świetle błoto lśniło srebrzystym blaskiem. Spękane ściany urwisk rozbłysły osłepiającym splendorem. Wyspa Ketton rozpuszczała się w świetlistej pustce.

Stephanie i Annette unosiły się w górę, tonąc w świetle.

- Czy naprawdę są tego warte? - Zapytał ktoś.

- A my jesteśmy?

Zamknęła się wokół nich zimna, akwamarynowa poświata.

*

Luca nie musiał wskazywać koniowi drogi. Zwierzę po prostu podążało trasą, którą pokonało już wiele razy, posuwając się naprzód bez chwili wahania. Wędrował szerokim kręgiem otaczającym centrum Cricklade: pokonał w bród strumień Wryde, okrążył od wschodu zagajnik Berrybut, przeszedł przez wzgórza Withcote, a potem przez wąski mosteczek pod gospodarstwem Saxbych, aż wreszcie wkroczył na ścieżkę biegnącą przez las Coston. Dzięki temu Luca mógł dokładnie sprawdzić stan posiadłości. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo jak w ubiegłym roku. Żniwa spóźniały się o parę tygodni, ale nie było w tym nic niepokojącego. Wszyscy wzięli się do roboty i starali się nadrobić opóźnienia spowodowane opętaniami.

- Niechby spróbowali tego nie zrobić. Tylko dzięki mojej krwawicy Cricklade znowu stanęło na nogi.

Mieli już wystarczająco wiele żywności i nadchodzące żniwa pozwolą im przetrzymać zimę bez zbytnich obciążeń. Hrabstwo Stoke przetrwało zaburzenia w zaskakująco dobrym stanie. Po bitwie na dworcu Colsterworth z pewnością żadne bandy nie ośmielały się już ich zaatakować. Mieli się z czego cieszyć, biorąc pod uwagę wieści i pogłoski napływające z Bostonu. Stolica wyspy nie wróciła do dawnych zwyczajów tak szybko i dawały się tam odczuć braki żywności. Ludzie opuszczali otaczające miasto gospodarstwa i wędrowali po okolicy w poszukiwaniu zapasów.

Ci idioci nie potrafili wykorzystać swej bazy przemysłowej, by produkować towary, które mogliby wymieniać na żywność z rolniczymi społecznościami. Miasto mogłoby im dać tak wiele, zaczynając od podstawowych artykułów, jak tkaniny i narzędzia. Musieli szybko się do tego zabrać, ale wieści, które usłyszał od Lionela i innych kupców, nie brzmiały zachęcająco. Kilka fabryk uruchomiono, jednak w mieście nie udało się przywrócić porządku.

- Jest jeszcze gorzej niż wtedy, gdy Demokratyczna Partia Ziemi wyprowadziła ludzi na ulice, by domagać się tych głupich reform.

Luca potrząsnął głową z irytacją. Myśli tamtego ostatnio coraz częściej wydostawały się na swobodę. Niektóre z nich były oczywiste - musiał zadbać o to, by Cricklade funkcjonowało jak należy - inne zaś bardziej subtelne. Porównania, żale, dziwne nawyki, które zniemacka wracały i tak się do nich przyzwyczajał, że nie potrafił się już od nich uwolnić. Najgorsza jednak była nieustanna tęsknota za Louise i Genevieve. Pragnął je znowu zobaczyć, a przynajmniej upewnić się, że nic im się nie stało.

- Czy jesteś aż takim nieludzkim potworem, że odmówisz ojcu tego prawa? Chcę zobaczyć moje ukochane córki.

- Nigdy ich nie kochałeś! - Wrzasnął Luca, odrzucając głowę do tyłu. Srokaty koń spłoszył się i zatrzymał nagle. Krzyk męzczyzny poniósł się echem nad zieloną krainą. Gniew był dla Luki ostatnią obroną, jedyną twierdzą, do której Grant nie był w stanie przeniknąć. - Traktowałeś je jak bydło. Nie były w twoich oczach ludzkimi istotami, a jedynie własnością, elementem średniowiecznego rodzinnego imperium. Można je było wydać za mąż w zamian za pieniądze i władzę. Nie zasługiwałeś na takie córki, ty skurwysynu. - Luca zadrżał i oklapł w siodle. - Czemu więc się o nie martwisz? - Usłyszał własny głos. - Moje dzieci są najważniejszą częścią mnie, moją przyszłością. A ty chciałeś je zgwałcić. Dwie małe dziewczynki. Miłość? Co ty możesz o niej wiedzieć? Jesteś tylko zdegenerowanym pasożytem.

- Zostaw mnie! - Wrzasnął Luca.

- Czy to nie ja powinienem cię o to prosić?

Luca zazgrzytał zębami, myśląc o gazie, którego użył Spanton, i o tym, jak Dexter próbował ich zmusić do oddania czci Nosicielowi Światła. Budował fortecę gniewu, by jego myśli mogły znowu należeć tylko do niego.

Pociągnął za wodze i zawrócił wierzchowca w stronę Cricklade. Ta inspekcja nie miała właściwie sensu. Świetnie wiedział, w jakim stanie jest posiadłość. Materialnie w dobrym. Natomiast mentalnie... Zastona spowijająca Norfolk straciła słodki smak. Rozumiał przyczyny smętnej złości, którą wyczuwał za umysłowym horyzontem. Cricklade poznało ją pierwsze. Na całym Norfolkku ludzie odkrywali prawdę o tym, co kryło się pod ich zewnętrzną doskonałością. Powolna epidemia próżności zaczęła pochłaniać pierwsze ofiary. Z ich życia zniknęła nadzieja. Zima przyniesie ze sobą nie tylko fizyczny chłód.

Luca wyjechał pomiędzy potężnych cedrów i skierował wierzchowca w stronę rezydencji. Widok jej ponadczasowej fasady z szarego kamienia oraz pomalowanych na biało okien przyniósł ukojenie jego znękanym myślom. Historia dworu należała do niego i to samo dotyczyło jego przyszłości.

- Dziewczynki przejmą dwór, zapewnią przyszłość naszej rodzinie i domowi.

Pochylił głowę, rozgoryczony słabością własnej woli. Trudno było podtrzymywać gniew całymi godzinami, nie wspominając już o dniach. Natomiast znużenie i płacziwa trwoga nie były najlepszą obroną, a ostatnio te właśnie uczucia towarzyszyły mu bezustannie.

Wokół budynku jak zwykle krzątało się wielu ludzi. Z centralnego komina wysuwała się kominiarska szczotka, sypiąca obłoczkami sadzy. Chłopcy stajenni prowadzili konie na wschodnie pastwisko. Kobiety rozwieszały pranie na sznurkach. Ned Coldham - Luca nie pamiętał, jak się nazywał ten, kto opętał ich złotą rączkę - malował okna w zachodnim skrzydle, by ochronić drewniane ramy przed nadchodzącymi mrozami. Z otwartych okien kaplicy dobiegały odgłosy piłowania. Dwaj mężczyźni, którzy podawali się za mnichów, choć ani Luca, ani Grant nigdy nie słyszeli o zakonie, do którego ponoć należeli, powoli naprawiali zniszczenia spowodowane przez Dextera.

W otoczonym murami ogrodzie kuchennym pracowało więcej ludzi. Kucharka przyprowadziła swych pomocników, by zbierali szparagi przeznaczone do zamrożenia. To były już piąte zbiory zmodyfikowanych genetycznie warzyw w tym roku.

Johan siedział obok kamiennej bramy z kolanami nakrytymi kocem, grzejąc się w napływającym ze wszystkich stron blasku.

Veronique przysiadła na krześle obok niego, a mała Jeannette spała w osłoniętej parasolem kołysce.

Luca zsunął się z siodła i podszedł do swego dawnego plenipotenty.

- Jak się czujesz?

- Dziękuję panu, nie najgorzej.

Johan uśmiechnął się słabo i pokiwał głową.

- Wyglądasz znacznie lepiej - stwierdził Luca.

Johan zaczął znowu przybierać na wadze, ale ciągle miał bladą twarz i worki pod oczyma.

- Gdy tylko skończymy ze szkłem, zajmę się nasionami - zapewnił Johan. - Zawsze lubiłem mieć zimą trochę sałatki i ogóreczków do kanapek. Chętnie zasiałbym też awokado, choć owoce będą dopiero za rok.

- Znakomicie, chłopie. A jak się ma nasza malutka?

Luca zajął do kołyski. Zapomniał już, jak małe są noworodki.

- Cudownie. - Veronique westchnęła z zadowoleniem. - Szkoda tylko, że nocą nie śpi tak smacznie. Chce, żeby ją karmić co dwie godziny. Można według niej nastawiać zegarek. To bardzo męczące.

- Słodkie maleństwo - mruknął Johan. - Pewnikiem wyrośnie z niej prawdziwa ślicznotka.

Veronique rozpromieniła się z dumy.

- Jestem pewien - zgodził się Luca. Widok starego plenipotenty sprawiał mu ból. W zachwycie, z jakim spoglądał na dziecko, było zbyt wiele desperacji. Butterworth pragnął potwierdzenia, że w tym królestwie może trwać normalne życie. To podejście spotykało się ostatnio coraz częściej wśród mieszkańców Cricklade. Dzieciom, którymi się opiekowali, poświęcano znacznie więcej uwagi. Coraz trudniej przychodziło mu dotrzymanie postanowienia, że zostanie we dworze, zamiast wyruszyć na poszukiwania dziewczynek. Owa słabość pojawiła się po raz pierwszy dnia, gdy Johan zemdlął, a po bitwie na dworcu Colsterworth jej rozwój przyspieszył się gwałtownie. Każdy krok, który stawiał na zwirowanej ścieżce, zdawał się wbijać niewielkie guzki głębiej w podeszwy jego stóp, przypominając mu, jak bardzo kruche stało się jego życie.

Luca poprowadził konia na podwórko stajni. Czuł się winny, że opuszcza Johana. Carmitha krzątała się przy swym wozie, składając wyschnięte pranie i chowając je w wielkim drewnianym kufrze z mosiężnymi okuciami. Na bruku stało sześć jej starych szklanych słoików, wypełnionych suszonymi liśćmi i kwiatami. Zielonkawe szkło nadawało zawartości osobliwie szary kolor.

Kobieta przywitała go uprzejmym ukłonem. Luca obserwował ją, zdejmując siodło z ogiera. W jej ruchach wyczuwało się determinację, która zniechęcała do zawracania jej głowy. Luca uznał, że z pewnością w końcu podjęła jakąś decyzję. Po chwili wypełniła kufer i zatrzasnęła pokrywę.

- Pomogę ci - zaproponował.

- Dziękuję.

Wnieśli razem kufer na wóz. Luca zagwizdał cicho. Jeszcze nie widział tu takiego porządku. Nigdzie nie walały się ubrania ani ręczniki, wszystkie patelnie lśniły wypolerowane, Carmitha zasłała nawet łóżko. Butelki stały w szeregu na półce, zabezpieczone miedzianymi pierścieniami.

Carmitha wepchnęła kufer do wnęki pod łóżkiem.

- Wybierasz się gdzieś - zauważył Luca.

- Jestem gotowa do wyjazdu.

- Dokąd?

- Nie mam pojęcia. Może do Holbeach? Przekonam się, czy innym udało się dotrzeć do jaskiń.

Luca usiadł na łóżku. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Dlaczego? Wiesz, jak bardzo ważna jesteś dla nas. Boże, nie możesz nas opuścić. Carmitho, powiedz mi, czy ktoś cię obraził albo zrobił ci krzywdę? Usmażę jego jaja na patelni.

- Nikt mi jeszcze nic nie zrobił.

- W takim razie, dlaczego wyjeżdżasz?

- Chcę być gotowa na chwilę, gdy wszystko tu szlag trafi. A to z pewnością się wydarzy, jeśli nas opuścisz.

- O Jezu.

Schował głowę w dłoniach.

- Zrobisz to?

- Nie wiem. Rano dokonałem objazdu posiadłości, żeby się zdecydować.

- I?

- Chcę to zrobić. Naprawdę chcę. Nie wiem, czy wtedy Grant się wycofa, czy też będzie to akt ostatecznej kapitulacji. Jeszcze nie wyjechałem chyba tylko dlatego, że on również jest w tej sprawie rozdarty. Cricklade znaczy dla niego diabelnie dużo. Boi się myśli, że zostawi je bez nadzoru na całą zimę, ale córki są dla niego ważniejsze. Z tego pewnie wynika, że nie mam zbyt wielkiego wyboru.

- Przestań szukać współczucia. Zawsze masz wybór. Powinieneś zadać sobie pytanie, czy wystarczy ci sił, by podjąć decyzję i potem jej nie zmienić.

- Wątpię.

- Hmm. - Usiadła na staroświeckim krześle stojącym u podnóża łóżka, spoglądając na przygnębionego mężczyznę, który siedział obok. Doszła do wniosku, że granica między dwiema osobowościami zanikła już niemal całkowicie. Proces nie był tak szybki, jak w przypadku Veronique i Olive, ale równie niepowstrzymany. Jeszcze kilka tygodni, najwyżej dwa miesiące, i staną się jednym.

- A czy pomyślałeś, że ty również możesz pragnąć je odnaleźć? Że stąd właśnie bierze się twój problem?

- O co ci chodzi? - Zapytał, obrzucając ją ostrym spojrzeniem.

- O tę twoją przyzwoitość, która rozpuszcza się pod wpływem małego, wrednego umysłu Granta. Jeszcze jej nie utraciłeś. Nadal czujesz się winny z powodu tego, co próbowałeś zrobić Louise. Chciałbyś się upewnić, że nic jej się nie stało.

- Możliwe. Nie jestem pewien. Nie potrafię już jasno myśleć. Gdy tylko otwieram usta, muszę uważnie słuchać słów, by się upewnić, czy pochodzą ode mnie, czy od niego. Nadal jest między nami różnica, ale niewielka.

- Chyba zalecałabym fatalizm. Jeśli na Norfolk nie przybędzie ratunek, za kilkadziesiąt lat i tak umrzesz. Czemu nie miałbyś dać za wygraną i przeżyć tych lat w spokoju?

- Dlatego, że chcę, bym to ja je przeżył - wyszeptał gwałtownie. - Ja!

- Wielka chciwość w przypadku kogoś, kto żyje w skradzionym ciele.

- Zawsze nas nienawidziłaś, prawda?

- Nienawidzę tego, co zrobiłaś, nie tego, kim jesteś. Gdybym spotkała Lucę Comara, porozumielibyśmy się bez trudu, nie sądzisz?

- Aha.

- Nie możesz wygrać, Luca. Dopóki żyjesz, on zawsze będzie z tobą.

- Nie poddam się.

- Czy Luca Comar rzeczywiście zabiłby Spantona? Grant zrobiłby to bez wahania.

- Nic nie rozumiesz. Spanton był barbarzyńcą, zniszczyłby wszystko, co udało się nam tu osiągnąć. Wyczytałem to z jego serca. Takich ludzi nie da się przekonać. Nie sposób ich oświecić.

- A dlaczego chcesz cokolwiek osiągnąć? Mógłbyś żyć samotnie. My, Cyganie, to potrafimy. Nawet Grant mógłby cię tego nauczyć. Pokazałby ci, które rośliny można jeść bezpiecznie. Gdzie są zimowe kryjówki owiec i krów. Mógłbyś zostać myśliwym, niezależnym od nikogo.

- To za mało dla ludzi. Jesteśmy społecznym gatunkiem. Tworzymy plemiona albo klany, uprawiamy handel. To fundamenty cywilizacji.

- Ale ty nie żyjesz, Luca. Umarłeś kilkadziesiąt lat temu. Wróciłeś tylko na krótką chwilę, bez względu na to, jak to się skończy: czy umrzesz, czy uratuje nas Konfederacja. Dlaczego w tej sytuacji pragniesz budować cywilizację z jej wygodami, zamiast żyć szybko i nie troszczyć się o jutro?

- Dlatego, że nie jestem taki! Nie potrafiłbym tak postępować!

- Kto by nie potrafił? Kim jest ten, kto pragnie przyszłości?

- Nie wiem. - Rozplakał się. - Nie wiem, kim jestem.

*

W pokoju dowodzenia w Fort Forward przebywało ostatnio niewielu ludzi. Ich liczba była barometrem wskazującym aktualny stan kampanii wyzwolenia. Dawno już minęły dni początkowej ofensywy, wymagającej koordynacji na wielką skalę. Później największy ruch panował tu po katastrofalnym ataku na Ketton, kiedy musieli zmienić strategię, podzielić Mortonridge na sektory zawierające tylko niewielu opętanych. Okazało się to skuteczne. Ketton z pewnością już się nie powtórzyło. Rozbijali opętanych na coraz mniejsze grupki, uniemożliwiając im skuteczną obronę.

Ze swego gabinetu Ralph mógł śledzić przez okno sytuację taktyczną na wielkim ekranie zamontowanym na przeciwległej ścianie budynku. Po klęsce w Ketton całymi dniami przesiadywał za biurkiem, obserwując czerwone ikony linii frontu, które przybierały powoli kształt pokrywającej cały obszar Mortonridge kraty. Każdy kwadrat podzielono na kilkanaście mniejszych, które potem przerodziły się w pierścienie i przestały się kurczyć. Zaczęło się siedemset szesnaście oblężeń.

Tłumy opuściły pokój dowodzenia, by zająć się nadzorowaniem operacji przeprowadzanych w terenie. Dowództwo kampanii wyzwolenia zajmowało się teraz głównie logistyką, koordynacją szlaków zaopatrzenia oraz ewakuacją uratowanych ofiar. Za każdą z tych kwestii odpowiadał odrębny wydział.

- Nie jesteśmy już potrzebni - stwierdził Ralph, zwracając się do Janne Palmer. Obie z Acacią zostały w jego gabinecie po porannej naradzie. Często to robiły, by wypić razem kawę i zwrócić jego uwagę na sprawy, których nie chciały poruszać przy wszystkich członkach sztabu.

- Walki w zasadzie się skończyły - ciągnął. - Nie muszę się już obawiać, że ktoś mnie obciąży odpowiedzialnością za jakieś błędne decyzje. Teraz wszystko jest kwestią liczb. Ile czasu minie, nim opętany zabraknie żywności, i jak się to ma do naszych zasobów medycznych oraz środków transportu. Powinniśmy zostawić całą sprawę księgowym i wyjechać.

- Nigdy nie spotkałam dowódcy, który byłby tak rozgoryczony po zwycięstwie - zauważyła Janne. - Zwyciężyliśmy, Ralph. Pańska strategia okazała się tak wielkim sukcesem, że cała kampania wyzwolenia przebiega gładko. Nikt już do nas nie strzela.

- Gładko? - Zdziwił się, obrzucając Acacię pytającym spojrzeniem.

- Bez przeszkód posuwamy się naprzód, panie generale. Poszczególne osoby na linii frontu, rzecz jasna, znacznie ucierpiały.

- I po jego drugiej stronie również. Czy obserwowała pani stan opętanych, których ostatnio pojмалиśmy?

- Widziałam ich - przyznała Janne.

- Wie pani, opętani nigdy się nie poddają. Po prostu słabną tak bardzo, że sierżanci mogą ich pojmać bez trudu. Wczoraj zakończyliśmy dwadzieścia trzy oblężenia i odnaleźliśmy siedemdziesiąt trzy martwe ciała. Nie chcą dać za wygraną. A jeśli chodzi o pozostałych... Chryste, rak i niedożywienie to fatalna kombinacja. Przepuściliśmy wszystkich przez kapsuły zerowe, ale siedmiu i tak zmarło podczas lotu ewakuacyjnego do Fort Forward.

- Jestem przekonana, że mamy na orbicie wystarczająco wiele kolonialnych transportowców, żeby pomieścić wszystkie ofiary - stwierdziła Acacia.

- Możemy wszystkich zamknąć w kapsułach zerowych - zauważył Ralph. - Ale nie jestem pewien, jak sobie poradzimy z ich leczeniem. Mogą tam czekać wiele lat, zanim znajdzie się dla nich miejsce w szpitalu, mimo że edeniści i inni sojusznicy udzielili nam znacznej pomocy. Dobry Boże, czy potraficie sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało, jeśli kiedyś uda się nam ściągnąć z powrotem całą planetę?

- Mam wrażenie, że prezydent Zgromadzenia zwrócił się do ambasadora Kiintów o pomoc materialną - rzekła Acacia. - Roulor odpowiedział, że jego rząd rozpatrzy przychylnie wszelkie prośby o pomoc w przypadku kryzysów o fizycznym charakterze wykraczających poza nasze możliwości techniczne bądź ekonomiczne.

- A sytuacji medycznej na Ombey nie uważa za taki kryzys? - Zapytała Janne.

- Udzielenie medycznej pomocy byłym opętany z Mortonridge nie wykracza poza możliwości całej Konfederacji. Najwyraźniej tak właśnie wyglądają kryteria ustanowione przez Kiintów.

- To może być fizycznie możliwe, ale który rząd zgodzi się przyjąć pełen transportowiec byłych opętanych, nie wspominając już o rozdzieleniu ich między szpitale w miastach?

- Ludzka polityka - mruknął Ralph. - Cała Galaktyka nam jej zazdrości.

- Paranoja, nie polityka - skwitowała Janne.

- Wszystko, co przekłada się na głosy, jest polityką. - Komputer pokoju dowodzenia przekazał do neuronowego nanosystemu Ralpha strumień informacji. Generał wyjrzał przez okno i zobaczył, że jeden z czerwonych pierścieni na ekranie przybrał odcień lilaróż.

- Kolejne oblężenie się skończyło. Miasteczko o nazwie Weilow.

- Tak - zgodziła się Acacia. Zamknęła oczy, podsłuchując sierżantów otaczających skupisko pogrążonych w błocie budynków.

- Nasze bloki obserwacyjne zarejestrowały nagły spadek mocy pola energistycznego. Sierżanci wchodzą do miasteczka.

Ralph sprawdził procedury administracyjne jednostki sztucznej inteligencji. Przygotowywano już transport. Do obozu skierowano całą eskadrę stonych. Powiadomiono lekarzy z Fort Forward. Sztuczna inteligencja oceniła nawet liczbę kapsuł zerowych na transportowcach, jakich będą potrzebować, opierając się na ostatnich obserwacjach w podczerwieni prowadzonych przez satelity szpiegowskie.

- Jestem niemal skłonny żałować, że nie jest tak, jak na początku - wyznał Ralph. - Wiem, że opętani walczyli wtedy piekielnie zawzięcie, ale przynajmniej byli zdrowi. Byłem przygotowany na okropności wojny. Mogłem nawet sobie poradzić z myślą, że wysyłam żołnierzy do boju, wiedząc, że niektórzy zginą. Tego się jednak nie spodziewałem. To już nie jest ratunek, a czysto polityczna operacja.

- Wspominał pan o tym księżnej? - Zapytała Acacia.

- Tak. I nawet się ze mną zgodziła. Ale nie pozwoli mi przestać. Musimy się ich pozbyć, nic innego nie ma znaczenia. Koszty polityczne są ważniejsze od ludzkich.

*

Reporterów towarzyszących kampanii wyzwolenia zakwaterowano w dwupiętrowych budynkach z programowalnego silikonu w zachodniej części Fort Forward, nieopodal administracji oraz dowództwa. Nikt z nich nie oponował, gdyż było stąd blisko do kantyny dla oficerów i wieczorem mogli przynajmniej się napić. Jeśli jednak chodziło o to, by poznali życie w koszarach, ktoś stanowczo przesadził z realizmem. Parter każdego z budynków tworzyło jedno wielkie pomieszczenie, wykorzystywane jako miejsce zbiórek oraz sala rekreacyjna. Umeblowanie składało się z pięćdziesięciu plastikowych krzeseł, trzech stołów, wielkiego pieca indukcyjnego oraz wodotrysku z wodą pitną. Przynajmniej jednak był tu wysoko wydajny procesor sieciowy, pozwalający im utrzymywać kontakt ze studiami. Łóżka znajdowały się na górze, w sześciu salach ze wspólną łazienką na każdym piętrze. Reporterzy byli przyzwyczajeni do co najmniej czterogwiazdkowych hoteli i nie czuli się tu zbyt dobrze.

Deszcz zaczął padać o ósmej rano, gdy Tim Beard zszedł na dół, by zjeść śniadanie. Mieli tu do wyboru trzy możliwości: zestaw A, zestaw B i zestaw C. Zawsze starał się przyjść jak najszybciej i dopaść tacę z zestawem A, leżącą na stole przy wejściu. Był najbardziej sycący, co pozwalało mu nie jeść obiadu. Zestawy D, E i F stanowiły pogwałcenie wszelkich deklaracji praw człowieka.

Wsunął tacę w otwór w piecu i nastawił zegar na trzydzieści sekund. Przez wielkie, otwarte drzwi do środka wpadały krople deszczu. Tim jęknął z niesmakiem. Przez cały dzień będzie diabelnie wilgotno, a jeśli wybierze się do Mortonridge, wieczorem znowu będzie musiał używać grzybóbójczego żelu. Kolejny dzień walki z rozkładem materii i obserwacji rozkładu kampanii wyzwolenia. Rozległ się brzęczyk i taca wysunęła się z pieca. Opakowanie pękło i owsianka zmieszała się z pomidorami.

Przy jednym ze stolików były jeszcze dwa wolne miejsca. Usiadł obok Donrella z "Wiadomości Galaktycznych" i przywitał skinieniem głowy Hugh Roslera, Elizabeth Mitchell oraz pozostałych.

- Czy ktoś wie, dokąd pozwolą nam dziś polecieć? - Zapytał.

- Kilka stonych ma nas przetransportować do Monkscliff - odparł Hugh. - Chcą nam pokazać, jak medyczna ekipa świeżo przybyła z Jerusalem stosuje nową metodę uzupełniania stanu białka u ofiar niedożywienia. Specjalne suplementy osocza wtłaczają białka z powrotem do komórek. Sto procent pacjentów przeżywa. To będzie bardzo użyteczne, gdy oblężenia wreszcie się skończą.

- Spróbuję wrócić do Chainbridge - stwierdził Tim. - Armia założyła tam wielki szpital bojowy. Zdarzyły się w nim przypadki samobójstw wśród proszalnych. Nie potrafili się pogodzić z myślą, że ich uratowano.

- Proszę, dajcie mi zwycięstwo - mruknęła Elizabeth. - Cholernie typowe.

- Nie - sprzeciwił się Donrell, uśmiechając się z zadowoleniem do towarzyszy. - To wszystko nie dla was. Powinniście się wybrać do Urswick.

Tim nie znosił jego wszystkowiedzącego tonu, ale Donrell był jednym z najlepszych specjalistów od wyszukiwania informacji. Sprawdził tę nazwę w neuronowym nanosystemie i dowiedział się, że Urswick to miasteczko, które wyzwolono wczoraj po południu.

- A dlaczego? - Zapytał.

Donrell uśmiechnął się szeroko i bardzo powoli włożył sobie do ust trójkątną grzanekę.

- Zabrakło im żywności przed ponad tygodniem. To znaczy, że musieli jeść coś innego, by wytrzymać tak długo.

Oblizwał wargi.

- Jezu.

Tim skrzywił się i odsunął tacę ze śniadaniem. Niemniej jednak to faktycznie będzie rewelacyjny news.

- Kto ci o tym opowiedział? - Zapytała Elizabeth z niepokojącym zaciekawieniem w głosie.

Tim chciał już obrzucić ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem, gdy nagle zauważył, że Hugh patrzy na niego.

- Znajoma najemniczka - wyjaśnił Donrell. - Ma kolesia w oddziałach wsparcia pod Urswick. Na początku oblężenia naliczyli w podczerwieni stu pięciu opętanych. A sierżanci wyzwolili dziewięćdziesięciu trzech.

Hugh rozejrzał się po sali, marszcząc brwi, jakby ktoś zawołał go po imieniu.

- To mógł być jeden z tych twoich świrów, Tim - zasugerowała Elizabeth. - Tych, którzy nie potrafią znieść wspomnień.

Hugh Rosler wstał i ruszył ku otwartym drzwiom. Donrell roześmiał się ochryple.

- Hej, Hugh, może chcesz kawałek mojej kiełbasy? - Zawołał za nim. - Smakuje jakoś dziwnie.

Tim zerknął na niego z irytacją i popędził za Hugh.

- Chodzi o coś, co powiedziałem? - Ryknął Donrell. Wszyscy siedzący za stołem zachichotali.

Tim dogonił drugiego reportera tuż za drzwiami. Hugh szedł uparcie przed siebie, ignorując deszcz.

- O co chodzi? - Zapytał Tim. - Wiesz coś, prawda? Jeden z miejscowych kontaktów połączył się z tobą datawizyjnie?

- Niezupełnie - odparł tamten, uśmiechając się półgębkiem.

- Czy to coś ważnego? - Dopytywał Tim, idąc u jego boku. - Daj spokój, Hugh, ja się z tobą dzielę. Zawdzięczasz mi swoje najlepsze transmisje.

- Chyba właśnie odzyskałeś newsa.

Hugh zwolnił, odwrócił się nagle i potruchtał w stronę przerwy między koszarowymi budynkami.

- Jezu - mruknął Tim. Przemókł do nitki, ale w żadnym wypadku nie zamierzał dać za wygraną. Hugh mógł być prowincjonalnym kmiotkiem pracującym dla pozbawionej znaczenia agencji, ale zawsze był porządnym facetem.

Po drugiej stronie koszar biegła czteropasmowa autostrada. Na wprost przed nimi znajdowało się skrzyżowanie. Dwie pętle drogi o siatkowej nawierzchni prowadziły do jednego ze szpitali w Fort Forward. Hugh wybiegł na szosę, prosto pod dziesięcotonową automatyczną ciężarówkę.

- Hugh! - Krzyknął Tim.

Hugh Rosler nawet nie spojrział na pojazd. Uniósł rękę i pstryknął palcami.

Ciężarówka się zatrzymała.

Tim gapił się, nie wierząc własnym oczom. Wehikuł nie zahamował. Po prostu stanął jak wryty. Na samym środku drogi. W mgnieniu oka przeszedł od pięćdziesięciu kilometrów na godzinę do zera.

- Matko Boska - wychrypiał Tim. - Jesteś jednym z nich.

- Nie - zaprzeczył Hugh. - Jestem reporterem, tak samo jak ty. Tylko zajmuję się tym znacznie dłużej. Z czasem można się nauczyć paru przydatnych rzeczy.

- Ale...

Tim przystanął na skraju drogi. Cały ruch się zatrzymał. Czerwone światła alarmowe migotały przeraźliwie.

- Chodź - zachęcił go Hugh z radością w głosie. - Uwierz mi, nie chciałbyś, żeby to cię ominęło. Zaczynaj nagrywać.

Tim z opóźnieniem otworzył komórkę pamięci neuronowego nanosystemu i wyszedł na szosę.

- Hugh, jak to zrobiłeś?

- Transfer bezwładności przez hiperprzestrzeń. Nie przejmuj się tym.

- Dobra.

Tim zamarł nagle w bezruchu. W powietrzu za plecami jego towarzysza pojawił się szmaragdowy błysk. Wykrzyczał ostrzeżenie i uniósł rękę, wskazując na światło.

Hugh odwrócił się w tamtą stronę, uśmiechając się szeroko. Światło powiększało się szybko, przechodząc w kolumnę o szerokości pięciu metrów, a wysokości dwudziestu. Krople deszczu roziskrzyły się, otoczone nimbem zieleni.

- Co to jest? - Zapytał Tim. Był zbyt zafascynowany, żeby się bać.

- Brama. Nie rozumiem dynamiki jej kompozycji. Już to jedno mówi bardzo wiele.

Tim odzyskał reporterską dyscyplinę i skupił swą uwagę na kolumnie zimnego światła. W jego głębi poruszały się cienie, które z każdą chwilą stawały się większe i wyraźniejsze. Nagle na błyszczącą nawierzchnię wyszedł sierżant. Tim poszerzył pasmo sensorycznego odbioru, przyglądając się temu z zachwytem.

- Uch - zawołał potężny sierżant przenikliwym głosem. - Cóż za okropne powitanie, moja droga. Po prostu leje jak z cebra.

Ralph dotarł do jednej ze szmaragdowych bram dziewięćdziesiąt minut po ich otwarciu. Cały ten czas próbowali na łapu-capu zorientować się w sytuacji i ustalić odpowiednią reakcję. W pokoju dowodzenia znowu pojawił się pełen stan oficerów, którzy zbiegli się z całego budynku.

Łatwo było ustalić, że jaśniejące zielonym blaskiem kolumny są jakąś formą tuneli czasoprzestrzennych, status osób, które przez nie wracały, nastroczał jednak więcej trudności.

- Ci sierżanci nie zawierają edenistycznych osobowości - oznajmiła Acacia. - Na ogólnie dostępnym paśmie afinicznym zapanował chaos. Wszyscy gadają jednocześnie, nie zważając na konwencje. Nie sposób nic zrozumieć.

- Ale kim właściwie są?

- Przypuszczam, że to byli opętujący.

Przez bramy zdążyła już przejść grupka sierżantów zawierających oryginalne edenistyczne osobowości, którzy pomogli wyjaśnić sytuację, zawiadamiając wszystkich edenistów na powierzchni Ombey i na jego orbicie, że są uciekinierami z wyspy Ketton. Mimo to Ralph uruchomił program obrony przed wtargnięciem nieprzyjaciela, stworzony w tygodniach poprzedzających początek kampanii na wypadek, gdyby niespodziewany atak pozwolił opętanym przedrzeć się do wnętrza Fort Forward. Zatrzymano cały ruch naziemny i powietrzny, a żołnierzom zabroniono wychodzić z budynków. Pełniący służbę komandosi pognali ku bramom. W pierwszej kolejności musiał się upewnić, że opętujący przebywający w ciałach sierżantów nie zachowali energistycznej mocy. Gdy tylko potwierdził ten fakt, obniżył stopień alarmu. Obaj z admirałem Farquarem zgodzili się, że lasery platform strategiczno-obronnych pozostaną wycelowane w bramy. Nieszkodliwe zachowanie przybyszy w każdej chwili mogło się zmienić.

Bez względu na całą swą niezwykłość, sytuacja stanowiła czysto logistyczny problem. Wychodzący chwiejnym krokiem z bram ludzie byli w równie kiepskim stanie, jak reszta byłych opętanych. Pilnie potrzebowali opieki medycznej i porządnego jedzenia. Z pewnością nieprzypadkowo wszystkie bramy otworzyły się w pobliżu szpitali. Niemniej liczba i szybkość napływu pacjentów stanowiły poważne obciążenie dla miejscowych zasobów medycznych.

Jeśli zaś chodzi o sierżantów, Ralph i jego sztab z pewnością się nie spodziewali spotkania z ponad dwunastoma tysiącami byłych opętujących, którzy nie stanowili już zagrożenia. Ralph początkowo zakwalifikował ich jako jeńców wojennych. Jednostka sztucznej inteligencji przydzieliła im trzy puste kwartały koszar. Z przebywających w obozie komandosów i najemników sformowano drużyny strażnicze, które miały ich pilnować.

Była to jednak tylko gra na zwłokę. Ralph nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Z pewnością mieli na sumieniu coś więcej niż tylko walka po stronie nieprzyjaciela. Trzeba będzie postawić im jakieś inne zarzuty, nieprawdaż? Na przykład porwanie i spowodowanie poważnych uszkodzeń ciała. Niemniej jednak oni również byli ofiarami sytuacji i każdy adwokat z pewnością użyje tego argumentu.

O to jednak nie będzie się musiał martwić. Nie zazdrościł księżnej Kirsten konieczności

podjęcia decyzji w tej sprawie.

Dean i Will zgłosili się do pokoju dowodzenia, by służyć jako eskorta wyruszającemu na inspekcję Ralphowi. Najbliższa brama znajdowała się w odległości niespełna kilometra od budynku dowództwa. Choć ruchami drużyn komandosów kierowała jednostka sztucznej inteligencji, w okolicy panował typowy w takich przypadkach chaos. Z całego obozu przybyły wielkie tłumy gapiów. Krążyli wśród nich reporterzy, poszukujący wszelkich informacji. Dean i Will musieli się przepychać przez ciżbę, by utorować drogę generałowi. Gdy jednak dotarli do bramy, okazało się, że przynajmniej tam udało się zaprowadzić pewien porządek. Kapitan komandosów, dowodzący akcją, nakazał otoczenie kordonem terenu w promieniu stu metrów od bramy. Wewnątrz tego kręgu żołnierze ustawili się w szeregi, tworząc dwa przejścia dla powracających. Jedno z nich wiodło do pobliskiego szpitala, drugie zaś na parking, gdzie czekały ciężarówki gotowe zawieźć sierżantów do obozu internowania. Gdy tylko w bramie pojawiła się kolejna postać, ekipa oceniająca decydowała, na którą ścieżkę ją skierować. Jej decyzję wspierały pręty obezwładniające, a wszystkie protesty po prostu ignorowano.

- Nawet garstka ocalałych oryginalnych sierżantów wędruje do obozu internowania - poinformowała Ralpha Acacia, gdy przepychali się przez tłum. - To ułatwia sprawę. Potem oddzielimy ich od byłych opętujących.

- Zawiadom ich, że im dziękuję. Musimy maksymalnie przyspieszyć sprawę.

Kapitan komandosów przepchnął się do grupki Ralpha i zasalutował. Z brzegu jego hełmu nieustannie skąpy wała woda.

- Jak idzie, kapitanie? - Zapytał Ralph.

- Świetnie, panie generale. Ustaliliśmy już prawidłowy tryb postępowania i od tej pory nie mamy trudności.

- Znakomicie. Dobra, niech pan wraca do roboty. Postaramy się wam nie przeszkadzać.

- Dziękuję, panie generale.

Ralph przez parę minut przyglądał się bez słowa ludziom i sierżantom wychodzącym z zielonego światła. Choć padał ciepły deszcz, poczuł, że pierś przeszywają mu zimne dreszcze.

To dziwne. Potrafię uznać tunel czasoprzestrzenny albo skok ZTT na odległość wielu lat świetlnych za coś normalnego, ale portal prowadzący do innego wszechświata wywołuje u mnie fobię. Czyżby wydawał mi się zbyt boski? Czy widzę w nim dowód istnienia królestwa istot nadprzyrodzonych? A może wręcz przeciwnie, potwierdzenie faktu, że nawet ludzką duszę i wszechpotężne istoty można wytłumaczyć racjonalnie? Mam przed oczyma koniec wszystkich religii, świadectwo tego, że nigdy nie odwiedził nas wysłannik żadnego stwórcy. Ów fakt zademonstrowano nam w sposób, jakiego nie możemy zignorować. Nasz gatunek utracił duchową niewinność.

Widział, że byli opętani wracający przez bramę są zaskoczeni. Na ich mokrych od deszczu twarzach malował się wyraz tępego zmieszania. Sierżanci sprawiali wrażenie nieco mniej oszołomionych, ale i tak po wyjściu z bramy żaden z nich nie panował do końca nad swymi ruchami.

Kilku członków ekipy naukowej krążyło wokół bramy, wymachując blokami czujnikowymi, ale większość naukowców przebywała na półwyspie, starając się rozgryźć tajemnicę mocy energistycznej. Diana Tiernan była jedną z niewielu osób zadowolonych z obłążeń. Utrzymywała, że stwarzają one fizykom szansę studiowania mocy poza laboratorium. Ralph zostawił ją w budynku dowództwa, gdzie rozpaczliwie starała się ściągnąć ludzi i sprzęt z powrotem do Fort Forward.

- Sinon! - Zawołała Acacia. - To oryginał.

Ralph wypatrzył sierżanta poruszającego się pewniej od pozostałych. Ekipa złożona z komandosów i medyków skierowała go do korytarza utworzonego przez noszących pancerze

żołnierzy.

- Jest pani tego pewna? - Zapytał Ralph.

- Tak.

Ralph podbiegł do stojących przy bramie żołnierzy.

- Dobra, tego weźmiemy.

- Tak jest - odparł kapitan komandosów, wyraźnie poirytowany tą ingerencją.

Zawstydzony generał oddalił się pośpiesznie, prowadząc za sobą Sinona. Zatrzymali się na przestrzeni między bramą a zewnętrznym kordonem komandosów. Sztabowcy Ralpa zebrali się wokół.

- Czy to krystaliczne jestestwo, które spotkaliście, powiedziało wam, jak możemy rozwiązać problem całościowo? - Zapytał Ralph.

- Przykro mi, generale, ale prezentowało to samo podejście, co Kiintowie. Sami musimy stworzyć własne rozwiązanie.

- Cholera! Ale zgodziło się pomóc w uwolnieniu ciał od opętujących dusz.

- Tak. Oznajmiło, że sądzi nas według naszej własnej etyki, a ona mówi, że tego rodzaju kradzież jest złym uczynkiem.

- Dobra, a jakiego rodzaju warunki spotkaliście w tamtym królestwie? Widzieliście inne planety?

- Warunki określaliśmy sami. Moc dysfunkcji rzeczywistości ma tam dominujące znaczenie. Niestety, nawet życzenia nie są wszechmocne. Byliśmy izolowani na wyspie, bez dopływu świeżego powietrza i bez żywności. Tego nic nie mogłoby zmienić. Jestestwo sugerowało, że planetom powinno się powodzić znacznie lepiej, ale nie widzieliśmy żadnych. Królestwo jest zbyt wielkie, by istniała szansa przypadkowego spotkania. Krystaliczna istota dała nam nawet do zrozumienia, że może ono być większe od naszego wszechświata, choć niekoniecznie w fizycznych wymiarach. Była badaczem, przeniosła się tam w poszukiwaniu wiedzy.

- A więc to nie jest raj?

- Z całą pewnością nie. Opętani byli w błędzie. To po prostu kryjówka. Nie znajdą tam nic, czego nie przynieśli ze sobą.

- To królestwo więc ma czysto naturalny charakter?

- Tak sądzę.

Komandosi szybko zapanowali nad chaosem i przejęli pełną kontrolę nad sytuacją. Nie utracili jej aż do chwili, gdy przez bramę przeszło czterech ostatnich sierżantów. Żołnierze chcieli ich natychmiast odprowadzić do czekających na parkingu ciężarówek, jak to zrobili z poprzednimi.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Moyo. - Czekamy na nią.

- Na kogo? - Zapytał kapitan komandosów.

- Na Stephanie. Na pewno w jakiś sposób wróciła na wyspę.

- Przykro mi, ale nie przewiduje się wyjątków.

- Hej, kolego - sprzeciwił się Cochrane. - Jest naszą prawowitą liderką i to jej ostatni dobry uczynek. Dlatego przestań zgrywać naczelnego dupka.

Kapitan chciał się sprzeciwić, jednak z jakiegoś powodu widok sierżanta noszącego wąskie okulary słoneczne o fioletowych szklach i plecak w tureckie wzory powstrzymał jego słowa.

- No wiesz, poszła stoczyć w pojedynkę bój z ostatnią i największą królową goblinów po to, by zbawić twoją duszę. Mógłbyś przynajmniej okazać wdzięczność.

- Zamyka się - zawołał McPhee.

Brama skurczyła się, przechodząc w szmaragdową plamkę wiszącą metr nad nawierzchnią.

Podeksycytowani fizycy zakrzyknęli głośno, przekazując datawizyjnie nowe instrukcje do potężnego zestawu czujników, jaki zdołali zgromadzić wokół rozdarcia.

- Stephanie! - Zawołał Moyo.

- Zaczekaj - uspokoił go Cochrane. - Nie zamknęła się do końca, widzisz?

Skrawek zieleni nadal lśnił jednostajnym blaskiem.

- Ona tam jeszcze jest - mówił zdesperowany Moyo. - Nadal ma szansę wrócić. Proszę! - Błagał kapitana. - Musi nam pan pozwolić na nią poczekać.

- Nie mogę.

- Chwileczkę - wtrącił Cochrane. - Znam kogoś, kto mógłby pomóc.

Od chwili przybycia do Ombey tło jego umysłu wypełniał tysiąc obcych głosów szepczących do siebie nawzajem.

- Sinon - wrzasnął do nich. - Hej, drągalu, jesteś gdzieś tutaj? To ja, twój stary kumpel Cochrane. Potrzebujemy pomocy kogoś wysoko postawionego. Stephanie znowu zrobiła coś kosmicznie głupiego.

Acacia bezzwłocznie przekazała problem Ralphowi. Generał mógłby stanowczo odmówić, ale edenistka wspomniała Annette Ekelund.

- Niech im pan pozwoli poczekać - przekazał datawizyjnie kapitanowi. - Wystawimy stałą wartę.

Godzinę i dwadzieścia minut później brama rozszerzyła się na krótką chwilę i wyszły z niej trzy humanoidalne sylwetki. Stephanie i Annette, w ciałach sierżantów, prowadziły między sobą drżącą Angelinę Gallagher. Przekazały kobietę nielicznej ekipie medyków, którzy natychmiast przetransportowali ją do szpitala.

Moyo radośnie uściskał Stephanie. Jego umysł promieniował niepokojem na ogólnie dostępnym paśmie afinicznym.

- Myślałem, że cię straciłem - płakał. - Po tym wszystkim nie mógłbym tego znieść.

- Przykro mi - powiedziała.

Uściski były niemal fizycznie niemożliwe. Ich twarde czaszki uderzały o siebie z trzaskiem, gdy próbowali się pocałować.

Reporterzy, którzy czekali do samego końca, ominęli komandosów, podchodząc do niezwyklej grupy.

- Hej, chłopaki, jestem Cochrane, jeden z superbohaterów, którzy wyprowadzili dzieci z płonącego budynku. Zapamiętajcie to sobie. Cochrane. C-O-C-H...

*

W obozie dla internowanych panowała cisza. Sierżanci jednak nie spali, nie potrzebowali tego robić. Leżeli na pryczach albo chodzili po sali na dole, udzielając wywiadów reporterom i oglądając wiadomości w przekazach AV (pokazywano głównie ich samych). Przede wszystkim jednak musieli się przyzwyczaić do tego, że mają teraz autentyczne ciała, które są w stu procentach ich własnością. Niepokój i zachwyt tą nagłą odmianą losu wprawiły ich w osłupienie.

Ralph odwiedził jeden z budynków, eskortowany przez czujnych Deana i Willa. Stojący na straży komandosi pozwalali wszystkim sierżantom poruszać się swobodnie po budynku, z tylko jednym wyjątkiem. Pod drzwiami pokoju, w którym zamknięto ów technobiotyczny konstrukt, pełniło straż pięciu żołnierzy. Dwaj stanęli na baczność na widok generała, ale trzej pozostali nadal skupiali całą uwagę na zadaniu.

- Otwórzcie drzwi - rozkazał Ralph.

Dean i Will weszli do środka razem z nim. Wyraz ich twarzy mówił wszystkim sierżantom, że

z przyjemnością się z nimi policzą. Tak też odczytała go jedyna lokatorka pokoju, siedząca spokojnie za stołem.

Ralph zajął miejsce naprzeciwko niej.

- Cześć, Annette.

- Ralph Hiltch. Witaj, generale. Jesteś już stałym, przygnębiającym elementem mojego życia.

- To prawda. Ale przynajmniej masz teraz życie. Jak się czujesz, naprawdę wróciwszy z martwych?

- Tego właśnie pragnęłam, więc nie mogę się uskarżać. Spodziewam się jednak, że z czasem stanę się niewdzięczna z uwagi na aseksualność tego ciała.

- Będiesz jeszcze bardziej niezadowolona, jeśli przegram i opętani przybędą zza horyzontu, by zrobić z twojej nowej powłoki mieszkanie dla potępionej duszy.

- Nie bądź taki skromny, Ralph. Nie przegrasz. Nie na Ombey. Jesteś zbyt dobry w tej robocie. I uwielbiasz ją. Ile obłężeń jeszcze zostało?

- Pięćset trzydzieści dwa.

- I liczba wciąż maleje, tak? To była dobra strategia, Ralph. Świetna odpowiedź na Ketton. Nadal jednak żałuję, że nie widziałam twojej twarzy w chwili, gdy porwaliśmy ci kawałek planety prosto sprzed nosa.

- I co wam z tego przyszło? Co zdołaliście osiągnąć?

- Ja zdobyłam ciało. Wróciłam do życia.

- Tylko dzięki przypadkowi. Sądząc z tego, co słyszałem, nie byłaś też zbyt pomocna.

- Tak, tak, cholerna święta Stephanie, bohaterka latającej wyspy. Czy papież udzieli jej audiencji? Chciałabym to zobaczyć. Technobiotyczne plugastwo o duszy, która uciekła z czyścica, pije herbatkę w Watykanie.

- Nie. Papież nikogo teraz nie przyjmuje. Ziemia przechodzi w ręce opętanych.

- Cholera! Mówisz poważnie?

- Tak. Ostatnie wiadomości mówiły, że zakazili cztery arkologie. Mogła już nawet upaść. Jak więc widzisz, zwyciężyłem, ale okazało się, że miałaś rację. To nie rozstrzygnie się tutaj.

Sierżant wyprostował się, ani na moment nie spuszczał z Ralpha spojrzenia zapadniętych oczu.

- Wyglądasz na zmęczonego, generale. Ta kampania zaszła ci za skórę, prawda?

- Oboje już wiemy, że nie ma żadnego rajsu, nie ma nieśmiertelności. Opętani nie mogą zrealizować swych pragnień. Co robią, Annette? Co się stanie, gdy Ziemia przybędzie do innego królestwa i fabryki żywności przestaną działać?

- Wszyscy umrą. Na zawsze. Ich cierpienia się skończą.

- Uważasz, że to dobre rozwiązanie? Po problemie i tyle?

- Nie. Miałam tę szansę, ale z niej nie skorzystałam.

- Zaświaty są lepsze od śmierci?

- Wróciłam, prawda? Chciałbyś, żebyś padła na kolana?

- Nie przyszedłem tu, żeby się chełpić, Annette.

- W takim razie po co przyszedłeś?

- Jestem głównodowodzącym sił kampanii wyzwolenia. To znaczy, że w tej chwili dysponuję wielką władzą i to nie tylko w dziedzinie militarnej. Powiedz mi, czy moje poczynania mają jakiś sens. Czy możemy wszystko rozstrzygnąć w Mortonridge, czy też nasze cierpienia pójdą na marne?

- Dowodzisz zmęczoną armią walczącą z umierającym nieprzyjacielem, Ralph. To nie jest dobre miejsce, by zaczynać rewolucję. Nadal próbujesz usprawiedliwić swoją chwalebłą wojnę,

zakończyć ją jakimś szlachetnym gestem. To niemożliwe. Jesteśmy jedynie imprezą towarzyszącą. Niewiarygodnie kosztownym, bajecznie dramatycznym spektaklem dla masowego widza. Odwróciliśmy jego uwagę, podczas gdy ci, którzy naprawdę mają władzę, decydowali o naszym losie. To politycy rozstrzygną, w jaki sposób ludzkość stawi czoło temu kryzysowi. My nie mamy takiej szansy. Wojna przynosi tylko jeden skutek. Wojna jest głupia, Ralph. Jest profanacją ludzkiego ducha, męczeństwem w imię marzeń kogoś innego. Wojna jest dla ludzi, którzy nie wierzą w siebie. Jest dla ciebie, Ralph.

*

Sala konferencyjna przeznaczona do spotkań w bezpiecznym środowisku sensorycznym zawsze wyglądała tak samo. Księżna Kirsten siedziała już u jednego końca owalnego stołu, gdy wokół Ralpha uformował się obraz czysto białych ścian, umieszczając go na drugim końcu. Nie było tu nikogo innego.

- Co za dzień - odezwała się Kirsten. - Nie tylko nasi ludzie wrócili bezpiecznie, ale liczba potępionych dusz prześladowujących żywych również się zmniejszyła.

- Chcę wreszcie z tym skończyć - oznajmił Ralph. - Zwyciężyliśmy. Kontynuowanie tej wojny nie ma sensu.

- Na mojej planecie nadal przebywa z górą ćwierć miliona opętanych. Moi poddani są ich ofiarami. Nie uważam, żeby to był koniec.

- Otoczyliśmy ich. Zneutralizowaliśmy groźbę. Rzecz jasna, musimy nadal ich izolować, ale proponuję, żebyśmy zakończyli aktywny konflikt.

- Ralph, to był twój pomysł. Oblężenia położyły kres strzelaniu.

- A zamiast niej mamy Urswick. Czy tego właśnie pragniesz, księżno? Żeby twoi poddani zjadali się nawzajem?

Obraz księżnej nie okazywał żadnej emocjonalnej reakcji.

- Im dłużej pozostają opętani, tym większe postępy czyni rak. Te ciała umrą, jeśli ich wkrótce nie uratujemy.

- Księżno, wydam rozkaz przekazania obleganym opętanym żywności oraz podstawowych produktów medycznych. W tej sprawie nie ustąpię. Jeśli nie chcesz, by to się stało, musisz mnie odwołać.

- Do diabła, Ralph, co to ma znaczyć? Wygrywamy. Dzisiaj zakończyły się czterdzieści trzy oblężenia. Jeszcze dziesięć dni, góra dwa tygodnie, i będzie po wszystkim.

- Już jest po wszystkim, księżno. Prześladowanie ocalałych opętanych jest... Odrażające. Wysłuchałaś mnie przedtem... Boże, tak właśnie to się zaczęło. Proszę, zechciej też wysłuchać tego, co mówię teraz.

- Nic nie mówisz, Ralph. To medialna wojna, jej znaczenie jest czysto propagandowe. Zawsze tak było. Mogłabym też dodać, że ty również się do tego przyczyniłeś. Musimy odnieść totalne zwycięstwo.

- Już je odnieśliśmy. To jest coś więcej. Dowiedzieliśmy się dzisiaj, że można otworzyć bramę do królestwa, do którego uciekają opętani. Nikt nie rozumie fizycznych zasad, ale wiemy już, że to możliwe. Prędzej czy później nauczymy się to robić. Opętani nie mogą już ukryć się przed nami. To jest nasze zwycięstwo. Możemy ich zmusić do uświadomienia sobie, kim są i jakie są ich ograniczenia. W ten sposób będziemy mogli znaleźć prawdziwe rozwiązanie.

- Spróbuj to uściślić.

- Mamy obecnie władzę życia i śmierci nad opętanymi, których oblegamy, zwłaszcza uwzględniając fakt, że Siły Powietrzne Konfederacji pracują nad antypamięcią. Jeśli oblężenia

zakończą się ich kapitulacją, utracimy tę taktyczną przewagę. Ekelund powiedziała, że kryzys nie rozstrzygnie się na Ombey. Do tej pory jej wierzyłem, ale dzisiejszy dzień wszystko zmienił. Mamy wyjątkową szansę zmuszenia opętanych do współpracy, skłonienia ich, by pomogli nam znaleźć rozwiązanie. To jest możliwe. Kiintowie rozwiązali ten problem, krystaliczne istoty również. Podejrzewamy, że nawet Laymilom się to udało, choć zbiorowe samobójstwo nie jest wyjściem możliwym do zaakceptowania dla ludzi. Dlatego dajmy opętanym żywność, pozwólmy im odzyskać siły, a potem zacznijmy negocjacje. Możemy wykorzystać weteranów z wyspy Ketton. Pomogą nam nawiązać dialog.

- Masz na myśli sierżantów, byłych opętujących?

- Któż mógłby być lepszy? Przekonali się na własnej skórze, że drugie królestwo bynajmniej nie jest rajem. Jeśli ktokolwiek może dotrzeć do opętanych, to tylko oni.

- Dobry Boże. Najpierw domagasz się, żeby królestwo zaakceptowało technobiotykę, a potem chcesz, żebym się sprzymierzyła z potępionymi duszami.

- Już wiemy, co nam dała wrogość wobec nich. Spustoszenie jednej piątej kontynentu, tysiące zabitych, setki tysięcy chorych na raka. Cierpienia na skalę przekraczającą wszystko od czasu zagłady Garissy. Księżno, sprawmy, żeby to wszystko coś znaczyło, żeby wynikło z tego jakieś dobro. Jeśli to w ogóle możliwe, jeśli istnieje choć najmniejsza szansa, nie możemy jej zaprzepaścić.

- Ralph, wpędzisz moich doradców do grobu.

- Będą mogli wrócić z zaświatów i mnie straszyć. Czy mogę wydać ten rozkaz?

- Gdyby któryś z tych opętanych uznał to za okazję do ucieczki, ma jeszcze tego samego dnia wylądować w kapsule zerowej.

- Rozumiem.

- W porządku, generale Hiltch, możesz wydać swój rozkaz.

*

Al przeniósł się do apartamentu położonego dwa piętra wyżej, gdzie wszystkie urządzenia funkcjonowały prawidłowo. Lekarze potrzebowali stałego dopływu prądu, bajernych połączeń telefonicznych, czystego powietrza i innego takiego syfu. Przerobili sypialnię apartamentu na pokój szpitalny. Sprzęt i pakiety medyczne pochodziły z montereyskiego szpitala, a to, czego nie mogli tam znaleźć, dostarczono z San Angeles. Były tam rzeczy, od których po skórze Ala przebiegały ciarki: kawałki innych ludzi, żywe narządy, mięśnie, żyły i skóra. Emmet przeczesał całą planetę w poszukiwaniu odpowiedniej pary oczu, aż wreszcie odnalazł je w kapsule zerowej na Sunset Island. Priorytetowy lot dostarczył je na Monterey.

Lekarze zapewniali, że wszystko idzie dobrze. Jez nic już nie groziło. Przetoczyli jej nową krew, zastąpili skórę i tkanki wypalone przez Kierę do kości, przeszczepili nowe oczy. Po ukończeniu wszystkich operacji pokryli ją w całości pakietami medycznymi. Całkowity powrót do zdrowia był jedynie kwestią czasu.

Nieszczerólnie lubili, gdy Al ją odwiedzał. Jez wydawała się zupełnie bezradna. Pokrywała ją zielona, plastyczna substancja, która burzyła się pod wpływem jego obecności, zakłócając działanie pakietów. Dlatego nie zbliżał się do niej, stał tylko w drzwiach i patrzył. Tak właśnie facet powinien traktować swą damę. Miał dzięki temu mnóstwo czasu na zastanowienie.

Do salonu apartamentu weszli Mickey, Emmet i Patricia. Al kazał jednemu z pracowników przynieść drinki. Potem usiedli za niskim stołem z mosiądzu i marmuru i Al polecił wszystkim świadkom opuścić pokój.

- Dobra, Emmet, ile czasu minie, zanim tu dotrą?

- Nie więcej niż dziesięć godzin, Al.

- Rozumiem. - Al zapalił cygaro i wydmuchnął długą chmurę dymu pod wysoki sufit. - Gadaj szczerze: czy możemy ich powstrzymać?

Emmet pociągnął łyk burbona i odstawił szklanekę z powrotem na stół, przyglądając się jej z uwagą.

- Nie, Al, przegramy. Nawet jeśli użyją tylko takiej siły, jak podczas ataku na Arnstadta, i tak przegramy. A z pewnością zabrali tyle os bojowych, że będą ich mogli wystrzelić dwa albo i trzy razy więcej. Wszystko na orbicie wokół Nowej Kalifornii zostanie zniszczone. Gwiazdoloty będą mogły przeskoczyć w inne miejsce, ale nie mają dokąd uciec, pomijając parę ostatnich zinfiltrowanych przez nas planet. Nie jestem zresztą pewien, czy nawet to będzie możliwe. Podejrzewam, że jastrzębie Sił Powietrznych ścigały wiele naszych okrętów i rozwalily je już po ucieczce z Arnstadta. Nie tak znowu dużo zdołało dotrzeć tutaj.

- Dziękuję, Emmet. Cieszę się, że byłeś ze mną szczerzy. Mickey, Patricia, jak nastroje wśród żołnierzy?

- Są niespokojni, Al - przyznała Patricia. - Bez dwóch zdań. Ta suka Kiera miała wystarczająco wiele czasu, by jej słowa zdołały do nich dotrzeć. Organizacja dała nam władzę, ale jednocześnie uczyniła z nas cel. Wiemy, że już nie mamy szans zdobyć nowej planety. Nowa Kalifornia jest wszystkim, co nam zostało. Bardzo wielu z nich chce uciec na powierzchnię.

- Jednak my ich powstrzymamy, Al - zapewnił Mickey. Jego nerwowy tik znowu dał o sobie znać z całą siłą. - Nikt z moich ludzi nie będzie mi mówił, co mam robić. Są lojalni. Wszystko zawdzięczamy tobie, Al, i nie opuścimy cię.

Ten ślepy entuzjazm przywołał na usta Ala blady uśmiezek.

- Nikomu nie każę popełnić dla mnie samobójstwa, Mickey. Zresztą i tak by tego nie zrobili. Nie zapominaj, że wszyscy przybyli z zaświatów i nie zechcą tam wrócić tylko dlatego, że grzecznie ich poproszę. Przez pewien czas było fajnie, ale dotarliśmy do końca drogi. Dorobiłem się u historyków zasyfionej opinii i nie chcę, by to się powtórzyło. Tym razem ludzie powiedzą, że zrobiłem to, co najlepsze dla wszystkich. Okażą mi szczerzy szacunek.

- Jak chcesz to osiągnąć? - Zapytała Patricia.

- Odejdę w dobrym stylu. To ja powstrzymam rzeź. Złożę Siłom Powietrznym propozycję nie do odrzucenia.

*

"Ilex" był jednym z jastrzębi, które zajęły pozycje obserwacyjne w odległości dwóch milionów kilometrów od Nowej Kalifornii. Piekielne jastrzębie zdezerterowały masowo, porzucając Organizację. Konsensus Yosemite szybko odkrył prawdę o Almadenie. Piekielne jastrzębie przewoziły ocalałych nieopętanych do habitatów w zamian za pomoc w odbudowie rafinerii płynu odżywczego. Konsensus nie ukończył jeszcze analizy implikacji tego faktu. Nie wydawało się prawdopodobne, by piekielne jastrzębie zdołały podtrzymać działanie maszynierii dłużej niż przez kilka lat. Niemniej fakt, że tak bardzo starały się uniknąć walki, był dobrą wiadomością. Motywy kierujące Alem Capone - który na to pozwolił, a nawet im pomógł - były jednak wysoce podejrzane.

Tak czy inaczej, stworzyło to Yosemite znakomitą szansę wznowienia obserwacji Nowej Kalifornii oraz floty Organizacji. "Ilexowi" przypadło w udziale zadanie śledzenia aktywności niskoorbitalnej sieci strategiczno-obronnej, przygotowującej się na przybycie grupy bojowej admirała Kolhammera. Wypuścili swe kule szpiegowskie i czekali, aż opadną poniżej orbity geostacjonarnej. Została jeszcze godzina, nim małe urządzenia zaczną przysyłać użyteczne dane, gdy nagle skierowała się na nich wiązka komunikacyjna z Monterey.

- Chcę pogadać z kapitanem - oznajmił Al Capone. Auster natychmiast zawiadomił habitaty

Yosemite. Ich konsensus się zebrał i ocenił sytuację za pośrednictwem jego oczu i uszu.

- Mówi kapitan Auster. Co mogę dla pana zrobić, panie Capone?

Al uśmiechnął się, spoglądając na kogoś, kto znajdował się poza ekranem.

- Hej, miałeś świętą rację. Są nadęci jak angole. Dobra, Auster, wszyscy wiemy, że Siły Powietrzne zjawią się tu lada moment, tak?

- Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć.

- Nie chrzań, już tu lecą.

- Czego pan chce, panie Capone?

- Pogadać z facetem, który nimi dowodzi. Z admirałem. I muszę to zrobić, zanim zaczną strzelać. Może pan to załatwić?

- A o czym chce pan z nim rozmawiać?

- Hej, to już nasza sprawa, kolego. Może pan to załatwić, czy będzie się pan biernie przyglądał, jak ginie cała kupa ludzi? Myślałem, że to sprzeczne z waszą religią albo coś w tym rodzaju.

- Zobaczę, co się da zrobić.

*

"Illustrious" wyłonił się w samym środku sferycznej formacji defensywnej jastrzębi, trzysta tysięcy kilometrów nad Nową Kalifornią. Admirał Kolhammer czekał niecierpliwie, aż pojawi się obraz taktyczny, przeklinając zwłokę konieczną, by uruchomić instrumenty obserwacyjne.

- Admirale, miejscowe jastrzębie odebrały sygnał z prośbą o nawiązanie kontaktu - zawołała komandor porucznik Kynea, oficer łącznikowy grupy jastrzębi. - Al Capone chce z panem rozmawiać.

Tego Motela Kolhammer raczej się nie spodziewał, zawsze jednak istniała taka możliwość. Al Capone nie musiał być geniuszem, by się domyślić, dokąd wyruszy grupa bojowa po ataku na Arnstadt.

Wreszcie pojawił się obraz taktyczny, wzbogacony danymi przesyłanymi przez jastrzębie z Yosemite. Bardzo go ucieszyła wiadomość o odlocie piekielnych jastrzębi, ale nawet bez nich Nowa Kalifornia dysponowała potężną siecią obronną. Jej siła zdeterminowała liczebność jego grupy. Do tej pory jednak żadna z platform nie wystrzeliła.

- Wysłucham go - zgodził się Kolhammer. - Ale chcę, żeby okręty zajęły stanowiska zgodnie z planem.

- Tak jest.

"Illustrious" skierował jedną ze swych anten na Monterey.

- Pan jest admirałem, tak? - Zapytał Capone, gdy już nawiązano połączenie.

- Admirał Kolhammer, Siły Powietrzne Konfederacji. Aktualnie dowodzę grupą bojową wylaniającą się nad Nową Kalifornią.

- Nieźle was wystraszyłem, co?

- Myli się pan.

- Nie sądzę. Mam rację, kolego. Przyleciało was tu kurewsko dużo, a to znaczy, że panicznie się boicie.

- Może pan interpretować nasze przybycie, jak pan zechce. Dla mnie to bez znaczenia. Chce się pan poddać?

- Bezpośredni z pana skurczybyk, co?

- Nazywano mnie już bardzo różnie. To jedno z łagodniejszych określeń.

- Na Arnstadcie zabił pan mnóstwo ludzi, admirale.

- Nie. To pan ich zabił. Postawił nas pan w sytuacji, w której nie mieliśmy innego wyjścia,

jak reagować w adekwatny sposób.

Al uśmiechnął się radośnie.

- Jak już mówiłem, wystraszyłem was. To musiała być diabelnie trudna decyzja dla waszego Zgromadzenia. Poświęciliście całą planetę tylko po to, żeby mnie załatwić. To się nie spodoba podatnikom. Powinniście ich bronić. Na tym polega wasz obowiązek.

- Świetnie wiem, na czym polega mój obowiązek wobec Konfederacji, panie Capone. Nie musi mnie pan tego uczyć.

- Jak pan sobie życzy. Chodzi o to, że mam dla pana propozycję.

- Słucham.

- Chce pan do nas wypalić z kurewsko potężnych dział, tak? Siedzimy tu jak w cholernym Alamo.

- Wkrótce pozna pan moje intencje.

- Mamy tu z górą milion ludzi. Więcej, jeśli liczyć nas, nieszczęsnych potępieńców, ale z pewnością milion osób z krwi i kości. W tym mnóstwo kobiet i dzieci. Potrafię to udowodnić. Moi technicy mogą wam wysłać listy, nagrania i tak dalej. Naprawdę chce pan zabić ich wszystkich?

- Nie chcę nikogo zabijać.

- Świetnie. Czyli możemy porozmawiać.

- Niech pan mówi szybko.

- Sprawa jest prosta. Nie wciskam panu kitu. I tak już zdecydowaliście, że jesteście gotowi poświęcić Nową Kalifornię, by tylko się mnie pozbyć. Muszę przyznać, że to dla mnie prawdziwy komplement. No wie pan - cholernie wysoka cena za głowę jednego faceta. Dlatego wyświadczę panu przysługę. Wyślę moich ludzi na powierzchnię. Wszystkich opętanych na Montereyu i na innych asteroidach, a także we flocie. Całą cholerną bandę, co do jednego. A gdy już będziemy na dole, zabierzemy planetę ze wszechświata. W ten sposób nic się nikomu nie stanie, a pan odzyska wszystkich zakładników, których tu mamy. Dorzucę jeszcze do tego antimaterię. Co pan na to, admirale?

- Wydaje mi się to całkowicie niewiarygodne.

- Hej, przygłupie, jeśli tak bardzo pragniesz krwawej jatki, mogę kazać natychmiast wyrzucić wszystkich zakładników, zanim zdążycie do nas wystrzelić.

- Nie, proszę tego nie robić. Przepraszam. Powinienem raczej pana zapytać, dlaczego składa nam pan tę propozycję?

Al nachylił się nad czujnikiem przekazującym jego obraz na pokład "Illustrious".

- Niech pan posłucha, ja po prostu staram się czynić to, co słuszne. Przylecieliście zabijać ludzi. Może was do tego popchnąłem, a może nie, ale skoro już do tego doszło, staram się powstrzymać rzeź. Nie jestem cholernym maniakiem. Dlatego proponuję panu wyjście, które pozwoli nam obu zachować twarz.

- Powiedzmy to sobie jasno: chce pan przetransportować wszystkich opętanych na planetę, rozbroić swoją flotę i oddać nam asteroidy?

- Hej, może i myśli pan powoli, ale nie jest pan głupi. O to właśnie mi chodziło. Jeśli pozwolicie nam zatrzymać ciała, odejdziemy i nie będziemy już was więcej niepokoić. To wszystko.

- Potrzeba będzie trochę czasu, by przenieść na planetę tak wielu ludzi.

- Mój człowiek, Emmet, mówi, że około tygodnia.

- Rozumiem. Jak może mi pan zagwarantować, że podczas gdy moje okręty będą sobie biernie czekały, nie przypuści pan drugiego ataku na Trafalgara pod osłoną odwrotu na planetę?

Al zrobił urażoną minę.

- Kurwa, to cios poniżej pasa. A co powstrzyma pana przed otwarciem ognia, gdy będziemy w połowie ewakuacji i zostanie mi mniej okrętów, żeby osłaniać moich ludzi?

- Innymi słowy, musimy sobie zaufać.

- Jasne jak cholerne słońce.

- Zgoda. Moje okręty nie zaatakują podczas ewakuacji. Jeszcze jedno, panie Capone.

- Słucham?

- Dziękuję panu.

- Nie ma sprawy. Tylko niech pan powie wszystkim w domu, że nie jestem krwiożerczym świrem. Mam styl.

- Oczywiście. W przeciwnym razie nie przyleciałbym tutaj.

Al oparł się wygodnie w fotelu i wyłączył supertelefon.

- Pewnie byś nie przyleciał - przyznał z zadowoleniem.

Jezzibella stanęła w drzwiach sypialni. Miała na sobie niebieski szlafrok, zarzucony luźno na zielone pakiety. Wyglądała w nim nieco bardziej jak ludzka kobieta, a mniej jak plastikowa wersja Blaszanego Drwala z Oz.

Al zerwał się gwałtownie z fotela.

- Hola, nie powinnaś wstawać z łóżka.

- Nie ma żadnej różnicy, czy leżę, czy stoję. Pakiety i tak wykonują swoją robotę.

Podeszła powoli do niego, ledwie zginając nogi w kolanach. Siadanie sprawiało jej trudność. Al stłumił pragnienie, by wstać i jej pomóc. Widział, jak wiele dla niej znaczy, że robi to sama. Najtwardsza dziewczyna w Galaktyce.

- Co robisz? - Zapytała. Jej stłumiony głos wydobywał się przez szparę w pakiecie zasłaniającym twarz.

- Powstrzymuję cały ten syf. Moi ludzie będą mogli zwać na planetę.

- Tak też myślałam. Postąpiłeś jak prawdziwy mąż stanu, kochanie.

- No wiesz, muszę dbać o reputację.

- Rozumiem. Ale co będzie, kiedy Konfederacja znajdzie sposób, by sprowadzić planety z powrotem? O to ci przecież chodziło, prawda? Mieliśmy z nimi walczyć na ich terenie.

Wyciągnął ręce nad białym i uściśnął jej dłonie. Z końców pakietów sterczały palce, pozwalając mu dotknąć jej skóry.

- Przegraliśmy, Jez. Byliśmy tak cholernie dobrzy, że w efekcie przegraliśmy. Kto by pomyślał? Za bardzo ich nastraszyliśmy. Musiałem wybierać. Flota nie pokona tego admirała. Nie ma szans. Dlatego najlepszym rozwiązaniem jest pozwolić planecie odejść. W ten sposób moi ludzie będą mogli przeżyć jeszcze kilka lat w obecnych ciałach. Co najmniej. A długowłosi z Konfederacji nie zaryzykują sprowadzenia ich z powrotem, dopóki nie wymyślą czegoś, co pozwoli dać im nowe ciała albo coś w tym rodzaju. W przeciwnym razie wszystko zaczęłoby się od nowa. Kto wie, może Nowa Kalifornia będzie mogła zniknąć też z następnego wszechświata? Może się wydarzyć wiele różnych rzeczy. W ten sposób nikt nie zginie i wszyscy wygramy.

- Jesteś najlepszy, kochanie. Wiedziałam to od samego początku. To kiedy polecimy na planetę?

Al uściśnął palce Jezzibelli nieco mocniej, patrząc na jej twarz. Ledwie widział nowe oczy pod zielonym pakietem. Wyglądało, jakby nosiła okulary do pływania wypełnione płynem.

- Nie możesz polecieć, Jez. Chryste, te wszystkie medyczne bajery nawet tutaj działają z trudem. Kto wie, ile z nich trafi szlag tam, gdzie odejdzie Nowa Kalifornia? Zdrowiejesz bardzo szybko, wszyscy doktorzy tak mówią, ale potrzebujesz więcej czasu, by w pełni wrócić do siebie.

Nie pozwolę, żeby ktoś ci w tym przeszkodził.

- Nie, Al. Polecę z tobą.

- Wręcz przeciwnie. Ja tu zostanę. Widzisz, nadal będziemy razem.

- Nie.

- Tak. - Oparł się wygodnie, zataczając ramieniem krąg symbolizujący całą asteroidę. -

Klamka zapadła, Jez. Ktoś musi tu zostać i zajmować się tą całą kosmiczną bronią, kiedy ludzie będą się przenosić na planetę. Za grosz nie ufam temu skurwysyńskiemu admirałowi.

- Al, ty nie potrafisz kierować platformą strategiczno-obronną. Kurwa, nie umiesz sobie nawet poradzić z klimatyzacją w hotelu.

- Aha. Ale admirał o tym nie wie.

- Złapią cię. Wgnają z tego ciała. Czekają cię zaświaty aż po kres czasu. Ja pokieruję platformami. Proszę cię, Al, uciekaj. Będę żyła, dopóki będę wiedziała, że jesteś bezpieczny.

- Zapominasz o czymś, Jez. Wszyscy o tym zapominają, może oprócz tego małego lizusa Bernharda. Jestem Al Capone. Nie boję się zaświatów. Nigdy się ich nie bałem i nigdy nie będę się bał.

*

Jastrząb z Nowej Kalifornii przyleciał w tej samej chwili, gdy wylądował wahadłowiec naczelnego admirała. Dzięki temu Samuel Aleksandrovich mógł się udać na spotkanie Zgromadzenia uzbrojony w dobre wieści, które wzmocnią jego pozycję negocjacyjną.

Pierwsza niespodzianka spotkała go już w drzwiach sali obrad. Jeeta Anwar czekała przy wejściu na delegację Sił Powietrznych.

- Prezydent prosił, bym pana poinformowała, że spotkanie odbędzie się bez adiutantów.

Samuel Aleksandrovich ze zdziwieniem w oczach popatrzył na Keatona i al-Sahhafa.

- Nie są aż tak niebezpieczni - oznajmił dobrodusznie.

- Przykro mi, admirale - skwitowała Jeeta.

Samuel zastanawiał się, czy nie urządzić sceny. Nie lubił tego rodzaju niespodzianek. Takie zachowanie świadczyło, że nadchodzące zebranie będzie miało niezwykły i zapewne nieprzyjemny charakter. Niemniej towarzystwo adiutantów z pewnością tego nie zmieni.

- Zgoda.

Drugą niespodziankę przeżył, kiedy zobaczył, jak niewielu ambasadorów siedzi za wielkim stołem z przekroju sekwoi. Było ich w sumie trzech, reprezentowali Nowy Waszyngton, Oshanko i Mazaliv. Był też obecny lord Kelman Mountjoy. Samuel Aleksandrovich przywitał go ostrożnym skinieniem głowy i usiadł na lewo od Oltona Haakera.

- Chyba nie mamy kworum - zauważył spokojnie.

- Nie Zgromadzenia Ogólnego - zgodził się prezydent Haaker.

- Celem tego spotkania jest ustalenie zasad nowej polityki w sprawie opętanych - oznajmił Kelman Mountjoy. - Stara Konfederacja nie jest w stanie rozwiązać kryzysu w zadowalający sposób.

- Stara Konfederacja?

- Tak. Proponujemy jej restrukturyzację.

Samuel Aleksandrovich z narastającą trwogą słuchał, jak minister spraw zagranicznych Kulu opowiadał mu o projekcie małej Konfederacji. Miał on powstrzymać powolne rozprzestrzenianie się opętanych, wzmocnić obronę kluczowych układów planetarnych oraz stworzyć stabilne ekonomicznie społeczeństwo, zdolne odnaleźć ostateczne rozwiązanie.

- Chce pan włączyć do tego projektu edenistów?

- Nie przyjęli tego pomysłu zbyt dobrze - przyznał Kelman.

- Ponieważ jednak mają plan awaryjny oparty na bardzo podobnych zasadach, ich uczestnictwo jest w ostatecznym rozrachunku wysoce prawdopodobne. Moglibyśmy bez większych trudności kontynuować wymianę handlową z nimi, gdyż są w znacznym stopniu odporni na infiltrację powodowaną przez łamiące kwarantannę loty.

- I to oni zaopatrują w energię wszystkie adamistyczne światy - zauważył jadowitym tonem Samuel.

Kelman zdołał powstrzymać uśmiech.

- Nie wszystkie - odparł cicho.

Samuel spojrzał na prezydenta.

- Nie może pan na to pozwolić. To ekonomiczny apartheid. Złamanie wszelkich zasad egalitarnej etyki, jaką reprezentuje Konfederacja. Musimy bronić wszystkich.

- Siły Powietrzne nie mogą już tego robić - odparł ze smutkiem Olton Haaker. - Widział pan ekonomiczne prognozy przygotowane przez moje biuro. Nie stać nas na dalsze podtrzymywanie obecnego poziomu aktywności militarnej, nie wspominając już o kontynuowaniu go przez dłuższy czas. Musimy z czegoś zrezygnować.

- W pewnym sensie już to zrobiliśmy - dodał Kelman. - Atak na Arnstadt i Nową Kalifornię równał się przyznaniu, że nie możemy już dłużej utrzymywać status quo. Zgromadzenie Ogólne zdecydowało, że musimy poświęcić te planety, aby utrzymać resztę, a pan się z tym zgodził. Mała Konfederacja jest logiczną implikacją tej decyzji. Umożliwi przetrwanie całego gatunku, zapewniając, że jego część pozostanie trwale wolna od opętania i będzie mogła znaleźć rozwiązanie.

- Wydaje mi się interesujące, że pańska propozycja zapewnia przetrwanie tylko części ludzkości. Bogatej części.

- Po pierwsze, nasze światy przestaną płacić nierealistycznie wysokie subsydia planetom drugiego stadium zasiedlania, co zmusi je do większej dbałości o własne bezpieczeństwo. Po drugie, nie ma powodu, by bogate układy gwiazdne osłabiały się i traciły bogactwo, jeśli nie pomoże to w znalezieniu rozwiązania. Musimy stanowczo stawić czoło realnym problemom.

- Kwarantanna jest skuteczna. Jeśli wszyscy będą się dzielić danymi zebranymi przez wywiad, z czasem położymy kres nielegalnym lotom. Organizacja już nie istnieje. Al Capone poddał Nową Kalifornię admirałowi Kolhammerowi.

- Te argumenty odwołują się do przestarzałej polityki - skontrował Kelman. - Istotnie, udało się wam unieszkodliwić Al Capone, ale jednocześnie straciliśmy Ziemię. Mortonridge w zasadzie już wyzwolono, jednakże cena okazała się szokująco wysoka. Kapsuły zerowe uwalniają ludzi od opętania, lecz ich ciała toczy rak i jeszcze przez długie lata będą pochłaniali nasze zasoby medyczne. Trzeba to powstrzymać. Odciąć przeszłość grubą kreską, żeby uratować przyszłość.

- Mówi pan, jakby jedynym problemem było opętanie - zauważył Samuel. - A tak nie jest. To tylko odprysk odkrycia, że mamy nieśmiertelne dusze i niektóre z nich są uwięzione w zaświatach. Odpowiedź na pytanie, jak mamy żyć z tą wiedzą, musi zaakceptować cała ludzkość, od jakiegoś oprycha zesłanego na planetę pierwszego stadium zasiedlenia aż po pańskiego króla. Musimy razem temu sprostać. Jeśli pan nas podzieli, nie będzie pan mógł dotrzeć do ludzi, dla których ta wiadomość stanie się największym ciosem. Nie mogę na to przystać. Nie.

- Musisz się zgodzić, Samuel - oznajmił prezydent. - Siły Powietrzne nie mogą przetrwać, jeśli światy małej Konfederacji przestaną je finansować.

- Na Siły Powietrzne Konfederacji łożą wszystkie układy planetarne.

- Ale nie w tym samym stopniu - przypomniał Verano, ambasador Nowego Waszyngtonu. - Mówiąc między nami, światy składające się na małą Konfederację pokrywają osiemdziesiąt procent

waszego budżetu.

- Nie może pan tak po prostu podzielić... Ach! Teraz wszystko rozumiem. - Spojrzał z pogardą na Oltona Haakera. - Zaoferowali panu prezydenturę nowego związku w zamian za poparcie? Możecie nazywać tę koalicję małą Konfederacją, ale de facto wycofujecie się z prawdziwej Konfederacji. Nie będzie prawnej ciągłości. Każdy z moich oficerów wyrzekł się narodowej przynależności, kiedy się zaciągał. Siły Powietrzne są odpowiedzialne przed całym Zgromadzeniem, nie przed blokami reprezentującymi partykularne interesy.

- Znaczną część waszych sił stanowią narodowe oddziały - odparł ze złością Verano. - Wycofamy je i odzyskamy też bazy. Zostaną wam okręty, których nie będziecie mogli utrzymać, w układach planetarnych, których nie będziecie w stanie obronić.

Kelman uniósł rękę, prostując palec wskazujący, by uciszyć ambasadora.

- Siły Powietrzne zrobią to, co pan postanowi, Samual. Wszyscy uznajemy ten fakt. Jeśli zaś chodzi o kwestie praw własności, ambasador Verano ma sporo racji. Zapłaciliśmy za te okręty.

- A nowe prawo będzie uchwałać mała Konfederacja - zauważył Samual.

- W rzeczy samej. Jeśli chce pan bronić ludzkości, musi pan być realistą. Mała Konfederacja powstanie tak czy inaczej. Zapewne rozumie pan politykę lepiej niż większość z nas. W przeciwnym razie nie zostałby pan naczelnym admirałem. Zdecydowaliśmy, że takie wyjście najbardziej odpowiada naszym interesom. Robimy to po to, by z czasem udało się znaleźć rozwiązanie. Jego znalezienie leży w naszym wąskim, egoistycznym interesie. Bóg świadkiem, że nie chcę umierać, odkąd wiem, co mnie czeka. Choćby tylko z tego powodu może pan być pewien, że skierujemy wszelkie dostępne środki na rozwiązanie problemu. Niech pan nam pomoże bronić naszych granic, admirale. Niech pan odda swoją flotę pod rozkazy małej Konfederacji. Jesteśmy gwarancją ostatecznego sukcesu całego naszego gatunku. Jestem przekonany, że to właśnie jego przysięgał pan bronić.

- Nie będzie mnie pan uczył honoru - warknął Samual.

- Przepraszam.

- Będę musiał rozważyć ten problem, zanim udzielę wam odpowiedzi. - Wstał. - Skonsultuję się też z członkami mojego sztabu.

Kelman pochylił głowę w ukłonie.

- Wiem, że to trudna decyzja. Przykro mi, że stawiamy pana w takiej sytuacji.

Samual nie odezwał się ani słowem do swych adiutantów aż do chwili, gdy znaleźli się w wahadłowcu i pomknęli do stacji orbitalnej, która stała się jego nową kwaterą główną.

- Czy pozostałe układy planetarne zdołają same utrzymać Siły Powietrzne? - Zapytał al-Sahhaf.

- Wątpię - odparł Samual. - Niech to diabli, zostaną zupełnie bez obrony.

- Niezły problem z zakresu logiki stosowanej - zauważył Keaton. - Zostaną bez obrony tak czy inaczej. Jeśli nie odda pan Sił Powietrznych małej Konfederacji, i tak w niczym pan im nie pomoże, a jednocześnie osłabi pan małą Konfederację.

- Chce pan powiedzieć, że powinniśmy się zgodzić?

- Osobiście uważam, że nie, admirale. Ale to najstarszy znany chwyt polityczny. Jeśli się nie przyłączymy, zostaniemy na lodzie. A jeśli się zgodzimy, będziemy mogli wpływać na ich politykę od środka i zdobędziemy spore wpływy.

- Lord Mountjoy nie jest głupi - zauważył al-Sahhaf. - Przystanie na negocjacje z panem w cztery oczy. Może uda się nam utrzymać obecność CNIS-u w układach gwiazdnych drugiego stadium zasiedlenia, nadal informować rządy o działaniach opętanych.

- Tak - zgodził się Samual. - Mountjoy poparłby takie rozwiązanie albo coś bardzo podobnego. Taka już jest polityka.

- Chce się pan z nim spotkać, admirale? - Zapytał Keaton.

- Mogłoby się zdawać, że podsuwa mi pan pokusę, kapitanie.

- Nie, admirale!

- Na razie nie mam zamiaru się z nim spotykać. Nie chcę jednak, by Siły Powietrzne rozwiązano przez mój upór. To potężna siła, zdolna przeciwstawić się groźbie opętanych na poziomie fizycznym. Ludzkość nie może jej stracić. Muszę porozmawiać o tym z Lalwani, przekonać się, czy edeniści rozważyliby możliwość finansowania nas. Jeśli nie będą mogli tego zrobić, spotkam się z Mountjoyem i omówię przekazanie Sił Powietrznych małej Konfederacji. Musimy pamiętać, że armia w ostatecznym rozrachunku służy cywilom, nawet jeśli gardzimy przywódcami, jakich sobie wybrali.

*

Zimno było zdumiewająco intensywne. Jego fale przenikały do każdego zakamarka kapsuły ratunkowej, wypłukując z niej resztki ciepła. Temperatura była tak niska, że zaczęła zmieniać kolor plastikowych elementów, które wyblakły, jak pod wpływem dawki ultrafioletowego promieniowania. Oddech Toltona na wszystkich powierzchniach przeradzał się w warstwę twardego jak żelazo szronu.

Wyjęli ze schowków ciepłą odzież ochronną i włożyli tyle warstw, ile tylko było fizycznie możliwe. Tolton wydawał się jeszcze grubszy od Dariata, jego twarz spowijały grube warstwy tkaniny, którymi się owinał, by chronić szyję i uszy. Na jego odsłoniętej skórze również pojawiła się warstewka szronu, a każda rześa wyglądała jak maleńki sopel.

Baterie szalupy traciły moc równie szybko, jak odpływało z niej ciepło. Z początku obwód podtrzymywania życia działał bez problemów, ogrzewając wewnątrz i odzyskując parę wodną. Potem przeprowadzili prostą analizę i uświadomili sobie, że przy tym tempie zabraknie im mocy za czterdzieści minut. Dariat stopniowo wyłączał wszystkie systemy szalupy: nawigacyjne, łącznościowe i napędowe. Później, gdy Tolton zamknął się w dwóch ogrzewanych skafandrach i opatulił licznymi ubraniami, duch zatrzymał wszystko poza filtrem dwutlenku węgla i prostym wentylatorem. Przy takim poziomie zużycia baterie powinny wystarczyć na dwa dni.

Jednakże baterie ogrzewanych skafandrów Toltona wyczerpały się znacznie szybciej, niż się tego spodziewali. Ostatnia przestała działać piętnaście godzin od momentu, gdy znaleźli się w melanzu. Potem Tolton zaczął pić zupę z samoogrzewających się saszetek.

- Jak długo jeszcze wytrzyma kadłub? - Zapytał w przerwie między pochłanianymi z drzeniem łykami. Miał na sobie tak wiele ubrań, że nie był w stanie zginać rąk i Dariat musiał mu podsuwać do ust wylot saszetki.

- Nie jestem pewien. Moje dodatkowe zmysły nie radzą sobie w tym środowisku. - Dariat zaczął tłuc się pięściami w pierś. Zimno nie przeszkadzało mu aż tak bardzo, ale mimo to włożył kilka wełnianych swetrów oraz parę par grubych spodni. - Piankę z nultermu zapewne już szlag trafił. Materiał powłoki będzie się powoli ulatniał, aż wreszcie kadłub stanie się tak cienki, że pęknie pod naciskiem melanzu. Koniec nadejdzie szybko.

- Szkoda. Chętnie bym coś poczuł. Odrobina bólu byłaby w tej chwili mile widzianym wrażeniem.

Dariat uśmiechnął się do przyjaciela. Wargi Toltona zrobiły się zupełnie czarne. Schodziła z nich skóra.

- Co się stało? - Wychrypiał uliczny poeta.

- Nic. Tak sobie myślałem, czy nie moglibyśmy spróbować odpalić jednej z tych rakiet. Może to podgrzałoby trochę kapsułę.

- Aha. W ten sposób też szybciej przedostaniemy się na drugą stronę.

- Najwyższy czas. A co byś chciał tam znaleźć, gdybyś mógł wybierać?

- Tropikalną wyspę. Plaże ciągnące się kilometrami. Wodę ciepłą jak w wannie.

- A będą tam kobiety?

- Boże, tak. - Zamrugał i jego rzęsy przymarzły do siebie. - Nic nie widzę.

- Masz szczęście. Wiesz, jak ty wyglądasz?

- A co z tobą? Co chciałbyś zobaczyć po drugiej stronie?

- Przecież wiesz. Anastazję. Żyłem dla niej. I dla niej umarłem. Poświęciłem dla niej własną duszę... No, dla jej siostry. Myślałem wówczas, że może na mnie patrzeć. Chciałem zrobić na niej wrażenie.

- Nie przejmuj się, to udało ci się już przedtem. Uwierz mi, od miłości takiej jak twoja zakręci się jej w głowie. Panienki uwielbiają takie szalone oddanie.

- Jesteś najmniej wrażliwym poetą, jakiego w życiu spotkałem.

- Ulicznym poetą. Nie bawię się w róże i czekoladki. Jestem zbyt wielkim realistą.

- Założę się, że róże i czekoladki lepiej się opłacają.

Tolton nie odpowiedział. Dariat przyjrzał się uważnie jego twarzy. Jego przyjaciel jeszcze oddychał, ale bardzo powoli. Powietrze wydostawało się ze świstem między lodowymi soplami zamykającymi jego usta. Przestał dygotać.

Dariat przetoczył się na swój fotel amortyzacyjny i czekał cierpliwie. Minęło dwadzieścia minut, nim z kłębowiska tkaniny wyłonił się duch Toltona. Spojrzał ze zdumieniem na Dariata, po czym odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

- O kurde, ale numer. Jestem duszą poety. - Śmiech przeszedł w łkanie. - Duszą poety. Kapujesz? Nie śmiejesz się. Nie śmiejesz się, a to kurewsko zabawne. To dla ciebie ostatni powód do śmiechu w całej wieczności. Dlaczego się nie śmiejesz?

- Psst. - Dariat uniósł głowę. - Słyszysz?

- Czy je słyszę? Tam jest miliard bilionów dusz. Jak, kurwa, mogę ich nie słyszeć?

- Nie. Nie mówię o duszach w melanzu. Chyba słyszałem wołanie. Ludzki głos.

To była bardzo długa noc dla Fletchera Christiana. Przykuli go do ołtarza, przez jego ciało przepływał prąd, a wokół szalał obłęd. Widział, jak wyznawcy Dextera porąbali na kawałki piękną drewnianą makietę katedry, którą sir Christopher Wren wykonał, by zaprezentować ludziom swą wizję. Kawałki wrzucili do żelaznych piecyków oświetlających budynek. Cały czas trwała też milcząca rzeź. Ludzi wleczono do ołtarza, gdzie czekał Dexter z antypamięcią. Fletcher płakał, gdy unicestwiano ich dusze, by przygotować ciała na przyjęcie mieszkańców zaświatów, osobowości bardziej skłonnych spełniać życzenia mrocznego mesjasza. Słone łzy spływały po runach, którymi okaleczono jego policzki, piekąc niczym kwas. Courtney zanosila się szalonym, przenikliwym śmiechem, kiedy Dexter plugawił ją, aż płynęła krew i skóra pokryła się pęcherzami.

Świątokradztwo. Morderstwo. Barbarzyństwo. Nie było temu końca. Każdy akt przeciążał nieliczne zmysły, jakie jeszcze mu pozostały. Recytował raz po raz Modlitwę Pańską, wreszcie Dexter usłyszał jego słowa i opętani otoczyli go kręgiem, wykrzykując jakieś obsceniczne pieśni. Ich okrutne słowa wbijały się weń z siłą sztyletów, radość, jaką sprawiało im zło, dręczyła go, zmuszając do zamilknięcia. Obawiał się, że straci rozum pod naciskiem podobnej nieprawości.

Przez cały ten czas energistyczna moc rosła razem z liczbą opętanych, pochłaniając zarówno umysły, jak i materię. To nie była zbiorowa tęsknota, jaką pamiętał z Norfolku, szczerze pragnienie ucieczki przed pustką. Tutaj Dexter absorbował moc wyznawców i kształtował ją zgodnie ze swymi pragnieniami potępieńca.

Gdy przez drzwi wpadło do środka zanieczyszczone czerwone światło, drwiąc z nocy, Fletcher wreszcie usłyszał krzyki upadłych aniołów. Ich przeraźliwy, diaboliczny ton omal go w końcu nie złamał. Z pewnością nawet Dexter nie wypuściłby na Ziemię podobnych bestii.

- Nie! - Zawołał rozpaczliwie. - Nie możesz ich uwolnić. To obłęd. Obłęd. Pożrą nas wszystkich.

Pojawiła się nad nim twarz Dextera, promieniejąca zimną satysfakcją.

- Kurwa, wreszcie to zrozumiałeś.

*

"Lady Makbet" wyłoniła się ze skoku głęboko w przestrzeni międzygwiazdnej, tysiąc dziewięćset lat świetlnych od Konfederacji. Poczucie izolacji i osamotnienia członków załogi było niczym w porównaniu z tym, jak bardzo mali czuli się na myśl o tej odległości.

Instrumenty obserwacyjne wysunęły się z wnęk, zbierając skąpe żniwa fotonów. Programy nawigacyjne skorelowały nieliczne dane, ustalając pozycję statku.

Joshua namierzył cel za pomocą triangulacji. Od niczym się niewyróżniającego punkciku światła dzieliły ich już tylko trzydzieści dwa lata świetlne. W jego umyśle pojawiły się współrzędne następnego skoku, mrugając fioletowo na końcu długiej neuroikonicznej tuby pomarańczowych kręgow. Gwiazda znajdowała się nieco z boku, jej odległość reprezentowała względne delta v. Gwiazda i gwiazdolot nadal okrężały jądro Galaktyki z bardzo różnymi prędkościami.

- Przygotujcie się - rozkazał Joshua. - Przyśpieszamy.

Na mostku rozległy się jęki, które jednak szybko umilkły, gdy włączył napęd na antimaterię. Wszystkich oprócz Kempstera Getchella 4 g wtłoczyły w fotele amortyzacyjne. Stary astronom wkrótce po drugim skoku zamknął się w kapsule zerowej.

- To zbyt wiele dla moich starych kości - poskarżył się, nie tracąc odwagi. - Wypuście mnie, jak już będziemy na miejscu.

Nikt inny nie podążył za jego przykładem. Zresztą załoga nie miała wyboru. Siedemnaście

skoków w ciągu dwudziestu trzech godzin, a każdy miał piętnaście lat świetlnych długości. Zapewne pobili rekord, ale nikt już tego nie liczył. Wszyscy skupili się na podtrzymywaniu działania systemów. Niewielu było takich, którzy mogliby dorównać im profesjonalizmem. Duma mieszała się w nich z nerwowym oczekiwaniem. Gwiazda Śpiącego Boga była coraz bliżej.

Joshua nie opuszczał fotela amortyzacyjnego, prowadząc ich przez każdy kolejny skok z typową dla siebie nadzwyczajną kompetencją. Nie mówili zbyt wiele. Mgławica Oriona zostawała stopniowo za nimi. Po każdym wyłonieniu się stawała się coraz mniejsza, aż wreszcie przerodziła się w maleńką świetlną plamkę, ostatni znajomy element astronomiczny w otaczającym ich wszechświecie. Wszystkie generatory termojądrowe pracowały pełną mocą, szybko ładując węzły. Dlatego właśnie Joshua poruszał się między współrzędnymi z wysokim przyspieszeniem, zamiast zwyczajowej 1/10 g. Czas stał się dla niego czymś najcenniejszym.

Instynkt gnał go wciąż naprzód. Enigmatyczna, niepozorna gwiazda, ku której zmierzał, wabiła go syrenią pieśnią, podobnie jak ongiś znaleźziska w Pierścieniu Ruin. Podczas lotu wydarzyło się bardzo wiele. Zainwestował weń wszystkie swe nadzieje. Nie potrafiłby uwierzyć, że to wszystko pójdzie na marne. Śpiący Bóg istniał. To artefakt ksenobiontów, tak potężny, że przyciągnął zainteresowanie Kiintów. Miał rację od samego początku. Odkrycia, jakich dokonali podczas lotu, podkreślały znaczenie Śpiącego Boga.

- Węzły naładowane i gotowe, kapitanie - zameldował Dahybi.

- Dziękuję - odparł Joshua. Sprawdził odruchowo wektor. Statek spisywał się świetnie. Jeszcze tylko trzy godziny, jeszcze dwa skoki, i będą na miejscu. Lot się skończy. Trudno mu było w to uwierzyć. Zbyt wiele wydarzeń było jego korzeniami, doprowadziło do wyprawy "Lady Makbet". Kelly Tirell i najemnicy na Lalonde. Jay Hilton i Haile (gdziekolwiek teraz były). Ucieczka Tranquillity przed flotą Organizacji. A przed tym wszystkim jedna wiadomość wysłana przez 1500 lat świetlnych pustej przestrzeni, wiernie przekazywana od gwiazdy do gwiazdy przez gatunek, który w zasadzie nie powinien uniknąć katastrofy, jaka spotkała jego gwiazdę. I sam fakt spotkania Swantik-LI ze Śpiącym Bogiem. Prawdopodobieństwo było niewiarygodnie małe. Łańcuch wydarzeń ciągnący się przez 15 000 lat połączył owo przypadkowe spotkanie z losem całego gatunku.

Joshua nie wierzył, by mógł to być zwykły zbieg okoliczności. Zostawało tylko przeznaczenie albo boska interwencja.

To była ciekawa myśl, biorąc pod uwagę, z czym mieli się spotkać.

*

Louise obudziła się nieco dezorientowana. Leżał na niej młody mężczyzna. Oboje byli nadzy. Andy - przypomniała sobie. To było jego mieszkanie: małe, brudne i zagracone. Było tu tak ciepło, że miała trudności z oddychaniem. Na wszystkich powierzchniach osadziły się krople rosy, lśniące w ciemnoróżowym blasku jutrzeńki wpadającym do środka przez zaparowane okno.

Nie będę żałowała tego, co wczoraj zrobiłam, powiedziała sobie stanowczo. Nie mam powodu czuć się winna. Chciałam tego. Miałam do tego prawo.

Spróbowała przesunąć go na bok i wyslizgnąć się spod niego, ale łóżko po prostu było na to za małe. Ocknął się i zmarszczył brwi, skupiając na niej spojrzenie. Odsunął się, porażony nagłym szokiem.

- Louise!

Uśmiechnęła się do niego odważnie.

- Przynajmniej pamiętasz, jak mam na imię.

- Louise. O Boże. - Uniósł się na klęczki, spoglądając chciwie na jej ciało. Rozciągnął usta w błogim uśmiechu. - Louise. To naprawdę ty.

- Tak. To naprawdę ja.

Przysunął się bliżej i pocałował ją niespodziewanie.

- Kocham cię, Louise. Najdroższa Louise. Tak bardzo cię kocham. - Pochylił się nad nią, całując namiętnie jej twarz. Ujął jej piersi w dłonie, muskając sutki palcami, tak samo jak wczoraj. - Kocham cię i jesteśmy razem w ostatnich chwilach.

- Andy.

Przesunęła się nieco, krzywiąc się z nagłego bólu w piersiach. Andy był chudy, ale zaskakująco silny.

- Och, Boże, jesteś taka piękna.

Lizał jej wargi, uporczywie próbując wsunąć język do ust.

- Andy, przestań.

- Kocham cię, Louise.

- Nie! - Odsunęła się gwałtownie. - Posłuchaj, Andy. Nie kochasz mnie i ja ciebie też nie kocham. To był tylko seks. - Rozchyliła usta w delikatnym uśmiešku, starając się maksymalnie złagodzić cios. - Bardzo dobry seks, ale nic więcej.

- Przyszłaś do mnie.

Głos Andy'ego zabrzmiał płaczliwie, był bliski załamania. Jego słowa przesycił ból.

Louise poczuła się straszliwie winna.

- Mówiłam ci już, że wszyscy, których znałam, uciekli z arkologii albo wpadli w łapy opętanych. Dlatego przyszłam do ciebie. A jeśli chodzi o resztę... No cóż, oboje tego chcieliśmy. Nie ma już powodu, żeby tego nie robić.

- Czy nic dla ciebie nie znaczę? - Zapytał z desperacją w głosie.

- Pewnie, że znacysz, Andy. - Poglaskała go po ramieniu, pochylając się bliżej, by uczynić kontakt bardziej intymnym. - Chyba nie myślisz, że zrobiłabym to z byle kim?

- Oczywiście.

- Pamiętasz, co wyprawialiśmy? - Wyszeptała mu do ucha.

- Te wszystkie okropne rzeczy?

Andy zaczerwienił się, nie mogąc jej spojrzeć w oczy.

- Tak.

- Świetnie. - Pocałowała go leciutko. - Ta noc zostanie z nami na zawsze. Cokolwiek się stanie, nikt nam jej nie odbierze.

- Nadal cię kocham. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. To się nigdy nie zmieni.

- Och, Andy. - Przytuliła go do piersi i zakołysała lekko.

- Nie chciałam cię skrzywdzić. Uwierz, proszę.

- Nie skrzywdziłaś mnie. Nie mogłabyś mnie skrzywdzić. Nie ty.

Louise westchnęła.

- To zabawne, jak inaczej mogłyby się potoczyć nasze losy, gdybyśmy w jakimś momencie podjęli inną decyzję. Szkoda, że nie możemy przejść przez życie po wszystkich możliwych ścieżkach.

- Wszystkie przeszedłbym z tobą.

Uściskała go jeszcze mocniej.

- Chyba zazdroszczę dziewczynie, która się z tobą zwiąże. Będzie miała wielkie szczęście.

- Ale to już się nie zdarzy, prawda?

- Pewnie masz rację.

Spojrzała z niechęcią na zaparowane okno. Nienawidziła dnia, który za nim wstawał, upływu czasu i tego, co musiał ze sobą przynieść. Razem z karmazynowym blaskiem przez szybę przesączało

się coś jeszcze. Złość, budząca w Louise niepokój, niemal strach. Czerwony kolor był bardzo intensywny, jak na ziemskie słońce. Przywodził jej na myśl Duchesse.

Wypuściła z objęć Andy'ego, podeszła do wysoko ulokowanego okna i weszła na jedno z pudeł, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Starła pokrywającą szybę parę.

- Słodki Jezu.

- Co się stało? - Zapytał Andy. Podbiegł do Louise i wyjrzał na zewnątrz przez jej ramię.

To nie było światło jutrzeńskie. Do świtu zostały jeszcze dwie godziny. W samym centrum kopuły Westminster, kilkaset jardów nad ziemią, unosiła się wielka, okrągła, czerwona chmura. Bijąca od niej złowroga luna odzwierciedlała się w geodezyjnym kryształach na górze. Przypory koronkowej sieci nabrały odcienia polerowanej miedzi. Dolna powierzchnia chmury lśniła krwawym blaskiem, nadającym dachom i murom budynków niezdrowy, purpurowy odcień. Falująca lekko krawędź chmury znajdowała się niespełna milę od nich.

- Cholera! - Wysyczał. - Nie mamy szans się wydostać.

- Nie ma już dokąd uciekać, Andy. Opętani są wszędzie.

- Ale... Niech to szlag. Dlaczego ktoś czegoś nie zrobi? W Nowym Jorku nadal ich powstrzymują. Powinniśmy się zorganizować i walczyć, tak samo jak oni.

Louise wróciła do łóżka i usiadła na nim ostrożnie. Po ostatniej nocy niektóre ruchy sprawiały jej trudność. Poleciała neuronowemu nanosystemowi dokonać fizjologicznego przeglądu całego ciała. Chciała się upewnić, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Nic mu się nie stało i jej również. Tylko kilka miejsc miała obolałych. Neuronowy nanosystem wprowadził do krwi dziewczyny biochemiczne komponenty, które powinny jej pomóc.

- Wczoraj próbowaliśmy coś zrobić - wyznała. - Ale się nie udało.

- Naprawdę? - Andy stał przed nią.

Skórę zrosił mu pot. Chłopak potarł czoło, odgarniając z oczu wilgotne włosy. - Masz z tym wszystkim coś wspólnego?

- Przybyłam na Ziemię, by ostrzec władze przed opętanym nazwiskiem Quinn Dexter. Nie musiałam się trudzić. Już o nim wiedzieli. To on za tym wszystkim stoi. Pomagałam go odnaleźć, ponieważ już go widziałam.

- Myślałem, że zinfiltrowała nas Organizacja Ala Capone.

- Nie, to kłamstwo, które Rząd Centralny powtarza mediom. Nie chcieli, żeby ludzie wiedzieli, z czym mamy do czynienia.

- Niech to szlag - jęknął, wyraźnie przygnębiony. - Ładny ze mnie sieciowy don. Nie potrafiłem nawet dowiedzieć się tego na własną rękę.

- Nie przejmuj się, GISD jest znacznie sprytniejszy, niż się ludziom wydaje. - Wstała. Wspomnienie B7 obudziło w niej niepokój. - Muszę iść do łazienki. Mówiłeś, że jest na końcu korytarza?

- Aha. Hmm... Louise.

- Słucham?

- Chyba powinnaś coś włożyć.

Spojrzała na siebie i się uśmiechnęła. Bez śladu zażenowania stała nago przed chłopakiem, i to takim, z którym niedawno uprawiała seks. Być może jednak zdołała się choć w części uwolnić od Norfolku.

- Chyba masz rację.

Jej ubranie leżało tam, gdzie je cisnęła. Nadal było wilgotne i zmięte. Andy pożyczył jej szare dżinsy i ładną, granatową bluzę od dresu z napisem "Jude's Eworld". Wyciągnął ubrania z pudełka,

które choć w niewielkim stopniu uchroniło je przed wilgocią.

Kiedy wróciła, skończył właśnie podłączanie dwóch baterii do klimatyzatora. Urządzenie włączyło się z nagłym wstrząsem i trysnął z niego strumień zimnego powietrza. Dziewczyna stanęła przed nim, próbując wysuszyć włosy.

- Zachomikowałem trochę żarcia - pochwalił się Andy. - Chcesz zjeść śniadanie?

- Tak, proszę.

Wyciągnął z pudełka tacki z gotowymi posiłkami i wsunął je do pieca. Louise rozejrzała się dokładniej po mieszkaniu. Andy rzeczywiście był fanatykiem elektroniki, o czym ją zapewniał w restauracji Lake Isle. Ani grosza ze swojej pensji nie wydawał na meble, a najwyraźniej nawet na ubrania. Wszędzie walało się mnóstwo gadżetów: stare narzędzia i bloki, szpulki drutu i światłowodów, mikroskopijne części w pojemnikach ze szklami powiększającymi, delikatne urządzenia do prób. Jedną ścianę zajmowała półka z fleksami. Dziewczyna zajrzała do drugiego pokoju i przekonała się, że jest w nim pełno, po sufit, starych jednostek domowych. Andy wyjaśnił, że wyjmuje z nich części. Na naprawach sprzętu można było nieźle zarobić. Uśmiechnęła się na widok znajomego smokingu, który wisiał na drzwiach, schowany w plastikowym futerale. Zupełnie nie pasował do tego miejsca.

Tacki wyskoczyły z pieca. Andy wsunął w wylot dozownika wody płaskie kartonowe opakowanie soku pomarańczowego. W wielkiej szklanej butli pojawiły się bąbelki i karton rozszerzył się powoli, wypełniony płynnym sokiem.

- Andy? - Louise wpatrzyła się w sterty elektronicznego sprzętu, przeklinając w myśli siebie samą. - Masz tu działający blok nadawczo-odbiorczy? Coś, co pozwoli nawiązać łączność z satelitą?

- Pewnie, że mam. Czemu pytasz?

- Louise, mój Boże, myślałem, że cię straciliśmy - przekazał jej datawizyjnie Charlie. - Satelita obserwacyjny mówi, że jesteś w mieszkaniu przy Halton Road. Ach, rozumiem, to adres Andy'ego Behoo. Nic ci się nie stało?

- Przeżyłam - odparła. - Gdzie jesteś?

- W Halo. Ewakuacja była raczej pośpieszna, ale po wczorajszej klęsce uznałem to za wskazane. Wiesz, czy Fletcher zdołał się wydostać?

- Nie mam pojęcia. Nie widziałam nikogo, odkąd zaczęłam uciekać. A co z Ivanovem?

- Przykro mi, Louise. Nie udało mu się.

- A więc zostałam tylko ja.

- Wygląda na to, że znowu cię nie doceniłem, Louise. Stale popełniam ten sam błąd.

- Charlie, pod kopułą jest czerwona chmura.

- Wiem o tym. Dexter jest sprytny. Strategiczno-obronne wiązki elektronów nie będą mogły jej zaatakować, nie niszcząc samej kopuły. Co więcej, chmura niemal całkowicie zasłoniła powierzchnię przed moimi instrumentami. Próbowałem tam wysłać połączone ze mną więzią afiniczną ptaki i szczury, żeby spróbowały go wytropić, ale za każdym razem tracę z nimi kontakt. A wszyscy myśleliśmy, że energistyczna moc nie działa na technobiotyczne konstrukty.

- Fletcher mówił, że opętani wiedzą o wszystkim, co dzieje się pod ich chmurą. Dexter zapewne po prostu zabija zwierzęta.

- Najprawdopodobniej. Ale to oznacza, że nie zostało nam zbyt wiele możliwości.

- Ta czerwona chmura jest inna - przekazała mu. - Pomyślałam, że powinieneś się o tym dowiedzieć. Właśnie dlatego się z tobą połączyłam.

- W jakim sensie inna?

- Byłam pod taką chmurą na Norfolkku i wrażenie było całkowicie odmienne. Naprawdę ją

wyczuwam. To jest jak niska wibracja, której nie sposób do końca usłyszeć. Ona nie jest tylko po to, żeby odciąć ich od nieba. To coś naprawdę złego, Charlie.

- To na pewno Dexter. Z pewnością zebrał już sporo opętanych. Cokolwiek planuje zrobić, zaczął od tej chmury.

- Boję się, Charlie. On wygra, prawda?

- Czy możecie z Andym przejść do jednej z zewnętrznych kopuł? Mam tam agentów, mogę was wydostać.

- Chmura rośnie, Charlie. Nie sądzę, by mogło nam się udać.

- Louise, spróbuj. Proszę.

- Czyżbyś miał wyrzuty sumienia? Ty?

- Być może. Udało mi się dostarczyć Genevieve do Tranquillity. Kapitan czarnego jastrzębia przysięga, że już nigdy nie przyjmie czarteru od mojej kompanii.

- To podobne do mojej siostry - zauważyła z uśmiechem Louise.

- Opuście teraz budynek?

- Nie sądzę. Jesteśmy z Andym szczęśliwi w tym miejscu. I kto wie, co będzie, gdy opętani zabiorą Ziemię ze wszechświata. Może wcale nie będzie tak źle.

- Tak się nie stanie, Louise. Nie o to chodzi Dexterowi. On chce unicestwić wszechświat, a nie opuścić go. A na Ziemi są ludzie, którzy mogą go skutecznie powstrzymać.

- Jak to? Nawet tobie się nie udało.

- Widok czerwonej chmury sprawił, że nasz wspaniały prezydent odzyskał wreszcie kręgosłup. Przestraszył się, że opętani są już gotowi zabrać Ziemię ze wszechświata. Senat pozwolił mu użyć przeciwko arkologiom broni strategiczno-obronnych, by wyeliminować opętanych. Nowy fatalizm, Louise. Konfederacja porzuciła Arnstadt i Nową Kalifornię, żeby tylko pozbyć się Ala Capone. Prezydent poświęci mniejszość obywateli republiki, by uratować większość. Historia nie oceni go zbyt pochlebnie, ale podejrzewam, że ocalali mieszkańcy innych arkologii będą mu po cichu wdzięczni.

- Musisz go powstrzymać, Charlie. W Londynie mieszka więcej ludzi niż na całym Norfolk. Dasz radę to zrobić, prawda? B7 nie może pozwolić, żeby tylu ludzi zginęło. Mówiłeś, że to wy rządzą Ziemią.

- Jesteśmy w stanie to odwlec najwyżej o kilka godzin. Zniszczyć obwody komunikacyjne, skłonić oficerów do odmowy podporządkowania się rozkazom. Prędzej czy później bezpośrednie polecenie prezydenta zostanie jednak wykonane. Platformy wystrzelą z laserów promieniowania gamma do arkologii i wszystkie żywe komórki w kopułach zginą.

- Nie. Musisz ich powstrzymać.

- Louise, przejdźcie do jednej z zewnętrznych kopuł. Masz antypamięć. Możesz jej użyć przeciwko każdemu, kto próbuje cię zatrzymać.

- Nie! - Krzyknęła. Uderzyła otwartą dłońią w stół, aż tacki i szklanki podskoczyły w górę. - Nie. Nie. Nie. - Chwyciła w rękę blok nadawczo-odbiorczy i cisnęła nim o ścianę. Obudowa pękła i kawałki plastiku posypały się na podłogę. - Nie zrobię tego.

Andy zamarł w bezruchu na krześle, spoglądając na nią z konsternacją. Zwróciła się błyskawicznie ku niemu.

- Zabiją wszystkich. Prezydent użyje przeciwko kopule broni strategiczno-obronnych.

Andy wstał i objął ją ramionami, usiłując powstrzymać jej gniewne drżenie. Nawet na bosaka była pół głowy wyższa od niego; unosił wzrok, by spojrzeć w jej pełne trwogi oczy.

- Musimy go powstrzymać - oznajmiła.

- Prezydenta?

- Nie. Dextera.

- Tego opętanego szaleńca?

- Tak.

- Jak to zrobimy?

- Nie mam pojęcia. Musimy mu powiedzieć. Ostrzec go! Przekonać, żeby się pozbył czerwonej chmury. Zrozumie, że bez żywych wyznawców będzie niczym.

- I co potem?

- Nie wiem! - Krzyknęła. - Ale jeśli w ten sposób uratujemy wszystkim życie, to chyba warto, mam rację?

- Tak - wyjąkał.

Podeszła do sterty swych ubrań i wyjęła z nich antypamięć.

- Gdzie są moje buty?

Andy zerknął na czarną tubę, którą Louise trzymała z tak wielką determinacją, i uświadomił sobie, że dziewczyna mówi poważnie.

Jego pierwszą myślą było zamknąć drzwi i nie pozwolić jej odejść, był jednak zbyt wystraszony, by zrobić choćby tyle.

- Nie idź do miasta.

- Muszę - warknęła. - Nikogo z nich nie obchodzą ludzie. To potwory.

Andy padł na kolana.

- Louise, błagam. Złapią cię. Będą cię torturować.

- Ale krótko. Wkrótce i tak wszyscy zginiemy.

Wsunęła stopę w but i zaciągnęła paski.

- Louise, proszę!

- Pójdiesz ze mną?

- To jest Londyn - ciągnął, wskazując ręką na okno. - Masz parę godzin, żeby znaleźć jedną osobę. Niewykonalne. Nawet nie zauważymy, kiedy to się stanie. Broń strategiczno-obronna jest bardzo potężna.

Spojrzała na niego z niesmakiem.

- Andy, czy nie oglądałeś wiadomości? Masz duszę. Z pewnością zauważysz, kiedy to się stanie. I najprawdopodobniej wylądujesz w zaświatach.

- Nie mogę wyjść - jęknął. - Oni tam są. Zostań.

- Ja w każdym razie wychodzę - oznajmiła, wkładając drugi but.

Andy spojrzał na nią. Stała nad nim, wysoka, piękna i nieustępliwa. Niewiarygodnie wspaniała. Spędził całą noc, kochając się z nią, przeciążył swe ciało, niebezpiecznie nadużywając programów stymulujących, by wprowadzić ją w najwyższy zachwyty. I wszystko to nic dla niej nie znaczyło. Nigdy nie będzie należała do niego, bo widziała, jaki jest naprawdę. Byli obecnie dalej od siebie niż w czasach, gdy nawet nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia.

Otarł nos dłonią, próbując ukryć fakt, że nim pociąga.

- Kocham cię, Louise.

Usłyszał żalostne słowa, które wyszły z jego ust, i poczuł, że gardzi sobą za to, kim jest, i kim nigdy nie będzie mógł się stać.

Poirytowana, a zarazem zawstydzona Louise nie wiedziała, czy chce go odepchnąć czy pocałować.

- To była przyjemna noc, Andy. Niczego nie żałuję.

Miała ochotę pogłaskać chłopaka po pochylonej, drżącej głowie, ale to byłoby zbyt okropne. Okrążyła go i wyszła, zamykając cicho za sobą drzwi.

*

Jay obudziły donośne głosy i trzaskanie drzwiami. Dziewczynka usiadła w łóżku i ziewnęła szeroko, przeciągając ramiona. Na dworze była noc, słyszała łagodny szum fal uderzających o brzeg. Ludzie chodzili po pokojach, rozmawiając podekscytowanymi głosami. Usłyszała kroki na skrzypiących drewnianych schodach prowadzących na werandę. Potem frontowe drzwi znowu trzasnęły.

Wzięła w ręce Księcia Della i wyszła na paluszkach do krótkiego korytarza. W domku na plaży nigdy jeszcze nie było takiego zamieszania, nawet wtedy, gdy starzy obserwatorzy planowali założenie nowej kolonii. Z pewnością stało się coś okropnie ważnego, a to znaczyło, że warto było podsłuchiwać.

Nagle głosy umilkły.

- Chodź, Jay - dobiegł z pokoju głos Tracy.

Dziewczynka weszła do środka. Przed Tracy nie można było nic ukryć. W pokoju było też siedmioro innych emerytowanych obserwatorów. Jay spuściła głowę i podbiegła do wielkiego fotela, w którym siedziała Tracy, zbyt zawstydzona, by cokolwiek powiedzieć.

- Przepraszam, złotko - powiedziała Tracy, gdy Jay usiadła obok niej. - Obudził cię hałas?

- Co się stało? - Zapytała Jay. - Dlaczego wszyscy tu są?

- Próbujemy zdecydować, czy powinniśmy prosić Korpus o interwencję - wyjaśniła Tracy. -

Znowu!

- Na Ziemi coś się wydarzyło - dodał Arnie. - Z początku nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale Quinn Dexter może zrobić coś bardzo niebezpiecznego.

- Korpus nie będzie interweniował - stwierdził z przygnębieniem w głosie Galie. - Nie ma jeszcze powodu. Znacnie zasady.

Robi to tylko wtedy, gdy jest zagrożony inny, nieświadomy gatunek. Quinn Dexter, zgodnie z podręcznikami, jest uważany za człowieka. A więc zrobimy to sobie sami.

- Powinno się zmodyfikować te podręczniki - poskarżył się Arnie. - Moim zdaniem on nie ma w sobie cienia człowieczeństwa.

- Korpus nie będzie interweniował, bo ten barbarzyński prezydent użyje broni strategiczno-obronnych.

- Ale nie na czas, by powstrzymać Dextera - zauważyła Tracy. - Zwłaszcza jeśli B7 opóźni wykonanie rozkazu.

- Co chce zrobić Dexter? - Zapytała Jay, przytulając się do staruszki.

- Nie jesteśmy do końca pewni. Może nic takiego.

- Ha - mruknął Arnie. - Tylko zaczekaj.

- Obserwujecie to? - Dopytywała dalej Jay. Senność opuściła ją całkowicie.

Tracy zerknęła na Arnego. Doszło między nimi do mentalnej wymiany zdań. Dziewczynka to czuła, nawet jeśli nie potrafiła rozróżnić słów. Ostatnio robiła się w tym coraz lepsza.

- Proszę! - Zawołała. - To jest mój świat.

- Zgoda - ustąpiła Tracy. - Możesz chwilę posiedzieć i popatrzeć. Ale niech ci się nie zdaje, że zobaczysz jakieś krwawe kawałki.

Dziewczynka rozpromieniła się radośnie.

Wszyscy dorośli usiedli na krzesłach albo na kanapie, na którą wepchnęły się trzy osoby. Tracy włączyła telewizor i na ekranie pojawiła się pusta ulica, przy której stały starożytne budynki.

Niebo przesłaniała gruba warstwa czerwonych chmur. Jay zadrżała na ten widok. Wyglądały zupełnie jak na Lalonde.

- To Londyn - wyjaśniła Tracy, wręczając Jay kubek z gorącą czekoladą.

Dziewczynka posadziła sobie Księcia Della na brzuchu, żeby dobrze widział, a potem pociągnęła z zadowoleniem łyk słodkiego napoju. Ulicą ktoś szedł.

*

"Lady Makbet" wyłoniła się w odległości stu milionów kilometrów od gwiazdy typu widmowego F, pięć stopni nad ekliptyką. Ponieważ układ nie był zaznaczony na ich mapach, Joshua sprawdził go pośpiesznie czujnikami bojowymi. Były szybsze niż dokładniejszy zestaw standardowy i jeśli coś zmierzało ku nim kursem na zderzenie, zapewne zdążą przeskoczyć na czas.

- Przestrzeń jest czysta - zameldowała Beaulieu.

Po raz pierwszy od trzydziestu godzin Joshua zdołał się uspokoić. Wyciągnął się wygodnie w fotelu. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak mocno napinał mięśnie szyi i barków. Były gorące i twarde jak kamień.

- Udało się! - Zakrzyknął radośnie Liol.

Wszyscy gratulowali sobie głośno. Joshua rozkazał komputerowi pokładowemu wysunąć standardowe wysięgniki z czujnikami, a także panele termozrzutu.

- Alkad - przekazał datawizyjnie. - Wypuść Kempstera z kapsuły zerowej i powiedz mu, że jesteśmy na miejscu.

- Tak jest, kapitanie - potwierdziła.

- Beaulieu, Ashly, aktywujcie instrumenty obserwacyjne. Reszta niech wprowadzi "Lady Makbet" na standardową orbitę. Dahybi, nadal chcę być w każdej chwili zdolny do skoku. Węzły mają być naładowane.

- Tak jest, kapitanie.

- Stan paliwa?

- Wystarczający - odpowiedziała Sarha. - Zostało nam czterdzieści procent paliwa termojądrowego i pięćdziesiąt pięć procent antymaterii. Biorąc pod uwagę, że zużyliśmy piętnaście procent zasobów antymaterii, by przesunąć Lalarin-MG, wciąż mamy jej wystarczająco wiele, żeby wrócić do Konfederacji. Możemy nawet wykonać parę skoków w tym układzie, pod warunkiem, że nie zechcesz zbadać wszystkich księżyców.

- Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne - odparł Joshua. Wiadomość od Swantik-LI nie wspominała, gdzie dokładnie znajduje się Śpiący Bóg - czy krąży wokół jednej z planet czy wokół samej gwiazdy.

Załoga odprężyła się, gdy "Lady Makbet" przeszła z reżimu podróznego do mniej wymagającego trybu orbitalnego. Wszyscy unosili się beładnie na mostku albo korzystali z łazienki. Ashly udał się do kuchni po coś do jedzenia. Długotrwałe narażenie na wysokie przeciążenia zużywało siły, a spożywanie w tym czasie sycących posiłków nie było rozsądne. Znaczna masa mogła uszkodzić nawet sztucznie wzmocnione błony śluzowe. Wszyscy chciwie pożarli gąbczasty makaron, ściągając zawzięcie po mostku kulki gorącego sosu serowego.

- Podobno on widzi cały wszechświat - odezwał się Liol z pełnymi ustami. - Czy to znaczy, że wie o naszej obecności?

- Każdy teleskop widzi cały wszechświat - zauważył Ashly.

- Ale z tego nie wynika, że przez wszystkie można nas zobaczyć.

- Jednak na pewno wykrył dystorsję pola grawitacyjnego, kiedy tu przeskoczyliśmy - nie ustępował Liol.

- Masz na to jakiś dowód?
- Jeśli nawet o nas wie, siedzi cicho - stwierdziła Beaulieu.
- Nasze czujniki nie wykrywają żadnych emisji elektromagnetycznych.
- Jak znaleźli go Tyratakowie?
- Pewnie bez trudu - odparł Dahybi.

Pracując pod kierownictwem Kempstera i Renata, Beaulieu wystrzeliła szesnaście satelitów obserwacyjnych. Wszystkie oddaliły się od "Lady Makbet" z przyspieszeniem 7 g, a następnie ustawiły się w kulistą formację z gwiazdolotem w środku. Po dwóch minutach odrzuciły człony raketowe na paliwo stałe i dalej leciały swobodnie. Ich główne sekcje tworzyły uniwersalne zestawy czujników wizualnych, wielkie, technologiczne, owadzie oczy patrzące we wszystkie strony jednocześnie. Wspólnie utworzyły wciąż rosnące zwierciadło teleskopu, zdolne osiągnąć olbrzymie powiększenie. Jego możliwości ograniczały jedynie moce obliczeniowe potrzebne do analizy napływających danych.

Instrumenty rejestrowały wszystkie widoczne obiekty o ujemnej wielkości gwiazdowej, najprawdopodobniej będące planetami. Ich pozycję sprawdzano pięć razy na sekundę, by się upewnić, czy się poruszają.

Po zlokalizowaniu planet można było skupić teleskop na każdej z nich kolejno, by sprawdzić, czy w pobliżu znajduje się zaburzenie przestrzeni, o którym wspominał raport Swantik-LI. Przyjęli założenie, że można je zobaczyć w paśmie widzialnym, gdyż Tyratakowie nie dysponowali technologią detekcji grawitonów. Jeśli nic nie znajdą, będą musieli gruntowniej przebadать układ.

- To bardzo niezwykle - przekazał im datawizyjnie Kempster po zakończeniu pierwszej fazy obserwacji. Obaj z Renatem siedzieli w głównym pomieszczeniu kapsuły C, podobnie jak Alkad i Peter. Zainstalowano tam specjalistyczny sprzęt elektroniczny, który przerobił kabinę na prowizoryczne laboratorium astrofizyczne.

Joshua i Liol wymienili spojrzenia, w których zdziwienie mieszało się z wesołością.

- Pod jakim względem? - Zapytał kapitan.

- Wykryliśmy tylko jeden obiekt o ujemnej wielkości gwiazdowej krążący wokół gwiazdy - odparł astronom. - Tu po prostu nie ma nic więcej. Żadnych planet ani asteroid. Instrumenty "Lady Makbet" nie zaobserwowały nawet chmur międzyplanetarnego pyłu. Usunięto stąd wszelką materię, niemal do poziomu cząsteczkowego. Jedyne normalnym zjawiskiem jest tu wiatr słoneczny.

- Usunięto ją czy po prostu wessało ją zakłócenie przestrzeni? - Mruknęła Sarha.

- Co to za obiekt? - Zapytał Joshua.

- Ma wielkość sporego księżyca i krąży w odległości trzystu milionów kilometrów od gwiazdy.

Wszyscy członkowie załogi połączyli się datawizyjnie z zestawem instrumentów i ujrzeli bardzo jasny świetlny punkcik, który na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym szczególnym.

- Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić analizy widmowej - dodał Kempster. - Odbija światło słoneczne właściwie w stu procentach. Jego powierzchnię z pewnością stanowi coś w rodzaju zwierciadła.

- Powiedziałeś: "bez trudu" - przypomniał Dahybiemu Ashly.

- To wręcz oczywiste - zauważył Joshua. Wprowadził współrzędne wyznaczające położenie enigmatycznego obiektu do komputera pokładowego i obliczył wektor skoku, który zaprowadzi ich na odległość miliona kilometrów od niego.

- Przygotować się. Za minutę przyspieszamy.

Impulsywny gniew, który kazał Louise uciec z mieszkania Andy'ego, opuścił ją, gdy dotarła na Islington High Street. Wędrując po pustych ulicach, miała zbyt wiele czasu na zastanowienie. Myślała głównie o tym, jak bardzo była porywcza i głupia. Ale jej motywy nie utraciły ważności. Ktoś musiał coś zrobić, nawet gdyby miał to być czczy gest. To myśl o pojmaniu i spotkaniu z Dexterem sprawiała, że nogi uginały się pod nią ze strachu.

Neuronowy nanosystem przestał działać, gdy Louise skręciła w St John Street. Właściwie jednak nie potrzebowała już planu. Dexter z pewnością będzie blisko środka czerwonej chmury. Musiała tylko przejść parę mil dzielących ją od Tamizy. Wiedziała, że nie ma szans dotrzeć tak daleko.

Burzliwa, wystrzępiona krawędź chmury nadal posuwała się powoli ku wieżowcom znajdującym się za plecami Louise. Dotarła już do Finsbury, zaledwie ćwierć mili przed nią. Od jej drżącego spodu dobiegał niski, dźwięczny grzmot niosący się echem po opustoszałych ulicach. Liście na gałęziach wysokich drzew poruszały się dysharmonijnie, gdy od centrum chmury dęły nieprzewidywalne, ciepłe powiewy. Ptaki wzbijały się wysoko na prądach termicznych. Louise widziała maleńkie, czarne punkciki zbijające się w wielkie stada. Wszystkie zmierzały w tę samą stronę. Na zewnątrz.

Ptaki miały więcej rozumu od ludzi. Zdumiewało ją, że nie widziała nikogo, kto uciekałby przed chmurą. Wszyscy londyńczycy zabarykadowali się w mieszkaniach. Czy strach sparaliżował ich, tak samo jak Andy'ego?

Weszła w cień chmury. Szkarłatny półmrok ogarnął ją niby wypaczony zmierzch. Na dokładkę do wilgotnego wiatru dmącego jej prosto w twarz pojawiło się trwożne przygnębienie, które odbierało siłę jej kończynom. Grzmoty nad jej głową nasiliły się, nie cichnąc ani na moment. Po skłębionej powierzchni chmury przesuwały się rozwidlone zygzaki ciemności: czarne błyskawice kradnące fotony z nieba.

Kiedy się żegnały, Genevieve chciała jej dać srebrny wisiołek z ziemską magią, który dostała od Carmithy, Louise odmówiła. Teraz tego żałowała. Przydałby się jej jakikolwiek amulet zabezpieczający przed złem. Postanowiła, że pomyśli o Joshui, który był dla niej prawdziwym talizmanem chroniącym przed brutalną prawdą o życiu poza Norfolkem. Po chwili zaczęła jednak wspominać Andy'ego. Nadal nie żałowała tego, co zrobiła, choć nie miało to już znaczenia.

Louise przeszła kawałek Rosebery Avenue i skręciła w Farringdon Road. Nagle przed nią pojawiła się grupa opętanych. Było ich sześciu, poruszali się z niespieszną pewnością siebie. Wszyscy mieli na sobie proste, czarne garnitury. Stanęli szeregiem między chodnikami, zwracając się twarzą ku Louise. Podeszła do tego, który stał pośrodku - wysokiego, chudego mężczyzny o przetłuszczonych, brązowych włosach.

- Dziewczyno, co ty, kurwa, wyprawiasz? - Zapytał opętany.

Louise wymierzyła w niego antypamięć. Koniec broni znajdował się zaledwie stopę od jego twarzy. Mężczyzna zeszywniał, co znaczyło, że wie, z czym ma do czynienia. Nie pocieszyło to zbyt wiele Louise. Ktoś inny też musiał mieć antypamięć. Wiedziała, kto.

- Zaprowadźcie mnie do Quinna Dextera - zażądała.

Wszyscy opętani ryknęli śmiechem.

- Do niego? - Zapytał ten, do którego celowała. - Jesteś nienormalna, czy co?

- Jeśli tego nie zrobicie, wystrzelę.

Jej głos był bliski załamania. Z pewnością wiedzieli o tym dzięki swym diabelskim zmysłom. Ścisnęła mocniej antypamięć, chcąc powstrzymać drżenie rąk.

- Jak sobie życzysz - odparł.

Przesunęła nagle broń do przodu. Opętany cofnął nerwowo głowę.

- Nie posuwaj się za daleko, dziwko.

Opętani odwrócili się i ruszyli przed siebie. Louise postawiła kilka niepewnych kroków.

- Idź za nami - polecił wysoki mężczyzna. - Mesjasz czeka na ciebie.

Nie opuszczała broni, choć nie mogła się na wiele zdać. Wszyscy opętani odwrócili się do niej plecami.

- Czy jest daleko stąd? - Zapytała.

- Blisko rzekł. - Opętany obejrzał się przez ramię, rozciągając usta w wąskim uśmiešku. -

Masz pojęcie, co robisz?

- Znam Dextera.

- Nie znasz. W przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.

*

Okazało się, że obrazy przekazane przez Swantik-LI były jednak dokładne. Z odległości miliona kilometrów Śpiącego Boga nie można było pomylić z niczym innym - dwie wklęsłe, stożkowate wieże zrosnięte podstawami, trzy i pół tysiąca kilometrów długości. Idealna symetria obiektu dowodziła jego sztucznego pochodzenia. Centralna obręcz zwężała się do ostrej krawędzi o grubości mierzonej w pojedynczych cząsteczkach. Oba końce również były ostre jak rapier. Wszystkich członków załogi nawiedziła niemiła wizja "Lady Makbet" nadzianej na jedną z tych wąskich igieł.

Beaulieu wystrzeliła w stronę obiektu pięć satelitów astrofizycznych wyposażonych w napęd termojądrowy. Wszystkie oddaliły się od gwiazdolotu po trajektoriach, które pozwolą im otoczyć wianuszkami Śpiącego Boga.

Joshua zaprowadził całą załogę do pomieszczenia w kapsule C, gdzie siedzieli już Alkad, Peter, Renato i Kempster, zajęci interpretacją danych zbieranych przez satelity oraz instrumenty obserwacyjne gwiazdolotu. Samuel, Monica, a także jeden z sierżantów pomagali im w pracy.

Z konsoli przetwarzających dane astrofizyczne wyrosły holograficzne ekrany o wysokiej rozdzielczości. Na każdym z nich pojawił się inny obraz Śpiącego Boga. Projekcje lśniły wszystkimi kolorami tęczy, zawierały też przedstawienia graficzne. Główny projektor AV pokazywał obraz w nieprzetworzonym paśmie widzialnym, materializując go pośrodku pomieszczenia. Śpiący Bóg wisiał samotnie w przestrzeni. Światło słoneczne odbijało się podłużnymi błyskami w jego powierzchni. To była pierwsza anomalia. Renato przez całą minutę wpatrywał się ze zdumieniem w obraz. Nim wreszcie uświadomił sobie oczywiste.

- Hej! - Zawołał. - On nie ma ciemnej strony.

Joshua przyjrzał się z uwagą projekcji AV; a potem połączył się bezpośrednio z procesorami konsoli, żeby to sprawdzić. Satelity potwierdziły, że cała powierzchnia Śpiącego Boga lśni z jednakową jasnością. Nie było żadnych cieni.

- Czy to światło powstaje wewnątrz? - Zapytał.

- Nie - zaprzeczył Renato. - Jego widmo zgadza się z widmem gwiazdy. Musi w jakiś sposób zakrzywiać światło. Podejrzewam, że to soczewka grawitacyjna, niewiarygodnie gęsta masa. To by się zgadzało ze słowami Tyrataków, którzy mówili o zakłóceniu przestrzeni.

- Alkad? - Zapytał Joshua. - Czy on jest zrobiony z neutronium?

Byłoby straszliwą ironią, gdyby Bóg składał się z tego samego materiału, co jej broń.

- Chwilę, kapitanie. - Fizyczka sprawiała wrażenie zakłopotanej. - Odbieramy dane pochodzące z detektorów grawitacji.

Na kilku holoe ekranach pojawiły się wielobarwne ikony. Alkad i Peter odczytali je z

zaskoczeniem na twarzach, a potem wbili wzrok w centralną projekcję.

- Co się stało? - Zapytał Joshua.

- Sugeruję, że ten tak zwany Bóg jest w rzeczywistości nagą osobliwością.

- Kurwa, to niemożliwe! - Obruszył się Kempster. - Jest stabilny.

- Przyjrzyj się jego geometrii - odparła Alkad. - Rejestrujemy fluktuacje fal grawitacyjnych, wyłącznie o bardzo małej długości.

- Satelity wykrywają w nich regularności - dodał Peter.

- Słucham? - Przyjrzała się jednej z projekcji. - Matko Boska, to niemożliwe. Fluktuacje próżni muszą być losowe. Tylko dlatego istnieją.

- Ha - mruknął z satysfakcją Kempster.

- Wiem, co to jest osobliwość - odezwał się Joshua. - Punkt, w którym masa osiąga nieskończoną gęstość. To ona powoduje powstawanie czarnych dziur.

- Powstawanie horyzontu zdarzeń - poprawił go Kempster.

- Kosmicznego cenzora. W osobliwości załamują się prawa fizyki, ponieważ w fizycznej rzeczywistości nieskończoność nie może istnieć.

- Poza pewnymi, bardzo szczególnymi przypadkami - dodała Alkad. - Standardowy kolaps grawitacyjny gwiazdy ma charakter sferyczny. Gdy jej jądro skurczy się tak bardzo, że grawitacja staje się silniejsza od ekspansji termicznej, materia spada na nie ze wszystkich kierunków jednocześnie. W rezultacie cała masa gwiazdy zapada się do punktu, osobliwości. Przyciąganie staje się tak silne, że nic nie może z niego uciec. Powstaje horyzont zdarzeń. Teoria mówi jednak, że jeśli wprawi się gwiazdę w szybki ruch obrotowy, siła odśrodkowa zmieni jej kształt, rozszerzając ją wokół równika. Jeśli gwiazda będzie wirować wystarczająco szybko, wyrzucenie przetrwa kolaps.

- Fizyczka wskazała palcem projekcję. - Gwiazda przybierze taki właśnie kształt. A pod sam koniec skali czasowej kolapsu, gdy cała materia gwiazdy osiągnie już gęstość osobliwości, nadal go zachowa i zanim gwiazda ostatecznie zapadnie się do sfery, część jej masy nadal będzie wystawała poza horyzont zdarzeń.

- Przez bardzo krótką chwilę - sprzeciwił się Kempster. - Nie przez piętnaście tysięcy lat.

- Wygląda na to, że ktoś nauczył się zatrzymywać tę chwilę na dowolnie długi czas.

- Chcesz powiedzieć, że on jest jak "Alchemik" - zapytał datawizyjnie Joshua.

- Nie - odpowiedziała w ten sam sposób. - Ta gęstość znacznie przekracza wszystko, co udało mi się osiągnąć za pomocą "Alchemika".

- Jeśli gęstość jest nieskończona, całą masę otacza horyzont zdarzeń. Światło nie może uciec - wyrecytował pedantycznie Kempster.

- A jednak ucieka - zauważyła Alkad. - Z całej powierzchni.

- Fotony wydostają się dzięki fluktuacjom próżni - stwierdził Renato. - To właśnie widzimy. Z tego wynika, że ten, kto go stworzył, nauczył się nad nimi panować. Kurczę!

Wyszczerzył zęby w pełnym zachwyty uśmiechu.

- Nic dziwnego, że nazwali go Bogiem - stwierdziła z podziwem w głosie Alkad. - Regulowane fluktuacje próżni. Dla tego, kto potrafi dokonać takiej sztuki, nie ma żadnych ograniczeń.

- Porządek z chaosu - zauważył Peter, spoglądając na nią z rozbawieniem.

- Kempster? - Zapytał Joshua.

- To wyjaśnienie mi się nie podoba - przyznał stary astronom z bladym uśmieszkiem. - Ale nie potrafię go obalić. W gruncie rzeczy, to może nawet tłumaczyć przeskok Swantik-LI do innego układu gwiazdnego. Fluktuacje próżni mogą mieć ujemną energię.

- Oczywiście - zgodził się Renato. Podchwycił szybko tę myśl, uśmiechając się radośnie do

szefa. - To byłyby egzotyczne fluktuacje. Ten stan pozwala otworzyć tunel czasoprzestrzenny. Jak pole dystorsyjne jastrzębia.

Samuel potrząsał głową, słuchając przebiegu dyskusji.

- Ale po co? - Zapytał. - W jakim celu zbudowali coś takiego?

- Niewyczerpane źródło tuneli czasoprzestrzennych - zauważyła Alkad. - Co więcej, Tyratakowie twierdzą, że ich Bóg pomaga biologicznym istotom w rozwoju. To najdoskonalszy generator napędu gwiazdowego. Zapewne można za jego pomocą wędrować między galaktykami.

- Chryste, podróże międzygalaktyczne - mruknął Liol z rozmarzeniem w głosie. - Co wy na to?

- Brzmi nieźle, ale to nam nie pomoże rozwiązać problemu opętania - odparła Monica.

Liol obrzucił ją zranionym spojrzeniem.

- Dobra - odezwał się Joshua. - Jeśli macie rację i to rzeczywiście jest sztuczna naga osobliwość, musi istnieć jakiś ośrodek kontroli fluktuacji próżni. Czy już go znaleźliśmy?

- Nie ma tu nic poza samą osobliwością - odparł Renato. - Nasze satelity widzą całą powierzchnię. Nic nie ukrywa się po drugiej stronie i nic nie krąży wokół niego.

- Musi być coś więcej. Tyratakowie przekonali go, żeby stworzył dla nich tunel czasoprzestrzenny. Jak mamy to zrobić?

Neuronowy nanosystem zawiadomił Joshuę, że otworzył się nowy kanał łączności.

- Możecie poprosić - odpowiedziała datawizyjnie osobliwość.

*

Chmura świeciła ze stałą jasnością, ale jej odcień zmieniał się znacznie, w miarę jak Louise zbliżała się do centrum. Gdy szła przez plac przed katedrą Świętego Pawła, wszystko wokół nabrało ciemnokarmazynowej barwy. Kamienne rzeźby zdobiące piękny, stary budynek rzucały na mur długie, czarne cienie, hebanowe kraty więzienne, które wyciskały zeń ostatnie resztki świętości.

Opętani płasali wokół Louise niczym obłąkani tancerze morrissa, zapraszając ją do środka drwiącymi gestami. Grzmoty umilkły, gdy dziewczyna dotarła do wielkich dębowych drzwi. Zapadła złowroga cisza. Louise weszła do katedry.

Postąpiła kilka kroków naprzód, a potem zatrzymała się trwożnie. Drzwi zamknęły się ze świstem zimnego powietrza. W nawie stały tysiące opętanych, odzianych w zdobne kostiumy z najróżniejszych kultur i epok ludzkiej historii. Każdy ze strojów był zupełnie czarny. Wszyscy opętani patrzyli na nią. Nagle organy zagrały hałaśliwą, hardrockową wersję marsza weselnego. Muzyka była tak głośna, że Louise zasłoniła uszy dłońmi. Opętani zwrócili się jak jeden mąż w stronę ołtarza, zostawiając dla niej wąskie przejście biegnące samym środkiem nawy. Louise ruszyła przed siebie. Nie zrobiła tego świadomie. Jej kończyny poruszały się niezależnie od niej, popychane skupioną wolą opętanych. Po kilku krokach antypamięć wyślizgnęła się z jej palców i spadła na spękaną posadzkę.

Otoczyły ją duchy. Wyciągały błagalnie dłonie i przenikały przez nią, potrząsając ze smutkiem głowami.

Muzyka ucichła, gdy dziewczyna dotarła do pierwszego szeregu opętanych. Stał na wysokości skrzydeł transeptu katedry. Posadzka pod centralną kopułą była pusta. Pod ścianami ustawiono piecyki, w których płonął cuchnący ogień. Czarny dym brudził sadzą jasne mury. Louise nie widziała szczytu kopuły, przesłaniały go szare opary. Wysoko ponad nią znajdowała się galeria. Grupa ludzi opierała się o poręcze, z góry spoglądając na nią z lekkim zainteresowaniem.

Przymus utracił moc. Dziewczyna zatoczyła się do przodu.

- Cześć, Louise - przywitał ją Quinn Dexter. Stał przed sprofanowanym ołtarzem. Czarna szata skrywała całe jego ciało.

Louise postąpiła parę chwiejnych kroków naprzód. Strach ścisnął każdy jej mięsień, całe ciało miała sztywne. Nie była pewna, czy zdoła się długo utrzymać na nogach.

- Dexter?

- Nie kto inny. - Przesunął się na bok, pozwalając jej zobaczyć mężczyznę, który leżał na ołtarzu z rozpostartymi kończynami. - Boży Brat ponownie sprowadził nas troje w to samo miejsce.

- Fletcher - pisnęła.

Quinn wyciągnął ku niej rękę. Spod szaty wysunęła się biała jak śnieg dłoń. Skinął zakończonym pazurem palcem, pozwalając jej podejść bliżej.

Przerażały ją rany oraz zakrzepła krew pokrywające ciało więźnia. Gdy jednak podeszła bliżej, zauważyła, że jego napięte mięśnie drżą. Nieznajoma twarz wykrzywiała się w grymasie cierpienia. Mężczyzna wciągał powietrze w szybkich, bolesnych haustach.

- Fletcher?

Quinn skinął dłonią i wyłączono prąd. Ciało osunęło się na kamienny ołtarz, dysząc z szoku. Zakrwawione oblicze ustąpiło miejsca twarzy Fletchera. Spadły z niego łańcuchy i metalowe kajdany. Wszelkie rany zniknęły, gdy zmaterializował się świetnie jej znany mundur marynarski. Fletcher zszedł ostrożnie z ołtarza.

- Moja najdroższa pani, nie powinnaś była tu przychodzić.

- Musiałam.

Quinn ryknął śmiechem.

- Twoja kolej, Fletch. Jeśli zdecydujesz właściwie, wyjdiesz stąd razem z nią. W przeciwnym razie będzie należała do mnie.

- Pani.

Głos Fletchera był pełen bólu.

- Dlaczego chce cię wypuścić? - Zapytała Louise.

- Wystarczy, że zaciągnie się do armii potępieńców - wyjaśnił Quinn. - Nie każę mu nawet podpisywać się krwią.

- Nie - sprzeciwiła się. - Fletcher, nie możesz tego zrobić. Przyszłam, żeby ostrzec was wszystkich. To musi się skończyć. Trzeba rozproszyć czerwoną chmurę.

- Czy to groźba, Louise? - Zapytał Quinn.

- Twoja chmura przstraszyła Rząd Centralny. Myślą, że chcesz zabrać Ziemię z wszechświata. Prezydent na to nie pozwoli. Zaatakuję Londyn bronią strategiczno-obronną. Wszyscy zginą. Wiele milionów ludzi.

- Mnie nie zabije - zauważył Quinn.

- Ale ich tak. - Wskazała na milczące szeregi opętanych. - A bez nich będziesz niczym.

Quinn zbliżył się do niej, unosząc się w powietrzu. Spod kaptura wyłoniła się wykrzywiona w grymasie wściekłości twarz.

- Na Bożego Brata, jak ja cię nienawidzę!

Uderzył ją otwartą dłonią w skroń, wzmacniając cios energistyczną mocą.

Louise krzyknęła z bólu. Zatoczyła się do tyłu, uderzając o ołtarz, i osunęła się na podłogę. Jęknęła cicho, gdy usta wypełniła jej krew.

Fletcher skoczył naprzód, ale Quinn nagle przystawił mu do nosa antypamięć.

- Cofnij się, pojebie! - Warknął mroczny mesjasz. - I to już!

Fletcher odsunął się, dysząc ciężko.

Quinn przeszył Louise wściekłym spojrzeniem.

- Przyszłaś, by ratować ludzi. Ludzi, których w życiu nie widziałaś. Ludzi, których nie znasz.

Mam rację?

Dziewczyna łkała z bólu, unosząc rękę do twarzy. Krew wypłynęła z jej ust, ściekając na posadzkę. Louise spoglądała bez zrozumienia na Dextera.

- Mam rację?

- Tak - załkała.

- Nienawidzę tej twojej przyzwoitości. Tej wiary, że możesz się ze mną porozumieć, bo w głębi duszy ja również jestem człowiekiem i mam serce. Że w ostatecznym rozrachunku zachowam się rozsądnie. Że z pewnością ustąpię i porozumiem się ze skurwysyńskimi superglinami, które próbowały odstrzelić mi dupę, odkąd wróciłem na tę śmierdzącą, zasyfioną planetę. Dlatego właśnie cię nienawidzę, Louise. Jesteś produktem religii, która przez z górą dwa i pół tysiąca lat systematycznie starała się zakuć w łańcuchy węzową bestię. Religie, wszystkie religie, nie pozwalają naszej prawdziwej naturze lśnić pełnym blaskiem, osłabiają nas, byśmy przez całe życie padali na kolana przed fałszywym Panem. To twoja ścieżka, Louise, bo masz dobre serce. Sam fakt twojego istnienia czyni cię wrogiem Nosiciela Światła. Moim wrogiem. Nienawidzę cię tak mocno, że sprawia mi to ból. Zapłacisz mi za to. Nikt nie będzie sprawiał mi bólu, a potem śmiał się z tego w towarzystwie przyjaciół. Zrobię z ciebie kurwę mojej armii. Wszyscy moi wyznawcy będą musieli cię wyruchać. Będą to robić, aż wreszcie postradasz zmysły i serce ci pęknie. A wtedy, gdy nie zostanie z ciebie nic, poza obłąkanym mięsem wykrwawiającym się w rynsztoku, wezmę zabójcę dusz i unicestwię cię, bo w żadnym wypadku nie zgodzę się spędzić z tobą choć jednej nocy w piekle. Nie jesteś tego godna.

Louise odsuwała się od niego, poruszając się na czworakach, aż wreszcie oparła się o ołtarz.

- Możesz zrobić to wszystko, możesz mnie torturować, aż wreszcie wyrzeknę się wszystkiego, w co wierzę, ale nie zmienisz tego, kim jestem w tej chwili. A tylko to się liczy. Jestem wierna sobie, a więc już odniosłam zwycięstwo.

- Głupia dziwka. Właśnie dlatego ty i twój fałszywy Pan zawsze przegracie. Zwycięstwo istnieje wyłącznie w twojej głowie. Moje ma charakter fizyczny. Jest tak kurewsko realne, jak tylko możliwe.

Louise obrzuciła go wyzywającym spojrzeniem.

- Gdy zło będzie władało, dobro zepsuje je od środka.

- Nie chrzań. Podobni tobie nie zdołają zepsuć armii, którą poprowadzę do boju. Powiedz jej, Fletcher. Bądź z nią szczerzy. Czy moja armia zwycięży? Czy Noc nadchodzi?

- Fletcher? - Zapytała.

- Pani... Nie...

Zwiesił głowę w niemej rozpacz.

- Nie! - Wydyszała. - Fletcher!

Quinn obserwował ją, uśmiechając się z dziką satysfakcją.

- Jesteś gotowa obejrzeć najgorszą część? Złapał ją za ramię i podniósł na nogi.

- Puść ją - zażądał Fletcher. W brzuch uderzyła go kula zestalonego powietrza. Ból przeszył wszystkie nerwy w jego ukradzionym ciele. Runął na posadzkę, ślizgając się, jakby była z lodu. Gdy wreszcie się zatrzymał, zorientował się, że znajduje się dokładnie pod szczytem kopuły.

- Nie ruszaj się - rozkazał Quinn.

Wokół Fletchera zmaterializował się pentagram z wysokich, białych płomieni. Mógł tylko przyglądać się bezradnie, jak Quinn wlecze Louise do południowego transeptu. Oboje wyszli przez boczne drzwi.

Znaleźli się na krętych schodach i ruszyli w górę. Musiała biec, by dotrzymać mu kroku.

Schody ciągnęły się bez końca. Po chwili dopadły ją niebezpieczne zawroty głowy. Ból w skroni był tak intensywny, że bała się, iż zaraz zwymiotuje.

Weszli do wąskiego przejścia prowadzącego do galerii biegnącej wokół kopuły. Quinn szedł nią, aż wreszcie znalazł się naprzeciwko nawy. Pchnął Louise ku młodej dziewczynie w skórzanej kamizelce i różowych džinsach.

- Miej na nią oko - rozkazał.

W pierwszej chwili Louise myślała, że Courtney jest opętana. Miała szmaragdowozielone włosy, stojące na sztorc i uformowane w przypominające płomienie kolce. Jednak jej policzki i ramiona pokrywały niezagojone rany, które zaczynały się paskudzić, a jedno oko niemal całkowicie zamykała opuchlizna.

Courtney zachichotała, przytrzymując mocno Louise.

- Będę cię miała pierwsza.

Oblizła ucho pojmanej, zaciskając dłonie na jej pośladkach. Louise jęknęła. Nogi ugięły się pod nią.

- Cholera - mruknęła Courtney i pchnęła ją na niską ławę biegnącą wokół galerii.

- Nie pożyjemy aż tak długo - oznajmiła Louise ochryplym głosem.

Courtney obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

Quinn oparł dłonie o poręcz, spoglądając z góry na swych milczących wyznawców stłoczonych w nawie. Fletcher Christian stał bez ruchu pośrodku płonącego pentagramu. Odchylił głowę, patrząc na galerię. Quinn skinął dłonią i więzienie z białych płomieni zniknęło. Fletcher został sam na podłodze.

- Nim nadejdzie świt Nocy, musimy przywołać jedną osobę, której tu nie widzimy - oznajmił Quinn. - Wiem jednak, że ukrywa się w pobliżu. Zawsze jesteś przy mnie, prawda?

Ton łagodnego niezadowolenia w jego głosie sprawił, że opętani poruszyli się nerwowo.

Quinn skinął na czekającego na galerii akolitę, który przyprowadził do niego Gretę. Popchnął ją na poręcz, tak mocno, że omal nie wypadła. Mroczny mesjasz złapał kobietę za kark, unosząc jej głowę. Zwisające w strąkach włosy zasłaniały jej twarz.

- Powiedz, jak się nazywasz - rozkazał.

- Greta - wymamrotała.

Wydobył spod szaty antypamięć i podsunął ją pod jej oczy.

- Głośniej.

- Greta. Jestem Greta Manani.

- Hej, tatusiu - zawołał Quinn. - Tatusiu Manani, pokaż się, gdziekolwiek jesteś.

Opętani na dole zaczęli się rozglądać wokół. Rozległy się wśród nich szepty zdziwienia. Quinn wykorzystywał ich oczy w poszukiwaniu ruchu.

- Wyłaż, pojebie! NATYCHMIAST. Bo zabiję jej duszę. Słyszysz?

W katedrze poniosło się echo kroków jednego człowieka. Milczący opętani rozstąpili się gładko, by przepuścić Powela Mananiego. Nadzorca zesłańców wyglądał tak samo jak wtedy, gdy Quinn widział go ostatnio na Lalonde, muskularny mężczyzna w koszuli w czerwono-zieloną kratę. Manani wszedł pod kopułę, wsparł ręce na biodrach i uśmiechnął się do Quinna.

- Widzę, że nadal jesteś totalnym nieudacznikiem, zesłańcu.

- Kurwa, nie jestem zesłańcem! - Wrzasnął Quinn. - Jestem Mesjaszem Nocy!

- Skoro tak mówisz. Ale jeśli skrzywdzisz moją córkę, mesjaszu wszystkich popierdoleńców, osobiście dokończę robotę, którą Twelve-T zaczął na Jesupie.

- Krzywdzę ją już od dłuższego czasu.

- Założę się, że to nie może się równać z tym, co zrobiliśmy z twoimi kumplami Lesliem i Kayem oraz z innymi zesłańcami, których dorwaliśmy.

Przez krótką chwilę Quinn miał ochotę przeskoczyć przez poręcz i zaatakować nadzorcę, nakarmić swą węzową bestię. Po chwili jednak gniew opadł. Zapewne tego właśnie chciał Manani. Quinn wyczuwał, jak silna jest energistyczna moc tamtego. Znacznie przyjemniej będzie złożyć go w ofierze nadciągającym aniołom ciemności.

- Jeśli ją zabijesz, nie zostanie ci nic, co mógłbyś użyć przeciwko mnie - zauważył Powel. - A jeśli rozwalisz moje ciało na kawałeczki, wrócę, jak poprzednim razem. Będę wracał, dopóki nasz spór nie zostanie rozstrzygnięty.

- Nie wygnam cię z tego ciała, nie po tym, co mi zrobiłeś. Nie zapominaj, że nie jestem sympatycznym facetem. Nie ruszaj się z miejsca, bo zabiję duszę twojej córki.

Powel rozejrzał się po katedrze, jakby oglądał nowe mieszkanie.

- Pan pewnie też jest na jego czarnej liście - powiedział do Fletchera.

- Jestem, sir.

- Bez obaw, prędzej czy później popełni błąd. Jest za głupi, żeby mogło mu się udać. A gdy cały plan diabli wezmą, jego jaja będą należały do mnie.

Quinn rozpostarł szeroko ramiona, jakby chciał objąć zebranych na dole opętanych.

- Skoro wszyscy już się zjawili, możemy zaczynać.

*

Joshua bez pomocy oprogramowania zdołał stłumić szok. Wiedział, że ta chwila jest zbyt ważna, by cokolwiek mogło znać jego myśli.

- Jesteś Śpiącym Bogiem Tyrataków? - Zapytał datawizyjnie.

- Wiesz, że tak, kapitanie Calvert - odpowiedziała osobliwie.

- Jeśli mnie znasz, to Tyratakowie mieli rację, twierdząc, iż widzisz cały wszechświat.

- Wszechświat jest na to zbyt wielki, ale w pewnym, ograniczonym sensie masz rację. Obserwuję całą znaną wam część wszechświata, a także wiele innych obszarów. Moja kwantowa struktura pozwala mi nawiązać łączność z rozległymi fragmentami czasoprzestrzeni, a także innych królestw.

- Lubi od razu przechodzić do rzeczy - mruknął Liol.

- A więc wiesz, że mój gatunek padł ofiarą opętania przez dusze naszych własnych umarłych? - Zapytał Joshua.

- Tak.

- Czy ten problem można rozwiązać?

- Istnieje wiele różnych rozwiązań. Kiintowie wspominali wam, że każdy gatunek stawia czoło temu aspektowi życia na swój sposób.

- A czy znasz jakieś rozwiązanie odpowiednie dla nas?

- Bardzo wiele. Nie próbuję wykręcić się od odpowiedzi. Mogę Wymienić je wszystkie i pomóc wam we wprowadzeniu w życie tego, które wybieriecie. Nie zdecyduję jednak za was.

- Dlaczego chcesz nam pomóc? - Zainteresowała się Monica. - Nie chodzi o to, że jestem niewdzięczna. Pytam tylko z ciekawości.

- Tyratakowie mieli rację również wtedy, gdy powiedzieli, że celem mojego istnienia jest pomaganie biologicznym istotom, choć nie stworzono mnie z myślą o sytuacji, z jaką aktualnie zetknęli się ludzie.

- Jaki więc był tego cel? - Zapytała Alkad.

- Gatunek, który mnie stworzył, osiągnął szczyt ewolucyjnego rozwoju pod względem

intelektualnym, fizycznym i gdy chodzi o technologię. Ten fakt powinien być dla ciebie oczywisty, doktor Mzu. Moja świadomość rezyduje wewnątrz samopodtrzymującego się skupiska fluktuacji próżni. To zapewnia mi wielkie możliwości manipulacji masą i energią. Myśl równa się dla mnie czynowi. Dzięki tej zdolności otworzyłem przed moimi twórcami bramę do nowego królestwa. Wiedzieli o nim bardzo niewiele, poza tym, że istniało. Jego parametry są bardzo różne od parametrów waszego wszechświata. Postanowili przenieść się tam i rozpocząć nową fazę egzystencji. Opuścili ten wszechświat już dawno temu.

- I od tego czasu pomagałeś rozmaitym istotom wędrować ścieżką ewolucji? - Zapytał Joshua.

- Po to właśnie istniejesz?

- Nie potrzebuję powodu, by kontynuować istnienie, motywacji. Taka psychologia jest dziedzictwem biologicznego pochodzenia, a moje początki nie są biologiczne. Istnieję, ponieważ mnie stworzyli. I tyle.

- W takim razie, dlaczego to robisz?

- Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: "dlatego, że mogę". Są jednak też inne powody. To zakrojona na większą skalę postać problemu, z jakim wasz gatunek stykał się już miliony razy. W gruncie rzeczy, niemal codziennie. Zetknęliście się z nim nawet w Mastrit-PJ. Kiedy interweniować, a kiedy tego nie robić? Czy sądziliście, że postępujecie właściwie, przekazując Mosdva technologię ZTT? Wasze intencje były dobre, ale w ostatecznym rozrachunku kierowaliście się własnym interesem.

- Czy źle zrobiliśmy?

- Mosdva z pewnością tak nie sądzi. Takie sprawy zawsze są względne.

- A więc nie pomagasz wszystkim i zawsze?

- Nie. Tak drobiazgowa interwencja, kształtowanie biologicznego życia stosownie do moich życzeń, choćby nawet najbardziej dobrotliwych, uczyniłaby mnie waszym władcą. Rozumne istoty muszą mieć wolną wolę. Moi twórcy wierzyli, że taki właśnie jest cel istnienia wszechświata. Szanuję tę opinię i nie będę pozbawiał was swobody.

- Nawet jeśli jej skutki są fatalne?

- To również jest względne.

- Czyli jesteś skłonny nam pomóc, jeśli cię poprosimy?

- Tak.

Joshua obrzucił obraz osobliwości lekko zakłopotanym spojrzeniem.

- Dobra, w takim razie prosimy. A moglibyśmy zobaczyć listę możliwości?

- Moglibyście. Sugeruję jednak, że będzie ona bardziej użyteczna, jeśli zrozumiecie, co właściwie się wydarzyło. W ten sposób będziecie mogli podjąć bardziej świadomą decyzję.

- Brzmi rozsądnie.

- Chwileczkę - wtrąciła Monica. - Ciągłe powtarzasz, że musimy podjąć decyzję. W jaki sposób mamy to zrobić?

- O co ci chodzi? - Zdziwił się Liol. - Wysłuchamy, co ma nam do zaoferowania, a potem wybierzemy.

- Tak? Urządzimy głosowanie wśród załogi, czy wrócimy do Konfederacji i poprosimy o decyzję Zgromadzenie Ogólne? Musimy się upewnić.

Liol rozejrzał się po kabinie, próbując ocenić nastrój pozostałych.

- Nie wrócimy - stwierdził. - Po to tu przylecieliśmy. Konsensus Jowiszowy uważał, że sobie poradzimy. Sądzę, że powinniśmy to zrobić.

- Zdecydujemy o przyszłości całego gatunku - sprzeciwiła się.

- Nie możemy tego zrobić tak po prostu. I... - Wskazała na Mzu.

- Cholera, ona nie powinna nas osądzać. Tak przynajmniej myślę. Chciała użyć "Alchemika" przeciwko całej planecie.

- Natomiast ESA jest organizacją kierującą się nieskazitelnymi zasadami moralnymi - odgryzła się Alkad. - Ilu ludzi zamordowaliście, żeby mnie znaleźć?

- Kurwa, chyba żartujecie - oburzył się Liol. - Nawet nie potrafimy zdecydować, w jaki sposób zdecydujemy? Posłuchajcie własnych słów! To przez tego typu głupotę ludzkość za każdym razem ląduje w gównie. Przedyskutujemy sprawę i podejmiemy decyzję. To wszystko. Kropka.

- Nie - sprzeciwił się Samuel. - Kapitan zdecyduje.

- Ja? - Zdziwił się Joshua.

- On!? - Zawołała Monica, spoglądając ze zdziwieniem na edenistę.

- Zgadza się - oznajmił sierżant. - Joshua zdecyduje.

- On nigdy nie zwątpił - wyjaśnił Samuel. - Prawda, Joshua? Zawsze wiedziałeś, że nasza wyprawa zakończy się sukcesem.

- Miałem nadzieję, że tak się stanie.

- Ty wątpiałaś w nasz lot - kontynuował Samuel, zwracając się do Moniki. - Nie wierzyłaś w jego powodzenie. Gdybyś wierzyła, byłabyś przygotowana do podjęcia decyzji. Masz wątpliwości, a to cię dyskwalifikuje. Ten, kto zdecyduje, musi mieć pewność.

- Jak ty, na przykład - zauważyła Monica. - Kieruje tobą wasz sławetny racjonalizm.

- Uważam, że ja również nie mam kwalifikacji. Choć wszyscy edenisci myślą tak samo, gdy w grę wchodzi decyzja tak wielkiej wagi, pragnę wsparcia konsensusu. Wygląda na to, że edenizm nie jest jednak pozbawiony wad.

Joshua popatrzył na swoją załogę.

- Wszyscy nagle umilkliście - zauważył.

- Ufamy ci, Joshua - wyjaśniła z uśmiechem Sarha. - Jesteś naszym kapitanem.

Joshua pomyślał, że to dziwne. Okazało się, że ludzie rzeczywiście w niego wierzą. Miało dla nich znaczenie, kim był i co osiągnął. To mogło nauczyć skromności.

- Zgoda - mruknął. - Czy możesz to zaakceptować? - Zapytał datawizyjnie osobliwość.

- Nie biorę odpowiedzialności za wasze decyzje, czy to podjęte kolektywnie, czy indywidualnie. Nakładam na was tylko jedno ograniczenie. Nie pozwolę, żebyście wykorzystali moje możliwości jako broń. Poza tym, macie wolną rękę.

- Dobra. Pokaż mi, co się wydarzyło.

*

Opętani przebywający w nawie opadli na kolana i skupili się na tworzeniu strumienia energistycznej mocy, której zażądał od nich mroczny mesjasz. Quinn stał na galerii, spoglądając na nich. Jego szata przerodziła się w czysty cień, który zaczął wypływać na zewnątrz, wypełniając otaczającą go przestrzeń czarną, widmową aurą. Spowite w nią nagie ciało gorzało srebrnym blaskiem. Przyjął dar swych wyznawców i wykorzystał go zgodnie ze swymi pragnieniami. Moc spłynęła w dół, ku posadzce katedry, osłabiając strukturę rzeczywistości.

Powel Manani i Fletcher Christian popatrzyli z konsternacją pod nogi. Z posadzki sączyła się świetlista, fioletowa mgiełka. Podeszwy ich butów łączyły się w jedną całość z powierzchnią, utrudniając im unoszenie nóg.

- Muszę się do niego zbliżyć - odezwał się Powel. Fletcher spojrzął na mroczną chmurę unoszącą się nad nimi.

- Chciałbym znaleźć się jak najdalej od tego straszliwego miejsca, ale nie odejdę bez niej.

Powel użył energistycznej mocy, by wyrwać stopy z posadzki. Nawet z jej pomocą było to dość trudne. Szurając nogami, podszedł tak blisko do Fletchera, że niemal się stykali. Dół jego bluzy uniósł się lekko, odsłaniając antypamięć Louise, zatknietą za pas.

- Proszę bardzo - zgodził się Fletcher. - Jednak zadanie nie będzie łatwe. Słyszę już głosy upadłych aniołów.

Mgiełkę wypełniała wibracja, dobiegało z niej chciwe, żałobne wycie. Struktura wszechświata słabła w tym miejscu, zgodnie z pragnieniami Quinna. Obaj czuli nacisk wywierany z drugiej strony, desperackie skrobanie.

- Niedobrze - stwierdził Powel. Płytki posadzki stawały się niematerialne. Po raz kolejny wyrwał stopy, które zapadły się już kilka centymetrów pod powierzchnię.

- Spróbuję odciągnąć jego uwagę - zapowiedział Fletcher. - Może zdąży pan dotrzeć do schodów.

- Wątpię w to. Ta podłoga robi się gorsza od ruchomych piasków.

Fioletowa mgiełka zniknęła. Fletcher i Powel rozejrzeli się wokół z obłędem w oczach. Ze szczeliny między dwoma kafelkami wysączyła się z cichym pluskiem kropla ekto plazmy. Otoczyła ją plama białego szronu.

- I co teraz? - Mruknął Powel z lękiem w głosie.

Pojawiły się kolejne pęcherzyki ekto plazmy. Krople łączyły się ze sobą, tworząc płynące ospale rzeczutki. Wolne od nich fragmenty posadzki pokrył biały szron. Fletcher czuł bijący od płynu chłód. Jego oddech zamieniał się w białą parę.

- Witajcie, bracia - zagrzmiął głos Dextera, wypełniając całą katedrę. - Witajcie na polu bitwy. Wspólnie sprowadzimy Noc naszego Pana.

Cały obszar podłogi znajdujący się pod kopułą zamienił się w jezioro bulgoczącej, parującej ekto plazmy. Fletcher i Powel przeskakiwali z nogi na nogę, rozpaczliwie starając się wygnać z kończyn przenikliwy chłód. Nagle znieruchomieli, gdy taflę przebiegła ostra fala w kształcie litery V. Ze szczeliny między wymiarami buchały gorące, chciwe emocje, kłójące się z fizycznym zimnem. Wtem koniec fali uniósł się nad podłogę. Strumień ekto plazmy popłynął za nim. Miał ponad trzy metry wysokości.

Fletcher patrzył na to, zdjęty przerażeniem. Z boku pierwszego strumienia wyrósł drugi. Ekto plazma bulgotała głośno.

- Panie Jezu, ratuj swoje sługi - wyszeptał Fletcher. Obaj z Powelem cofnęli się przed dwoma szpicami, gdy nagle pojawił się trzeci.

Ekto plazma kipiała coraz gwałtowniej. Nad całą taflą pojawiły się mniejsze witki, pokrywając ją futrem drapieźnych rzęsek. Jedna z nich zaczęła się owijać wokół nogi Powela. Mężczyzna uwolnił się z głośnym krzykiem. Na końcu witki wykwitła dłoń zakończona pięcioma szponami. Powel wyprostował palec. Trysnęła z niego wąska strużka białego ognia. Dłoń zadrżała. Pomknęły ku niej kolejne fale ekto plazmy.

- Przestań! - Zawołał ochryple Fletcher. Uświadomił sobie nagle, że wpełzająca mu na nogi ekto plazma atakuje go czymś więcej niż chłód. Jego mentalne zdolności słabły, a wraz z nimi energistyczna moc.

Dzięki białemu ogniowi szpony stały się niemal dwukrotnie większe. Powel cofnął rękę, przyglądając się z przerażeniem, jak dłoń maca na oślepek wokół siebie.

Quinn roześmiał się z zachwytem, spoglądając na rozpaczliwe wysiłki dwóch mężczyzn, których postanowił złożyć w ofierze. Liczba olbrzymich kolców sięgnęła pięciu. Wszystkie zaczęły się powoli pochylać. Zastanawiał się, czy to koniuszki palców jakiejś gigantycznej istoty.

Gdy zgromadzeni na dole potępieni zrozumieli, co widzą, z ich ust wyrwały się jęki strachu. W pierwszym szeregu pojawiły się oznaki paniki.

- Nie ruszać się! - Ryknął na nich Quinn.

Brama wiodąca w ciemność nie była jeszcze w pełni gotowa. Migotała, gdy uwięzieni po drugiej stronie uderzali w nią z furją. Mroczny mesjasz skupił myśli na obszarze, gdzie rzeczywistość była zniekształcona aż do granic wytrzymałości.

Pośrodku jeziora ekto plazmy pojawił się olbrzymi pęcherz wypełniony cuchnącymi oparami. Tryskaly z niego strumienie mniejszych bąbelków. Powel i Fletcher pochylił się, gdy wytrysnął ku nim strumień ekto plazmy. Jej witki owijały się wokół ich nóg. Niemal już nie mogli się poruszać. Ich kończyny i piersi wypełniło koszmarnie zimno.

Z kipieli wyłoniła się powoli metalowa sfera, z której pod różnymi kątami sterczały rozmaite pojemniki i cylindry. Z jej powierzchni spływały strumienie stopionej pianki z nultermu, mieszające się ze strugami oślizłej ekto plazmy.

- Kurwa, co to ma być? - Zawołał Quinn.

Rozległ się głośny trzask i w powierzchni sfery pojawił się okrągły właz. Wyłonił się z niego grubas w brudnej todze. Brodzenie w kałuży ekto plazmy najwyraźniej nie sprawiało mu bólu.

Dariat rozejrzał się z zainteresowaniem wokół.

- Zjawiliśmy się w nieodpowiednim momencie? - Zapytał.

Tolton przeniknął przez ścianę szalupy. Stanął w kałuży i westchnął z satysfakcją. Zafascynowany Fletcher obserwował, jak ciecz omywa ducha, nadając mu materialną postać. Przybysz wydawał się nieporównanie bardziej witalny od innych jestestw próbujących wyłonić się z ekto plazmy.

Powel Manani ryknął drwiącym śmiechem.

- To są ci twoi straszliwi wojownicy? - Zapytał drwiąco.

Quinn wrzasnął wściekle i wypuścił kulę ognia w stronę bezczelnego nadzorcy. W odległości paru centymetrów od Powela rozpadła się ona jednak na strumienie skwierczącej energii, które nie zdołały go osiągnąć. Ekto plazma uniosła się entuzjastycznie w górę, pochłaniając je.

Nagle długa wstęga owinęła się wokół piersi Powela. Jego nogi oplotły grubsze, solidniejsze witki, które zaczęły go wciągać pod powierzchnię.

- Jak mamy to zabić? - Zawołał do Dariata nadzorca.

Odbicie ataku Quinna kosztowało go niepokojąco wiele wysiłku. Siły szybko go opuszczały.

- Ogniem - odkrzyknął Dariat. - Prawdziwy ogień jest skuteczny przeciwko nim.

Coś materializowało się w kałuży obok Toltona. Pięć razy od niego większe stworzenie miało po bokach siedem kończyn. Uliczny poeta spojrział na Dariata. Obaj złapali się za ręce i wystrzelili impuls białego ognia w podstawę szalupy. Włączyły się dwa ostatnie silniki rakietowe na paliwo stałe.

*

Strumień wydarzeń, w który wpadł Joshua, przypominał sensoryzję. Wydawały się całkowicie realne, ale obserwował wszystkie jednocześnie. Mógł przy tym zachować dystans i poddawać ocenie wszystko, co widział. Ludzki umysł nie był zdolny do podobnych wyczynów.

- Wykorzystujesz moje moce obliczeniowe - poinformowała go osobliwość.

- W takim razie nie jestem już człowiekiem. To ty podejmiesz decyzję.

- Esencja tego, kim jesteś, pozostaje niezmienną. Zwiększyłem tylko możliwości twojego umysłu. Możesz to uznać za super-skompresowaną lekcję historii.

Joshua stał u boku Powela Mananiego na Lalonde i obserwował, jak Quinn Dexter składa

swą ofiarę, a Ly-Sylf otwiera bramę wiodącą w zaświaty, pozwalając wrócić pierwszym duszom. Opętani szybko zwiększali swą liczebność, posuwając się w dół Juliffe. Widział, jak Warlow rozmawia z Quinnem Dexterem w kosmodromie Durringham i przyjmuje od niego pieniądze za przewóz na Norfolk na pokładzie "Lady Makbet".

Ralph Hiltch poleciał na Ombey, prowadząc opętanych do Mortonridge. Rozpoczęła się kampania wyzwolenia i wyspa Ketton uciekła do innego królestwa.

- Czy ty byłeś instrumentem, który przeniósł krystaliczne istoty do innego wszechświata? - Zapytał Joshua.

- Nie. To był inny, podobny do mnie. Wiem o kilku istniejących w tym wszechświecie, choć wszystkie znajdują się w odległych gromadach gromad galaktyk.

Valisk i jego upadek w melanz. Pernik. Nyvan. Koblat. Jesup. Kulu. Oshanko. Norfolk. Trafalgar. Nowa Kalifornia. Andre Duchamp. Meyer. Erick Thakrar. Jed Hinton. Inne miejsca, światy i asteroidy, statki i ludzie. Ich losy splatały się w jedną pajęczynę. Nieautoryzowana ucieczka Jay Hilton do rodzinnego układu planetarnego Kiintów. Niezwykły łuk ich światów, dom emerytowanych obserwatorów, którzy skupiali się przed telewizorem Tracy, maczając w herbacie czekoladowe herbatniki i przyglądając się upadkowi ludzkości.

- Richard Keaton - zauważył Joshua z lekką satysfakcją.

- Czuję, że jest w nim coś dziwnego.

- Kiintowie korzystają z usług specjalnie wyhodowanych obserwatorów, by zbierać dane o różnych gatunkach - wyjaśniła osobliwość. - Choć stworzyli zaawansowaną naukę, nie mają moich zdolności postrzegania. Korpus nadal używa technologii do gromadzenia informacji. Podobne metody nigdy nie mogą być nieomyłne.

- Znaleźli cię?

- Tak. Nie mogłem im w niczym pomóc i powiedziałem to. Pewnego dnia nauczą się, jak zbudować coś takiego jak ja. Ale jeszcze nie tak szybko. Nie potrzebują tego robić. Zdołali osiągnąć godną podziwu harmonię z wszechświatem.

- Aha, ciągle nam to powtarzają.

- Oni nie chcą z was drwić. Nie są złośliwym gatunkiem.

- Możesz mi pokazać również zaświaty? - Zapytał Joshua. - Powiedzieć mi, w jaki sposób można je bezpiecznie przemierzyć, jak oni to robią?

- Tam nie ma odległości - odparła osobliwość. - Tylko czas. W tym właśnie kierunku musicie wędrować.

- Nie rozumiem.

- Ten wszechświat, podobnie jak wszystkie, które są z nim powiązane, czeka koniec. Entropia niesie nas ku nieuniknionemu punktowi omega. Taki jest właśnie cel jej istnienia. Nie wiadomo, co narodzi się później. Nie możemy się tego dowiedzieć, dopóki się to nie wydarzy. Wtedy dopiero powstanie wzór, który zastąpi to, co istnieje obecnie. Ten wzór wyłoni się z umysłu, z doświadczeń wszystkich istot, jakie kiedykolwiek żyły. Tam właśnie udają się dusze. Ich transcendencja połączy wszystko, czym są, w jednym akcie stworzenia.

- Dlaczego więc są uwięzione w zaświatach?

- Ponieważ tam właśnie pragną się znajdować. Są jak duchy przykute do miejsca swych cierpień. Nie chcą się rozstać z tą fazą swego istnienia, która już się skończyła. Boją się, Joshua. Z zaświatów mogą w dalszym ciągu obserwować wszechświat, który opuściły. Wszystko, co znały, wszyscy, których kochali, nadal są w zasięgu ręki. Boją się to porzucić i wyruszyć na poszukiwania nieznanej przeszłości.

- Wszyscy boimy się przyszłości. To leży w ludzkiej naturze.

- Ale niektórzy z was patrzą w nią z wiarą w siebie. Dlatego właśnie tu jesteś, Joshua. Dzięki temu mnie znalazłeś. Wierzyłeś w przyszłość. Wierzyłeś w siebie. To najcenniejsze, co mogą mieć ludzie.

- I już? Nie potrzeba nic więcej? Wystarczy wiara w siebie?

- Tak.

- Czemu, na Boga, Kiintowie nam tego nie powiedzieli? Mówiłeś, że nie są złośliwi. Jaki mogli mieć powód, żeby nam odmówić? Wystarczyłoby kilka prostych słów.

- Dlatego, że musicie wykorzystać tę wiedzę jako cały gatunek. Od was zależy, w jaki sposób to zrobicie.

- To cholernie proste. Wystarczy im powiedzieć.

- Można komuś powiedzieć, żeby się nie bał, ale to nie wystarczy, by instynktownie w to uwierzył. Żeby przestać się obawiać zaświatów, trzeba albo rozumieć ich cel, albo mieć nagą pewność potrzebną, by śmiało zmierzać naprzód. Jak wielu przedstawicieli twojego gatunku nie ma wykształcenia, Joshua? Nie mówię o tych, którzy żyją obecnie, lecz o całej waszej historii. Ilu z nich nie osiągnęło w życiu spełnienia? Ilu umarło we wczesnym dzieciństwie lub w całkowitej ciemności? Nie musisz pomagać bogatym, wykształconym i uprzywilejowanym. Oni z własnej inicjatywy wyruszą w wielką podróż przez zaświaty. Musisz przekonać resztę, ciemne masy. Paradoksalnie jednak to do nich najtrudniej będzie ci dotrzeć. Ich umysły dojrzewały w warunkach, które już od młodego wieku zamknęły je przed nowymi ideami.

- Ale nadal należy ich uczyć. Mogą uwierzyć w siebie. Każdy może. Nigdy nie jest na to za późno.

- Przemawia przez ciebie idealizm. Trudno będzie wprowadzić w życie te szlachetne idee. Jak dotrzesz do tych wszystkich ludzi? Kto zapłaci za prywatnego nauczyciela dla każdego z nich, za guru, który zadba o ich rozwój duchowy?

- Jezu, nie mam pojęcia. Jak sobie z tym poradziły inne gatunki?

- Osiągnęły wyższą fazę rozwoju społecznego.

- Laymilowie tego nie zrobili. Popelnili samobójstwo.

- Tak, ale w tamtej chwili rozumieli już naturę zaświatów. Wyruszyli w drogę, wiedząc, że nadal mają przyszłość. Ich samobójstwo nie oznaczało zagłady gatunku. Nie zrobili tego po to, by pokrzyżować szyki opętującym duszom. Wspólnie zanieśli do punktu omega wszystko, czym są. Pozwolił im na to kolektywny charakter ich społeczeństwa.

- Rozumiem. Wracające z zaświatów dusze Laymilów pochodziły z czasów, nim jeszcze powstało to kolektywne społeczeństwo.

- Istotnie. Również u was większość opętujących dusz pochodzi z dawnych epok. Ale bynajmniej nie wszystkie. Wasz gatunek nie wyeliminował nędzy, Joshua. Nie wyzwoliliście się od fizycznej harówki, by móc rozwijać umysł. Jeśli w waszej naturze istnieje jakaś skaza, to właśnie ta. Uporczywie trzymacie się tego, co znane i wygodne. Podejrzewam, że właśnie dlatego procent dusz zalegających w zaświatach jest u was nieco wyższy od przeciętnej.

- W ostatnim tysiącleciu spisaliśmy się całkiem nieźle - sprzeciwił się poirytowany Joshua. - Konfederacja to jedno wielkie osiedle dla klasy średniej.

- Tylko te jej części, które zwykle odwiedzasz. A nawet tam "wygodne" wcale nie znaczy "zadowolające". Nie jesteście zwierzętami, Joshua. A mimo to na niektórych z waszych planet cała populacja trzodzi się fizyczną pracą na roli.

- Automatyczne fabryki drogo kosztują. Globalna ekonomia musi się rozwinąć do poziomu, na

którym świat będzie mógł sobie na nie pozwolić.

- Dysponujecie technologią pozwalającą wam podróżować między gwiazdami, ale gdy dotrzecie do nowego świata, rozpoczynacie od nowa ten sam stary cykl. W ciągu ostatniego tysiąca lat powstał u was tylko jeden nowy typ społeczeństwa, edeniści, a nawet oni uczestniczą w waszej ekonomicznej strukturze i podtrzymują jej działanie. Naturę waszego społeczeństwa określają czynniki ekonomiczne. Pomimo wielkiego bogactwa i znacznej wiedzy pogrążyliście się w stagnacji. Podczas podróży rozmawialiście o tym, że Tyratakowie zmieniają się bardzo powoli w porównaniu z wami. Widziałeś już rodzinny układ planetarny Kiintów. Myślisz, że jak dalece wyprzedzają was technologicznie? To bardzo niewielka różnica, Joshua. Technologia replikacji cząsteczkowej położyłaby kres całej waszej ekonomicznej strukturze. Jak sądzisz, ile czasu trzeba, żeby zbudować prototyp replikatora, gdyby cała Konfederacja poświęciła swoje zasoby na badania?

- Nie wiem. Niewiele.

- Bardzo niewiele. Macie potrzebną wiedzę, brakuje wam tylko woli. Istnieje jednak też inny czynnik hamujący, którego jeszcze nie wprowadziliśmy do zasobów twojej wiedzy. I to ważny.

- Nasuwają mi się pewne podejrzenia dotyczące twojej tak zwanej polityki nieingerencji.

- Tak?

- W jaki sposób tu trafiłem?

- Przypadkowo.

- Bardzo dziwny przypadek. Arka Tyrataków została uszkodzona w pobliżu gwiazdy, wokół której nie krążą żadne obiekty astronomiczne. Po tysiącletnich, podczas kryzysu wywołanego opętaniem, usłyszeliśmy o czymś, co mogłoby nam pomóc w jego rozwiązaniu. Chciałbyś może obliczyć szanse?

- Szanse nie istnieją. Są tylko przyczyny i skutki. Tyratakowie nie poinformowali was o istnieniu Śpiącego Boga, kiedy ich spotkaliście, ponieważ przed rozpoczęciem kryzysu wywołanego opętaniem ludzi nie mieli powodu modlić się do niego. Znalazłeś mnie, ponieważ mnie szukałeś, Joshua. Wierzyłeś w moje istnienie. Quinn Dexter znalazł swoją armię aniołów ciemności, bo on również miał wiarę. Sugeruję, że silniejszą niż twoja. Sądzisz, że zaprowadziły go do nich wszechpotężne jestestwa grające w szachy waszymi losami?

- W porządku. Musisz jednak przyznać, że fakt, iż znajdujesz się tak blisko Konfederacji, jest niewiarygodnym zbiegiem okoliczności, biorąc pod uwagę, że tylko jeden z was przypada na gromadę gromad galaktyk.

- To nie zbieg okoliczności, Joshua. Wiem o wszystkim, co się dzieje, ponieważ ze wszystkim łączy mnie więź. Jeśli mnie szukasz i masz wystarczająco silną wiarę w sukces, znajdziesz mnie.

- W porządku. Jeśli jeszcze tego nie powiedziałem, to dziękuję. Postaram się nie zawieść twojej wiary. Jaki więc jest ten ostatni czynnik?

Osobliwość przeniosła jego świadomość do wieży orbitalnej, którą następnie zjechał na Ziemię, do B7, Dextera i...

Joshua otworzył nagle oczy. Załoga przerwała rozmowy, spoglądając z zainteresowaniem na kapitana.

- Louise - powiedział. I zniknął.

*

Z dysz szalupy ratunkowej trysnął gęsty dym i oślepiający, żółty płomień. Fletcher i Powel zatoczyli się do tyłu, uderzeni ścianą hałasu. Blask oślepił Fletchera, który użył resztek energistycznej mocy, by osłonić się przed nim.

Kapsuła uniosła się chwiejnie, zwiększając prędkość. Płomienie z dysz spaliły powierzchnię

kałuży ektoplazmy. Embrionalne kształty stopiły się na skutek gorąca. W górę buchnął obłok cuchnących oparów, wypełniając nawę i oba transepty. Kruche, starożytne witraże popękały pod potężnym naciskiem. Nad opustoszały plac wytrysnęły poziome słupy dymu i ektoplazmatycznego smogu.

Szalupa uderzyła w szczyt kopuły katedry i wyrwała się na zewnątrz, w poprzedzający świt mrok. Jej trajektoria zmieniła się nagle pod wpływem wstrząsu i stateczek pomknął w stronę Holborn po niskim łuku, biegnącym tuż poniżej czerwonej chmury.

Nie sposób było zobaczyć, co dzieje się na posadzce katedry. Powietrze przesyciły cząsteczki lodu oraz cuchnący, kwasowy dym. Fletcher brodził we wzburzonej kałuży ektoplazmy, poszukując jakiegokolwiek punktu orientacyjnego. Jego umysł nadal wyczuwał przebywających w nawie opętanych. Zaprowadzona strachem dyscyplina w ich szeregach zaczynała się załamywać. Poza nimi, niczego nie postrzegał jasno. Z góry sypały się fragmenty gruzu, które wpadały z pluskiem we wzburzony płyn i natychmiast pękały pod wpływem zimna.

- Jest tu ktoś? - Zawołał gdzieś w mroku Powel.

Skłębioną mgłę rozjaśnił cynobrowy błysk. Przez wybite okna do środka wpadło światło czerwonej chmury. Przed oczyma Fletchera przemykały fale ciemności. Stał w jednym miejscu, nie ważąc się ruszyć.

Nagle wpadł na niego Powel. Obaj podskoczyli nerwowo.

- Muszę się dostać na galerię - oznajmił nadzorca. - To nasza szansa. Oślepiło go tak samo jak nas.

- Drzwi są chyba gdzieś tam - odparł Fletcher. Trudno mu było poruszać nogami, mimo że wspierał je energistyczną mocą. Poniżej kolan nie czuł zupełnie nic.

We mgle rozbłysło białe światło. Opary w jednej chwili stały się cięższe i opadły na posadzkę z cichym szmerem. Fletcher był całkowicie odsłonięty. Przez dziurę w dachu do budynku wpadał szeroki snop czerwonego światła, uwidaczniający całą kałużę ektoplazmy. Fletcher ujrzał w jego blasku Dariata i Toltona, zmierzających do północnego transeptu.

- Wybieracie się dokądś? - Zapytał Quinn. - Nie ma dla was ucieczki. Przybyli wojownicy Nosiciela Światła. Wskazał teatralnym gestem na kałużę, zapraszając jej mieszkańców do wynurzenia się.

Potężny grzbiet ektoplazmy uniósł się nad powierzchnię. Przebiegły ją fale, zaganiające powoli płyn do nawy i transeptów. Korona jednego z Orgathe wynurzyła się gładko, lśniąc w karmazynowym blasku.

Quinn ryknął głośnym śmiechem na widok potwora, który wtargnął do wszechświata. Opętani uciekali z wrzaskiem na dwór. Powel i Fletcher tonęli w trupiej mazi. Wysuwały się z niej żarłoczne nibynóżki, sięgające ku ich głowom. Louise i Greta leżały pokonane u jego stóp, leżąc łzy na myśl o czekających je cierpieniach. To była Noc, o której nadejściu zawsze marzył.

Wtem coś wydarzyło się wysoko ponad nim. Uniósł gwałtownie głowę.

- Kurwa!

*

Andy Behoo spędził cały ten czas wciśnięty w okno. Wpatrywał się w paskudną, czerwoną chmurę, powoli pokrywającą Londyn. Gorące powietrze pozwalało ujrzeć ją z przerażającą wyrazistością. Nad kryształową kopułą arkologii było widać gwiazdy, lśniące zimnym blaskiem na bezchmurnym niebie. Zapowiadał się piękny ranek.

Wiedział jednak, że już go nie zobaczy. Jego neuronowy nanosystem przestał działać. Czoło chmury dzieliło już od jego mieszkania mniej niż ćwierć mili. Bezludne ulice rysowały się

niesamowicie ostro w jej czerwonym blasku.

Po wyjściu Louise nie odchodził od okna. Śledził ją wzrokiem, wiedział więc, którą ulicą odeszła. Gdyby wróciła, zobaczyłby ją. To dałoby mu odwagę, by opuścić mieszkanie. Wyszedłby na dwór i zaprowadził ją do domu. Z Louise mógłby znieść nawet koniec.

Karmazynowy blask wewnątrz chmury zamigotał i zgasł. Wydarzyło się to tak nagle, że Andy pomyślał, iż coś jest nie w porządku z jego oczyma. Widział jedynie zarysy ulic porażonego strachem miasta, tak słabe, że mogły być po prostu wytworem wyobraźni.

Przyglądał się im z uwagą w poszukiwaniu oznak świadczących, że broń strategiczno-obronna uderzyła i zaczęła się rzeź.

Nic tam się nie poruszało. Wszędzie panowała głucha cisza. Andy uniósł wzrok.

Na niebie nie było gwiazd.

*

Wejście do tunelu czasoprzestrzennego otworzyło się milion kilometrów nad południowym biegunem słońca. Natychmiast zaczęło się powiększać i po półtorej sekundy miało już średnicę ponad półtora miliarda kilometrów, większą niż orbita Jowisza. Po piętnastu sekundach osiągnęło rozmiary, jakich pragnął Joshua: dwanaście miliardów kilometrów średnicy, odrobinę więcej niż cały Układ Słoneczny. Później ruszyło naprzód, pochłaniając gwiazdę, planety, asteroidy oraz komety.

I zapadło się do zera.

Pozostał tylko jeden człowiek w czarnej szacie, koziołkujący szaleńczo przez kosmos.

*

Arnie zerwał się nagle i walnął pięścią w obudowę telewizora Tracy. Obraz nie wrócił.

- Co się dzieje? - Zapytała Jay.

- Korpus nie wie - odparła Tracy. Ręce jej drżały na tę myśl.

*

Gdy Ziemia weszła do tunelu czasoprzestrzennego, z górą siedemnaście milionów opętujących dusz w jednej chwili zostało wyegzorcyzmowanych z przebywających w różnych arkologiach ciał. Joshua upodobił wewnętrzną strukturę kwantową tunelu do warunków, jakich użyli Dariat i Rubra, by wygnać opętujących z Valiska. Była jednak pewna różnica. Opętujący nie stali się duchami, lecz ciśnięto ich prosto w zaświaty.

Ziemię dzieliło od centrum Galaktyki trzydzieści tysięcy lat świetlnych i nie można było z jej powierzchni zobaczyć wspaniałego blasku gwiazd jądra. Spiralne ramiona zawierały zbyt wiele ciemnej materii, obłoki międzygwiazdowego gazu i pyłu pochłaniały światło gęsto upakowanych nadolbrzymów. Astronomowie musieli kierować swe teleskopy na inne skupiska gwiazd, by się przekonać, jak może wyglądać podobny spektakl.

Trzeba było się zbliżyć do jądra na znacznie mniejszą odległość, by zobaczyć jego koronę wystającą zza obłoków ciemnej materii. A nawet wtedy byłoby ono jedynie wyjątkowo jasną, łukowatą mgławicą przeszywającą niebo. By można było ujrzeć jego pełną chwałę, planeta musiałaby się znajdować u samej podstawy spiralnych ramion. Jądro wyglądało tam jak opalizujący płaszcz srebrnobiałego blasku obejmujący pół nieba, jaśniejszy od miejscowego słońca. Niestety, życie w tym miejscu było niemożliwe. Potężne promieniowanie ciasno upakowanych gwiazd natychmiast wysterylizowałoby każdy świat.

Dlatego ten, kto chciał w pełni docenić piękno Galaktyki, powinien ją obserwować z zewnątrz.

Joshua wybrał miejsce położone dwadzieścia tysięcy lat świetlnych od jądra i dziesięć tysięcy na północ od ekliptyki. Wyłaniające się tam układy planetarne witał widok majestatycznego

cyklonu klejnotów, wypełniającego gorejącym blaskiem pozbawioną gwiazdozbiorów ciemność.

Jako drugi na miejsce przybył układ Kulu. Potem Oshanko. Za nim Avon, Ombey i Nowa Kalifornia. Układy nie wyłaniały się już pojedynczo. Osobliwość potrafiła tworzyć wiele tuneli czasoprzestrzennych jednocześnie. Joshua zajął się kierowaniem całym procesem, określając kolejność przenoszenia układów. Następnie otworzyły się bramy w królestwach, do których opętani uciekli ze swymi planetami. Lalonde, Norfolk i cała reszta wróciły do swych gwiazd, a potem opuściły Galaktykę.

Wkrótce Konfederacja utworzyła własną, niepowtarzalną gromadę gwiazd, izolowaną wyspę wędrującą przez międzygalaktyczną przestrzeń. Osiemset gwiazd skupionych w klasyczną soczewkowatą formację mającą Sol w samym środku. Gwiazdy były odległe od siebie o najwyżej pół roku świetlnego.

Wprowadzono też inne, subtelniejsze, modyfikacje astronomiczne, ziarna zmian, które miały nadejść.

*

Quinn nie rozumiał, dlaczego jeszcze żyje. Podczas kataklizmu żałosna dusza Edmunda Rigby'ego została wyrwana z więzienia, które stworzył dla niej w centrum swego umysłu. Nie miał już kontaktu z zaświatami, zniknęła międzywymiarowa szczelina, z której mógł czerpać potężną, energistyczną moc. Nie miał magicznego szóstego zmysłu. Unosił się w próżni, gdzie nie powinno być powietrza.

- Mój Panie - wydyszał. - Dlaczego? Dlaczego odebrałeś mi zwycięstwo? Nikt nie służył ci wierniej ode mnie.

Odpowiedzi nie było.

- Pozwól mi wrócić. Pozwól udowodnić, ile jestem wart. Mogę sprowadzić Noc. Wyruszę z aniołami ciemności do nieba i zniszczę je, byś mógł zasiąść na tronie.

Nagle pojawiła się przed nim ludzka postać, skąpana w łagodnym blasku gwiazd. Podekscytowany Quinn zaczerpnął oddechu, ale wypuścił z niesmakiem powietrze, gdy rozpoznał twarz.

- To ty!

- Cześć, Quinn - przywitał go Joshua. - Nie masz co się wściekać. Zamknąłem bramę do ciemnego kontinuum. Upadłe anioły nie przyjdą ci z pomocą. Ani one, ani nikt inny.

- Boży Brat zatriumfuje. Noc zapadnie bez względu na to, czy ja będę dowodził jego armią.

- Wiem o tym.

Quinn obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Miałeś rację od początku, choć nie w taki sposób, jak ci się zdawało - ciągnął Joshua. - Ten wszechświat skończy się ciemnością.

- Wierzysz w to? Akceptujesz ewangelię Bożego Brata?

- Twoja ewangelia to pic na wodę, odpowiedni dla takich głabów jak ty, Quinn.

- Znajdę twoją duszę w zaświatach. Zmiażdżę twoją dumę i...

- Zamknij się. Mam dla ciebie propozycję. Chcę, żebyś poprowadził zbłąkane dusze do swojego Pana.

- Dlaczego?

- Mam wiele powodów. Zasługujesz na wymazanie z czasu za to, co uczyniłeś. Ale tego nie mogę zrobić.

Quinn roześmiał się w głos.

- Jesteś aniołem fałszywego Pana. Dlatego miałeś moc, by porwać mnie z Ziemi. On jednak

nie pozwoli ci mnie zabić, tak? Ma w sobie za dużo współczucia. Ależ to musi cię wściekać.

- Są rzeczy gorsze niż śmierć i zaświaty. Mogę cię oddać upadłym aniołom. Myślisz, że ucieszą się na widok tego, kto nie zdołał ich uwolnić?

- Czego chcesz?

W przestrzeni za Joshuą pojawił się okrągły otwór.

- Ta droga wiedzie do Nocy, Quinn. Tunel czasoprzestrzenny, który zaprowadzi cię prosto do Bożego Brata. Pozwolę ci przez niego przejść.

- Wymień swoją cenę.

- Już ci powiedziałem. Musisz poprowadzić potępione dusze z zaświatów w swoją Noc. Bez nich ludzkość będzie miała szansę rosnąć. Potępione dusze są straszliwym ciężarem dla każdego gatunku, który odkrywa prawdziwą naturę wszechświata. Kiintowie, na przykład, sklonowali pozbawione umysłów ciała i zaprosili do nich zbłąkane dusze. Trwało to tysiąclecia, ale w końcu każdą z nich sprowadzono z powrotem, otoczono miłością i nauczono stawić czoło zaświatom we właściwy sposób. Ale to byli Kiintowie. Dla nas wystarczająco trudnym zadaniem będzie umożliwienie żywym przetrwania kilku najbliższych dziesięcioleci. Miną stulecia, nim będziemy mogli cokolwiek zrobić w sprawie miliardów zbłąkanych dusz. A one cały ten czas będą cierpiały i hamowały nasz rozwój.

- Serce mi krwawi.

- Ty nie masz serca. - Joshua przesunął się na bok. Quinna nic już nie dzieliło od otworu. - Powiedz mi, czy chcesz ujrzeć Bożego Brata?

- Tak. - Quinn wpatrywał się chciwie w absolutną ciemność widoczną w otworze. - Tak!

*

Dusze wyrzucone z powrotem w zaświaty przyniosły ze sobą niszczycielską falę goryczy i furii. Wściekały się bezsilnie na okrucieństwo, jakie je spotkało. Wolność istniała, można było odzyskać życie. A teraz znowu czekał je czyściec. W murze dzielącym je od rzeczywistości nie było już szczeliny. Wrzeszczały z gniewu, błagając jednocześnie tych, których niejasno postrzegały po drugiej stronie. Błagały o przepuszczenie przez barierę, o ostatni posmak zmysłowych wrażeń. Żywi wszak już ich nie słyszeli.

Otworzyła się szczelina. Maleńka szparka, przez którą najcudowniejsze ludzkie doznania sączyły się w przeklętą pustkę. Dusze skupiły się wokół niej, radując się jej magią. Wystarczało jej dla wszystkich. Każda zbłąkana dusza poczuła dotyk powietrza na skórze, ujrzała gwiazdozbiory lśniące na nocnym niebie.

Quinn wrzasnął z przeraźliwego bólu, gdy opętało go sto miliardów potępionych dusz. Gwałt był totalny, ogarnął wszystkie komórki ciała.

Jego ciało wpadło do tunelu, unosząc ze sobą brzemień ludzkiej rasy. Wejście zamknęło się za nimi, zasłaniając widok na gwiazdy, które ludzkość zawsze znała jako swoje.

Choć żadna z późniejszych relacji o tym nie wspominała, Louise przez większą część ceremonii wezwania nie wiedziała, co dzieje się wokół niej. Po tym, jak Courtney popchnęła ją na ławę, Louise przetoczyła się na bok, walcząc ze straszliwymi mdłościami. Prawie nic ze słów Quinna nie przebiło się przez jej ból i rozpacz. Energistyczna moc tłumy opętanych przeszywała jej czaszkę falami strachu.

Potem włączyły się silniki raketowe i dziewczynę spowily kłęby dławiącego dymu. Padła na podłogę, wymiotując gwałtownie, gdy Orgathe wzniósł się na wysokość galerii.

Leżała, dygocząc, między przypyłwami lodu i ognia. Płakała rozpaczliwie. Potem wszystkie zewnętrzne wrażenia zmysłowe zaczęły przygasać. Została tylko szara, cuchnąca mgła, przesłaniająca wszystko, co znajdowało się dalej niż kilka jardów.

Odłamki, które spadły z rozbitej przez szalupę kopuły, zachręściły nagle pod czyimiś stopami. Kroki zatrzymały się obok niej. Louise jęknęła, uświadamiając sobie, że przybysz pochyła się nad nią. Dłoń dotknęła skroni dziewczyny, odgarniając czule włosy z jej oczu.

- Cześć, Louise. Mówiłem, że do ciebie wrócę.

Nie ten głos spodziewała się usłyszeć. To było niemożliwe. Choć tak bardzo upragnione. Zamrugła powiekami. Z jej oczu popłynęły łzy.

- Joshua!

Objął ją ramionami.

- Sza! Wszystko będzie dobrze - powtarzał raz po raz, kołysząc jej drżące ciało.

- Ale, Joshua...

Pocałował ją delikatnie, dotykając nosa palcem wskazującym.

- Nie bój się. Już jest po wszystkim, daję słowo.

- Quinn - wydyszała. - On...

- Już go nie ma.

Pokręciła powoli głową. Kłęby dymu odpływały powoli z galerii. W katedrze panowała zdumiewająca cisza.

- Chodź - powiedział Joshua. - Pomożemy ci.

Otworzył medyczny pakiet nanoniczny i przytknął go delikatnie do twarzy Louise w miejscu, gdzie uderzył ją Quinn.

Uświadomiła sobie, że jej neuronowy nanosystem znowu działa. Pośpiesznie przełączyła medyczny program monitorujący w tryb nadrzędności.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją spokojnie Joshua. - Naszemu dziecku nic się nie stało.

- Hmm - mruknęła Louise. - Skąd wiesz o...

Pocałował ją w rękę.

- Wiem wszystko - odparł ze swym pięknym, drwiącym uśmieszkiem, tym samym, od którego wszystko się zaczęło. Louise podejrzewała, że mogła się zaczerwienić.

- Czy mogłabyś na chwilę powstrzymać pytania? - Rzekł Joshua. - Jest ktoś, z kim powinnaś się pożegnać.

Pozwoliła, by pomógł jej się podnieść. Całe ciało miała sztywne i obolałe. Kiedy już wstali, nie mogła się powstrzymać przed kolejnym pocałunkiem. Chciała się upewnić, że Joshua jest realny. Nie było mowy, by mogła puścić jego rękę. Nagle zobaczyła, że za jego plecami stoi Fletcher.

- Pani.

Fletcher pokłonił się nisko. Zaczerpnęła nagle tchu.

- Opętani.

- Odeszli - zapewnił Joshua. - Został tylko Fletcher. A i on nikogo już nie opętuje. To tylko symulakrum ciała. - Wyciągnął rękę do oficera. - Chciałem panu osobiście podziękować za to, że opiekował się pan Louise.

Fletcher skinął głową z poważną miną.

- Wyznaję, że byłem ciekawy mężczyzny, który jest godny lady Louise. Teraz rozumiem, dlaczego nie chciała mówić o nikim innym.

Tym razem Louise była pewna, że się czerwieni.

- Czy mam teraz wrócić do czyścica, sir?

- Nie - zaprzeczył Joshua. - Chciałem panu coś powiedzieć. Trafił pan tam przez własną przyzwoitość. Porzucenie rodziny i kraju, bunt przeciwko królowi, wszystko to były straszliwe zbrodnie. Przekonał pan o tym sam siebie i wymierzył sobie stosowną karę. Sądził pan, że zasługuje na czyściec.

Oczy Fletchera pociemniały od wspomnienia bólu.

- W głębi duszy wiedziałem, że postępuję źle, ale okrucieństwo Bligha przekraczało ludzką wytrzymałość. Nie mogliśmy już znieść więcej.

- Wszystko to należy już do przeszłości - zapewnił Joshua. - Minęło prawie tysiąc lat. To, co pan zrobił dla Louise i dla innych, wystarczy, by zadośćuczynić za sto buntów. Niech pan ma odwagę, Fletcher. Zaświaty to nie wszystko. Niech pan przez nie przepłynie i znajdzie ląd, który leży po drugiej stronie. On istnieje.

- Nie mógłbym zwątpić w słowa tak dzielnego człowieka, sir. Zrobię, jak pan mi radzi.

Joshua odsunął się na bok.

- Pani.

Uściskała go mocno.

- Nie chcę, żebyś odszedł.

- To miejsce nie jest przeznaczone dla mnie, najdroższa Louise. Jestem tu intruzem.

- Wiem.

- Niemniej jednak uważam za przywilej, że było mi dane cię poznać, choćby nawet w tak osobliwych okolicznościach. Mam pewność, że ciebie i twoje dziecko czeka szczęśliwa przyszłość. Wasz wszechświat jest pełen splendoru. Raduj się życiem w całej pełni.

- Tak będzie. Obiecuję.

Pocałował ją w czoło w geście przypominającym niemal błogosławieństwo.

- I powiedz swej siostrze, że zawsze będę o niej myślał.

- *Bon voyage*, Fletcher.

Jego ciało zaczęło się rozpraszać, przemieniać w lśniący platynowym blaskiem gwiazdny pył. Uniósł rękę w pożegnalnym geście.

Louise jeszcze przez chwilę wpatrywała się w pustą przestrzeń, która po nim została.

- I co teraz? - Zapytała.

- Chyba nadeszła pora na wyjaśnienia - odparł Joshua. - Lepiej będzie, jeśli zabiorę cię w tym celu do Tranquillity. Musisz odpocząć i doprowadzić się do porządku. Poza tym Genevieve na prawdę okropnie traktuje tamtejsze serwoszympany.

Louise zaczęła się sprzeciwiać, ale nagle wstrzymała oddech, gdy wokół niej spokojnie zmaterializował się bujny park wypełniający wnętrze habitatu.

*

Samual Aleksandrovich spędził ostatnie dziesięć minut na analizie danych zbieranych przez

zewewnętrzne instrumenty obserwacyjne stacji. Mimo to czuł, że musi to zobaczyć na własne oczy, nim będzie mógł naprawdę uwierzyć. Centrum dowodzenia platform strategiczno-obronnych zaalarmowała niezwykła liczba gwiazdolotów, które pojawiały się nad Avon, wkrótce jednak okazało się, że wszystko to są statki zatrzymane po drodze do innych układów gwiazdnych. Porwano je z przestrzeni międzygwiazdnej i wynurzyły się w wyznaczonych strefach nad planetą. Gdy tylko naczelny admirał się upewnił, że to nie atak nieprzyjaciela, pojechali z Lalwani do sali obserwacyjnej.

W wielkim pomieszczeniu tłoczyło się mnóstwo żołnierzy Sił Powietrznych. Tłum rozstąpił się z niechęcią, by przepuścić dwoje admirałów do łukowatej, przezroczystej ściany. Zalekziony Samuel wpatrzył się w pozbawioną gwiazd przestrzeń. Stacja obracała się wokół osi i za oknem powoli pojawiła się Galaktyka. Jej jądro lśniło złoto-fioletowym blaskiem, otoczone srebrzystą mgiełką ramion.

- Czy to nasza? - Zapytał cicho Samuel.

- Tak, admirale - zapewnił kapitan al-Sahhaf. - Dowództwo strategiczno-obronne zidentyfikowało sąsiednie galaktyki za pomocą satelitów obserwacyjnych. Znajdujemy się około dziesięciu tysięcy lat świetlnych od naszej Galaktyki.

Samuel Aleksandrovich spojrzał na Lalwani.

- Jak pani sądzi, czy tu właśnie wybierają się opętani?

- Nie mam pojęcia.

- Dziesięć tysięcy lat świetlnych. Na Boga, kto nam to zrobił?

- Joshua Calvert, admirale.

Samuel Aleksandrovich popatrzył na Richarda Keatona z wyjątkową podejrzliwością.

- Zechciałby pan uściślić swe słowa, poruczniku?

- Calvert oraz jastrząb "Oenone" wykonali swą misję, admirale. Udało im się odnaleźć tyrackiego Śpiącego Boga. To artefakt zdolny do tworzenia tuneli czasoprzestrzennych na podobną skalę.

Samuel i Lalwani wymienili spojrzenia.

- Jest pan dziwnie dobrze poinformowany - zauważyła Lalwani. - Nic mi nie wiadomo o tym, by dotarły do nas jakieś komunikaty od "Lady Makbet" albo "Oenone".

Keaton uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Przepraszam, że nie wiedzieliście o tym przedtem. Calvert przeniósł tu wszystkie światy Konfederacji.

- Dlaczego? - Zapytał Samuel.

- Przejście opętanego ciała przez szczególny typ tunelu czasoprzestrzennego, który zaprowadził nas tutaj, zamyka szczelinę pozwalającą duszy przenikać z zaświatów do wszechświata. Calvert po prostu zrobił to masowo. Wszystkie zbłąkane dusze wróciły do zaświatów. Sprowadził też z powrotem planety zabrane ze wszechświata przez opętanych. - Keaton wskazał na pustkę na zewnątrz. - Cała Konfederacja jest tutaj. Kryzys dobiegł końca.

- Naprawdę?

- Tak, admirale.

Samuel przymrużył powieki i przez długą chwilę przyglądał się z uwagą swojemu oficerowi sztabowemu.

- Kiintowie - stwierdził wreszcie.

- Tak, admirale. Przykro mi. Jestem jednym z ich agentów.

- Rozumiem. A jaką rolę oni w tym odegrali?

- Żadnej - odparł z uśmiechem Keaton. - Dla nich to również było diabelnie wielkie zaskoczenie.

- Słucham tego z zadowoleniem. - Samuel raz jeszcze zerknął na przesuwaną się powoli za oknem Galaktykę. - Czy Calvert sprowadzi nas z powrotem?

- Nie mam pojęcia.

- Kiintowie zgodzili się wspomóc nas medycznymi zasobami, jeśli uda się nam rozwiązać kryzys. Czy dotrzymają tej obietnicy?

- Tak, admirale. Roulor z chęcią udzieli Konfederacji pełnego wsparcia rządu Kiintów.

- Znakomicie. A teraz niech pan zabiera swój nędzny tyłek z mojego sztabu.

*

Drzwi rozstały się, zanim Joshua zdążył przekazać datawizyjnie informacje o swym przybyciu.

- Witaj w domu - powiedziała Ione, całując go w policzek.

Poprowadził Louise do apartamentu. Dziewczyna westchnęła ze zdumienia na widok szklanej ściany, za którą rozciągał się widok na dno okrężnego morza.

- Jesteś Lordem Ruin - domyśliła się Louise.

- A ty jesteś Louise Kavanagh z Norfolku. Joshua cały czas o tobie opowiadał.

Louise uśmiechnęła się, jakby nie wierzyła w te słowa.

- Naprawdę?

- Och, tak. A jeśli nawet nie powiedział mi czegoś na twój temat, Genevieve z pewnością to zrobiła.

- Nic jej się nie stało?

- Czuje się świetnie. Kazałam Horstowi Elwesowi zaopiekować się nią. Już tu idą. Będiesz miała czas się przebrać.

Louise zerknęła na nędzne ciuchy Andy'ego.

- Proszę.

Joshua nalał sobie pełen kieliszek Norfolkskich Łez, a Ione zaprowadziła Louise do łazienki.

- Dziękuję - powiedział, kiedy wróciła.

- Udało ci się, prawda? Dlatego właśnie tu jesteś.

- Aha, udało mi się. Nie ma już opętanych.

Uniosła wyskubane brwi w pytającym wyrazie.

- Gdzie zdobyłeś ten talent?

- To prezencik od Śpiącego Boga.

Pozwolił, by wspomnienia wypłynęły z niego, pokazując Ione i Tranquillity, co się stało.

- Od początku miałam rację co do ciebie. Objęła go i wspięła się na palce, żeby go pocałować.

Joshua spojrzał z zakłopotaniem na drzwi łazienki.

Uśmiechnęła się z mądrą miną.

- Nie bój się, nie zamierzam stawać między wami.

- Nie wiem, co z nią zrobić, Ione. Cholera, byłem władcą wszechświata, poznałem odpowiedzi na wszystkie pytania, a teraz nie wiem, co zrobić.

- Nie bądź głupi, Joshua. Pewnie, że wiesz. Zawsze wiedziałeś.

*

Brad Lovegrove odzyskał kontrolę nad swym ciałem, jakby obudził się z głębokiej śpiączki. Każda myśl, każdy ruch były straszliwie powolne i sprawiały mu wiele trudności. Cały czas opętania

przez Ala Capone przypominał w jego wspomnieniach sen w gorączce: chwile odrażającej klarowności oddzielone od siebie zamazanymi plamami wrażeń i koloru.

Zorientował się, że siedzi przy stole o szklanym blacie. Znajdował się w apartamencie pięciogwiazdkowego hotelu. Za wielkim oknem przesuwała się Nowa Kalifornia. Przed nim stał dzbanek z gorącą kawą, filiżanki oraz talerz z jajecznicą. Kałuża krzepnącej krwi opływała talerz, docierając do krawędzi blatu. Na dywan u jego stóp spadały wielkie, szkarłatne krople.

Siedząca naprzeciwko kobieta przewróciła się do przodu, opadając na blat. Trzy czwarte jej ciała pokrywały zielone medyczne pakiety nanoniczne, na które zarzuciła granatowy ręcznik. Zdjęła jeden pakiet z gardła i położyła go na stole. W odsłoniętą skórę zadała sobie głęboką ranę, przecinając tętnicę szyjną. W wyciągniętej ręce ścisnęła mały nóż rozszczepieniowy.

Brad Lovegrove spadł z krzesła, bełkocząc z przerażenia.

*

Joshua i Louise czekali pod włazem stanowiska cumowniczego MB 0-330. Oboje połączyli się z zestawem czujników, obserwując, jak "Lady Makbet" opada łagodnie na cokół. Z dysz chemicznych silników korekcyjnych otaczających równik gwiazdolotu trysnęły ostatnie żółte płomienie i Liol posadził statek na miejscu. Zaciski się zamknęły, węże i kable wsunęły się do odpowiednich wejść, a panele termozrzutu schowały się do kadłuba.

Joshua musiał przyznać, że jego brat nieźle sobie radzi.

- Co u was słyszeć? - Zapytał Syrinx.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - odpowiedziała.

Ujrzał w paśmie afinicznym wielkiego jastrzębia, który trzymał się blisko "Mindori" i "Stryli". Wszystkie statki okrążyły wrzeciono kosmodromu, ścigając półkę cumowniczą. Byłe czarne jastrzębie potrzebowały przewodnictwa i wsparcia. Ich osobowości były bliskie katatonii po urazie wywołanym opętaniem. Oba rozpaczliwie tęskniły za swymi kapitanami. Joshua wiedział, że utraciły ich na zawsze. Kiera zniszczyła ciała na Valisku, zmuszając dusze, które je opętały, do przejścia do jastrzębi.

- Z czasem rany się zagoją - zapewnił "Oenone". - Będziemy się nimi opiekować.

- Nie wątpię.

- Gratulacje, Joshua Calvert - odezwał się Konsensus Jowiszowy. - Jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Samuel opowiedział nam, że rozmawiałeś z osobliwością w pojedynkę.

- Ale dotarłem do niej dzięki pomocy innych.

Wymienili z Syrinx obrazy uśmiechu.

- Twoja metoda zakończenia kryzysu była bardzo spektakularna - zauważył konsensus.

- Uwierz mi, to była jedna z mniej drastycznych opcji. Boska moc to stanowczo zbyt skromny opis możliwości osobliwości.

- Nadal utrzymujesz z nią kontakt?

- Tak. Na razie. Zostało jeszcze parę nierozwiązanych spraw. Potem się rozstaniemy.

- Potrzeba wielkiej siły charakteru, by wyrzec się tak wielkiej mocy. Cieszymy się, że nie zawiodłeś zaufania Samuela.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo mi się uśmiecha spędzanie całego życia na wędrówkach po Konfederacji i naprawianiu krzywd. Od tej pory ograniczę się do przekazywania wieści.

- Misjonarz Joshua Calvert - zadrwiła Syrinx. - To ci dopiero prawdziwy cud.

- Czy przeniesiesz gwiazdy Konfederacji z powrotem na dawne miejsce? - Zapytał konsensus.

- Nie. Chcę, żeby zostały tutaj. To również moja decyzja.

- A my będziemy musieli się jej podporządkować. W końcu stąd trudno nam będzie wysłać

ekspedycję do Śpiącego Boga.

- To nie jest niemożliwe. Ale przecież o to właśnie chodzi.

- Czy zechciałbyś wytłumaczyć swe słowa?

- Do tej pory ludzkości sprzyjało szczęście. Tylko dzięki temu udało się nam skolonizować naszą część Galaktyki. Nie umniejszam naszych osiągnięć, ale przez dłuższy czas sytuacja na Ziemi nie była zbyt dobra. Musieliśmy się wyrwać na swobodę, żeby nie trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku, jak mówi stare przysłowie, jednak to nie może trwać bez końca. Musimy pomyśleć o przyszłości, zacząć się rozwijać na inne sposoby. W tej gromadzie jest zaledwie osiemset gwiazd. Przy naszym obecnym poziomie społecznym, ekonomicznym i technologicznym nie mamy szans na dalszą ekspansję. Nie będziemy więcej uciekać przed swoimi problemami. Jesteśmy już wystarczająco dojrzały, żeby je rozwiązywać.

- A w izolacji będziemy do tego zmuszeni.

- Mam nadzieję, że niektóre umysły się na tym skupią.

- Czekają nas ciekawe czasy.

- Wszystkie czasy są ciekawe, jeśli żyje się w odpowiedni sposób - stwierdził Joshua. -

Podam wam nowe współrzędne pozostałych gwiazd. Będziecie musieli wysłać do nich jastrzębie z tą informacją, żebyśmy wszyscy pozostali w kontakcie.

- Oczywiście.

Joshua przekazał dane prosto ze swego umysłu do konsensusu.

Śluza się otworzyła i jego załoga weszła do środka, wykrzykując ochryple pozdrowienia. Liol uściskał go pierwszy.

- Ładny z ciebie kapitan! Zostawiłeś nas, żeby się zabawić, a w następnej chwili zaczęło na nas wrzeszczeć dowództwo strategiczno-obronne Jowisza!

- Sprowadziłem was z powrotem na miejsce. Czego chcecie więcej?

Sarha pisnęła głośno i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Udało ci się! - Pocałowała go w ucho. - I co za widok tu mamy!

Dahybi poklepał go po plecach, śmiejąc się histerycznie. Ashly i Beaulieu przepychali się nawzajem, by się do niego dostać.

- A więc jednak sobie poradziłeś - stwierdziła Monica z tylko niewielką nutą pretensji w głosie. Samuel zachichotał z jej uporu, Kempster i Renato żalili się, że tak nagle przerwał im obserwacje, a Mzu podziękowała mu zdawkowo i natychmiast zapytała o wewnętrzną strukturę kwantową osobliwości.

Na koniec uniósł ramiona i krzykiem kazał wszystkim się uciszyć.

- Bawimy się w barze Harkeya. Ja stawiam.

*

Beth i Jed wciskali się w wielkie okno, spoglądając na Tranquillity.

- Wygląda zupełnie jak Valisk! - Zawołał podekscytowany chłopak.

- Pokaż! - Zażądała Navar.

Jed uśmiechnął się i oboje odsunęli się na bok. Wnętrze salonu wyglądało dziwnie. Na ścianach nadal widziało się resztki naśladowujących wnętrze staroświeckiego statku morskiego dekoracji. Ich ostre krawędzie przecinały metalowe i kompozytowe powierzchnie. Jeśli wyteńczył wzrok i przypomniał sobie, jak wyglądało tu przedtem, mógł jeszcze dostrzec ślady fałszywych kolorów oraz materiałów.

Wiedzieli, gdzie się znajdują, a w przybliżeniu także, co się wydarzyło. "Mindori" rozmawiał z nimi dwa razy, ale nie miał zbyt wiele do powiedzenia.

- Chyba lądujemy - stwierdził Webster.

- Brzmi nieźle - ucieszył się chłopak i ucałował mocno Beth. Gari zerknęła na nich lekceważąco i wróciła do obserwacji półki cumowniczej.

- Lepiej sprawdźmy, co z Geraldem - odezwała się Beth.

Jed zdecydował, że spełni jej życzenie. Niedługo wylądują i stary świr wreszcie zniknie z jego życia.

Gerald nie schodził z mostka od chwili, gdy zdumiewające miasto-dysk ksenobiontów zniknęło nagle i dusza Loren opuściła jego ciało. Gdy trwała sytuacja patowa, całymi godzinami stał za konsolą bojową niczym jakiś marynarz z dawnych czasów, ściskający koło sterowe podczas sztormu. Jego czujność nie osłabła nawet na chwilę. Gdy kryzys się skończył, osunął się po prostu na podłogę, opierając się plecami o bok konsoli, i wbił wzrok w pustkę, nie odzywając się ani słowem.

Beth przykucnęła obok niego, strzelając palcami. Nie zareagował.

- Czy umarł? - Zapytał chłopak.

- Jed! Nie umarł. Oddycha. Na pewno jest doszczętnie wyczerpany.

- Dodamy to do listy jego problemów - wyszeptał pod nosem. - Hej, Gerald, wylądowaliśmy. "Stryła" jest z nami. Marie jest na jego pokładzie. To dobrze, tak? Niedługo się z nią zobaczysz. I co ty na to?

Gerald nawet nie drgnął.

- Chyba powinniśmy wezwać do niego lekarza - skonstatował Jed.

Nagle Gerald odwrócił głowę.

- Marie? - Wyszeptał.

- Tak jest, Gerald - potwierdziła Beth, chwytając go mocno za ramię. - Marie tu jest. Za parę minut będziesz ją mógł zobaczyć. Dasz radę wstać? - Spróbowała go podźwignąć, skłonić do ruszenia się z miejsca. - Jed, pomóż mi.

- Nie wiem. Może powinniśmy go zostawić lekarzowi?

- Nic mu nie jest. Prawda, Gerald? Jest wykończony, to wszystko.

- No dobra.

Jed podszedł do nich i spróbował podnieść Geralda na nogi. Od strony śluzy dobiegła seria głośnych brzęków. Na mostek wpadła Gari.

- Autobus już tu jest - wydyszała.

- Zawiezie nas do Marie - zapewniła Beth, próbując dodać odwagi mężczyźnie. - Chodź, Gerald. Dasz sobie radę.

Jego nogi zadrżały lekko.

Podnieśli go we dwoje i powlekli między sobą w stronę śluzy.

*

Marie siedziała zgarbiona w korytarzu obok mostka. Od czasu wyegzorcyzmowania Kiery nie przestała płakać ani na chwilę. Wspomnienia o wszystkim, co wydarzyło się od chwili opętania, były bardzo jaskrawe. Nieprzypadkowo, Kierze nie przeszkadzało, że Marie wie, co się dzieje z jej ciałem.

To było odrażające. Wstrętne.

Marie wiedziała, że nigdy o tym wszystkim nie zapomni, choć to nie ona dopuściła się tych czynów. Dusza Kiery odeszła, ale zadane przez nią rany już się nie zagoją.

Marie odzyskała życie, ale nie widziała żadnego powodu, by żyć.

Śluza zakończyła cykl i właz się otworzył.

- Marie.

Głos zabrzmiał słabo i ochryple, ale dotarł do najgłębszych pokładów jej duszy.

- Tato? - Jęknęła z niedowierzaniem. Uniosła wzrok i zobaczyła go. Stał w służbie, trzymając się brzegu włazu. Wyglądał okropnie. Ledwo trzymał się na nogach, ale jego postarzała, zapadnięta twarz promieniała radością ojca, który po raz pierwszy trzyma w ramionach nowo narodzone dziecko. Nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, przez co musiał przejść, by być z nią w tej chwili. Zniósł to wszystko, bo była jego córką, i z tego powodu zawsze będzie miał prawo do jej miłości.

Zatrzymała się i wyciągnęła do niego ręce. Chciała, żeby tata ją uściskał. Żeby zabrał ją do domu, gdzie nic w tym rodzaju nie będzie się mogło wydarzyć.

Gerald uśmiechnął się radośnie do swej ślicznej córeczki.

- Kocham cię, Marie.

Nagle stracił równowagę i runął na podłogę twarzą do przodu. Marie podbiegła doń z krzykiem. Oddech miał rwany, a oczy zamknięte.

- Tato! Tato, nie! - Szarpała go histerycznie. - Tato, powiedz coś!

Steward z autobusu odepchnął ją na bok i przystawił do ciała Geralda medyczny blok sensorowy.

- Cholera, pomóż mi! - Zawołał do Jeda. - Musimy go zanieść do habitatu.

Jed gapił się na Marie, nie mogąc się poruszyć.

- To ty - wydyszał z zachwytem.

Beth ominęła go i uklękła obok leżącego. Geraldowi założono na twarz pakiet medyczny, który wdmuchiwał mu powietrze do płuc.

- Nagły przypadek medyczny - przekazał datawizyjnie steward. - Wyślijcie szybko ekipę do holu kosmodromu.

Medyczny blok zawiadomił go datawizyjnie, że serce Geralda przestało bić. Steward rozpakował pośpiesznie pakiet ratunkowy i przystawił go do szyi pacjenta. Nanofilamenty wtargnęły do jego gardła, wyszukały najważniejsze żyły i tętnice, a potem zaczęły pompować sztuczną krew, utrzymując mózg przy życiu.

*

Lekko zażenowani uczestnicy Dyskoteki Na Końcu Świata łazili po betonowej nawierzchni, dręczeni kaczem. Nad arkologią wstawał świt. Żaden z nich nie spodziewał się, że go jeszcze zobaczy.

Andy wysyłał datawizyjnie jeden kwesor po drugim do segmentów sieci, które znowu działały. Satelity były już osiągalne, a władze odzyskiwały stopniowo panowanie nad sytuacją. Nie zdołał jednak odnaleźć sygnału jej neuronowego nanosystemu. Wszystkie sztuczki programisty, jakie miał w swoim repertuarze, okazały się bezużyteczne.

Ruszył w stronę furtki prowadzącej na ulicę. Louise musiała gdzieś tam być. Znajdzie ją, choćby miał przeszukać całą arkologię.

- Co to jest? - Zapytał ktoś nagle.

Ludzie unosili wzrok, spoglądając na kopułę. Słońce dopiero co wynurzyło się zza jej wschodniej krawędzi. Z północy napłynęła ławica szarych chmur, muskających lekko geodezyjną strukturę. To nie była burza armadowa. Andy nigdy w życiu nie widział tak wolno poruszających się chmur. W następnej chwili krystaliczne sześciokąty zrobiły się dziwnie nieprzejryste. Potrzebował dłuższego czasu, by się zorientować, co się dzieje. Sprawdził nawet pełne podekscytowanych głosów wiadomości, by się upewnić.

Po raz pierwszy od pięciu i pół wieku nad Londynem padał śnieg.

*

Nie pozostał żaden ślad świadczący, by ludzie kiedykolwiek odwiedzili okolice czerwonego karła o nazwie Tunja. Joshua przeniósł zamieszkane asteroidy do układu Nowego Waszyngtonu razem z ich stacjami przemysłowymi. Dwa edenistyczne habitaty krążyły obecnie wokół Jowisza. Nie zostało tu nic, co mogłoby opowiedzieć nowym mieszkańcom o niesławnej przeszłości układu.

Minęły dwa dni, zanim Quantook-LOU wrócił do sił po narażeniu na grawitację Lalarin-MG. Siedział nieruchomo w prywatnym pomieszczeniu, podłączony do sieci Anthi-CL, i kierował początkowymi pracami remontowymi. Konflikty między dominiami miasta-dysku zakończyły się raczej z powodu zaskoczenia niż pragnienia zawarcia zgody. Quantook-LOU zdołał jednak później wynegocjować pokój z innymi dystrybutorami, gdy już wszyscy obejrzel i przeanalizowali obrazy przekazywane przez instrumenty zamontowane po obu stronach Todzolt-HI.

Bogactwa, jakie ujrzeli, były niemal niewiarygodne. Cała populacja miast-dysków Mastrit-PJ krążyła teraz wokół czerwonego karła, gęsto upakowana na orbicie równikowej. Otaczały ją urągające rozumowi zasoby zimnej materii, ogromny pierścień drobin. Jego średnica przekraczała dwieście milionów kilometrów. Mosdva tonęli w zasobach. Mogli porzucić stare, zużyte miast-dyski i zbudować nowe, niezależne dominia. O ile dystrybutorzy potrafili to określić, wszystkie tyrackie enklawy opróżniono w chwili przeniesienia miast-dysków w inne miejsce. Konflikty, które były przekleństwem Mosdva od chwili założenia dominiów, skończą się raz na zawsze.

Quantook-LOU otrzymał też od ludzi dane pozwalające na budowę napędu nadświetlnego. Inni dystrybutorzy zabiegali już o korzystne sojusze z Anthi-CL, pragnąc zdobyć dostęp do nowej technologii. Znajdowali się w innej, dziwnie pustej części kosmosu. Nie było tu mgławicy, zawsze dotąd przesłaniającej im pół nieba. Czekają na nich miliardy gwiazd. Ciekawie będzie znowu spotkać ludzi, a także inne gatunki, o których opowiadał Joshua Calvert.

*

Pole percepcji Ly-Sylfa rozszerzało się powoli. Aktywne funkcje wracały po okresie uśpienia wewnątrz siatki makrodanych. W pierwszej chwili istota była przekonana, że padła ofiarą utraty pamięci. Nie znajdowała się już w dżungli, gdzie składano ofiarę z człowieka, lecz unosiła się w pustce. W zasięgu pola percepcji nie wykrywała zupełnie nic. W promieniu miliarda kilometrów nie było żadnej masy, nawet pojedynczego elektronu. To było bardzo nieprawdopodobne. Fale energii przenikające pole percepcji miały niezwykle skład. Nigdy dotąd nie spotkał się z podobnymi. Analiza kwantowej struktury miejscowego kontinuum powiedziała mu, że nie przebywa już w rodzinnym wszechświecie.

Nagle obok wyłoniła się gęsta drobina masy, emitująca szerokie spektrum fal elektromagnetycznych. Zmysły Ly-Sylfa nie były w stanie przeniknąć do środka.

- Jak rozumiemy, wyruszyłeś w podróż mającą na celu pełne zrozumienie natury rzeczywistości - przywitała go Dzwoneczek. - My również. Czy zechciałbyś się do nas przyłączyć?

*

Gdy załoga "Oenone" pojawiła się u Harkeya, przywitano ją głośnymi krzykami i radosnymi uściskami. Zapowiadała się impreza o epickich proporcjach. Genevieve była zachwycona. Było gorąco, głośno i barwnie, zupełnie inaczej niż na przyjęciach w Cricklade. Wszyscy byli dla niej mili, udało się jej wypić parę kieliszków wina, kiedy Louise nie patrzyła, a kuzyn Gideon raz z nią zatańczył. Nic jednak nie mogłoby być zabawniejsze od obserwowania wyglupów brata Joshui, który przez cały czas starał się umknąć przed bardzo piękną i wyjątkową zdeterminowaną blondynką.

Louise cały czas trzymała się Joshui. Uśmiechała się raczej ze strachu niż ze szczęścia, gdy wszyscy tłoczyli się wokół, pragnąc wysłuchać opowieści o nagiej osobliwości z ust samego bohatera. W końcu wyprowadził ją z baru, przyrzekając, że wróci za chwilę. Pojechali windą do holu

i wyszli do parku.

- Nie miałaś zbyt zadowolonej miny - zauważył.

- Nie wiedziałam, że masz tak wielu przyjaciół. Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Kiedy się poznaliśmy, spotkałam tylko Dahybiego.

Poprowadził ją ścieżką wysadzaną pomarańczowymi wierzbowcami, kierując się ku pobliskiemu stawowi. Na wodnych roślinach rosły balonowate kwiaty, zwisające w dół i zanurzające się na cal w wodzie. Krążyły wokół nich zielone ryby, obgryzające sterczące pręciki.

- Na pewno spędzałeś tu cudowne dzieciństwo.

- To prawda, ale zawsze chciałem stąd odlecieć. Tylko nie mów o tym Ione.

- Jest bardzo piękna.

Przytulił ją.

- Ale ty jesteś piękniejsza.

- Nie rób tego - sprzeciwiła się zakłopotana.

- Mogę całować narzeczoną, kiedy tylko zechcę. Nawet na Norfolku tego nie zabraniają.

- Nie jestem twoją narzeczoną, Joshua. Mówię tak tylko ze względu na dziecko. Wstydziałam się, ale to było głupie. Dziecko to coś cudownego, najlepsze, co może się zdarzyć dwojgu ludziom. Jak można być przeciwnym temu? Zawsze będę kochała Norfolk, ale jest tam bardzo wiele złego.

Opadł na jedno kolano i wyciągnął rękę.

- Wyjdź za mnie.

Wyraz twarzy Louise sugerował, że dziewczyna przeżywa straszliwe cierpienia.

- To bardzo miło z twojej strony, Joshua. Gdybyś mnie poprosił o rękę, opuszczając Cricklade, uciekłabym z tobą. Ale ty nic właściwie o mnie nie wiesz. Nie mogłoby nam się udać. Jesteś kapitanem gwiazdolotu, do tego niewiarygodnie sławnym, a ja jestem córką właściciela ziemskiego. Połączyło nas tylko piękne marzenie.

- Wiem o tobie wszystko. Dzięki osobliwości przeżyłem każdą sekundę twojego życia. I nigdy już nie próbuj nazywać się czyjąś córką. Jesteś Louise Kavanagh, to wystarczy. Ja przeżyłem jeden ekscytujący lot i było to możliwe tylko dzięki wsparciu tysięcy ludzi. Ty poszłaś prosto do Quinna Dextera i próbowałaś go powstrzymać. Nikt nie mógłby mieć więcej odwagi, Louise. Byłaś zdumiewająca. Te pijane błazny u Harkeya mnie podziwiają, ale ty wprawiałaś mnie w osłupienie.

- Naprawdę widziałaś wszystko? - Zapytała.

- Aha - potwierdził stanowczo. - Również Ostatnią Noc.

- Och.

Pociągnął delikatnie jej dłoń, aż dziewczyna musiała klęknąć obok niego.

- Chyba nie mógłbym się ożenić ze świętą, Louise. Przecież wiesz, że sam nigdy nie byłem święty.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

- Tak.

- Ale nigdy nie będziemy razem.

- Kapitanowie gwiazdolotów należą już do przeszłości, podobnie jak córki właścicieli ziemskich. Będziemy mieli w życiu mnóstwo zajęć.

- Nie masz nic przeciwko mieszkaniu na Norfolku?

- We dwoje zmienimy twój świat, Louise.

Pocałowała go, a potem uśmiechnęła się skromnie.

- Czy musimy wracać na przyjęcie? - Wyszepiała.

- Nie.

Uśmiechnęła się szerzej i wstała. Joshua nadal klęczał.

- Jeszcze nie usłyszałem odpowiedzi. A od tej klasycznej pozy okropnie boli mnie noga.

- Uczono mnie, że mężczyźni zawsze trzeba kazać czekać - odparła władczo. - Ale odpowiedź brzmi "tak".

*

- Anastazjo, to naprawdę ty?

- Cześć, Dariat. Pewnie, że ja. Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że prędzej czy później tu trafisz.

- Mało brakowało, żebym nie trafił. Miałem po drodze odrobinę kłopotów.

- Pani Czi-Ri zawsze się do ciebie uśmiechała, Dariat. Od samego początku.

- Wiesz co? Nie to spodziewałem się znaleźć po drugiej stronie zaświatów.

- Wiem. Czyż to nie piękne miejsce?

- Mogłabyś zwiedzić je ze mną?

- Z chęcią.

*

Joshua używał swej zdolności po raz ostatni. Właściwie nie było to potrzebne, ale w żadnym wypadku nie miał zamiaru przepuścić okazji ujrzenia rodzinnego układu Kiintów na własne oczy. Zmaterializował się na białej, piaszczystej plaży nieopodal domku Tracy. Plaża rzecz jasna była piękna. Spojrzał w górę. Na ciemnoturkusowym niebie lśniły srebrne sierpy planet.

- Teraz widziałem już wszystko - rzekł cicho.

W powietrzu wokół niego pojawiło się nagle pięć białych sfer. Miały te same rozmiary, co dostarczyciele, ale ich funkcja była zupełnie inna.

Joshua uniósł ręce do góry.

- Jestem nieuzbrojony. Zaprowadźcie mnie do swojego przywódcy.

Sfery zniknęły. Joshua parsknął śmiechem. Jay i Haile biegły ku niemu po piasku.

- Joshua!

Udało mu się ją złapać, kiedy na niego skoczyła. Zatoczył nią pełen krąg.

- Joshua! - Piszcząca radośnie. - Skąd się tu wzięłeś?

- Zabieram cię do domu.

- Naprawdę? - Otworzyła szeroko oczy ze szczęścia. - Z powrotem do Konfederacji?

- Aha. Pakuj się.

- Witaj, Joshua Calvert. Ten dzień jest pełen radości. Jestem bardzo ukontentowana.

- Cześć, Haile. Urosłaś.

- A ty się wzmocniłeś.

Postawił Jay na ziemi.

- Sama widzisz, że dla wszystkich jest nadzieja.

- Tu było bajecznie - mówiła dziewczynka. - Dostarczyciele mogą ci dać wszystko, czego zapragniesz, nawet lody. Nie trzeba mieć pieniędzy.

W czarnym kręgu teleportacyjnym zmaterializowało się dwóch dorosłych Kiintów. Na schodach domku pojawiła się Tracy. Joshua popatrzył na wszystkich ostrożnie.

- Byłam na masie planet w łuku. I poznałam mnóstwo osób. - Jay przerwała, ssąc dolną wargę. - Czy z mamą wszystko w porządku?

- Hmm, tak. To właśnie jest najtrudniejsza część, Jay. Potrzebuje paru dni, zanim będzie się mogła z tobą zobaczyć. Zgoda? Dlatego zabieram cię do Tranquillity. Wkrótce będziesz mogła wrócić ze wszystkimi na Lalonde.

Wydeła usta.

- A ojciec Horst?

- Ojciec Horst też - zapewnił.

- Dobra. Jesteś pewien, że mama dobrze się czuje?

- Tak. Naprawdę bardzo chce się z tobą zobaczyć.

Tracy przystanęła za Jay i pogłaskała ją po głowie.

- Mówiłam ci, żebyś nosiła kapelusz, kiedy się bawisz w słońcu.

- Tak, Tracy.

Dziewczynka skrzywiła się, spoglądając na Joshuę. Uśmiechnął się do niej.

- Idź się spakować. Muszę chwilę porozmawiać z Tracy. Potem ruszamy w drogę.

- Chodź, Haile.

Tracy złapała Kiinta za jedną z trakt amorficznych kończyn i pociągnęła go w stronę domku.

Gdy dzieci oddaliły się poza zasięg słuchu, z twarzy Joshui zniknął uśmiech.

- Za nic nie dziękuję - powiedział do Tracy.

- Zrobiliśmy, co było w naszej mocy - odparła z pasją. - Nie próbuj nas osądzać, Joshua

Calvert.

- Korpus nas osądził, zdecydował o naszym losie.

- Nikt nie prosił się na świat. Jesteśmy raczej ofiarami grzechu niż grzesznikami. A Richard Keaton uratował twój tyłek, o ile sobie przypominam.

- W istocie.

- Dopilnowalibyśmy, żeby ludzkość przetrwała w jakiejś formie.

- Ale na czyje podobieństwo by ją ukształtowano?

- Jesteś taki dumny z jej obecnej postaci?

- Szczerze mówiąc, tak.

Potarła czoło białą dłonią.

- Ciągle zastanawiam się nad tym, czym jest ludzkość, porównuję ją z innymi gatunkami.

- Nie musisz już sobie zawracać tym głowy. Od tej chwili sami będziemy decydować o sobie.

Zwrócił się ku dorosłym Kiintom.

- Cześć, Nang i Lieria.

- Witaj, Joshua Calvert. I gratulacje.

- Dziękuję. Chociaż nie tak pragnąłem spędzić noc poślubną. Jeśli można prosić, chciałbym, żeby Korpus usunął z obszaru Konfederacji swoich obserwatorów oraz systemy pozyskiwania danych. Nasze przyszłe kontakty powinny się opierać na uczciwszych podstawach.

- Korpus się zgadza. Usuniemy ich.

- Jest jeszcze sprawa pomocy medycznej. Potrzebujemy jej bardzo pilnie.

- Rzecz jasna, zapewnimy ją wam.

- Mogliście pomóc nam wcześniej.

- Każdy gatunek ma prawo decydować o swoim przeznaczeniu. Prawo i obowiązek. Tych dwóch spraw nie sposób oddzielić.

- Wiem, wiem, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Może i byliśmy zbyt agresywni i nie rozwijaliśmy się tak szybko, jakby należało, ale chcę, by Korpus wiedział, że jestem bardzo dumny z naszych zdolności do współczucia. Nieważna jest bajkowa technologia, ale użytek, jaki się z niej robi.

- Przyjmujemy do wiadomości twoją krytykę. Nieustannie spotykamy się z tym zarzutem. W naszej pozycji jest on nieunikniony.

Joshua westchnął, znowu spoglądając na łuk.

- Prędzej czy później tu dotrzemy.

- Jesteśmy tego pewni. W końcu uczyniliście już pierwszy krok.

- Imitacja jest najszczerzą formą pochlebstwa - stwierdził Joshua. - A to pewnie znaczy, że jednak nie jesteście tacy źli.

Na werandzie zjawiała się Jay, dźwigająca wypchany plecak. Krzyknęła głośno i pomachała do nich ręką, a potem zbiegła ze schodów.

- Czy jej matka dobrze się czuje? - Zapytała zaniepokojona Tracy.

- Można ją wyleczyć - odparł Joshua. - Nie potrafię powiedzieć nic więcej. Przestałem już interweniować. To zbyt wielka pokusa. Zresztą osobliwość nie pozwoli mi już na wiele.

- Nie musisz więcej tego robić. Korpus przeanalizował twoje dotychczasowe posunięcia. Niektóre z nich są bardzo inteligentne. Wasza aktualna struktura ekonomiczna nie przetrwa.

- Stworzyłem szansę zmian, plus jeden aktywny ruch na niewielką skalę. Jeśli chodzi o to, co wydarzy się później... No cóż, powiedzmy tylko, że mam wiarę.

*

Jed i Beth zostali z Marie w szpitalnej poczekalni. Beth nie była z tego zbyt zadowolona. Wolałyby obejrzeć park Tranquillity. Jednakże Gari, Navar i Webstera ulokowano w skrzydle pediatrycznym, które znajdowało się niedaleko. Nie wiedziała, co potem się z nim stanie, ale w tej chwili to samo można było powiedzieć o znacznej części ludzkości. Mogła wylądować w gorszym miejscu.

Z oddziału intensywnej opieki wyszedł lekarz, którego spotkali przedtem.

- Marie?

- Słucham?

Spojrzała na niego z oczyma błyszczącymi nadzieją.

- Bardzo mi przykro. Nie mogliśmy mu pomóc.

Rozchyliła bezgłośnie usta, ukryła twarz w dłoniach i załała się łzami.

- Co mu się stało? - Zapytała Beth.

- Miał w mózgu jakiegoś rodzaju sieć włókien nanonicznych - wyjaśnił lekarz. - Jej struktura molekularna się rozpadła i ta dezintegracja spowodowała poważne uszkodzenia. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim cudem przeżył tak długo. Mówisz, że towarzyszył wam przez wiele tygodni?

- Tak.

- No cóż, oczywiście zrobimy sekcję, ale wątpię, żebyśmy wiele się dowiedzieli. Takie już mamy czasy.

- Dziękuję.

Lekarz uśmiechnął się szeroko.

- Za chwilę przyjdzie psycholog. Marie otrzyma najlepszą dostępną pomoc. Nie martwcie się o nią.

- Świetnie.

Zauważyła, w jaki sposób Jed spogląda na Marie. Wydawało się, że ma ochotę płakać razem z nią albo za nią, żeby zdjąć ciężar z jej ramion.

- Jed, chodźmy już.

- Jak to, chodźmy? - Zapytał zdziwiony.

- Nie mamy tu nic więcej do roboty. Idziesz?

Przenosił spojrzenie z Beth na Marie.

- Nie możemy jej zostawić.

- Dlaczego, Jed? Co ona dla nas znaczy?

- Była Kierą. Była wszystkim, o czym marzyliśmy, Beth. Nowym początkiem w jakimś lepszym miejscu.

- To jest Marie Skibbow i będzie nienawidziła Kiery przez resztę życia.

- Nie możemy teraz dać za wygraną. We troje założymy na nowo Martwą Noc, tym razem naprawdę. Są tysiące ludzi takich jak my, ludzi pragnących wszystkiego, co obiecała Kiera. Wrócą do nas.

- Jasne.

Beth odwróciła się i wyszła na dwór, nie zwracając uwagi na jego głośne nawoływania. Wsiadła do windy, radując się myślą, że wreszcie zobaczy piękny park i otaczające go morze okrężne.

Jestem młoda, jestem wolna, jestem w Tranquillity i z całą pewnością nie wrócę na cholerny Koblat.

To był świetny początek.

*

Podczas głosowania w Forum Zgromadzenia panowała śmiertelna cisza. Ambasadorowie kolejno oddawali głosy.

Siedzący na swym miejscu za stołem Samuel Aleksandrovich obserwował wyniki. Rzecz jasna, część planet wstrzymała się od głosu. Ich nazwy nie były dla niego niespodzianką: Kulu, Oshanko, Nowy Waszyngton, Mazaliv oraz grupka ich bliskich sojuszników. W sumie jednak nie więcej niż dwadzieścia światów. Naczelny admirał uśmiechnął się z zadowoleniem. W języku dyplomatycznym było to niemal równie wymowne jak samo wotum nieufności. Stanowiło kategoryczne ostrzeżenie dla największych mocarstw.

Na koniec przyszedł czas na ambasadorów Zgromadzenia Ogólnego. Samuel Aleksandrovich był ostatni. Nacisnął guzik i na wielkiej tablicy zmieniła się ostatnia cyfra. Pomyślał, że to śmieszny anachronizm, ale z pewnością robi dramatyczne wrażenie.

Przewodniczący Zgromadzenia wstał i uklonił się nerwowo prezydentowi. Olton Haaker wbił wzrok w ścianę, nie patrząc nikomu w oczy.

- Wniosek o wotum nieufności dla prezydenta przeszedł siedemset dziewięćdziesięcioma ośmioma głosami za, nie padł ani jeden głos przeciw.

*

Durrougham nigdy już nie wróciło do siebie po zniszczeniach spowodowanych przez Chasa Paske. Najbardziej ucierpiały port i dzielnica magazynów, ale powódź nie zatrzymała się w tym miejscu. Niesione przez falę resztki domów dotarły do głównej dzielnicy handlowej miasteczka. Kruche, drewniane budynki zawałyły się natychmiast. Woda przewróciła też trzy wywrotki i poniosła je w głąb lądu.

Kilometr dalej wzmocnione energistycznie mury zdołały ocalić budynki, choć błoto, na którym je zbudowano, odpłynęło w stronę Juliffe. Powódź zostawiła po sobie szeroki półokrąg zniszczeń, docierający aż do serca miasteczka, bagno, z którego sterczało milion brudnych odłamków. Walały się wśród nich ciała, pokryte schnącym błotem i stopniowo rozkładające się w straszliwie wilgotnym powietrzu. Mimo to miasteczko nadal służyło jako centrum administracyjne przez cały czas przebywania Lalonde poza wszechświatem. Podobnie jak w przypadku Norfolku, technologiczne zacofanie planety pozwoliło jej mieszkańcom żyć w przybliżeniu tak samo, jak dawniej. Po Juliffe w dalszym ciągu pływały łodzie, obsiewano pola, zbierano plony i rąbano drewno.

Teraz jednak planeta wróciła do wszechświata i znowu zjawiała się wilgoć oraz codzienne

deszcze. Ładowisko oczyszczono z zielska i ponownie lądowały na nim wahadłowce. Towarzyszyły im statki Kiintów, małe elipsoidy, które latały nad Juliffe oraz jej niezliczonymi dopływami, zbierając ludzi i dostarczając ich do Durringham. Ponad dwa tysiące małych stateczków krążyło nad dżunglą z naddźwiękową prędkością, poszukując w niej ocalałych ludzi.

Kiintowie postawili na skraju miasta siedem masywnych, trzydziestopiętrowych wieżowców. Wszystkie wyskoczyły w gotowej postaci z wylotów dostarczycieli, wyposażone w sprzęt potrzebny do leczenia ciężko chorych ludzi.

Ruth Hilton odnaleziono trzeciego dnia po Powrocie, jak zwali to wydarzenie ludzie. Gdy maszyna wylądowała obok niej, a kierująca nią jednostka sztucznej inteligencji zaprosiła kobietę do środka, Ruth miała szczerą chęć dać sobie z tym spokój. Wspomnienia opętania działały na jej psychikę jak tłumik. Z pewnością nic nie jadła od chwili Powrotu.

Na koniec to nadzieja spotkania z Jay skłoniła ją do ruszenia się z miejsca. W ciągu paru ostatnich tygodni opętująca dusza nasiąkała aspektami osobowości Ruth. Wędrowała od wioski do wioski, wpytując o Jay i o inne dzieci z Aberdale, które mogły przeżyć fatalną noc. Po tym, jak gdzieś na sawannie wybuchła bomba, z tamtego okręgu nie napłynęły już żadne wieści.

Spędziła w szpitalu dwa dni. Kiintowie badali ją i zmuszali do jedzenia. Wielkie ksenobionty niebieskawą mazią wysmarowały skórę otaczającą jej guzy, które szybko zapadły się w głąb ciała, jakby nagle zrobiły się porowate. Powiedzieli, że ta substancja całkowicie uwolni jej ciało od komórek rakowych. Metoda była ponoć mniej inwazyjna niż ludzkie pakiety medyczne. Przez półtorej doby mocz Ruth wyglądał bardzo dziwnie.

Pod koniec drugiej doby mogła już chodzić po korytarzu. Podobnie jak wielu pacjentów, lubiła siadać przy wielkim, panoramicznym oknie, za którym rozciągał się widok na Durringham. Mówiła bardzo niewiele. Co godzinę zjawiały się ekipy inżynierskie w wielkich, jaskrawożółtych dżipach. Budynki z programowalnego silikonu wyrastały z błota niczym grzyby. Nad ulicami poprowadzono nowe przewody elektryczne i w kilku dzielnicach nocą znowu zapaliły się światła.

Ruth uważała jednak, że wszystko to strata czasu. W dżungli zostało zbyt wiele wspomnień, zbyt wiele martwych dzieci. Ta planeta już nigdy nie będzie się mogła stać jej domem. Ciągłe pytała Kiintów i szpitalną jednostkę sztucznej inteligencji, czy gdzieś odnaleziono Jay, ale odpowiedź zawsze brzmiała tak samo.

Szóstego dnia w szpitalu zjawili się Horst i Jay, zdrowi i szczęśliwi. Przytuliła mocno córkę i nie wypuszczała jej z objęć przez długi czas. Dotyk dziewczynki przywrócił jej wolę życia.

Horst przyniósł dwa krzesła i wszyscy troje wpatrzyli się w opanowane przez pracowitych najeźdźców miasto.

- Przez najbliższe stulecie będzie tu panował wielki ruch - stwierdził Horst. W jego głosie zdumienie mieszało się z podziwem. - Pamiętasz naszą pierwszą noc w tym miejscu? Stary budynek już nie istnieje, chyba jest tam teraz port. Wyciągnął rękę. Koliste baseny z polipa przetrwały kataklizm.

- Czy go odbudują? - Zapytała Jay. Cała ta aktywność wydawała się jej straszliwie ekscytująca.

- Wątpię - odparł Horst. - Nowi imigranci będą chcieli mieszkać w pięciogwiazdkowych hotelach.

Ruth przeniosła spojrzenie na niebo. Poranne chmury deszczowe odpłynęły już na wschód, by zmoczyć wioski położone w głębi ładu. Niebo nad miasteczkiem i otaczającą je, parującą lekko dżunglą było pogodne. Na lazurowym tle lśniło pięć jasnych gwiazd. Najbliższa z nich tworzyła wyraźny półksiężyc. Kobieta pomyślała, że to może być Ziemia.

Z ojczyzną ludzkości dzieliło teraz orbitę czterdzieści siedem terrakompatybilnych planet. Wszystko to były światy pierwszego stadium zasiedlania, gotowe przyjąć populację arkologii.

- Wrócimy do Aberdale? - Zapytała Jay.

- Nie, kochanie. - Ruth pogłaskała córkę po wypłowiałych od słońca włosach. - Obawiam się, że straciłyśmy ten świat. Przybędą tu ludzie z Ziemi i uczynią z Lalonde coś zupełnie innego. Nie muszą przewyżczać przeszłości, tak jak my. Lalonde należy teraz do nich, a my musimy się przenieść gdzie indziej.

*

Autobus toczył się gładko po półce cumowniczej łączącej służę z poczekalnią. Athene już na nich czekała. Wyglądała pięknie w jedwabistej, niebieskiej tunice pokładowej, ale na kołnierzu nie miała kapitańskiej gwiazdki.

- Wróciłem - przywitał ją Sinon. - Mówiłem, że to zrobię.

- Nigdy nie wątpiłam w twoje słowa, ale zrozumiałabym, gdybyś postanowił wyruszyć w podróż z krystalicznym jestestwem. To była cudowna sposobność.

- Skorzystali z niej inni. Nie przestała istnieć tylko z powodu mojej odmowy.

- Jesteś uparty jak zawsze.

- Pewnego dnia ludzie albo to, w co się przekształca, mogą również wyruszyć w podobną podróż. Chciałbym sądzić, że odegrałem pewną rolę w kulturze, która wprowadziła nas na tę drogę.

- Jesteś inny od Sinona, który nas opuścił.

- Mam teraz własną duszę. Nie wrócę do wieloskładnikowej osobowości. Chcę przeżyć życie w tej postaci.

- Cieszę się, że znowu odnalazłeś siebie. Potrzebuję w domu kogoś, kto potrafi zapanować nad moimi okropnymi wnukami.

Parsknął śmiechem, który brzmiał jak ostry, metaliczny klekot.

- Przez cały ten czas nie marzyłem o niczym innym, jak o powrocie. Bałem się, że nie chciałabyś, żebym wrócił.

- Nigdy bym tak nie pomyślała. Nie o tobie, cokolwiek byś uczynił.

- Przyprowadziłem kogoś, kto cierpi znacznie bardziej niż my.

- Widzę.

Podeszła bliżej i ukloniła się płytko.

- Witaj w Romulusie, generale Hiltch.

Tej właśnie chwili Ralph bał się najbardziej. Przejście przez próg. Jeśli nie znajdzie przebaczenia tutaj, nie uzyska go nigdzie w tym wszechświecie. Nie potrafił nawet zdobyć się na to, by się uśmiechnąć do starszej, dystygowanej kobiety o szczerze zatroskanej twarzy.

- Nie dowodzę już armią, Athene. Złożyłem rezygnację.

- Powiedz mi, dlaczego tu jesteś, Ralph.

- Czuję się winny. Wysłałem na śmierć bardzo wielu edenistów. Kampania wyzwolenia zniszczyła to, co miała uratować. Jej motywem była próżność i duma, nie honor. A wszystko to był mój pomysł. Muszę wam powiedzieć: "przepraszam".

- Z chęcią cię wysłuchamy, Ralph. Nie musisz się śpieszyć.

- Przyjmiecie mnie w swoje szeregi?

Uśmiechnęła się doń ze współczuciem.

- Pragniesz zostać edenistą?

- Tak, choć to samolubne życzenie. Słyszałem, że możecie się uwolnić od brzemion, dzieląc je z całą resztą edenistów. Poczucie winy mnie przytłacza.

- To nie jest samolubstwo, Ralph. Chcesz podzielić się sobą z nami, wnieść swój wkład.

- Czy to się kiedyś skończy? Czy będę mógł żyć z tym, co uczyniłem?

- Wychowałam w swym domu bardzo wiele edenistycznych dzieci, Ralph. - Ujęła go pod ramię i ruszyła z nim w stronę wyjścia. - I żadne z nich nie zostało węzłem.

*

Minęło kilka tygodni, zanim codzienne funkcje rządu wróciły do normy po przeniesieniu całej Konfederacji poza Galaktykę. Ludzie uświadomili sobie, że warunki ich życia się zmieniają, pod wieloma względami bardzo głęboko. Religie próbowały jakoś zasymilować albo zdezwuować opis wszechświata przedstawiony przez osobliwość. Joshua nie miał nic przeciwko temu. Jak powiedział Louise, wiara w jakiegoś Boga niemal zawsze prowadziła do wiary w siebie. Upływ czasu mógł położyć kres nadmiernemu wpływowi wywieranemu przez religie na życie ludzi, ale, znając ludzką przewrotność, wcale nie musiało się tak stać.

Loty międzygwiazdne również zmieniły charakter. Podróże między układami odległymi od siebie o najwyżej pół roku świetlnego były niewiarygodnie szybkie i tanie.

Wszyscy reporterzy, którzy rozmawiali z Joshuą, pytali go, dlaczego nie sprowadził gwiazd Konfederacji z powrotem do Galaktyki. Uśmiechał się tylko irytująco i odpowiadał, że podobają mu się widoki w nowym miejscu.

Rządy były mniej zadowolone. Ekspansja do nowych układów gwiazdnych przestała być możliwa, dopóki nie stworzy się nowych systemów napędu. Pośpiesznie zwiększono fundusze przeznaczone na badania nad tunelami czasoprzestrzennymi.

Nie było już antymaterii, której można by użyć do terroryzowania mieszkańców planet. Wszystkie produkujące ją stacje zostały w Galaktyce, choć Joshua teleportował załogi. Politycy zwrócili swą uwagę na budżety obronne, przesuważąc fundusze na milej widziane przez wyborców cele.

Opinia publiczna była zafascynowana technologią dostarczycieli, która pozwoliła Kiintom dokonać cudów na uratowanych światach. Każdy chciał dostać dostarczyciela w prezencie bożonarodzeniowym.

Mieszkańcy Ziemi popadli w stan bliski schizofrenii, gdy chodziło o nowe planety pierwszego stadium zasiedlenia. Ziemski klimat wrócił do normy i kopuły arkologii przestały być potrzebne. Niemniej jednak, minie co najmniej pokolenie, aż powierzchnię planety znowu pokryją lasy, łąki, dzungle i prerie. A wtedy diaspora z arkologii znowu wszystko by zniszczyła. Z drugiej strony, jeśli przeniosą się na nowe planety (mniej niż miliard ludzi na każdą z nich), wszyscy będą mogli żyć w naturalnym środowisku, utrzymując jednocześnie obecny poziom konsumpcji i nie rujnując atmosfery nadmierną emisją ciepła. Zakładając, że relokacja tak wielu ludzi będzie ekonomicznie realna. Być może umożliwiają stateczki Kiintów albo coś wyjdzie z badań nad supernapędem.

We wszystkich aspektach życia Konfederacji dawały się odczuć małe, subtelne zmiany. Ich wpływ będzie się nasilał i wkrótce nic nie zdoła powstrzymać transformacji. Na to przynajmniej liczył Joshua.

Tymczasem jednak metody rządzenia pozostawały niezmienione. Trzeba było zarabiać pieniądze i płacić podatki. A także wymuszać przestrzeganie prawa. Sądy miały pod dostatkiem roboty.

*

Traslov był jednym ze światów, na których zmiany nie miały nastąpić szybko. Ta terrakompatybilna planeta znajdująca się w ostatniej fazie epoki lodowej była jedną z pięciu karnych

kolonii Konfederacji. Joshua przeniósł również te światy, ku wielkiej uldze wielu rządów, w tym również rządu Avon. Na Traslov zsyłano przestępców zatrzymanych przez Siły Powietrzne Konfederacji.

Statki więzienne wznowiły loty po trzech tygodniach.

Strażnik zaprowadził Andre Duchampa do kapsuły zrzutowej i przypiął go do jednego z ośmiu foteli amortyzacyjnych. Gdy pasy były już na miejscu, zesłańcowi zdjęto kołnierz.

- Bądź grzeczny - rozkazał strażnik i wypłynął przez właz po następnego więźnia.

Andre siedział spokojnie, z najwyższym wysiłkiem panując nad sobą. Ciało nadal miał lekko obolałe w miejscach, gdzie zdjęto pakiety nanoopatrunku. Był też pewien, że te skurwysyńskie angolskie konowały nie wyleczyły jak należy jego przewodu pokarmowego.

Po posiłkach nadal dopadała go okropna niestrawność. Jeśli można było to zwać posiłkami. Dolegliwości żołądkowe były jednak niczym w porównaniu z okrutną niesprawiedliwością, jaka spadła na jego biedną głowę. Siły Powietrzne oskarżyły go o atak na Trafalgara. Jego! Niewinną, prześladowaną ofiarę szantażu. To było diaboliczne.

- Dzień dobry.

Andre łypnął ze złością na otyłego, łysiejącego mężczyznę w średnim wieku, siedzącego w sąsiednim fotelu.

- Tak sobie myślę, że powinniśmy się poznać, bo resztę życia mamy spędzić razem. Jestem Mixi Penrice, a to jest moja żona Imelda.

Andre wykrzywił twarz w grymasie cierpienia, gdy nieśmiała kobieta, również otyła i w średnim wieku, pomachała do niego z następnego fotela.

- Cieszę się, że mam okazję pana poznać - oznajmiła.

- Straż! - Zawołał rozpaczliwie. - Straż!

Między Konfederacją a Trasov nie utrzymywano żadnych kontaktów. Wszystkie loty odbywały się tylko w jedną stronę: w dół. W teorii wyglądało to prosto. Więźniowie, którym mogły dobrowolnie towarzyszyć rodziny, lądowali na równikowym pasie kontynentów, którego nie pokrywały lodowce. Socjologowie, wynajęci przez rządy celem uspokojenia organizacji broniących praw człowieka, zapewniali, że jeśli w jednym miejscu znajdzie się wystarczająco wielu ludzi, z pewnością stworzą oni stabilną społeczność. Po upływie stu lat albo osiągnięciu liczby miliona mieszkańców - cokolwiek wydarzy się wcześniej - lotów miano zaprzestać. Zamieszkały obszar będzie się powiększał, postępując w ślad za ustępującymi lodowcami. Po następnych stu latach pojawi się samowystarczalna, rolnicza cywilizacja dysponująca niewielką bazą przemysłową. W tym punkcie planecie pozwoli się przyłączyć do Konfederacji i rozwijać jak normalna kolonia. Nikt dotąd nie sprawdził, czy były miejsce zsyłki zechce się przyłączyć do społeczności, która wyгнаła wszystkich przodków jego mieszkańców.

Kapsuła zrzutowa, w której siedział Andre, przemknęła przez atmosferę, wytracając prędkość z przyspieszeniem ujemnym sięgającym w szczytowym punkcie 7 g. Przeszyła warstwę chmur i na wysokości pięciuset metrów rozwinęła spadochron. Gdy znajdowała się dwa metry nad ziemią, silniki hamujące włączyły się na pół sekundy, wytracając resztkę prędkości.

Kapsuła uderzyła w spaloną ziemię z potężnym wstrząsem. Andre westchnął nagle pod wpływem bólu, który przeszył mu kręgosłup. Niemniej jednak, to on pierwszy wstał z fotela i rozpiął pasy. Właz był prymitywnie wykonany, podobnie jak cała kapsuła. To cud, że uszli z życiem. Nacisnął dźwignię otwierającą.

Wylądowali w szerokiej dolinie o łagodnych stokach. Jej dnem płynął wartki potok o kamienistym dnie. Miejscowy odpowiednik trawy miał mdły, szarzielony kolor, jego monotonię

mąciło kilka karłowatych krzewów. Dał zimny wiatr, niosący ze sobą drobinki białego lodu. Andre zadrżał gwałtownie. Temperatura była wyraźnie niższa od zera. Zamierzał po prostu zabrać swój ekwipunek ze skrytki bagażowej u podstawy kapsuły i zostawić towarzyszy własnemu losowi, będzie jednak musiał zmienić plany.

Spojrzał na drugi koniec doliny i ze zdumieniem zauważył kuliste sylwetki kapsuł podtrzymywania życia gwiazdolotów. Widział ich co najmniej czterdzieści. Gdyby policzył je dokładniej, przekonałby się, że w incydencie, w wyniku którego tu się znalazły, brało udział szesnaście statków.

Po zamrożonym gruncie dziarsko ruszyła ku nim samotna postać. Młody mężczyzna był odziany w czarne futro, a na ramieniu niósł kuszę. Zatrzymał się tuż pod włazem i wsparł ręce na biodrach, spoglądając z uśmiechem na Andre.

- Witam pana najserdeczniej. Charles Montgomery David Filton-Asquith do usług - rzekł. - Witajcie w Szczęśliwej Dolinie.

*

Wodę przesycala woń mandarynek. Jej powierzchnię pokrywała dziesięciocentymetrowa warstwa piany. Ione zanurzyła się z westchnieniem zadowolenia w cieczy o temperaturze ciała, ześlizgując się w dół po marmurowym dnie, aż wreszcie tylko jej głowa wystawała nad powierzchnię.

- Ooch, tak mi dobrze.

- Powinnaś częściej się relaksować - stwierdziło Tranquillity. - Potrafię pokierować większością spraw.

- Wiem, ale wszyscy pragną osobistego kontaktu. Ostatnio czuję się raczej jak niańka niż jak dyktator. I nadal nie zdecydowałam, co zrobić z ośrodkiem badań nad Laymilami.

- Większość specjalistów urlopowano z ich uniwersytetów. Łatwo będzie zmniejszyć ich liczbę.

- To prawda. Mam jednak wrażenie, że powinniśmy lepiej wykorzystać zasoby ośrodka, skierować je ku nowym celom. W końcu, formalnie rzecz biorąc, ty i ja zostaliśmy bez pracy.

- Ciekawy punkt widzenia.

- Pogódź się z tym, musimy sobie znaleźć jakieś inne zajęcie. Z pewnością nie chcę tu zostać.

Pozwoliła, by obrazy przekazywane przez zewnętrzne komórki sensoryczne wniknęły do jej umysłu. Na orbicie Jowisza roilo się od międzygwiazdnych statków zarówno adamistycznych, jak i jastrzębi. Dwie wielkie stacje przemysłowe specjalizujące się w syntezie organicznej przesuвано powoli w stronę Aethry, by mogły przystąpić do naprawy uszkodzonej powłoki młodego habitatu. Joshua przeniósł wszystkie młode habitaty - z górą czterdzieści - z układów pierwszego stadium zasiedlenia na orbitę wspaniałego, pomarańczowego gazowego olbrzyma.

- Ten układ gwiazdny będzie sercem rewolucji - zapowiedział habitat.

- Kolejny powód, by udać się gdzie indziej. W jakim stanie jesteśmy?

Jej świadomość przesunęła się przez habitat, postrzegając stan kabli indukcyjnych, parku, tuby świetlnej oraz ogromnego pierścienia komórek modelowania energii. Siedemdziesiąt procent energii nadal dostarczały generatory termojądrowe na półce cumowniczej.

- Co powiesz na kolejny skok?

- Dokąd? - Zapytał habitat.

- Myślę, że czas już, byśmy wrócili do domu.

- Do domu?

- Mówię o Kulu.

- Czyżbyś w skrytości ducha zamierzała sięgnąć po tron? Wszyscy twoi królewscy kuzyni dostaną ataku serca

- Nie mogą mi odmówić. Wnieśliśmy zbyt wielki wkład w kampanię wyzwolenia. Formalnie rzecz biorąc, jesteśmy jednym z księstw Królestwa Kulu. A wokół Tarronu wydobywa się mnóstwo He₃. Jestem pewna, że załogi poławiaczy chmur wołałyby stacjonować u nas. Co więcej, nasza obecność przyniesie wielkie korzyści ekonomiczne każdemu układowi planetarnemu.

- A to dlaczego?

- Przynosimy ze sobą rewolucję technobiotyczną. To jedna z najbardziej niechętnych technobiotyce kultur w całej Konfederacji. A mimo to skorzystali z technobiotycznych rozwiązań, gdy mieli trudności. Nasza obecność otworzy uchylone drzwi. Śmieszna technologiczna segregacja musi się skończyć. Nikomu nie służy. Mamy szansę na nowy początek, o którym mówiłam. Kolejna mała zmiana, która zwiększy impet wielkiej reformy kultury.

- To nie będzie łatwe.

- Wiem o tym. Musisz jednak przyznać, że odkąd Joshua nas opuścił, zrobiło się tu diabelnie nudno.

- Nadal w to właśnie najtrudniej mi uwierzyć. Oddał "Lady Makbet" bratu i zrezygnował z latania. Czy będzie szczęśliwy na Norfolku? Tam jest bardzo spokojnie.

Ione parsknęła śmiechem, sięgając po kryształowy kielich z Norfolskimi Łzami. Gapiła się na legendarny trunek, jakby to były ostatnie jego krople w całym wszechświecie.

- Mam wrażenie, że ten spokój wkrótce się skończy.

*

Syrinx i Ruben stali cierpliwie w szpitalnej poczekalni, czekając, aż zbierze się ekipa psychologów. Syrinx знаła niektórych z własnych sesji terapeutycznych i wymieniła z nimi serdeczne pozdrowienia.

- Bardzo ekscytujące - stwierdził "Oenone". - Nasz ostatni czyn w tej sadze.

- Po prostu chciałeś się przelecieć - zażartowała.

- Nie gadaj głupstw. Gwiazdy Konfederacji są teraz tak blisko siebie, że będę miał mnóstwo okazji do latania.

- Zastanawiam się, co to będą za loty. Zobaczyliśmy na własne oczy technologię Kiintów i wątpię, żeby energetyka oparta na He₃ miała przetrwać zbyt długo. Może zajmiemy się przewozami turystów.

- I tak nie przestanę cię kochać.

- Ani ja ciebie - zapewniła ze śmiechem, zaciskając dłoń na dłoni Rubena. - Chyba czas pomyśleć o dzieciach. Stawiliśmy czoło najstraszliwszemu z niebezpieczeństw, poleciliśmy na drugą stronę mgławicy, a teraz wszystko się zmienia. Chcę być częścią tych zmian, uczestniczyć w nich w najbardziej ludzki sposób.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Czujesz się kompletna.

- Tylko wtedy, gdy jesteśmy razem.

Naczelnny psycholog skinął na nich.

- Jesteśmy gotowi.

Syrinx podeszła do kapsuły zerowej ustawionej pośrodku pomieszczenia. Czarne pole zniknęło i pokrywa otworzyła się.

- Cześć, Erick - powiedziała z uśmiechem Syrinx.

*

Kiintowie potrzebowali zaledwie doby, by uwolnić Granta od guzów. Poddał się ze

spokojem terapii opartej na niebieskiej mazi, grzecznie robiąc wszystko, co mu kazano. Olbrzymie ksenobionty wywierały przytłaczające wrażenie. Wszelkie protesty wydawały się okropnie dziecinne. Kiintowie chcieli im pomóc, przybyli na Norfolk z dobroci swych potężnych serc.

Tuż pod Colsterworth zbudowano ogromny szpital. Naoczni świadkowie zapewniali, że dostarczyciele stworzyły go w niespełna godzinę. Małe stateczki latały nad bezleśnymi wyżynami, zatrzymując się przy każdym napotkanym człowieku i pytając go uprzejmie, czy potrzebuje pomocy. Tych, którzy odpowiedzieli twierdząco, przewoziły do szpitala, gdzie poddawano ich uniwersalnej terapii. Najwyraźniej szpital w Colsterworth zajmował się pacjentami z połowy wyspy Kesteven. W Bostonie zbudowano drugi, który opiekował się ofiarami z miasta.

Grant wrócił do Cricklade, gdy tylko pozbył się guzów. Wędrował w oszołomieniu po całej posiadłości, w miarę, jak zwalniani przez Kiintów pracownicy napływali z powrotem. Wszyscy chcieli, żeby im powiedział, co mają robić. Do tego aspektu dawnej egzystencji najłatwiej mu było powrócić. Świetnie wiedział, czym każdy z nich powinien się zajmować.

Nie potrafił już jednak powiedzieć, jaki jest tego cel. Odzyskał ciało, ale nie życie.

Marjorie wróciła drugiego dnia i oboje przyłgnęli do siebie rozpaczliwie. Nadal nie mieli żadnych wieści o dziewczynkach.

Latające maszyny zaczęły przywozić do domów ludzi z milicji, którzy po opętaniu zostali w Bostonie, wysadzając wszystkich w ich domach. Każdemu spotkaniu towarzyszyły łzy i nerwowy śmiech.

Grant i Marjorie wrócili do Colsterworth zapytać, czy Kiintowie odnaleźli dziewczynki. Szpitalny komputer odpowiedział, że dotąd ich nie odnaleziono, ale nadal trwa spis ocalałych mieszkańców Norfolku. Z każdą godziną liczba zwiększała się o dziesiątki tysięcy i komputer zapewnił, że w razie czego zawiadomi się ich bezzwłocznie (Kiintowie naprawili już całą sieć telefoniczną planety). Gdy jednak Grant poprosił o transport do Norwich, komputer odmówił z żalem, twierdząc, że wszystkie pojazdy Kiintów są potrzebne do przewożenia pacjentów i nie można pozwolić na prywatne loty.

Wrócili do samochodu terenowego, rozmawiając o tym, co robić dalej. Szeroką, brukowaną ulicą szedł samotny Kiint. Wydawał się zupełnie nie na miejscu pośród kamiennych, krytych dachówką domków o murach porośniętych pnącymi różami. Biegała wokół niego zgraja roześmianych dzieci. Nie bały się go ani trochę. Ksenobiont unosił cienkie, traktamorficzne macki tuż nad ich głowami, odsuwając je błyskawicznie, gdy podskakiwały, by je złapać. Bawił się z nimi.

- Wszystko się skończyło, tak? - Zapytał Grant. - Nie możemy już wrócić do tego, co było przedtem.

- To niepodobne do ciebie - sprzeciwiła się Marjorie. - Człowiek, za którego wysłałam, nigdy by nie pozwolił, żeby nasz sposób życia popadł w zapomnienie.

- Człowiek, za którego wysłałaś, nigdy nie był opętany. Niech piekło pochłonie tego Lucę.

- Na zawsze pozostaną z nami, tak jak my zawsze byliśmy z nimi.

Nad dworem unosiły się kule dostarczycieli. Wszystkie wyrzucały z siebie nowe części mające zastąpić te, których nie udało się naprawić. Ludzie chodzili za nimi, uzupełniając brakujące fragmenty rynien, przybijając do murów fragmenty treliazu, naprawiając płyty i dołączając nowe rury do systemu centralnego ogrzewania. Grant miał ochotę przegonić maszyny Kiintów, ale Cricklade pilnie potrzebowało remontu. Luca się starał, ale podczas panowania opętanych dwór popadł w zaniechanie. Dostarczyciele robili to samo we wszystkich domach w hrabstwie Stoke. Ludziom należała się pomoc po tym, co musieli przejść.

Przeanalizował tę myśl, zastanawiając się, od kogo mogła pochodzić. Czy była zbyt

wyrozumiała jak na Granta, a niedostatecznie liberalna dla Luki? W ostatecznym rozrachunku nie miało to znaczenia, ponieważ była słuszna.

Wszedł na podwórko i zobaczył, że kolejny dostawca samodzielnie naprawia spaloną stajnię. Fioletowa powierzchnia kuli przenikała przez brudne od sadzy mury i poczerniałe belki, zostawiając za sobą szeroką linię czystego kamienia i krytego dachówką dachu. Wyglądało, jakby ktoś malował pędzlem szczegóły na wstępnym szkicu obrazu.

- To ci dopiero demoralizujący wpływ - odezwała się Carmitha. - Nikt już nie zapomni, jak znacznie zieleńsza jest trawa po drugiej stronie technologicznej przepaści. Wiedziałaś, że potrafia produkować też żywność?

- Nie wiedziałem - przyznał Grant.

- Jestem w trakcie eksploracji ich małego, ale imponującego menu. Bardzo smaczne. Masz ochotę spróbować?

- Dlaczego jeszcze tu jesteś?

- Chcesz, żebym odeszła?

- Nie. Z całą pewnością nie.

- Wróć, Grant. Może już nie jesteś takim sztywniakiem jak kiedyś, ale nadal nie doceniasz własnych córek.

Oddalił się, potrząsając głową.

*

Nazajutrz na murawie przed dworem wylądował nowiutki, jonowy wahadłowiec z "Lady Makbet". Otaczająca go złocista mgiełka ulotniła się i otworzył się właz. Genevieve zbiegła po schodkach, nim zdążyły wysunąć się do końca, zeskakując na ziemię z wysokości dwóch stóp.

Grant i Marjorie już schodzili z szerokich, kamiennych stopni prowadzących do drzwi frontowych, żeby się przekonać, skąd się wziął lądownik. Oboje zamarli w bezruchu na widok znajomej, drobnej sylwetki. Genevieve zerwała się do biegu i uderzyła w matkę z impetem kuli armatniej, omal nie zwalając z nóg obojga rodziców.

Marjorie nie chciała wypuścić córki z objęć. Gardło ścisnęło jej od łez i nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Czy... Czy to ci się stało? - Zapytała zaleknionym głosem.

- Nie, nie - zapewniła pogodnie Genevieve. - Uciekłyśmy z planety dzięki Louise. Byłam na Marsie, na Ziemi i w Tranquillity. Okropnie się bałam, ale to było bardzo ekscytujące.

Louise objęła rodziców i pocałowała ich.

- Nic ci się nie stało - zauważył Grant.

- Nie, tato. Czuję się świetnie.

Odsunął się nieco, by lepiej się jej przyjrzeć. Wyglądała cudownie w eleganckim kostiumie podróżnym o spódnicy kończącej się sporo powyżej kolan. Miała bardzo pewną minę. Mała Louise już nigdy nie będzie pokornie wykonywać poleceń.

I bardzo dobrze, jak powiedziałby Luca.

Louise uśmiechnęła się figlarnie do rodziców i zaczerpnęła głęboko tchu. Genevieve rozchichotała się jak szalona.

- Jestem pewna, że oboje pamiętacie mojego męża - wyrzuciła z siebie pośpiesznie Louise.

Grant z totalnym niedowierzaniem popatrzył na Joshuę.

- Byłam druhną! - Zawołała Genevieve.

Joshua wyciągnął rękę.

- Tato - Louise skarciła stanowczo ojca.

Grant wykonał polecenie i uściśnął dłoń zięcia.

- Wyszłaś za męża? - Zapytała słabym głosem Marjorie.

- Tak. - Joshua spojrzał jej prosto w oczy i pocałował lekko w policzek. - Dwa dni temu.

Louise uniosła rękę, pokazując obrączkę.

- Patrzcie! - Zawołała Genevieve. - Nasze rzeczy. Mam wam tyle do pokazania.

Beaulieu, Liol i Dahybi schodzili z wysiłkiem po schodkach, obładowani skrzyniami i kartonowymi pudłami. Genevieve niespiesznie wróciła do lądownika, żeby im pomóc. Z jej neuronanicznej bransolety płynął strumień blasku przypominający ogon komety.

- Niech to szlag - wyszeptał Grant. Uśmiechnął się jednak. Wiedział, że opór jest bezużyteczny i raczej się z tego cieszył. - Pamiętaj, że musisz dobrze dbać o moją córkę. Jest dla nas wszystkim.

- Dziękuję - odparł Joshua ze swym charakterystycznym uśmiechem. - Zrobię, co będę mógł.

*

Kosmos wyglądał teraz inaczej. To była zapowiedź tego, co miało się wydarzyć za kilka miliardów lat.

Gromady gromad galaktyk nie oddalały się już od siebie, lecz wracały w miejsce, w którym się zrodziły. Kwantowa struktura czasoprzestrzeni zmieniała się, gdy wślizgały się w nią królestwa z innych wymiarów, opadające ku środkowi wszechświata.

Nagle otworzył się terminal tunelu czasoprzestrzennego. Quinn Dexter wyłonił się z niego i spojrzał na nieprzeliczone siły zbierające się u kresu czasu. Jego ciało rozpląnęło się bezboleśnie, uwalniając opętujące je dusze. Wszystkie uciekły od niego, mogąc poruszać się swobodnie pośród strumieni energii wypełniających kosmos. W przestrzeni roilo się od życia, eter przesycił pieśń umysłu. Oswobodzone dusze przyłączyły się do niej, żeglując ku punktowi omega.

Quinn przyglądał się, jak galaktyki znajdujące się milion lat świetlnych przed nim rozpadają się na fragmenty, opadając niepowstrzymanie na centralną masę. Gromady gwiazd rozjarzały się białym, a potem fioletowym blaskiem i znikły pod horyzontem zdarzeń, na zawsze pograżając się w Ostatniej Nocy wszechświata.

Wężowa bestia Quinna zawyła z radości na widok progresji jego Pana, który pochłaniał każdy atom, każdą myśl umierającego wszechświata. Nosiciel Światła w końcu zatriumfował. Rozrastał się w sercu ciemności, zapewniając, że to, co nadejdzie, będzie zupełnie inne od wszystkiego, co wydarzyło się przedtem.

EPILOG

Jay Hilton

Chata odźwiernego

Majątek Cricklade

Hrabstwo Stoke

Wyspa Kesteven

Norfolk

Najdroższa Haile, mama kazała mi napisać to ręcznie. To okropnie nudne, ale mówi, że muszę ćwiczyć kaligrafię. Jak tylko dostanę neuronowy nanosystem, nigdy już nie wezmę pióra do ręki.

Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Nie zapomnij podziękować Richardowi Keatonowi za to, że oddał Ci ten list.

Domek, który wynajęliśmy, jest bardzo ładny, znacznie lepszy od wszystkiego, co widziałam na Lalonde. Ma grube, kamienne mury i jest kryty strzechą. Mamy też prawdziwy kominek, w którym pali się drewnem. Śnieg sięga do okien na parterze. Śnieg jest fantastyczny, na pewno bardzo by ci się spodobał. Bałwany są znacznie fajniejsze niż zamki z piasku. Nie mogę za często wychodzić na dwór, ale nic nie szkodzi. Mam mnóstwo interaktywnych gier, a Genevieve uczy mnie jeździć na nartach. Jest teraz moją przyjaciółką.

Wczoraj położyliśmy się spać później, żeby zobaczyć, jak pojawi się Nowa Kalifornia. To miało się wydarzyć dwie godziny po zachodzie Diuka, więc nie trzeba było czekać długo. Świeci bardzo jasno i można ją nawet zobaczyć podczas nocy Duchessy, jeśli się wie, gdzie patrzeć. Mamy już na niebie pięć gwiazd. Dasz wiarę, że za piętnaście lat będę stąd widziała wszystkie gwiazdy gromady Konfederacji? Czyż to nie bajka?

Mama pracuje w szkole w Colsterworth, zajmuje się wprowadzaniem wspomnień dydaktycznych. Na wniosek Joshui Calverta rada Kesteven pozwoliła na ich stosowanie. Wybrano go do rady przed dwoma miesiącami i już jest wiceprzewodniczącym. Ludzie są bardzo dumni, że postanowił zamieszkać w Cricklade, mimo że mógł wybrać dowolne miejsce w całej Konfederacji. Ma mnóstwo planów. Rada pracuje obecnie nad nimi i wszyscy są bardzo podekscytowani, ale Marjorie Kavanagh mówi, że to długo nie potrwa i przed wiosną go zlinczują.

Louise urodziła w zeszłym miesiącu chłopczyka. Dali mu na imię Fletcher. Ojciec Horst zwija się jak w ukropie, żeby przygotować kaplicę rodzinną na chrzciny.

Mam nadzieję, że wkrótce nas odwiedzisz (pamiętaj!). Genevieve mówi, że latem są tu piękne motyle.

Całuję serdecznie Jay

DZIEJE PODBOJU KOSMOSU

- 2020 Założenie bazy księżycowej Cavius i początek eksploatacji podpowierzchniowych zasobów Srebrnego Globu.
- 2037 Seria osiągnięć w inżynierii genetycznej: wzmocnienie systemu immunologicznego, spowodowanie zaniku wyrostka robaczkowego, poprawienie wydolności niektórych narządów.
- 2041 Oddanie do użytku pierwszych (drogich i niskowydajnych) elektrowni termojądrowych wykorzystujących deuter w charakterze paliwa.
- 2044 Powtórne zjednoczenie chrześcijan.
- 2047 Pierwsza misja przechwycenia asteroidy. Początki ziemskiego Halo O’Neilla.
- 2049 Quasi-świadome technobiotyczne zwierzęta w roli serwitatorów.
- 2055 Misja astronautyczna na Jowisza.
- 2056 Spółki założycielskie przyznają autonomię miastom lunarnym.
- 2057 Założenie osiedla na planetoidzie Ceres.
- 2058 Afinciczne symbionty neuronowe Wing-Cit Czonga umożliwiają kontrolę nad zwierzętami i mechanizmami technobiotycznymi.
- 2064 Międzynarodowe konsorcjum przemysłowe Jovian Sky Power Corporation rozpoczyna w atmosferze Jowisza eksploatację He₃ za pomocą aerostatów wydobywczych.
- 2064 Świeckie zjednoczenie muzułmanów.
- 2067 Zastosowanie paliwa helowego w elektrowniach termojądrowych.
- 2069 Gen więzi afincicznej wszczepiony w łańcuch ludzkiego DNA.
- 2075 JSKP zawiązuje Eden, technobiotyczny habitat umieszczony na orbicie okołojowiszowej, objęty oficjalnym protektoratem ONZ-etu.
- 2077 Na asteroidzie Nova Kong rusza program badań nad napędami statków kosmicznych nowej generacji.
- 2085 Eden otwarty dla pierwszych mieszkańców.
- 2086 Habitat Pallas zawiązany na orbicie okołojowiszowej.
- 2090 Wing-Cit Czong umiera, przekazując swoje wspomnienia warstwie neuronowej Edenu. Początek kultury edenistów. Eden i Pallas ogłaszają niepodległość i występują z ONZ-etu. Masowy wykup akcji JSKP. Papież Eleonora nakłada ekskomunikę na chrześcijan z genem więzi afincicznej. Exodus do Edenu ludzi o zdolnościach afincicznych. Na Ziemi zdecydowany odwrót od technobiotycznych rozwiązań w przemyśle.
- 2091 Referendum na Lunie w sprawie terraformowania Marsa.
- 2094 Edeniści wdrażają w życie program rozwijania zarodków w tzw. egozonach; embriony poddawane modyfikacjom genetycznym. Populacja edenistów potrojona w ciągu dekady.
- 2103 Konsolidacja gabinetów rządowych na Ziemi; powstanie Rządu Centralnego.
- 2103 Założenie bazy Thoth na Marsie.
- 2107 Jurysdykcja Rządu Centralnego rozszerzona na Halo O’Neilla.
- 2115 Pierwsze natychmiastowe przemieszczenie translacyjne z Ziemi na Marsa statkiem zbudowanym na Nova Kongu.
- 2118 Misja kosmiczna na Proximę Centauri.
- 2123 Odkrycie terrakompatybilnych roślin w układzie Rossa 154.
- 2125 Przybycie pierwszych wielonarodowościowych grup kolonistów na Fortunę, planetę w układzie Rossa 154.
- 2125-2130 Odkrycie czterech nowych terrakompatybilnych planet. Dalsze zakładanie kolonii

wielonarodowościowych.

2131 Zawiązanie Perseusza na orbicie gazowego olbrzyma w układzie Rossa 154 i początek eksploatacji He₃ w tym układzie.

2131-2205 Odkrycie stu trzydziestu terrakompatybilnych planet. W Halo O'Neilla rusza zakrojony na szeroką skalę program budowy statków gwiazdnych. Rząd Centralny postanawia rozwiązać problem przeludnienia poprzez masowy wywóz ludzi na nowo odkrywane planety. W roku 2160 tygodniowo 2 mln przesiedlanych, tzw. Wielkie Rozproszenie. Konflikty etniczne na kilku wielonarodowościowych koloniach. Poszczególne stany Rządu Centralnego sponsorują powstawanie kolonii jednolitych kulturowo. Edeniści eksploatują He₃ we wszystkich układach posiadających gazowego olbrzyma.

2139 Asteroida Braun uderza w powierzchnię Marsa.

2180 Pierwsza wieża orbitalna zbudowana na Ziemi.

2205 W odpowiedzi na monopol energetyczny edenistów Rząd Centralny rozpoczyna budowę stacji produkujących antymaterię na orbicie okołosłonecznej.

2208 Gotowe pierwsze statki gwiazdne z napędem na antymaterię.

2210 Richard Saldana przerzuca zaplecze przemysłowe Nova Kongu z Halo O'Neilla na asteroidę obiegającą Kulu. Ogłasza niepodległość miejscowego układu gwiazdowego Kulu, zakłada rdzennie chrześcijańską kolonię i rozpoczyna eksploatację He₃ w atmosferze gazowego olbrzyma.

2218 Zawiązanie pierwszego jastrzębia, technobiotycznego statku zaprojektowanego przez edenistów.

2225 Zawiązanie na orbicie Saturna habitatów Remus i Romulus, przeznaczonych dla stu rodzin edenistów i na bazy dla jastrzębi.

2232 Starcie w pobliżu punktu libracyjnego L5 Jowisza pomiędzy okrętami Związku Asteroidalnego a należącą do Halo O'Neilla rafinerią surowców węglowodorowych. Antymateria użyta w charakterze broni. Dwadzieścia tysięcy ofiar śmiertelnych.

2238 Podpisanie układu na Deimosie. Zakaz produkcji i wykorzystywania antymaterii w Układzie Solarnym ratyfikowany przez Rząd Centralny, społeczność edenistów, mieszkańców Luni i Związek Asteroidalny. Początek demontażu stacji produkujących antymaterię.

2240 Koronacja Geralda Saldany na króla Kulu. Założenie dynastii Saldanów.

2267-2270 Osiem odrębnych starć między planetami kolonialnymi z użyciem antymaterii. Trzydzieści milionów ofiar śmiertelnych.

2271 Szczyt na Avon z udziałem przywódców wszystkich planet. Podpisanie traktatu zakazującego produkcji i wykorzystywania antymaterii w całym zamieszkanym regionie przestrzeni kosmicznej. Powołanie Konfederacji Ludzkiej mającej stać na straży postanowień traktatu. Początek tworzenia Sił Powietrznych Konfederacji.

2300 Przyjęcie edenistów do Konfederacji.

2301 Pierwszy kontakt. Odkrycie rasy Dżisiro, cywilizacji na poziomie preindustrialnym. Postanowieniem Konfederacji, system objęty kwarantanną w celu zapobiegnięcia skażeniu kulturowemu.

2310 Pierwsza asteroida lodowa uderza w Marsa.

2330 Pierwsze czarne jastrzębie wyhodowane w autonomicznym habitacie Valisk.

2350 Wojna między Novską a Hilversumem. Novska zbombardowana pociskami z antymaterią. Flota Konfederacji zapobiega akcji odwetowej.

2356 Odkrycie ojczystej planety Kiintów.

2357 Kiintowie dołączają do Konfederacji w roli "obserwatorów".

2360 Czarny jastrząb zwiadowczy odkrywa Atlantyde.

2371 Atlantyda skolonizowana przez edenistów.

2395 Odkrycie planety kolonialnej Tyrataków.

2402 Tyratakowie dołączają do Konfederacji.

2420 Statek zwiadowczy Kulu odkrywa Pierścień Ruin.

2428 W pobliżu Pierścienia Ruin książę Michael Saldana zawiązuje technobiotyczny habitat Tranquillity.

2432 Maurice, syn księcia Michaela, otrzymuje gen więzi afinicznej. Kryzys abdykacyjny w Kulu. Koronacja Lukasa Saldany. Książę Michael wygnany.

2550 Komisja Terraformowania ogłasza Mars planetą nadającą się do zamieszkania.

2580 Odkrycie wokół Tunji asteroid klasy dorado przedmiotem sporu między Garissą i Omutą.

2581 Statki omutańskiej floty handlowej zrzucają na Garissę dwanaście zawierających antimaterię bomb o wielkiej sile rażenia. Powierzchnia planety nieodwracalnie zniszczona. Konfederacja nakłada trzydziestoletnie sankcje gospodarcze na Omutę: wymiana handlowa z planetą zakazana. Siły Powietrzne Konfederacji uszczelniają blokadę.

2582 Założenie kolonii na Lalonde.

NAJWAŻNIEJSZE POSTACIE

STATKI

“LADY MAK BET”

Joshua Calvert Kapitan

Liol Calvert Specjalista od systemów termojądrowych

Ashly Hanson Pilot

Sarha Mitcham Operator systemów

Dahybi Yadev Operator węzłów

Beaulieu Kosmonik

Peter Adul Specjalista pokładowy

Alkad Mzu Specjalistka pokładowa

Oski Katsura Specjalistka pokładowa

Samuel Agent edenistycznego wywiadu

“OENONE”

Syrinx Kapitan

Ruben Systemy termojądrowe

Oxley Pilot

Cacus Systemy podtrzymywania życia

Edwin Systemy torusa

Serina Systemy torusa

Tyla Oficer ds. ładunku

Kempster Getchell Specjalista pokładowy

Renato Vella Specjalista pokładowy

Parker Higgens Specjalista pokładowy

Monica Foulkes Agentka ESA

“VILLENEUVE'S REVENGE”

Andre Duchamp Kapitan

Kingsley Pryor Agent Ala Capone

“MINDORI”

Rocio Condra Dusza opętująca piekielnego jastrzębia

Jed Hinton Wyznawca Martwej Nocy

Beth Wyznawczyni Martwej Nocy

Gerald Skibbow Uchodźca

Gari Hinton Siostra Jeda

Navar Przyrodnia siostra Jeda

“ARIKARA”

Meredith Saldana Kontradmirał, dowódca eskadry

Grese Porucznik, oficer wywiadu eskadry

Rhoecus Porucznik, oficer łącznikowy z jastrzębiami
Kroeber Komandor

HABITATY

TRANQUILLITY

Ione Saldana Lord Ruin
Dominique Vasilkovsky Bogata dziewczyna
Ojciec Horst Elwes Książdz, uchodźca

VALISK

Dariat Duch
Tolton Uliczny poeta
Erentz Potomek Rubry
Dr Patan Fizyk

ASTEROIDY

TRAFALGAR

Samual Aleksandrovich Naczelnny admirał Sił Powietrznych Konfederacji
Lalwani Admirał, dowódca CNIS
Motela Kolhammer Admirał, dowódca Pierwszej Floty
Dr Pierce Gilmore Dyrektor wydziału ds. naukowych CNIS
Jacqueline Couteur Opętująca
Murphy Hewlett Porucznik komandosów Konfederacji
Amr al-Sahhaf Kapitan, oficer sztabu

MONTEREY

Jezzibella Artystka Mood Fantasy
Al Capone Opętujący
Kiera Salter Dusza opętująca Marie Skibbow
Leroy Octavius Menedżer Jezzibelli
Libby Wizażystka Jezzibelli
Avram Harwood III Burmistrz San Angeles
Emmet Mordden Przedstawiciel Organizacji
Silvano Richmann Przedstawiciel Organizacji
Mickey Pileggi Przedstawiciel Organizacji
Patricia Mangano Przedstawiciel Organizacji
Webster Pryor Zakładnik
Luigi Balsamo Były dowódca Floty Organizacji
Cameron Leung Piekielny jastrząb "Zahan"
Bernhard Allsop Opętujący
Hudson Proctor Opętujący, prawa ręka Kiery
Soi Yin Piekielny jastrząb
Echells Piekielny jastrząb "Stryla"

PLANETY

NORFOLK

Luca Comar Dusza opętująca Granta Kavanagha

Susannah Dusza opętująca Marjorie Kavanagh

Carmitha Cyganka

Bruce Spanton Bandyta

Johan Dusza opętująca pana Butterwortha

Marcella Rye Radna z Colsterworth

Veronique Dusza opętująca Olive Fenchurch

OMBEY

Ralph Hiltch Generał dowodzący kampanią wyzwolenia

Cathal Fitzgerald Prawa ręka Ralpha

Dean Foal ESA, brygada G66

Will Danza ESA, brygada G66

Kirsten Saldana Księżna Ombey

Diana Tiernan Kierowniczka wydziału technicznego departamentu policji Ombey

Admirał Farquar Dowódca Królewskich Sił Powietrznych

Hugh Rosler Reporter DataAxis

Tim Beard Reporter

Sinon Sierżant walczący w kampanii wyzwolenia

Choma Sierżant walczący w kampanii wyzwolenia

Elana Duncan Najemniczka walcząca w kampanii wyzwolenia

Janne Palmer Królewski komandos

Annette Ekelund Opętująca

Hoi Son Opętujący, były partyzant

Delvan Opętujący

Milne Opętujący

Moyo Opętujący

Stephanie Ash Opętująca

Cochrane Opętujący

Rana Opętująca

Tina Sudol Opętująca

McPhee Opętujący

Franklin Opętujący

KULU

Alastair II Król

Simon, książę Salion Przewodniczący Komisji Bezpieczeństwa

Lord Kelman Mountjoy Minister spraw zagranicznych

Lady Phillipa Oshin Premier

OJCZYSTY ŚWIAT KIINTÓW

Richard Keaton Obserwator

Tracy Dean Obserwator
Jay Hilton Uchodźca, przyjaciółka Haile
Haile Młody Kiint
Nang Rodzic Haile
Lieria Rodzic Haile

ZIEMIA

Louise Kavanagh Uchodźca
Genevieve Kavanagh Uchodźca
Fletcher Christian Opętujący
Quinn Dexter Mesjasz Nosiciela Światła
Banneth Wielki magus sekty w Edmonton
Andy Behoo Sprzedawca
Ivanov Robson Prywatny detektyw
Brent Roi Policjant z Halo
Courtney Akolitka sekty z Edmonton
Billy-Joe Akolita sekty z Edmonton

INNI

KONFEDERACJA

Olton Haaker Prezydent Zgromadzenia
Jeeta Anwar Naczelnny adiutant prezydenta
Mae Ortlieb Doradca prezydenta ds. nauki
Cayeaux Ambasador edenistów
sir Maurice Hall Ambasador Królestwa Kulu

EDENIŚCI

Wing-Cit Czong Założyciel edenizmu
Athene Matka Syrinx

MOSDVA

Quantook-LOU Dystrybutor zasobów

TYRATAKOWIE

Baulona-PWM Osobnik z kasty rozplodowej, specjalista od elektroniki

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[1. 3](#)

[2. 41](#)

[3. 84](#)

[4. 138](#)

[5. 182](#)

[6. 233](#)

[7. 274](#)

[8. 328](#)

[9. 371](#)

[10. 414](#)